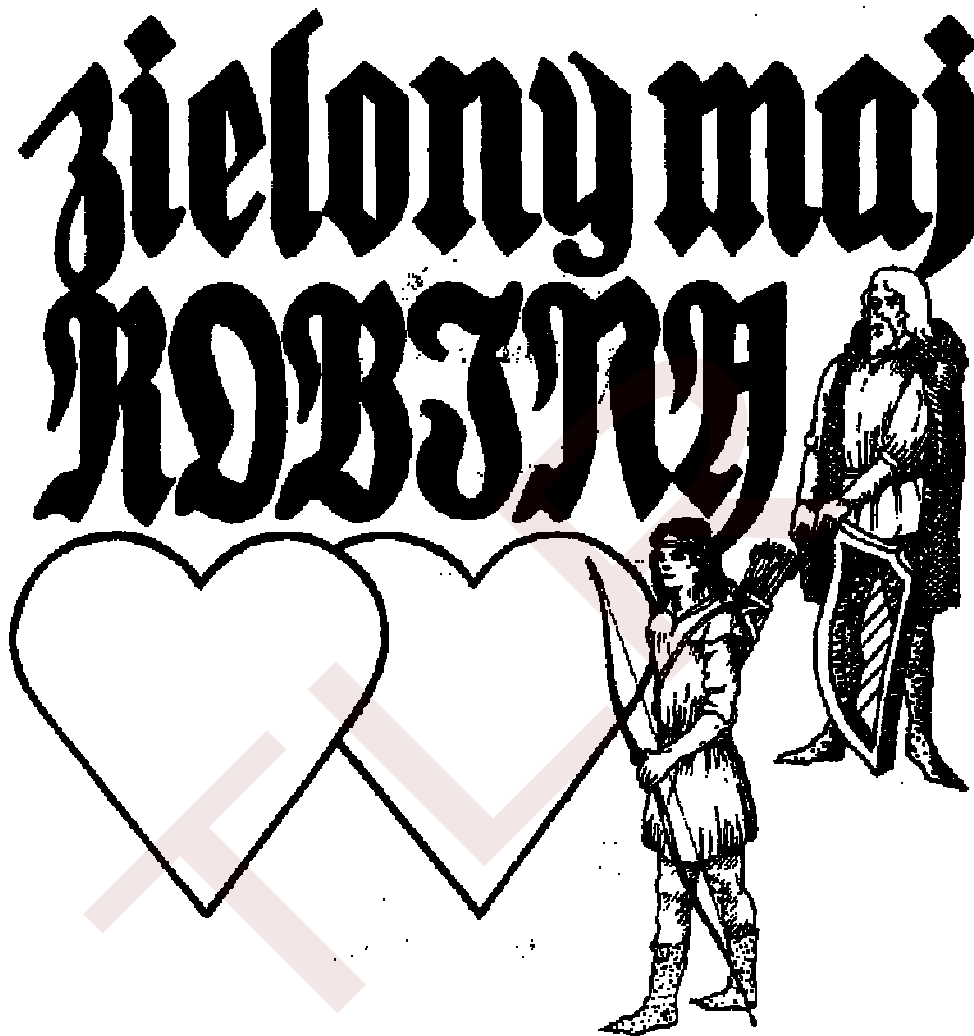


Poświęcam pamięci Generała

lorda Roberta Baden-Powella

autorka

THEO TAILOR-GRANDSON



Maj to miesiąc tajemniczy,
cały w miłości, w słodyczy.
Zielono dzień się zaczyna,
błękitnie zmierzchu godzina:
wieczorem drżą gwiazdy modre,
chrzęści złoty pas nad biodrem,
a w pasie szmaragdy chowa
dziewczyna, panna majowa.

K. I. Galczyński

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Szatan z Clarence Court

— Jakie one śliczne! Ojcie chrzestny, jakie śliczne!..

Chudziutki, może jedenastoletni jasnowłosy chłopiec przykucnął przy legowisku suki, która — choć wyczerpana niedawnymi cierpieniami porodu — z prawdziwie macierzyńską miłością i oddaniem obmywała jęzorem drobne ciała swych sześciorga szczeniąt.

— Śliczne, a jużci! — przytaknął szyderczo piegowaty wyrostek, wkraczający właśnie do komórki z miską wody, przeznaczonej dla czworonożnej położnicy. — Jeden kłopot więcej i tyle. Jaśnie pan już i bez tego nad Caresse się trzęsą! A teraz jeszcze i przychówek...

— Ale śliczne są! Prawda, chrzestny ojcie?

Stary psiarz Tomasz skinął potakująco głową i podobnie jak chrześniak, pochylił się nad posłaniem suki. Wyprostował się jednak zaraz, tłumiąc jęk.

— Znów was w tym boku boli? — piegowaty John, podsunąwszy miskę z wodą suce po pysk, spojrzał na starego z obawą. — Tylko tego brakuje, żebyście teraz zachorzeeli...

— Nic mi nie będzie.

— Gadacie, a na gębie toście całkiem żółci! Jakieś złe się chyba naszego dworu czepiło. Dicka tak w gnatach drze, że ledwie łązi, łowczego Dave'a kolka raz po razie chwyta, a teraz i wy...

— Ona już ma dość! — przerwał te wywody jasnowłosy malec, wciąż wpatrzony z zachwytem w sukę Caresse i jej potomstwo.

John odsunął na bok miskę z resztką wody i ciągnął dalej:

— Po prawdzie, to nie ma się czemu dziwić. Najzdrowszemu by taka służba zaszkodziła! I mnie już bokiem wyłazi, ale co począć...

Urwał nagle i zgiął się w niskim pokłonie. To samo uczynił stary psiarz, nie dbając o rwący ból w boku. Jasnowłosy chłopiec smyrnął za jego plecy i też się skłonił, choć uczynił to bardzo niezgrabnie.

Ta czołobitność była w pełni uzasadniona. Do komórki wkroczył bowiem sam „jaśnie pan”, czyli imię Leofric Shelton, zarządca dworu Clarence Court i obecnie — faktyczny pan tego dworu.

Nie raczywszy obdarzyć nawet przelotnym spojrzeniem witającej go trójki, poszedł i pochylił się nad legowiskiem Caresse.

— Sześć! — stwierdził, przy czym jego głos zdradzał szczere zadowolenie. Zdarzało się to niezwykle rzadko. — Wszystkie na chowanie!... A z Caresse jak? W porządku?

— Tak, wasza dostojność! — zapewnił stary psiarz. — Lekko jej poszło, zdrowa całkiem...

— I małe, widać, zdrowe! — pan Shelton wyrzekł to z jeszcze większym zadowoleniem. — A cały pomiot w matkę poszedł! Pewnie tak samo łowne będą. Pilnujcie mi ich!—

— Możecie być spokojni, wasza dostojność.—

— No!... Jeśli choć jedno stracę...—

— Nie obawiajcie się, wasza dostojność! — Tom skłonił się ponownie, choćomal przy tym nie jęknął. — Kiedy jego wielmożność pan baron de Clarence na swoją łowiecką jesień tu przybędą, już wszystkie sześć będą mogli do puszczy brać!...

Pan Shelton rzucił na niego piorunujące spojrzenie. Cofnął się o krok — i przez nieuwagę wstąpił w miskę, którą przed chwilą postawił w tym miejscu John. To rozścieczyło zarządcę do reszty. Zamachnął się i siarczyście zdzielił pięścią w kark — właśnie Johna, bo stał najbliżej.

— Saskie darmożjady! — warknął już pod adresem wszystkich trzech i splunąwszy dla ulżenia sercu, podążył ku drzwiom.

John, rozcierając bolący kark, patrzył za nim wzrokiem pełnym nienawiści.

— Szatan!.. — mruknął półgłosem, choć pan Shelton z pewnością nie mógłby już tego dosłyszeć. I zaraz zwrócił się z pretensją do Tomasza: — A to wyście winni! Po co de Clarence'a przy nim wspominiacie? Toć on się ma za pana na Clarence Court! Gadzina jedna! Słusznie gadają: „Miej w opiece, Boże, nas, gdy się Normanem stanie Sas!”...

Umilkł nagle i z niepokojem popatrzył na zmienioną z bólu twarz starego psiarza.

— Wiecie co, idźcie wy lepiej i legnijcie sobie! — poradził już zupełnie innym, zatroskanym tonem. — My tu z Bobby'm damy radę we dwóch!

Krótką scenką w psiarni mogła i świadczyć o gwałtowności charakteru pana Sheltona, i uzasadniać przezwisko, jakim go powszechnie darzono. A takie i podobne sceny miały miejsce raz po raz, o różnych porach dnia i w różnych częściach dworu Clarence Court...

Jaśnie wielmożny pan Leofric Shelton, „bailiff”, czyli zarządca majątności należącej do sir Raymonda, barona de Clarence, a położonej w nottinghamskim hrabstwie — na ogół bywał zadowolony ze swego losu. Nie narzekał na trudy wynikające ze

sprawowanej godności i wielce sobie chwalił płynące z niej splendory i dochody. Na ogół... gdyż zdarzały się okoliczności, w których przeklinał swój los, na czym świat stoi. Bywało tak wówczas, gdy ktoś przypadkiem czy umyślnie dawał mu do zrozumienia, że to nie on, Leofric Shelton, jest panem na Clarence Court...

Najgorzej zaś czuł się wtedy, gdy prawowity jego posiadacz, pan baron de Clarence przysyłał gońca z wieścią, iż niebawem zamierza zjechać w swoje wyspiarskie „demesne”¹. Imć Leofric musiał wtedy z bólem serca zapominać o tak lubej roli jedynowładcy, tłumić w sobie pańskie dostojęństwo, dwoić się i troić, by dostojny baron sir Raymond, licznie przybywający z nim goście oraz jeszcze liczniejsze orszaki służby mieli zapewnione wszelkie wygody. Trzeba było również — a to najboleśniej godziło w dumę pana bailiffa składać sprawozdania i rachunki z pełnionych powinności. W tym również... z własnych wydatków...

Na szczęście sir Raymond de Clarence wyjątkowo nie lubił swego wyspiarskiego majątku, nadanego jego pradziadowi w dziedziczne władanie przez króla Wilhelma — za nieomalże równą królewskiej waleczność, okazaną w bitwie pod Hastings. Nie lubił też ponurego dworu, wzniesionego z dębowych bali — budowli, którą okoliczna ludność tylko z powodu swego nieokrzesania i uniżoności nazywała „zamkiem”. Na Wyspie zjawiał się tylko wówczas, gdy musiał. Stokroć wygodniejszy i miłszy był dlań rodowy zamek — prawdziwy, murowany zamek — położony na praojcowskich włościach niedaleko Bayeux, w ojczystej Normandii, będącej w przeświadczeniu barona prawdziwym rajem w porównaniu z dziką, zarośniętą lasami Wyspą.

— Żeby w tych puszczańskich ostępach żyć, trzeba się urodzić dzikiem, albo saskim dzikusiem! Au nom de ciel², szkoda się dla tej królewskiej łaski drogą przez

1 *Demesne (ang.) — majątek, posiadłość należąca do możnowładcy.

2 *Au nom de ciel (franc.) — O niebiosa!

Kanał męczyć! — zwykł mawiać z pogardą podczas każdej swej bytności w Clarence Court.

— Święta prawda, wasza dostojność! — przytakiwał gorliwie imię Leofric, usiłując tą gorliwością zatrzeć we własnej pamięci fakt, że i on sam liczył się niegdyś do owej tak pogardzanej nacji saskiej.

— Sale pays!*³ — wtórowali amfitrionowi goście, zwłaszcza ci przybyli z nim zza Kanału.

Jednak mimo tego obrzydzenia baron de Clarence odwiedzał wyspiarską posiadłość dość regularnie. Jego pradziad otrzymał bowiem wraz z włościami niezmiernie cenny królewski przywilej, również dziedziczny: urządzania „w co trzecią jesień” łowów w puszczy Sherwood. I to łowów na grubą zwierzynę, wyjąwszy żubry i niedźwiedzie, gdyż polowania na nie nie dozwalała nawet największa królewska łaska. Bogiem a prawdą, niedźwiedzi i żubrów już od niepamiętnych czasów w Sherwood nie napotymano.

Sir Raymond sumiennie korzystał z dziedzicznego królewskiego przyzwolenia i zjawiał się w Clarence Court w każdą swą „łowiecką jesień”. Zawsze z gronem przeróżnych znakomitości zza Kanału i z nie mniejszym — z Wyspy. Puszcza rozbrzmiewała wówczas okrzykami i pohukiwaniem nagonki, ujadaniem gończych psów, rozlewnymi tonami rogów i — rykami trafionych i dobijanych zwierząt.

Trwało to parę tygodni, po czym sir de Clarence i jego goście, syci wrażeń, zdobywcy i myśliwskich trudów, opuszczali demesne — do następnej „łowieckiej jesieni”.

Później, przez dwie kolejne jesienie, włości „sir Sherwooda” (ponieważ takim właśnie szacownym mianem zwali puszcę pozbawieni wszelkich łowieckich — i nie

³ *Sale pays! (franc.) — wstrętny kraj!

tylko łowieckich — przywilejów mieszkańcy demesne i całej parafii Holy Ghost!*⁴ — pozostawały pod wyłączną władzą i pieczę królewskiego stróża prawa w Nottinghamshire, szeryfa sir Rolfa Monte. Zaś szeryfowską władzę sir Rolfa reprezentował w tych okolicach starszy woodguardów*⁵, imię Artur Dove, wbrew mianu posiadający serce wcale nie gołębie. Zresztą tego miana nie używano nigdy, mówiąc o Arturze, i chyba nawet - mało kto je znał. Artura od samego początku jego leśnej, strażniczej służby zwano złośliwym przydomkiem: „Pilnuj-Lasu”.

„Pilnuj-Lasu” i trzy dziesiątki jego podkomendnych, wszyscy przybrani w zielone opończe z kapturami, wszyscy uzbrojeni w najlepszej jakości kusze — starali się strzec królewskiej własności bardzo gorliwie. Całymi dniami, a w niektórych porach roku — na przykład w jesiennym „łownym czasie” — również i nocami przemierzali konno i pieszo trakty, dukty i przecinki, przedzierali się przez zarośla, brodzili w moczarach, czaili w krzakach, nadśluchując i wypatrując. Kogo i czego?.. Właśnie!

We wszystkich chrześcijańskich gminach i osadach parafii Holy Ghost, cysterskiego opactwa sprawującego władzę duchowną nad tą okolicą — nie brakowało łowców, którzy nie tylko że nie posiadali żadnego dziedzicznego przywileju czy przyzwolenia na łowy, ale którym królewskie prawo owych łowów najsurowiej i najbezwzględniej wzbraniało! Wszystkim było wiadomo, że takiego bezprawnego łowcę, przyłapanego na gorącym uczynku — to znaczy z łukiem w dłoniach nad ustrzelonym jeleniem, rogaczem, dzikiem albo rysiemy, bądź też niosącego podobną zdobycz — czeka straszliwy los: wędrówka do shire'u w otoczeniu konnych strażników, z dowodem winy, łukiem zawieszonym na szyi. Zaś w Nottingham oczekiwał doraźny sąd i wyrok, wykonywany natychmiast. W takich okolicznościach wyrok brzmiał zawsze jednakowo: obcięcie palców prawej dłoni!

⁴*Holy Ghost (ang.) — Duch Święty, tu: opactwo pod wezwaniem Ducha Świętego.

⁵*Woodguard (ang.) — strażnik królewskich lasów w średniowiecznej Anglii

Jednakże mimo wspomnianej już gorliwości Artura „Pilnuj-Lasu” i jego wood-guardów — straszne widowiska na nottinghamskim rynku zdarzały się naprawdę rzadko. Nie skutkowało penetrowanie puszczy. Nie dawało rezultatów obserwowanie wsi. Nie przynosiły efektów lotne, doraźne rewizje, z jakimi strażnicy spadali na osady, by „w imieniu króla” przetrząsać chaty w poszukiwaniu dziczyzny, skór, a od niedawnego czasu — również łuków i strzał... Zwierzyna ginęła, Artura krew zalewała z bezsilnej wściekłości, szeryf sir Monte pieklił się i przeklinał kłusowników, zaś „sir Sherwood” i bóg myśliwych Haernonnos strzegli i obdarzali zdobyczą saskich zuchwalców!

W „co trzecią”, łowiecką jesień pana barona de Clarence'a owi nieprawni łowcy musieli, rozumie się, trzymać na wodzy swe myśliwskie namiętności — zaś Artur „Pilnuj-Lasu” z groźnego i nieubłaganego stróża królewskiego prawa przeistaczał się w gorliwego doradcę i przewodnika barona i jego gości.

Dla bailiffa Sheltona zjazdy „w co trzecią jesień” na polowania do Clarence Court nie były zaskoczeniem ani niespodzianką. Wiedział o nich, skrupulatnie wyliczał ich porę — i wszystko czekało na dostojnych myśliwych. Chłopi do nagonki bywali wyznaczeni na długo przed spodziewanym terminem, w łowieckim sprzęcie i statkach niczego nie brakowało, stajnie i ich zawartość radowały oczy, psiarnię trzymano w gotowości. Spiżarnia i piwnice też prezentowały się jak należy. Sir de Clarence mógł mieć pewność, iż rządy w Clarence Court złożył w odpowiednie ręce i że całym demesne zawiaduje odpowiednia głowa. Zazwyczaj też odjeżdżał zadowolony, nawet gdy łowy nie wypadły zbyt pomyślnie. Nie przepadał bowiem za polowaniami na grubą zwierzynę, przekładając ponad nie — łowy z sokołami na czaple w swych ojczytych stronach. Przywilej wykorzystywał głównie po to, by dowieść szacunku dla królewskiej łaski — a także dla uciechy przyjaciół i znajomych.

Pomiędzy „łowieckimi jesieniami” baron nigdy nie nawiedzał swych wyspiar-skich włości. I w tym właśnie czasie imć Leofric Shelton czuł się ich niepodzielnym

władcą! Nie tylko od poddanych z demesne, ale również od mieszkańców przyległych do niego królewskich wsi żądał, by tytułowano go „sir Leofrikiem”⁶ i okazywano mu odpowiednią czołobitność. We dworze obowiązywała etykieta równa tej, jakiej wymagał podczas swych wizyt baron de Clarence. Nawet w dni powszednie „sir” Leofric i jego małżonka, „lady” Margaret (osoba o potężnej tuszy, gromkim głose i niewyczerpanych zapasach złości!) odziewali się nad wyraz strojnie, a w każdą podróż, nawet najkrótszą, wyruszali z orszakiem barwnie przybranych „dworzan”: pacholków i strzelców. Goście zjeżdżali do bailiffa często, zaś wydawane w Clarence Court uczyty bywały sute i huczne. Tak, pod nieobecność sir Raymonda, barona de Clarence, nic nie mąciło szczęścia pana zarządcy! I trudno się dziwić, że nie znosił napomykania choćby mimochodem — o tym, kto jest prawdziwym panem Clarence Court i demesne...

Oczywiście ów dostatni tryb życia kosztował dużo, a koszty nie mogły przecież uszczuplać dochodów prawowitego właściciela. O tym pan Shelton musiał pamiętać! I musiał zarządzać i gospodarować tak, by starczyło i na własne niemałe potrzeby, i na godziwy zysk dla sir Raymonda. Zaś niezależnie od tych potrzeb — trzeba było wywiązywać się, jak przystoi, z powinności na rzecz króla. A raczej nie króla, lecz księcia regenta Jana! Król Ryszard bowiem, ledwie zdążywszy włożyć na skronie koronę — wyruszył do Palestyny, by wspólnie z francuskim monarchą i cesarzem niemieckim ponownie odebrać Saracenom Jerozolimę i Grób Pański. Krzyżowa wyprawa skończyła się niepowodzeniem, zaś angielski władca nie powrócił z niej na Wyspę. Wracając, został zdradziecko ujęty i uwięziony, ale przez kogo, gdzie i po co — o tym opowiadano sobie tylko po cichu i ze strachem⁷. Za to wszyscy mieszkańcy Wyspy na

⁶ *Tytuły „sir” i „lady” przysługiwały tylko osobom szlacheckiego rodu. Pan Shelton i jego małżonka nie wodzili się ze szlachty.

⁷ *Król Anglii Ryszard Lionhearted („Lwie Serce”) panujący w latach 1189—1199, wracając z trzeciej wyprawy krzyżowej został na skutek waśni pomiędzy nim a księciem Austrii i królem Francji uwięziony i osadzony w jednym z austriackich zamków.

rozkaz księcia regenta musieli płacić podatek na królewski okup, który wynosił — bagatela! — aż sto tysięcy funtów...

Tak, żeby temu wszystkiemu podołać — trzeba by było iście czarnoksiężskich umiejętności! Pan Shelton nie posiadał wprawdzie takowych, za to posiadał przymioty mogące je znakomicie zastąpić: twardą rękę, bezwzględność oraz żelazną konsekwencję. Nie znał litości dla poddanych nie nadających z odrobkiem i zwlekających z dostarczaniem należnych dworowi świadczeń. Raz na zawsze usunął ze swej świadomości i języka zwroty „nie można” i „nie da rady”. Wiedział — i znał na to mnóstwo sposobów! — że rzeczy na pozór niemożliwe są wykonalne. Z tych wszystkich przyczyn nie tylko poddani z demesne, ale wszyscy w jakikolwiek sposób zależni od niego lub tylko znający go mieszkańcy parafii Holy Ghost zamiast mówić „sir Shelton” czy nawet „bailiff” — nazywali pomiędzy sobą zarządcę włości sir Raymonda „Szatanem z Clarence Court”.

Pan Leofric wiedział o tym, ale bynajmniej go to nie raziło. Przeciwnie, sprawiało mu satysfakcję! Nie był biegły w żadnej nauce, również i w historii, ale dzięki nabytemu życiowemu doświadczeniu często powtarzał sobie ową maksymę starożytnego władcy (uważając ją oczywiście za swoją własną!): „Niech nienawidzą, byle by się bali!”

Trudno więc się dziwić, że najniewinniejsze nawet wzmianki o przybyciu prawowitego właściciela Clarence Court przyprawiały zarządcę o gniew...

Stary psiarz Tomasz wyrzekł w dodatku tę uwagę w najgorszą, najczarniejszą chwilę!

Do przywilejowych łowów pozostawało jeszcze półtora roku i pan Leofric był święcie przekonany, że przez cały ten czas nic nie zakłóci słodczyj jedynowładztwa. Tymczasem — właśnie na drugi dzień po szczęśliwym połogu wyżlicy Caresse — jak grom z jasnego nieba spadł na Clarence Court umyślny z wieścią, że sir Raymond od

tygodnia bawi w Londynie, zaś nadchodzące święta „Whitsuntide”, czyli Uroczystość Zesłania Ducha Świętego — zamierza spędzić w swoim demesne! W Clarence Court!

Dla pana Sheltona wiadomość ta była równoznaczna z uderzeniem pioruna. Sir de Clarence przyjeżdża? A po cóż, u licha? Przecież nie będzie polował wbrew przywilejowi! I zresztą teraz czas wiosennego wykotu, nawet dla kłusowników święty!

Z trudem zachowując wyniosły spokój, bailiff począł wypytywać wysłańca o powód tej niespodziewanej wizyty. Umyślny, jeden z giermków sir Raymonda, przybrał wzgardliwą minę.

— Przecież jego dostojności wolno przybywać na Wyspę, kiedy tylko zechcą, n'est ce pas vrai?..⁸ — odburknął, jakby umyślnie chciał dodatkowo podrażnić pana zarządcę. Imć Shelton bowiem ku swemu wielkiemu strapieniu nie znał i za nic nie potrafił, mimo wysiłków, nauczyć się wytwornego „pańskiego” języka z kontynentu. — Waszmości rzecz przygotować wszystko na ich przybycie!

Widoczny niepokój i nieszczęśliwa mina pana bailiffa musiały jednak poruszyć w nim nieco sumienie, bo dodał:

— A jeśli we włościach kto z czym na rzecz dworu zalega, to duchem waść ściągaj! Jego dostojność środków potrzebuje!

— Chryste Panie! Środków?.. — przeraził się pan Shelton. — Czemuż to jego dostojność w takiej potrzebie?

— Tout est dit!⁹ Dostojny milord więcej waści powie... jeśli zechce! — oświadczył wyniośle giermek i jakby dając do zrozumienia, że i tak za dużo powiedział, zajął się potrawami które właśnie dla niego wniesiono.

⁸ *N'est ce pas vrai? (franc.) — Nieprawdaż?

⁹ *Tout est dit (franc.) — Nie ma o czym mówić!

Urażona ambicja wzięła górę nad ciekawością i pan Shelton zaprzestał dalszych wypytywań. Przejęty bliskością przyjazdu barona — boć do Zesłania Ducha Świętego pozostało ledwie dwa tygodnie! — zarządził gorączkowe przygotowania, w których osobiście i czynnie uczestniczył. Ani na chwilę nie opuszczała go irytacja, często gęsto przekształcająca się w iście szatańską pasję. Daremnie próbował uspokajać się myślą, że sir Raymond pobędzie i odjedzie jak zwykle, a potem wszystko wróci do dawnego porządku. Że jakoś się tę pańską wizytę, choć i niespodziewaną, wytrzyma! Lecz do końca tej wizyty było jeszcze daleko — jeszcze nawet nie nastąpiła! Na razie należało wszystko przygotować, i to tak, by zasłużyć na łaskawość i pochwały. Najbardziej zaś dokuczała myśl, że sir de Clarence niewątpliwie przywlecze znów ze sobą całą czeredę strojnych próżniaków i darmożjadów. Trzeba będzie to-to karmić, pić, nadskakiwać, zginać kark przed byle chłystkiem, słuchać (i to siedząc na szarym końcu stołu, nie na zwykłym poczesnym miejscu — jeśli w ogóle jego dostojność raczą do kompanii przypuścić!..) niepojętej francuskiej paplaniny, byle kogo tytułować „mildem” i „waszą dostojnością”... Psi los, przekłete życie! Byle tylko Pan Bóg dał siły i cierpliwość — i żeby nie za długo to trwało...

Strapienie i złość zdwoiły zwykłą energię i bezwzględność pana Leofrica. Wystarczyło mu kilku dni, by sprawdzić, kto w demesne zalega z jakimikolwiek powinnościami wobec dworu, kto dotąd nie uścił podymnego czy innych nakazanych prawem świadczeń, kto w niedalekiej przyszłości zamierza ożenić syna czy wydać za mąż córkę... W ciągu następnych kilku dni ściągnął w bezlitosny sposób owe świadczenia, przy czym ani myślał zważać na przednówek, a tym mniej na to, że poddani pragnęliby może odrobinę dostatniej przeżyć nadchodzące trzy dni świąt...

We dworze aż furczała robota. Szorowano, czyszczono, wietrzono i wykadzano izby, trzepano skóry i kilimy, przysposabiano posłania i pościel, myto okienne błony i sprzęty. Kuchnia przypominała ziejące żarem piekło. Piwniczemu, ochmistrzowi, stajennym i nadzorcom uszy puchły od ustawicznych wymysłów i groźnych napomnień. Prostej czeladzi natomiast puchło — zupełnie co innego i z innych przyczyn...

Generalnym porządkom poddano również obory, stajnie i wszystkie gospodarcze zabudowania. Ile przy tym padło siarczystych przekleństw, ile rozdzielono batów, kijów i kułaków, ile rozlegało się krzyków i przeraźliwych pisków, próśb i błagań, ile popłynęło łez, ile i jakich nienawistnych życzeń padło (po cichu oczywiście!) pod adresem bailiffa i wszystkich dozorujących roboty — tego żadne pióro nie opisze!

Pan Shelton, sadząc obficie piorunami i nie wypuszczając z dłoni poręcznego batoła, w myśl zasady: pańskie oko konia tuczy — osobiście dokonywał lustracji nie tylko dworskich komnat, ale również gospodarskich budynków i pomieszczeń dla zwierząt.

Tego popołudnia opuścił właśnie oborę, pozostawiając za sobą bolesne szlochy dziewcząt i ryki przerażonych krów. Źródło złości tkwiło już nie tylko w zauważonych nieporządkach i brakach. Potęgowało ową złość dokuczliwe ćmienie zęba. Wiadomo, zły zawsze nieszczęścia na kupę składa. Mało kłopotów — jeszcze i ząb musiał rozboleć!

Chcąc się nieco rozerwać, bailiff podążył do psiarni. W natłoku niemiłych spraw i kłopotów zapomniał bowiem o Caresse i jej szczeniętach. Postanowił teraz rzucić na nie okiem. Niewielka to pociecha — zawsze jednak pociecha!

Wszedłszy przez niskie drzwi, rozejrzał się po mrocznym, przesyconym ostrym psim swędem pomieszczeniu. Warcząca, skomlała czereda za przepierzeniem z desek podniosła na jego widok głośny jazgot. Pan Shelton nie rzucił nawet okiem na ogary. Po co? Nie będą przecież potrzebne, sir de Clarence nie na łowy zjeżdża! A choćby nawet zechciał obejrzeć sfore, to na pewno nie znajdzie żadnego szwanku. Na starym psiarzu Tomaszu można było polegać bez zastrzeżeń...

Skierował kroki ku komórce, w której rezydowała jego ulubienica. Przebiegło mu przez głowę, że właściwie mógłby wziąć Caresse wraz z przychówkiem do dworu, nawet do własnej komnaty! Drogo przecież zapłacił za tę zamorską parę wyźłów,

szczenięta też swoją cenę mają! Natychmiast jednak uspokoił się myślą, że nikt nie zapewni im takiej opieki, jak stary Tom. A Toma przecież wziąć do dworu niesposób.

Wszedł do klitki, szarpnął rogożę osłaniającą otwór wyzioru i nachylił się nad legowiskiem suki.

— Caresse!.. — zawołał pieszczotliwie i gwizdnął.

Leżąca na słomie wyźlica nie poderwała radośnie łba, jak to zawsze czyniła słysząc głos pana. Dźwignęła go z trudem, a potem znów ciężko opuściła na wyciągnięte przednie łapy. Przebudzone tym ruchem, ślepe szczenięta podniosły chóralny, żalospisk. Imć Shelton schylił się niżej i pogładził Caresse po łbie. Spojrzała boleśnie, jakby ze skargą żółtawymi, przymglonymi ślepiami. Przesunęła po dłoni bailiffa gorącym i suchym nosem. Pana zarządcę kolnął niepokój.

— Caresse!..

Suka znów z wysiłkiem dźwignęła głowę i znów spuściła ją na łapy. Shelton dopiero teraz dojrzał — bo przez wyzior wpadało niewiele dziennego światła — że tak zwykle lśniąca i gładka sierść ulubienicy jest zmierzwiona i bez połysku. Szczenięta zawodziły coraz żałośniej, trącąc ślepymi mordkami matczyne brzuchy i sutki, najwidoczniej — puste! Caresse była chora!

Pan Leofric wyprostował się jak dźgnięty. Roziskrzony wściekłością oczy obiegił komórkę. Nie widząc w niej żadnej ludzkiej istoty, bailiff wypadł do głównego pomieszczenia psiarni.

— Tomasz!!

Zazwyczaj na dźwięk swego imienia stary psiarz wyrastał przy nim jak spod ziemi. Ale tym razem nie wyrósł.

— Tomasz!!! — ryknął ponownie pan Shelton.

Spoza belki podtrzymującej strop wolno i trwożnie wysunęła się jakaś drobna postać i znieruchomiła.

— Ty... jak ci tam?.. Do mnie! — wycharczał bailiff.

Drobny, jasnowłosy chłopaczek na sekundę przytulił się lękliwie do słupa, a potem podszedł i dygocąc całym ciałem stanął przed panem Leofrikiem.

— Coś za jeden? Gdzie Tomasz?! — zagrział Shelton.

— Chrzestny... chrzestny od kilku dni leżą... a od wczoraj to już o świecie nie wiedzą... — wyszeptał chłopiec. W jego głosie drżały łyzy trwogi.

— I ty za niego psów dogładasz, gówniarzu?..

— Ja, wielmożny panie, wespół z Johnem..

— A gdzie John?..—

Chłopiec zadygotał jeszcze silniej, ale nie odrzekł ani słowa.

Co miał powiedzieć? Że John, widząc nadchodzącego jaśnie pana, umknął z psiarni?.. On, Bobby, też chciał uciec, ale już nie zdążył...

— Bodaj tego Toma wszyscy diabli wzięli! Wami się wyręcza, stary leń?!

— Ale chrzestny naprawdę chorzy, wielmożny panie! — wyjąkał już niemal z płaczem chłopiec.

— Chrzestny?..

Bailiff przypomniał sobie mgliście, że istotnie, przed kilku tygodniami uległ błaganiom starego psiarza i pozwolił mu wziąć do dworu — pod opiekę i do pomocy przy zwierzętach — chrześniaka,

sierotę z pobliskiej królewskiej wsi Patton. Nie lubił trzymać we dworze służby spoza demesne, a w dodatku ten smyk był podobno z wolnych kmieciów! Teraz jednak pan Shelton nie zamierzał zaprzętać sobie głowy podobnymi głupstwami.

— Co z suką? — zapytał przez zęby.

— Ja... ja nie wiem, wielmożny panie...—

— A kto ma wiedzieć? Od czego tu jesteś i chleb żresz? Dawno ona tak leży?

— Od... od wczoraj, wielmożny panie...

— Od wczoraj?! I tyś, gnojku, nie zawiadomił?!

Pan Shelton uczynił ostry krok w kierunku chłopca, który podniósł obronnie rękę. Ale ramię pana Leofrica okazało się szybsze. Bat świsnął i spadł na chude ramiona z taką siłą, że mały aż przysiadł z głośnym wrzaskiem.

— Gnaj do kuchni! Niech ci tam dadzą świeżej cielecej wątroby albo serc! Żywo, szczeniaku!..

Psiarczyk jak wystrzelony z procy pognął ku drzwiom. Pan Shelton nie mógł się doczekać jego powrotu. Wreszcie wyrwał z roztrzęsionych dłoni chłopca woniące surowizną, psie przysmaki i podsunął suce pod pysk.

— Na!..

Caresse z niechęcią, nawet jakby ze wstrętem odwróciła łeb. Pan Shelton spojrzał na skomlący kłębek szceniąt. Porwały go jeszcze większa rozpacz i gniew.

— Chora!.. Żreć nie chce, padnie chyba! I młodych nie wykarmi, wszystkie szczeniaka, co do jednego...

Znów przystąpił ku chłopcu.

— Coś ty jej zrobił, wszarzu?..

— Ja nic... wasza wielmożność, ja nic, jak Boga Najwyższego pragnę...

Nieprzytomny z przerażenia Bobby cofnął się, aż poczuł za plecami belkę. Cóż był winien? Mało się napłakał, siedząc przy wyrku chrzestnego? I przy posłaniu Caresse też płakał! Żal mu było i chorej suki, i jej psiaków, takich ślicznych! Gdyby mógł coś poradzić! Ale czy umiał, czy wiedział? Chrzestny leżeli w gorączce, próżno było ich o cokolwiek pytać! A że nie powiadomił pana bailiffa o chorobie

Caresse... Śmiałyby to? John przecież starszy od niego, a też się bał iść do jaśnie pana z taką wieścią!

Pan Shelton roziskrzonym wzrokiem patrzył na drżącą, przytuloną do słupa figurkę.

— Jeżeli Caresse padnie... i pomiot zdechnie...

Zacisnął szczęki i aż zeszywniał z bólu, który przeszył mózg. Ząb, przeklęty ząb!.. Wzniósł ramię — i nagle je opuścił. Nie dlatego, że poczuł nagle litość, lecz że uświadomił sobie — choć z wielkim trudem — iż to nie chłopak z demesne! Gdyby nim był, zatłukłby go chyba na miejscu i na śmierć. Ale w tym wypadku musiał nad sobą zapanować. Rodzina gówniarza podniosłaby niechybnie wrzask. Pewnie, z takim czymś łatwo by sobie poradził — ale czy przy tylu innych kłopotach, teraz, potrzebował jeszcze jednego strapienia?

Z całej siły trzasnął batogiem — nie Bobby'ego, tylko właśnie w dębowy słup.

— Jeżeli suka zdechnie, to popamiętasz! Dwa tuziny batów i na pół dnia w dyby! Rozumiesz? A z dworu pójdiesz precz! Darmozjadów tu nie trzeba!

Zamaszyście ruszył do wyjścia, waląc się batem po cholewach butów.

Psiarczyk imieniem Bobby czekał skulony i drżący, póki kroki jaśnie pana nie ucichły na podwórzu. Potem ostrożnie dotknął ramienia i zasyczał z bólu. Rozejrzał się trwożnie — i przypadł do posłania Caresse.

Przez chwilę wlepił łakome oczy w leżący na słomie kawał wątroby. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni jadł mięso. Chyba jeszcze za życia taty! A taty już od prawie dwóch lat nie było na świecie...

Trzeba się śpieszyć! Zaraz gotów wrócić John, skoro jaśnie pan już sobie poszli...

Zwinnym ruchem porwał psi przysmak, wepchnął go za pazuchę i śmignął ku drzwiom. Zupełnie nie dbał w tej chwili o chorą Caresse, o gniew jaśnie pana. Nawet o chrzestnym przestał pamiętać! Najważniejsze — znaleźć odpowiednio bezpieczne miejsce, skrzesać ognia, podpiec na patyku... Wątroba niedługo się piecze! Aż westchnął z rozkoszy, wyobrażając sobie jej zapach i rozplywający się w ustach smak.

ROZDZIAŁ DRUGI

Knights*¹⁰ Robin z Młyna"

Zmęczenie i rozpacz zwykle przyprawiają o twardy sen. Im są większe — tym sen twardszy, zwłaszcza gdy ma się dwunasty rok. Ale sen to krótka i właściwie żadna pociecha, bo po przebudzeniu wraz ze świadomością przychodzi jeszcze większy żal i poczucie krzywdy. A gdy jeszcze człowiek uprzytomni sobie, że jest zupełnie sam... i w takim miejscu... i że nikt, nikt na świecie nie może pomóc...

To właśnie czuł i tak myślał Bobby z Patton. Obudził go poranny ptasi trel — tak ostry i przenikliwy, i tak bliski, że chłopiec poderwał się z przerażeniem. W pierwszej chwili nie pojmował, gdzie jest, ale gdy oprzytomniał i zamiast znajomych, drewnianych ścian izdebki chrzestnego w Clarence Court ujrzał brunatne pnie i zielone zarośla, gdy pod dłońmi poczuł wilgotny od rosy mech — uzmysłowił sobie wszystko. Znow ujrzał wyciągniętą sztywno na słomie Caresse. Znow usłyszał słaby, chrypliwy pisk głodnych szczeniąt. I znow ogarnął go strach — skuwający wszystkie członki, szarpiący do bólu ciałem... Jak baty i dyby, które miały być!

Miały dopiero być! A uratować przed nimi mógł tylko on jeden: sir Sherwood!

Myśl o puszczy jako o ostatecznym ratunku tkwiła w podświadomości chyba każdego z mieszkańców tych stron. Bo „sir Sherwood”, choć obwarowany licznymi i groźnymi królewskimi prawami, choć strzeżony przez czujnych i bezlitosnych wood-guardów i woodmanów — strażników i leśników w służbie monarchy — zachował

^{10*} „Knight” (ang.) — „Rycerz”. Ze względu na występującą wielokrotnie w treści nazwę „Majowi Rycerze” — przydomek głównego bohatera użyty jest w oryginalnym brzmieniu.

przez trzynaście dziesiątków lat normańskiej niewoli cały majestat i niezależność swobodnej saskiej puszczy. I potrafił pomagać w potrzebie swemu nieszczęsnemu ludowi, jeśli tylko ów lud umiał postępować odważnie i sprytnie. Rzecz jednak w tym, że Bobby'emu nie dostawało ani sprytu, ani odwagi. Dlatego, że nie urodził się w tych stronach, wśród dębowych ścian twierdzy „sir Sherwooda”. Przybył wraz z ojcem w tę okolicę z hrabstwa York, gdzie nie było puszczy, tylko rozległe wrzosowiska, a lasy rzadkie i bardzo mizerne.

Jednak przez czas zamieszkiwania w Patton (gdzie tatko, wolny kmieć, wzięli w spadku po ojcu nieboszczki mamy trzy akry gruntu i zabudowania!) Bobby — choć wciąż bał się puszczy jak ognia — zdążył pojąć czym jest ona dla tutejszych ludzi. Sir Sherwood żywił, gdy bywało głodno, sir Sherwood dostarczał opału i ściółki dla bydła i owiec, sir Sherwood wreszcie chronił w swych przepastnych głębinach przed pańską złością i okrutnym królewskim prawem. Nieraz chronił tak skutecznie i dokumentnie, że o uciekinierze ginął wszelki słuch. Imiona wielu takich zbiegów — ale to już chodziło o panów, o dumną saską szlachtę, bezskutecznie próbującą walczyć otwarcie i po rycersku o swoją wolność i godność, i w wyniku tego zmuszaną do ucieczki w puszcze — powtarzano z przydomkiem „fugitive”. Fugitive — czyli zbieg, wyjęty spod prawa, leśny banita! Taki przydomek i należne do niego imię każdy wymawiał ze czcią i podziwem, bo fugitive'owie byli nie tylko uciekinierami, chroniącymi w puszczańskich ostępach swe życie i swą szlachecką cześć. Fugitive'owie byli — obrońcami! Mścicielami! Potrafili cicho jak leśne duchy spadać nocami na dwory szczególnie okrutnych normańskich wielmożów i wymierzać im puszczańską, saską sprawiedliwość. W najgorszym czasie przednówkowej biedy czy w terminach ściągania danin umieli niepostrzeżenie przychodzić z doraźną pomocą w żywności i w moście. Nie bali się uderzać na leśnych traktach na przeciągające nimi, zbrojne rycerskie orszaki. Nie bali się — chyba nikogo na świecie!

Wprawdzie najślawniejszy w tych stronach fugitive, sir Twice The*¹¹, o którym wciąż śpiewano ballady i piosenki oraz opowiadano zapierające oddech historie — został przed kilku laty ujęty i uwięziony. Podobno w mieście Lincoln. I do dziś przebywał tam w lochu, o ile jeszcze żył. Jak dotąd, nie rozniosła się wieść o jego straceniu... Ale w puszczy przebywali chyba też inni, podobni do sir Twice'a! Na pewno byli! I właśnie ku nim zwróciła się oszalała z przerażenia wyobraźnia chłopca, kiedy — nie widząc dla siebie innej drogi ratunku — zagłębiał się w las.

Bał się okropnie. Nigdy dotąd nie próbował wdzierać się tak daleko w gęstwinę puszczy. Ot, zwyczajnie, z brzegu: po chrust, po maliny i jagody, po mech na ściółkę, po hubkę... Strach przed mrokiem i groźnym, tajemniczym szumem, przed majestatem odwiecznych dębów i grabów, przed zdradliwością oparzelisk i mokradeł był silniejszy od ciekawości. Nawet od ambicji, choć ta nieraz podszeptowała Bobby'emu, że przecież powinien okazać się mężczyzną i popróbować...

Nie, nie potrafił! Gdyż bał się jeszcze i czegoś innego: tego, czym straszono go w domu, a teraz również i we dworze. Bał się złych leśnych duchów i mocy. A było ich tyle! Wiele z nich pozostawili po sobie w spadku dawni, najdawniejsi mieszkańcy Wyspy, zwani Celtami. Niektórym nadali imiona groźni Danowie, przez kilka wieków władający tą ziemią. A jeszcze inne wyrosły z wierzeń już ich własnych, Anglów i Sasów. W puszczy mieszkwały więc przewrotne, choć urodziwe boginki: deirdrees i huldry. W strumykach i jeziorkach pluskały się mgliste, wiotkie topielice — willie i stokroć od nich złośliwsze, zielonowłose nixies. Pod zwalonymi pniami wiatrołomów mieszkwały gniewne brodate karły — dwarfy. Mógł nawiedzać leśne ostępy sam bezlitosny dla ludzi Odin, mogła spacerować po nich promienna Friggia, niby życzliwa dla

¹¹* Twice The (ang.) — Dosł. „Podwójny The” — legendarny przydomek szlachetnego zbrojcy, związany z jego imieniem i nazwiskiem.

młodych, ale niepohamowana w złości, gdy się ją czymś obraziło. A obrazić lub znievažić bóstwa można było lada czym, nawet o tym nie wiedząc!

Bobby słyszał też, że na niedostępnych polanach, obrośniętych dzikimi jabłoniami, trwały od dawna straszne kamienne kręgi, a wśród nich — również kamienne stoły z wgłębieniami, w których do dziś można było dojrzeć ślady krwi. Ludzkiej krwi! Pozostały po Celtach, którzy przed setkami wieków zamieszkiwali Wyspę. Wśród takich kręgów już z całą pewnością odbywała przechadzki straszna Birgith, zbrojna w miecz i tarczę, a towarzyszył jej ponury małżonek Ollathir, zamieniający wzrokiem ludzi w kamienie...

A w każdą pełnię księżyca obchodził swe królestwo potężny Cernonnos, z wyspiarska zwany Haernonnosem, Haernonnem lub po prostu krótko — Haernnem. Olbrzym o jelenim porożu, strzegący zwierzyny — ale odstępujący z niej chętnie pojedyncze sztuki tym, którzy szanowali jego władzę i prawa, i umieli polować.

Bobby nie umiał. Nieraz z podziwem i zazdrością patrzył na swych rówieśników — ba, nawet młodszych chłopaków, zupełnych berbeciów — którzy śmiało zapuszczali się w królestwo sir Sher- , wooda i władztwo Haernonna, aby tropić zwierzynę i wracać trium- j falnie z łupem. Cóż dopiero mówić o starszych! Młodzież puszczała- (ska czciła Haernonna jako swojego szczególnego opiekuna, prze- i wodnika i najbardziej sprawiedliwego sędziego. Haernonnowi poświęcało się najwięcej myśli i życzeń, wyruszając w las. Haernonnowi ofiarowywano własne włosy, po raz pierwszy obcięte po męsku, co miało miejsce podczas specjalnego obrzędu, odbywanego w tak zwaną „Zieloną Noc”, czyli w noc poprzedzającą pierwsze święto „Maja”. Niedługo właśnie miała taka noc nastąpić. Ale Bobby'ego na razie niewiele to obchodziło, bo... nie skończył jeszcze dwunastu lat. Do młodzieńczego wieku było daleko...—i

Haernonn błogosławił też łuk każdego młodocianego łowcy. Taki łuk należało sporządzić własnoręcznie z cisowego drewna, starannie wybranego i dobranego kształtem słoów. Po wystruganiu — na najbliższą noc pełni trzeba było położyć

drzewce w wybranym, sekretnym miejscu, wymawiając przy tym zaklęcie: „Niech celnie szyje, niech zaraz ubije, a ty trop mi wskaż i zdobyczą darz!” Cięciwę do tegoż łuku, splecioną z baranich strun i owiniętą w nawoskowaną szmatkę, wkładało się również na całą tę noc do dziupli grabu, drzewa szczególnie umiłowanego przez Haernonna. Zaklęcie przy tej czynności brzmiało nieco krócej: „Byś nie pękła i nie zmiękła, by się ręka nie ulękła!” Wczesnym rankiem, o świcie, biegło się po pobłogosławione skarby. Ale to jeszcze nie było wszystko! Biegając, nie wolno było zatrzymać się ani obejrzeć (jeżeli zaś jakiemuś pechowcowi zdarzyło się potknąć, lub — co gorsza — przewrócić, na nic były czary pełni!), nie wolno było przemówić do nikogo ani słowa. Mokry od rosy łuk należało podjąć z ziemi lewą dłonią — tą, którą trzymało się drzewce przy strzale. Cięciwę wyjmowało się z dziupli dłonią prawą i tylko jej kciukiem, palcem wskazującym i średnim! Dopiero gdy się tego wszystkiego świeżo i skrupulatnie dochowało — ze ściśniętym w lewej dłoni drzewcem, z ukrytą w prawej garści cięciwą pędziło się bez tchu i także bez zatrzymywania się, bez oglądania i bez wyrzeczenia jednego słowa do kuźni wuja Jima Hobnaila, do Morton's Eve, aby cisowe drewno w piekle jej kotliny wyprażyć!

Z tak sporządzonym i pobłogosławionym łukiem można już było wyruszyć po prawdziwą, godną mężczyzny i łowcy zdobycz, pozwalającą na umazanie twarzy tegoż łowcy krwią daru Haernonnosa. Chwila, o której śniło się nieomalże od kołyski!

A potem — można było prosić o następne dary i zdobywać je. Z tym, że owo „można” należałoby w istniejących warunkach uważać za pojęcie czysto względne. Kilkunastoletni łowcy z obrębu parafii Holy Ghost oczywiście znali królewskie prawa i wiedzieli, co im na mocy owych praw grozi. Jednakże w ich mniemaniu o wiele gorsze niż najsurowsze królewskie edykty były — kategoryczne rodzicielskie zakazy i nieuchronne cięgi, jakie czekały w domu po powrocie z polowania. Nawet najszcześliwszego i najbardziej zdarzonego! Oczywiście rozgniewani ojcowie nie karali za zdobycz ani za łamanie woli monarchy, lecz za lekkomyślne narażanie życia i zdrowia.

Jednak groźba najmocniejszego nawet lania nie była w stanie powstrzymać młodocianych czcicieli Haernonna. Znaczyło dla nich dokładnie tyle samo, co królewskie prawo i żywe niebezpieczeństwo w postaci Artura i jego zielonych podkomendnych — choć z pewnością było i od prawa, i od Artura realniejsze i przykrzejsze. Gdyby ktoś zapytał któregokolwiek z chłopców, zamieszkałych w Oxton,

Patton, Mirfield czy innej puszczańskiej wsi, co budzi w nim większy lęk: szafot w Nottingham czy rzemienny rodzicielski pas — zapytany odpowiedziałby bez namysłu, że to drugie!

W Patton strzelał więc z łuku każdy smyk, a w innych wsiach i osadach pośród bardzo nawet młodych mieszkańców trafiali się prawdziwi mistrzowie. Bobby w swoim czasie też próbował, owszem, i ale drwiny i dokuczliwości pattońskich chłopaków, wyśmiewających niezdarność „wrzosowego pętaka” tak go zniechęciły, że zaprzestał dalszych wysiłków. Po co? Nigdy nie dorówna kolegom...

Dziwne, ale przestał o tym wszystkim pamiętać, gdy tak biegł przed siebie, niezdarnie przeskakując wykroty i przewracając się przez zwalone pniaki. Strach przed jaśnie panem i jego gniewem przyćmił wszystkie inne uczucia. Cud prawdziwy, że nie skręcił lub nie złamał nogi ani że nie wyrzwał niebezpiecznie głową o jakieś drzewo — bo biegł zupełnie na oślep. Aż do chwili, kiedy nieprzytomny ze zmęczenia zwałił się na ziemię.

A gdy wydyszał zmęczenie — przyszła rozpacz. Czyjej pomocy mógł tu wyglądać? Samego sir Sherwooda? Jak go o nią prosić? Może przyjdzie mu błędzić po leśnych wertepach, aż umrze z głodu i utrudzenia? Może rozszarpie go i pożre jakiś dziki zwierz? Chociaż lepsze byłoby już to, niż powrót! Chłosta i dyby... To było straszne! Jednak jeszcze gorsza wydawała się chłopcu ostatnia groźba pana bailiffa: „Pójdiesz precz ze dworu!” No więc stało się, Caresse zdechła, pójdzie precz! Jeśli zjawi się w chacie — macocha i jej Simon zabiją chyba. Tyle się przecież nabłagali kuma Tomasza z Clarence Court, żeby zabrał chrześniaka do siebie. A teraz...

Rozpaczliwy, bezradny płacz ukołysał go do snu. A w tej chwili, po przebudzeniu, powróciły wczorajsze myśli — jeszcze czarniejsze, bardziej beznadziejne. Cały skostniał od nocnego chłodu, podarty samodziałowy kaftan przemókł od rosy, a jeść się chciało okropnie. Mięso, ukradzione Caresse... Nawet go nie skosztował! Krzeszał właśnie ogień, gdy posłyszał wołanie Johna. Tyle było w tym wołaniu strachu, że od razu odgadł, co się stało!

Bobby dźwignął się z trudem, rozprostował zdętwiałe kości i podniósłszy głowę, usiłował poprzez gałęzie i konary zbadać położenie słońca oraz zorientować się, dokąd właściwie zaleciał. Biegł od tamtej strony, więc tam jest Clarence Court! Idąc w lewo — chyba powinien dojść do osady Morton's Eve. Może tam ktoś litościwy da choć kawałek placka? A potem, potem — pójdzie dalej, chociaż... czy właściwie warto dokądkolwiek iść?

Ach, czemu tato pomarli! A przedtem — czemu wzięli do chaty tę sekutnicę Betty z całym jej przychówkiem? Od razu zaczęła krzywo patrzeć na pasierba, liczyły się tylko jej dzieci. Wymawiała każdą łyżkę stawy, gnała do pracy. Tato niby wzbranił, ale byli już chorzy, coraz słabsi — mogli to wzbronić takiej jędzy? A gdy i oni pomarli, to już nie było dla Bobby'ego życia w ojcowskiej chacie. Betty rychło wydała się za Simona... i Bobby nieraz słyszał, jak gadali, że grunt po nieboszczyku należy się im, a nie próżniakowi i darmożjadowi. Próżniakowi! Robił przecież wszystko, co kazali, grzbietu i rąk nieraz nie czuł! A im wciąż było mało. Ciągłe przeklinali, pomstowali, żalowali jadła, za to walili jedno przez drugie. Zwłaszcza Simon, gdy piwa za wiele wypił... Aż wreszcie chrestny Tomasz wziął do dworu, do psów. Bobby myślał, że Pana Boga za nogi złapał. A teraz... cóż ze sobą pocznie?..

Znów ogarnęła go najczarniejsza, bezsilna rozpacz. Osunął się na powrót w mech i trawę, i wtuliwszy w nie twarz, szlochał w poczuciu całkowitej klęski.

— Hej, ty!... — rozległ się nagle nad nim czyjś dźwięczny głos. — Słona woda szkodzi trawie!

Poderwał się i wlepił w intruza przerażone oczy. Bo też można się było przestraszyć: zjawił się on cicho jak leśny duch.

Był to młodziutki chłopak, z wyglądu starszy może o trzy, najwyżej o cztery lata od zrozpaczonego wygnańca. Natura nie poskąpiła mu wzrostu, a smukłej, gibkiej i ślicznie proporcjonalnej sylwetki nie był w stanie zniekształcić niezgrabny, mocno już podniszczony i wyrośnięty kaftan, sporządzony — tak jak przyodziewek Bobby'ego — z tkanego domowym sposobem owczego samodziała, barwionego dębową korą na bu-robrunatny kolor.

Stojąc tak pośród drzew, oblany porannym słońcem, przeciskającym swe promienie przez gałęzie i liście — wydał się Bobby'emu należący do lasu, jak drzewo czy zwierzę. Podobny był jednocześnie i do młodego cisa, śmigłego i pełnego sprężystej siły, i do dumnego a ostrożnego jelonka, i do zwinnego, drapieżnego zbczego kocięcia. Przyzłożona już wiosennym słońcem twarz miała w sobie jakiś lekki, nieuchwytny cień, jakby przylgnął do niej mrok puszczańskich głębin, lecz przez tę chmurność (zupełnie jak światło słoneczne przez gęstwinę!) przebijały się chłopięca żywość i wesołość. Włosy, przycięte nad ciemnymi brwiami, a spadające niedbale grzywą na ramiona i kark, były brunatnordzawe jak cisowa kora i w słońcu połyskiwały na skrętach tak złociście, jakby sączyły się przez nie krople żywicznego soku. Choć splątane i najwidoczniej niezbyt często zawierające bliższą znajomość z grzebieniem — nie wyglądały nieporządnie, zaś wczepione w nie suche liście, okruszyny kory, zielone żdźbła i małe, białe gwiazdki kalinowego kwiatu — pewnie pozostałości po przedzieraniu się przez gęstwinę zarośli! — czyniły wrażenie jakichś drogocennych, umyślnie wpiętych ozdób. Drobne, trochę jeszcze dziecinne, lecz stanowczo zarysowane wargi były różowe i świeże jak dojrzałe maliny, a oczy przypominały przeświecone słońcem, czyste puszczańskie jeziora o dnie zasłanym brunatnymi jesiennymi liśćmi.

I właśnie przez tę swoją leśną, zdumiewającą urodę wydał się w pierwszej chwili Bobby'emu wręcz niesamowity — jakby wyszedł wprost ze świata huldr, dwarfów i deirdrees. Chłopca aż przykuło do ziemi z przerażenia. Otworzył usta, by wrzasnąć wniebogłosy — lecz właśnie w tej chwili dostrzegł, że w rozchyleniu kaftana nieznanego zjawiska połyskuje metalowy krzyżyk: niezbity dowód, że to nie leśny duch, tylko uczciwy chrześcijanin. Bobby odetchnął... i jednocześnie uprzytomnił sobie, że przecież zna tego chłopca! Już nie z lękiem, a z podziwem przesunął oczami po jego postaci i zatrzymał je dłużej — na dębowym kijku, który młody przybysz dzierżył w prawej dłoni. Bez takiej „sześciostopówki” żaden dorosły czy dorastający osobnik płci męskiej z tych okolic nie wyruszał w drogę, nawet najkrótszą. Służyła nie jako podpora, lecz jako nader skuteczny oręż! Pewnie z racji tej nieodstępności tutejszym obyczajem zwano pałki żartobliwym i trafnym mianem — „bonnie”¹².

— Co ci się stało? — zagadnął chłopak, nie dostrzegając pełnego uwielbienia wzroku Bobby'ego. — Skrzywdził cię kto?

Bobby milczał, onieśmielony. Chłopiec przyjrzał mu się niespokojnie, podszedł i nachylił się nad nim.

— Skąd jesteś? Jak cię wołają? — zapytał znów.

— Bobby... — odszepnął były psiarczyk, ale natychmiast zawstydydził się i poprawił szybko: — Robert! Robert z Patton...

— O, patrzcie tylko, imiennik! — roześmiał się przybysz. Poprawił pod pachą parciane zawiniątko, w którym brzęknęło jakieś żelastwo, i przykucnął przy zbiegu. — Ja też...

— Wiem! — przerwał z pośpiechem Bobby. — Ja... ja cię znam!

¹² * „Bonnie” (ang.) — „Miła”, „najmilsza” — tu: w znaczeniu żartobliwym.

Zająknął się przy owym „cię”, ale imiennik był naprawdę zbyt młody na to, by mówić doń „wy” — nawet przy całym żywionym do niego szacunku i podziwieniu.

— Znasz mnie? — zdziwił się chłopiec. — Skąd?

— Przecież wszyscy cię znają! To ty w drugie święto Wielkiej Nocy zwyciężyłeś u nas w Patton z Phineasem Kuną! Prawda?

— Zgadza się! — roześmiał się chłopak. Widać było, że ucieszyły go i posłyszane słowa, i dźwięczący w nich dziecinny podziw.

— Ty jesteś od młynarza Willa Rzetelnego, a nazywają cię „Knight Robin z Młyna”... — podjął pośpiesznie Bobby i nagle uzmysłowił sobie, że znane przezwisko w swym pełnym brzmieniu wcale nie jest takie zaszczytne. Umilkł wystraszony.

— „Knight Robin z Młyna herbu śrucina”! — dokończył za niego Robin i przez jego twarz przeleciał jakby cień. Zaraz jednak roześmiał się wesoło, jak przed chwilą. — Dobrze gadasz, tak właśnie mnie nazywają!

— Ale ja... ja tak nie będę! — zapewnił gorąco Bobby, mając niejasne uczucie, że jednak uraził Robina.

— A czemuż to? Mów sobie na zdrowie, tylko tak, żebym nie dosłyszał. Rozumiesz? — Robin nie przestawał się śmiać.

— Rozumiem...

— No, a teraz powiedz wreszcie, co ci się stało! Czemuś tak beczał? — zapytał „Knight”, poważniejąc.

Bobby zerknął na niego niepewnie. Wiedział z doświadczenia, że starsi chłopcy mają brzydki zwyczaj wyszydzania kłopotów i zmartwień młodszych. Ale Robin z Młyna najwidoczniej nie zamierzał drwić. Twarz miał poważną, a w brunatnozłoty oczach widniała współczucie.

— Skrzywdził cię kto? — powtórzył pytanie sprzed chwili. J Ośmielony jego życzliwym tonem i wyrazem twarzy, były psiarczyk otarł twarz rękawem i powstrzymując dławiące go znowu łzy, zaczął pośpiesznie opowiadać o swoim nieszczęściu. Śmierć Caresse przemilczał — coś go powstrzymało, może to, że istotnie czuł się winien. Za to opowiedział o gniewie pana bailiffa, o jego groźbach, o tym, że musiał uciec i teraz nie wie, co ze sobą począć...

— Czekał no! — przerwał w tym miejscu Robin. — Toś ty nie poddany z demesne?

— Nie. Tatko byli sokmanem*¹³ i ja też... — chlipnął Bobby.

— To tak jak i ja! — oświadczył „Knight”, a Bobby mimo rozżalenia poczuł nagle radość, że nie tylko mają wspólnego świętego patrona, ale i stanem są sobie równi.

— Skoroś sokman, to w takim razie nie pojmuję, o co się trapisz! Ja na twoim miejscu byłbym rad, że nie muszę służyć u tego drania! — oczy Robina zaślniły gniewnie. — Wracaj do chałupy i już!

— Kiedy ja...

Bobby znów się rozplakał. Z wielkim trudem, urywanymi słowami przedstawił swoją beznadziejną sytuację. Kiedy skończył i wtulił w podkurczone kolana zalaną łzami twarz, Robin przez chwilę wpatrywał się w niego, milcząc i skubiąc bezwiednie palcami mech.

— No cóż, rzeczywiście kiepska sprawa! — stwierdził wreszcie z westchnieniem. Zmarszczył ciemne brwi, namyślając się nad czymś. Nagle rozjaśnił się i poderwał z klęczek. — Wiesz ty co, bracie? Chodź ze mną do nas, do młyna! Wypoczniesz, ogrzejesz się, podjesz, a potem pomyślimy, co z tobą zrobić!

¹³* Sokman (ang.) — termin prawny, jakim określano wolnych chłopów, rzemieślników wiejskich, podległych opiece władz kościelnych i zobowiązanych do świadczeń na ich rzecz.

Bobby podniósł głowę i popatrzył na niego z trwożną nadzieją.

— Do młyna?.. — wyjąkał. — Ale Will pewnie będą strasznie źli!.. Przepędzą...

— Też wymyślił! Wuj tylko na oko srodzy, ale złote serce mają! Wstawaj, idziemy! — Robin, widząc że mały wciąż się waha, pochylił się nad nim z miną tajemniczą i łobuzerską równocześnie. — Nie wiem jak ty, ale ja jestem głodny, że niech ręka boska broni! A wiesz, jaką ciotka owsiankę warzą? Takiej owsianki, bracie, w życiu nie kosztowałeś. Łyżka w niej staje!

Bobby mimo woli przełknął ślinę. Robin ciągnął z entuzjazmem:

— Do tego kawał placka, a jak ciotce powiem, to dla ciebie będzie i z omastą...

Byłego psiarczyka aż w dołku zakłuło. Pamiętał jednak dobrze, jak odnosiła się macocha do wszystkich niespodziewanych amatorów jej jadła, jak rachowała każdy kęs, a potem pomstowała i wyrzekała. We dworze też wydzielano strawę wcale nie szczodrze. Innych domostw chłopiec nie znał, sądził więc, że wszędzie musi być tak samo.

— No, chodźże już wreszcie! — nalegał niecierpliwie „Knight”. — Nie chce ci się jeść?

— Chce... — szepnął Bobby i znowu przełknął ślinę. — Ale...

— Ale co?

— Jakże to, obcemu strawę dawać... Dla was nie starczy...

— Nie starczy? We młynie?... — Robin spojrzał na niego zaskoczony. Zdawało się, że znowu parsknie głośnym śmiechem, jednak nie zrobił tego. Drobne wargi zaciśnęły się gniewnie, brunatnozłote oczy, pełne wesołego zdziwienia, spochmurniały i przygasły. — Jazda, idziemy! — skomenderował tonem, którego nie sposób było nie usłuchać.

Bobby dźwignął się z trawy, wytarł pięściami oczy i podążył za chłopcem. Nie potrafił oderwać oczu od jego zgrabnej postaci, od wyprostowanych smukłych pleców i dumnie uniesionej głowy. Wszyscy ludzie, z którymi dotąd się stykał — wyjąwszy oczywiście „sir” Sheltona i widywanych na niedzielnej mszy w Holy Ghost innych jaśnie panów — chodzili przygarbieni, jakby wiecznie zatroskani i przygięci ciężarem pracy. Nawet małe dzieci. Jeden „Knight” z młyna trzymał się inaczej!

I nagle Bobby'emu przemknęła przez głowę myśl, której sam nie pojmował i nie umiałby sobie wytłumaczyć — że to złośliwe i drwiące z pozoru przymiotnik „Knight” — wcale nie jest przymiotnikiem...

TKLPR

ROZDZIAŁ TRZECI

Dwaj imiennicy i sir Sherwood

Myśl o gorącej, smacznej stawie była bardzo przyjemna. Ale o wiele miłsza — świadomość, że zaprosił na nią nie kto inny, tylko właśnie „Knight z Młyna”, którego zręczność i liczne sportowe umiejętności znane były w całej okolicy. Najmłodsi chłopcy mówili o Robinie z nabożną, czcią, rówieśnicy uważali go za swego przywódcę i słuchali we wszystkim, a całkiem dorośli młodzieńcy nie ukrywali zawistnego podziwu. Ta popularność ogromnie wzrosła od tegorocznego świątecznego kiermaszu w Patton, uświetnionego zawodami podczas których Robin z Młyna — szesnastolatek, po raz pierwszy dopuszczony do nich! — we wspaniałym stylu zremisował z uchodzącym dotąd za niezwyciężonego strzelca Phineasem Kuną z Patton! I nie tylko zremisował, ale poradził sobie potem z czterema podochoconymi piwem pattońskimi wyrostkami, którzy ów werdykt uznali za hańbę swego faworyta i całej wsi.

Z bliska wcale nie wyglądał na zabijakę. Ani tym bardziej — mimo dziwnej godności w ruchach i postawie — na zarozumialca czy pyszałka świadomego swej przewagi. Przeciwnie, wprost trudno było uwierzyć, że w chłopięcym, smukłym ciele siedzi taka zręczność i siła. A delikatne, wyraziste rysy świadczyły o dobroci i uступliwości. Budziły zaufanie, nie lęk!

Jak to w lesie, wypadało iść gęsiego — ale Bobby, maszerując za Robinem, raz po raz przysuwał się możliwie najbliżej, by przyjrzeć się dokładnie i upewnić, czy rzeczywiście nie ma w nim czegoś niezwykłego. Nie, nie było! Nawet dębowa „bonnie” nie wyglądała w jego dłoni niebezpiecznie, choć to przecież nią porachował kości czterem starszym od niego chłopakom z Patton. I nóż o rogowej rękojeści, przytroczony do paska, też był zwyczajny: iluż chłopców takie nosiło!.. A mówili, że Robin z Młyna trafia tym nożem, gdzie tylko zechce...

Parciany tobołek z tajemniczym żelastwem musiał być pewnie ciężki, bo „Knight” poprawiał go co jakiś czas. Bobby przemógł onieśmienie i zaproponował lęklawie:

— Może ja bym to poniosł?..

— Co takiego? — Robin obejrzał się przez ramię.

— Daj, ja to poniosę! — poprosił gorąco Bobby. — Lżej ci będzie iść!

„Knight” roześmiał się, aż zęby mu rozblęły.

— Mnie lżej? Nic nie niesiesz, a już zasapany! Podnoś stopy, nie włócz nimi! Nie wiesz, jak po lesie chodzić?

Zawstydzony Bobby spojrzał na niego żalostnie. Ze wszystkich sił starał się stąpać tak lekko i pewnie jak Robin, lecz w żaden sposób nie potrafił. I rzeczywiście srodze się zasapał, usiłując dotrzymać towarzyszowi kroku. Dziury w chodakach też nie ułatwiały marszu. Raz po raz z najwyższym trudem powstrzymywał okrzyk bólu, gdy

zniecka nastąpił na ostry korzeń lub zeszłoroczną szyszkę dzikiego chmielu. Za to zwinne nogi „Knighta” w podniszczonych samodziałowych pończochach i tak samo wysłużonych onucach z jagnięcych skórek, przytrzymywanych oplatającymi łydki rzemykami, zdawały się ledwie prześlizgiwać po trawie i mchu. Szedł pewnie, a przy tym ostrożnie i zręcznie jak leśne zwierzę. Pod jego chodakiem ani razu nie zatrzeszczał suchy patyk, pod dłonią nie zaszleściła odgięta w przechodzie gałązka. Aż dziw brał i zazdrość jednocześnie. I nagle Bobby'emu znów przemknęło przez głowę to samo, co w pierwszej chwili, gdy zobaczył Robina: że on naprawdę należy do zaczarowanego świata leśnych mocy!

„Knight” dostrzegł wyraz uwielbienia w oczach młodszego towarzysza i chyba domyślił się jego intencji.

— Chcesz mi pomóc? Więc nieś moją bonnie! — wręczył mu kij. — Tylko żebyś nie ciągał nią po gałęziach!

— Och, nie będę!.. — uszczęśliwiony Bobby ujął szacowną broń tak pieczołowicie, jakby to była świętość.

— Teraz będzie mi poręczniej! — Robin przerzucił zawiniątko pod drugą pachę. — To nie jest ciężkie, tylko niewygodnie nieść.

— A co to takiego? — zaciekawiał się ośmielony Bobby.

— To? Lony do trzpienia!

— A co to trzpień?

— To taki pręt, którym się żarna ściska. A lonami regulujesz, żeby kamień cieniiej albo grubiej śrutował. Pokażę ci, jak będziemy we młynie. Wczoraj nam ostatni pękł, więc musiałem lecieć do Morton's Eve, żeby wuj Jim nowych ukuli...

— I już wracasz? — zdumiał się były psiarczyk. — Przecież do Morton's Eve kawał drogi, a jeszcze tak wcześnie! Nocą szedłeś?

— Skądże znowu! Wyszedłem przed świtem. To wcale nie tak daleko, jak się zna drogę na skróty! — wyjaśnił Robin. — A śpieszyć się trzeba, bo młyn stoi. Teraz, przed „Majem”, roboty wyżej uszu. Całkiem jakby na jesieni, a nie na przednówku! Musimy dzisiaj naprawić. No, zbierajmy nogi!

Kiwnął nagle głową i znów pomaszerował przodem, a Bobby za nim, dzierżąc z nabożeństwem dębowy kij. Był bardzo dumny z tej misji, Ale nie miał czasu nawet dobrze się przyjrzeć powierzonemu skarbowi, bo Robin zgodnie z rzuconą komendą „wyciągnął nogi” — i to tak, że trudno było za nim nadążyć. Przez jakiś czas Bobby dzielnie usiłował nie zostawać zanadto w tyle, ale wprędce pojął, że nie da rady. Sapał coraz głośniej i bez przerwy ocierał rękawem spoczną twarz — a Robin oddalał się coraz bardziej...

— Ej!.. — obejrzał się nagle. — Co z tobą?

— Nic... — wymamrotał schrypniętym ze zmęczenia głosem Bobby.

— Biedaku! — Robin przystanął i popatrzył na niego z żartobliwym współczuciem. — Takie tempo nie na twoje nogi, co? Musisz odpocząć! Stąd niedaleko do Mint-Creek, przysiadzimy na chwilę.

— Mint-Creek?

— Nie znasz go? Taki potoczek, wypływa ze Shivery Marsh i wpada do Trentu. I słusznie go tak zwać, bo... sam zobaczysz!

Okazało się, że nazwa jest nad wyraz trafna. Brzegi strumyka porośnięte były gęsto dziką miętą, której mocny zapach rozchodził się daleko. Woda pachniała tak samo i miała niezwykły, cierpkawy

smak.

— Ech, teraz przydałoby się coś na ząb, prawda? — westchnął Robin, gdy zaspokoili pragnienie i wyciągnęli się obaj wśród wonnego zieleń. — Nie wiem, czemu

tak jest, ale jak tylko chwilę pobędę u sir Sherwood'a, to zjadłbym konia z kopytami. Choćbym nie wiem jak podjadł w domu! A ty?

Bobby nie odpowiedział, bo usiłował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni w życiu „podjadł nie wiem jak”. Zrezygnował jednak z tych daremnych prób i też westchnął, dla odmiany smutnie.

— Wziąłem z domu kawał placka i ser! — ciągnął Robin. — Ale nim doszedłem do Morton's Eve, to już okruszyny nie zostało. A w kuźni ciotka Susan... znasz ją?...

— Nie...

— Nie szkodzi, niewieleś stracił. To największe skapiradło... chyba w całym shire*¹⁴, jeśli nie na Wyspie! — orzekł „Knight”. — Zapytała mnie, a jakże, czy bym czego nie zjadł! A czy przyzwoity człek odpowie, że tak? Więc podziękowałem i już mowy o żadnym poczęstunku nie było. I na drogę też mi nic nie dała!

„To tak jak Betty...” — pomyślał Bobby i zrobiło mu się jeszcze smutniej. Ale w tej chwili nad ich głowami, wśród gałęzi grabu rozbrzmiał czysty, dźwięczny, wysoki ptasi trel. Robin podniósł głowę, popatrzył, uśmiechnął się — i złożony w jakiś szczególny sposób wargi, odpowiedział do złudzenia podobnym szczebiotem.

— Cik-trik-cije!..

Ptak odrzucił ten sam zew.

— Ojej, co to takiego? — wyszeptał olśniony Bobby.

— Nie wiesz? — uśmiechnął się „Knight”. — To mój imiennik, ale na ten raz tylko mój, nie nasz wspólny! Zawsze tak z nim gwarzę!

— Imiennik?..

¹⁴ * Shire (ang.) — hrabstwo, okręg hrabstwa (por. „Nottinghamshire”).

— No tak, to rudzik, zwał go też robin... O, zobacz, tam siedzi! — chłopak wskazał ostrożnie ręką. — Widzisz? Gardziołko i pierś ma takie purpurowe...

— Aha!.. Aha!.. — kiwnął gorliwie głową były psiarczyk, choć nie widział żadnego ptaka-robina ani jego purpurowego gardziołka.

— A wiesz, dlaczego ma takie? Bo kiedy Chrystus Pan konał na Golgocie, przyleciał tam taki właśnie robin i usiadł na Drzewie Męki!.. Widział, jak Zbawiciel cierpi i chciał Mu ulżyć. Począł wyciągać cierń z Jego korony, trudił się, aż sił ptaszynie brakło. A krew Pana splamiła mu piórka! Konający Chrystus Pan ujrzał to i rzekł: „Niech cię odtąd ten kolor ozdabia aż do końca świata!” No i odtąd rudziki takie są... — zakończył Robin, uśmiechając się na widok nabożnie zasłuchanej miny Bobby'ego.

— To ładne... — szepnął chłopiec.

— Co, gadka? Rudziki ładne, to i gadka o nich ładna!

— Słuchaj... zaśpiewaj jeszcze raz tak jak on! — poprosił nieśmiało Bobby.

— Po co? On już poleciał! — Robin znów spojrzał w górę, chcąc dostrzec „imiennika”, ale zamiast niego dojrzał coś, na widok czego twarz rozjaśniała mu się uśmiechem

— Patrzaj tylko! Chcemy jeść i sir Sherwood nas częstuje! Widzisz?

— Co?..

— Poczekaj!

Zanim zdumiony Bobby zdołał poruszyć się z miejsca, chłopak zerwał się na nogi i jednym ruchem narzucił na głowę samodiałowy kaptur, noszony przy każdym kaftanie jako stałe zabezpieczenie przed deszczem, chłodem, rosą i wiatrem.

— Zdałoby się leziwko, ale i tak dam radę. Poczekaj!

— Co ty robisz?

— Poczekaj! — po raz trzeci powtórzył „Knight”.

Chuchnął w garście i ku osłupieniu Bobby'ego — pomknął po grabowym pniu w górę z taką prędkością, jakby zamiast dłoni i stóp obutych w zwyczajne chodaki miał wiewiórcze łapki o długich, chwytnych pazurkach.

Bobby stał z zadartą głową i rozdziawionymi ustami, choć trudno mu było dojrzeć, co jego imiennik majstruje przy dziupli, którą zresztą były psiarczyk dopiero teraz dostrzegł. Posłyszał śmiech Robina i jego wesoły głos:

— A to sknery, niczym ciotka Susan! No już, już, przecież wam wszystkiego nie zabiorę...

To wszystko nie trwało nawet jednego pacierza. Bobby nie zdołał się jeszcze opamiętać, kiedy „Knight” ześlizgnął się z pnia i stanął przed nim. Odrzucił kaptur z głowy i rozłamał trzymaną w dłoni część plastra miodu na dwa sprawiedliwe kawałki.

— Masz! — wręczył jeden Bobby'emu. — I lepiej stąd zmiatajmy, bo mnie one nic nie zrobią, ale ciebie...

W tej chwili Bobby posłyszał koło głowy gniewne brzęczenie. Wrzasnął wniebogłosy i nie biorąc poczęstunku, na oślep rzucił się do panicznej ucieczki. Przebiegł w bród Mint-Creek, nie dbając o suchość przyodziewku i chodaków, przedzierał się przez paprocie jagodziny, aż wreszcie potknął się o coś i runął jak długi. Tam dopędził go Robin, zanosząc się ze śmiechu.

— Siedzisz jeszcze w swojej skórze? Wstawaj, fajtłapo! I nie bój się, im ani się śni ciebie gonić! Mało jeszcze mają, więc złe. No, bierzże, do licha! Miód wycieka, szkoda go!..

Bobby usiadł i rozdygotaną dłonią wziął podawany przysmak. Zanim zaczął jeść, popatrzył jak czyni to „Knight”. A czynił to bardzo zręcznie. Odgryzał małe kęsy równymi, bardzo białymi zębami, przez chwilę żuł i niedosłyszalnie wysysał słodycz,

po czym wypluwał do garści niezdatny do spożycia wosk i chował go do sakwy u paska. Bobby spróbował spożywać „poczęstunek sir Sherwood^” tak samo, ale nie bardzo mu szło. Ale niezrównany smak wonnego, lepkiego daru zaraz odpędził strach i poprawił humor.

— A ty się pszczoł nie boisz? — zagadnął, oblizując z zapalem palce.

— Czemu miałbym się bać? — zdziwił się Robin. — Mnie mucha*¹⁵ lubi, jeszcze mnie żadna nie ukąsiła... a nie, ukąsiła, będzie temu ze dwa lata! — przypomniał sobie z zaskakującą szczerością. — Ale wtedy siadłem na nią, więc było jej prawo! Nie, nie pokąsają. Wiedzą, że im zostawię, ile trza!

— Skoro się nie boisz, to czemuś wdziewał kaptur? — trochę nieufnie spytał Bobby, ośmielony smakiem miodu.

— A co, miały mi we włosy powłazić? I dla nich byłby kłopot, i dla mnie! — Robin przegarnął dłonią włosy, rzeczywiście bujne i gęste, i tak długie, że sięgały poniżej ramion. To przegarnięcie nie przydało grzywie ład, ale i nie odjęło jej niewytłumaczalnego, leśnego uroku. — Muszę ciotkę poprosić, żeby mi je przed „Majem” przystrzygła, bo już niewygodnie z takimi. Zwłaszcza w lesie...

— A Zielona Noc? — zagadnął Bobby, bardziej po to, aby się popisać znajomością rzeczy.

— Jaka Zielona Noc? — oburzył się Robin. — Na Zieloną Noc to mnie już przeszłego roku ostrzygli!

Bobby'emu zrobiło się bardzo niemiło. Obraził „Knighta”, swojego wspomożyciela i dobroczyńcę! Żeby czym prędzej to naprawić, rzekł z niekłamanym podziwem:

— Ale jak ty po drzewach łazisz!..

¹⁵ *Określenie pszczoły w żargonie pszczelarzy lub leśników.

— Jak? Całkiem zwyczajnie! Czekaj no, czemu ty się tak wszystkiemu dziwujesz i o wszystko pytasz? — zorientował się nagle Robin. — Gadałeś, żeś z Patton! W Patton żyjesz, a tak lasu nie znasz?

— Teraz mieszkam w Patton... ale ja nie jestem stąd! — wyjaśnił cicho Bobby z taką miną, jakby się tłumaczył z ciężkiej winy.

— A skąd jesteś? Gdzieś się rodził?

— W Deirwold... To jest daleko, w Yorkshire...

— Aha, toś „wrzosowy”, nie puszczański! — Robin ku zdumieniu Bobby'ego wyrzekł to nie z drwiną, lecz najwyraźniej ze zrozumieniem. — No cóż, Wyspa wielka, wszędzie ludzie muszą żyć! Ale to ci powiem, bracie: warto się za siebie wziąć! Nie wolno być „pętakiem”, rozumiesz?

Bobby przełknął ślinę, co nie przyszło mu łatwo, bo gardło znów ścisnęło mu się boleśnie. Przewisko „ninny”, czyli „pętak” — w języku sherwoodzkiej młodzieży uchodziło za najgorszą, najbardziej uwłaczającą obelgę. A on już tyle razy ją słyszał...

— Ja bym chciał, ale... — wyszeptał z trudem i urwał.

— E tam! Przede wszystkim trza nie chcieć być „pętakiem”! — stwierdził autorytatywnie Robin. — Jak tego nie chcesz, to już wszystko samo idzie. Myślisz, że ja zaraz i tak sam z siebie wszystko umiał?

— A nie umiałeś? — zachłysnął się Bobby.

— No pewnie, że nie! Też był ze mnie „pętak”, aż wspominać przykro. Dopiero kiedy nasz Jake-Niemowa do młyna nastął, tom się przy nim nauczył. A ćwiczyć ciągle trzeba!

— I ja też... też bym się nauczył?

— Ma się wiedzieć! A na samym początku to się naucz po drzewach łązić. Bez tego ani rusz!

— A dlaczego?

— Bo przez to i siły nabierasz, i zręczny się robisz. No i przecież musi być w domu miód i воск! A w tym roku będzie urodzaj na galas. Ojciec Austin będą radzi... przynajmniej temu jednemu! — dorzucił z odcieniem rozgoryczenia czy buntu w głosie.

— A co to galas?

— I tego nie wiesz?.. Rety, kiedyście z tego... Deirwold, czy jak mu tam, do Patton przybyli?

— Trzy lata temu...

— I tyś się przez trzy lata nie zdążył dowiedzieć, co to galas?.. — Robin pokręcił głową, zdumiony widać tak bezgraniczną niewiedzą, ale nawet teraz nie miał zamiaru drwić. — To na liściach dębu rośnie. A ojcowie w Holy Ghost robią z tego... dobrze nie pamiętam, jak to się zwie, ale tym się pisze. Jesienią zawsze ojcu Austinowi zbieram, żeby, jak do młyna przyjdą... Ojej, dość już tej gawędki! — połapał się nagle. — Nie możemy tyle czasu mitrzyć, bo przecież młyn stoi! Wuj mnie zburczą, żem tak długo nie wracał, gotowi i pasem przełoić. Chodź!

Wytarł o kaftan dłoń, ale uznawszy, że to nie dość, opluskał ręce w potoku, zmywając lepka słodycz. Bobby bez namysłu uczynił to samo. Było to może dziwne, ale rozmowa z Robinem, a zwłaszcza ostatnia, rzucona niby żartem, lecz przecież świadcząca o lęku uwaga — sprawiły, że były psiarczyk przestał widzieć w starszym koledze jakąś nadludzką, czarodziejską istotę. Podziw został, lecz był to już podziw dla dzielnego, dobrego i zręcznego chłopaka z krwi i kości, któremu nie wstyd było się przyznać, że kiedyś nazywano go „pętakiem” i że boi się jeszcze dziś, mimo całej swej odwagi — wujowego pasa!

Ruszyli w dalszą drogę, ale teraz „Knight” polecił Bobby'emu iść przed sobą, trzymając się brzegu potoczka. Wyjaśnił, że w ten sposób dojdą do Trentu i do młyna. Bobby domyślił się, że Robinowi idzie też o coś innego — o to, byzczędzić nóg młodszego towarzysza, ograniczając prędkość własnych. Poczł ogromną wdzięczność, ale oczywiście nie śmiałby jej wyrazić.

Pewnie też po to, by droga szybciej mijała, „Knight” nie przestawał pogadywać o tym i owym. Najpierw wypytywał o dom i rodzinę Bobby'ego, ale widać domyślił się w lot, że nie jest to dla byłego psiarczyka przyjemny temat. Więc zamiast tego sam zaczął opowiadać różne ciekawe rzeczy o lesie.

— O, widzisz ten krzesłowaty dąb? — wskazał w pewnej chwili wiekowego olbrzyma, rosnącego pośrodku niewielkiej polanki, którą właśnie przemierzali. — Niedawno widziałem na nim rysia! Pewnie ma tu dziuplę, zbój!

— Rysia?! — przeraził się Bobby.

— Nie bój się, nawet jeśli teraz tam siedzi, to śpi jak zabity. Ryś dopiero po zachodzie zaczyna polowanie! — uspokoił go Robin.

— A na co on poluje?

— Na co mu się zdarzy. Sarny, jak do wodopoju idą, to dla tego zbója najmilszy łup...

— A człowieka... też mógłby upolować?

— Upolować to tam nie, ale napaść! Tylko że musi być do imentu wygłodniały, tak że już swędu ludzkiego nie czuje. Albo zły! Na przykład kiedy go od razu nie ubijesz, tylko zranisz! — Robin musiał wejść w tej pogwarce na jakiś szczególnie miły temat, bo aż mu się głos ożywił. — Naszemu Jakowi raz rysica do oczu skoczyła, kiedy ją niechcący kiksem drasnął! Ale ja miałem strzałę nałożoną i nie zdążyła. Prościutko w oko trafiłem!...

— A dawno to było?

— O, dawno już! Chyba mi było ze dwanaście lat...

— Och!.. — Bobby aż zatrzymał się, obejrzał i popatrzył na towarzysza z bezbrzeżnym zachwytem. Miał wtedy tyle lat, co on teraz, a już był taki!.. W tej chwili „Knight” objawił mu się jako ten prawdziwy, właściwy, słynny „Knight”, jakiego zapamiętał z wielkanocnych zawodów: stojącego wśród innych strzelców na linii, z łukiem w dłoniach i parcianym kołczanem u boku, z niezwykle skupioną twarzą i oczyma spoglądającymi bystro i pewnie ku tarczy spod ciemnordzawej, rozwichrzonej grzywki.

— Cóżes się tak zagapił? Idźże, idź! — Robin popchnął go lekko do przodu.

Bobby'emu zrobiło się wstyd tego niemęskiego zachwytu, więc żeby go ukryć, zagadnął byle coś rzec:

— A ten ryś? Jaki jest?

— Jak to, jaki? Ryś, samiec! Wielki, bestia, i aż siwy ze starości..

— Ubijesz go też?

„Knight” odpowiedział tym razem milczeniem. Bobby obejrzał się znowu i zobaczył, że twarz jego towarzysza przybrała dziwny wyraz — jakby rozżalenia i buntu. Nie wiedział, czemu to przypisać. Więc żeby znowu coś rzec, a przy tym pokazać, że sprawy lasu nie są mu tak bardzo obce, rzekł z pośpiechem:

— Ale jak na niego pójdziesz, to uważaj na woodguardów, bo...

— Dobrze, dobrze! — przerwał z nieoczekiwaną opryskliwością, wręcz gwałtownie Robin. — Daj pokój woodguardom, a drogi patrzaj! Możesz znowu ziemię nosem pozdrowić!

Bobby nie miał pojęcia, co tak nagle „Knighta” rozgniewało. Może ta uwaga o woodguardach? Też miał się z czym wyrwać! Przecież taki Robin z Młyna sam najlepiej wie, jak się przed nimi strzec!

Markotnie ruszył dalej. Wtem usłyszał ciche syknięcie i obejrzał się, zaciękawiony. Zobaczył Robina, przykucniętego i uważnie wpatzonego w ziemię. Nagle wyprostował się, gestem wezwał towarzysza i szybko, ostrożnie podążył ku rosnącemu w odległości może pięciu jardów jesionowi. Zdumiony Bobby ruszył jego śladem, usiłując dorównać chłopakowi w lekkości i cichości kroków. Robin, kładąc palec na ustach, bezszelestnie odchylił zwoje dzikiego bluszczu, zawieszającego się jak zielona zasłona z gałęzi, i bez słowa wskazał oczyma.

Bobby'ego aż zatkało z zachwytu. Wśród trawy, mchu i zeszlórocznych zbutwiałych liści leżało kilkudniowe cielątko sarnie. Podniosło łebek i spojrzało na chłopców ogromnymi, smutnymi oczyma. Nie poruszyło się, tylko po płoworudej, nakrapianej sukience przebiegło leciutkie drżenie.

Bobby po raz pierwszy widział sarnię z tak bliska. Porwała go szalona ochota, by wziąć maleństwo na ręce i przytulić. Już chciał przypaść do niego, gdy Robin gwałtownym szarpnięciem za kaftan osadził go w miejscu.

— Co ty, zgłupiałeś? — szepnął oburzony. — Nie wolno ruszać!.. Dotkniesz cielaka, to matka już się do niego nie zbliży! Zginie z głodu!

Starannie osłonił na powrót zwierzątko i pociągnął Bobby'ego ku strumykowi. Były psiarczyk, już po raz nie wiadomo który zmiażdżony swym leśnym profaństwem, dopiero po długiej chwili odważył się zapytać:

— To sarny tak zostawiają małe? Same?..

— A co mają czynić? Przecież sarna musi się pożywić. Pasie się gdzieś w lesie, a małe czeka.

— Ale... przecież może mu się coś złego stać...

— Pewnie, że może. Lis je wyczuje, ryś albo wilk... No i sarnie też się przecież może coś przygodzić, nie zawsze do małego wróci!

— Biedne... — westchnął ze zgrozą i współczuciem Bobby.

— Takie prawa sir Sherwooda. Twarde! Choć kto wie, czy od ludzkich nie łaskawsze...

Robin wyrzekł to z powagą dziwną dla jego wieku. Bobby zastanowił się na chwilę — i w duchu przyznał mu rację.

— Ale o tego cielaka się nie trap! — „Knight” chciał widocznie pocieszyć towarzysza. — Dobrze ukryty! Wyrośnie na tęgiego byka, który byle zwierzowi z drogi nie zejdzie. Żeby go tak napotkać za jakie pięć lat...

Urwał nagle. Bobby obejrzał się i zobaczył, że twarz Robina przybrała taki sam zrozpaczony i pełen buntu wyraz, jak przed chwilą.

— Co ci jest?...

— Idź, idź! — popędził go „Knight”. — Do wieczora we młynie nie staniemy!

Bobby nie ośmielił się pytać o nic więcej. Posłusznie podreptał dalej.

Idący za nim Robin usiłował się opanować. Bo w istocie miał powód do rozgoryczenia i gniewu. Ogarniały go, gdy uświadamiał sobie własny smutny los. A teraz wypadło mu uświadomić go sobie dwukrotnie: najpierw gdy była mowa o tym rysiu, teraz znowu — sarnię, przyszły rogacz! Przez nie musiał znów uprzytomnić sobie, że łowy — już nie dla niego, Robina!

Wszystkiemu winiem Simon Puchacz z Mirfield! Wprawdzie nie godziło się źle wspominać zmarłych, i to zmarłych tak okropną śmiercią — ale łowiecka dusza „Kni-

gha" aż się wzdygała na podobną lekkomyślność. Żeby dać się złapać woodguardom na gorącym uczynku! I to kto — nie żaden pętał, lecz doświadczony myśliwy, Simon!

A właśnie z początkiem tego roku ogłoszono nowe prawo przeciwko tępicielom zwierzyny w królewskich lasach. Zgodnie z wolą księcia regenta Jana należało odtąd ich karać już nie doraźnym sądem i wyrokiem, lecz na miejscu przestępstwa. A kara była straszna! Za zabicie jelenia lub rogacza (żaden uczciwy łowca nie strzeliłby przecież do sarny czy łani, Haernonnos nigdy by tego nie wybaczył!) sprawca miał płacić nie, jak dotąd, palcami prawej dłoni, lecz całą prawą dłonią... i na dodatek... oczami!.. I Simon tak właśnie zapłacił.

Właściwie zaś — zapłacił życiem, bo w kilka dni później zmarł. Pewnie to i lepiej dla niego. Zostałby chyba żebrakiem w Holy Ghost ten wspaniały łowca, znający Sherwood jak własną sakwę...

Nieszczęście Simona przejęło zgrozą wszystkie puszczańskie osady. A kiedy wieść dotarła do młyna, wuj Will aż poszarzał na twarzy.

— Jeżeli jeszcze raz spróbujesz... — wyszeptał ochryple do Robina.

Wuj zawsze wzbraniał łowów, zawsze się bali i zawsze się bardzo gniewali, kiedy Robin niepomny składanych obietnic czmychał z łukiem w gościnę do sir Sherwooda, nieraz na długo. Po prostu musiał iść! Musiał — choć wiedział, że trzeba to będzie przykro i boleśnie odpokutować. Miał wprawdzie sprzymierzeńca w Jake'u, zwłaszcza gdy zdobycz bywała warta ryzyka, ale Jake nie zawsze umiał skutecznie uśmierzyć wujową złość. I najczęściej bywało tak, że za to, czym sir Sherwood i łaska Haernonna obdarzyły — Robin płacił z zaciśniętymi zębami, przełożony przez wujowe kolano i całkowicie Przeświadczony, że tak właśnie powinno być.

Wieść o Simonie omal nie przyprawiła wuja Willa o chorobę. Zabronił łowów tak surowo i bezwzględnie, jak nigdy dotąd.

„Knight” próbował przekonywać, że on — to nie Puchacz i że nie ma na świecie woodguarda, który by zdołał zaskoczyć go i złapać. Jednak był to daremny trud, bo wuj nawet słuchać nie chcieli.

— Niech cię ręka boska broni! — ostrzegli groźnie, kończąc tym sprawę. Nie mieli bowiem zwyczaju mówić zbyt wiele.

Jake też się bardzo przeląkł straszną nowiną i ku jeszcze większemu rozżaleniu Robina stanowczo dał do zrozumienia, że podziela zdanie chleבודawcy.

Pozostawały więc chyba — polowania w najgłębszej tajemnicy. Ale czy można polować w sekrecie? I jakąż z takich łowów przyjemność, skoro nie można przynieść do domu tego, co Haernonnos zdarzył, pochwalić się zdobyczą, opowiedzieć o szlaku? Czy w takiej sytuacji w ogóle się opłaca tropienie, podchodzenie, podwabianie, najcelniejszy strzał?..

Więc stało się to, co było do przewidzenia! Robin zapomniał o zakazie i przestrodze. Chociaż tak naprawdę, to myślał, że nędznego szpicaka*¹⁶, w dodatku jeszcze myłka*¹⁷, wuj nie poczytają za przestępstwo. Po co takie niewydarzone stworzenie po puszczy łązi, Haernonnowi wstyd przynosi? Ustrzelić je — to nie żadna przyjemność ani sukces, lecz zwykły mus łowiecki! A w dodatku głupie bydlę stanęło prościutko do strzału na komorę! Przecież nawet święty by w takiej chwili nie zdzierzył!

Dokładnie takich samych słów użył wuj Will, kiedy „Knight” zjawił się w domu obarczony sfelerowanym szpicakiem. Tylko że słowa dotyczyły nie feleru, głupoty i nieostrożności jelonka, lecz — nieposłuszeństwa Robina.

No i co? Strach po prostu wspominać! Wśród łowieckich triumfów „Knighta” zdarzały się naprawdę okazałe sztuki i gniew wuja Willa bywał odpowiedni do nich,

16 Szpicak — młody jelonek lub sarna — rogacz z ledwie wyrastającymi rogami.

17 Mylek — jeleń lub rogacz z nieprawidłowo ukształtowanym porożem.

ale jeszcze nigdy w życiu Robin nie dostał takich cięgów, jak za tego głupiego szpicaka, myłka z rogiem wykrzywionym niczym hak przy stawidłach. Nawet za dwunastaka*¹⁸, największą swoją zdobycz, nie oberwał równie mocno. Miało to miejsce u schyłku zimy, a dziś jeszcze ciarki przechodziły na samo wspomnienie!

Zresztą mniejsza o lanie. I gorsze dałoby się wytrzymać. Robin bez wahania zgodziłby się na umowę: lanie za każde łowy — byle tylko móc na łowy chodzić! Tylko że po tym szpicaku naprawdę już nie mógł! Bo wuj Will nie poprzestali, jak zwykle, na wyłojeniu skóry. Zapiął pas i odczekawszy, aż „Knight” trochę się opamięta — kazali mu uklęknąć i przysiąc (największą przysięgą, na Najświętszą Krew Zbawiciela!), że nie strzeli już ani do jelenia, ani do rogacza, ani do żadnej zakazanej prawem sztuki. Że nie uczyni tego, dopóki będzie pod ojcowską opieką i władzą wuja Willa...

Sroga i bolesna kara nie przeraziła chłopca tak, jak to żądanie. Ale w wujowym głosie tyle było trwogi i tyle rozpacz, że powstrzymując ze wszystkich sił łzy — przysiągł. A teraz musiał tej przysięgi dotrzymać. Musiał — choćby mu serce miało pęknąć z żalu i tęsknoty!

O tej porze roku umartwienie nie doskwierało tak bardzo. W puszczy trwał czas wiosennego wykotu i wodzenia młodych, zaś teraz, przed „Majem” — okres szczególnej opieki Haernonna nad zwierzyną. Nawet najgłupszy, najmarniejszy łowca-pęta, nawet znana szeroko ze swej podłości para łobuzów-kłusowników: niejaki Krzywy Matt i jego nieodłączny kompan, Bif rodem z Walii — i oni chyba nie odważyliby się łamać świętego, odwiecznego zakazu! Nie chronił on tylko nędznych zajęcy, których zawsze bywało za wiele i które od przedwiośnia miały czas podrosnąć. Do zajęcy i królików woodguardowie pozwalali strzelać, dopóki nowe prawo o łukach nie wyszło, ale właśnie dlatego żaden szanujący się łowca tego nie czynił! Robin, świa-

18 Dwunastak — dorosły jelen lub rogacz z sześcioma odrostkami na każdym rogu.

domy swej strzeleckiej sławy i myśliwskich umiejętności, myślał o zającach z najgłębszą pogardą i już od Bóg wie kiedy nie marnował na nie czasu, oka ani strzał.

Więc teraz można wyrzeczenie znieść, ale co będzie — jesienią, gdy we włościach sir Sherwooda nastąpi wspaniały „łojny czas“?

Kiedy zaczną krążyć w lśniących sukniach dziesiątka i dwunastka, a w Shivery Marsh będą się taplać utuczone na żołądźkach dziki! Kiedy rysie, rosomaki i lisy porosną pięknym zimowym futrem? Serce pięknie, szkoda gadać...

Przeraźliwy wrzask Bobby'ego przerwał nagle te posepne myśli. Były psiarczyk podskoczył śmiesznie, zatoczył się i rymnął jak długi, omal nie podcinając i „Knightowi“ nóg.

— Żmija?.. — chłopak w przerażeniu przypadł do niego.

— Nogaaa! — darł się Bobby, szarpiąc się i łkając. — Boli!..

Robin spojrział i aż mu oddech zaparło z oburzenia i wstrętu.

Wokół chudej łydki zaciskała się żelazna obręcz, przemyślnie umocowana drutem do pobliskiego pnia. Łaska boska, że dzieciak miał nogi jak patyki i że pończochy oraz onuce stanowiły pewną dla nich ochronę, bo inaczej potrzask zgruchotałby mu kość!

Energicznym szarpnięciem rozwarł paszczę pułapki i uwolnił towarzysza. Bobby usiadł, drżąc i wciąż skowycząc jak ranny psiak.

— Bardzo boli? — Robin niespokojnie obmacał uwolnioną nogę-

— Uhu... — wyszlochał mały.

— Poruszaj no stopą! Jeszcze!.. Potrafisz?.. Chwała Bogu! — odetchnął „Knight“. — Trochę cię przytłamsiło, ale kość widzi się cała. Cóżes ty taki pechowy? Złe koło przeszedłeś albo co?.. Tfu, na psa urok! Zamocz w strumieniu, bo opuchnie!

Bobby, łkając, zastosował się do jego polecenia. A Robin z nienawiścią przeciął nożem drut, wyrwał potrzask i obejrzał go dokładnie. Pociągnął nosem, spojrzał — no tak, i zajęcze ścierwo położono nieopodal na przynętę! Splunąwszy z obrzydzenia, cisnął paść w wodę.

— To na lisa! — oświadczył z gniewem. — Pewnie komuś żółci na lek potrzeba, bo przecież teraz futro na nic. Założę się, że to Matt i ten podły Walijec. Dranie przekłete! Już dawno powinni w lochu gnić. Podłe zbóje, łotry!

Złość Robina była tak gwałtowna i szczera, że Bobby zawstydził się swego mągajstwa. Spojrzał na chłopaka z obawą i skruchą.

— Co ty... przecież nic wielkiego się nie stało!.. Już tak mnie nie boli... — wyjąkał, starając się włożyć w te słowa jak najwięcej przekonania.

— Chwała Bogu! — głos „Knighta” trochę złagodniał. — A gdyby to był lis?

— Lis?.. — Bobby rozdziawił usta ze zdumienia.

— No właśnie! Gdyby lis się złapał, nie ty, i gdyby nikt go nie uwolnił?..

Były psiarczyk zdumiał się jeszcze bardziej. Jak to? Więc ten dobry, szlachetny „Knight” bardziej jest czuły na krzywdę bezrozumnego zwierzęcia niż na ludzką?

— Przecież... przecież lisy się łowi, nie? — wykrztusił niepewnie. — Ty sam chyba też...

— Ja?! Nigdy w życiu nie łowiłem na potrzask i nie będę! — Robin zarumienił się z oburzenia. — Tylko ostatnie plugawce mogą tak sir Sherwooda znieważać! To niegodziwe przecież! Nie znasz przykazań Haernonna? „Trop tak, abyś doszedł, podejź tak, byś zaskoczył, mierz tak, abyś trafił, zabij tak, byś najmniej bólu zadał!” — wyrecytował z taką powagą, jakby odmawiał pacierz, a jego wielkie oczy uczyniły się zupełnie złociste. — Kto na potrzask łowi, ten jest opryszkiem! Wiesz, jak cierpi wte-

dy zwierzyna?.. Pewnie, że wiesz! — zorientował się i parsknął śmiechem. — Sam nią dopiero co byłeś! Moment trwało, a wrzeszczałeś jakby cię ze skóry darli...

Bobby zmieszał się do reszty i uznał, że lepiej będzie nic nie mówić.

— A taki biedny lis czasem i kilka dni w mękach kona! — dorzucił ponuro Robin. — Niech no kiedy przyłapię tych łajdaków, jak zakładają! Na takich to woodguardów nie ma... — zgrzytnął zębami i wrócił do rzeczywistości. — Pokaż tę nogę, lisie nieszczęsny! Dasz radę iść?

Sprawa wyglądała jednak dość niewesoło. Mimo moczenia w potoku noga wyraźnie opuchła. Bobby próbował jednak nadrabiać miną. Zuchowato postąpił ze trzy kroki, ale skrzywił się, jęknął i dalej już tylko z trudem pokuśtykał.

— Kiepsko! — stwierdził chmurnie Robin, kręcąc głową. — Widać, bracie, żeś naprawdę pechowy...

— Mogę iść!.. Będę się twoją bonnie podpierał i jakoś pójde!.. — Wykrzyknął z trwogą Bobby, któremu przyszło do głowy, że dzielny „Knight”, nie chcąc mieć nic wspólnego z takim jak on pechowcem, zostawi go i pójdzie swoją drogą.

— A pewnie, że jakoś! — zgodził się Robin. — Tylko że teraz będziesz musiał i to dźwigać, tak jak chciałeś. Bierz! — wręczył chłopcu brzęczący tobolek i przyklęknął, nadstawiając plecy. — Wskakuj!

— Co ty...

— Wskakuj, mówię ci!

— Przecież... chyba nie myślisz mnie nieść!

— A niby dlaczego? Nie dam rady? — „Knight” kpiąco spojrział na niego przez ramię. — Cięższyś niż worek owsa? Przecież ja z młyna, cudaku! No, włąźże, kiedy ci mówię!

Głos chłopca brzmiał tak rozkazująco, że Bobby nie opierał się dłużej. Ulokował się na plecach towarzysza i całą uwagę poświęcił temu, by zawiniątko z żelastwem i dębowa bonnie jak najmniej przeszkadzały Robinowi w marszu.

— Wyjdziemy na gościniec, stąd niedaleko do niego! — postanowił Robin. — Nie lubię gościniecem chodzić, ale z jeźdźcem na grzbiecie będzie lepiej. Przy twoim szczęściu mogła by ci jaka gałąź nos na dokładkę rozbić!

Bobby milczał, zgnębiony do cna. Pewnie „Knight” miał rację. Widocznie nieświadomie przestąpił gdzieś „złe koło”, czarodziejski krąg wytańczony przez złe leśne boginki. Jak się taki krąg przejdzie, to końca kłopotom nie ma...

— A ty... nigdy nie masz pecha? — zagadnął cichutko i nie bez szacunku, bo tak blisko była ta dumnie osadzona, chłopięca głowa o brązowordzawych, osypanych gwiazdkami kalinowego kwiatu włosach. Tak mocne i sprężyste wydawały się młode barki.

— Jak to nie!? Każdemu się to zdarza! — stwierdził Robin.

— I tobie też?

— A cóż to, czym ja lepszy od innych?

„Pewnie, że tak!..” — pomyślał Bobby, ale nie wyrzekł tego na głos. Zamiast tego wykrztusił z żalem:

— Ale przecież ci lepiej na świecie niż mnie! Bo mnie, odkąd mama pomarli... a potem tatko... — urwał w obawie, że znów wybuchnie płaczem.

— Ja też nie mam rodziców. Tak jak ty! — rzekł spokojnie Robin.

— Też pomarli? Oboje?

— Pomarli.

— Dawno?.. — dopytywał się Bobby, bo tak zazwyczaj bywa, że własna niedola próbuje krzepić się cudzą.

— Bardzo dawno. Byłem jeszcze w pieluchach, kiedy wuj mnie za swego wzięli. Nie pamiętam ani matki, ani ojca.

— I tak... razem pomarli?

— Wuj mówili mi, że na zarazę, najpierw ojciec, a matka zaraz po nim. Czekaj no, „Wrzosiak”, poprawię się trochę! — Robin, nieco zadyszany, usadowił sobie chłopca poręczniej na plecach. — Patrzcie, takiś niby chudy, ale swoją wagę masz! — roześmiał się.

— No, to żelastwo i bonnie też ma! — ujął się za sobą zawstydzony Bobby.

— Niby racja! Widzisz, drzewa rzedną, zaraz na gościniec wyjdziemy. Nie wierć się tak, niech mi się zdaje, że dziesiątaka niosę! — Robin westchnął markotnie, ale zaraz dodał kpiąco: — Ważyłby pewnie akurat tyle co ty... z tym żelastwem!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Saskie wilczęta

Włości „sir Sherwooda” potrafiły być bardzo groźne dla tych, którzy nie wyrosli i nie wychowali się w puszczy, nie zżyli się z nią od kołyski, nie znali jej sekretów. „Knight Robin z Młyna” mimo młodocianego wieku posiadał niemal wszystkie jej tajemnice i pewnie dlatego nie lubił chodzić uczęszczanymi traktami, zwłaszcza zaś gościńcem prowadzącym z Mansfield do Nottingham. O wiele ciekawsze były dla niego wędrówki nieznanymi szlakami, kiedy kierunek mógł wskazywać tylko własny zmysł orientacji, bieg napotykaných strumyków, mech obrastający pnie drzew, dziwacznie powyginane szczeliny kory, niezwykle jak pradawne znaki-runy¹⁹, widoczne na znajdujących czasem skamielinach drzewnych. To były drogi godne prawdziwego człowieka puszczy!

Choć, Bogiem a prawdą, ani żaden uczęszczany leśny trakt, ani nawet sam gościńiec też nie były wygodne ani bezpieczne. Raz po raz rozwidlały się, skręcały w gęstwinę, straszyły zielonym mrokiem. Niedoświadczone nogi łatwo mogły podążyć w którąś z licznych bocznych ścieżek, na pierwszy rzut oka niewinnych i dogodnych — a w rzeczywistości prowadzących w gąszcze i moczary, w takie bezdroża, że odnalezienie powrotnej drogi do gościńca było wręcz niemożliwością.

Sam gościńiec też mógł budzić trwogę. Zarastały go trawa i krzewy, miejscami porozmywała woda z gęsto przepływających przez puszcę strumieni i potoczków. I pieszo, i konno, a już nade wszystko — wozem, zwłaszcza ciężkim, trudno było go

¹⁹ *Runy — pismo runiczne — znaki, jakimi posługiwali się w formie pisma starożytni Celtowie, Germanie i ludy skandynawskie.

przemierzać. Tak, podróż przez puszcę wymagała nie byle jakiej odwagi! Nie darmo stare saskie porzekadło pouczało:

Sir Sherwood to pan znany z gościnności,

Nie wypuszcza chętnie, gdy kogo ugości!

co oczywiście można było rozmaicie tłumaczyć. Dla „pętałów”, niedołęgów, tchórzów brzmiało to jak ostrzeżenie przed leśnymi przykrymi niespodziankami i niebezpieczeństwami czyhającymi w puszczańskim gąszczu. Ale dla leśnych zuchów, śmiałków i zamiłowanych wyznawców Haernonna — było wręcz zaproszeniem! Robin mógłby wiele powiedzieć na ten temat, gdyż jego dawniejsze — przed złożoną przysięgą — wyprawy w gościnę do sir Sherwooda trwały czasami tydzień albo nawet dłużej...

Idąc gościńcem do młyna, trzeba było nałożyć spory kawałek drogi, gdyż Trent umykał od niego głębokim zakolem w puszcę i dopiero koło traktu wiodącego na wzgórzu Holy Ghost wypływał z leśnych głębin, pluszcząc wesoło wśród zarośli. Od tego traktu blisko już było do królestwa wuja Willa. Wystarczyło przebiec ze dwa pacierze nadrzeczną ścieżynką, a turkotanie koła słyszało się z daleka.

Ale i przy takim nakładzie drogi Robin przebyłby ją z właściwą swoim nogom chyżością. Przebyłby — gdyby był sam i nie obciążony nieborakiem, z którym sir Sherwood obszedł się tak surowo. A dźwigać niedorostka, choćby i chudego — to nie to samo, co taszczyć upolowanego dziesiątaka! Nożyska majtają, spiczaste kolana wbijają się w boki. Przy dziesiątaku pewnie też i radość dodaje sił...

— Uff!.. — sapnął wreszcie Robin, strząsając z nosa kroplę potu. Trudno i darmo, muszę odrobinę spocząć. O, tu sobie usiądziemy! — wskazał przydrożny wzgórek, na którym rosło kilka młodych olch.

Podczas gdy „Knight” ocierał pot z twarzy i chłodził się, powiewając rozpięciem kaftana, Bobby przyglądał mu się wzrokiem pełnym współczucia i winy.

— Za ciężki jestem! — westchnął żałośnie. — Może lepiej już sam pójdę?..

— Nie pleć! — ofuknął go Robin. — Chcesz sobie nogę do imentu popsuć? I do północks byśmy wtedy we młynie nie stanęli. Wolę już z utrudzenia paść, niż z głodu!

Żartował oczywiście, ale w Bobbym wzmogło to poczucie winy. Westchnął ponownie i zwiesił głowę.

— Patrz! — „Knight” trącił go w bok. — Znowu wisi!

— Co?

— A tam, na tym dębie, widzisz? Krzyżyk, taki niewielki...

— Aha, jest! — Bobby wyteżył wzrok w kierunku, wskazywanym palcem Robina. — Krzyżyk!.. Po co on tam?

— Bo tutaj właśnie ranwersy*²⁰ szeryfa ujęły rannego sir Twice'a The! — wyjaśnił Robin, zniżając głos do szeptu. — Do dziś więżą go w lochu. Więc ten krzyżyk po to tu jest, żeby każdy dobry chrześcijanin i Sas zmówił pacierz za sir Twice'a! Żeby mu Pan Bóg wolność wrócił!

Wyrzekłszy to, uklęknął, przeżegnał się i trwał tak długą chwilę z pochyloną głową i złożonymi rękami, szepcząc coś bezgłośnie. Bobby bez namysłu poszedł w jego ślady, nie zważając na ból nogi. Imię sir Twice'a The nie było mu obce, choć prawdę mówiąc, wiedział o nim niezbyt wiele. W domu, nawet za życia ojca, nie mówiło się na takie tematy. We dworze gadano jeszcze mniej. Czasem ktoś coś napomknął, ktoś zanucił parę słów śpiewki o sławnym ongiś fugitivie — ot, choćby te: „Omdlewa z trwogi każdy wróg, kiedy posłuszy Twice'a róg...” — ale zaraz milkł przerażony...

^{20*} Ranger (ang.) — strażnik, żołnierz, żandarm w służbie szeryfa w Anglii średniowiecznej.

Pacierz należało jednak zmówić. Oczywiście! Smutne to, że ktoś w lochu siedzi — i w dodatku taki dzielny człek, szlachcic!

— A kiedy go uwięziono? — zapytał, gdy skończyli modlitwę i siedli na powrót.

— Będzie już ze sześć lat. W Lincoln go rozpoznano i osaczono, ale wyrwał się i zdołał ujsć aż do tego miejsca! — objaśnił Robin. — Był ranny, nie mógł dalej uciekać. A sir Monte z Nottingham już wiedział o nim i nakazał obławę... i tu go ujęli...

Zacisnął zęby, a w brunatnozłotyach oczach zamigotał zły błysk.

— Och, żeby to dziś było! I żebym był z nim!..

— Obroniłbyś go? — Bobby spojrzał na niego z zachwytem.

— Nie wiem, ale broniłbym, póki życia! I niejednego z tych szeryfbwskich diabłów do piekła bym posłał! — gwałtownie rzekł

' „Knight”.

— Pewnie, że posłałbyś! — przytaknął Bobby, dla którego rozumiało się to samo przez się. Patrzył w starszego kolegę jak w tęczę.

— Tak, ale dziś to tylko takie gdybanie! — Robin ochłonął z zawziętości. — A ten krzyżyk ciągle woodguardy zdejmują i ciągle ktoś nowy zawiesza! Pozawczoraj go nie było, a dziś jest. Mówią, że Artur „Pilnuj-Lasu” ma od sir Monte'a specjalnie nakazane, żeby krzyżyka nie było! I tak w kółko, od pięciu lat: co woodguardy zdejmą, to znów ktoś powiesi. Ludzie pamiętają...

— A kto zawiesza?

— Bo ja wiem, kto? Dużo zacnych ludzi życzy sir Twice'owi wolności!

— A ty... zawiesiłeś kiedy? Pewnie tak! Powiedz!

— Nadtoś ciekawy, bratku! — stwierdził Robin, ale przez jego twarz przemknął przy tych słowach łobuzerski uśmieszek. — No, zbierajmy się już, bo jak krzyżyk wi-
si, to Arturowa kompania gotowa się tu zjawić. Źle by z nami było, gdyby nas właśnie
przy nim zdybali! Zresztą czy przy nim, czy nie przy nim, tego zielonego drania wca-
lem nie ciekaw. No, jazda, włącz! — znów przyklęknął przed Bobbym.

Były psiarczyk nie zdążył jednak spełnić polecenia, bo Robin nagle drgnął, wy-
prostował się, a jego twarz przybrała wyraz trwożnej czujności.

— O, lichu! — syknął. — Czyżbym w złą chwilę rzekł?..

Nadśluchiwał przez chwilę i rozpogodził się raptem.

— Nie, to nie woodguardy! — oświadczył z ulgą. — Wóz jakiś jedzie. Że też te
baby tak się w lesie dra!.. — skrzywił się z niesmakiem.

Bobby spoglądał na niego ze zdumieniem, bo jako żywo, ani turkotu, ani żad-
nych niewieścich głosów nie słyszał poprzez zwyczajny szum drzew.

— To co?.. Idziemy? — zagadnął niepewnie.

— Poczekaj, może to jacy dobrzy ludzie. W naszą stronę jadą, poprosimy, to nas
podwiozą do traktu na Holy Ghost!

— O, dobrze! — ucieszył się były psiarczyk, mając oczywiście na względzie nie
własną wygodę, lecz wygodę Robina, który dzięki owym „dobrym ludziom” nie mu-
siałby go taszczyć na własnym grzbiecie.

Czekali niedługo. Poprzez gałęzie olch, już dość gęsto okrytych młodym listo-
wem, ujrzeli ciągnący w ich stronę spory wóz, zaprzężony w gniadą kobyłę. Na wo-
zie znajdowało się kilka beczek — i czworo pasażerów, w których bystrooki Robin
natychmiast rozpoznał nie tylko „zacnych ludzi”, ale swoich bardzo dobrych znajo-
mych. Trójka, ściśnięta na przedniej desce — dwie dziewczyny i powożący jasnowłosy

chłopak — tak była zagadana i rozchichotana, że zdawała się nie wiedzieć o bożym świecie.

Robin położył palec na ustach, dał Bobbiemu oczyma znak, żeby siedział cicho, po czym ostrożnie odchylił gałęzie olszyny.

— W imieniu króla stać!.. — huknął, do złudzenia naśladowując groźny bas Artura Pilnuj-Lasu.

Na wozie wszczął się popłoch. Dziewczyny zapiszczały wniebogłosy i skoczyły w tył, pomiędzy beczki, a płowłosy młodzieniec ściągnął lejce i wstrzymując kobyłę, rozglądał się dokoła wściekle i bezradnie zarazem.

— Dickon, to ja!.. — już zwyczajnym swoim głosem zawołał Robin i parsknąwszy śmiechem wyskoczył na drogę.

Towarzystwo na wozie opamiętało się momentalnie.

— Robin!.. Robin z Młyna!.. „Knight“!.. — wrzasnęły prawie unisono dziewczęta, co zabrzmiało niemal radośnie, na pewno z ulgi.

Powozący chłopak wydawał się jednak bardziej zły niż rozśmieszony.

— „Knight“!.. Smyku jeden, bo jak ci batem przysolę...

— Spróbuj! — zachęcił zawadiacko Robin.

— To czego ludzi straszysz?—

— A czemu ci ludzie jada, drogi nie patrząc? I czemu wożą na widoku to, czego nie trza? — Robin oskarżycielsko wskazał palcem łuk i kołczan, leżące u nóg Dicksona. — Ale by ci było, gdyby to był naprawdę Artur, a nie ja!

— Pilnuj swego nosa! Zazdrość ci, co? — odciął się Dickon.

— Do dom idziesz? — wmieszała się do rozmowy wyższa i starsza z dziewcząt, ciemnowłosa i rumiana Maud, córka karczmarza Jeffa Trójpalcego, który w pobliżu Oxton trzymał zajazd „Pod Trzema Dzikami”. Wóz i gniada kobyła były jego własnością. Maud nazywano w Oxton i w okolicy „Maud od Jeffa” albo częściej — „Maud z Londynu”, ponieważ przed pięciu laty przybyła wraz z ojcem właśnie ze stołecznego grodu, by osiąść w puszczańskej gospodzie, odziedziczonej po zmarłym pociotku. I gospoda Jeffa — dzięki sprowadzanym z Londynu napitkom, w tym również znakomitemu „ale”²¹ o potężnej mocy — i sama Maud cieszyły się w całej parafii Holy Ghost wielką popularnością, w pozytywnym znaczeniu tego słowa.

— Do dom, a gdzieżby? — potwierdził Robin.

— To siadaj z nami! Podwieziemy cię! Ja wiozę wielebny ojcom do Holy Ghost cypryjskie wino na odpust, wczoraj nam je z Londynu przysłali! — Maud wskazała ruchem głowy beczki. — A Dickon i Millie jadą...

— Też do Holy Ghost! — przerwał jej Robin. — Przecież to widać!

Dickon — zwany powszechnie „Strzałą”, jako że w całej okolicy Oxton, Patton i Mirfield nikt lepiej od niego nie potrafił wyważać, hartować i pierzyć tych niezwykle przydatnych, aczkolwiek niebezpiecznych akcesoriów puszczańskiego żywota (młodeż wprost biła się o nie!) — wyprostował się z godnością, natomiast Millie — Millie z Saxfield — zachichotała wstydliwie i zarumieniła się jak poziomka.

Rzeczywiście nietrudno było zgadnąć, w jakim celu zdążają do opactwa. I nie tylko dlatego, że od dawna uważano ich za narzeczonych, a parę niedziel temu potwierdzili to zrękowinami. Oboje byli odświętnie przyodziani, a na rudawej, warkoczastej główce Millie zielenił się „majowy wianek”, spleciony tutejszym obyczajem z siedmiu rodzajów leśnych kwiatów i ziół. Natomiast starannie uczesaną, jasną czuprynę Dickona zdobiła biała przepaska, okalająca czoło i skronie. Spleciona była sied-

²¹ *Ale (ang.) — gatunek mocnego angielskiego piwa.

miokrotnie z siedmiu pasemek śnieżnobiałej owczej wełny, a zwano ją „sevenfold”^{*22} lub częściej — „sevenbold”, jako że symbolizowała najtrudniejszą młodzieńczą moc: powściągliwość. Te ozdoby saska młodzież przywdziewała w pewnych okolicznościach w dni poprzedzające święta „Maja” i w same Zielone Świątki na mszę do kościoła, a chociaż ich rodowód i „majowe” przeznaczenie miały niewątpliwie pogański charakter — księża tolerowali je. Więcej: nawet bardzo łaskawie na nie patrzyli! „Majowy wianek” był bowiem u dziewczyny świadectwem niekłamanego panieństwa, zaś „sevenbold”, jako się rzekło, świadczył o chłopięcej uczciwości pod tyżme względem. Nieprawne przywdziewanie tych uświęconych starą, dostojną tradycją i obyczajem znaków uważano za okropną zbrodnię wobec Boga... i wszystkich bóstw, w które — co tu ukrywać — powszechnie wierzone. Mający coś na sumieniu woleli by raczej stanąć w świąteczny dzień na kamiennym obmurowaniu dziedzińca Holy Ghost ze szkarłatnymi znakami hańby na piersiach, niż dopuścić się takiego świętokradztwa.

Ten wianek i taką przepaskę nakładali też przyszli nowożeńcy, podążający dać na zapowiedzi! Dlatego nie było żadną sztuką zgadnąć, po co Dickon i Millie jadą do opactwa.

Robin zerknął ciekawie na starszego kolegę, który wydawał mu się w tej chwili jakiś inny, o wiele dostojniejszy i poważniejszy niż zwyczajny, dobrze znany od lat Dickon Strzałą. Potem przeniósł spojrzenie na Millie. Trochę dziwnie było myśleć, że niebawem staną się mężem i żoną. Wcale im tego nie zazdrościł, ale odrobinę mu imponowali. Może zresztą nie oboje, ale sam Dickon. Bo dobrze wiedział, ile Strzałę kosztowało to uczucie, jakim obdarzył Millie z Saxfield, wioski należącej do demesne sir Clarence'a. Jego ojciec, Dick Tine, sprawujący godność starszego gminy Oxton, z początku nawet słyszeć nie chciał o ślubie swego pierworodnego z poddaną dziewczyną i Dickon niemało się nacierpiał, zanim uzyskał rodzicielskie przyzwolenie. Ale

²² *Sevenfold (ang.) — siedem razy.

to wszystko należało już do przeszłości, odbyły się zrekowiny — i młodzi jechali do Holy Ghost...

— No, wsiadajże! — ponagliła zagapionego „Knighta” Maud.

— Ale nas jest dwóch... — ocknął się trochę zawstydzony Robin i wskazał Bobby'ego, który zdołał jakoś wykuśtykać spomiędzy olch, przystanął nieopodal wózka i przyglądał się żałośnie. Może się bał, że przy takiej kupie ludzi nie starczy dla niego miejsca.

— A cóż to za mizerota? — zdziwiła się współczująco Maud. — Ojej, kulawy!.. Skądżeś go wziął, Robbie?

Robin bardzo nie lubił, kiedy go tak nazywano, i już chciał w kategorięczny sposób zaprotestować. Pohamował się jednak. Bo po pierwsze — potrzebowali przecież obaj z Bobby'm przychylności ciemnowłosej karczmareczki. Po drugie zaś... Dopiero teraz spostrzegł, jak strojnie i pięknie prezentuje się Maud! Miała na sobie błękitną suknię z rękawami zwieszającymi się niemal do ziemi i również niebieski, podbity czerwonym jedwabiem płaszcz, spięty na piersiach srebrną klamrą. Ciemne włosy, spadające falą na plecy, zdobiła także srebrna, wysadzana czerwonymi kamykami obręcz. Widać Maud chciała wystąpić okazale wobec wielebnych ojców... Wyglądała ślicznie i bardzo przy tym dostojnie. Robinowi wydała się nagle zupełnie podobną do królowej Guinevere z ballad o królu Arturze²³, które ogromnie lubił i wiele z nich znał na pamięć od Chrisa-Lutnisty.

— To dopiero nieborak! — załamała ręce królowa Guinevere, nie dostrzegając zachwyty „Knighta”. — Dokąd on idzie?

²³* Król Artur — legendarny władca, zjednoczył ludy zamieszkujące Wyspę Brytyjską, twórca królestwa Anglii. O nim i o „rycerzach okrągłego stołu” istniało w ustnych przekazach wiele pieśni i ballad. Królowa Guinevere była żoną Artura i damą serca najdzielniejszego z rycerzy okrągłego stołu — Lancelota.

— Na razie ze mną, do młyna! — Robin z pewnym trudem wrócił do rzeczywistości, gościńca i wózka. — A potem się zobaczy...

— Ja ciebie skądś znam! — zwróciła się nieoczekiwanie do Bobby'ego Millie. — Tyś przecież u sir Sheltona we dworze był! Prawda?—

Znienacka i przykro zagadnięty Bobby zląkł się i zapomniał języka w gębie. Za to Robin w poczuciu odpowiedzialności za niego prawie całkiem się opamiętał. Uznając, że nie warto tracić czasu i ponownie rozrzewniać biednego „Wrzosiaka” — najzwyczajniej jak potrafił przedstawił jego smutne położenie oraz przyczyny kontuzji.

— Siadajcie! — poleciła energicznie Maud. — Pomóż mu, Robbie!

Zachwycony już nie tylko jej królewskim strojem i majestatem, ale i chrześcijańskim miłosierdziem „Knight” nie ośmielił się i tym razem zaprotestować przeciwko użytemu przez nią powtórnie nielubianemu zdrobnieniu. A zresztą — kto wie, może tak w Londynie gadają...

Umieścił „Wrzosiaka” na wozie, sam wskoczył i ulokował się obok wspartego o beczkę czwartego podróżnika, który dotąd nie uczestniczył w powitalnej rozmowie. Nie uczestniczył zaś dlatego, że przez cały jej czas słodko drzemał. Był to Pete z Oxton, sierota zatrudniony w karczmie Jeffa jako pacholek i słynący z tego, że potrafił zasypiać o każdej porze, na każdym miejscu i w każdej pozycji — bez względu na to, co się wokół niego działo. Drugim sławnym jego przymiotem był niezbyt lotny pomysłuś, objawiający się w stwierdzeniach i spostrzeżeniach, które nawet przy największym zasobie wyrozumiałości i miłosierdzia trudno było uznawać za błyskotliwe czy wartościowe. Te zalety zyskały chłopakowi stosowny przydomek: Peter-Sleeper*²⁴.

— Śpiochu, gamoni!.. Goście piwa żądają! — huknął mu nad uchem Robin gniewnym głosem Jaffa Trójpalciego.

²⁴ *Sleeper (ang.) — „Śpioch”.

— O Jezu!.. Już!.. — Pete, nie otwierając oczu, poderwał się i począł wykonywać wokół siebie przerażone, gorączkowe gesty, najwidoczniej w poszukiwaniu dzbanka. Zgodny, chóralny wybuch głośnego śmiechu przywrócił go do stanu poczytalności. Jeszcze zaspanym, ale gniewnym wzrokiem obrzucił wszystkich, a z największym gniewem spojrzął na Robina. Nie rzekł jednak nic.

— O święta Panienko z Westminster! — jęknęła z komiczną zgrozą i bardzo po londyńsku Maud, nawiasem mówiąc, ku jeszcze większemu podziwowi „Knighta”. — I taki niedojda miał mnie od przygody strzec! Jak to dobrze, Dickon, żeście się właśnie dziś do Holy Ghost wybrali i żeś was napotkała...

— Teraz i Robin będzie bronił, jakby co! — wyrwał się żarliwie Bobby. Onieśmielało go wprawdzie bardzo to starsze od niego i w jego mniemaniu ogromnie poważne towarzystwo, pragnął jednak w jakiś sposób wyrazić za jednym zamachem i uwielbienie dla swego dobroczyńcy, i wdzięczność dla tej strojnej, litościwej panny.

Maud, Millie i Dickon znów wybuchnęli śmiechem, a Robin, niby im wtórując, poczuł na policzkach zdradliwy rumieniec. Zerknął ze złością na „Wrzosiaka”. Ku swej wielkiej uldze stwierdził wszakże, iż nikt nie zamierza doszukiwać się w rzuczonej uwadze jakichś ukrytych treści, których, ma się rozumieć, w ogóle tam nie było.

— Co to za jeden? — zdziwił się zaspany Pete, wytrzeszczając oczy na Bobby'ego.

— Ten? W lesie go upolowałem! — wyjaśnił uprzejmie Robin.

— Upolowałeś?.. E, głupka ze mnie robisz!

— Nie muszę. To już sam Pan Bóg zrobił, będzie temu z osiemnaście lat...

— Te „Knight”! — oburzył się Śpioch.

Robin, nie dbając o jego złość, spojrział ukradkiem na Maud, a potem z bardzo poważną i zaaferowaną miną pochylił się ku Dickonowi, znów zaprzątniętemu czynnościami woźnicy.

— Po „Maju” przyjdę i zrobimy parę tuzinów tych zwykłych, do celu! — oznajmił rzeczowym tonem stałego klienta. — I jeszcze... — znów zerknął na królową Guinevere — ... jeszcze z jakie dwa tuziny tych z ostrym grotem, do łowów...

Strzała, może wciąż żywiący urazę o niezbyt mądry kawał „Knighta”, może mający jakieś własne troski, a może powodowany zwyczajną wyniosłością, jaką dorośli kawalerowie okazują młodszym chłopakom, spojrział z lekceważeniem przez ramię.

— Do jakich łowów? — zapytał drwiąco. — Przecież gadałeś, że ci nie wolno! Mało ci wuj za tego szpicaka zadek nasolili? Jak długo siedzieć nie mogłeś?

Robin zarumienił się jeszcze mocniej niż przed chwilą. W towarzystwie czysto męskim, czyli kolegów, wcale by się takimi słowami nie przejął. Cięgi obrywali bowiem wszyscy bez wyjątku chłopcy, a wiadomo przecież, że nieszczęście ogólne nie jest nieszczęściem w ogóle. Zdarzało się to i dorosłym młodzieńcom, aż do samego ożenku. Ta szacowna, prosta i ogólnie uważana za najskuteczniejszą metoda wychowawcza uświęcona była zarówno tradycją, jak pouczeniami wielebnych księży z Holy Ghost, którzy przy każdej nadarzającej się okazji, a często i bez okazji, posiłkując się stosownymi cytatami z Pisma Świętego napominali, iż naczelnym przymiotem chrześcijańskich rodziców winna być surowość, chrześcijańska zaś młodzież zgodnie z wymogami czwartego przykazania obowiązana jest do bezwzględnego posłuszeństwa i karności. Żadna z zainteresowanych stron nie ośmielała się w to wątpić. Świadomi swej powagi, władzy oraz odpowiedzialności, pomni na boże nakazy ojcowie, opiekunowie i gospodarze łolili więc młodą skórę ile wlezie. Natomiast wśród niedorosłej społeczności obowiązywał fason, wedle którego należało nie tylko przyjmować to jako zupełnie naturalną, oczywistą i przypisaną chłopięcemu wiekowi rzecz, ale beztro-

sko opowiadać w koleżeńskim gronie o przebytych cierpieniach i — chęlnie się wytrzymałością.

Los Robina nie różnił się do losu innych dorastających chłopaków. Może był o tyle szczęśliwszy, że wuj Will — młynarz Will Rzetelny — stosował wspomniany środek z prawdziwie chwalebny umiarem. Zdarzały się wszakże sytuacje, w których uważał go za nieodzowny, a wtedy nie było żartów. Doraźne ojcowskie rozprawy we młynie miały raz na zawsze ustalony tryb. Wuj Will nie tracił czasu na długie badanie oczywistych win, na roztrząsanie ich wagi i na prawienie morałów. Rzecz poprzedzało kilka pytań, zwięzłych, a przy tym tak zadziwiająco celnych i sugestywnych, że ze strony Robina jedyną odpowiedzią na większość z nich mogło być tylko bezradne milczenie oraz gorący rumieniec wstydu i rozpacz, wywołanych świadomością własnej głupoty, nieposłuszeństwa i nierozwagi. Następnie wuj Will niespiesznie, ale zdecydowanym gestem odpinał pas, równie spokojnie i stanowczo rozkazywał obnażyć tyłek, po czym przełożywszy skazańca przez kolano — już bez słowa demonstrował rodzicielskie niezadowolenie i troskę.

Ponieważ zaś czynił to tak, jak zwykł czynić wszystko, to znaczy: stosownie do swego przydomku — „Knightowi” tylko z najwyższym trudem udawało się zachowywać w tych niewesołych chwilach męski i puszczański hart. W ciągu następnych dni istotnie wolał nie siadać, a do snu układał się na brzuchu. Wuj mieli mocną rękę. Robin wspominał ją z należyтым szacunkiem i... z dreszczem na plecach, ale przed kolegami mówił o niej tak, jak nakazywał fason: niefrasobliwie i ze śmiechem. Teraz jednak nie miał na to najmniejszej ochoty! Przeciwnie, było mu bardzo wstyd, że Dickon — którego skóry też przecież rodzic nigdy nie oszczędzał — pozwolił sobie na tak złośliwy i tak uwłaczający przytyk wobec dziewcząt. Zwłaszcza — wobec Maud! Niweczyło to doszczętnie i boleśnie męską powagę, a „Knight” pragnął właśnie pokazać się jako bardzo poważny i dorosły, i dlatego zaczął tę fachową rozmowę. Ależ ze Strzały gbur! Czy królowa Guinevere koniecznie musiała posłyszeć, że wuj sprawili lanie? I to w dodatku — za szpicaka? Żeby chociaż za jakąś godniejszą zdobycz...

W istniejących warunkach niesposób jednak było bronić swej godności i wdawać się z Dickonem w kłótnię. Pogorszyłoby to tylko sprawę. Odwracając więc tym razem starannie spojrzenie od Maud (bo może się śmieje?..) — Robin obojętnym tonem zagadał trywialność Strzały:

— A ten zbrojmistrz String w Nottingham ma teraz te do celu dłuższe od twoich o prawie pół cala! I lotki idą w nich bardziej na skos, o tak... — pokazał palcami.

— Skąd wiesz? Mierzyłeś, widziałeś? — wzgardliwie spytał Dickon, ledwie raczy wszy rzucić okiem.

— Ja nie, ale Arnie-Smyk był z ojcem w poniedziałek, widział i mierzył. Mówi, że takie dużo mniej dołują i górują, a centrują jak złoto. Mógłbyś takie robić!

— O ile wiem, toś na Wielkanoc w Patton strzelał moimi, nie od Stringa! — zauważył cierpko Dickon.

— Ale Kuna miał dłuższe. Gdybym też miał takie...

— Przestań, „Knight”, już ci się we łbie przewróciło! — oburzył się Strzała, najwidoczniej bardzo dotknięty w swej godności znanego i cenionego fachowca. — Przecież taki smarkacz jak ty powinien do nieba skakać, że się równy Kunie okazał!

Robinowi aż w oczach pociemniało z obrazy. Zanim jednak zdołał odpowiednio zareagować na „smarkacza”, przemówiła z czułym uśmiechem królowa Guinevere:

— A jak słodko przy nim wyglądałeś, kiedyście już zostali tylko we dwóch! Wszyscy, co cię nie znali, pytali skąd to ten dzielny dzieciak i czyj. Naprawdę! A ja wszystkim mówiłam, że to nasz chłopaczek, z oxtkańskiego młyna...

„Knight” zacisnął zęby, bliski łez z rozpaczy, upokorzenia i złości. Uwzięli się czy co? Poczł dziką chęć, by zeskoczyć z wozu i dać drapak w las. Uprzytomnił sobie jednak, że czyniąc tak — zachowa się właśnie jak smarkacz i dzieciak, i potwier-

dzi słowa obojga. Bohatersko nakazał więc sobie spokój i tylko przybrał odpowiednio wyniosłą minę.

— A po „Maju” nie wiem jak będzie, na razie obstalunków nie przyjmuję! — podjął oziębłe Dickon. — Odkąd nas ostatnio „Pilnuj-Lasu” nawiedził, nie mam w domu spokoju. Nic nie znalazł, ale ojciec wciąż piekło o te strzały robią, pomstują, bo już mnie w lochu widzą. Musiałem się wynieść z całym kramem do Neda Humpa, a u niego praznik licha wart. Jak już będę na swoim...

— Jak już będziesz na swoim, to ze strzałami koniec! — przerwała mu stanowczym tonem milcząca dotąd i bardzo nachmurzona Millie.

— Co ty gadasz? — Strzała spojrział na nią w osłupieniu i aż ściągnął lejce.

— To co słyszysz. Nie zezwolę ci na to, rozumiesz?

— Jak to: nie zezwolisz?! Opamiętaj się!

— To ty się opamiętaj!.. Po to mam za ciebie iść, żeby mi cię... żebyś... — dalsze słowa Millie utonęły w żalonym chlipnięciu.

— Bój się Boga, Wiewióreczko! Toć tego ludzie potrzebują!

— A ja ciebie nie potrzebuję, tak?!

Millie, wcale widać nie ułagodzona pieszczotliwym mianem, otwarcie już szlochała. Maud objęła ją ze współczuciem, patrząc karcąco na chłopców.

— Wam tam w tym waszym Saxfield zawsze własnego cienia było strach! — stwierdził kpiąco Dickon.

— Lepiej tak, niż Pana Boga kusić!.. — odparowała przez łzy Millie.

— Słuchaj no, ja się do twoich niewieścich spraw wtrącać nie będę! — to Strzała powiedział już ostro. — Ale tobie się do moich też wtrącać nie dam, rozumiesz?

— Kiedy tak, to ja już wolę...

— O rety! Jeszcze nie poślubieni, a wadzą się niczym Jack Wether ze swoją starą!.. — westchnęła ze zgrozą Maud, co pobudziło nie tylko naburmuszonego Robina, ale i zapadającego w drzemkę Śpiocha do głośnego śmiechu, gdyż małżeńskie awantury wspomnianego stadła stanowiły uciechę dla całego Oxton.

Uwaga Maud zażegnała dalszą sprzeczkę narzeczonych. Dickon burknął coś i umilkł, wyraźnie zmieszany, a Millie pośpiesznie wytarła oczy. „Knight” pochwycił łobuzerskie mrugnięcie Maud, skierowane do siebie, i odpowiedział podobnym. Jednocześnie pomyślał, że Strzałę bez wątpienia czeka w tym tak przez niego upragnionym i z takim trudem wywalczonym małżeństwie niełatwe życie. Cóż, jego sprawa, będzie miał, czego chciał! Chyba lepiej się nie żenić? Niewiasty byle czego się boją, z lada powodu wyrzekają i pomstują. Choćby i ciotka Agnes! Kiedy ciotce zdarzy się w zły humor wpaść, to wszyscy we młynie słyszą i dużo, i bardzo niemiłych słów. Wuj Will też. I chociaż wuj niby tacy groźni i srodzy — wtedy jakoś nic nie gadają. Woła do młyna pójść i tam siedzieć, choćby nawet żadnej roboty nie było... No tak, ale przecież ciotka mimo swarliwego usposobienia są najlepszą na świecie i najzacniejszą niewiastą! I szczerze się o wszystkich troszczą, i prawdziwie wszystkich kochają! A jaką żoną byłaby... Maud? Czy też by kochała? Nieoczekiwanie znów poczuł gorąco na policzkach i znowu bardzo się zawstydził.

— A wiesz, „Knight” — Strzała, pragnąc widocznie dać upust reszcie rozdrażnienia, obejrzał się kpiąco — nie masz się co z tymi strzałami rozpędzać, bo tato onegdaj gadali, że te zawody w Patton to już były ostatnie! Już się więcej nie będzie gmińskich urządzało, szlus!

— Jak to? — przestraszył się Robin.

—No tak, bo odkąd prawo o łukach wyszło, to przecież strach...

— Ale przecież zawody zawsze były wzbronione, a jednak je urządzali! To sam Haernonnos przykazał! — zareplikował desperacko „Knight”.

— Urządzali, póki można było łuk w domu trzymać. Teraz niech jaki łobuz do shire'u*²⁵ doniesie...

— Kto tam doniesie!

— Kto? A choćby taki Matt z Bifem! Jakżeście w Patton z Kuną wygrali, to oni już pyskowali, że powiedzą o was gdzie trza...

— Akurat o gadanie tych drani dbam!

Robin istotnie nie dbał o pogrożki Krzywego Matta i Walijczyka, bo dobrze wiedział, że sławetna para nie ośmieli się na nikogo donosić, a już z całą pewnością nie do shire'u. Na to obaj mieli zbyt zaszarganą opinię. O wiele gorsza była wiadomość, że nie będzie się już urządzało zawodów strzeleckich pomiędzy gminami. A on tyle z tym wiązał radosnych nadziei! Wspomnienie swego wielkanocnego pattońskiego triumfu pieścił w myślach jak skarb. Realnym zaś skarbem był noszony z należytą godnością u paska i raz po raz czyszczony do najjaśniejszego blasku popiołem przedmiot zawiści wszystkich chłopaków: pierwszy w życiu męski, myśliwski, doskonały nóż, otrzymany w nagrodę za remis z Phineasem Kuną.

Wprawdzie w tym wszystkim bruździło trochę sumienie, które wciąż wypominało, że do zawodów w Patton stanął nie pytając o pozwolenie wuja. Gdyby Jake nie wysilił wtedy całej swej umiejętności bezsłownego perswadowania i łagodzenia, to z pewnością dodatkowa nagroda w domu byłaby wcale nie chwalebna, za to bolesna. Na szczęście wuj Will dał się jakoś udobruchać i nie zbił, tylko zburczał porządnie. I od tamtego czasu Robin zmuszony był przechowywać łuk w specjalnej kryjówce, a tre-

²⁵* Shire (ang.) — hrabstwo. Tu chodzi o urząd szeryfa.

ningi też odbywał w największej tajemnicy. Teraz zresztą i tak musiałby postępować w ten sposób, bo przecież nowe prawo ogłoszono trzy niedziele temu...

Prawo — prawem, a nakaz Haernonna, żądającego by łucznicy żyjący pod jego władzą dwakroć w ciągu roku sprawdzali swe umiejętności i popisywali się nimi, to przecież rzecz święta! „Knight”, tak właśnie myślał i liczył na następne sukcesy, jeszcze wspanialsze niż ten w Patton. Zdecydowany był brać udział w każdych zawodach, jakie będą urządzane w parafii Holy Ghost, wierzył, że wspólnie z Jake'em zdołają jakoś ubłagać i przekonać wuja...

A Dickon powiada: zawodów nie będzie, bo strach! Dlatego, że wydano prawo przeciwko łukom — to znaczy prawo wzbraniające niewolnym, wolnym willanom^{*26} i sokmanom oficjalnego posiadania łuków! Gdy u takiego kogoś woodguardy albo szerfowscy strażnicy znajdą łuk, może to i głową przypłacić. Ciągłe te prawa na gorsze zmieniają! Co jeszcze wymyślą? Wszystko, co radość sprawia — zakazane. I łowy, i teraz nawet zawody...

Dotąd Robinowi książę regent Jan wydawał się postacią ponurą wprawdzie i złowrogą, ale żadnych krwiożerczych myśli nie budził. A w tej chwili chłopiec pomyślał o nim z dziką nienawiścią. Gdyby go tak dostać w ręce... Król Ryszard z pewnością nie ustanawiałby takich głupich i okrutnych praw! Po co go do tej Palestyny poniosło? I dlaczego pozwolił się w powrotnej drodze uwięzić? Ludzi do obrony nie miał czy co? Już tyle czasu minęło, odkąd Wyspę opuścił, a rządzący nią w jego imieniu brat czyni wszystko, żeby poddanych dręczyć!..

A może Dickon po prostu tylko nabiera? Jakiś dzisiaj w złym humorze (może się wciąż o to udawanie Artura gniewa, a może mu strach spowiedzi, do której mają z

²⁶ *Willan (ang.) — chłop poddany. „Wolnymi willanami” potocznie nazywano chłopów — mieszkańców wsi należących bezpośrednio do króla, gdyż ich los był nieco lepszy niż los poddanych możnowładcom.

Millie w opactwie przystąpić?..), same uszczypliwości gada (przecież to też grzech!..) — więc mógł zmyślić o tych zawodach i na złość tak powiedzieć!

— Na jesieni w Mirfield na pewno zrobią, zobaczysz! — zapewnił gorąco nie tylko Strzałę, ile samego siebie. — Przecież Will Horned, ich starszy, sam pierwszy do łuku, więc...

— A już! W Mirfield wszyscy jeszcze ledwie żywi ze strachu po Simonie! — szorstko rzekł Dickon.

Od tych słów jakby mrozem powiało. Na wozie zaległo lękliwe milczenie, które nagle przerwał dziwny, bulgocący dźwięk. To wygłodniałemu Bobby'emu tak głośno zaburczało w brzuchu, może zresztą też z trwogi. Wszyscy spojrzeli na niego, a biedny „Wrzosiak” speszył się nieomalże do łez.

— Biedaku!.. — westchnęła współczująco Maud. Uniosła koszyk, dotąd ukryty pod siedziskiem, i wyjęła z niego zawiniątko z białego płótna. Było dość spore, a gdy je rozpostarła, nosy wszystkich miłe polechtał kuszący zapach wędzonki. — Masz, przegryź! — podała chłopcu kawał białego chleba z niezłym plastrem boczku. — Bierz i ty, Robbie! I wy weźcie! — podsunęła tobolek reszcie towarzystwa.

Bobby łapczywie pochwycił poczęstunek, zapominając o podziękowaniu. Robin próbował się dla przyzwoitości wzbraniać — jak w kuźni przed ciotką Susan — ale było to ponad jego siły. Wgryzając się z rozkoszą w pachnącą pszenną pulchność, już niemal ze złości spojrzął na Maud. I piękna, i strojna, i dowcipna — i taka przy tym wszystkim dobra! Gdyby jeszcze zechciała nie widzieć w nim, Robinie, dzieciaka...

Maud nie dostrzegła jego nabożnego spojrzenia, bo patrzyła litościwie na dławiącego się wprost chlebem Bobby'ego.

— To ty prawdziwie nie masz gdzie się podziać? — zapytała miękko, jakby chciała potwierdzić nie wyrzeczoną głośno opinię Robina o własnej dobroci.

— Idę z Robinem do młyna! — poinformował ją pełnymi ustami były psiarczyk z Clarence Court.

— Do młyna?.. Czekał, właśnie sobie wspomniałam! Tato niedawno gadali, że zdałby się w gospodzie jaki zacny saski malec, Pete'owi do pomocy...

— Żeby go budził, kiedy będzie trza? — zaśmiał się Robin.

— Te, „Knight”! — oburzył się znów Śpioch.

— A czemu to twój tato tylko saskich chłopaków chcą? — zagadnął z przekąsem Dickon. — Swoi im za mało zacni czy jak?

Maud zaróżowiła się z gniewu.

— Jacy „swoi”? Co za „swoi”? — zapytała ostro.

— No, bo przecie twój tato... — Strzałę zmieszała trochę jej złość.

— Odczep się od taty, bo nikomu w niczym nie wadzą! A mnie za kogo masz, co? — Maud nie posiadała się z oburzenia. — Mama nieboszczka prawą Saksonką byli, rozumiesz? Dziadek, ojciec taty, mogli siebie Normanem zwać, ale tato i ja...

Królowa Guinevere objawiła się w tej chwili „Knightowi” w całym swym monarszym majestacie i w całej krasie.

— Tak! Macie rację, Maud! — potwierdził gorąco.

Zawsze dotąd mówił córce Jeffa „wy”, kiedy wypadło mu z nią rozmawiać (co zresztą zdarzało się niezwykle rzadko!), bo dwa czy trzy lata jej starszeństwa i stołeczne pochodzenie wymagały odpowiedniego szacunku. Zaś w tej chwili byłby gotów tytułować ją jeszcze uniżeniej, tylko że po pierwsze — nie wiedział, jak, zaś po drugie — wstydział się reszty towarzystwa.

— Macie rację! — powtórzył za to jeszcze żarliwiej. — I nie zważajcie na Strzałę, jemu się chyba w głowie pomieszało. Jest taka gadka... znacie ją?..

— Jaka gadka? — spytała podejrzliwie Maud.

Robin przełknął śpiesznie ostatni kęs i wyrecytował jednym tchem:

„Za laską Wszechmocnego Pana

Może być niezły Sas z Normana —

Lecz miej w opiece, Boże, nas,

Gdy się Normanem stanie Sas!..”

Maud roześmiała się, udobruchana. Ale Dickon, wciąż o coś zły, i pewnie dodatkowo podrażniony uwagą Robina o własnej głowie, wzruszył gniewnie ramionami.

— To ci gadka! Pokaż mi choć jednego takiego, który się dobrym Sasem stał!

— A choćby święty biskup Tomasz*²⁷! — odpalił bez namysłu „Knight”

— Przecież z Normanów się wiódł, a lepszego od niego nie było!

— Fiuu! Można rzec: po swojemu, w sam środek trafił! — Strzała wpadł w jeszcze większą złość. — Biskup Becket jeden taki był i pewnie też dlatego świętym męczennikiem został, rozumiesz? A wszyscy inni... dranie, i tyle!

— Nieprawda! — wybuchnęła Maud.

— Prawda! A odkąd księżę regent rządu sprawuje, mnoży się to draństwo na Wyspie niczym króliki. Gdzie wejrzysz, tam normańską gębę widzisz, niebawem miejsca dla nas braknie! I coraz więcej takich, którzy się saskiego rodku wypierają, ot, choćby i „sir” Shelton!.. — Dickon, wymówiwszy z drwiącą pasją tytuł i nazwisko,

²⁷*Mowa o św. Tomaszu Beckecie, arcybiskupie Canterbury, który za śmiałe sprzeciwianie się okrucieństwu i antykościelnej polityce Henryka II został na rozkaz króla zamordowany.

spojrzał na Bobbiego, który w tej samej chwili westchnął urywanie. — Mały, czemuś ty uciekł z Clarence Court? — zagadnął.

Bobby w popłochu oblizał palce po poczęstunku Maud. Fakt, że taki dorosły kawaler raczy się zwracać do niego z pytaniem, przyjął jako niesłychany zaszczyt.

— Ja uciekłem... ale i tak by mnie wygnali! — szepnął, a widząc pytające spojrzenie Strzały, bardzo nieskładnie wyjaśnił jak miała się rzecz z wyżlicą Caresse.

— No, czy nie drań? — Dickon obrzucił roziskorzonym wzrokiem zastygłą ze zgrozy kompanię. — Prawdziwy szatan! Za psa gotów dziecko na śmierć zatłuc...

— Jakie ja tam dziecko! — zachnął się urażony Bobby. — I nie za jednego psa, bo suka miała sześć młodych...

Może zabrzmiało to śmiesznie, ale nikt się nie roześmiał. Maud współczująco pogładziła byłego psiarczyka po głowie, aż uchylił się z niechęcią.

— Takie diabelskie gardło nienasycone! — podjął ponuro Strzała. — No, powiedz, Millie, ile twój ojciec musieli mu dać za zrękowinne?

— Jagnię i trzy funty wełny... — westchnęła Millie.

— A moi tato za wykupne dziesięć szylingów! — wyznał z goryczą Dickon. — Najpierw Shelton chciał tylko pięć, tak jak w prawie stoi, ale potem rzekł że mi lat nie dostaje i kazał tacie drugie tyle dołożyć. Pół funta za jego parszywą łaskę, pojmujecie? I jeszcze wrzeszczał, że wyjątek robi, bo jego poddankom nie wolno za królewskich willanów iść. Taty mało krew nie zalała i potem w domu... — urwał nagle. — Bailiff przeklęty, czorcie nasienie! — ulżył sobie choć tak.

— Dicky! Do Sakramentów masz przystąpić! — skarciła go Millie, ale jednocześnie oparła główkę w zielonym wianku o ramię swego chłopca, jakby pragnąc go pocieszyć.

— Wiem! — Dickon ogarnął ją ramieniem. — Ale gdy sobie tę gadzinę wspomnę...

— A ja bym nie ścierpiał, gdyby tak do mnie gadał! — oświadczył Robin. Już teraz rozumiał, skąd się bierze rozdrażnienie Strzały. Było mu go szczerze żal, nie wiedział jednak, w jaki sposób to okazać.

— A jakże! Ciekaw jestem, co byś uczynił! — oburzył się Dickon.

— Co? Przede wszystkim pokazałbym mu, że mi go nie strach! — Robin zerknął kątem oka na Maud, czy słyszy i należycie docenia jego słowa. — Na takich jak on też są przecież sposoby! Gdyby sir Twice The na wolności był, pewnie by mu już dawno kura na zamek puścił!

— Tss! Co ty wygadujesz, „Knight”?

— O, właśnie! Pacierza przy krzyżyku nie zmówiliśmy! — zagadała przytomnie Millie. — Przez ciebie, Robin, bo ci się Artura udawać zachciało!

— Zmówimy w Holy Ghost! — uspokoiła ją Maud. — W kościele może prędzej Pan Bóg nas wysłucha. I wiesz, Millie, uproszę ojca Andreasa, to nam może pozwołą ornaty w zakrystii obejrzeć! Zobaczysz, takie cudne, klejnotami naszywane...

Robin nie dał się jednak odwieść od tematu. Wzgardliwie spojrzął na Dickona.

— Co: tsss?.. Właśnie dlatego tak się różne Szatany panoszą, że wszyscy tak jak ty: tsss! A przecież trzeba im pokazać, że się nie boimy!

— W gębie to ja też potrafię być śmiały! Bo to można coś zrobić?

— Sto i trzydzieści lat temu^{*28} wiedzieli, co zrobić! — wypalił Robin.

28* Mowa o bitwie pod Hastings (1066 r.), w której wojska saskie pod wodzą króla Anglii Harolda poniosły druzgocącą klęskę w starciu z najeźdźczymi wojskami księcia Normandii, Wilhelma. Wilhelm zagarnął Anglię.

— O, widzicie, dokąd to już zajechał? Bacz i przyhamuj, bo w Kanał chlupniesz!
— Strzała roześmiał się drwiąco. — Dużo tam pod Hastings wskórali!

— Ale chociaż walczyli, nie? I właśnie pokazali, że im nie strach! A my już tylko narzekać umiemy i syczeć, kiedy kto sir Twice'a wspomni...

— A dalibyście już pokój! — przerwała z irytacją Maud. — Nie możecie o czymś miłszym gadać? Patrzcie, jaki świat piękny! I „Maj” niedaleko...

Dickon, Robin i wyrwany z półdrzemki Śpioch obrzucili się szybkimi, porozumiewawczymi spojrzeniami. Pewnie, mieli by o czym pogadać! Za dziesięć dni wypadało pierwsze święto „Maja”, więc już pojutrze zaczną... Ale na wozie oprócz nich znajdowały się dwie dziewczyny i smyk, któremu daleko jeszcze było do młodzieńczego wieku. Wobec takich osób rycerze Majowego Oddziału musieli zachowywać ścisły sekret!

— Sprawdzał kto ostatnio, czy ambona cała? — spytał obojętnie Dickon.

— Ja — równie obojętnie i lakonicznie odparł Robin.

— No i jak?

— W porządku.

— Ani Artur, ani nikt nie znajdzie! — dorzucił podobnym tonem Pete.

Maud, choć podobnie jak Millie i nawet Bobby od razu zrozumiała, o czym naprawdę mowa, potrząsnęła z oburzeniem głową, aż rozpuszczone włosy wionęły i do Robina doleciał subtelny zapach różanego pachnidła.

— No, nie!.. Przecież te chłopaki to istne wariaty, o niczym miłym gadać nie potrafią! — zwróciła się gorzko do Millie. — Jak nie łuki, to Normany, a jak nie Normany, to łowy! Też mi kawalerowie...

— Mało się miłych słówek od gości w gospodzie nasłuchasz? — odgryzł się Dickon.

Robinowi jednak zrobiło się przykro. Nie chciał, żeby królowa Guinevere miała o nich, chłopakach, takie złe mniemanie. Spojrzał na nią winowajczo, a potem z wyrzutem na Strzałę. Zaczął się gorączkowo zastanawiać, co by tu miłego rzec, ale nieoczekiwanie sytuację rozładowała — sama Maud! Przechyliwszy przekornie główkę, ozdobioną srebrną obręczą, zanuciła piosenkę którą momentalnie podchwycili wszyscy, nawet chmurny Dickon. Bo było w niej coś takiego, że gdy ktoś zanucił — wszyscy musieli śpiewać!

Oxton to królewska wieś!

Nonny-no! Nonny-no!

Nie chcą chłopcy kaszy jeść!

Nonny-nonny-no!

Po to każdy praży łuk, praży łuk,

Żeby pieczeń wsuwać mógł!

Nonny-nonny-no!..

Nie śpiewali głośno, żeby nie urazić majestatu sir Sherwood'a i żeby nie zainteresować piosenką czyichś niepożądanych uszu, ale i tak echo ją podchwytowało — jakby puszcza wtórowała z zadowoleniem ich młodym głosom. Bo w żywej, dziarskiej nucie i żartobliwych z pozoru słowach, znanych nie tylko w Oxton, lecz we wszystkich leśnych osadach (których mieszkańcy, rozumie się, śpiewając wymieniali nazwy swych wsi!) mieściło się wszystko. I gorycz niewoli, i bunt przeciw obcej władzy, i pogarda dla srogich praw... i najważniejsze: odwaga i wesołość wyspiarskiego ludu, który wbrew rzeczywistości nie przestawał się czuć swobodny i dumny. Zadzierzyste i kpiące, saskie „nonny-no”, tak znienawidzone przez Normanów, brzmiało jak naiwne

i zarazem piekielnie złośliwe przeczenie. Jak niby bezsilny, a przecież złowrogi protest!

My z sherwoodzkiej dąbrowy,

Nonny-no! Nonny-no!

Widzim nocą jak sowy!

Nonny-nonny-no!

W pogotowiu trzymaj łuk, trzymaj łuk,—

Gdy przestrzega sowy huk!

Nonny-nonny-no!..

Prześpiewali jeszcze jedną zwrotkę, sir Sherwood potwierdził echem melodyjny protest i na wozie zapadła na chwilę cisza.

— No, widzicie! — rzekła z zadowoleniem Maud. — Lepiej śpiewać, niż głupstwa gadać i wadzić się o nie! A może by jeszcze co? Mamy czas do traktu!

— To niech „Knight” coś zaśpiewa! — Dickon kpiąco-pobłażliwym ruchem głowy wskazał Robina. — Zna tego do licha, niczym sam Chris-Lutnista...

— Ojej, pamiętacie tę, którą Chris śpiewał w trzecie święto Wielkiej Nocy? — Maud aż westchnęła z zachwytem. — Śliczna była! Tak bym ją chciała jeszcze raz usłyszeć...

— Którą? Tę o niewieścim męstwie? — żywo zapytał Robin.

— Tak, tak, właśnie! Znasz ją?

— Pewnie!

— Nie chwal się, „Knight”, przecież to długie jak psalterz! — zauważył Strzała.

— No to co, że długie? Umiem! — Robin spojrział na niego urażony. — Ale jak dla ciebie za długie, to przecież nie muszę...

— Śpiewaj, śpiewaj! — przynagliła go Maud.

„Knight”, usiłując nie pokazać po sobie, jak bardzo go uradowały i prośby, i fakt, że nareszcie znalazł sposobność zaimponowania czymś królowej Guinevere, odkaszlnął i zaczął niezbyt może wprawnym, ale świeżym i chłopięco miłym głosem:

Bajkami nie chcę nużyć was,

Opowiem rzecz prawdziwą:

W Coventry dama żyła raz, co zwano ją Godivą!

Niewieścich była wzorem cnót,

A piękna niby anioł,—

Więc nie dziw, że Coventry lud

Uwielbiał swoją panią!..

Dał znak głową i wszyscy na wozie zawtórowali:

Hej, nonny-no! Hej, nonny-no!

Uwielbiał swoją panią...

Robin śpiewał dalej:—

*A sir Leofric, Coventry Earl*²⁹,*

Małżonek cnej Godivy,

²⁹ *Earl (ang.) — tytuł możnowładcy z czasów sprzed podboju Anglii przez Normanów, odpowiednik „hrabiego”. Legenda o Lady Godivie pochodzi z IX wieku.

*Z poddanych skórę rad by zdart,
Tak srogi był i chciwy!
Choć w skarbcu swym miał złota w bród,
Lecz duszę — jak poganin!
Wciąż gnębił swój nieszczęsny lud,
Wciąż nowych żądał danin...*

Znów wszyscy podchwycili ostatnie słowa. Maud z uśmiechem potrząsała w ich takt ciemnowłosą główką. Z największym zapalem śpiewał jednak Bobby. W tej chwili był już przeświadczony do głębi, że nie ma na świecie rzezy, której by „Knight” nie potrafił! „Knight” kontynuował balladę Chrisa:

*Godiva raz w dobroci swej
Dla ludu blaga łaski:
Małżonku miły, serce miej
Jak prawy rycerz saski!
Nie siłą, lecz dobrocią rządz
I Bożej bój się kary!
Dla ludu swego ojcem bądź
I zdejmij zeń ciężary!
A na to earl:
Litości chcesz?
Więc popisz się odwagą —*

I przez Coventry wzdłuż i wszerz

Na koniu przejeżdż nago!

Godiva wzrok utkwiała w nim,

Niezłomny jak ze stali:

Postąpię tak, by czynem swym .

Mój biedny lud ocalić!

Nie wiedzieć jaki sprawił cud,

Że wieść obiegła miasto,

W podziwie czoła schylił lud

Przed mężną tą niewiastą,

I zamiast snuć domysły złe,

Sławiono jej odwagę,

I wszyscy w domach skryli się,

By nikt nie ujrzał nagiej!

Popatrzcie, jaka męstwa moc "

I serca jest potęga:

Wzdłuż rośnie lady złoty włos

I aż do stóp dosięga!

Bóg nie chciał, by przez oczy złe

*W swej hańbie była tknięta —
Przebyła konno miasto swe,
W płaszcz włosów owinięta!
Lecz pośród ludu znalazł się
Człek jeden niegodziwy,
Nasycić pragnął oczy swe
Nagością cnej Godivy!
O, biada mu, że słuchał, co . i—
Do ucha diabeł szepce!
Gdy tylko ujrzał lady swą —
Natychmiast został ślepcem!
I na tym przerwę pieśni nić,
Lecz prawdę wam powierzam:
Niewiasta nieraz może być
Mężniejsza od rycerza!
Pomnijcie tej ballady treść,
Panowie i cne panie!
Godivy dzielnej głoszę cześć
I śpiewać będę dla niej!
Hej, nonny-no! Hej, nonny-no!*

I śpiewać będę dla niej!..

Echo znów zawtórowało refrenowi i zacizło. Tym razem milczenie na wozie trwało nieco dłużej. Przerwał je Dickon.

— A niechże cię, „Knight”! Masz pamięć, że pozazdrościć...

— Pewnie! — potwierdziła Maud, otrząsnąwszy się z zasłuchania, i jej ciemnoniebieskie, pełne niekłamanego podziwu oczy przesunęły się po twarzy i całej postaci Robina, który zarumienił się pod tym spojrzeniem. Nie tylko z radości, że jego pamięć zyskała uznanie słuchaczy.

Nagle nastrój prysł. Bobby, dotąd trwający w nabożnym skupieniu, nieoczekiwanie parsknął śmiechem na cały głos.

— A ty znowu co? — Robin spojrzał na niego gniewnie.

— Nie, nic... wspomniałem sobie... — były psiarczyk aż się za brzuch złapał i zwinął w pół z nadmiaru uciechy. — Przecież sir Shelton... też przecież mu Leofric! I gdyby tak jaśnie pani Marga- ret... tak jak ta lady Godiva... O rety, nie mogę!..

Było to tak niespodziewane u milczącego dotąd i onieśmiałego smyka, że wszyscy na moment osłupieli, a potem — zawtórowali serdecznym śmiechem. Bo też i było z czego się śmiać! „Lady” Margaret Shelton, osoba równie wysoka co szeroka w sobie, a złością przerastająca chyba swego ślubnego — jako szlachetna i piękna Godiva? To przerastało ludzką wyobraźnię i wytrzymałość!

Sir Sherwood podchwycił młodą wesołość i śmiał się razem z nimi. Jedynie Pete, obdarzony przez naturę ciężkim pomyślunkiem, gapił się w zdumieniu na rozweseloną kompanię. Sam ryknął śmiechem dopiero wówczas, gdy inni już przycichli.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sir Gilbert de Courtenay

— To już wiem, co z tobą zrobimy, mały! — oświadczyła Maud, kiedy już wszyscy naśmiali się do woli. — Bobby ci na imię, tak? To słuchaj, Bobby: teraz pojedziesz ze mną do Holy Ghost, a potem zabiorę cię do nas, do „Trzech Dzików”. Jak ci noga wydobrzeje, będziesz w gospodzie pomagał. Izbę podmieść potrafisz?.. To nic, prędko się nauczysz! I statki zmywać to też nic trudnego...

— Ale ja... ja przecież miałem do młyna... — oszołomiony zarówno nieoczekiwaną propozycją, jak energicznym potokiem słów były psiarczyk spojrział w popłochu na Maud, a potem na „Knighta”, jakby w oczekiwaniu pomocy.

— A po co do młyna? Komuś tam potrzebny? Wuj Will dosyć swoich do roboty mają! Ze mną pojedziesz i już!

— Ale Robin... — bąknął bezradnie Bobby.

Ku wielkiemu jego zdumieniu i jeszcze większemu rozżaleniu „Knight” entuzjastycznie poparł pomysł Maud.

— Pewnie! Idź do „Dzików”, skoro cię tam chcą! Dobrze ci będzie, zobaczysz! Ale czy Jeff zgodzą się go wziąć? — spojrzał pytająco na Maud.

— Tato zrobią, co ja zechcę! — roześmiała się niefrasobliwie.

— Słyszysz, „Wrzosiak”? Opieka boska nad tobą! — stwierdził Robin. — Cóż się tak nadaś? Gdybym ja był na twoim miejscu...

Urwał zmieszany, bo o mały włos rzekłby za wiele. Zerknął znów ostrożnie na Maud i napotkał uśmiechnięte spojrzenie ciemnoniebieskich oczu. Jakoś nie potrafił tym razem uśmiechnąć się w odpowiedzi a policzki znów zaczęły palić. Szybko odwrócił głowę i starając się przybrać niezależną minę, począł śledzić przesuwające się brzegiem drogi pnie, jakby chciał tam wypatrzeć coś niezwykłego. Ale wciąż czuł na sobie spojrzenie Maud...

Maud istotnie popatrywała na niego z ciekawością, sympatią i upodobaniem, gdyż usłyszana przed chwilą ballada porwała ją nie tylko treścią i melodią. I wykonawca objawił jej się nagle w jakimś innym niż dotąd, nowym świetle! Dotąd nie dostrzegała go prawie, a o jego istnieniu przypominała sobie wtedy, kiedy go gdzieś przypadkiem spotkała albo gdy zjawiał się w gospodzie ze złowionymi przez siebie rybami lub rakami. Był dla niej po prostu dzieciakiem małym Robinem z Młyna. Nawet podczas pamiętnych zawodów w Patton nie myślała o nim inaczej, śledząc zwinną chłopięcą figurkę, tak dzielnie do samego końca walczącą o zwycięstwo u boku znanego Kuny.

A teraz raptem stwierdziła, że od zawodów bardzo wyrósł — i że ładniejszego chłopaka próżno byłoby szukać chyba nawet w Londynie! Przypominała też sobie o wszystkich umiejętnościach i zaletach „Knighta”, o których nieraz zdarzało jej się słyszeć... i pomyślała ze smutkiem, iż doprawdy szkoda, że jest tak młody! Ile mógł mieć lat? Piętnaście, szesnaście? Gdyby miał więcej — z przyjemnością zaliczyłaby go do grona swych przysięgłych wielbicieli!

Nie ujmując w niczym czci Maud, która śmiało i z honorem zamierzała przywdziać w nadchodzące święta swój „majowy wianek” — było jednak niezbitą prawdą, że wiedziała o swej urodzie, pyszniła się nią i lubiła czynić odpowiednie wrażenie na młodych ludziach płci męskiej. Okazji do tego miewała sporo, jako córka właściciela uczęszczanej licznie gospody, zaś obycie w stołecznym mieście stanowiło dodatkowy walor. Wesoła, dowcipna, wygadana, chętnie przekomarzała się z co młodszymi i urodziwszymi gośćmi — nie przekraczając wszakże nigdy dozwolonych obyczajnością granic! Swawoników i natrętów potrafiła z miejsca usadzić tak, że długo pamiętali jej obrotny języczek i wyniosłe miny. Za to z wielkim upodobaniem przyjmowała dworne komplementy, a zwłaszcza piosenki, które nawiedzający często gospodę wędrowni minstrele^{*30}, śpiewali specjalnie dla niej.

Podczas okolicznych jarmarków, festynów, odpustów i wszelkich dorocznych świąt połączonych z zabawami — Maud otoczona była rojem adoratorów, niczym królowa dworzanami! Nie trzeba dodawać, że owi dworzanie, zazdrośni o każde jej słówko i uśmiech, patrzyli na siebie wilkiem — a nieraz szły w ruch pięści i „bonnies”. Jak dotąd, nikt jednak nie cieszył się szczególnymi względami Maud i nikt nie zdobył jej dumnego serduszka. Może istotnie czekała na jakiegoś księcia, jak utrzymywały nieżyczliwe jej niewiasty i dziewczyny z okolicy...

Tak — Maud nie miałaaby nic przeciwko temu, żeby adorujący ją orszak powiększył się o ślicznego „Knighta”! Jednakże nie wypadało po prostu uważać takiego smarkacza za adoratora czy chociażby nawet za minstrela! Wprawdzie rumienił się tak miło pod jej spojrzeniem — ale na pewno jedyną jego miłością był jeszcze sir Sherwood...

³⁰ *Minstrel — w dawnej Anglii wędrowny śpiewak, grajek, poeta.

Takie myśli snuła w tej chwili Maud, nawet nie podejrzewając, że bez stosowania zalotnych minek i dziewczęcych sztuczek dawno już osiągnęła to, czego sobie właśnie zakazywała.

— A możesz ty jeszcze głodny? — zagadnęła Bobby'ego, chcąc odmienić kłopotliwe myśli.

— Nie... — bąknął chłopiec, choć jednocześnie o mało się nie oblizał wspomniawszy smaczny poczęstunek sprzed chwili. I prawie natychmiast przyszło mu do głowy, że ta nagła odmiana losu w ostatecznym rachunku może się okazać wcale niezła. Jeśli w tej gospodzie nie będą jadła skąpili... i ta panna Maud też widzi się dobra...

— A od młyna do gospody nie tak daleko! — przemówił w tej chwili „Knight”, jakby odgadując jego myśli. — Przylecę czasem do ciebie... — mimo woli zerknął przy tych słowach na Maud i znów odwrócił zarumienioną twarz. — Albo ty do mnie!.. — dorzucił szybko.

— I nauczysz mnie po drzewach łązić? — ucieszył się Bobby.

— Wszystkiego, co chcesz, niech ci tylko prędko noga wydobrzeje....

Robin urwał nagle i zastygł, nad słuchując. To samo zrobił Dickon.

— Co się stało? — zaniepokoiła się Maud, która przez pięć lat nie całkiem jeszcze zdołała przyswoić sobie leśną ostrożność i puszczański słuch.

— Tsss! — uciszyła ją Millie, również nadstawiając uszy.

Chłopcy popatrzyli na siebie.

— Artur i woodguardy?.. — szepnął kątem ust Dickon i błyskawicznie nakrył rogożą łuk.

— Nie! — Robin pokręcił głową. — Za dużo koni słyhać, woodguardy nigdy taką kupą nie jeżdżą. A ile szczęku, słyszysz?.. — przechylił się przez burzę wozu ku

ziemi i znów słuchał przez chwilę. — To na jakiś orszak patrzy! — zdecydował stanowczo.

— Orszak? — Dickon ze złością zebrał lejce. — Trzeba w las zjechać, nim nas zeklną...

— Może to sir de Clarence?.. — szepnął ze strachem Bobby. — Na dniach miał zjechać, przez to takie piekło w zamku było!

— O Jezu! — jęknęła Millie.

— Tylko jego tu brakowało! — Strzała zacisnął zęby.

— Orszak? — Maud była chyba jedyną, na której przypuszczenie „Knighta” nie uczyniło złowrogiego wrażenia. — Warto popatrzeć! Może jakie damy w nim będą?..

— Nic z tego, skręcam w las! — oświadczył gniewnie Dickon. — Ani sir de Clarence'a, ani nikogo innego wcalem nie ciekaw! Nigdyś orszaku nie widziała czy co?

— Ale choćby z daleka!.. Dlaczego nie popatrzeć? — upierała się Maud. — Tak rzadko tędy orszaki przeciągają!

— Tak, Dicky! Popatrzmy! — przyłączyła się do niej Millie.

Było to przecież istotnie nie byle co — ujrzeć w tym leśnym odludziu przeciągający rycerski oddział! Przypatrzeć się choć przez chwilę zjawiskom z obcego, wspańskiego świata panów: pięknym zbrojom, kosztownym ubiorom, kolorowym tarczom, rasowym wierzchowcom! Wprawdzie budziło to lęk, ale także i zachwyt! A może naprawdę będą i damy — wytworne balladowe istoty, urodziwe, strojne w jedwabie i aksamity, siedzące tak lekko i niezwykle wdzięcznie bokiem na grzbietach końskich?..

Robin dojrzał wyraz twarzy Maud i zrobiło mu się jej jakoś żal.

— Zejdź w tę ścieżkę, Strzała, i stańmy! — poradził. — Niech sobie dziewczęta popatrzą, skoro tak chcą!

Dickon wzruszył ramionami, cmoknął na kobyłę i szarpnąwszy lejce, skręcił na wskazaną ścieżkę wiodącą w prawo od gościńca. Była wąska, ale wóz jakoś mieścił się pomiędzy pniami. Strzała zatrzymał go w odległości kilkunastu jardów, uznając, że stąd dziewczyny mogą się przyglądać, a ich pojazd nie zwróci niczyjej uwagi. Nikt też nie będzie wygrażał i pomstował, że się gościniec zajmuje.

Robin nie omylił się w przypuszczeniu, bo orszak istotnie nadciągał. Już było widać sunących przodem barwnych jeźdźców. A za chwilę okazało się, że nie jest to żaden liczny rycerski huf, lecz taka sobie drużyna może we cztery dziesiątki koni. Popatrzeć jednak — owszem, było na co! Dobrane wierzchowce, wysokie normańskie siodła, barwne okrycia i jeźdźcy — chłopcy na schwał. Wprawdzie nie było wyczekiwanych przez Maud pięknych amazonek, za to opończe i płaszcze mieniły się wszystkimi barwami tęczy, a w stożkowatych hełmach i kolczugach odbijały się złościście słoneczne promienie, przenikające przez gałęzie drzew. Sunący przodem jeździec majestatycznie dzierżył rozwiniętą chorągiew. Na lśniącym, jaskrawo szafirowym płacie jedwabiu wyobrażony był czarny gryf, dzierżący w szponach czerwono-złotą szachownicę.

Nie był to herb sir de Clarence'a, bo ten Bobby i chłopcy z Oxton od razu by poznali. Odkąd sięgali pamięcią, widniał nad wjazdową bramą do Clarence Court: czarny łabędź ze złotą lilią na skrzydle. Musiał to więc być orszak jakiegoś innego pana, ale kogo? Z ciekawością przypatrywali się jeźdźcom, sunącym tuż za chorągwią, próbując odgadnąć, co to za jedni.

Był to jednak z ich strony daremny trud. Skąd mogli wiedzieć, że to młody baron Gilbert de Courtenay, siostrzeniec sir de Clarence'a, po raz pierwszy raczył zaszczycić swoją obecnością Wyspę? Była to jego pierwsza w życiu „zamorska wyprawa” w towarzystwie wuja, a w ojczystej Normandii tyle się od wuja, i od innych posiadaczy angielskich włości nasłuchiwał o dzikości tej ziemi, o głupocie, prostactwie i pogaństwie jej mieszkańców, że nim jeszcze wyruszył w drogę — zdecydowany był okazywać

wszystkiemu i wszystkim na Wyspie bezbrzeżną pogardę i całym swym zachowaniem dawać do zrozumienia, iż liczy się do prawowitych rodaków i dziedziców woli męz- nego króla Wilhelma Zdobywcy.

Z tej także przyczyny poduczył się nieco angielskiej mowy, choć szła mu ta nauka bardzo opornie, a sam język wydawał się barbarzyński i cudaczny. Ale jego znajomość mogła się przecież przydać — choćby właśnie po to, by wyspiarze rozumieli, co sir Gilbert de Courtenay o nich myśli. Dlatego też niezbyt bogaty zasób słów i zwrotów, jakie zdołał sobie przyswoić młody baron, składał się głównie z krótkich i wyniosłych rozkazów, a także — z wyzwisk i obelg.

Sir de Clarence'a jakieś ważne sprawy zatrzymały w Londynie, ale sir Gilbert, ciekaw wujowego „demesne”, uzyskał pozwolenie wyruszenia tam wcześniej. Wprawdzie właściciel Clarence Court przystał na to nie bez wahania i napominał, żeby podążać ostrożnie. Zwłaszcza leśnymi traktami. Licho nie śpi i choć podobno o fugiti- ve'ach mało ostatnio słyhać — to przecież są!

— A niechby spróbowali na nas uderzyć, wuju!.. — zapalczywie wykrzyknął sir Gilbert, który liczył sobie dopiero dziewiętnaście lat, tęsknił do bohaterskich czynów i jeszcze nie znalazł okazji by dowieść, że nie na darmo nosi miecz.

Niezbyt się przejął strofowaniem, które po tym życzeniu nastąpiło — i z nie ukrywaną złością przystał na wolę wuja, który przydał mu do towarzystwa jednego ze swych przyjaciół, stałego mieszkańca Wyspy, sir Ryszarda Verney'a. Ale ta złość szybko minęła, bo sir Ryszard okazał się opiekunem nad wyraz taktownym, za to nieporównanym gawędziarzem i znawcą „barbarzyńskiej” krainy.

Sir Gilbert jechał teraz pod dumnie rozwiniętą, własną herbową chorągwią i w głębi serca odczuwał zawód, że droga dobiega już końca, a nic ciekawego się nie zdarzyło. Nie okazując wszakże tego, wiódł poważną rozmowę z sir Verney'em i własnym giermkim, szlachetnym Etiennem de Monteyeux.

— Tak, ziemia w istocie dzika, ale lasy wspaniałe, to trzeba przyznać! — rzekł w tej chwili tonem bywałego światowca. — Czy °ne nie mają końca?

— Powiadają, że wiewiórka z lasu Hampstead może przelecieć aż do wrzosowisk Yorku skacząc z gałęzi na gałąź i ani razu nie dotknąć ziemi! — odparł sir Ryszard. — Stąd, z Sherwood, blisko do borów Cannock Chase, a dalej już Arden. Ogromna, nieprzebyta knieja...

— No, ten Sherwood też niczego sobie! — zawyrokował sir Gilbert, obracając głowę na wszystkie strony, bo naczótek hełmu i chroniąca nos stalowa płytką nie pozwalały swobodnie rzucać dokoła oczyma. — Popatrzcie, monsieur Verney, choćby na ten dąb! Co za olbrzym! Pewnie z tysiąc lat sobie liczy...

— O, a temten, panie! — zawtórował Etienne. — Chyba i troje ludzi by nie objęło!

— A zwierzyny tu dużo?

— Mnóstwo! — zapewnił pan Verney. — Królewskim woodguardom i leśniczym niełatwo jej upilnować...

— Upilnować? Przed kim? — zaciekawił się Etienne.

— Przed kłusownikiem oczywiście.

— Kto kłusuje? Te saskie dzikusy? — oburzył się sir Gilbert.

— A któżby inny?

— Cóż to, prawa nie ma? Kar należnych? — sir de Courtenay aż rzucił się w siodle z oburzenia.

— Jakże nie? Są! — sir Ryszard wzruszył ramionami. — Ale tutejszy lud sprytny, rzadko się daje na uczynku schwytać...

— No, gdyby tak teraz jakiego na uczynku zdybać... — rozmarzył się mściwie Etienne.

— Zaraz by się przekonał, co królewskie prawo znaczy! I nie tylko on jeden! — podchwycił z większą jeszcze zawziętością sir Gilbert.

Pan Verney obrzucił ich obydwu dziwnym wzrokiem.

— Teraz waszmościowie nikogo na uczynku nie zdybiecie! — powiedział sucho. — Przecież niedługo uroczystość Zesłania Ducha Świętego!

— A cóż to ma do rzeczy? — zdziwił się Etienne.

— Ma bardzo wiele. To dla tutejszych ludzi wielkie święta, zwą je po swojemu: „Majem”...

— Zwą je „Whitsuntide”! *³¹ — popisał się znajomością języka sir Gilbert, choć słowo to wymówił z pewnym trudem.

— Tak, ale częściej zwą ją po dawnemu, z pogańska!

— Że też ich Bóg nie skarże! — zgorszył się Etienne.

— Iw tym czasie żaden z mieszkańców Wyspy nie ośmieliłby się polować! — ciągnął swe wyjaśnienia sir Ryszard. — Obyczaj zakazuje, a oni swoich obyczajów święcie strzegą...

— Też mi obyczaje! Pewnie jakieś pogańskie gusła! — prychnął sir Gilbert. — Wiesz waszmość coś o nich?

— Oczywiście. Ot, na przykład: Majowy Orszak i „Jack-in-the- -Green”!

— „Zielony Jack”! — sir Gilbert znów popisał się znajomością języka Wyspy. — A co to takiego?

³¹ *Whitsuntide (ang.) — angielskie „Zielone Świątki”, dosł. Biała Niedziela.

— To młodzieńczy obyczaj i wielka uciecha dla chłopców. Kiedy chłopak piętnasty rok skończy, staje się wedle tutejszego zwyczaju młodzieńcem i w noc przed „Majem” nim go mianują. To piękna ceremonia, takie jakby pasowanie...

— Co waść mówisz! Nie godzi się tak zwać jakichś barbarzyńskich zabaw! — zaprotestował oburzony sir Gilbert, który bardzo tęsknił do chwili własnego pasowania.

— Ale dla nich to naprawdę dostojny obrzęd...

— I mówisz waść, że w noc przed tym swoim „Majem” to czynią?

— Tak. Ta noc zwie się „Zieloną Nocą”! A w wieczory ową noc poprzedzającą, musi być ich sześć, przysposabiają tego swojego Zielonego Jacka...

— Właśnie! Coż to, ten „Jack”?

— Jack-in-the-Green? To, można by rzec, taki bożek, który młodość i wiosnę wyobraża! Na tydzień przed „Majem” chłopaki zaczynają go sposobić. Zwą się wtedy „Majowymi Rycerzami”...

— Rycerzami! — powtórzył z ironią Etienne.

— A tak, tak właśnie się zwa! — potwierdził sir Ryszard, ignorując szyderczy ton młodzieńca. — I przez cały tydzień, co wieczór zbierają się na sekretnej polanie. Nikt prócz nich nie śmie o niej wiedzieć, to święta tajemnica!

— A co tam czynią?

— Odprawiają tam te swoje, jak waszmość rzekłeś, „gusła” 1 plotą swojego „Jacka”... A w samo święto, o świcie, wiodą go do swojej wsi. Wszyscy się wtedy wesela, śpiewają...

— Cóż to za dzicz! Co za pogaństwo! — wykrzyknął zgorzony Etienne.

— No cóż, trudno przeczyć, pogaństwo! — westchnął pan Verney. — Ale i to prawda, że obrzędy same w sobie ładne!

— A dziewczęta też mają jakieś swoje obrzędy? — przerwał sir Gilbert, który w ciągu tych niewielu dni pobytu na Wyspie zdążył zauważyć nie tylko urodę lasów, lecz i młodych Saksonek.

— Oczywiście, że mają! — przytaknął sir Ryszard. — Ozdabiają zielenią chaty, plotą dla siebie „majowe wianki”, przy czym każda chce mieć jak najpiękniejszy... Pięką „majowy kołacz”... No i każda wybiera sobie z tej drużyny Zielonego Jacka własnego Rycerza, dla którego musi podarunek przysposobić. Własnoręcznie... i też w tajemnicy!

— To nawet miłe! — uśmiechnął się pan de Courtenay. — Może by i nieźle było takim Rycerzem zostać...

— Saskiej poganki, panie? — Etienne pogardliwie wzruszył ramionami.

— A cóż to, poganki nie bywają ładne? Nie przypatrzyłeś się dotąd?

— Wcalem ich nie ciekaw, panie. I cóż w nich ładnego? Każda albo konopiasta, albo ruda niczym wiedźma! I wszystkie tak patrzą na nas, jakbyśmy zbójami byli...

— Prędko bym taką przekonał, że nie zbój. I nie musiałaby się nad żadnym prezentem dla mnie trudzić! Starczyłby mi ten, który ma już gotów! — rzekł ze śmiechem sir Gilbert, co w młodzieńczych ustach zabrzmiało tak frywolnie, że pan Verney, nawykły do wyspiarskiej powściągliwości w słowach, skrzywił się z niesmakiem. I jakoś mimo woli pomyślał o saskich chłopcach, odbywających swe „pogańskie gusła” w przewiązkach na czołach — przewiązkach, których śnieżna biel nie tylko potwierdzała w pewnym sensie wyspiarską nazwę nadchodzących świąt...

Sir de Courtenay nie dostrzegł wyrazu jego twarzy, bo znów się rozglądał. I wtedy właśnie dostrzegł — stojący na bocznej leśnej ścieżce wózek, a na nim sześć postaci, ciekawie wpatrzonych w jego oddział.

Może by go ów widok zgoła nie obszedł, może by minął prosty pojazd obojętnie i wzgardliwie — gdyby nie wykwintny londyński strój Maud, naprawdę mogący zadziwiać w otoczeniu samodiałowych kaftanów chłopców i takiej samej, skromnej sukienki Millie.

Sir Gilbert roześmiał się i trącił giermka w strzemię.

— Patrz, Etienne! Właśnie są! Skąd się tu wzięły? Może to jakieś saskie czary?..

Giermek też zwrócił ku ścieżce przybraną w hełm głowę i zagwizdał z uznaniem.

— No, te wcale niezłe, panie! Ciekawe, co za jedne?

— Chodź, zapytamy ich! Chyba na tyle zdołamy się z nimi rozmówić. Może zechcą z nami pojechać? — wyraził nadzieję sir Gilbert, już skręcając konia.

— Co waszmość czynisz? — zaniepokoił się pan Verney. — Zostawcie je w spokoju, wolno przecież im popatrzeć!

— A nam wolno z nimi pogwarzyć, czyż nie?

— Dajcież im pokój, panie! Już niewiele nam drogi zostało do Clarence Court...

— I dobrze się składa, że akurat przy końcu drogi taka niespodzianka! — zaśmiał się sir Gilbert.— Jedźcie z ludźmi dalej, monsieur Verney, a my z Etiennem pogawędzimy sobie trochę z tymi pogańskimi dziewczuszkami...

— Wychodzi na to, panie, że i przed „Majem” można tu zapolować! — Etienne zawtórował śmiechem swojemu panu.

— Takie polowania to ja nade wszystko lubię!..

Z wesołym stwierdzeniem sir Gilbert trącił konia ostrogami, kierując go ku ścieżce. Etienne ruszył jego śladem. Sir Ryszard Verney przez chwilę odprowadzał ich wzrokiem, nie ukrywając zgorzelenia. Wreszcie potrząsnął głową, uznając że to przecież nie jego rzecz. Stosownie do rozkazu młodego wodza podążył na czele orszaku w dalszą drogę. Nawet mu przez myśl nie przeszło, że siostrzeńcowi pana de Clarence mogłoby coś grozić. Bo niby co? Dwie dzierlatki i czterech chłystków, a wszystko odpowiednio wystraszone... Żarty sir Gilberta pewnie przyjmą po swojemu. Pan Verney znał przecież sposób bycia wyspiarskich chłopców — wiedział, że potrafią być opadowani i spokojni.

Towarzystwo na wozie niczego się nie spodziewało i w pierwszym momencie istotnie wszyscy zdrętwieli, widząc że dwóch najstrojniejszych rycerzy opuszcza szyk, kierując konie ku ścieżce. Ale chłopcy ochłonęli natychmiast, nie wyłączając gapowatego Śpiocha. Leśny instynkt nakazał im zachować się tak samo, jak zachowują się jelenie i rogacze w osaczonym stadzie. Dickon jednym ruchem odsunął dziewczęta i Bobby'ego w tył, po czym wraz z Robinem i Petem stanęli wyprostowani, osłaniając ich sobą.

Sir de Courtenay podjechał całkiem blisko, ustawił konia przy burcie wozu i ściągnął cugle, aż zwierzę chrapnęło niespokojnie. Roześmiane, błyskające spod naczółka hełmu oczy młodego pana przeskakiwały ze znawstwem i taksująco z Maud na Millie, które przytuliły się do siebie — też na podobieństwo strwożonych saren. Z twarzyczki Maud znikły zwykle rumieńce, na poblądłej buzi Millie wystąpiły drobniutki, złote piegi, a Bobby ze strachu rozdziawił szeroko usta.

Na znieruchomiałych w napięciu chłopców sir Gilbert wcale nie raczył spojrzeć, jakby byli powietrzem.

— Ma foi, Etienne!.. Mais ce sont des veritables fleurs sauvages!*³² — stwierdził ze śmiechem, przechylając się przez lęk ku wozowi.

— Całkiem niezłe, panie! — przytaknął również po francusku giermek, także osadziwszy wierzchowca. — Ale ta błękitno odziana to chyba nie Saksonka! Za strojna i włosy też ma za ciemne...

— A cóż by nasza dziewczyna robiła wśród tej hołoty? To na pewno Saksonka! Zresztą wszystko jedno, mnie i tak bardziej się podoba ta mniejsza. Istna wiewióreczka! Ciekaw jestem, czy gryzie?..

— Spróbujcie, panie, a ja spróbuję z tą niebieską! — zaśmiał się Etienne.

Obce, niedbałe słowa, jakimi przerzucali się niespodziewani przybysze, ich śmiech i wreszcie nierozpoznawalność, bo hełmy osłaniały im twarze tak, że widać było tylko oczy, część policzków i usta — wszystko to czyniło na Robinie jakieś niesamowite wrażenie, a Dickon i Pete z pewnością czuli to samo. Ale wrażenie to wzmogło jeszcze bardziej leśną czujność. Trwali w bezruchu, w napięciu, wodząc tylko wzrokiem od jednego do drugiego intruza.

— Jak cię zwa, ruda kitko?.. — zapytał kalecząc angielskie słowa z niemiłosierdnym normańskim akcentem sir Gilbert, i przechyliwszy się jeszcze mocniej przez lęk, bezceremonialnym i jednocześnie wstrętne natarczywym gestem sięgnął pomiędzy Dickonem a Robinem do warkocza Millie. Dziewczyna rzuciła się w tył, przerażona. Ale w tej samej sekundzie silnie odtrącone ramię młodego pana bez jego woli i chęci wykonało zamach w tył, a pchnięciu zawtórował ostry chłopięcy głos:

— Precz od niej!..

³² *Ma foi, Etienne!.. Mais ce sont des veritables fleurs sauvages. (franc.) — Na honor, Etienne. Przecież to prawdziwe leśne kwiatuszki!

Sir de Courtenay osłupiał. W ciągu tych niewielu dni spędzonych na Wyspie spotykał się wyłącznie z uniżonością i lękiem, zaś w najgorszym razie — z ponurymi, zdradzającymi bezsilną nienawiść spojrzeniami jej tubylczych mieszkańców. Takiego potraktowania swej szlachetnej osoby jako żywo się na spodziewał! Oniemiały, bo złość i zdumienie odebrały mu głos, teraz dopiero spojrzał na zuchwalca, który ośmielił się tak gwałtownie odtrącić jego rycerską prawicę. Zobaczył wysoko uniesioną głowę, zarumienioną z gniewu twarz w gęstwinie brunatnordzawych włosów, rozwścieczone oczy i drgające w szybkim oddechu nozdrza. Ale ta dumna i gniewna twarz należała przecież do zwykłego wiejskiego wyrostka w podniszczonym samodzielowym kaftanie. Do prostego, pogańskiego, saskiego dzikusa!

Zdumienie w jednym momencie przerodziło się we wściekłość. Sir de Courtenay zdarł gwałtownie konia i chwycił za rękojeść miecza.

— Jak śmiesz, niewolniku! — wrzasnął, odzyskując głos.

— Jestem wolnym sokmanem! — odpalił bez wahania Robin, prostując się jeszcze bardziej i jeszcze dumniej odrzucając głowę w tył.

— Ty parszywy saski szczeniaku!..

Sir Gilbert zachłysnął się ze złości i spojrzał na giermka.

— Słyszałeś, Etienne? Sokman!.. — jakby wypluł z nienawiścią to słowo. — I ten łajdak ośmielił się mnie pchnąć! Mnie!.. Barona Gilberta de Courtenay!.. Etienne, co z nim zrobimy?

— Po prostu nauczymy go, co nam winiem, panie! — odparł z chłodnym uśmiechem giermek, patrząc wzgardliwie na wyprostowaną szczupłą postać.

Robin nie drgnął nawet. Jego brunatnozłote oczy rozbłyły mocniej.

— Nasz król Artur... — wymówił niezbyt głośno, ale dobitnie — ...nasz król Artur w swoim Prawie rycerzom pod utratą czci nakazał panny i niewiasty szanować! I to wszystkie, z każdego stanu!..

— Kpię sobie z waszego Artura i z jego praw! — zagrzemiał sir Gilbert.

— I pokazaliście to, milordzie! — głos „Knighta” zadźwięczał nieopisaną pogardą. — Sprawiacie się nie jak rycerz, tylko jak zwyczajny cham!

— Dziewczyny, w las! — syknął ostro Dickon, pojmując że zajście nie może już przybrać gorszego obrotu. Usłuchały bez wahania. Zmiotło je z wozu i czmychnęły w zarośla, każda w inną stronę.

Sir Gilbert znów zwrócił na giermka twarz, zalaną purpurowym rumieńcem obrazy i wściekłości. Widać to było mimo osłony hełmu.

— Etienne... wezwij ludzi! — rozkazał przez zęby.

— Po co, panie? Sami nauczymy kmiotków rozumu!

— Słusznie!..

Sir de Courtenay wydobył do połowy miecz, ale giermek roześmiał się drwiąco.

— Dajcież spokój, panie! Szkoda oręza na tę saską juchę...

— No więc?

— Wystarczy to! — Etienne sięgnął do swego łęku, gdzie wisiał przytroczoney batog — straszny batog z surowego rzemienia, służący w odpowiednich sytuacjach do poskramiania gończej sfory, a w innych — do wyładowywania złego humoru lub niezadowolenia posiadacza.

— Więc naucz go! Naucz ich wszystkich!.. — sir Gilbert z trzaskiem wepchnął miecz w pochwę i zacisnął szczęki.

— Naturellement, sire!..*³³

Szlachetny pan de Monteyeux niedbałym gestem odpiął od siodła bicz. Ale zanim zdążył wzniesć go nad głowę, stało się coś zdumiewającego! Trzy młode postacie, dotąd znieruchomiałe i — zdawałoby się — zastygłe z przerażenia, nagle pochyliły się błyskawicznie i równie szybko wyprostowały, ze zwinnością łasic lub kun. A gdy się to stało, żadna z nich nie była już bezbronna. W dłoniach Dickona tkwił łuk ze strzałą nałożoną na cięciwę, Pete trzymał kuszę, wprowadzie jeszcze bez grotu, ale napiętą (bo od początku drogi spoczywała pomiędzy beczkami, przysposobiona na wszelki wypadek!) — a Robin zaciskał w rękach nachyloną pod kątem „bonnie”. Jego broń wydawała się najmniej niebezpieczna, lecz tylko z pozoru. Okazało się to już w sekundę później, gdy Etienne wywinął batogiem. Szczupłe, giętkie ciało chłopca wykonało istic wiewiórczy skok i unik, sfruwając z wozu, kij śmignął w górę, rzemień ze świstem oplótł się wokół twardej dębiny, Robin szarpnął i zbrojny giermek z brzękiem i hałasem runął z wyżyn siodła na sherwoodzki mech.

Sir Gilbert gapił się na niego, rozdziawiwszy gębę nie gorzej niż Bobby. Tymczasem Dickon, wsparłszy drzewce łuku o podbicie stopy, naciągnął cięciwę na całą długość ramienia, a Pete ze zwinnością, o jaką trudno byłoby go posadzić, nałożył na kuszę wydobyty z zanadrza grot. Do cna ogłupiały dostojny przybysz zza Kanału ujrział wymierzone w siebie dwa ostrza!..

— Precz stąd! — wysyczał Dickon, zdając sobie w pełni sprawę, że w tej chwili nie mają już nic do stracenia oprócz życia.

Etienne, uchwyciwszy piastę koła, zdołał jakoś podźwignąć się z ziemi. Sprawiał wrażenia równie ogłupiałego jak jego pan. Ocknął się nagle, sięgnął do ramienia chcąc zerwać z niego róg, ale że Dickon wymierzył natychmiast w niego — czym prędzej

³³ *Naturellement, sire! (franc.) — Oczywiście, Wasza Wysokość!

się rozmyślił. Obrzucił tylko wściekłym spojrzeniem całą trójkę i dysząc ciężko, dosiadł konia.

— Bien venu!..*³⁴ — wyrwało się Pete'owi, który służąc w gospodzie miał możliwość posłyszenia i zapamiętania niejednego francuskiego słówka, choć rzadko używał ich z sensem.

Sir de Courtenay odzyskał świadomość i głos.

— Wy zawszone saskie łotry, porachujemy się jeszcze...

— Precz!.. — warknął ochryplym, zupełnie niepodobnym do własnego głosem Robin.

Sir de Courtenay i jego giermek bez słowa już zwrócili w miejscu konie i pokłusowali na gościniec.

— W nogi, chłopaki! — skomenderował Dickon, gdy tylko oddalili się na odległość uniemożliwiającą już strzał. Spuścił strzałę z cięciwy, przerzucił łuk przez ramię, porwał kołczan i chwyciwszy na ręce Bobby'ego, który przez cały ten czas patrzył i słuchał tego wszystkiego jak mszy świętej, skoczył z wozu pomiędzy zarośla — jak wcześniej dziewczęta. Robin i Pete rzucili się za nim. Nie biegli w różne strony, instynktownie wiedząc, że powinni trzymać się razem: może wypadnie się bronić? Pędzili wśród pni bez słowa i bez tchu, aż zagroził im drogę potężny grabowy wiatrołom. Śmignęli kolejno ponad nim i przytaili się zdyszani za jego osłoną.

— Słyszać ich? — zagadnął szeptem Pete, któremu dopiero teraz zaczęły dzwonić zęby.

— Nie... — odsyknął Strzała, zamieniony w słuch.

— Gdyby psy wiedli, nie ucieklibyśmy...

³⁴ *Bien venu! (franc.) — zwrot w rodzaju „Powitać”!. Pete użył go niewłaściwie.

— Tss!

— A na drzewach wystrzelali by nas, jak my szyszki...

— Zamknij się, Śpioch!

Przerażony Bobby zaszlochał, choć starał się opanować.

— Cicho, cicho! — Dickon zakrył mu usta dłonią. — Nie trzeba płakać, może nas nie znajdą...

— Pewnie, że nie znajdą! — wybuchnął prawie pełnym głosem milczący do tej pory Robin.

Dickon chciał go gniewnie uciszyć, jak przed chwilą Pete'a, ale gdy spojrzał na niego — oniemiał. Chłopak wydawał się zupełnie niepodobny do siebie. Był blady, tylko na policzkach płonęły ciemne wypieki, pod zmrużonymi długimi rzęsami oczy świeciły jakimś niesamowitym blaskiem, nozdarza trzepotały, a wykrzywione nienawiścią wargi odsłaniały zaciśnięte zęby.

— Robin, co z tobą?

— Pewnie, że nas nie znajdą! — „Knight” jakby nie słyszał pytania. — Oni wcale nie będą nas szukać! Nie zawrócą, nie ma obawy! Oni, ci dwaj, słowa o tym nikomu nie powiedzą!..

— Co ty pleciesz, „Knight”?..

— Nie powiedzą! Będzie im wstyd! Nie słyszałeś?.. Chcieli nauczyć kmiotków rozumu!.. Miecza im było szkoda na saską juchę! — Robin zachłysnął się złym śmiechem. — A to my, my ich nauczyliśmy! Bali się nas!.. Oni nas się bali!

— „Knight”!.. — zaskoczony Dickon usiłował powstrzymać ten potok bezładnych, gwałtownych słów, ale do Robina zdawało się nic nie docierać.

— Boją się! Widzisz? Wystarczy im tylko pokazać, że my się ich nie boimy! — mówił z jeszcze większą zawziętością, jak w gorączce. — Widzisz?.. To wcale nie tak trudno! Nikomu nie powiedzą! Nikt nas nie będzie gonił ani szukał! Chcesz się założyć?.. Taka hańba dla nich! Rycerze! Sir de Courtenay!..

I głos, i słowa, i całe zachowanie były czymś tak zdumiewającym u chłopca, który dotąd nigdy nie zapomniał o obowiązującym wśród puszczańskiej młodzieży opanowaniu, że przestraszony Dickon potrząsnął go mocno za ramię.

— Co się z tobą dzieje? Urok na ciebie ten de Courtenay rzucił? Oszalałeś?.. Robin!

Chłopak umilkł, powiódł dłonią po twarzy i rzeczywiście jakby oprzytomniał. Widzącymi już, choć wciąż błyszczącymi z uniesienia oczyma rzucił na towarzyszy i na skulonego, trzęsącego się Bobby'ego.

— Oni na pewno nikomu o tym nie powiedzą! — powtórzył cicho i stanowczo. — I nie będą nas ścigać!

— A skądżeś taki pewien? — warknął Dickon.

— Nie pojmujesz, Strzała? Takie pyszałki w zbrojach, a zmiatali, aż się kurzyło! Przed nami!.. — Robin znów zaśmiał się mściwie. — Przed parszywymi saskimi szczeniakami! Powiedziałbyś komu, gdybyś był na ich miejscu?

— Nie jestem na ich miejscu! — odparował szorstko i trochę szyderczo Dickon. — Skąd mogę wiedzieć, co uczynią? Tobie się widać zdaje, „Knight”, że na świecie tak jak w balladzie. A w zwyczajnym życiu nigdy tak nie bywa, rozumiesz?

— Ale... ale... chyba naprawdę nas nie szukają!.. — wtrącił w tym miejscu wciąż nadśluchujący Śpioch.

Dickon i Robin przerwali sprzeczkę i także zamienili się w słuch. Istotnie, nic nie wskazywało na to, żeby jakaś pogoń ruszyła ich śladem i tropiła po lesie. Słyszeć było tylko znajomy, przyjazny szum drzew i beztroskie, majowe szczebiotanie ptaków.

— No co? Rację mam! — triumfalnie stwierdził Robin.

Strzała wzruszył ramionami.

— Kto ich tam wie! Ale jeśli zaraz za nami nie ruszyli, to może nam faktycznie pokój dadzą. Bierz małego, Śpioch, i wracajcie do wozu, tylko ostrożnie!.. A my poszukajmy dziewcząt! — zwrócił się do Robina. — Biedule, pewnie ledwie żyją ze strachu!

Pobiegł w gąszcz. „Knight” rozejrzał się, próbując ustalić właściwy kierunek poszukiwań. Pamiętał mniej więcej, w którą stronę umykała Maud, a od dawna wiedział, że dziewczęta w ucieczce nie kluczą, tylko mają zwyczaj biec na oślep przed siebie. Z pewnością nie inaczej uczyniła Maud z Londynu, tym bardziej — że była z Londynu! Zdecydowanie ruszył jej domniemanym tropem.

Serce wciąż jeszcze łomotało głośno z emocji i gniewu, do których dołączyło się teraz jeszcze uczucie mściwej radości. Ale najsilniejszy był jednak gniew, przechodzący momentami w pełne odrazy zdumienie. I tacy rycerzami się zwać?! Przecież to zwykłe łobuzy! Żadnej w nich dworności, o której tak pięknie mówią ballady... Z jaką wzdargą i nienawiścią patrzyli, jak obelżywie wymyślali! To są właśnie oni — wrogowie! Najeźdźcy!.. Istne zwierzaki!.. Gdyby tam, na wozie, miał w dłoniach nie „bonnie”, a łuk jak Dickon, chyba strzeliłby bez wahania! Tak — strzeliłby!..

Dotąd nieraz zadawał śmierć — zwierzętom. Ale szlachetnie, po łowiecku, wedle przykazania Haernonna: „Abyś jak najmniej bólu zadał!..” A w tej chwili, po raz pierwszy w życiu, czuł tę przerażającą chęć: strzelić do człowieka! I zabić! Na śmierć! I tak, żeby cierpiał umierając!..

Ogarnęła go zgroza. To chyba grzech, straszny grzech tak myśleć! Podniósł dłoń do czoła, żeby się przeżegnać, i poczuł że czoło ma mokre od potu. Odjął dłoń — i nagle zobaczył Maud!

Siedziała skulona pod krzakiem tarniny, wcisnąwszy głowę w podolek błękitnej sukni. Znikła gdzieś cała jej królewskość, cały majestat ślicznej Guinevere. Ramionami wstrząsał szloch. Wydawała się bezradna i biedna jak skrzywdzone dziecko. Robin w jednej chwili zapomniał o wszystkim, podbiegł pędem i przestraszony, nachylił się nad nią.

— Maud!..

Drgnęła i podniosła głowę. Przez moment patrzyła nieprzytomnie i nagle w zalanych łzami oczach rozbłysła radość.

— Robin!..

— Co ci się stało, Maud?..

— Robin!.. — powtórzyła i znowu załkała, ale już całkiem inaczej.

— No, ja!.. Co ci jest? — przykłęknął obok. Jakoś bezsensownie się zdziwił, że ma odwagę mówić jej „ty” — i że ona też nie nazywa go już dziecinnym imieniem, którego tak nie lubił.

— Robin!.. Żyjesz!..

— A czemu miałbym nie żyć? — zapytał zdumiony.

Twarzyczka Maud lśniła od łez, ale uśmiech już żłobił urocze dołeczki w policzkach, na które z wolna powracały rumieńce.

— A Dickon?.. A Pete?.. — zapytała drżącym głosem.

— Też cali i zdrowi, nie bój się! — zapewnił Robin.

— A... a tamci?..

— A tamtych przepędziliśmy na cztery wiatry! — „Knight” z dumą, do której we własnym przeświadczeniu miał pełne prawo, podniósł wysoko głowę. — Nauczyliśmy ich rozumu! Nie bój się, już nie wrócą...

Maud wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, ciemnoniebieskimi oczami, jeszcze pełnymi łez. Ale oprócz tych łez chłopiec zobaczył w jej spojrzeniu najprawdziwszy zachwyty.

— A ty... ty nas broniłeś! I tak ślicznie o królu Arturze powiedziałaś! Och, Robin, prawdziwy z ciebie knight!..

— Musiałem przecież, bo oni...

„Knight” urwał i zdrętwiał, bo ramiona Maud otoczyły nagle jego szyję, poczuł bardzo bliski, słodki różany zapach — a do warg przyłgnęło coś delikatnie ciepłym i miękkością. Zachłusnął się i szarpnął, żeby się uwolnić, ale nie potrafił. Nie, inaczej: nie chciał!.. Dopiero gdy Maud rzuciła się gwałtownie w tył, uwalniając go z uścisku — i on się odsunął, jeszcze gwałtowniej niż ona. Tak gwałtownie, że stracił równowagę i całkiem po „pętacku” usiadł na ziemi, patrząc na nią w oszołomieniu.

Maud, widząc wyraz jego twarzy, zawstydziła się swego nieopanowania — choć przecież było on tylko skutkiem radości i ulgi. Wiedziona nieomylnym dziewczęcym wyczuciem, pojęła że musi teraz koniecznie zdobyć się na jakiś żart — i poprzez ten żart dać chłopcu do zrozumienia, że jest tylko dzieciakiem, niczym więcej.

Trochę władczy, a trochę przekornym gestem sięgnęła do jego ramienia, delikatnie ujęła pasmo brązowordzawych włosów, owinęła je sobie wokół palca i koniuszkiem tego kosmyka połaskotała Robina w nos.

— „Knight”!.. Śliczny, mały „Knight”!.. A dobrze by było, gdybyś się częściej czesał. Nie każdy ma takie jak ty...

Wciąż patrzył na nią szeroko otwartymi, brązowozłotymi oczami, oszołomiony. Maud, już całkiem opanowana, uwolniła kosmyk, usiadła prosto i poprawiła na ramionach płaszcz.

— Chcesz być w tym roku moim Majowym Rycerzem?.. — zapytała, uśmiechając się prawdziwie po królewsku.

Z trudem złapał oddech w ściśnięte gardło.

— Chcę... tak, chcę!.. — wykrztusił.

Bardzo pragnął jeszcze coś dodać, ale nie wiedział co.

— Hop, hop!.. Gdzież jesteście, u licha?.. — zabrzmiał właśnie w tej chwili spomiędzy zarośli, całkiem blisko nich, niespokojny choć przytłumiony głos Dickona.

Odskoczyli od siebie jak oparzeni.

— Maud!.. Robin!.. — zawołał jeszcze bliżej i jeszcze niespokojniej Strzała.

— Już idziemy! — odkrzyknął „Knight” i zdziwił się, że własny głos brzmi mu w uszach tak jakoś niezwykle. Poderwał się, ujął wyciągniętą dłoń Maud, pomógł jej wstać z ziemi i oboje pobiegli w kierunku ścieżki, na której stał wóz.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wuj Will Rzetelny i inni

Wózek Jeffa znikł pomiędzy drzewami obrastającymi trakt, wiodący na wzgórze Holy Ghost. Turkotu też nie było już od dawna słyhać, a Robin wciąż sterczał w miejscu, w którym zeskoczył na gościniec — i jakoś nie potrafił ruszyć w swoją drogę.

Nawet nie bardzo wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Do tego stopnia zagapił się i zamyślił, że stracił kontrolę nad własnymi ruchami i dopiero głośny brzęk wyrwał go ze stanu słodkiego oszołomienia. To parciany tobołek z łonami wysunął się spod pachy i spadł na drogę...

Robin zawstydził się bardzo — i gapiostwa, i niezręczności. Szybko podniósł z ziemi zawiniątko, westchnął jak zbudzony ze snu, ścisnął w garści „bonnie” i bynajmniej nie za szybko ruszył ku ścieżce, prowadzącej brzegiem Trentu do młyna.

Szkoda, że ta niezwykła podróż dobiegła już końca! Cóż by dał za to, by towarzyszyć Maud aż do Holy Ghost — i z powrotem, do „Trzech Dzików”...

Ale do Holy Ghost pojechali tylko oni, a on, Robin, musi wrócić do domu... Zaraz, a co działo się na wozie, kiedy znów znaleźli się na nim po tej nieoczekiwanej i groźnej przygodzie? Przypominał to sobie z wielkim trudem. Czy mówił coś do Maud? Nie, na pewno nie rzekł ani słowa — ani do niej, ani do nikogo! Tylko Pete, znów rozdygotany, przysięgał raz po raz, że choćby go kto zabił — nie rozumie, jakim sposobem kusza znalazła się w jego rękach! A Dickon warknął, że wszystko jedno, jak się to stało — nie mogło się stać inaczej. Miał rację!

I Dickon też był znowu zły, jeszcze bardziej niż przedtem. Czynił gorzkie wyrzuty Maud, że tak się upierała, by zobaczyć ten „orszak”. I że niepotrzebnie tak się wystroїła! Do wielebnych ojców nawet nie przystoi jechać w londyńskich szatach, a kto wie, może właśnie przez nie ten sir de Courtenay ich dostrzegł i zaczepił! Może i to racja... ale coż Strzale do tego, jak się Maud odziewa? Wolno jej przecież wkładać szaty, jakie chce! A on niech patrzy swojej Millie!

Maud może i czuła się trochę winna, bo choć zawsze taka obrotna w języku — teraz większość uwag. Dickona zbywała milczeniem. I to nie królewskim, wyniosłym milczeniem, tylko... A jeśli wcale nie czuła się winna? Jeśli — po prostu też nie mogła ochłonać, tak jak on, „Knight”?.. Bo przecież ta chwilka w lesie była cudowna, po prostu czarodziejska!..

Aha, to pamiętał: musiał w pewnej chwili wziąć od Dickona lejce, bo Pete trząsł się ze strachu, a Millie nieoczekiwanie rozplakała się głośno i Strzala usiłował ją uspokoić! Millie była najbardziej przerażona i roztrzęsiona, może dlatego, że to jej osoba zainteresowała sir de Courtenay'a, że do jej warkocza sięgnął tak brzydkim gestem! O Dickona też pewnie strasznie się bała, myślała że zginie... Nic im już nie groziło, lecz ona płakała z twarzą ukrytą na piersi Strzały, a on gładził ją po ramieniu i ponuro patrzył przed siebie. Nagle oświadczyła przez łzy, że z Holy Ghost nie wróci do Saxfield! Ten sir de Courtenay mógł przecież jechać do Clarence Court! Może zacznie jej szukać po demesne?.. Niech Dickon po zapowiedziach odprowadzi ją do Mirfield, do chrzestnej! Niech da jakoś znać matce! Panu Sheltonowi już nic do niej, skoro otrzymał wykupne! I ona nie wróci do domu, póki nie będzie na pewno wiadomo, że ten sir de Courtenay...

— Dobrze, zrobimy jak chcesz! — zgodził się Dickon, choć widać było, że bardzo mu są przykre i te skargi, i perspektywa rozłąki z kochaną dziewczyną — na jak długo? Ale rozumowanie Millie wydawało się nie pozbawione słuszności. Ona, dziewczyna z demesne, miała za sobą na pewno cięższe życiowe doświadczenia niż

oni, mieszkańcy królewskiej wsi... Gdyby już była żoną Dickona jak on poddaną króla, nie musiałyby się tak bać! Ale jeszcze nią nie była. Zaś rola Strzały jako obrońcy — skończyła się już. Skończyła się w chwili, kiedy opuścił łuk, bo strzała nie zdołała by już dosięgnąć uciekających. Teraz — jak mógłby jej bronić?

— Ale na „Maj” przyjdiesz do Oxton? Bo jakże bym ja...

— A może oni tylko przejeżdżali gościńcem! — wyraził opinię rozdygotany Śpioch. — Mało to różnych przejeżdża?..

— No, czasem powiesz coś mądrego! — poparła go Maud. —

Pewnie, że mogło tak być!

— A jakże! Ciągnęli do Mansfield albo i jeszcze dalej! — Śpiocha tak uradowała ta pochwała, że aż przestał się trząść. — Tyle ich będziemy widzieli!

— Też tak myślę! Bo i kto tutaj taki znak ma? — Maud najwidoczniej również krzepiła się tym przypuszczeniem. — Musieli być z daleka! A znak wstrętny, widzieliście? Pasuje do tego, kto go nosi...

— Wstrętny czy nie, o tej sprawie trzeba milczeć! — zawyrokował surowo Dickon. — Na razie nam pokój dali, ale jeszcze nie wiadomo, co z tego może być! „Knight” gada, że im wstyd, a ja myślę że takie dranie wcale wstydu nie mają! W miłosierdzie Boże ufajmy... i gęby na kłódkę, rozumiano? I wy, dziewczyny, żebyście słowa nikomu o tym nie pisnęły!

— Chłopakom opowiedzieć nie można? — zmartwił się Pete.

— Ani chłopakom, ani nikomu! Chryste Panie, jeśli już nie Normany, to przecie tato żywcem by mnie ze skóry obłupili! — stwierdził gniewnie Dickon.

W tym momencie i Robin nagle pomyślał, że gdyby wuj Will dowiedzieli się o tym co zaszło — to może by ze skóry nie obłupili, ale z pewnością by tę skórę tego przetrzepali. Chyba nawet mocniej niż za szpicaka! Bo przecież można było tej awan-

tury uniknąć, nie musieli tak strasznie ryzykować! Gdyby usłuchali Dickona, który radził ukryć się z wozem w lesie... I raptem cała ta historia wydała się chłopcu nie bohaterską, rycerską przygodą, tylko po prostu — zwyczajną głupotą. Tak, jak w obliczu wujowego gniewu wydawały się nią — ponieważ! — najbardziej pomyślne i zdarzone łowy...

Ale dłużej tej sprawy roztrząsać nie mógł, bo dojechali już do traktu wiodącego ku Holy Ghost i trzeba było zbierać się z wozu. Wziął swoje manatki, klepnął Bobby'ego po ramieniu ze słowami: — Szczęść ci Boże, „Wrzosiak”! — kiwnął wszystkim głową i zeskoczył. I wtedy...

— Bywaj zdrow, „Knight”! — powiedziała Maud, wyciągnawszy do niego dłoń.

Powiedziała to takim śpiewnym, słodkim głosem i wyciągnęła dłoń takim gestem, że osłupiał! Nie wiedział: uścisnąć tylko tę dłoń, czy ucałować końce palców, jak balladowi rycerze? Uprzytomnił sobie jednak, że wszyscy patrzą, więc nie ucałował. Za to zaczerwienił się po uszy. A Maud patrzyła na niego swoimi ciemnoniebieskimi oczami i uśmiechała się. Tymi czerwonymi ustami, które tam w lesie tak słodko, delikatnie i miło...

W jednej sekundzie wszystko znikło z pamięci: i wuj Will, i normańscy panowie, i niebezpieczeństwo na które tak lekkomyślnie się narazili i które, być może, jeszcze nie minęło. Zapomniał o wszystkim. Widział tylko te oczy i usta, i falę ciemnych włosów okolonych srebrną obrączką z kamykami, i błękitną szatę. Widział długo, choć wózek od dawna znikł pomiędzy drzewami. Królowa, jego królowa Guinevere!

„Chcesz być moim Majowym Rycerzem?..”

Nie ośmieliłby się nawet marzyć o podobnym zaszczycie! A ona zapytała, czy chce! Zaś przedtem... „Robin, prawdziwy z ciebie knight!..”

Teraz szedł ścieżką nad Trentem. O tej porze późnego majowego południa rzeka jakby zleniwiała, pachniało sitowiem i mułem, w przybrzeżnych szuwarach niemrawie pogadywały senne żaby, jakby czyniąc wprawki przed wieczornym koncertem. Z drugiej strony, od Sherwood niosła się woń świeżych liści i rozgrzanej dębiny, szum drzew oraz dzwonienie ptasich haseł i odzewów. Fale z pluskiem uderzały o brzeg. Chłopcu wydało się nagle, że w tym wszystkim — w blasku słońca, w szumie Trentu i drzew, w śpiewie ptaków, w kwakaniu żab, w majowych zapachach — dźwięczy radosna, wiosenna piosenka Chrisa-Lutnisty. Piosenka, którą od dawna znał na pamięć i bardzo lubił. Ale dotychczas lubił ją tylko z racji jej melodyjności i żywości, Nad treścią nigdy się nie zastanawiał. A w tej chwili... to, co przyszło mu przeżyć — jakby zawarło się w słowach tej właśnie piosenki!

Szedł chłopak ze swą ukochaną

Przez łąkę, kwiatami usianą!

W zielony szli gaj, a w sercach był maj,

I nucił im ptak, a wiatr szeptał tak:

Jak dobrze iść wraz, gdy wiosny jest czas!

Masz jego, masz ją - o-no-nonny-no!

Jedyna to pora miłości...

Ta dziewczyna i ten chłopak z pieśni Chrisa byli dotąd jakimiś zwyczajnymi, zupełnie obojętnymi dla „Knighta” istotami, bez imion, bez wyglądu. A teraz wiedział na pewno: dziewczyna miała na imię Maud! I miała twarz i postać Maud! A chłopcem był on sam — Robin z Młyna. Wprywdzie nie szedł z nią „przez łąkę, kwiatami usianą”, tylko samotnie, nadrzeczną ścieżką... Cóż to jednak znaczyło! Czyż nie mógł wyobrazić sobie, że idą we dwoje, jak w Chrisowej piosence? Mógł — i doskonale potra-

fił! Widział błękit sukni, płynący nad soczystą zieloną, usianą majowymi kwiatami łąką... I czy nie miał prawa nazywać Maud „ukochaną”? Sama mu to prawo dała!

„Tak pięknie o królu Arturze powiedziałaś...”

„Robin, prawdziwy z ciebie knight!..”

„Knight!.. Śliczny, mały knight!..”

Trochę drażniło to „mały” — i o tych włosach też nie musiała tak mówić! Swoją drogą, może należałoby je rzeczywiście częściej czesać? Nie, lepiej myśleć o tym, co mówiła wcześniej!

„Robin, prawdziwy z ciebie knight...”

Doceniła jego dzielność! Płakała z lęku o niego, bała się, że go zabiją... A to, co on uważał za rzecz oczywistą, za swój obowiązek mężczyzny — ona uznała za bohaterski czyn! „Prawdziwy z ciebie knight!..” Chyba po raz pierwszy ów przydomek zabrzmiał nie jak zwykle: drwiąco czy w najlepszym wypadku żartobliwie, lecz jak zasłużony, godny, rycerski tytuł... I kto to powiedział? Maud — taka piękna, przez tylu chłopaków podziwiana, taka dumna i strojna! I w dodatku — z Londynu!

Ta świadomość własnej dorosłości, powagi i męstwa też była czymś zupełnie nieznanym i nowym — i było to uczucie tak wspaniałe i tak piękne, że aż w gardle dławilo radością i wzruszeniem. Chwilami miał ochotę ruszyć pędem i w podskokach, podrzucać i łapać „bonnie”, wykrzykiwać coś na cały głos i śmiać się też głośno — do słońca, do rzeki, do drzew... Ale od tych niegodnych mężczyzny objawów uszczęśliwienia powstrzymywała go... właśnie myśl, że obrońcy niewiast, poskromicielowi normańskich napastników, knightowi wybranemu na Majowego Rycerza (i to wybranemu — przez Maud z Londynu!) absolutnie to nie przystoi!

Że jednak musiał, po prostu musiał dać upust radości — ulżył sobie przystojnie: właśnie słowami piosenki.

Ty wiosno zielona, szalona!

Na imię ci: on, albo: ona!

Więc kwitnij i trwaj, niech zawsze jest maj!

Gdy szczęście jest tuż, nie bójmy się burz!

Niech ptasi brzmi śpiew, niech w żyłach wrze krew,

Niech oczy nam lśnią-o-no-nonny-no!

Bo święta to pora miłości...

Przestał nucić, bo doszedł już do mostku. Widok młyna i domowych zabudowań przywrócił mu utracone poczucie rzeczywistości — i to tak, że zdziwiła go cisza. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że przecież młyn milczy, bo zepsuty. A on tak bardzo opóźnił swój powrót! Trochę wylękniony, przyśpieszył kroku. Rzucił okiem na strzechę, znad której unosił się dym. Ten widok zawsze budził uczucie głodu i przywodził na myśl smakowicie parującą miskę. Ale teraz chłopiec czuł, że chyba nie będzie w stanie niczego przełknąć. Pewnie dlatego, że Maud na wozie poczęstowała ich pszennym chlebem i wędzonką. Ach, Maud!.. Niech nawet wuj skrzyczą — wszystko warto znieść!

Wbiegł na podwórko i zatrzymał się jak wryty, a w miejsce radosnego uniesienia, dumy i błogiej pewności siebie — w jednym momencie napłynęły do serca trwoga, zdumienie, zmieszanie i świadomość, że nic nie jest wart. Na przyzbie chaty, w cieniu strzechy siedzieli wuj Will, zaś obok niego...

„O Jezu!.. — jęknął w duchu przerażony Robin. — I po cóżem go tam w lesie przed tym Wrzosiakiem wspominał? W złą chwilę!”

Kiedyś, w jednym z nieczęstych w swoim życiu momentów poważnego zastanowienia się nad tymże życiem, roztrząsał doniosły problem: czy istnieje na świecie coś, czego on, Robin, naprawdę się boi? I doszedł wówczas do uczciwego wniosku, że

owszem, boi się. Nawet bardzo! Nie królewskiego prawa, nie woodguardów, nie Normanów we wszelkiej postaci, nie niebezpieczeństw czyhających we włościach sir Sherwooda i nie bólu zadanego koleżeńskimi pięściami czy „bonnies”, tylko — wujowego gniewu objawiającego się w namacalny sposób oraz... ojca Austina, jałmużnika z Holy Ghost!

Ale lęk przed gniewem wuja nie przynosił przecież wstydu. I strach przed ojcem Austinem też nie, bo surowego, obdarzonego potężnym wzrostem, szorstkim głosem i przenikliwym wzrokiem zakonnika wszyscy się bali — od najmłodszych do zupełnie sędziwych mieszkańców parafii Holy Ghost! Traktowano go z szacunkiem i gdy zjawiał się we wsi — kto mógł, śpieszył z datkiem dla ubogich. Datki te ojciec Austin ładował w potężny, noszony na swych również potężnych plecach worek. Chodząc po okolicy, zwykł się podpierać grubym pielgrzymim kosturem, który trzymał w sposób zdumiewająco podobny, do tego, jakim ujmowało się „bonnie”. I czasami robił z niego podobny użytek! Opowiadano na przykład, że kiedyś, zawędrowawszy po jałmużniczej kweście do Dark Glade, trafił akurat na srogą bijatykę pomiędzy kilkoma skłóconymi sąsiadami. Bez wahania wkroczył w akcję i nie dochodząc niczyjej racji, sprawił wszystkich sprawiedliwie. A innym razem w Mirfield pouczył odpowiednio tym kosturem jakiegoś nicponia, znęcającego się nad żoną...

Robinowi nieraz wydawało się rzeczą wprost niezrozumiałą, dlaczego właśnie Ojcu Austinowi przypadła w opactwie taka rola: świadczenie miłosiernych uczynków, dopomaganie nieszczęśliwym? Przecież postać srogo patra, głos i to co zwykł mówić i czynić, zdawały się przeczyć wszelkim wyobrażeniom o miłosierdziu! Czując na sobie jego wzrok, z łatwością można było sobie wyobrazić wszystkie piekielne katusze!

Ojciec Austin, gość we młynie rzadki i ogromnie szanowany, oraz wuj Will siedzieli z kubkami w dłonach, a pomiędzy nimi na przyzbie stał przykryty mokrym gałganem dzban z piwem. Obok nich wspierał się ramieniem o strzechę Jake, na stojąco

przysłuchując się rozmowie. Nie mógłby brać w niej udziału, choćby nawet chciał. Na jego twarz potrafił spoglądać bez trwogi i wstrętu tylko ktoś, kto jak mieszkańcy młyna nawykł do jej widoku od pięciu lat — i jak ojciec Austin, który z racji swej zakonnej powinności napatrzył się podczas jałmużniczych wędrówek zapewne i na gorszą ludzką biedę.

Swoje okropne kalectwo Jake przyniósł z Palestyny. Przed kilku laty, po niezbyt sławnej wyprawie, która nie tylko nie wydarła Saracenom świętej Jerozolimy, ale i dla samego króla-wodza (jego dumne lwie miano dla tych właśnie przyczyn prędko zastąpiono na Wyspie ironicznym przydomkiem „Dick-Tak-i-Nie“!) skończyła się zdradzieckim uwięzieniem go gdzieś na kontynencie — zaroilo się od weteranów, wynędzniałych, pokiereszowanych, toczonych chorobami, na które nie znano leków. Wśród tych nieszczęśliwych był i Jake- -Niemowa, któremu muzułmański miecz odciął niemal całkiem dolną szczękę i ciężko uszkodził język. Strasząc ludzi odrażającym wyglądem, tułał się o żebrany chleb, za który biedak nie potrafił nawet opowieściami o krucjacie zapłacić. Aż wreszcie przywędrował do oxtońskiego młyna wuja Willa i tu już pozostał. Może nie chciał wracać do swoich z takim kalectwem i szpetotą, a może nie miał do kogo powrócić? Okazał się wielce przydatny, a wkrótce — po prostu niezbędny. Silny był jak wół, cierpliwy i pracowity za czterech. Uznał za własne domostwo, w którym przyjęto go z chrześcijańską życzliwością, gdzie nikt nie okazywał mu obrzydzenia. Starał się odpłacić za to, jak mógł i potrafił. Stufuntowe worki dźwigał na plecach bez wysiłku. Niemal wszystko potrafił zmajstrować lub zreperować. Wszystkim okazywał serdeczne, choć powściągliwe przywiązanie, ale najbardziej kochał Robina. Chyba od chwili, w której chłopiec dzięki swemu leśnemu słuchowi wychwycił i odgadł wśród niezrozumiałego bełkotu imię przybysza.

Ta miłość kaleki miała zresztą bardzo realny kształt. Jake, który opanował znakomicie wszelkie wojackie kunszty i umiejętności, na czele z pięściarstwem, zapasami

i quarter-staffs *³⁵ (po oxfordzku — „bonnies”!) od razu dopatrył się w Robinie niezwykłej zręczności i szczególnych uzdolnień. Uznając, że grzechem byłoby je zmarnować, stał się wspaniałym nauczycielem i trenerem. Udało mu się przełamać nawet opory wuja Willa, który początkowo wzbraniał owych ćwiczeń — nie wiadomo dlaczego. Obecną swoją sprawność i sukcesy „Knight” zawdzięczał właśnie Jake'owi i nigdy o tym nie zapominał.

On też uważał Jake'a za swego najlepszego przyjaciela. Jemu powierzał każdą tajemnicę — wcale nie dlatego, że Niemowa nie mógłby jej nikomu zdradzić! U niego szukał pomocy w kłopotach i zmartwieniach. Jake często potrafił skutecznie go obronić przed wujowym gniewem i karą. Ba, był kiedyś nawet taki szczęśliwy czas, że wyprawy do sir Sherwood'a odbywali we dwóch! Pozostało to dla Robina najmiłszym wspomnieniem. Niestety, po krótkim okresie tego szczęścia Jake zrezygnował stanowczo i dał do zrozumienia, że jeden z nich, chociażby tylko z racji starszeństwa i ciężkich życiowych doświadczeń — musi mieć więcej rozumu.

Nikommu we młynie nie przeszkadzało, że Jake nie mówi. Wujowi Willowi — bo był małomówny i twierdził, że starcza mu trajkotania młyna. Robinowi — bo gadał do Jaka sam, składając mu obszernie relacje z rozmaitych swoich przygód, z odniesionych zwycięstw, z przeżytych niepowodzeń i z myśliwskich szlaków. A Jake był surowym słuchaczem! Jeżeli coś nie zyskiwało jego uznania — potrafił spojrzeniem, zmarszczeniem czoła albo wymownym gestem lepiej przywołać do rozsądku, niż wuj Will wiadomym argumentem.

Mały Much kontentował się w zupełności twierzącymi lub przeczącymi ruchami głowy, którymi kaleka odpowiadał na jego bardzo liczne i najczęściej bardzo nieładne pytania. A ciotka Agnes zyskała w Jake'u milczącego, cierpliwego słuchacza swoich niewieścich biadoleń, sarkania, swarliwych uwag o sąsiadach i niewypłacalnych

³⁵ *Quarter-staffs (ang.) — właściwie „quarterdaystaffs” — nazwa, jaką określano pałki, sławną broń w średniowiecznej Anglii.

klientach oraz małżeńskich i rodzicielskich utyskiwań. W ten sposób wszyscy byli zadowoleni!

Zgromadzenie u przyzby nie dostrzegło na razie „Knighta”, sterczącego przy wiklinowej furtce. Chłopak pomyślał z goryczą, że ani chybi — pech Bobby'ego z Patton przeskoczył na niego, Robina! Bo czyż mogło być coś gorszego niż ta księża wizyta? Wielebni ojcowie z Holy Ghost mieli od dawna ustalony i jednolity pogląd na wychowanie młodzieży, ale chyba żaden z nich nie wypowiadał tego w sposób tak dosadny i tak przemawiający do wyobraźni, jak ojciec Austin!

„Knight” wiedział doskonale, co nastąpi, gdy podejdzie do nich. Spóźnił się, wystarczy że wuj powiedzą choć słowo — a ojciec Austin natychmiast wystąpią z umoralniającą nauką. I to jaką! Może lepiej nie podchodzić, tylko czmychnąć w bok, do młyna? Zaczekać tam, póki groźny gość się nie wyniesie?

Postanowiwszy, chciał ostrożnie wycofać się tyłem za furtkę. Ale był zbyt zdenerwowany, by należycie zważać na swe ruchy — i w pośpiechu zawadził o żerdź tobołkiem, który zabrzączał złowieszczo. Oczywiście o ucieczce nie mogło już być mowy.

— No, przecie wreszcie się zjawił! — stwierdził osobliwie powitalnym tonem wuj Will i rozkazującym gestem przyzywał chłopca ku sobie.

Nie pozostawało nic innego, jak ze skruszoną miną szybko podążyć na wezwanie.

Robin zbliżył się nieśmiało, oparł o krawędź strzechy kij i wręczył wujowi tobołek, do którego młynarz zaraz z profesjonalną nieufnością zajrzał. Chłopak tymczasem, wedle nakazów obyczajności, schylił się do wyciągniętej kategorycznym gestem dłoni ojca Austina. Gdy to uczynił, zakonnik wolną już dłonią nakreślił mu nad głową krzyż i wymruczał niezrozumiałe łacińskie słowa, o których wszakże „Knight” od

dawna wiedział, że zawierają Boże błogosławieństwo i że trzeba się po nich przeżegnać. Spiesznie to uczynił.

— Pokaż no się! — ojciec Austin wstał z przyzby i schyliwszy nisko swą imponującą postać, wylazł spod strzechy. Wuj, oddawszy tobolek Jake'owi który natychmiast podążył z nim do młyna, również powstał. Nie godziło się bowiem siedzieć przy stojącej duchownej osobie.

Ojciec Austin był wysoki i masywny, a obszerny cysterski habit i fałdzisty szkaplerz przydawały jeszcze potęgi jego posturze. Stojąc, przewyższał Robina o dobrą stopę albo i więcej. Szorstko ujął chłopca za podbródek, podniósł jego twarz w górę i patrzył przez chwilę, jak to miał w zwyczaju — ostro i przenikliwie. Potem odsunął go od siebie na długość ramienia i powiódł tym samym przeszywającym wzrokiem po całej postaci, od czubka głowy do chodaków. „Knigh- ta” aż ciarki przeszły od tej księżej lustracji.

— Wyrosłeś od jesieni! — stwierdził również szorstkim głosem ojciec Austin i trudno było odgadnąć, czy chwali, czy też ma to Robinowi za złe. — Ileż to już masz lat?

— Po Wielkiej Nocy na siedemnasty mu poszło! — odpowiedział zamiast chłopca wuj, po czym zwrócił się do przestraszonego i zmieszanego obiektu oględzin: — Cóżes tak długo zwłóczył? Gdzieś łaził? Znowu cię do Oxton poniosło, do chłopaków?

— Ależ skąd, wuju...

— To gdzieżeś przepadł? Miałeś rychło wrócić, przecież młyn stoi i robota czeka! — Wuj Will chrząknął groźnie, ale wyraz twarzy Robina musiał obudzić w nim litość, bo dodał nieco łagodniej: — W kuźni czekałeś, co? Jim pewnie dużo roboty przed sianokosem mają...

— Aha... — odbąknął niepewnie „Knight”, nie chcąc grzeszyć wyraźnym kłamstwem, zwłaszcza przy osobie duchownej.

Osoba duchowna przypatrywała mu się badawczo i nieprzychylnie.

— To już ci na siedemnasty poszło? Patrzajcie, jak ten czas leci! Prawie młodzieniec! A macie w nim dość wyręki, Willu?

— Nie narzekam! — krótko, według swego zwyczaju potwierdził wuj.

— Posłuszny jest?

— No, z tym różnie bywa! — Will pokiwał głową i rzucił na chłopca surowe spojrzenie, na dnie którego wszakże bystre oko dojrzałoby iskierkę dobrodusznej kpiny. — Bywa i tak, że trzeba mu pasem o posłuszeństwie przypomnieć, zwłaszcza gdy o łowy idzie...

— I dobrze czynicie! — pochwalił dobitnie ojciec Austin. — Ojcem mu jesteście, choć i nie rodzonym, więc ojcowską surowość przez Boga nakazaną wedle potrzeby stosujcie, póki czas na to! Ostro trza chłopaka trzymać, ostro i twardo, bo inaczej na ladaco wyrośnie. Mówi Pismo Święte: „Bijąc, duszę jego od piekła zbawiasz!” Dlatego w niczym mu nie pobłażajcie, ręki nie szczędźcie! A ty — zwrócił się do „Knighta”, słuchającego z prawdziwym przerażeniem tych monitów — hardości nie waz się okazywać, rozumiesz? Wdzięczny bądź, kiedy ci wuj za niewielkie nawet przewinienie porządnie skórę wyłoją! Co ja słyszę? Wciąż ci te łowy w pustym, nierozumnym łbie? To naprawdę chcesz zdrowie, a może i żywot, od Boga ci dane, przez własną głupotę postradać? Małoż razy mówiłem, smarkaczu, że tego nie tylko królewskie prawo wzbrania, że grzechem śmiertelnym duszę obciążasz?! Taki z ciebie chrześcijanin, hę? Nicpoń jesteś, nicpoń i tyle! Nie załujcie pasa, Willu, mówię i wam!—

Robinowi tak nieprzyjemnie było tego słuchać, że najchętniej = skryłby się pod ziemię. Miał wrażenie, że w srogich, oskarżycielskich słowach zakonnika słysząc głośnie klaskanie przyklepnego wujowego rzemienia i że z tymi odgłosami narasta piekący

ból poniżej pleców. Wrażenie było tak silne, że odruchowo sięgnął ręką w to miejsce, aby je rozetrzeć — i spostrzegłszy się, spłonął rumieńcem aż po uszy. Spojrzał błagalnie na wuja. Niechże coś powiedzą o złożonej przysiędze i o czystym od przedwiośnia sumieniu swojego łowcy! Wuj Will milczał jednak, więc „Knight” zebrał całą odwagę, aby szepnąć o tym sam — i nagle wspomniął niedawne zdarzenie na gościńcu! Ścierpł ze strachu. Boże święty, przecież wspólnie z Dickonem i Petem dopiero popełnili grzech śmiertelny! Wszyscy trzej mogli życie, od Boga dane, w jednej chwili postradać! Większe im niebezpieczeństwo groziło niż od woodguardów! No, czy nie tak? Więc chyba rzeczywiście jest nicponiem i na ladaco wujowi wyrośnie! Jak mógł czuć się taki radosny, taki dumny ze swej odwagi i zręczności? Cóż wobec grzechu znaczyły — podziw Maud i jej niezwykła nagroda?

Z płataniny gorączkowych, przerażonych myśli wyblęsnęły nagle ciemnoniebieskie, uśmiechnięte oczy Maud... i przesłoniły wszystko! Choć pozostało uczucie zawstydzenia, bo z tą rozkoszną wizją w tak przykryj sprzeczności stały żądania ojca Austina: żeby wuj trzymał ostro i twardo, i żeby nie żałował pasa!

Bardzo dotkliwie i niemiło uświadomiło to niedorosłość. Na szczęście „Knight” uprzytomnił sobie nagle, że wuj Will do tego pasa wcale tak często nie sięgają. Tych srogich rad pewnie też zbytnio do serca nie wezmą. Wuj są dobrzy!... Zaś on, Robin, chyba może uważać się za wystarczająco dorosłego, skoro go za takiego

uznała Maud! Skoro go przecież, tam w lesie przy gościńcu... jakież "o było słodkie!..

W tej chwili ojciec Austin właśnie w te myśli niemiło dziabnął.

— A na skromność i cześć młodzieńczą zważasz, he? — spojrzał ostro na chłopca, który miał już niezbitą pewność, że groźny jałmużnik przybył wyłącznie po to, by się nad nim pastwić. — Pogwarek nieprzystojnych z koleżkami nie wiesz? O bezceństwach nie myślisz?

Nieszczęśliwy „Knight”, czerwony jak mak, stał z oczyma wbitymi w ziemię, nie wiedząc co ze sobą począć i co rzec. Ojciec Austin najwidoczniej wziął ów rumieniec i milczenie za dowody winy, bo nagle sięgnął do włosów Robina — z tej samej strony co Maud, ale bynajmniej nie tak czule i delikatnie jak Maud! — chwycił je pełną garścią i boleśnie potarł. Palec jego drugiej dłoni wznosił się grożąco.

— Pilnuj swojej sevenbold, chłopaku! Pamiętaj, że kogo około „Maja” pocznie ona w głowę uwierać, temu ją zły ściągnie!

— Co też mówicie, ojczye wielebny! — zachnął się stojący obok wuj. Otoczył ramieniem barki zawstydzonego niemal do łez Robina i na moment przygarnął chłopca do siebie, jakby biorąc tą szorstką pieczęcią w obronę. — Dobry z niego chłopak, na cześć swą baczy!

„Knight” rzucił na przybranego ojca spojrzenie pełne wdzięczność. Ale ojciec Austin, choć dał spokój włosom, wciąż patrzył srogo i oskarży cielsko.

— To dobrze, że baczy. Ale i wy baczcie, Willu! Z oka nie spuszczać, do roboty zapręgajcie, do pacierza gońcie, niech na pustoty czasu nie ma! W najgłupsze lata wszedł, a kiedy we łbie zielono, z tej zieloności grzech jak chwast łatwo wyrasta. Takim smykom grzech słodki się widzi, a pokuty zań ciężkie! Miej w pamięci, smarkaczu, co mówię! Wieczne potępienie za to czeka, zaś tu, na ziemi, scarlet sign^{*36}..

— Wuju, poszedłbym się umyć z drogi... — wykrztusił Robin czując, że jeszcze moment, a naprawdę nie wytrzyma! Albo się rozplącze z upokorzenia i złości, albo wrzaśnie na cały głos coś... coś takiego, że ojciec Austin... I niech się potem dzieje, co chce!

— A idźże, idź! — zezwolił natychmiast wuj Will. Z jego głosu można się było domyślić, że wcale nie jest rad temu, co rzekł ojciec Austin. — I pośpiesz się! Jak

³⁶ *Scarlet sign (ang.) — „Szkarłatny Znak”. Takim znakiem piętnowano winowajców, którym dowiedziono grzechu rozpusty. Obyczaj ten wskrzesili później puryta- nie angielscy.

podjesz, musicie z Muchem wierzby dla owiec naciąć, a potem z łąki je przypędzić. Uwiń się z tym wszystkim, bo roboty huk, nocy zarwać wypadnie...

Robin nie dosłuchał do końca. Zamiatał ku młynówce całą prędkością swych zwinnych nóg. Młynarz z nachmurzoną twarzą wlaźł znowu pod strzechę i usiadł, nie czekając aż uczyni to dostojny gość. Dlatego też nie ujrzał, że twarz zakonnika, odprowadzającego spojrzeniem smukłą i zgrabną chłopięcą postać, straciła surowy i potępiający wyraz. Zastąpił go dobrotliwy, dumny uśmiech.

— Chłopak jak orzech! — stwierdził także zupełnie innym tonem ojciec Austin, sadowiąc się obok Willa. — Zdrowy, dziarski, zręczny! I rośnie na schwał. Bóg łaskaw! I tobie dzięki, Willu...

— Za cóż dziękować? Jedyne Bogu, jak mówicie! — Will chrząknął i nagle przemówił z powściąganą irytacją, zgoła bez szacunku dla habitu: — Ale wy z czym to wyskoczyliście, ojczye wielebny? Scarlet sign!.. Toć Robin jeszcze dzieciak, chyba nawet nie wie, co to takiego...

— Już on tam wie. I wcale nie taki z niego dzieciak! Mówię przecież, że wyrósł, ledwie go poznał! A urodziwy się zrobił, aż oczy rwie! Żebyś tylko utrapienia przez to z nim nie miał!

— Jakiego utrapienia? — młynarz wzruszył ramionami.

— Wiadomo. Mało to dziewczuch pustych i bez czci?

— Ech, tam! — Will machnął lekceważąco ręką.

— Nie żartem to mówię, Will. Musisz strzec! Piękny chłopak, całkiem w rodziców poszedł. Oczy, włosy... jakbym lady Joan widział! A usta ma ojcowskie i tak samo mu się chrapy rozdymają, jak... Requiem aeternam... — głos ojca Austina nagle ochryplł i opadł do wysiłonego szeptu. Zakonnik przeżegnał się wolno.

— Amen!.. — szepnęła również z wysiłkiem Will i też się przeżegnał.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

— Nie spodziewałem się, że takim go ujrzę! — podjął ojciec Austin, wpatrzony w przepływające ze wiklinowym płotkiem fale Trentu. — Kiedy tu jesienią byłem, to prawdziwie dzieciakiem się widział. Ale teraz... aż mi się straszno uczyniło, Will. Jak mgnienie te lata zleciały!

Młynarz milczał, też wpatrzony w rzekę.

— Jest takie przysłowie: *parva domus, parva cura!*^{*37} — ciągnął jałmużnik. — To się na naszą mowę tłumaczy: póki dzieci małe, to i trosk niewiele. Ale gdy dorość poczną, utrapienia też rosną!

— Nie straszcie, ojcze! Sami rzekliście przed chwilą, że Bóg łaskaw! I prawda, łaskaw. Nie darmo powiadają, że ma sieroty w szczególnej Swej pieczy. Chłopak zdrów, mocny... i utrapienia też dotąd żadnego z nim nie mam, chyba że to łowy! Ale wiecie lepiej niż ja, skąd mu się to bierze! — rzekł chmurnie Will. Z długości tej przemowy wynikało niezbitnie, że ostrzeżenia ojca Austina mocno go wzburzyły.

— Na ten raz może i szkoda, że łowy nie dla niego! — stwierdził szorstko zakonnik.

— Bójcie się Boga, ojcze! Cóż to mówicie?

— Chłopak w męskie lata wchodzi, Will. Stale go widzisz i wciąż ci się dzieckiem zdaje. Ale być nim już przestał, musisz to pojąć. A krew ma w sobie gorącą i tylko patrzeć, jak zakipi. Ja znam krew Fitz-Gothów! — twardo i dobitnie rzekł ojciec Austin.

Will skamieniał.

³⁷ **Parva domus, parva cura* (łac.) — Mały dom, małe kłopoty.

— Swithin!.. — wykrztusił nieswoim głosem, jakby nagle zapomniał nie tylko o szacunku dla habitu, ale zgoła imienia zakonnego swego gościa.

— Tak, Will. To wartka i niespokojna krew. Dobrze pomnę, ile naszego nieodżałowanej pamięci sir Erica...

— Swithin, na Mękę Zbawiciela...

— Ile naszego sir Erica — ojciec Austin opędził się dłonią od błagalnego, przeczącego gestu Willa — kosztowało trzymanie jej na wodzy! Ale sir Eric cześć swą rycerską ponad wszystko szanował, umiał sobą władać. A potem, gdy całego siebie Sprawie naszej poświęcił... Nie szarpże mnie, Will! Tak właśnie Fitz-Ooth'owie czynili: zajęć przystojnych a trudnych, zaś potem celów świętych i wielkich szukali, aby im służyć, człowieczym słabościom nie folgować! A Robin...

— Co: Robin? — zachnął się gniewnie Will. — Alboż go oszczędzam? Naharuje się chłopak we młynie, aż patrzeć nieraz żal...

— Nie żałuj mu roboty, Will. Niech się trudzi, niech z chłopakami swoją bonnie macha, niech się siłuje choćby do siódmych potów, niech gania ile strzyma! Nie rycerskie to ćwiczenia, ale skoro jedyny możliwy los dla niego obraliśmy... — zakonnik westchnął ciężko. — Dlatego też rzekłem, że na ten raz szkoda, iż łowy nie dla niego!

— Na rany Jezusa, Swithin! Mają mi go woodguardy ustrzelić albo też... — młynarz zachłysnął się ze zgrozy.

— Przecież słyszałeś, żem mu tego najsurowiej wzbraniał. Wiem, że nie można. Ale że szkoda, to szkoda! Miałby i uciechę, i zajęcie dla niego przystojne, i trud godziwy. W tym by się wyżywał, jak rodzic, gdy był w jego latach. Dobrze przecież pamiętam... — jałmużnik westchnął jeszcze ciężiej niż przed chwilą.

Znów obaj pograżyli się w posepnym milczeniu.

— Cóż począć! — przecknął się ojciec Austin. — Bóg chciał, że jest tak, a nie inaczej. Jego świętą wolę szanujmy, Will. Będę Go prosił, aby cię w twoich ojcowskich troskach wspomagał i pokrzepienie dawał. A ty pamiętaj, czyją krew chowasz, i strzeż!

— Alboż nie pamiętam? Nie strzeżę?

— Wiem. Ale mówiłem ci już... lęk mnie ogarnął, kiedyś dziś przed sobą nie smyka, a młodzieńca urodziwego ujrzał! Czy sprostamy temu, cośmy Bogu ślubowali? I pamięci jego rodziców? Nie dość dziecko wykarmić, odziać, pacierza wyuczyć. Trzeba je na uczciwego chrześcijanina i prawego człeka wychować!

— Czynimy przecież, co w naszej mocy! I Agnes, i ja! — obruszył się Will.

— Po cóż w gniew wpadasz? — zakonnik z nieoczekiwaną serdecznością położył dłoń na jego zaciśniętej, spracowanej ręce. — Wiedziałem, komu ów skarb powierzyć. I wiem, że chłopak lepszej opieki mieć nie może. Niechaj ci Bóg siły i zdrowie da, byś do końca powinność ojcowską wypełnił!

Ufam, iż tak właśnie będzie, Swithin. A o chłopca się nie bój. Dobry jest, pracowity, roztropny...

— To dzięki tobie, bo w tobie te cnoty widzi. I pewnie już ich nie zatraci! Ale znów powtórzę: nie dziecko pod opieką już masz, lecz podrostka w najtrudniejszych latach! Z takim inaczej trzeba postępować, i sam na siebie inaczej baczyć winiem. Wzburzyło cię to, com rzekł...

— Bo i pewnie! Smykowi szesnastoletniemu o scarlet sign gadać... — zaczął Will, i w tej chwili na nowo wzburzony.

— A chcesz mu za lat parę w rodzicielskiej dumie, po przyjęciu sakramentu, sevenbold z czystego czoła zdjąć?

— Opamiętaj się, Swithin! Z niewinnego chłopca rozpustnika jakiegoś mi robisz!
— Will rozgniewał się na dobre. — Po cóżeś znowu o tym zaczął?

— Bo lepiej zawczasu mieć o niebezpieczeństwie wyobrażenie, niż poniewczasie rękę łamać! — Moje służba zakonna i kapłańska, a tę drugą już przecież od dobrych kilku lat sprawuję, nauczyły mnie w serca ludzkie patrzeć, myśli i pragnienia z oczu odgadywać. Na Robina tylko spojrzałem i wiem: niewielkiej iskierki potrzeba! Niech padnie, a chłopak zapłonie...

Will drgnął i spojrzał na niego, jakby chciał coś rzec, ale powstrzymał się. Zamiast tego również wpatrzył się w rzekę i milczał ponuro.

— Pokus na świecie nie brak! — ciągnął zakonnik. — Obaj za niego przed Bogiem odpowiadamy, bośmy ślubowali. Obaj musimy przez świętą pamięć jego rodziców, tak okrutną śmiercią z tego świata zeszyłych...

— Daj pokój, Swithin! — szepnął młynarz, wstrząsając się.

— A lady Joan! — wspomniał raptem zakonnik, nie słysząc tej prośby. — Kiedy się w sir Ericu rozmiłowała, to na cały świat przestała zważać! Woli wszystkich Huntingdonów umiała się sprzeciwić, bogactwa zostawiła, splendory i dostatki odrzuciła, na nierównie gorszą dolę do Locksley poszła!

— Wiem przecież! Po co to wspominasz?

— Bo jej wtedy ledwie szesnaście lat było! Tyle właśnie, co teraz... Robinowi...

— Bój się Boga, Swithin! Toć to zupełnie co innego! — oburzył się Will.

— Pewnie, że co innego, i porównań żadnych nie myślę czynić. Dla panny to już przecież wiek dojrzały, sposobny do małżeństwa i macierzyństwa! A chłopak właśnie w tych latach najgłupszy. Już nie dziecko, jeszcze nie mężczyzna... Pomyślałem o lady Joan, bo nie wiemy przecież, czy Robin po matce uporu dziedzictwem nie wziął. I on gotów, jakby co, na świat cały przestać zważać...

— Zostawiłbyś w spokoju świętą pamięć naszej lady! — przytłumionym głosem rzekł Will. Widać było, że z trudem panuje nad sobą. — Wszak ten jej upór za cnotę uważać się godzi! Nie było lepszej, wierniejszej, bardziej miłującej małżonki, niż ona nią była dla...

Urwał raptownie, jakby czymś przerażony. Zakonnik domówił twardo:

— Dla sir Erica Fitz-Ooth'a, wodza naszej Sprawy!

— Swithin!.. Na imię Boże! — wysyczał przez zęby Will.

— Ja niczyjej pamięci nie uwłaczam, prędzej ty to czynisz, lękając się imienia sir Erica wyrzec! — stwierdził szorstko ojciec Austin. — Ale zostawmy tę rzecz. Mówiłeś, że nie oszczędzasz Robina. I co z tego? Chłopak we młynie chowany, w ciężkiej robocie, w prostactwie, a jak się nosi! Jak głowę trzyma! Krwi szlachetnej nic nie ukryje, mocna. Nie wyprze się, że Fitz-Ooth!

Will znów wzdrygnął się mimo woli.

— Nie będzie się ani wypierał, ani nie wypierał, bo o niczym nie wie! — rzekł posepnie. — I nie dowie się, dopóki ja na świecie żyję! — dorzucił po chwili z zawziętością w głosie.

Ojciec Austin jakiś czas patrzył na niego bez słowa.

— A ludziska nie widzą, że on całkiem do młyna nie pasuje? — zagadnął nagle. — Nie dziwiają się?

— Jakże nie! — Will zwarł zęby, jak ugodzony w żywą ranę. — Zawsze się dziwowali i dziwiają! Kiedyś wypytywać próbowali, wiesz przecie sam... Teraz już nie, ale widzę, jak patrzą. Chłopaki przezwały go „Knight”, niby na kpiny, ale... — machnął desperacko ręką.

— A widzisz.

— Ale on nie tylko jak knight się nosi i głowę trzyma! — Will mówił już i tak zadziwiająco dużo jak na siebie, a w tej chwili, pragnąc zrzucić z serca nagromadzone tam od dawna troski i obawy, pochylił się ku zakonnikowi i zaszeptał pośpiesznie: — On tak jakoś... jakby sam z siebie wiedział, co przystoi a co nie uchodzi, co sprawiedliwe a co niegodne! Jeżeli co przyrzeknie albo obieca, święcie dotrzyma! Nie skłamię, słabszego palcem nie tknie, każdemu będącemu w potrzebie pomoc gotów, choćby i z własną krzywdą... I hardy nigdy nie bywa, choć to przecież u niedorostków rzecz zwyczajna... Pamiętliwy też nie jest ani zawzięty... Toć nieraz po karku dam, albo i, Boże odpuść, tyłek pasem zerznę aż samemu mi żal, a on nawet nie piśnie... Nawet krzywo nie wejrzy...

— Uczyniłeś tak choć raz, kiedy żadnej winy w nim nie było? — przerwał sucho ojciec Austin.

— Skądże znowu! — oburzył się szczerze Will.

— Więc dlaczego miałby być na ciebie krzyw? Sam rzekłeś, że wie co sprawiedliwe. Rozumie, że słusznie go karzesz!

— Słusznie, ale serce mnie wtedy boli. Przecie wiem, com ja, a kto on... — wyznał z rozpaczą Will.

Ojciec Austin widać należycie pojął to osobliwe sformułowanie, bo pokiwał głową i po jego wargach przemknął cień uśmiechu.

— Ojcem mu jesteś i masz do niego ojcowskie prawo, Will. A chłopaka trzeba surowo chować, żeby na statecznego i mężnego wyrósł. Każdy rozumny rodzic tak czyni. I u Fitz-Oothów inaczej nie bywało... Pamiętam przecież! Zanim sir Eric do lat męskich i rozumu doszedł, sir Baldwin, świeć Panie nad jego duszą, wcale mu nie płażał. Też ojcowską ręką karał, gdy trza było. I co? Syna na bohatera wychował, nieprawdaż?

Młynarz westchnął chrapliwie. Zakonnik znów zerknął na niego i dostrzegł, że twarz przyjaciela zastygła na chwilę w wyrazie przerażenia. Uspokajająco dotknął jego ręki.

— Niechże Bóg zachowa, bym naszemu chłopcu podobnego losu życzył! Chcę tylko, byś w sumieniu swoim był spokojny. On winien cziść i roztropność twoją, i rzetelność, i pracowitość, i ojcowską rękę! Dobrze czynisz, że jej nie żałujesz, kiedy trzeba. Nadmiernie srogim wszak dla niego nie jesteś...

— Bo i nie muszę. Rzadko kiedy przewini! Ot, czasem do puszczy czmychnie, czasem z chłopczyskami uganiając drogi do domu zapomni i o robocie... Ale prócz tego żadnej mi troski nie przyczynia! Dobry chłopak, mądry, istne złoto! — twarz Willa rozjaśniła się prawdziwie ojcowską dumą, ale zaraz znowu przemknął przez nią niepokój. — Aż mi czasem strach o niego, bo przecie gadają, że gdy dziecko nadto dobre i poczciwe... — urwał, jakby bojąc się dokończyć.

— Nie lękaj się, Pan Bóg ma sieroty w osobliwej Swej pieczy! — zapewnił ojciec Austin.

— Swithin, a może on przez te ballady taki? Łasy na nie i wysłuchuje, gdzie tylko się da! Ma ich już w pamięci kopę albo i więcej...

— Ballady lubi... — szepnął cicho, jakby do siebie ojciec Austin i przez jego surową twarz przewiał smutek. Opanował się jednak niemal natychmiast, powiódł dłonią po tonsurze i rzekł już głośno, trochę tylko schrypniętym głosem:

— Nie przez ballady on dobry, Will. To też jego prawe dziedzictwo. Sanguis equitatus... — wymówił dobitnie niezrozumiałe słowa, aż młynarz spojrział ze zdumieniem i lękiem. — Rycerska krew, mówią po naszymu. Przez nią też i ballady lubi!

— Rycerska krew... — powtórzył półgłosem Will.

— A tak. No i widzisz, wciąż na moje wychodzi! Nic jej nie ukryje, we wszystkim się odzywa!

— To nie pojmuję, czemu się o niego lękasz! — młynarz ocknął się z chwilowej zadumy i wzruszył ramionami. — I po co scarlet sign straszysz! Przez tę szlachetność krwi chłopak będzie też i czci swej strzegł!

— W tym jednym pewności mieć nie można, Will. Krew w nim szlachetna, ale gorąca i wartka. A iuventa*³⁸ groźna dla niej, zawsze tak u Fitz-Oothów bywało! — widząc ponowne zdumienie i przestрах Willa, ojciec Austin wyjaśnił szorstko: — Po naszymu, zielone lata i czary „Maja”! Gdy one krew wzburzą, to rozum na nic, a gdy rozumu zabraknie, przestaje się baczyć na cześć. Pojmujesz teraz?

— Robin nie taki! — zaprzeczył gniewnie Will.

— A skąd wiesz, jaki? W tej mierze poznasz go dopiero!

Tym razem młynarz nic nie odrzekł, tylko na jego twarzy odmalowała się głęboka troska i jeszcze większy lęk.

— Mówiłem o sir Ericu! — ojciec Austin poprawił się na przyzbie. — Rodzic surowo go strzegł, zaś on sam prędko pojął, kim jest i co sobie jako człek rycerskiej krwi winien. A Robin? Jakież on tu wielkie i szlachetne cele znajdzie? Czym gorącość krwi uśmierzy, na co ją obróci? Inaczej na cześć swą zważa rycerz, inaczej prosty chłopak z młyna! Dlatego się boję o niego. Właśnie jak chłopak z młyna może postąpić, kiedy go sevenbold uciskać zacznie.

— Niechby spróbował! — warknął Will.

— Uważaj na niego. Musimy przecież kiedyś sir Ericowi i lady Joan rachunek z tej opieki zdać... — zakonnik pochylił głowę i przez chwilę milczał, może pogrążony

38* Iuventa (łac.) — dorastanie, dojrzewanie.

w modlitwie za zmarłych. — Ale to po śmierci! — podjął, przenosząc wzrok na Willa. — A tu, na ziemi... nie ścierpiałbym, słysząc że syn bohatera, Fitz-Ooth'a...

— Swithin, przestańże już wreszcie! — poprosił zrozpaczony Will. — Samym takim krakaniem nieszczęście gotówes przywołać! Jeszcze w złą chwilę powiesz! I to miano... Uwzięles się czy co? W kółko je powtarzasz! Nie strach ci? Toć ono z Księgi Królewskiej na wieki wymazane, wymawiać go nie wolno...

— Mam się imienia swego pana i wodza umiłowanego wyrzec? — zakonnik wyzywająco uniósł głowę z tonsurą. — Może ono z Księgi wymazane, ale z mojej pamięci i serca nie! Niewielu nas, którzy je powtarzamy, ale tym świętsza nasza powinność... wobec niego, naszego sir Erica, który za wolność Wyspy śmierć męczeńską poniósł.

— Swithin...

— Cóż to, ciebie mam się lękać?

— Po prawdzie, to nie masz się czego lękać! — młynarz z goryczą pokiwał głową. — Miano zakonne i habit cię chronią, nikt cię o przeszłość nie spyta! Ale ja? Mam niewiastę, tych dwóch smyków... Na poniewierkę ich zostawię?

— A tobie co grozi, Will? Znalazłem ci ten młyn tak daleko od Locksley, piętnaście lat minęło, mało kto o Sprawie naszej pamięta! — w głosie ojca Austina także zadźwięczała gorycz. — Jużeś całkiem tutejszy, oxtoński...

— Niby tak, ale ilekroć sobie wspomnę... — Will spojrział na niego i przycisnął dłonią serce. — Aż tu mnie dusi, Swithin! Bywa, że nocami spać nie mogę, zwidy mnie nachodzą, wraca to wszystko...

— W modlitwie ukojenia szukaj.

— Czynię tak przecież! Boga i Najświętszą Pannę, i wszystkich świętych o pomoc proszę, a biskupa Tomasza męczennika osobliwie...

— Proś, a będzie ci dane! Nie zawiedziesz się w swej ufności. Sir Eric i lady Joan też za wami w niebie orędują. Nie masz się czego lękać, Will!

— Ale gdyby ktoś prawdy doszedł, com za jeden i skąd... i kto to Robin... Chryste Panie! — Will kurczowo zacisnął dłonie na piersi. — Przecież i ja widzę, jak chłopak z dnia na dzień pięknieje, jak do rodziców coraz podobniejszy! Ludzie się dziwią, a jeśli z tego dziwowania się nieszczęście wyniknie?.. Ale nie, nikt się nie dowie, Bóg ustrzeże, prawda, Swithin? — zapytał z rozpaczą. — Cóż ludziom do niego, co im chłopak winien? On przecież teraz mój! Tylko mój, Robin z Młyna...

Ojciec Austin spojrzał twardym, przenikliwym wzrokiem w jego udręczoną twarz.

— A gdyby i jego Bóg na mściciela Wyspy nazaczył? — rzekł przyciszonym, lecz dobitnym głosem. — Któż może znać Jego niezbadane wyroki?

Will aż poszarzał na twarzy. Oczy rozszerzyła mu zgroza.

— Swithin, na Chrystusa Ukrzyżowanego...

— Nie wolno ci się zarzekać: on tylko mój, nie dowie się kim jest, nikt się nie dowie! Może przyjsć taka chwila, że będzie musiał prawdę o sobie posłyszeć! — ojciec Austin nie zdejmował z twarzy Willa mocnego spojrzenia. — I jeden z nas mu powie, albo ty, albo ja! I to powinność nasza, i jej musimy dopełnić!

— Swithin...

— A jeśli mu wypadnie śladami rodzica pójść, to ani ty, ani ja sprzeciwiać się temu nie będziemy śmieli. Winniśmy to pamięci nie tylko sir Erica, ale... i wszystkich! I świętego naszego męczennika biskupa, i tych, którzy wespół z naszym panem i wodzem życie w mękach oddali! Sir Ryszard Gamwell... sir Allan Shield... sir Arnold Thence... — wyliczał twardym, choć cichym głosem zakonnik. — A ja wiary nie tracę, że Bóg się ulituje i naszego Twi... sir Theobalda z domu niewoli wyprowadzi! Mo-

że Robin Fitz-Ooth będzie mu wtedy potrzebny, może mu u jego boku rodziców pomści!

— Boga ci nie strach, Swithin! — wybuchnął Will i aż poderwał się z ławy. — Tak kapłan gada? I zakonnik, który pokorę ślubował?

— Bóg wie, że habit saskie ciało i saską duszę kryje!

— A ja nigdy, rozumiesz, nigdy nie zezwolę, by Robin... — Will urwał na moment, głęboko zaczerpnął tchu, a twarz skrzepla mu w wyrazie bólu i przerażenia. — Chryste, miałby zginąć? Miałby i jego los rodzica spotkać?! Nigdy nie dopuszczę! Kocham go jak rodzzonego! Ojcem mu jestem, choć mnie tak nie zwie... właśnie przez pamięć Fitz-Ootha! — wyrzekł jednak to miano, może z nadmiaru trwogi i rozpacz. — Dla mnie też ta pamięć święta i przez nią ustrzegę! Będzie żył! Nie jako rycerz, tylko jako sokman, jako młynarz, jako zwykły człek! Ale będzie żył! Ustrzegę go, od wszystkiego, a już nade wszystko od walki! Tak mi Boże dopo...

Mocna dłoń ojca Austina spadła mu na ramię, ścisnęła i przerwała w pół słowa ten prawdziwy potok, naprawdę zdumiewający u młynarza Willa potok słów — bezładnych, gwałtownych, błagalnych i rozpaczliwych jednocześnie.

— A sprzysiężenie? — twardo i dobitnie spytał zakonnik. .

Will zacisnął usta i przez chwilę trwał niemo.

— To było... dawno... — wyrzekł wreszcie urywanym szeptem.

— Ale nie minęło. Trwa! A tyś sprzysiężony?

Will znów przez chwilę milczał.

— Tak! — rzucił gwałtownie przez zęby.

— A naszą obietnicę... obietnicę sir Fitz-Ootha... pamiętasz?

— Pamiętam... — przytaknął ochryple Will.

— To powtórz! Razem powtórzmy!

Wpatrzeni w swe jednakowo pobladłe twarze, zastygłe nagle w groźnym uniesieniu, zaczęli wymawiać cichymi, twardymi głosami — wolno i mocno, z zawziętą wiarą, mimo że każde słowo zdawało się mieć smak goryczy, przeszywać serca świadomością przeżytej hańby, cierpień i klęski:

Póki choć jeden szumi dąb,

Póki cal mierzy Trentu głąb,

Dopóki chociaż jeden z nas——

Nakłada kaptur, idąc w las,

Dopóki strzały ma i łuk —

Nie będzie Wyspą władał wróg!..

Szum spadającej wody i wesoły turkot młyna zagłuszył nagle ich słowa. To Jake zdążył już nie tylko zreperować uszkodzenie, ale na dodatek otworzyć stawidła i puścić koło w ruch.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Knigtowe" marzenia i młynarska jawa

Robin nie miał zwyczaju zaprzącać sobie głowy doznanymi przykrościami. Wuj Will miał rację: nie był pamiętliwy. Kiedy ojciec Austin znikł z pola widzenia, pierzchno od razu uczucie lęku i wstydu. Chłopak mruknął pod nosem coś niezbyt układnego pod adresem gościa i postanowił nie myśleć o tym, czego musiał wysłuchać. Wiadomo, ojciec Austin!.. Pewnie mu za mało kazań i nauk w opactwie pozwalają, więc folguje sobie, gdzie może. Pójdzie, jak przyszedł, i — chwała Bogu! — nieprędko znów zawita do młyna...

Rozpogodzony całkiem tą ostatnią myślą, dopadł brzegu młynówki i długim sussem sfrunął w miejsce, gdzie wcinała się w ów brzeg niewielką zatoczką. Tu zwykł odbywać swą nieskomplikowaną toaletę, rano i wieczorem. Czasami, jak dziś, miało to miejsce również w ciągu dnia.

Kilka tłustych zab, drzemających w słońcu i spłoszonych jego nagłym przybyciem, skoczyło ospale do stawu. Robin rozplątał sznurek kaftana i ściągnął go wraz z

koszulą. Przez ten czas lustro wody, zmaczone przez żaby, uspokoiło się i wygładziło. Chłopiec przyklęknął i nachylił się nad pachnącą sitowiem taflą. Była tak przejrzysta, że widział piach i kamyki na dnie, drżące pasma wodorostów i śmigające pośród nich, wrzecionowate ciała młodych rybek. A ponad tym wszystkim widział swe odbicie. Swoją twarz.

„Knight!.. Śliczny, mały knight...”

Nachylił się jeszcze niżej. Po raz pierwszy w życiu przyglądał się sobie tak uważnie, ciekaw każdego szczegółu swojego oblicza. Dotąd niewiele go to obchodziło. Nikt mu nigdy nie mówił, jaki jest, jak wygląda. I jemu samemu było to najzupełniej obojętne!

„Śliczny”?.. Co było ślicznego w tym odbitym w wodzie wizerunku? Zwyczajna twarz, szczupła, złotawa od słońca... Niezbyt duży, prosty i cienki nos, o którym „Knight” od dawna ku swemu niezadowoleniu wiedział, że w chwilach jakiegoś szczególnego wzruszenia czy podniecenia — na przykład kiedy go coś rozgniewało albo gdy wypadło z kimś się spróbować — zaczyna drżeć, trzepotać i rozdymać się. — „Knight” już prycha, zaraz zaszarżuje!.. — dogadywali wtedy ze śmiechem kole-dzy, albo złośliwiej i dosadniej: — O, Robin już gwizd*³⁹ w ruch puścił! — a jemu było wstyd, że nie potrafi nad tym odruchem zapanować. Teraz jednak nos zachował się spokojnie. Wyżej były duże, błyszczące, brązowe oczy w osłonie ciemnych rzęs i również ciemne brwi. A wszystko otoczone grzywą brunatnordzawych włosów, gęstych i puszystych.

Robin zupełnie odruchowo i bezmyślnie ujął kosmyk, owinał go o palec i poła-skotał się włosami w nos. I natychmiast zawstydzził się tak, że aż mu tchu zabrakło, a policzki napłynęły szkarłatem. To też dojrzał w wodzie. Gniewnie plusnął dłonią o powierzchnię stawu.

39 *Gwizd — w myśliwskim języku ryj dzika.

„Nie każdy ma takie jak ty...” — szepnęło przekornie w pamięci błękitne wspomnienie.

Przewyciężając wstyd, chłopiec znów nachylił się nad lustrzaną powierzchnią, wygładzającą się wolno. Włosy przecież, jak włosy... Potrząsnął nimi, aż załaskotały nagie ramiona i plecy. „Dobrze by było, gdybyś się częściej czesał...” Teraz były chyba jeszcze bardziej splątane, niż tam w lesie! Ojciec Austin poczochnął i szarpnął, aż zabolalo. Musiał tak zrobić?.. Nie, po co myśleć o ojcu Austinie! Lepiej o czym innym...

„Nie każdy ma takie jak ty...”

Cóż, prawda! Niemal wszyscy jego koledzy w Oxton mieli przyzwoite, płowe, w całej pełni saskie czupryny. Tylko Martin Ucho był rudy płomienną, letnią lisią rudością, a Johnny Kitten jakiś popielatobury. Natomiast on, Robin... Kiedy był młodszy i jeszcze nie nazywano go „Knightem”, chłopcy wołali na niego „Wiewiór”.

Do dziś zresztą uważał ów dawny przydomek za nierównie sympatyczniejszy od obecnego, choć wiedział, że nazywano go „Wiewiórem” wcale nie ze względu na zręczność, z jaką wspinał się na najwyższe i najgrubsze drzewa. Tę sztukę znali przecież doskonale wszyscy chłopcy, wychowani w puszczańskich wsiach. Dawne miano zawdzięczał — właśnie włosom, które były równocześnie ciemne i rdzawe, zupełnie podobne w kolorze do gęstego, zimowego wiewiórczego futerka.

I także były gęste. Podobno takie bywają od mącznego pyłu, który co dnia na nich osiada i który co wieczór przed zaśnięciem trzeba wytrzepywać i z zaciśniętymi zębami wyczesywać kościanym grzebieniem. Trzeba, choćby się nie wiem jak chciało spać, bo inaczej ciotka Agnes nie pozwoli wejść na wyszkę. Boi się robactwa. A z tą mąką — to chyba prawda, bo przecież wuj Will, choć im już pięćdziesiątka stuknęła, wciąż mają gęstą czuprynę i zarost!

Zarost?.. Robin przyjrzał się uważnie delikatnemu, ciemnemu puszkowi nad górną wargą. Zdecydował stanowczo, że jeśli to nawet nie prawdziwe wąsy, to w każdym razie ich początek — i że ktoś, kto takie ma, absolutnie nie zasługuje na obraźliwe miano „smarkacza”. Ale dlaczego i Maud powiedziała „mały Knight”? Tak jej się widać podobało i koniec! Co prawda na Wielkanoc w Patton, gdy zremisował z Kuną, też słyszał potem dokoła: „Ten mały Robin z Młyna...” — i okropnie go to złościło. Ale przecież urósł od Wielkanocy, wszyscy mu to mówią!

Naprężył barki i ramiona i też dokładnie obejrzał je w wodzie. Mięśnie były smukłe i gładkie — o, daleko im było jeszcze do potężnych mięśni Neda Humpa, najlepszego zapaśnika w okolicy! — ale jak na szesnaście lat, wcale niezłe. Mało który z ostońskich nastolatków mógł się szczycić podobnymi! Robin z prawdziwą wdzięcznością pomyślał w tej chwili o Jake'u, bo przecież była to głównie jego zasługa.

Nie, na pewno nie był już dzieciakiem! Nawet ojciec Austin powiedział: „Prawie młodzieniec!” Nie wszystko więc, co mówił, było niemiłe i zawstydzające...

Chociaż — mógł sobie podarować to „prawie”! Ktoś, kto już przed rokiem przebył wszystkie męczarnie „Zielonej nocy”, kto w tym roku będzie (już za trzy dni!) pełnoprawnym członkiem Orszaku Jacka-in-the-Greena, kto z tej racji będzie musiał co wieczór przywdziewać sevenbold i „leafy-girdle”, liściasty pas chroniący od uroków i złych leśnych mocy, słowem — prawowity Majowy Rycerz!.. — ktoś taki chyba jest zupełnie młodzieńcem, bez żadnego „prawie”!

I jeżeli ten ktoś jest Majowym Rycerzem — wybranym! I jeżeli tego Majowego Rycerza...

Robin dotknął lekko warg, które nagle zrobiły się dziwnie gorące. Jak się to stało — tam, przy gościńcu?.. Chciał uspokoić zapłakaną Maud... i nagle zrobiło się jakoś ciepło, wonnie i słodko! Dopiero po chwili zrozumiał, że to właśnie był pocałunek. Pierwszy pocałunek w jego szesnastoletnim życiu!

Nie tylko dziewczęcy pocałunek — pocałunek w ogóle! Nikt go nigdy nie całował. Może gdy był zupełnie mały... Ale nie przypominał sobie tego. Nie znał czułości. Nie pamiętał pieszczot matki, która osierociła go, kiedy był zaledwie kilkumiesięcznym niemowlęciem. A w przybranej rodzinie? Ciotka nie pieściła, choć zdarzało jej się tulić garnącego się do niej Mucha. „Knight” nie lubił pieszczot, uważając je za coś, co nie przystoi mężczyźnie. Kiedy czasem ciotka gładziła go po głowie (bywało tak po robocie, gdy stawiała przed nim miskę!) — uchylał się nachmurzony. Wuj, kiedy był z czegoś szczególnie rad, ścisnął krótko za ramiona albo poklepał po plecach... To wszystko!

Nigdy by nie przypuścił, że może być tak... I że zrobi to Maud! Taka śliczna, taka zupełnie już dorosła panna, w dodatku przybyła w ich puszczańską okolicę — z samego Londynu! To przecież nie byle jakie miasto, stolica Wyspy! Nottingham, w którym „Knight” był już parę razy z wujem — z pewnością się do stołecznego grodu nie umywał. A jak to dostojnie zabrzmiało, gdy Maud westchnęła do Paniienki z Westminster! Pewnie widziała i pamięta koronację króla! Może też oglądała go, ruszającego do Palestyny?.. Ech, co tam król! Nie wiadomo, gdzie teraz jest — a Maud jest niedaleko, w „Trzech Dzikach”! Chyba, że nie zdążyła jeszcze wrócić z Holy Ghost... Żeby jej się tylko w powrotnej drodze coś nie przygodziło, bo czy ten ciamajda Śpioch potrafiłby ją obronić? Nawet Dickona już nie będzie, mieli iść z Millie do Mirfield! Czego ta Millie tak się bała? A jeśli ten de Courtenay naprawdę ciągnął do Clarence Court? Niemożliwe!! I po co o nim myśleć — skoro ich od razu nie gonili i nie złapali, by ukarać, to wszystko w porządku!

„Robin, prawdziwy z ciebie knight...” — zadźwięczały znów w pamięci pełne zachwyty słowa Maud.

Czym sobie zasłużył na jej zachwyty i taką cudowną nagrodę? Tym, że bronił Millie i jej przed brutalnymi zalecankami tego de Courtenaya? Przecież jest to obowiązkiem każdego mężczyzny! Król Artur nakazał rycerzom tę powinność pod groźbą

utracy czci! Wprawdzie oni — Dickon, Pete i Robin — nie są rycerzami i nigdy nie będą (no tak, wkrótce będą „Majowymi”, ale przecież zupełnie co innego!) — a mimo to wiedzą, że trzeba jej przestrzegać. Bo przecież nawet puszczańskie zwierzęta, nie mają rozumu, bronią swych towarzyszek przed niebezpieczeństwem!

A ów sir Gilbert myślał, że wolno mu bezkarnie dziewczęta obrażać — i dlatego dostał za swoje! A ten drugi, Etienne, dostał jeszcze paskudniej! Należało mu się, bo był o wiele pyszniejszy i bardziej złowrogi w swej nienawiści. „Szkoda miecza na tę saską juchę!” Szkoda ci było miecza, normański draniu? Więc się przekonałeś, co potrafi „saska jucha” i saska „bonnie”! Dobrze ci tak! Ledwieś dziury w ziemi nie wybił! Gdybyś wtedy siebie widział...

Robin zachichotał mściwie na wspomnienie tej chwili triumfu, bo gdy brakło ojca Austina — myśl o śmiertelnym grzechu całkiem ulotniła się z głowy. Nie ma co, chwacko się spisali, wszyscy trzej! I dziewcząt ruszyć nie pozwolili, i obronili się sami! Zadźwięczały mu nagle w uszach słowa piosenki, którą nucili jadąc gościńcem, krótko przed tą przygodą:

Nas chowała gęstwina,

Nonny-no! Nonny-no!

Żaden karku nie zgina!

Nonny-nonny-no!

Po to palkę masz i luk, giętki luk, —

Żeby wiał przed tobą wróg!

Nonny-nonny-no!..

Śpiewali to tak sobie, dla animuszu i z nudów, niczego się spodziewając... A czy się nie sprawdziło — kaździuteńkie słowo?

Drgnął nagle, uderzony pewną myślą. Już przecież raz przebiegła mu przez głowę — wtedy, gdy biegł szukać Maud. Ale zaraz ją znalazł, i... i zapomniał o wszystkim. A w tej chwili ta sama pewność przeszła mózg jak grot: wrogowie!

Tak, to byli wrogowie, najeźdźcy! Potomkowie tych, którzy przed blisko półtora wiekiem napadli na ich swobodną, wesołą, śliczną, szumiącą lasami Wyspę! I zabrali jej wolność! To ich Wilhelm dzięki krzywoprzysięstwu, dzięki tej napaści mógł zastąpić swój haniebny przydomek „Bękarta” dumnym mianem „Zdobywcy”. To dzięki nim włożył na skronie świętą koronę króla Edwarda! To pradziad któregoś z nich, może nawet samego sir de Courtenaya albo Etienne'a, ugodził strzałą w oko nieszczęsnego króla Haralda — w rozpaczliwej, beznadziejnej śmiertelnej bitwie pod Hastings. Ach, przecież on, Robin, wspominał dziś Hastings — i Dickon wyśmiewał się z niego...

Wrogowie...

Samo to pojęcie nie było przecież obce. Wrogiem był — chociażby „Szatan z Clarence Court”, Sas który stał się Normanem. I sir Rolf Monte, szeryf z Nottingham, i cały jego dwór wraz z rangersami, którzy ujęli sir Twice'a The... I Artur „Pilnuj-Lasu” ze swoimi zielonymi woodguardami, i widywani w kościele i w mieście dostojnicy, kościelni i świeccy. Dużo ich było! Ale nagle Robin zrozumiał, że dotąd byli oni dla niego wrogami — jakby tylko z nazwy. Wiedział, że są i że nic na to nie może poradzić. Nigdy dotąd, przez całe szesnaście lat, nie przyszło mu stanąć z żadnym z nich twarzą w twarz, narażając życie — tak jak dziś. Owszem, zdarzało mu się, i to nieraz, zmykać w lesie przed woodguardami, kiedy ich posłyszał albo poznał po śladach. Ale przecież nie walczyłyby z nimi! Gdyby go złapali — to koniec!

A dziś przyszło mu walczyć! Walczyć, bronić się — i pokonać!

Umiał i lubił to robić. Chyba nie potrafiłby nawet już policzyć, ile walk stoczył w życiu — na pięści, na „bonnies”, w zapasach, w biegach, zawodach strzeleckich (aż do największego sukcesu w Patton!)... Ale walczył nie z wrogami, lecz z przeciwnikami!

Właśnie! Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że ten, z którym wypada się zmierzyć — to wróg!..

Im taki przeciwnik był silniejszy, zręczniejszy, przemyślniejszy — tym większy budził respekt. Jakże cieszyło wówczas odniesione zwycięstwo! A jeśli wypadło obe-
rwać lanie (i to się zdarzało!) — trudno, trzeba było przecierpieć porażkę, przełknąć wstyd, docenić umiejętności partnera, uznać że jest lepszy! A potem ćwiczyć w dwój-
nasób pilnie, żeby nie dopuścić do następnej przegranej...

Zresztą ci lepsi czy równi przeciwnicy też umieli się zachowywać bardzo godnie. Taki Kuna z Patton, na przykład! Sławny w całym shire, a wcale nie uważał za hańbę, że szesnastoletni Robin z Młyna nie uległ mu nawet w dogrywce! Z powagą, mocno, po męsku uściśnął dłoń wobec wszystkich zgromadzonych i pogratulował talentu. Z całą pewnością szczerze! Mało tego: objaśnił, jak należy ustawiać przy celowaniu palce lewej dłoni, żeby i strzałę wyczuwać, i dać jej się najłatwiej wymknąć! I nawet zdradził swoje własne, sekretne ćwiczenie zręczności palców! Czy to nie szlachetne? Nie sam remis był szczęściem, lecz remis z kimś takim jak Phineas Kuna! A jego zwięzła pochwała: „Będzie z ciebie pociecha!” — miała chyba nawet większą wartość niż wygrany, upragniony nóż. Skórzany kołczan dostał Kuna, i słusznie! Choćby za samą szlachetność!

Szlachetność... Nic nie budziło w Robinie większego wstrętu, niż nielojalne sposoby walki, oszukańcze zwody, niehonorowe podejścia, fałszywe ciosy, podstawianie nie w porę nóg, zdradzieckie, wykraczające poza przyjęte reguły chwytów! Natychmiast wtedy przerywał walkę, odskakiwał lub wywijał się stanowczo — i nie było siły, która mogła go zmusić do podjęcia zmagania na nowo. Obrzucał pogardliwym spojrzeniem „pętaka” i odchodził z dumnie podniesioną głową, czemu zresztą zawdzięczał miano „Knight”. Knight czy nie — walka powinna być staczana w sposób godny, według obowiązujących zasad, bez podstępów, bez oszustw! Tak właśnie walczyli jego ulu-

bieni balladowi bohaterowie: wielki król Artur, dzielny Tristan, wytrwały Perceval i najszlachetniejszy, najmężniejszy ze wszystkich sir Lancelot of Lake*⁴⁰!

Ale jeśli przeciwnikiem jest — nie „pęta”, lecz po prostu... właśnie wróg? To znaczy taki ktoś, kogo już żadne reguły nie obowiązują, bo po jego stronie jest — przemoc? I ta przemoc zastępuje mu wszelkie zasady i prawa? Ten sir de Courtenay rzekł przecież bez cienia wstydu, że kpi sobie z najświętszych praw Króla Artura!.. A przecież to rycerz, ma herbową chorągiew, jeździ odziany w zbroję, z mieczem...

A oni trzej — Dickon, Pete i Robin... Niby zwyciężyli, lecz przecież — bali się potem! Bali się zemsty, bo postąpili przeciw prawu, które nakazuje szanować sprawujących władzę, to znaczy — „ich”, wrogów! A gdy Dickon wspomniał o ojcowskim gniewie (niby dorosły, zaręczony, a wciąż boi się ciągów jak wszyscy...) — to dopiero zrobiło się strasznie! Bo gdyby Dick Tine, i Jeff z karczmy, i wuj Will dowiedzieli się o tym, co zaszło na gościńcu — to Jezus Maria! Już mniejsza o to, że wuj z pewnością zastosowałby się zaraz do rad ojca Austina. Ale mogliby tę wieść przypłacić zdrowiem lub nawet życiem! a całe Oxton uznałoby ich trzech za szaleńców, takich jak ten, który w Holy Ghost siedzi za wmurowanymi w ścianę opactwa żelaznymi prętami... Więc jak to w końcu jest? Słusznie postąpili czy głupio? A śmiertelny grzech?

Robin westchnął ciężko, pokonany przez zawilość tych rozważań. Musiał sam przed sobą się przyznać, że przerastają jego szesnastoletni rozum. Na pociechę pomyślał o spadającym z konia Etienneu — i nagle nad myślami wzięła górę nienawiść. Zapiękła, mordercza nienawiść, taka sama, jaką czuł biegnąc na poszukiwanie Maud. I znowu zrodził się z niej wniosek przerażająco prosty: jeśli z „nimi” walczyć, to chyba tylko po to — by zabić...

⁴⁰ *Lancelot of Lake (ang.) — „Lancelot z Jeziora” — najodważniejszy z dwunastu Rycerzy Króla Artura, towarzyszących mu przy „Okrągłym Stole”.

Drgnął, poczuwszy na plecach dotyk czyjejś dłoni. Obejrzał się, trochę przestraszony, a trochę zawstydzony, że przyłapano go w takiej śmiesznej pozycji i na takich rozmyślaniach. Ale nie było się kogo wstydzić. To Jake pochylał nad nim twarz, okropną maskę, której nie mogło upiększyć spojrzenie dobrych, niebieskich oczu. Lecz Robina wcale jej widok nie raził.

— Czego chcesz, Jake? O, naprawiłeś już!... — ucieszył się, teraz dopiero posłyszawszy turkot młyna. — Czekaj, ochlapię się i zaraz lecę!

Jake pokręcił głową, widocznie zdziwiony tym, że Robin tak długo marudził nad stawem, a dotąd nie zdążył się umyć. Odwrócił się i chciał odejść, ale „Knight” przytrzymał go za kaftan.

— Jake, powiem ci coś! — szepnął tajemniczo. — Tylko nie zdradź się jakim znakiem przed wujem, bo miałbym za swoje!

— ? — Niemowa spojrzał pytająco.

— Bo myśmy dziś na gościńcu... to znaczy Dickon Strzała, Pete Śpioch i ja, pościliśmy kota takim dwom normańskim łobuzom w zbrojach! Nie wiem, jak ich zwać, bo to przecież nie rycerze, a gdybym rzekł że pętaki, to bym niektórym ludziom uwłoczył! — rzekł niedbale Robin i zdumiał się, bo Jake zamarł niczym słup soli.

— Co ci jest?... Ten jeden zwał się de Courtenay, sir Courtenay, a do tego drugiego gadał „Etienne”! — podjął, chcąc zagłuszyć słowami niepokój, który nagle szarpnął sercem. — Były z nami Maud z Londynu i Millie z Saxfield, i oni je zaczęli zaczepiać! — wyjaśniał coraz głośniej i szybciej. — Jak ostatnie łobuzy! No i ja mu rzekłem, żeby się zabierał precz, niby ten Courtenay, a ten Etienne powiedział, że szkoda miecza na saską juchę i porwał batog na psy...

— !.. — Jake aż się na nogach zachwiał.

— Poczekaj, przecież widzisz, że cały i zdrow! — rozgniewał się Robin, choć niepokój wzrósł w nim jeszcze bardziej. — Wtedy Dickon złapał łuk, a Pete kuszę, a ja zasłoniłem się na półczwart, tak jak mnie uczyłeś...

Jake cofnął się o krok.

—...I szkoda, żeś nie widział, jak z konia rymnął! — zakończył triumfalnie Robin, choć czuł już nie tylko niepokój, a wręcz zwątpienie.

W niebieskich oczach Jaka malowała się zgroza, a z okaleczonych ust wydobył się jakiś nieartykułowany dźwięk, na co Niemowa zdobywał się bardzo rzadko — tylko w jakichś naprawdę groźnych sytuacjach. Tym razem ów dźwięk zdradzał najszersze przerażenie. Robin nie bardzo wiedział, jak się zachować, więc po prostu z udaną beztróską wzruszył ramionami.

— Nie bój się, nic nam nie będzie! Jak nas od razu nie zaczęli ścigać, to już nam pokój dadzą. Na pewno! Przecież nawet nie wiedzą, cośmy za jedni! A ten de Courtenay... też nie wiadomo, kto taki! — szukając sensownych argumentów, znalazł w głowie zapamiętane słowa Maud. — Nikt tu takiego znaku nie nosi! Musiał z daleka przybyć i licho wie, gdzie ciągnął! Mało to różnych przejeżdża? — użył z kolei słów Śpiocha.

Ale Jake potrząsnął głową i wciąż w jego oczach widniała trwoga. Zniecierpliwiony Robin klasnął językiem o podniebienie.

— A wreszcie ... przecież to oni nas zaczepili, nie my ich! Mieliśmy się nie bronić? Niechaj nas znają! Zamykali jak zające, mówię ci! Tacy z nich rrrrycerze!..

Ostatnie słowo warknął z najgłębszą pogardą, na jaką mógł się zdobyć. Jake machnął ręką i odwrócił się z zamiarem odejścia, ale „Knight” nie puszczał jego kaptana.

— Tylko, Jake, żeby się wuj o niczym nie dowiedzieli! Przecież by mnie żywcem ze skóry obłupili! — tym razem powtórzył za Dickonem.

Jake ponownie machnął ręką i już naprawdę chciał iść, lecz Robin jeszcze mocniej zacisnął dłoń na jego pole.

— Jake, ty przecież masz miecz! Ten twój, z Ziemi Świętej... — Wszystkiego mnie uczysz: i walczyć na bonnies, i na pięści, i zapasów... a dotąd nie pokazałeś, jak się mieczem walczy! Czemu, Jake?

— Teraz mnie będziesz uczył mieczem władać! — postanowił kategorycznie i jednocześnie błagalnie Robin. — No, co tak na mnie patrzysz? Ja i to muszę umieć! Nauczysz mnie tego, Jake, prawda?...

* * *

Życie we młynie wuja Willa, zwanego przez oxfordzką i okoliczną społeczność Rzetelnym, płynęło na ogół spokojnie. Płynęło tak od piętnastu lat, bo właśnie piętnaście lat temu uczciwy saski młynarz Will przybył w te strony wraz z nowo poślubioną małżonką Agnes i niespełna rocznym Robinem, którego jeszcze przed swym ożenkiem wziął na wychowanie po śmierci krewniaków, rodziców niemowlęcia. Te skąpe informacje wycisnęli z milkiwego Willa oxfordzcy sąsiedzi, dopomagający mu po chrześcijańsku w odbudowie starego, na pół spalonego podczas któregoś z letnich pożarów puszczy młyna, ongiś klasztornej własności. Will, objąwszy ruinę w posiadanie, prędko wznosił na jej miejscu znacznie lepszy od dawnego młyn, chatę i oborę — i również bardzo prędko zasłynął w całej okolicy ze swojej uczciwości, skrupulatności w wadze i sumiennego dotrzymywania terminów. Do wszelkich sąsiedzkich usług też był chętny i w ogóle życzliwy bliźnim, choć małomówny. Szybko też więc oprócz młynarskiej sławy dorobił się ludzkiego szacunku i przyjaźni. Uznano go za swego, tutejszego, i ludziska przestali zachodzić w głowę, skąd wziął się w Oxton.

W pracy Pan Bóg Willowi błogosławił, tylko w dzieciach jakoś nie. W rok po przybyciu do Oxton urodziła się młynarzom dziewczuszka, Bessie, która przeżyła tylko parę tygodni. Potem długo musieli czekać i dopiero kiedy Robin skończył siódmy rok, przyszedł na świat Matthew, zawsze nazywany Muchem. Bardzo prędko stało się jasne, że ani rozumem, ani zręcznością, ani niczym w ogóle nie dorówna starszemu, przybranemu bratu. Will i Agnes kochali obu chłopców jednakowo i nie czynili między jednym a drugim najmniejszej różnicy. I Robin kochał przybranych rodziców jak własnych, których przecież nie znał i nie pamiętał. Dla małego Mucha był najtroskliwszym opiekunem i niezawodnym obrońcą. Ci, którzy ośmielili się z prostodusznego malca kpić, dokuczać mu lub przedrzeźniać go — długo pamiętali celność i siłę Robinowych pięści. Much patrzył w starszego brata jak w tęczę i chyba nawet ojciec nie był dla niego równie żelaznym autorytetem.

Co ciekawsi sąsiedzi z Oxton próbowali w swoim czasie dociec, dlaczego Robin — będący u młynarzów na prawach rodzzonego, pierwородnego syna i kochany jak rodzony — nie nazywa Willa i Agnes ojcem i matką. Kilku szczególnie natarczywym Will wyjaśnił szorstko, że ojciec i matka chłopca są u Boga i że wcale tam nie stracili swych rodzicielskich praw. A potem przestał w ogóle cokolwiek tłumaczyć i położył tym kres ludzkiemu wypytywaniu.

Nie uważał też za stosowne udzielać wiadomości o zmarłych krewniakach, choć i to ludzi ogromnie interesowało. Chociażby dlatego, że Robin był taki właśnie, jaki był. Zupełnie niepodobny do któregośkolwiek z przybranych rodziców i w ogóle zadziwiający. Jak świat światem nie widziano wśród wieśniaczego potomstwa w Oxton i chyba w całej parafii Holy Ghost podobnie ślicznego dziecka, a później chłopaka, bo rosnąc stawał się coraz urodziwszy. Ale nie tylko ta piękność odróżniała go od oxtońskich wilczków, którzy w kupie wydawali się jednakowi, jeden do drugiego kubek w kubek podobny. Oprócz urody cechowało chłopca coś, co można było nazwać chyba tylko... pańskością. Najtrafniej ujęli rzecz rówieśnicy, chrzcząc przybranego syna Willa krótkim i celnym, jak strzał w sam środek, mianem „Knight”. Złośliwi używali

przydomku w pełnym jego brzmieniu: „Knight Robin z Młyna herbu śrucina”, ale — tylko wtedy, kiedy „Knight” nie słyszał. Bo zadzierać z nim było bardzo niebezpieczne.

Ogólnie uważano, że Will Rzetelny może być ze swego starszego dumny i że oboje z Agnes mają z niego prawdziwą pociechę. I sam Will tak uważał, choć nigdy o tym nie mówił. Widać Pan Bóg miał chłopca w szczególnej opiece, jak zwykle ma sieroty, i zmarli rodzice też strzegli z nieba swego jedynaka. Naprawdę nie było w nim nic, co mogłoby budzić rodzicielską troskę lub obawy. Nie tylko wyrastał na najpiękniejszego młodzieńca, jakim kiedykolwiek radowało się ojcowskie serce, ale przy tym był zdrowy, silny, a w zręczności nie dorównywał mu żaden z równolatków i mało który ze starszych chłopaków. Znał swoje umiejętności, cieszył się nimi — lecz wcale nie wybijało go to w pychę i nigdy nie stosował swojej przewagi wobec młodszych i słabszych. Zalety synowskiego charakteru, które wyliczał Will przed ojcem Austinem, zadziwiały ludzi niemal tak samo jak uroda Robina... A przy tym wszystkim był chłopcem pracowitym, posłusznym i należycie karnym. Właściwie jedyną jego wadę stanowiła namiętność do zakazanych prawem łowów — choć przecież nie byłoby to wadą, gdyby żył w świecie, do którego się urodził. Nie żył jednak w tym świecie! Nie był rycerskim dzieckiem, lecz sokmanem jak Will, jego przybranym synem, Robinem z Młyna! Więc łowy były właśnie winą, i to ciężką, potrójną: łamaniem królewskiego prawa, grzesznym wystawianiem na szwank zdrowia i życia wreszcie — lekceważeniem rodzicielskich zakazów i powagi. Poszanowanie dla królewskich edyktów wydawało się zresztą Willowi sprawą najmniej istotną. Ale lekkomyślność i nieposłuszeństwo należało karać, więc po ojcowsku karał. Chłopak przyjmował to potulnie, obiecywał że już nigdy więcej — i pamiętał o tym, póki znów nie skusił go „zew Harnonna”. Trwało to do potwornego zdarzenia z Simonem z Mirfield... Kiedy „Knight”, nie dbając o straszliwe niebezpieczeństwo, ustrzelił szpicaka — doprowadzony do kresu wytrzymałości Will zmusił chłopca do złożenia najświętszej przysięgi. Znając Robina, był pewien że zażegnał największą swoją zgryzotę.

I właśnie dziś — zawitał do młyna ojciec Austin!

Dlaczego musiał się zjawić? Dlaczego wskrzesił pamięć o tym, co Will tak desperacko odpychał od siebie? Dlaczego dojrzał to, czego młynarz nie dostrzegał? Dlaczego zwrócił uwagę na sprawy, dotąd dla Willa nie istniejące? Dlaczego zasiał w ojcowskim sercu nową straszną trwogę?

„Maj"!.. I zielone, najgłupsze chłopięce lata!

A dotąd życie we młynie płynęło spokojnie, bez burz! Pogodne, błękitne niebo użyczało swej barwy rzece i gładkiej tafli młynówki, ujętym w ciemne ściany puszczy. Gorzkawy zapach dębiny mieszał się z wonią mielonego zboża, sitowia i mułu. Trent mknął ku Zatoce, aby pożegnać się tam z Wyspą. Przychylna ludziom woda, żywicielka, lśniącą strugą spływała na koło, niby srebrzysta wstęga tkana przez pasamonika — Najdoskonalszego, Wszechmocnego. Ruch skrzydełek rozbijał ją na przejrzyste chlusty, krople, skry, które społem wybuchały wreszcie kurzawą piany, nad białym obłokiem której Haernonnos zawieszał swój tęczowy łuk z słonecznych promieni...

W ciasnym i mrocznym wnętrzu młyna rozlegał się monotony pomruk kamiennych żaren, obracanych mocą życzliwej rzeki, posłusznej jak ludzkie krótkim, skąpym rozkazom Willa. Żarna meły zboże, a dębowym korytem sypał się plon ich pracy. Czasem ta najbielsza, najcenniejsza, starannie przesiewana, pszenna pytłowa mąka; częściej ta ciemniejsza, jęczmienna, na chleb i podpłomyki, ale najczęściej — oczywiście owsiana śrucina, spożywana z owczym mlekiem w formie polewki we wszystkich bez wyjątku domostwach parafii Holy Ghost, dzień w dzień.

Teraz, na przednówku, nawet owsa przynoszono do mielenia skąpo. Ale że zbliżał się „Maj" — Whitsuntide — najweselsze, najpiękniejsze święta końca wiosny — wydobywano ze skrytek w spichlerzykach, z zakamarków sąsiedków starannie przechowywane w tym celu miarki pszenicy i niesiono lub wieziono do Willowego młyna.

Bo cóż by to był za „Maj” bez tradycyjnego białego placka, upieczonego na leśnym miodzie, z orzechami i zapachem ziół?

Roboty więc nie brakowało. Każdy miał przydzielone sobie stanowisko. Na półstryszu, przy kamieniu Jake odmierzał ziarno do przemiału, pilnował by sito się nie obsunęło, a gdy było trzeba — na zmianę z Robinem pędzili do stawideł, by je założyć lub odemknąć. Na dole Robin podstawiał pod wylot dębowej rynny worki i dozorował ich napełniania. Z kolei wuj Will sprawdzał skrupulatnie wagę każdego z nich (czynności tej nigdy nikomu nie powierzał!) i odstawiał pod ścianę, gdzie wieńczył dzieło najmłodszy z pracowników młyna, dziewięcioletni Much: zawiązywał każdy worek.

Biały, słodkawy pył bezszelestnie opadał od stragarza na klepisko, na rozstawione worki, na wagę, na siermiężne robocze kitle, na szpakowate włosy i brodę wuja Willa, na wytartą hełmem łysinę Jake'a, na „wiewiórową” grzywę Robina, na lnianą czuprynkę Mucha... Nic dziwnego, że przy robocie można było zajętych nią rozróżnić tylko po wzroście i po głosie — nie licząc oczywiście głosu Jaka...

Opadający mączny pył osiadał na klepisku warstwą grubą nieraz na pół cala. Wuj Will kazał ją starannie zmiatać i przesiewać aby nie zmarnowała się ani szczypta. I rzeczywiście żadnej nie marnowano: resztki zmiotek szły na paszę dla owiec i domowego drobiu. Zaś zimą Robin i Much, wierni nakazom Haernonna, taszczyli całe worki tego pośledniego przemiału, zmieszanego z sieczką, na pokarm dla głodujących saren i łań. To był obowiązek! Bo jeśli sir Sherwood żywił, ogrzewał, darzył zdobyczą, udzielał pomocy — to należała mu się odwdzięka, kiedy w jego włościach zapanowała zimowa bieda...

Tak upływały pracowite dni, jeden za drugim.

I tak wyglądała praca we młynie, z wyjątkiem świątecznych niedziel, świąt i tych dni, kiedy coś się psuło i uniemożliwiała robotę. Tak jak na przykład dziś. Ale Jake już dawno poradził sobie z uszkodzeniem, a robota mimo to nie szła jak zwykle. Winien temu był Robin!

To przechodziło ludzkie pojęcie. Coś się stało z chłopakiem. Zawsze taki szybki, żywy, zwinny, śmigający po drabinie z klepiska na półstrysze niczym kuna lub wieiórka, paroma susami dopadający stawideł i już pojawiający się przy rynnie, podśpiewujący swoje piosenki lub wyświstujący zawile ptasie tryle, przekomarzający się z Muchem, zagadujący wesoło do Jake'a i z większą powagą do Willa — teraz ruszał się jak mucha w smole, milczał i zgoła nie słyszał, co się do niego gada!

Zresztą jeszcze przed rozpoczęciem roboty był dziwny. Najpierw siedział nad tym stawem Bóg wie tak długo i lichy wie po co. Potem ku zaniepokojeniu ciotki przełknął ledwie kilka łyżek polewki, a placek tylko nadgryzł. Robin, zwykle zmiatający wszystko z apetytem młodego wilczka! A jeszcze później, kiedy z Muchem ściinali wierzbowe gałązki na paszę dla owiec (ściśle mówiąc, ściinał je Robin siedząc na wierzbie, a Much zgarniał witki do parcianki!) — tak kompromitująco i boleśnie ciachnął się swoim sławnym, wygranym w Patton nożem w lewy kciuk, że ciotka Agnes ledwie temu zaradziła arnikową nastojką, pszczelim woskiem i płótnem.

— A gdyby tak u drugiej, to co by było?.. — powtarzał asystujący przy opatrunku Much i z trwogą wytrzeszczał i tak już nieco wyłupiaste, niebieskie oczka. Nie był zbyt rozgarnięty, dość jednak, by móc sobie wyobrazić straszną rzecz: kalectwo prawego kciuka pozbawiłoby starszego brata jego strzeleckiej sławy! A z tej sławy Much był niezmiernie dumny!

Najgorzej jednak było przy robocie we młynie. Gdzieś się podziała cała sprawność i dokładność, z jaką Robin napełniał worki — a miał w tym taką wprawę i taką niezwykłą miarę w oku, że Willowi przy wadze niewiele już pozostawało do roboty. Dziś jednak „Knight” stał i gapił się bezmyślnie na spływający w głąb rozdziawionej parcianki biały potoczek i zupełnie nie dostrzegał, że mąka już przesypuje się na klepisko. Lub, co gorsza, wlepił oczy gdzieś w przestrzeń i wcale na worek nie patrzył!

— Cóż się z tobą dzieje, u licha? — pytał już kilkakrotnie Will, za każdym razem gniewniej. — Urzekło cię co? Przecież ty śniesz z otwartymi oczami!

Robin na krótko otrząsał się z zadumy, spoglądał wzrokiem winowajcy, przez jakiś czas sprawiał się jak trzeba — i znów wpadał w ten sam niezwykle półsen czy błągostan. Niebieściły się w nim suknie i płaszcze Maud, połyskiwały czerwone kamyczki w srebrnej obręczy, z rozchylonych ust wybiegał szept: „Robin, prawdziwy z ciebie knight!..” — a potem świeciły spod naczółka stożkowatego hełmu złe oczy sir de Courtenaya, jawił się w pamięci pogardliwy, pełen nienawiści ruch, jakim wepchnął na powrót miecz, gdy Etienne powiedział: „Szkoda oręza na tę saską juchę!” Ach, gdyby on, Robin, miał wtedy w ręku miecz zamiast swojej „bonnie”! Gdyby umiał nim walczyć! Pokazałby temu łotrowi, wrogowi, jak broni swej godności saski KNIGHT! Jake musi nauczyć. Zaraz od jutra zaczną ćwiczenia! To chyba nie jest zbyt trudne, kto zna walkę na „bonnies” — ten i mieczem szybko się nauczy. A jeżeli Jake dlatego dotąd nie uczył, bo sam dobrze nie umie? Przecież może być i tak! Skoro go tak pokiereszowały Saraceny...

Pac!.. „Knight” aż się zatoczył, a marzenia momentalnie pierzchły. To nie sara-ceński miecz, to młynarska dłoń wuja trzepnęła w kark, a tak serdecznie, że biały pył wzbił się tumanem z włosów i z kitla.

— Czegoś narobił, gamoniu?! Zbieraj teraz! — huknął Will. — Założ, Jake!

Robin dopiero teraz spostrzegł, że w miejscu podstawionego worka sterczy już dosyć okazały kopczyk mąki, a jemu ta mąka sięga prawie do kolan. Najlepsza, drobno pytlowana, pszenna majowa mąka!.. Westchnął rozziewając i ruszył po szufłę i podręczne sito.

Było już mrocznawo, więc Will korzystając z chwilowego zatrzymania koła osobiście powkładał we wbite w ściany pierścienie łuczywa, pilnie uważając, by ich chybottliwe płomyki nie sięgały poza krawędzie umieszczonych poniżej, glinianych mis z wodą. O zaproszenie ognia nie było w młynie trudno, zaś ilość worków z ziarnem świadczyła, że istotnie przyjdzie „nocy zarwać”. Dla wuja Willa umówione terminy były rzeczą świętą.

Zawstydzony Robin pod surowym, oskarżycielskim wzrokiem wuja zaczął starannie przesiewać drogocenną mąkę. Chciał jakoś dodać sobie otuchy i animuszu, a zarazem zatrzeć kompromitację, więc choć nie miał na to wcale ochoty, zanucił półgłosem:

Miła Bess, miła Bess,

W twojej stągiewce dziura jest!..

Miły Joe, miły Joe,

Wytnij kolek, zatkaj ją...

Wuj Will dosłyszał i ku bezbrzeżnemu zdumieniu chłopca fuknął niczym ranny odyniec.

— Będziesz ty cicho, smarkaczu? Cóż ty wyśpiewujesz?

— A niby cóż takiego, wuju? — zdziwił się Robin, który przecież nieraz nucił tę śpiewkę w obecności przybranego ojca i nigdy dotąd nie wywoływało to jego gniewu.

— Roboty patrz! A jak jeszcze raz coś podobnego posłyszę, to popamiętasz!

„Knight” nie ośmielił się już rzec ani słowa, bo głos wuja świadczył o ogromnym gniewie. Nie pojmując niczego, rozżalony i zmieszany władował resztę mąki do worka i podążył na swe miejsce. Przez chwilę głowił się nad przyczyną wujowej złości, ale w żaden sposób nie potrafił jej dojść. Więc dla ulżenia sercu znowu puścił wodze wyobraźni. A teraz marzyło się jeszcze milej! Monotonne huczenie kamienia, szelest i zapach mąki, różowawy blask rzucany przez łuczywa — wszystko to pogrążało w słodkim zapamiętaniu, błękitnym od sukni i oczu Maud, ciepłym od lekkiego dotyku jej warg, wonnym od pachnideł, słodkim od głosu... Albo dla odmiany napływała do serca mściwa zawziętość, odżywająca poprzez wspomnienie zimnych, nienawistnych

oczu pod podłużnymi hełmami, przez zapamiętane obelgi i groźby, wypowiedane nie miękkim i szybkim językiem Wyspy, lecz wrogą, przeciągłą, nosową mową...

— Na świętego Laurence'a z krata, krew mnie zaleje! — wrzasnął wreszcie Will, choć niezmiernie rzadko podnosił głos do krzyku. — Choryś czy co? Tak cię droga do kuźni zmęczyła? Ruszaj spać, leniu, więcej z ciebie szkody niż pożytku!

Szorstko popchnął chłopca ku wyjściu. Robin, po raz pierwszy w życiu nazwany obelżywym mianem lenia, nie miał siły ani protestować, ani się opierać. Zresztą czuł, że w pełni na to miano zasłużył. Więc tylko ponownie westchnął i wyszedł. Na dworze ściągnął parciankę, byle jak otrzepał ją o ścianę, tak samo byle jak wytrząsnął mąkę z włosów i ruszył nad staw. Było już ciemno, srebrne półkole księżyca odbijało się w wodzie i znaczyło na niej jasny szlak.

*I szlak ten wezwał Percevala,*⁴¹*

I powiódł go do Zamku Graala... —

— przeleciały nedorzecznie przez głowę słowa jednej z ballad Chrisa-Lutnisty. Robin, trochę otrzeźwiony myciem, uśmiechnął się z goryczą. Ale z niego Perceval — „Knight Robin z Młyna herbu śrucina”!.. Pojedzie szukać Graala, a jakże! Dobrze wie, jaki mu los pisany. Za dwa lata skończy terminowanie u wuja i wyruszy na wędrowkę, którą musi odbyć każdy młynarski czeladnik. Nie za Graalem, skądże! Siedem rzek, siedem młynów, siedmiu majstrów... Bóg tylko jeden wie, ile to czasu zabierze! A kiedy wreszcie powróci — obejmie młyn, bo Much do tego niesposobny. Taki to będzie z niego rycerz! Taki sir Perceval!.. Zresztą na pewno i młynarz byle jaki, dał tego dowód przed chwilą...

⁴¹ *Perceval z Walii — legendarny bohater, najmłodszy z „Rycerzy Okrągłego Stołu”, wslawiony wytrwałą wędrowką w poszukiwaniu „Świętego Graala” — kielicha zawierającego relikwie: krew i pot Chrystusa.

Ponuro powlókł się do chaty. Ciotka Agnes, siedząca przy palenisku, w świetle łuczywa zszywała podarty kaftan Mucha.

— Cóż to, skończyliście już? — zdziwiła się, gdy wszedł.

— Nie — odmruknął Robin.

— To czemuż przyszedłeś?

— Bo mnie wuj wygnali spać.

— A dlaczegóż to?

— Bom zmęczony.

— A prędko skończą?

— Nie wiem.

— A jak palec?

— Dobrze.

— Robin, czyś ty aby nie chory?

— Nie.

Ciotka przyjrzała mu się uważnie, ale widać nie dostrzegła symptomów żadnej choroby, bo nic już nie powiedziała, tylko powstawszy sięgnęła za belkę przy wyziorze. Bez słowa podała przybranemu synowi kościany rodzinny grzebień, od biedy mogący dorównywać wielkością zgrzebłu. Był to cowieczorny rytuał, którego nigdy nie zaniedbywała, choć Robin stosował się do niego z ostentacyjną niechęcią, wręcz wrogością. Ale Agnes miała swoją rację, nawet dwie. Po pierwsze — naprawdę bała się robactwa u swoich chłopaków, po drugie zaś (choć do tego nie przyznałaby się nikomu, szczególnie Robinowi!) — była bardzo dumna z niezwykłego koloru i piękno-

ści włosów swego starszego. Gdyby je zaniedbać, trzeba by obciąć. Jakże będzie wtedy wyglądał? Przynagliła go gniewnym gestem, bo skrzywił się i wzdrygnął.

— Zmęczony jestem po drodze... Muszę?

— Mam to sama zrobić, drażalu? Nie wstyd ci?

Rzeczywiście ciotka mogła to zrobić. Bywało, że gdy się bardzo ociągał, energicznie ujmowała jego głowę pod łokieć i zaczynała czesać, tak jak robiła to z Muchem. Było to bardzo upokarzające. „Knight” spojrział z odrazą na grzebień... i nagle coś sobie przypomniał! Tak gwałtownie wyrwał go z dłoni ciotki, że spojrzała z przestraszeniem.

— Cóż to z tobą?..

Nie uznał za konieczne odpowiedzieć. Stanąwszy nad paleniskiem, na którym żarzyły się przetłone polana, zacisnął zęby i tak gwałtownie zaatakował grzebieniem swą gęstą grzywę, że aż trzeszczało. Ciotka przyglądała się temu przez chwilę, zdumiona, i wreszcie oświadczyła autorytatywnie:

— Przystrzyję ci je jutro za dnia. Już za długie.

— Wcale nie za długie! — zaprotestował z przestraszeniem Robin, choć przecież jeszcze dziś rano zapowiadał przed Bobby'm z Patton, że właśnie o to ciotkę poprosi. Ale w tej chwili wydawało mu się to czymś nie do pomyślenia. Obciąć włosy, które pochwaliła Maud? Które takim pieszczotliwym gestem owinęła sobie wokół palca? A gdyby jeszcze kiedyś zechciała zrobić to samo?..

— Jak to nie za długie? — oburzyła się ciotka. — Tak mogłeś chodzić przed „Majem” rok temu, kiedyś jeszcze pacholęciem był! Ale teraz przecież ci nie uchodzi!

— Nieprawda, i stare chłopcy takie noszą! — bronił się Robin.

— I żebyś to chociaż w jakim ładzie je trzymał...

— Będę trzymał. A obciąć nie dam! Obsmyczony wyglądam jak jaki szpicak...

— A tak wyglądasz jak obłąkaniec z Holy Ghost! — stwierdziła ciotka.

Ciotka Agnes używała nieraz i dosadniejszych porównań, a Robin wysłuchiwał ich po męsku, czyli zupełnie obojętnie. Tym razem jednak, nie wiadomo czemu, okropnie się obraził. Nachmurzony, bez słowa odłożył grzebień na zwykłe miejsce, wskoczył na wyszkę i w obawie, żeby jeszcze czegoś nie usłyszeć, ukląkł demonstracyjnie i zaczął odmawiać pacierz.

Ciotka, zrezygnawszy z dalszej wymiany zdań, powróciła do naprawy kaftana. Robin ściągnął przyodziewek, ułożył go w głowach legowiska i choć wcale nie było mu zbyt chłodno, zagrzebał się w słomę i owcze skóry aż po nos.

Przez jakiś czas leżał, pławiąc się w poczuciu krzywdy, bo przykra uwaga ciotki zwykłą koleją rzeczy przywiodła na pamięć niemiłe chwile z młyna, a to znów z kolei — ojca Austina i jego srogie morały. Już był bliski bardzo niemęskiego rozrzewnienia się nad własną dolą, gdy nagle się opamiętał. Cóż u licha, czy tylko niemiłe rzeczy dziś przeżywał? A odprawa dana de Courtenayowi?.. A Maud?..

Zamknął oczy i spróbował poukładać w pamięci wszystkie wydarzenia — po kolei, jak zwrotki w pamiętanych balladach. W każdej balladzie działo się coś niezwykłego, czarodziejskiego — i ten dzień też był przecież niezwykły! Zaraz, kiedy się owe dziwa zaczęły? Kiedy w błękitnym blasku przedświtów szedł sobie tylko wiadomymi skrótami ku Martots Eve?.. E, nie, to było zwyczajne! Mało razy tak chodził? I pobyt w kuźni też był taki jak zawsze. Często tam przecież biegał, albo niosąc coś do naprawy, albo z prośbą od wuja, żeby Jim Hobnail przyszedł zreperować na miejscu, albo wreszcie — po to, by zahartować własnoręcznie sporządzone strzały, gdy zabrakło, a Dickon miał zbyt wiele obstalunków. No i oczywiście po groty do strzał...

To niezwykle zaczęło się chyba w momencie, kiedy wracając

znalazł w lesie Bobby'ego z Patton. Biedny „Wrzosiak"! Widać naprawdę przestąpił „złe koło", wytańczone przez deirdrees. Żeby tyle utrapień naraz się zważyło na jednego smyka! Dobrze, że go znalazł, dobrze, że się Maud ulitowała. Ach, Maud...

Właśnie! Nie tylko strojna i śliczna, ale przede wszystkim — po chrześcijańsku dobra i miłosierna! Tak miłosierne bywają tylko prawdziwe królowe! I prawdziwie po królewsku odpaliła Dickonowi na jego niemądry przytyk. Strzała chyba rozum stracił, widząc w niej jedną z „nich"!.. A potem — zaśpiewała ich oxtońską piosenkę, ich młodzieńczy hymn! Zna go! Czy to nie miłe? I z jakim zachwytem słuchała ballady o Godivie...

Powtórzył w myśli tę zwrotkę, którą lubił najbardziej:

Popatrzcie, jaka męstwa moc

I serca jest potęga!

Wzdłuż rośnie lady złoty włos

I aż do stóp dosięga!

Bóg nie chciał, by przez oczy złe

W swej hańbie była tknięta —

Przebyła konno miasto swe—

W płaszcz włosów owinięta...

Raptem oblało go gorąco, aż zsunął z siebie skóry. Lady Godiva z Coventry do tej chwili była dla niego, tak jak głosiły słowa ballady, „niewieścich wzorem cnót, a piękna niby anioł" — i właśnie jak anioł bezcielesna, niepokalana. Ofiara, jaką zdecydowała się ponieść, była tylko aktem odwagi, cierpieniem zadany sobie dla dobra biednych i pokrzywdzonych. A w tej chwili kolnęła go myśl... Wiedział, że jest brzydka, nieskromna i że powinien odegnąć ją natychmiast — a przecież nie mógł i

nie chciał odegnać! Lady Godiva... Jak też ona mogła wyglądać, kiedy przemierzała konno Coventry? Otulona tylko własnymi złotymi włosami?.. Była chyba bardzo piękna! Żeby tak ją ujrzeć choć przez moment... Nawet gdyby przyszło potem oślepnąć!.. Nie, rany boskie, cóż za myśli!.A

Zaszeleścił zgarniany na palenisku popiół, potem syknęło gaszone łuczywo i izbę zalała ciemność. Zachrobotąła rogoża, oddzielająca małżeńską komorę od reszty domostwa. Ciotka też udała się na spoczynek! Przez ścianę słyszał odległe turkotanie młyna. Jak długo będą jeszcze pracować? A może by wstać, odziać się i pójść do nich?

Nie jest przecież wcale senny!.. Nie, nie trzeba, znowu może czymś zarobić na wujowy gniew. O tę mąkę słusznie się gniewali, ale czemu rozzłościła ich piosenka? E, nie warto tym się trapić, lepiej wyobrazić sobie w ciemności... lady Godivę...

I nagle ją ujrzął! Niepokojącą biel niewieściego ciała wśród rozpuszczonej fali włosów, bujnych, i — o dziwo! — ciemnych! A przecież w balladzie się śpiewa: „Wzdłuż rośnie lady złoty włos...” Patrzył zachłannie, z zapartym tchem, choć wiedział, że zaraz oślepnie. Lady Godiva była coraz bliżej, wyprostowana w siodle (czy nie takie miał sir de Courtenay?..), dumna, wyniosła jak królowa... Spojrzała na niego, uśmiechnęła się... i wtedy poznał Maud!

— Chcesz być moim Majowym Rycerzem? — posłyszał jej miękki, słodki głos.

— Chcę!.. Tak chcę!.. — wyszeptał, tak samo jak tam, w lesie.

Naga i śliczna lady Godiva — Maud uśmiechnęła się i ruchem

dłoni przyzwała go ku sobie. Kiedy podszedł na uginających się z wrażenia nogach, przechyliła się w siodle i spytała z powagą:

— A będziesz mi wierny? Tak jak Tristan Izoldzie*⁴², tak jak sir Lancelot swojej Guinevere?

— Tak! Tak! — zapewnił ją najgoręcej, jak potrafił.

— I zawsze będziesz stawał w mej obronie?

— Zawsze!..

— Więc posłuchaj! — dumny głos Godivy-Maud uczynił się gorący, aż wzburzało to krew. — Musisz przejść przez siedem rzek i siedem młynów, i siedem gór, i siedem puszczy, i zdobyć wody z siedmiu źródeł!.. A jeżeli dokażesz tego do siedmiu lat i powrócisz, to wtedy...

— Co wtedy?..

Nie odpowiedziała. Z tajemniczym uśmiechem podążyła konno dalej.

— Co wtedy?! — krzyknął Robin... i usiadł na posłaniu, zdyszany, spocony, przerażony. W izbie było ciemno jak w lochu. U jego

\

boku poruszyło się coś i zamiast odpowiedzi Godivy-Maud usłyszał rozespany, płaczliwy głos Mucha:

— Czemu tak wrzeszczysz? A kopiesz, jak nie wiem co!..

.— Śpij, śpij?.. Zejdę tylko wody się napić! — uspokoił go ochryłym szeptem Robin.

Nago zsunął się z podstrysza, po omacku dotarł do stągiewki z wodą i chciwie wypił pełen czerpak. Przyniosło to wprawdzie ulgę wyschniętym ustom i gardłu, ale'

⁴² *Tristan i Izolda — para bohaterów z legendy pochodzenia kornwalijskiego (VII wiek) zakochanych w sobie tragicznie i beznadziejnie, wiernych sobie do śmierci, a nawet po śmierci.

wcale nie uspokoiło. Coś dziwnego się z nim działo! Jeszcze nigdy tak się nie czuł. Jakby jakaś obca, nieznana dotąd siła miotła się w nim, lo sprężając do bólu wszystkie mięśnie, to obezwładniając je dziwną, słodką omdlałością. A gorąco mu było okropnie! Gdyby tak wybiec, popędzić nad młynówkę albo nad Trent i plusnąć do wody! Ale nie śmiał tego zrobić — jeszcze nie nadszedł „Maj”, przed „Majem” nie wolno było się kąpać. Nixies mogłyby wciągnąć w głąb... Jak wyglądają nixies? Podobno mają długie, zielone włosy i bywają bardzo piękne... i też są nagie, jak... lady Godiva...

Potykając się w ciemności o sprzęty, dotarł do wyziora, odsunął skobel i pchnął deskę. Do izby wtargnęło wraz z szumem drzew i rzeki rześkie, chłodne powietrze majowej nocy. Robin oparł ramiona o belkę bramującą okienny otwór i złożył na nich rozpalony policzek. Drgnął, poczuwszy na twarzy wilgoć drobniutkich kropelek.

Rosa Birgith!.. Padająca z księżycy rosa! Jeśli padnie na twarz przed świtem w dzień „Maja” — da urodę, siły i zdrowie. Lecz jeśli wcześniej — przyniesie troski, utrapienia i nieszczęścia! Cofnął się, przestraszony. Nie miał przecież na skroniach swojej białej sevenbold, nic go nie chroniło przed czarami Birgith! Ale po cóż miałby teraz wkładać? Włoży pojutrze, przed wyjściem na Polanę Jacka-in- -the-Greena! I w samo święto „Maja”, na Pochód i na odpustową mszę do kościoła, i na festyn w Oxton! Kiedy indziej się przecież nigdy nie wkładała sevenbold... chyba, że...

Przypomniał mu się nagle Dickon Strzała. No tak, Dickon miał dziś białą przewiązkę, jadąc dać z Millie na zapowiedzi! A wdział ją dlatego, że...

Chłopca znów oblało gorąco. Ta myśl nawiedziła go po raz pierwszy w życiu. Pojęcia: nieczystość, żądza, grzech cielesny były mu od dawna znane z przypowieści biblijnych i kazań księży. Niby wiedział, o co chodzi, ale nigdy dotąd nie zastanawiał się nad znaczeniem surowej powagi, zaklętej w siedmiu splecionych pasemkach białej wełny. Ciężka praca, twarde puszczańskie życie, strach przed karą bożą i gniewem bóstw, wreszcie lęk przed rodzicielami i wielebnymi ojcami z Holy Ghost — wszyst-

ko to trzymało na wodzy wyobraźnię, pozwalało odpędzać pokusy i sprawiało, że oxfordzka młodzież zachowywała czystość ciała i duszy aż do dnia zaślubin. Prawda, iż żeniono się wcześniej, nawet bardzo wcześniej... Zdarzało się przecież czasem, że ktoś w porywie nadto niecierpliwej krwi zapomniał o groźnych nakazach. Lecz jeśli taka rzecz wyszła na jaw — a wchodziła niemal zawsze — los winowajców był nie do pozazdroszczenia...

Uczciwy, godny swego miana młodzieniec winien był posiadać w sobie siedmiokrotną odwagę! Robin bezwiednie wyliczył szeptem owe siedem przymiotów: dzielność, zdrowie, krzepkość, zręczność, szybkość, spryt — i powściągliwość! Jeszcze raz powtórzył: — Powściągliwość... — zamarł, ściskając dłońmi chropowatą belkę. Rozumiał już teraz! Powściągliwość — to nie tylko umiejętność panowania nad gniewem, chłodna oszczędność w słowach, zachowanie zimnej krwi, w chwilach niebezpieczeństwa! To przede wszystkim... trzymanie na wodzy marzeń, które rozpalają krew, to poskramianie własnego niecierpliwego, spragnionego ciała! Biała sevenbold, opasująca czoło i skronie — jest znakiem młodzieńczej niewinności!

Nie wolno popełnić grzechu... A na czym on polega? Chłopiec jeszcze mocniej wpił palce w twarde dębowe drewno. Znał przecież las, życie zwierząt. Tyle razy przyglądał się szczebiotliwym zalotom ptaków, wdzięcznym płąsom i gonitwom wiewiórek. Podglądał z ukrycia, powstrzymując oddech, zażarte walki byków — jeleni i rogaczy — zmagających się o samki, obojętnie wyczekujące nieopodal. Widział, jak zwycięzca, przepędziwszy pokonanego rywala, odrzuca wieniec na kark, by rozpocząć miłosny ryk...

I wiedział też, co musi nastąpić, aby przyszły na świat śliczne nakrapiane cielątka — takie jak to, które oglądali dziś z Bobby'm. I ślepe, bezradne liski, i nie większe od palca, gołe wiewiórczeta...

"A ludzie zachowują się podobnie do zwierząt! Nieraz się przecież zdarza, że chłopaki walczą ze sobą o względy dziewcząt! O Maud też się nieraz bili, słyszał

przecież o tym... Więc to... właśnie to też u ludzi pewnie wygląda tak samo! Ale co u zwierząt jest sprawą zwykłą i naturalną — u ludzi... jest grzechem! Jest nim, jeżeli-.-

Dickon i Millie jechali dać na zapowiedzi — on w sevenbold, ona w wianku — dlatego, by wielebni ojcowie i wszyscy wiedzieli, że ich młoda miłość jest uczciwa, że uszanowali ją, że bez lęku mogą ją uświęcić sakramentem! I ślub też wezmą w tych godłach własnej czci. A potem... Robin widział niejedno wesele, na kilku był z wujostwem. I choć niedorosłych weselników nie dopuszczano do orszaku odprowadzającego nowożeńców do małżeńskiej komory — chłopiec wiedział. U wejścia do niej Dick Tine zdejmie synowi z czoła białą przewiązkę, pobłogosławi i wrzuci w ogień — na znak, że spełniła już swą rolę, że nie będzie więcej zdobić młodzieńczej głowy. A zielony wianek zdejmie Millie z głowy — Dickon, jej mąż. Ale to już potem, gdy zostaną sami! Właśnie... Nie popełnią grzechu, bo będą już mężem i żoną!

Siódma, najtrudniejsza odwaga! I trzeba znaleźć jej w sobie tyle, aby zachować śnieżną białość sevenbold aż do chwili, kiedy ślub połączy z wybraną, kochaną dziewczyną. Przedtem nie wolno splamić sevenbold, to straszny grzech i jeszcze straszniejsza hańba. A zdarza się przecież... Tak, lecz bywają również i tacy, którzy nawet po zawarciu małżeństwa w powściągliwości żyją! Chociażby król Edward, o którym tak często mówią wielebni ojcowie... Żonę przecież pojął, sędziwych lat doczekał, a do samej śmierci mógł sevenbold przywdziewać!^{*43} Tak się Pana Boga bał, tak Go czcił, tak pragnął umartwianiem samego siebie na Jego łaskę zasłużyć! Ale król Edward przecież był świętym... Pewnie dlatego potrafił... I królewska wola też z pewnością jest potężniejsza od zwyczajnej ludzkiej...

43* Św. Król Edward Wyznawca — król Anglii, znany ze świętobliwego trybu życia. Złożył wraz z małżonką Edytą ślub zachowania małżeńskiej czystości. Obyczaj tzw. białych małżeństw spotykany był często w epoce średniowiecza.

A on, Robin, nie jest przecież wcale świętym — o, daleko mu do tego! Królewskiej woli ani odwagi też w sobie nie posiada. Czy wystarczy mu siła? ! tej właśnie odwagi — siódmej, największej — do walki z samym sobą? Do tego, by tłumić w sobie złe pragnienia, odpędzać myśli, od których przenika żar? Takie myśli też są grzechem! Dlaczego to się z nim stało? Przecież dotąd jeszcze nigdy... Skoro zwyczajna ballada o lady Godivie tak rozpałała wyobraźnię, to może wypadnie już ciągle tak się męczyć?

Nieoczekiwanie przyszły mu na myśl słowa śpiewki, którą zanucił we młynie i która tak rozgniewała wuja Willa. Zrobiło mu się jeszcze goręcej, duszniej, bardziej niemiło. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, że to przecież wstrętne!

Jak powiedziała Godiva w tym śnie? Siedem rzek i siedem młynów, i siedem puszczy, siedem źródeł... Siedem... siedem... O Boże! Z rozpaczą ścisnął dłońmi skronie, aż pulsujące pod palcami.

„Pilnuj swojej sevenbold, chłopaku! — zahuczał w pamięci srogi głos ojca Austina. — Kogo około Maja pocznie ona w głowę uwierać, temu zły ściągnie!..”

A jego... właśnie uwierała! Czuł jej ucisk, choć nie miał jej na skroniach. Więc zły chce mu ściągnąć! To on zesłał ten bezwstydną, niegodziwy sen, to on podsuwa drażniące, brzydkie myśli i zwidy! Bezwstydne, niegodziwe, brzydkie — a przecież... tak słodkie i rozkoszne, że krew kipi w żyłach, a ciało to wypręża się, to słabnie od nieznanego dotąd lubości...

To uczucie rozkoszy też na pewno jest strasznym grzechem! Zamarł ze zgrozy, zaciskając rozpalone wargi i powstrzymując oddech. Może dlatego, mimo dziwnego szumu w głowie, posłyszał równe, miarowe sapanie śpiącego spokojnie Mucha. Dotąd był taki dumny ze swego starszeństwa i z powagi, jaką cieszył się w oczach braciszka — a teraz nagle pozazdrościł mu jego dziewięciu lat. On jest mały, nic jeszcze nie wie... i długo nie będzie wiedział! Szczęśliwy... ale czy to naprawdę szczęście — nie wiedzieć o niczym? Może właśnie szczęściem jest wiedzieć i myśleć, i wyobrażać sobie...

Nie, nie wolno! Przecież jeśli będzie tak brnął w grzeszne marzenia, to z pewnością doczeka się tego, czym straszyl ojciec Austin. Potępienie wieczne — pewnie, strach tego, ale do śmierci chyba jeszcze daleko! Za to... scarlet sign... Jeżeli jemu, Robinowi, naprawdę zetną włosy do skóry i postawią na dziedzińcu Holy Ghost, na kamiennym podwyższeniu, żeby wszyscy widzieli i spluwali z pogardą?.. Lepsza śmierć niż taka hańba! A kto stałby obok?.. Maud?.. Boże litościwy...

— Święta Trójco z Holy Ghost! — jakby na odzew tym półprzytomnym z trwogi myślom zabrzmiał gniewny, choć przyciszony ze względu na nocną porę głos wuja Willa, który ze smolną szczypką w ręku wszedł właśnie do chaty. — Tyś już do reszty rozum stracił! Goły w oknie sterczysz?

Zaskoczony, wylękniony chłopiec dał susa od wyzioru i stanął bezradnie, nie wiedząc, co ze sobą począć. Wstyd chlusnął gorącem do twarzy, sparaliżował całe ciało. To też było czymś nowym, nieznanym i okropnym! Nigdy dotąd nie czuł się zakłopotany własną nagością. W domu nikt nie poczytywał jej za grzech ani jemu, ani Muchowi — w pojęciu wujostwa i Jake'a byli po prostu dziećmi. Nago się sypiało, nago pędziło rano do mycia i zaraz potem wyganiało owce z obórki na łąkę, nago plu skało się w stawie i w Tren- cie... A w skwarne letnie dni przez większość czasu mie wało się za przyodziewek tylko własną skórę, nie dbając o to, kto patrzy i widzi. W tej chwili jednak, słysząc słowa wuja i stojąc przed nim bez odzienia — wydał się sobie tak obrzydliwym, grzesznym i bezecnym, że aż mu oddech zapało. Pod ziemię wleźć albo co...

Ale wuj Will wcale nie wyglądał na zgorzonego. Był najwyraźniej przestraszony. Szybko wetknął smolak w uchwyt przy palenisku i podszedł bliżej.

— Co ci jest? Cały dzień łazisz jak przetrącony, a spać nie możesz? Choryś?

— Nie...

— To co się z tobą dzieje? Gadaj mi zaraz! — lęk w głosie wuja wzmógł się, a spojrzenie wyrażało go też. Robin, który nie chorował od niemowlęcych lat, zawstydział się jeszcze bardziej. Już nie tylko tego, że nie ma nic na sobie, ale również tego, że przysparza wujowi zmartwienia.

— Bo ja... — urwał i nagle, nie panując już nad strachem i rozpaczą, prawie ze łzami wykrztusił: — Bo wyście, wuju, powiedzieli we młynie, że mnie coś urzekło! Może to w złą chwilę było?.. Może mnie naprawdę urzekło?..

— Hę?.. — wzrok wuja Willa uczynił się nagle surowy. Tym wzrokiem przyjrzał się uważnie Robinowi i zmarszczył brwi. — No, to ci zaraz na tym gołym tyłku uroki odczynię! Akurat przysposobiony na to! Chcesz?..

Wymownym i aż nazbyt dobrze znanym gestem sięgnął do kościanej klamry pasa.

— Marsz spać!

Robin nie czekał na powtórny rozkaz. Czmychnął na wyszkę i zakopał się w skóry, obok słodko posapującego przez sen Mucha. Do strachu, oszołomienia, wstydu, żalu i poczucia jakiejś okropnej winy dołączyło się teraz jeszcze i upokorzenie — tak silne, że w gardle zadławiły łzy. W najgłębszej desperacji chłopak pomyślał, że pewnie i on sam, nie wiedząc o tym, „złe koło” gdzieś dzisiaj przeszedł. Tak jak Bobby z Patton...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Majowa Drużyna Jacka-in-the-Greena

Sir Ryszard Verney, opowiadając o Wyspie, mówił prawdę. Jej lasy są tak rozległe i gęste, że wedle znanej gadki — wiewiórka z okalającego Londyn boru Hampstead może aż do liliowych pól Yorkshire przeskakiwać z drzewa na drzewo i ani razu nie dotknąć łapkami ziemi. Rzecz zrozumiała, że lud żyjący pośród zieloności śpiewu liści i ptaków, nie znający innego świata niż swój jego skrawek wydarty puszczy, ze wszystkich stron otoczony jej ciemnymi ścianami — że ten lud otacza las-opiekuna, las-żywiciela, las- -obrońcę szczególną czcią, zaś bóstwom lasu oddaje należny hołd podczas licznych świąt. Zaś wśród tych świąt — czy może być inaczej? — najpiękniejsze, najweselsze, najbardziej leśne i zielone są oczywiście Zielone Świątki! Chrześcijańskie Zesłanie Ducha Świętego, w języku Wyspy — Whitsuntide, a wedle odwiecznych saskich pojęć — po prostu „Maj”!

Kiedyś pobożny i surowy dla siebie i poddanych król Edward ostro karał za świętowanie tych dni po pogańsku. Nawet sama nazwa „Maj” była bezwzględnie zakazana. Ale król Edward od dawna był w niebie, na które sobie bez wątpienia zasłużył, a nazwa i obrządki przetrwały jak wszystko, co dla ludu ma i wagę świętości, i powagę niepisanego, odwiecznego prawa. Iście rzymskim targiem pogodzone pogański „Maj” z chrześcijańskimi, kościelnymi świętami. Mieszkańcy parafii Holy Ghost zyskali na tym targu podwójnie: w opactwie przypadał bowiem w tym czasie patronalny odpust.

„Maj” — to święta rozkwitłej wiosny, a więc przede wszystkim święta młodości i młodzieży!

Na tydzień przed Zielonymi Świątkami młodzież obojga płci we wszystkich wsiach i osadach Wyspy rozpoczyna przygotowania. Dziewczęta obwieszają drzwi i

wyziory chat liściastymi i kwietnymi girlandami, splecionymi przy wtórze odpowiednich zaklęć. Bo te kwietne nawięzy, to nie tylko ozdoba — to przede wszystkim ochrona! W okresie przed „Majem” złe i nieprzyjazne leśne duchy stają się szczególnie uprzykrzone, a najczęściej ofiarą ich złośliwości padają niezamężne dziewczyny. Dlatego żadna młoda panna za nic w świecie nie wybrałaby się wtedy do lasu, zwłaszcza zaś po zachodzie słońca! Czyhają tam dwarfy — brodate karły, mogące zwabić taką lekkomyślną porzuconym na ziemi, niby zgubionym przez kogoś pierścieniem... Dziewczyna, która podniesie taki pierścień, już jest zgubiona, już we władzy czarów, już pozostanie u dwarfów na wieczne posługi! Ale nie tylko dwarfy są groźne. Spośród drzew może wyjść zniecka Ollathir i zamienić spojrzeniem w kamień. Może spłynąć z nieba promienny, słoneczny Belder i olśnioną jego pięknnością pannę spalić swoim blaskiem. Albo i Hearnnonnos, przybrawszy postać urodziwego łowcy lub wodguarda, skusi słodkimi słowami...

Dlatego dziewczęta wolą nie opuszczać w tych dniach wsi. Gromadzą się w umajonych chatach i wśród śpiewu i żartów plotą dla siebie najpiękniejsze, najbardziej okazałe „majowe wianki”. Przygotowują barwne wełniane tasiemki oraz ozdoby z kłaczek owczego runa, ciętej słomki i trzciny — na „May-Tree”^{*44}. Pięką majowe ciasto z miodem i leśnymi pachnącymi ziołami. Zaś każda z osobna „Majowa Panna”, starając się zachować sekret przed towarzyszkami, sporządza własnoręcznie „majowy prezent”. Może to być chusteczka, zawiązka do koszuli, pochewka na nóż lub krzesiwo, ozdobnie wyszyty pasek — wszystko jedno, co, byle własnego pomysłu i własnej roboty! Te podarunki zostaną wręczone rankiem w pierwsze święto „Maja”, kiedy Jack-in-the-Green wkroczy ze swoją drużyną do wsi!

Kto to jest Jack-in-the-Green i co to za drużyna?

⁴⁴ * „May-Tree” — „Majowe Drzewo”. Ozdobnie przybrane drzewko wstawiano we wsiach na uroczystym miejscu na czas Zielonych Świątek.

We młynie Willa Rzetelnego w dni poprzedzające święta „Maja” raz po raz toczył się pewien dialog. Przy różnych zajęciach i o różnych porach dnia, ale niemal zawsze w jednakowym brzmieniu. Toczył się również i w tej chwili, gdy obaj Willowi chłopcy zajmowali się tak prozaiczną i tak odległą od świątecznego nastroju robotą, jaką było uprzątnię koszar dla jagniąt.

— ... tak?.. — kończył jakąś prośbę Much.

— Nie — brzmiała spokojna odpowiedź Robina.

— A czemu nie?

— Bo nie.

— Ale dlaczego nie?

— Dlatego, że nie, i koniec!

Przez jakiś czas panowało wazkie milczenie, slychać bylo tylko szuranie drewnianych widel zgrabiajacych mierzwe.

— Jaki jest ten wasz Jack? — zapytal znów Much.

— Zobaczysz go w niedziele.

— A czemu nie dzis?

— Bo dzisiaj ci nie wolno.

— Robin, powiedz, gdzie macie Polane?

— Jeszcze czego! Poczekaj, pokaże ci ja po „Maju”!

— A teraz nie moge zobaczyc?

— Nie, nie mozesz. Trzeba miec skonczone pietnascie lat.

— A dlaczego?

— Bo tak już jest. Przed „Majem” nie wolno widzieć Polany ani dzieciom, ani dziewczętom, ani niewiastom, ani żonatym mężczyznom. Jack-in-the-Green to tylko rzecz młodzieńców!

— A ja nie jestem młodzieniec?

— Jesteś, ale jeszcze nie taki do Majowego Orszaku. Poczekaj sześć lat.

— Robin, pokaż mi Polanę! Tak po kryjomu!

— Nie wolno. Złapałyby nas Zielona Straż i dostalibyśmy obaj lanie.

— Przecież ty byś się nie dał!.. —jedynek Willa zgorszył się tak, jakby usłyszał bluźnierstwo.

— Gdyby mnie z tobą złapali, musiałbym się dać.

— A dlaczego?

— Właśnie dlatego, że przyprowadziłbym ciebie, a tego nie wolno. Trudno, musisz poczekać. Za siedem lat będziesz plótn „Jacka”, tak jak ja teraz. A za sześć będziesz właśnie w Zielonej Straży i będziesz mógł stłuc na kwaśne jabłko każdego, komu się zachce przed czasem „Jacka” oglądać. Nawet gdyby to byli Dick Tine...

Mucha nie zadowolila jednak ta ponętna obietnica. Wciąż trwał przy swoim, bo jak mu coś utkwilo w twardej łepetynie, to nie- sposób było tego z niej wybić.

— Robin, ale ty przecież umiałbyś się tak podkraść, żeby nas Zielona Straż nie złapała! Prawda, że umiałbyś?

— Pewnie, że umiałbym.

— No to możemy pójść! Pójdziemy?

— Nie, Much. To byłoby nieuczciwe.

— Nieuczciwe?.. — powtórzył dziwny wyraz Much i popatrzył ze zdumieniem na poważną twarz starszego brata.

— Posłuchaj... — Robin spojrział na stłoczone w kącie zagrody, pobekujące cienko jagnięta i błysnęła mu szczęśliwa myśl. — Jakbyś ty się zagapił na pastwisku i ktoś by się podkradł, i porwał nam jagnię, to czy to by było uczciwe?

— Aha... — mały przez chwilę rozważał ten zawiły problem i nagle stwierdził triumfalnie: — Ale my przecież nie chcemy na Polanie niczego ukraść!

— Jak to nie? Właśnie ukradlibyśmy!

— A co? — zdumiał się Much.

— Święty sekret „Jacka”, rozumiesz? — Robin żartobliwie przytknął palcami w płową czuprynę braciszka, odstawił widły i przeciągnął ramiona. — No, wystarczy, mam już dość! — stwierdził, którą wypowiedź można byłoby uznać za dotyczącą tylko roboty.

Trudno zaprzeczyć, że jedynie „knightowska” wyrozumiałość i cierpliwość pozwalały zachować podczas takiej wymiany zdań spokój, a nawet dobry humor...

Z przytoczonej rozmowy wynika wszakże niezbitie, że Jack-in-the-Green to tajemny obrzęd, będący przywilejem wyłącznie męskiej młodzieży. Że aby brać w nim udział trzeba mieć odpowiednią liczbę lat. Że tajemnica ukryta jest w jakiejś sekretnej, niedostępnej polanie i że strzeże jej czujna Zielona Straż, którą pełnią najmłodszy, zdający w ten sposób egzamin z czujności, ostrożności i odwagi. Że ta Straż ma prawo, a nawet obowiązek nauczyć rozumu każdego intruza, który ośmieliłby się przed czasem zakłócać spokój „Jacka”. Bo „Jacka” w okresie przed „Majem” wolno widzieć tylko tym, którzy trudnią się jego wykonaniem i przygotowują poranną świąteczną uroczystość. Majowym Rycerzom!

Majowy Orszak małego Oxton nie był zbyt liczny — ledwie siedemnaście głów. Ale wszyscy, od piętnastolatków: Billy'ego „Od Tine'a" (najmłodszego brata Dickona!), Johnny'ego Kociaka i Dana Osy — właśnie obecnych Zielonych Strażników, którym nie wszystkie jeszcze czynności były dozwolone przed Zieloną Nocą — aż do Dickona Strzały, którego wesele miało odbyć się po żniwach, byli jednakowo przejęci, jednakowo poważnie traktowali przygotowania i jednakowo czuli się związani tajemnicą.

Rodzice i gospodarze wiedzieli, że w ciągu tygodnia poprzedzającego „Maj" tak trzeba ułożyć robotę w polu, w obejściu i w domu, żeby synowie, krewniacy i parobcy, przynależni z wieku do Majowej Drużyny, o zachodzie słońca byli już od wszelkich zajęć wolni. Kiedy tarcza słoneczna dotykała zachodniego brzegu Sherwood, każdy Majowy Rycerz pędził co tchu w las, w uświęcone sekretem miejsce. Choćby był najbardziej zmęczony po całodziennej pracy — myśl o spotkaniu na Polanie w iście czarodziejski sposób przywracała mu siły i wesołość. A że złe leśne moce zagrażały nie tylko pannom, lecz również młodzieńcom — należało się przeciw nim odpowiednio uzbroić. Nie w łuk i „bonnie", broń Boże, tego oręza nikt nie ośmieliłby się przynosić na Polanę! Rycerze podczas wieczornych spotkań nosili zielone pasy, splecione z liści dębu, jesionu, grabu, gałązek głogu — oraz ziół: rozchodnika, tymianku i barwinku. Siedem leśnych roślin o czarodziejskiej mocy. No i znana już, przepasująca czoło sevenbold, symbol chłopięcej niewinności. Tak przyodzianego Rycerza brała pod swą opiekę bogini młodości Friggia, zaś żadna huldra, deirdree ani pluskająca się w strumykach nixie nie miałyby odwagi zaczepiać go, kusić i wodzić po leśnych manowcach?

Było coś niezwykłego, coś niewypowiedzianie tajemniczego i dostojnego w zielonym mroku wybranej polany, na którą przez konary drzew ledwie docierało światło odchodzącego dnia. Zwłaszcza, gdy wieczory bywały tak pogodne, ciepłe i ciche, jak teraz... I nowicjusze, i ci mający za sobą już kilka „Majów" — czuli to samo ściskanie w gardle i trzepot serca. Czasami napięcie nie dawało się opanować i wymykało się z

gardła nerwowym chichotem, ale winowajca tłumił go natychmiast i przybierał minę oddalającą od niego wszelkie podejrzenia.' Przed rozpoczęciem obrzędów rozmawiano niewiele i cicho, zaś w ich trakcie obowiązywało bezwzględne milczenie — poza słowami, które zwyczaj dopuszczał, a nawet nakazywał. Nikt nie uważał tego za zbyt wielką uciążliwość, gdyż przecież była to leśna, sherwoodzka młodzież, od kołyski nauczona szacunku dla puszczy i mająca ją za świątynię.

Najstarsi rozpalali u stóp „Jacka” niewielkie ognisko i ich obowiązkiem było strzeżenie ognia przez cały wieczór, pilnowanie, by płonął równo i z jednakową mocą. Cały Orszak zasiadał wokół niego milczącym kręgiem. Nikły, różowawy blask oświetlał młode, poważne twarze, połyskiwał na jasnych i ciemnych kosmykach, ujętych w białe przewiązki. W tych przepaskach, w zielonych „leafy- -girdles”^{*45} na biodrach rzeczywiście przypominali młodociane leśne zjawy, orszak Friggii i Haernonnosa...

„Jack-in-the-Green” rodził się już w okresie pączkowania drzew. Wtedy uroczystość, z zachowaniem należytego ceremoniału i z solenną przysięgą, że nikt się o tym nie dowie — wybierano Polanę i rosnące na niej trzy młodziutkie dęby równolatki, których wysokość nie mogła przewyższać wzrostu dorosłego mężczyzny, a ponadto musiały rosnać blisko siebie. Umieszczano pomiędzy nimi dwie wiklinowe obręcze, jedną na wysokości ramion, drugą — na wysokości łydek, po czym związywano mocno czubki drzewek łykiem, tak że tworzyły kształt stożka. Tym sposobem troskę o kształt i zieloność „Jacka” powierzano samemu sir Sherwoodowi. Jeżeli związane dąbki jednakowo bujnie okrywały się listowiem — uważano to za najszcześniejszą wróżbę. Nie tylko dla Orszaku, ale i dla całej wsi!

W ciągu siedmiu „przedmajowych” wieczorów — licząc również i Zieloną Noc — świta „Jacka” przybierała zieloną, stożkowatą figurę w bluszcz i wiciokrzew, a na

⁴⁵ *Leafy-girdle (ang.) — pas liściasty, przepaska z liści.

końcu — w kolorowe wełniane wstążki i w kwiaty. Przede wszystkim po to spotykano się na Polanie.

Pleść należało bardzo starannie, w najmisterniejsze ornamenty, co przy nikłym świetle małego ogniska wcale nie było łatwe. Stokroć jednak gorszym utrudnieniem było to, że przy robocie należało milczeć, zachowywać dostojną powagę i kamienną twarz. Parsknięcie śmiechem czy wpadnięcie w złość natychmiast wykluczało z obrzędu aż do następnego wieczora. Kto nie wytrzymał — musiał ustąpić miejsca kolejnemu „Rycerzowi”. A wytrzymał mało kto, gdyż kolegom — i w tym wypadku obyczaj dozwalał głośnego mówienia! — wolno było zajętego wyplatanem rozśmieszać, mówić dokuczliwości, łaskotać, podszczypywać, kraść mu spod ręki zielony „budulec”...

Ku wielkiej radości członków Orszaku — mało było w nim takich, którzy potrafili wytrwać do końca wyznaczonego im czasu bez kompromitacji, nie wyzbywając się męskiego i puszczańskiego opanowania. Gdyby wszyscy umieli — obrzęd byłby niesłychanie monotony i nudny. Tak właśnie myśleli w duchu wszyscy, gdy wyplatanem zajmował się Robin z Młyna. W ciągu minionych czterech wieczorów ani razu nie zdarzyło mu się stracić zimnej krwi i wyniosłego spokoju! Odchodził dopiero wtedy, gdy przewodzący Orszakowi Dickon obrzędowym wezwaniem odwoływał go od pracy...

W gotowej już figurze „Jacka” czyniono specjalne otwory dla oczu i ust, strojono ją w koronę z kwiatów i wstążek — i ścinano pnie dąbków u samych korzeni. To już miało miejsce o świcie w pierwsze święto „Maja” i było bardzo uroczystą ceremonią. Do wnętrza kukły ostrożnie włożył odtwórca roli „Zielonego Jacka”. Zwyczajowo był to Wódz Orszaku, czyli ktoś, kto ukończył dwudziesty rok życia — ta liczba lat zamykała bowiem młodzieńczy wiek. Zaś za szczególnie dobrą wróżbę uchodziło, gdy Wódz zamierzał niebawem pożegnać się z kawalerskim stanem...

W tym roku Wodzem i przyszłym „Jackiem” był, rozumie się, Dickon Strzała. I wszystko wróżyło szczęście dla Orszaku i dla

Oxton. Młode dąbki pięknie i gęsto się zazieleniły, pogoda sprzyjała, Dickon dał na zapowiedzi — a „Jack-in-the-Green” prezentował się coraz wspanialej i bogaciej!

Ukończony, uwolniony i ożywiony „Jack” w asyście swego Orszaku, również przystrojonego w zieleń, kroczył „Majowym” świtem w triumfalnym pochodzie do wsi. W rękę dzierżył tęgą brzożową wić, których cały zapas nieśli za nim dworzanie, i grzmocił nią po drodze dzieciaki, dziewczęta i młode niewiasty. Zwłaszcza te najurodzawsze. W dębowym, liściastym pancerzu trudno mu było gonić za wrzeszczącymi i piszczącymi ofiarami, ale ofiary wcale nie umykały zbyt szybko. „Jackowe ciągi” zapewniały bowiem wiośnianą świeżość i piękność, szczęście w miłości i zgodne życie małżeńskie!

Te gonitwy i wrzaski trwały dopóty, dopóki echo puszczy nie przyniosło odgłosu dzwonek z Holy Ghost. Wtedy przerywano wesołe harce, dziewczęta wręczały chłopakom „majowe prezenty”, zabierano przygotowane do poświęcenia snopy zieleni, kwiatów i pachnącego tataraku — i na kilka godzin całe Oxton uprzytomniało sobie, że jednak jest chrześcijańską wsią. Druga część uroczystości — świąteczne spotkanie przy „May-Tree”, biesiady, śpiewy i tańce — rozpoczynała się po powrocie z odpustowego nabożeństwa, a trwała przez resztę dnia i przez całą noc. Świąteczny poniedziałek i wtorek nie były już tak hałaśliwe i obfitujące w zabawy, ale też przyjemne

Jednak w opisywanym tu czasie „Jack” nie był jeszcze gotowy i Majowi Rycerze po raz piąty zasiedli wokół ogniska. Dickon Strzała przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w płonące u jego stóp ognisko, wreszcie zwrócił głowę na milczący Orszak, uciszył surowym syknięciem jakichś szepczących profanów — i uroczyście rzucił w płomień dębowe polanko.

— Odinowi, by trzymał na wodzy swój gniew przeciw nam!..

— Niechaj trzyma!.. — uroczystym półgłosem wyrzekł chór.

Dickon rzucił w ogień polano grabu.

— Haernonnowi, aby nas strzegł i zdobyczy nie skąpił!..

— Aby strzegł i nie skąpił!..

W płomienie padło białe polanko brzozowe.

— Friggii, opiekunce naszej młodości! Niech nam szczęści!..

— Niech nam szczęści!..

Potem zapadła na chwilę uroczysta cisza. Na wszystkich twarzach malowało się takie wzruszenie i takie nabożne przejęcie, że jeśli święty król Edward spoglądał w tej chwili z nieba na swą niewdzięczną Wyspę i widział oxfordzką Polanę — to z pewnością myślał, iż jego zbożny wysiłek nie na wiele się zdał.

Po tym wprowadzeniu można już było przystąpić do roboty. Ponieważ zaś nowicjuszom-piętnastolatkom nie wolno było jeszcze pleść „Jacka”, Dickon wskazując na gromadę rozkazał już mniej uroczyście, za to trochę żartobliwie:

Kto sześć ukończył po dziesięciu,

Niech da początek przedsięwzięciu!..

Z kręgu podniósł się Robin. W tym roku tylko on jeden miał prawo pośpieszyć na pierwsze wezwanie Wodza. Jego równolatek, Jimmy Fox, niedawno wpadł w leśny wykrot tak nieszczęśliwie, że złamał nogę i z tej przyczyny nie mógł uczestniczyć w obrzędach „Jacka”.

Podążającemu ku zielonej figurze chłopcu towarzyszyło przyciszone,, chóralne skandowanie, poparte niegłośnym i rytmicznym klaskaniem w dłoń:

Więc pleć i wij, i kręć, i tkaj,

Bo blisko już Zielony Maj!

I cierp, i milcz jak głaz, nie człek —

Bo tego żąda Jack!..

Wygłaszano to jednak bez nadmiernego entuzjazmu. Wszyscy wiedzieli, że nic interesującego nie nastąpi. Można będzie tylko podziwiać dumny spokój „Knighta”, dopóki Dickon nie odeśle go na miejsce pełnym uznaniem, obrzędowym rozkazem: „Prawdziwym mężem umiesz być, zrobiłeś swoje — idź!”

Obyczaj jednak był obyczajem, więc należało próbować. Łagodne koleżeńskie żarty byłyby wszakże zgoła nieskuteczne.

— Aleś umączony, „Knight”!.. — syknął Arnie-Smyk i śmignął wiklinowym prętem przez plecy Robina. Chłopak na pewno dobrze to poczuł, ale poruszył tylko łopatkami i nawet się nie obejrzał. Spokojnie zaczął przeplatać pomiędzy dębowymi gałązkami błyszczącą nić wiciokrzewu. Drgnął i syknął, kiedy sięgnawszy po omacku do stosu przygotowanej, naciętej zieleni — natrafił dłonią na dobrze jeszcze rozgrzane polanko z ogniska. To Martin Ucho podsunął je niepostrzeżenie w to miejsce. Przez krąg przebiegło stłumione parsknięcie. Dickon spiorunował wzrokiem Majową Drużynę, gdyż żarty mogły być złośliwe ale nie okrutne.

Robin jednak z całkowitą obojętnością przyłożył palce do ucha, a potem znalazł po omacku to co chciał i dalej majstrował przy zielonym stożku. Na wszelki jednak wypadek umieścił pomiędzy zębami kilka gałązek bluszczu i przygryzł je mocno — niby że na zapas. Mogą sobie teraz robić i gadać, co im się żywnie podoba!

Istotnie posypały się jadowite dogadywania.

— Patrzcie! Jeszcze wyżej mu łeb podskoczył! Knight Robin!.. Sir Robin!..

— Ile drożej od funta miewa teraz bierzecie, milordzie?

— A ta wasza śrucina to jaka, żytnia czy owsiana, co?

— Te, Robin! Gadają, że Dave z zamku coraz częściej ma kolkę i że Shelton nowego łowczego szuka! Nie poszedłbyś?

— A ja słyszałem, że go Artur na woodguarda chciałby!..

— Iii, tam! Od razu na starszego idźcie, wasza dostojność!

— Jemu by pasowało z Chrisem po odpustach chodzić, tyle przecie tych ballad umie...

— I jeszcze jakich! — zabrzmiał wśród innych rozwlekły głos Pete'a Śpiocha z gospody. — Robin, zaśpiewaj tę o lady Godivie!

Stało się coś niewiarygodnego! „Knight” poderwał się jak ugryziony i jednym skokiem dopadł kolegi.

— Zamknij się, ty...

Majowi Rycerze jak jeden mąż zbaranieli. Nie tylko nie spodziewali się czegoś podobnego, ale jeszcze nigdy żaden z nich nie widział Robina w takim gniewie. Wystraszony Pete wykrztusił:

— A cóż ja takiego rzekłem?..

— A w zęby chcesz?!

„Knight” może naprawdę by to zrobił, ale w tym momencie Dickon, wyrwawszy się z osłupienia, przypadł i przytrzymał jego zaciśniętą pięść.

— Robin! — krzyknął ostrzegawczo.

— Co mu jest? Taka ładna ballada!.. — Pete spoglądał na nich zdumionymi oczyma sennego cielaka. — Prawda, Dickon? A ta lady Godiva...

— Dureń!.. Pęta!.. — wysyczał z wściekłością „Knight”.

— Robin! — groźnie już zawołał Dickon, gdyż i rękoczynty, i obelgi stanowiły wielką obrazę Polany i całego obrzędu.

Chłopiec umilkł, ale wciąż stał z zaciśniętymi pięściami i trzepoczącymi w szybkim oddechu nozdrzami, jakby wciąż nie rezygnował z zamiaru bójki. W kręgu zapadła śmiertelna cisza. To, co się stało, przeszło nie tylko oczekiwania, ale i wyobraźnię Rycerzy. Robin, ten spokojny, opanowany „Knight” nie tylko przemówił przy wyplataniu „Jacka”, ale zachował się po prostu niegodnie! Może oszalał? A może go coś urzekło, mimo zaklęć i ochrony „majowej zbroi”?

— Co to ma znaczyć, Robin? — oburzony Dickon potrząsnął mocno ramieniem „Knighta”. — Zapomniałeś, gdzie jesteś?

— To niech ten głupek trzyma język za zębami!

— Ty też! I ręce przy sobie! Tu nie ma miejsca dla awanturników. Chcesz, żebym cię przepędził z Polany?

Robin spojrział na Wodza rozwścieczonym wzrokiem.

— Bez łaski! Nie musisz mnie przepędzać, sam sobie pójde! — wybuchnął i spróbował się wyrwać. Ale Dickon trzymał go mocno.

— Opętało cię coś? Nie wiesz, że samemu opuszczać Polany nie wolno? Chcesz nieszczęście na nas sprowadzić?

— Puść mnie! — Robin szarpnął się jeszcze gwałtowniej. — Powiedziałeś, że nie ma tu dla mnie miejsca, więc sobie pójde!

Dickona również ogarnęła złość, której nie potrafił ukryć.

— Pójdiesz? To idź, ale zostaw sevenbold i pas! — warknął zmienionym z irytacji głosem. — Zobaczmy, czy bez tego będziesz taki zuch!..

Był pewien, że ten drastyczny rozkaz przywróci chłopca do opamiętania. Tymczasem ku niesłychanemu przerażeniu wszystkich — Robin jednym ruchem strącił z głowy białe godło młodzieńczej czci i zaczął szarpać na sobie „leafy-girdle”. Majowi Rycerze poderwali się z miejsc, a Dickona ciarki przeszły! Nie było większej obrazy dla leśnych bóstw, które od tej chwili mogły nie tylko przestać sprzyjać Orszakowi, ale w dodatku zasłać na wszystkich jego członków jakieś wielkie nieszczęście. A ten smarkacz gotów jest naprawdę polecieć przez ciemną puszczy bez czarodziejskiej zbroi!.. Niech mu zastąpi drogę „Old Nick”⁴⁶ i łeb ukręci, niech go deirdrees gdzieś powiodą i przepadnie bez śladu — co wtedy?..

— Nie, jemu się doprawdy we łbie pomieszało! — Wściekłym ruchem wcisnął sevenbold na głowę chłopca. — Co ty wyprawiasz?.. Chcesz, żeby nas wszystkich przez ciebie Odin piorunem spalił? — z niekłamaną trwogą splunął po tych słowach przez lewe ramię. — Żeby nas Haernonnos przestał łaską darzyć?.. — znów uczynił to samo. — Żeby nam Friggia szczęścia odmówiła?.. — splunął po raz trzeci.

Robin jakby dopiero teraz oprzytomniał.

— Co ty gadasz?.. Dickon!.. — wyszeptał z lękiem.

— Jak to!.. To ty nawet nie wiesz, czegoś się dopuścił?!

„Knight” popatrzył na Wodza rozszerzonymi oczami, z których znikła już złość, za to widniały w nich teraz zdumienie i trwoga.

— Znieważyleś Polanę! Obraziłeś tych, którzy nas w swojej łasce mają! — ostro rzekł Strzała. — I to kto się tego dopuścił? Ty!.. „Knight”!..

Przydomek miał w tej chwili naprawdę sens obelgi. Robin schylił głowę, zwykle uniesioną tak prosto i dumnie. Nawet w półmroku widać było, że na jego twarz wypłynęły ciemne rumieńce.

⁴⁶ *Old Nick (ang.) — angielskie określenie diabła, złego licha.

— Ja... ja nie wiem, co uczyniłem!.. — wykrztusił zdławionym głosem. — Nie chciałem tak, naprawdę! Przebacz mi, Dickon! I ty, Pete, też...

— Ja się tam wcale... — zaczął pocziwie Śpioch, ale Strzała uciszył go ruchem ręki. Domyślał się, że przeprosiny wiele dumnego „Knighta” kosztowały. Jednak jako Wódz Majowego Oddziału nie śmiał uznać ich za wystarczającą ofiarę i zadośćuczynienie ze strony winowajcy. Obyczaj nakazywał surowszą pokutę.

— Obraziłeś tych, którzy nas w swojej łasce mają! — powtórzył twardo. — Ich musisz o przebaczenie prosić. Wiesz, co trzeba uczynić!

Wszyscy widzieli, że Robin wzdrygnął się całym ciałem. Ale kiwnął posłusznie głową, poprawił przepaskę na czole, dotknął liściastego pasa — i pobiegł w ciemność między drzewa, poza kręgiem ogniska. W gromadzie nikt się nie odezwał, nie poruszył. Wszyscy milczeli i trwali nieruchomo do chwili, kiedy chłopak znów wynurzył się z ciemnej gęstwiny. W dłoni trzymał trzy zielone gałązki: dębową, grabową i brzozową. Bez słowa podał je Dickonowi.

— Uklęknij! — rozkazał surowo Wódz.

Robin ukląkł i zdecydowanym, choć nie pozbawionym lęku i zawstydzenia ruchem uniósł głowę ku Dickonowi, jednocześnie wyciągając przed siebie obie ręce. Wódz Majowego Oddziału niezbyt mocno, ale stanowczo trzepnął go dębową gałązką po tych właśnie rękach — na przebłaganie Odina, który mógł wpaść w gniew, widząc je zaciśnięte w pięści i gotowe do niepotrzebnej, niegodnej bójki. Uczyniwszy to, wrzucił gałązkę w ogień. Potem liściastą witką grabu zdzielił Robina tak samo lekko i stanowczo w usta — przeprasząc tym Haernonna za złe i popędliwe słowa, wyrzeczony w jego leśnym królestwie. I na koniec brzozową gałązką smagnął przez pierś, gdzie bije serce — żeby Friggia wybaczyła młodemu sercu złość, którą okazało. Obie gałązki, spełniwszy swe zadanie, kolejno spoczęły w ogniu.

— Teraz przeprasza! — szorstko polecił Dickon.

Robin podniósł głowę ku ciemnym koronom drzew, aż włosy opadły mu nisko na plecy, i wyciągnął ręce w górę. Jego wargi zaczęły się poruszać bezgłośnie szeptem. Cały Oddział patrzył na niego w głębokim milczeniu. Cisza była tak przejmująca, że trzask ognia, połykającego „uroczone” gałązki, brzmiał niezwykle głośno. Dalekie pohukiwanie sowy- potęgowało jeszcze niesamowity nastrój przykrej, zawstydzającej wszystkich chwili.

— Możesz wstać! — zezwolił wreszcie Dickon. — Idź na swoje miejsce i sprawiaj się, jak przystoi na Polanie!

Raz jeszcze obrzucił Robina gniewnym wzrokiem i odkaszlnąwszy, z wymuszoną swobodą wznowił tak niefortunnie rozpoczęty obrzęd:

Kto skończył siedem po dziesięciu,

Niech czyni zadość przedsięwzięciu...

Przyciszony chór podchwycił też jakoś wymuszenie i niewesoło:

I pleć, i wij, i kręć, i tkaj,

Bo blisko już Zielony Maj!

I cierp, i milcz jak głaz, nie człek...

Znane słowa zaklęcia wydały się nagle Robinowi bezlitosnym szyderstwem. W pierwszej chwili znów porwała go chęć, by uciec z Polany, w następnej — żeby usiąść gdzieś daleko, poza kręgiem ognia, gdzie nikt nie mógłby go dojrzeć. Przemógł się jednak. I jedno, i drugie byłoby czymś dziecinnie głupim i żalnym. Przecież nikt go nie skrzywdził, nie obraził. Hańba? Sam się zhańbił tym, co uczynił. Znieważył Polanę grubiańskimi słowami i chęcią bijatyki! Chyba jeszcze nigdy żaden z oxtoskich chłopców nie dopuścił się podobnej niegodziwości. Zrobił to on — „Knight”, znany z tego, że nigdy nikogo nie zaczepia i nie okazuje złości! Przecież to właśnie nakazuje

Prawo Króla Artura! A on zapomniał o świętych nakazach — właśnie tu, na Jackowej Polanie!

Usiadł, otoczył ramionami kolana i ledwie się powstrzymał, by nie wcisnąć w nie twarzy. Chłopcy mogli by pomyśleć, że beczy z upokorzenia. Nie — będzie siedział z podniesioną głową! Niech widzą, że jest spokojny...

Wcale jednak nie był spokojny i dobrze o tym wiedział. Twarzy nie ukrył, za to przymknął oczy, żeby nie widzieć rzucanych ku sobie ciekawych, złośliwych, współczujących lub pełnych potępienia spojrzeń. Zacisnął usta, na których wciąż czuł smagnięcie grabowej gałązki. Uderzenia zielonych witek były przecież bardzo lekkie... Ale Robin pomyślał nagle, że gdyby można było cofnąć czas o tę chwilę i gdyby przyszło mu wybierać pomiędzy karą Wodza a wujowym laniem — bez wahania zgodziłby się na to drugie!

Lecz Dickon nie ukarał przecież dlatego, że mu się tak podobało i nie przez złośliwość, tylko dlatego, że jest Wodzem i że musi dbać o cześć bóstw, strzegących Majowej Polany!.. Swoją drogą, jak to dobrze, że nie wolno mówić o tym, co dzieje się na Polanie. „Knight” był pewien, że gdyby się ta sprawa rozniosła — spaliby się ze wstydu!..

Usłyszał, że przy „Jacku” coś się zakotłowało. Ktoś gniewnie syknął, ktoś zachichotał, przez otaczający ognisko krąg przeleciał szmer — i Drużyna wyskandowała dobitnie, już bez klaskania:

I śmiech, i złość — niemęska rzecz,

Więc idź od Jacka precz!..

Robin otworzył oczy. Zobaczył, że Arnie-Smyk i Johnny-Środkowy, młodszy brat Dickona, z zawstydzonymi minami wsuwają się pomiędzy towarzyszy. Wcale mu ów widok nie ulżył. Bo uprzytomnił sobie, że do niego Orszak nie wygłosił tych słów.

Tak ciężkie było jego wykroczenie, że wszyscy zapomnieli o obrzędowym, chóralnym rozkazie!

Czy Odin, Haernonnos i Friggia przebaczą? Mogli nie widzieć, jak Dickon go karci, mogli nie dosłyszeć jego przeprosin! Jeśli Strzała rzekł w złą chwilę i nie zażegnał uroku... Jeśli za ten haniebny wybryk bóstwa ukarzą wszystkich, całą Drużynę...

Nie, leśni bogowie nie mogą być aż tak okrutni! Muszą mieć trochę litości dla kogoś, kto przed miesiącem skończył dopiero szesnaście lat! Kto po raz pierwszy w tym roku plecie „Jacka”!

Ale gdyby — nie mieli... Pioruny Odina i niełaska Haernonna, to byłoby straszne! A Friggia — gdyby z zemsty za doznaną obrazę nigdy nie dała sercu wzajemnej dziewczęcej miłości, odebrała każde kochanie? To byłoby jeszcze gorsze, bo przecież...

Robin poczuł, że znów się rumieni. Nie był to jednak palący i bolesny rumieniec wstydu sprzed chwili. Myśli przyćmiły się i splątały w słodki wir, ciało przebiegł dreszcz, potem jakby omdlało w bezwładzie. Znał dobrze to uczucie... Znał je od kilku dni! Z trudem nakazał sobie spokój i teraz wtulił twarz w kolana, bo już nikt na niego nie patrzył.

To wstrętne z jego strony! Chciałby litości i wyrozumiałości od bogów, bo ma „dopiero” szesnaście lat! A jednocześnie pragnąłby... i wstyd, i strach nawet przed samym sobą się przyznać, czego! Pragnąłby, bo ma „już” lat szesnaście!

I przecież bóstwa dobrze wiedzą, dlaczego znieważył Polanę! Co odebrało mu rozsądek i świadomość tego, co czyni!

Coś się z nim stało. Sprawiała to owa krótka chwila, przeżyta w lesie przy gościńcu, w tamten niezwykły dzień. A później — dziwny, straszny i rozkoszny sen o lady Godivie! Już nie był dawnym Robinem, beztroskim i niewinnym. Nie mógł nim się czuć! Nie popełnił grzechu, ale myśl o tym grzechu trwała wciąż i nie dawała się ode-

gnać. A przecież uczono go od dzieciństwa, że chęć jest równie zła jak sam grzech! Gdy o zachodzie, wybierając się na Polanę, przywdziewał białą przewiązkę — czuł się tak, jakby popełniał zbrodnię. A sevenbold ścisnęła skronie jak żelazna obręcz, gniotła i paliła...

Tak, to było niegodne i grzeszne — a jednocześnie tak słodkie i miłe! Pewnie dlatego nie potrafił się wyrwać spod władzy majowego uroku, choć bał się i wstydził okropnie. Gdyby chociaż mógł się komuś z tego zwierzyć! Gdyby go ktoś uspokoił, pocieszył, poradził, jak się przed tymi myślami bronić! Ale któż mógłby to zrobić? Wuj Will?.. Po tym, co ojciec Austin przepowiadał i czym straszył? Wuj by poradził, a jakże! W złość by wpadli i sprali na kwaśne jabłko! Przecież głupia śpiewka tak ich rozgniewała, a potem, gdy go przy oknie nocą przyłapali... Nie, wujowi nie śmiałyby się zwierzyć za nic w świecie! A Jake?.. Pewnie, on by wysłuchał, może by nawet i zrozumiał, ale — cóż by poradził?

Musiał więc męczyć się sam, sam ze swoją objawioną tak nagle dorosłością, a jakiś niepojęty sposób równocześnie okropną i cudowną, wywołującą przeraźliwy wstyd i uczucie dumy. Nigdy jeszcze nie czuł się tak zagubiony, oszołomiony i samotny. Zdawało mu się, że wszyscy odgadują w nim tę przemianę, że o niej wiedzą...

Do niepokoju dołączała się — tęsknota. Wciąż miał przed oczyma królową Guinevere — lady Godivę — i tęsknił nieomalże do łez. Wiedział, że jest tak niedaleko, że wystarczyłoby kilka pacierzy biegu — i stanąłby w gospodzie, i mógłby ją zobaczyć! Ale na samą myśl, że mógłby naprawdę to zrobić, drętwiał z lęku i wstydu. Po cóż miałby tam biec? Co by jej rzekł? Czy ona chce go widzieć? Może już o niczym nie pamięta — ani o sir de Courtenayu, ani o dzielności Robina, ani o... pocałunku? Pewnie, miałaby też o czym pamiętać! Robin jest dla niej tylko „małym Knightem”, smarkaczem o którym myśleć nie warto! Więc po co do niej iść?..

Lepiej więc było marzyć i wyobrażać sobie różne piękne i niezwykle chwile. Takie na przykład jak w piosence Chrisa... albo jeszcze inne... Bardzo pragnął być sam,

ukryć się gdzieś, nie widzieć nikogo i nie być widzianym — i myśleć! Ale nie mógł. Wuj poganił we młynie bardziej niż kiedykolwiek, a poza młynem też ciągle wynajdywali coraz to nowe zajęcia. Zupełnie jakby się uwzięli! Oszołomiony, rozmarzony Robin musiał stosować się do gniewnych poleceń i rąbać drwa, uprzętać owczy koszar, naprawiać strzechę na obórce, a nawet ku swemu zdumieniu zryć kawałek ugoru za tą obórką, choć odkąd pamiętał, niczego tam nigdy nie sadzono ani nie siano... Jak ta robota szła, Boże się pożał! Niby zmuszał się do niej, udawał beztroskę, gawędził z towarzyszącym mu nieodstępnie Mucchem — ale dziwny czar wciąż trwał i raz po raz ogarniał ciało słodkim bezwładem, kazał wypuszczać z rąk topór, opierać się na motyce, wyciągać się na układanych wiązках wikliny na dachu... i wbijać oczy w przestrzeń lub w niebo, błękitne jak suknia i oczy Maud... i myśleć, choć strach było tych myśli!

Jake przecież nie słyszał rad ojca Austina, a też jakby się uwzięł. W każdej wolniejszej chwili proponował po swojemu — „bonnies”, zapasy albo sprawdzenie, czy „Knight” nie zatracił szybkości nóg. Robin zawsze bardzo to lubił i zawsze chętnie przystępował do treningów, ale teraz naprawdę wołałby święty spokój i własne myśli. Jake jednak nie ustępował i było tak, jak chciał. Tylko że wyniki wcale nie przynosiły „Knightowi” zaszczytu!

Raz tylko było naprawdę wspaniale. Wtedy, gdy Jake zamiast „bonnie” przyniósł swój jerozolimski miecz! Robin już zdążył zapomnieć o swej prośbie, a Jake pamiętał. Pokazał, jak zadaje się ciosy oburącz, od prawej i od lewej strony. Sam osłaniał się tarczą i kiwnięciami głowy chwalił wysiłki „Knighta”. To było coś cudownego! Nie mogło się równać z walką na kije, choć właśnie to Robin uważał do tej pory za najważniejszą, najbardziej potrzebną z męskich umiejętności. Ale miecz! Inny kształt, inna waga, i przede wszystkim — dźwięk, od którego serce zamierało z radości! I wcale nie musiał bardzo się wysilać: smukłe, zręczne ciało, nawykłe do ćwiczeń i ruchu, w lot zaczęło przyswajać sobie nową, nieznaną sztukę. A dłonie jakby od dawna

znały kształt rękojeści! Tak, wtedy Robin czuł się naprawdę szczęśliwy i wolny od dręczących go trosk...

Ale to szczęście trwało krótko, a lekcja fechtunku odbyła się tylko jeden, jedyny raz. Przy ćwiczących jak spod ziemi wyrósł wuj Will. Aż dygotał z gniewu. Pełen radosnego uniesienia Robin oberwał parę razy po karku, a Jake'a wuj skrzyczał. Chyba pierwszy raz. Wołał, że Niemowa chyba rozum postradał, bo czyż godzi się używać oręża, pobłogosławionego przez samego papieża i uświęconego krucjatą, do zabaw z głupim smarkaczem? Natychmiast ma schować miecz i żeby on, Will, nigdy go już nie ujrzał!..

Czy to naprawdę było takim wielkim pohańbieniem krzyżowego oręża? Pewnie tak, bo wuj byli bardzo źli! Szkoda, że nie można...

Tak mijały dni, pełne tęsknoty, lęku, słodkich i dręczących pragnień — daremnie tłumionych pracą i wysiłkiem przy ćwiczeniach. Jeszcze jakoś najbezpieczniej i najpewniej bywało podczas spotkań na Polanie, kiedy bliskość kolegów pomagała zachowywać spokój, a powaga zakłęb i obrzędu trzymała na wodzy wyobraźnię. Ale gdy po powrocie z Polany przychodziło układać się do snu... Ach, wtedy urok brał we władzę z niezwykłą siłą! Aż brakowało odwagi, by zmówić wieczorny pacierz! Robin wiedział, że gdy zgaśnie światło, gdy znajdzie się w ciemności tylko z własnymi myślami, to wtedy... Jak śpiewał Chris?

Ty wiosno zielona, szalona!

Na imię ci: on, albo: ona!

Więc kwitnij i trwaj, niech zawsze jest maj, .—

Niech ptasi brzmi śpiew, niech w żyłach wrze krew...

Właśnie tak działo się z jego krwią. Wrzała!.. Czuł ją w sobie, gdy patrzył w mrok szeroko otwartymi oczami, gdy tłumiał oddech, coraz głośniejszy i szybszy, gdy usiłował leżeć spokojnie i nieruchomo, aby nie obudzić Mucha. Czuł, że krew wrze!.. Przepływała przez żyły jak ukrop, ciężko łomotała w sercu, tętniła i szumiała w skroniach, już uwolnionych od sevenbold. I całe ciało, zwyczajnie obnażone do snu, płonęło i drżało od tej gorącej, wzburzonej krwi. Nagle ulatniały się gdzieś myśli o wstydzie, o grzechu, o hańbie na ziemi i potępieniu po śmierci. Zapominał o ostrożności, przewracał się rzucał wśród rozkopanych skór, rozzuchwalony tą gorącą krwią, i bezpieczną ciemnością, i nawet własną nagością. Nawykłymi do mroku oczyma spoglądał na swe ciało i myślał, że jest młode, wyćwiczone i zgrabne — więc chyba ładne, mogące stanowić powód do dumy i... mogące się podobać! Że potrafi walczyć i zwyciężać, znosić dzielenie trudy i ból, jak przystoi męskiemu ciału! Więc potrafiłby ... Zagryzał gorące, nabrzmiące wargi, wypręzał się, zamierał w słodkim pragnieniu...

I wtedy z ciemności przybywa do niego — lady Godiva! Lady Godiva z ciemnymi splotami, okrywającymi białą nagość, z niebieskimi oczami, z czerwonymi ustami... Te usta — jak w lesie przy gościńcu — lekko i słodko dotykały jego ust, ramiona otaczały szyję, rozpuszczone włosy spadały miękką falą na twarz, czuł różany zapach... Ale gdy wyciągał drżące ze szczęścia, niecierpliwe ręce, by objąć i przytulić — chwycił nimi pustkę! I zaraz budził go błysk przeraźliwej trwogi, z którą wracała przytomność. Nie było już lady Godivy, była ciemna jak loch izba, sapiący przez sen Much i dolatujące zza rogoży miarowe chrapanie wuja Willa. I był on sam, Robin, przytłoczony ciężarem swego grzechu. Ciemność nie była już bezpieczna i przyjazna, tylko straszna, jakaś lepka i wstrętna, przygniatająca wstydem i świadomością winy, rozpusty, hańby. Ciało nie wydawało się młode i piękne, lecz odrażające i nieskromne, i trzeba było czym prędzej i jak najszczelniej otulić grzeszną nagość wyłysiałymi owczymi skórami. W pamięci jawiły się — kamienny murek dziedzińca Holy Ghost i straszny, kłujący w oczy płomień scarlet sign. Przerażony, zrozpaczony, gardzący sobą Robin zapadał w niespokojny sen, pełen koszmarów i zwidów. Budził się chyba

jeszcze bardziej zmęczony i nieszczęśliwy, z podkrążonymi oczyma i zbolałym sumieniem — do nowego, pełnego nowych trosk i udręk dnia...

Przez tyle kolejnych dni tłumił to wszystko w sobie — aż wreszcie nie dał rady dłużej! I to właśnie dziś, tutaj, na Majowej Polanie! Bo głupiemu Śpiochowi zachciało się akurat z żartem o lady Godivie wyskoczyć. Ależ dureń!.. Czy nie był to cios prosto w żywą ranę? Sam sir Lancelot z Jeziora nie zdzierzyłby chyba, gdyby go ktoś tak znienacka i boleśnie ugodził. No tak, ale sir Lancelot zachowałby się — właśnie jak sir Lancelot! A on, „Knight”, postąpił — jak Robin z Młyna! Jak prostak, jak ordynarny parobek! Czy warto było ćwiczyć w sobie opanowanie? Tym jednym wybrykiem wszystko zniweczył, ośmieszył się, skompromitował bez ratunku...

Pogrążony w ponurych myślach, z wciśniętą w podkurczone kolana twarzą, przestał zupełnie zważać na to, co dzieje się przy Jacku" i niczego nie słyszał. Drgnął, gdy ktoś szarpnął go lekko za kaptur. Podniósł głowę. Był to właśnie... Pete Śpioch, kolejny nieszczęśliwiec odpędzony od „czynienia zadość przedsięwzięciu”, — jako że nie wytrzymał i wierzgnął potężnie w łechcącego go przez dziurę w chodaku Arniego-Smyka.

— Jeszcze zły, „Knight”? — zagadnął skruszonym szeptem, sadowiąc się obok kolegi. — O cóż się tak wściekłeś?

— Daj już pokój! — burknął Robin.

— Aż mi dziw! Bo żeby to kto inny, ale ty...

— Śpioch, przestań!—

— A to przecież ładna ballada! Panienska Maud wciąż ją sobie teraz nuci...

— Peter!.. — zasyczał z rozpaczą Robin, zwierając aż do bólu zęby. Wolno zaczął liczyć w myślach do dziesięciu. Przecież nie znieważy Polany po raz drugi!

— A co?.. — zdumiał się Pete.

— „Knight”, Śpioch, bo wam każę z wodą w gębach siedzieć! — przywołał ich surowo do porządku Dickon. Wolno było mówić dokuczliwości pod adresem plotących „Jacka”, ale szeptów i rozmów pomiędzy sobą obyczaj Polany surowo wzbraniał.

Śpioch wystraszył się i zamilkł, a Robin jeszcze mocniej zacisnął zęby i wsunął pod siedzenie dłoń, która wprost sama się rwała, żeby zdzielić potężnie kolegę w bok albo uszczypnąć z całej siły. Po co ten głupek tu przylazł? Chyba dosyć już wstydu narobił!

Pete ze zdumieniem popatrywał na „Knighta”, którego twarzy na szczęście nie potrafił dobrze dojrzeć w półmroku. Nagle klepnął się w czoło.

— Czekałże, miałem ci coś ważnego rzec! — zerknął na Dickona, ściszył głos do ledwie dosłyszalnego szeptu i pochylił tak, że łaskotał wargami ucho Robina. — Przy Long Spring podobno krąży dwudziestak, wiesz?..

— Co ty?! — Robin zapomniał o całym świecie i omal nie zerwał się na równe nogi. — Dwudziestak?.. Skąd wiesz?..

— Słyszałem, jak gadali Krzywy Matt i ten Bif-Walijczyk...

— Eee, oni! — ostygł Robin. — Pewnie łgali! Gdzie gadali, w gospodzie?

— Akurat w gospodzie! — obraził się Pete. — Przy szopie!

— Przy szopie?

— No tak, za dużo piwka wytrąbili i przyszli pod szopę za potrzebą, a ja byłem akurat w szopie. Nie wiedzieli, że tam jestem i że słyszę...

— No i co z tym dwudziestakiem? — przerwał nagląco „Knight” który dobrze znał rozwlekłą paplaninę Śpiocha, lubiącego wyłuszczać wszystko od Adama i Ewy.

— Aha!.. Gadali, że krąży pomiędzy Long Spring a Crystal Source! Samotnik! Ponoć wielki jak koń! Pokazuje się i znika, jakby się pod ziemię chował...

— I naprawdę dwudziestak? — upewnił się radosnym szeptem Robin.

— Przecież bym ci nie gadał, gdyby o marniejszego szło! Matt i Bif tak o nim rozprawiali, jakby już go mieli, a ja zaraz pomyślałem o tobie...

— Co, dwudziestak dla takich drani? — oburzył się Robin. — Niedoczekanie ich!

— Pewnie! Tyś go winien od Haernonna dostać. Kiedy pójdziesz? — zaciękwiony Pete przysunął się jeszcze bliżej. — Zaraz po „Maju”?..

— Ćśśś!.. — uciszył go „Knight”, bo Dickon znów patrzył gniewnie w ich stronę. Stanowczo mieli pecha!

Ale wiadomość dostarczona przez Śpiocha wynagradzała wszystkie przykre przeżycia. Brązowożłote oczy Robina błyszczały z radości jak gwiazdy. Dwudziestak, czyli byk o dziesięciu odrostkach na każdym rosochu, stanowił największe marzenie każdego młodocianego łowcy. Podczas wędrówek po włościach sir Sherwoda usiłowali choć wytropić, choć zobaczyć — z daleka i przez chwilę! Niestety, sławne „królewskie” jelenie, wiedzione życiową mądrością, niezmiernie rzadko pojawiały się w pobliżu osad ludzkich. Wędrówka do serca puszczy, gdzie miały swe księstwo, wymagały od niedorośłych czcicieli Haernonna zbyt wielu mil łowieckiego szlaku i wskutek tego zbyt długiej nieobecności w domu, co z kolei kosztowałyby — zbyt mocne ciągi po powrocie...

I raptem — dwudziestak przy Long Spring!.. Tak niedaleko, ledwie dwie mile! Gdyby nie święty „przedmajowy” czas, Robin popędziłby tam natychmiast. Ogarnęła go rozpaczliwa, szarpiąca tęsknota za tropem, za szlakiem, za wiatrem, za emocjami podwabiania, za zapierającą oddech rozkoszą podchodzenia. Tak strasznie, strasznie dawno nie polował! Żeby to już było po „Maju”... Niech ten dwudziestak nawet chowa się pod ziemię — skoro „Knight” przysięgnie sobie, że go dostanie, to... O Jezus, przysięga!..

Radosne uniesienie pierzchnęło przed rozpaczą. Chłopca aż łyzy w gardle ścisnęły. Znowu zapomniał!.. Nie dla niego ten dwudziestak!

Gdyby nie przysięga, nic by go nie powstrzymało. A przecież byłoby się czego bać! Bo skoro za tamtego szpicaka wuj sprął tak, że do dziś skóra cierpła na samo wspomnienie, to co było za dwudziestaka? Pewnie by pas w strzepy poszedł! Ale czego by się nie wycierpiało dla takiej zdobyczy?

Natomiast przysięga — na to nie było rady, choćby serce naprawdę pękło. Świeć, Panie Boże, nad duszą Simona, ale wszystko przez niego! I Pete też dureń. Musiał posłuchiwać i gadać? O czym się nie wie, to nie boli! A teraz trzeba będzie myśleć o dwudziestaku, którego na pewno Mat i Walijczyk dostaną! Okropność!.. Co człowiek z tego życia ma? Same strapienia, żadnej uciechy...

— Aha, miałem ci jeszcze coś rzec!.. — Pete zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, jak cierpi w tej chwili „Knight”. — Panna Maud kazała ci powiedzieć, żebyś raków nałapał i w sobotę przyniósł!..

— Czego?.. — Robin spojrział na niego niezbyt przytomnie.

— Raków!..

— Raków? Jakich znowu raków?.. — „Knight” nie miał pojęcia, o co Śpiochowi chodzi. Patrzył na niego jak na pomyłęńca. — O czym ty gadasz?

— No, przecież nosiłeś raki do gospody, nie? A Jeff powiedzieli, że na odpust wielebnym ojcom na pewno będzie ich trza, a panna Maud zaraz mi przykazała, że bym ci na Polanie rzekł, żebyś nałapał jak najwięcej i w sobotę przyniósł, a ja powiedziałem...

— Panna Maud?!

Robin aż się zachłysnął. Nawet wiadomość o dwudziestaku wydała się niczym wobec tego polecenia. Więc Maud pamięta o jego istnieniu! Chce go widzieć!.. Że

kazała z rakami przyjść? A cóż to znaczy? Musiała przecież jakiś pretekst znaleźć. Mądra z niej dziewczyna! Dobrze, nałowi się raków! Najwięcej, ile się da — i największych, najokazalszych, jakie tylko się znajdą i w Trencie, i w stawie i nawet w kanale pod młynem, chociaż strach tam wchodzić...

Pojutrze sobota, pojutrze pobiegnie do „Trzech Dzików"! Ujrzy swą królową Guinevere, będzie z nią rozmawiał! Nie trzeba się trapić, żaden smutek nie wieczny...

Ocknął się z tych radosnych marzeń, szturchnięty w bok przez Śpiocha. Należało przyłączyć się do ostatniego wezwania. Tym razem już Orszak rozkazywał Wodzowi:

Kto sevenbold chce z czoła zdjąć,

Do dzieła też się winien wziąć!

Karcieś nas, radziłeś nam,—

Więc pokaż, co potrafisz sam!

I kręć, i wij, i płoń, i tkaj,—

Bo blisko już Zielony Maj!—

I cierp, i milcz jak glaz, nie człek,

Bo tego żąda Jack!...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gospoda „Pod Trzema Dzikami"

Od koła do odpływowego kanału, wiodącego do młynówki, spadek był dość duży — prawie aż trzy jardy. Gdy patrzyło się z kładki w tę mroczną, obrośniętą zielonym mchem czeluść, wyglądało to trochę strasznie, zwłaszcza gdy założono stawidła i kanał był ciemny i cichy. W dzieciństwie Robin uważał go za ulubione siedlisko nixies — najzdradliwszych wodnych boginek, i bardzo się bał jego ciemnej głębi. Teraz już się tak nie bał, ale wciąż patrzył na nią nieufnie. Potrafił wykonywać najbardziej karłowate skoki w głąbinę Trentu i stawu z każdego miejsca na brzegu, z każdego nadbrzeżnego drzewa — w wodę kanału nie wlaźby za nic w świecie, nawet najostrożniej!

Jednak mimo ponurego wyglądu kanał miał i swoje dobre strony. Odkrył je przed laty Luke, jeden z wędrownych czeladników, którzy czasami zjawiali się we młynie, aby pod kierunkiem wuja Willa przepracować w nim zwyczajowy rok i siedem dni. Już w trzeci dzień swego pobytu Luke upłócił z resztek sznurka piękną sieć, potem obciosał toporem drewniany kloc i zatknął weń cztery giętkie wierzbowe żerdki. Ten kloc umocował na palu, na kształt studziennego żurawia, i zawiesił sieć na owych żerdkach. Umieścił całe to urządzenie nad kanałem i pokazał Robinowi, wówczas chyba ośmioletniemu, jak opuszczać żurawia, dopóki wyginające się wierzbowe pręty nie rozpostrą sieci w poprzek dna. Luke kazał ją tak pozostawić, choć Robin bardzo się zemocjonował ujrawszy wielkiego okonia, który podsunął się poprzez cień. Czeladnik wytłumaczył, że ryby chętnie odpływają ze światła słonecznego, z nagranych płycizn, i z lubością się chłodzą w cieniu kanału. Przybywało ich coraz więcej — okoni, leszczy, płoci — a Robin omal nie wyskoczył ze skóry. Wreszcie Luke pozwolił mu zawisnąć na żurawiu całym ciężarem ciała i w ten sposób odgiąć wierzbowe pręty, a potem pomógł wyciągnąć do góry sieć, która zamknęła się równocześnie. Drobne rybki uciekły przez szerokie oka, ale grubsze sztuki pozostały. Wspaniały był ten pierwszy połów!

Luke'a dawno już nie było, nawet nie wspomiano go we młynie, i jego sieć dawno przegniła. Ale Robin potrafił sporządzać już sam wcale nie gorsze i dużo ryb

się w nie łąpało. Była z tego i radość, i zysk. Czego nie zjedzono w domu, z tym biegło się do Oxton, gdzie nie brakowało amatorów — albo właśnie do „Trzech Dzików”, bo Jeff też chętnie brał ryby, zwłaszcza przed postnymi dniami. Wielkiego dochodu to nie przynosiło, bo we wsi nikt nie miał za wiele gotowizny, zaś Jeffowi wąż syczał w sakiewce. Ale pół pensa czy nawet pens, pasmo wełny dla ciotki Agnes, parę jajek, gomółka sera czy zwitek baranich strun (zdaniem Robina najbardziej wartościowa zapłata!) — wszystko było nie do pogardzenia!

Jednakże od jakiegoś czasu — chyba od roku — dorastający „Knight” wstydził się już trochę tego handlu i wołał, żeby go wyręczał w nim Much. Mały przejął rybny interes z niekłamaną radością, choć oczywiście wychodził na nim o wiele gorzej niż Robin. Łowili jednak obaj i sprawiedliwie dzielili się zyskiem, oddając co trzeba na użytek domu.

Raków też nie brakowało. Wystarczyło wleźć po kolana w wodę, wsadzić rękę w jamę, których było mnóstwo między korzeniami nadbrzeżnych drzew — i już trzymało się w palcach czarnego, wąsatego, groźnie strzygącego szczypcami stworza. Łowienia raków też nauczył któryś z czeladników — czy nie zezowaty Ted? Robin prawie go już nie pamiętał, był wtedy kilkuletnim brzdącem. Ale dzięki niemu świetnie potrafił łąpać raki i tak przemyślnie się z nimi obchodził, że nieraz ku przerażeniu Mucha wisiało mu po kilka u palców i u dłoni, nie szczypiąc i nie próbując uciekać. Przy takim szczęściu nieraz i po godzinie bywał już pełen worek.

We młynie i w Oxton nikt by raków nie jadł, uważając je za plugastwo takie samo jak żaby. Ale Jeff Trójpalcy rad widział i ten towar. Dostarczał go z kolei wielbonym ojcom do Holy Ghost — bo oni ponoć za rakami przepadali. Jaki był zysk karczmarza — to „Knighta” nigdy nie interesowało, choć koledzy nieraz gadali, że powinien być mądrzejszy.

Łowy i dziś były obfite. Obfitsze niż kiedykolwiek, gdyż Robin — przywdziawszy dla bezpieczeństwa i na wszelki wypadek swój „majowy oręż” — łowił także w

kanale! Much obserwował to ledwie żywy z trwogi, lecz willie i nixies najwidoczniej zostały wystarczająco poskromione, bo nie tylko nie wyrządziły bohaterowskiemu bratu żadnej krzywdy, ale pozwoliły mu złapać bardzo dużo i bardzo okazałych raków!

Sama wszakże wyprawa do „Trzech Dzików” kosztowała chłopca sporo zdrowia. Bo najpierw wszyscy się bardzo zdziwili, dlaczego nagle wybiera się z rakami sam, choć od dawna tego zaniechał. Te pełne zdumienia uwagi wcale nie były przyjemne. Potem Much zaczął się upierać, że też pójdzie, i ledwie dał się przekupić obietnicą, że na cały trzeci dzień świąt Robin pożyczy mu swojego drogocennego noża. A jeszcze później ciotka Agnes stanowczo odmówiła czystej koszuli i świątecznego kaftana! We właściwy sobie, zgryźliwy sposób wygłosiła opinię, że święto dopiero jutro, a elegancki wygląd dostawcy z pewnością nie przyczyni się do większej szczodrości Jeffa...

Robin miał jednak na ciotkę swoje sposoby, zaś ciotka mimo pozorów szorstkości miała miękkie serce. Do południowego posiłku „Knight” zasiadł więc gotowy już do wyjścia. I właśnie przy stole przyszło mu przeżyć najprzykrzejsze chwile.

— Cóż cię tak z tymi rakami przypiliło? — zagadnął ponownie wuj Will. — Mało to w domu roboty przed świętami?

— Przecież jużemy we młynie skończyli...

— O domu gadam, nie o młynie! Much nie mógłby zanieść?

— Muchowi Jeff da tyle, co nic, albo mu każe po świętach po zapłatę przyjść! Mało razy tak zrobił? A na festyn do Oxton zdałoby się jakiś grosz mieć...

— A cóż to, „May-Tree” chcesz sobie na własność kupić?

— Nie, ale pewnie Chris przywędruje, wypadnie mu coś za śpiewanie dać! A jak będzie taki gorąc jak dziś, to się pić będzie chciało! — tłumaczył zaczerwieniony z przykrości Robin. — Dlatego sam idę, bo mnie Jeff niczym nie zbędzie...

— Patrzajcie! Jaki kupiec! Ile myślisz wziąć?

— Nnno... chyba pensa mi da, bo dużo i wielkie...

— A za tę skórkę ile ci da, Robin? — wypalił zniecierpliwiony Much.

— Skórkę..?

Robin omal nie zakrztusił się gorącą owsianką i po raz pierwszy w życiu poczuł chęć, żeby zdzielić porządnie młodszego brata łyżką w łepetynę. Rzeczywiście miał za pazuchą skórkę — piękną kunia skórkę, zupełnie niezwykłej, bo srebrzystej barwy! Znalazł tę kunę zimą w paści, zastawionej przez jakiegoś łobuza. Obdarowałby ją wolnością, jak to zawsze czynił, ale biedaczka miała przetrącony grzbiet i ledwie żyła. Jedynym dobrodziejstwem mogło być tylko skrócenie jej cierpienia. Zostawił sobie skórkę, właśnie dlatego że była taka śliczna. Wczoraj przypomniał sobie o niej i bez wahania postanowił, że zrobi z niej prezent dla Maud. Może się ucieszy...

Głupi Much musiał podpatrzeć, jak chował skórkę — i wypaplał akurat przy stole! Jego wścibstwo i prostoduszność oczywiście zniweczyły cały zamiar, bo wuj rozgniewał się nie na żarty. Czy Robin ma źle w głowie? Przecież kuny też prawem chronione! Tylko tego brakuje, żeby go ktoś przyłapał na tak niebezpiecznym handlu!

— Nikt by nie widział! — bronił się rozżalony chłopak.

— Dawaj ją w tej chwili! — rozkazał wuj. — To Jeff się już i za skóry chwycił? Do lochu mu pilno? Spod siebie by wziął, londyński kutwa!

Przynaglony ostrym gestem Robin z ociąganiem wydobył spod kaftana miękkie futerko. Will odbierając je obrzucił chłopca gniewnym wzrokiem — i dopiero teraz dostrzegł jego odświętny wygląd. Niedzielny kaftan, twarz wymyta, a starannie wyczesane z mąki i jednak trochę podstrzyżone ręką ciotki włosy opadały równymi, lśniąco pasmami na ramiona i kark.

— Cóż to z tobą? — szorstko zagadnął młynarz.

— A niby co ma być, wuju? — obojętnie odpowiedział pytaniem na pytanie Robin, choć rumieniec zdradzał, że doskonale wie o co chodzi.

— Już się na „Maj” ustroił? Nie za wcześnie?

— Przecież między ludzi idę...

— Widzicie go? Toś dopiero dzisiaj pojął, że między ludźmi żyjesz? Dotąd i do Holy Ghost przy świętej niedzieli chodziłeś jak smoluch i rozkułany niczym chochoł! — stwierdził cierpko Will, którego przedświąteczne zmęczenie przyprawiło o wyjątkowo zły humor.

— Czego wy ode mnie chcecie, wuju? — z rozpaczą zapytał Robin. — Nic wam się dziś nie widzi!

— Owszem, ty mi się widzisz jakiś dziwny. I to nie od dziś!

Na szczęście dla Robina ciotka Agnes, niepomna własnych niemiłych uwag, energicznie stanęła w jego obronie.

— A dajże mu wreszcie pokój, Will! Cóż się tak uwziął? Zamiast być rad z chłopaka... — pełnym macierzyńskiej dumy wzrokiem ogarnęła przybranego syna. — Przecież to dobrze, że zaczyna baczyć na to, jak wygląda!.. Idź, Robin, a wracaj rychło. Nim na Polanę pójdziesz, musisz jeszcze podwórze zamieść i zielem potrząsnąć!

Robin, nie zadając sobie trudu ukrywania obrazy, odsunął miskę z której niewiele tknął. Przeżegnał się, wstał, zabrał worek z rakami i „bonnie” — i mruknawszy jakieś pożegnanie, wyszedł. Much wybiegł za nim, żeby go odprowadzić choć przez mostek, za Muchem opuścił chatę Jake i młynarzowie pozostali sami.

Will myślał o czymś ponuro, gładząc machinalnie kunia skórkę. Nagle odezwał się do żony, zbierającej miski ze stołu:

— Tyś naprawdę nic nie przyuważyła, matka?

ił: — A cóż to miałam przyuważyć? — zdumiała się Agnes.

— No, przecie od tygodnia z górą nie ten sam! Łazi jak spętany, mało co do gęby weźmie i raz wraz gapi się nie wiedzieć, gdzie!

— Niby kto taki? Robin?

— A któż by? — zirytował się Will. — Przy robocie pociechy z niego żadnej, z oka spuścić nie można! I pyskaty się robi, słyszałaś? Nigdy taki nie był!

— Bo to już taki czas, kiedy wąsy porastają! — Agnes wzruszyła ramionami. — Musisz mieć wyrozumienie!

— Wyrozumienie wyrozumieniem, oko też trza mieć!

— Co ty gadasz, Will?

— Sama mówisz, że to już nie dzieciak! W najgłupsze lata wszedł! — Will ku zdumieniu żony wpadł w jeszcze większą złość. — Nie dopilnujemy i nieszczęście gotowe!

— Jakie nieszczęście?

— Jakie!.. Niby to nie wiesz? Pater Austin będąc tutaj gadał, że jeśli kogo około „Maja” pocnie sevenbold w głowę uwierać, to mu zły ściągnie...

— Chryste Panie, Will! Rozum ci odjęło czy jak?!

— Patrzę przecież i widzę! A ty oczu nie masz? — młynarz rozgniewał się już na dobre. — Toć na miłę poznać, że smarkacza coś naszło...

Agnes, która kochała przybranego syna równie gorąco jak rodzzonego, a przy tym była z niego bezgranicznie dumna — spur- purowiała z oburzenia.

— Bój się gniewu Bożego, Will! — wykrzyknęła popędliwie. — Masz sumienie niewinnego chłopca tak krzywdzić?! Gdzież miałby pobłądzić i z kim? Toć krokiem

się z domu nie ruszy, tyle co teraz na Polanę!.. Ani mu jeszcze w głowie takie rzeczy, przecież to dziecko, szesnaście lat! I nic niepocziwego nie uczyni, za mądry na to!

Will omal nie powtórzył w tej chwili innych słów ojca Austina — tych mianowicie, że gdy czary „Maja” wzburzą krew, to rozum na nic, a gdy rozumu zabraknie — to przestaje się zważać na cześć. Pohamował się jednak. Agnes była nie na żarty rozgniewana, a Agnes w chwilach złości potrafiła na jedno słowo oddawać dziesięć i więcej. On zaś czuł się naprawdę zbyt zmęczony na gwałtowną małżeńską wymianę zdań. Że jednak musiał w jakiś sposób dać upust irytacji i zaniepokojeniu, zmiął w garści Bogu ducha winną skórkę nieszczęsnej kuny i cisnął ją pod palenisko.

— Niechby spróbował!.. — warknął jak przed ojcem Austinem, ruszając ku drzwiom. — Spiore, że do przyszłego „Maja” nie usiadzie!

Nie zważając już na to, co wykrzykuje Agnes, śpiesznie wyszedł z chaty. Postanowił niezłomnie, że za wszelką cenę musi dociec, jakim to i czyim „czarom” uległ jego starszy. Bo że uległ, to pewne!

Czemu nie miał od dobrych kilku dni ani chęci do roboty, ani smaku do jedzenia? Czemu mu się tak ni stąd, ni zowąd lecieć z tymi rakami zachciało — i czemu się wzbraniał przed towarzystwem Mucha? Czemu się wreszcie tak wystroił, choć dotąd wcale się nie troszczył o to, jak wygląda?.. W niedzielnym przyodziewku z rakami do karczmy?! Jeff ma córkę, słynącą z urody Maud z Londynu! Ale przecież to już panica na schwał, pora by jej do ołtarza — gdzież by na takiego smyka wejrzała, skoro dorosłe chłopaki o nią się czubią! Chociaż kto tam wie? Robin wyrośnięty na swój wiek i dorodny, a jego piękności sam ojciec Austin się dziwował! Ale nie, skąd znowu, gdzież mogliby się porozumieć i kiedy? Agnes rację ma, chłopak tyle z domu wychodzi, co na Polanę! A jeżeli jednak...

Robin nie podejrzewał, że jego uczucia są w tej chwili tak doniosłym przedmiotem wujowych rozważań i że — co gorsza — owe rozważania dotknęły właściwego tropu. Zresztą na razie całkiem zapomniał o Maud, bo było jeszcze dość czasu na tre-

ning. Pozbywszy się Mucha i dla niepoznaki przeszedłszy jeszcze kilkanaście kroków ścieżką — skoczył w zarośla, odczekał w nich ze dwa pacierze, a potem co sił w nogach pognął między drzewami na „swoją” ćwiczebną polanę. Rósł na niej dąb, w którym ziała pionowa dziupla — raczej szczelina, mierząca na wysokość jakieś osiem stóp, a szeroka na dwie dłonie. Dopadłszy jej, sięgnął w głąb i ostrożnie wy dostał swe największe skarby. Rozwinął nawoskowane workowe płótno i z uwagą zbadał całość i giętkość cisowego obłaku. W porządku! Ze skórzanego woreczka, również natartego woskiem i dodatkowo przesyconego żywicą, wy dobył węzełek uczyniony z lnianej szmatki i wybrał z niego jedną z cięciw. W mgnieniu oka nałożył ją na drzewce, po czym dłuższą chwilę poświęcił ćwiczeniu wyrabiającemu zręczność palców — temu, którego nauczył go Phineas Kuna z Patton.

Przeliczył strzały i spochmurniał. Zaraz po świętach wypadnie odnowić zapas! A Dickon odmawia — twierdzi, że mu ojciec wzbraniają. Pewnie mu i Millie głowę o to suszy. Że też odważny Strzała musiał sobie wybrać na żonę takiego tchórza z demesne!.. Ale to jego rzecz. Gorzej, że swymi szeroko znanymi umiejętnościami nie będzie już chyba służył. Wypadnie samemu się potrudzić, a te własnej roboty nie mogą się równać z Dickonowymi. Żeby tak mieć choć kilka tych od Stringa z miasta... ech, szkoda nawet marzyć!

Cięciwa wydała sobie tylko właściwy, jedyny na świecie, lekko wibrujący dźwięk — i strzała, syknąwszy cicho w locie, utkwiała właśnie tam, gdzie powinna była utkwąć: pośrodku nie większego od dłoni kręgu wyciętej kory! A drzewko, w którym był ów krąg wycięty, nie przerastało grubością męskiego ramienia! Robin roześmiał się z uciechy i sięgnął po następną strzałę, a potem po kolejną. A później wysypał z kołczana wszystkie pozostałe i wbiwszy je grotami w ziemię, tuż obok prawej nogi — przystąpił do ćwiczenia strzeleckiej szybkości.

Tylko jedna minęła cel! Reszta sterczała promieniście z cienkiego pnia. Twarz młodziutkiego strzelca zarumieniła się z emocji, oczy błyszczały pod rozwichrzoną

grzywką. Gdyby go teraz ktoś widział, takiego rozpromienionego i dumnego z siebie — orzekłby bez wahania, że na całej Wyspie, a może i na całym świecie próżno byłoby szukać piękniejszego i szczęśliwszego chłopca.

Wystarczy!.. I tylko to jedno pudło, zresztą zdaje się, że była trochę zwichrowana... Jeżeli dalej tak będzie szło — to kto wie, czy Kuna nie trafi tym razem już nie na równego, lecz na lepszego? Nie, nie uchodzi tak się chełpić: Haernonnos nie cierpi zarozumialców! A jeżeli zawodów naprawdę już nie będzie?..

Robin westchnął i ruszył powyciągać strzały z pnia. W trakcie tej roboty przypomniał sobie o gospodzie. Błyskawicznie uwinął się z ukryciem zakazanego sprzętu, po czym złapawszy worek i kij — ruszył ma skróty przez las.

Zwykle przebiegał tę drogę — a było to, biorąc na skróty — prawie półtorej mili!, bardzo szybko i zupełnie się nie męcząc. Dziś jednak, czy dlatego że gorąco dokuczało, czy że postarzał się od tamtego czasu — jakoś wcale się nie śpieszył. I raz po raz nawiedzała go ochota, aby jednak zawrócić...

Ogarnęła go, i to z nieprzepartą siłą, kiedy swoim czujnym leśnym słuchem pochwycił ledwie dosłyszalny szmer, a zaraz potem dostrzegł w zielonawym półmroku nisko schyloną postać, przygiętą pod ciężarem wyładowanej płachty. Niedoświadczone oko „pętaka” z pewnością wzięłoby ją za jeden ze zmurszałych pniaków, ale „Knight” poznał natychmiast, kto to taki, i czym prędzej dał susa między gęsto rosnące kaliny. Dot-Zamawiaczka!.. Dzielna oxtońska młodzież, podrwiwająca z Artura „Pilnuj Lasu” i z ojcowskich ciągów — bała się jak ognia staruchy, mimo że prawie wszyscy właśnie z jej pomocą zjawili się na tym bożym świecie. Dot mieszkała w walącej się chałupce na polanie zwanej Spells Glade, ale rzadko można ją było tam zastać, gdyż albo przebywała przy wyrku jakiegoś cierpiącego nieboraka, albo odbierała gdzieś poród, albo — tak jak teraz — wędrowała po puszczy w poszukiwaniu potrzebnych jej ziół.

Ale Dot nie tylko znała się na chorobach i ziołach. Według okolicznej opinii posiadała czarnoksięską wiedzę i podobno potrafiła posługiwać się zaklęciami, o skutkach których nie można było myśleć bez dreszczu. Dlatego tak się jej bano. Robin, przyglądający się z ukrycia staruszce, aż oddech wstrzymywał. Za nic nie chciał, żeby go dojrzała. Dot nie darzyła nikogo sympatią, ale do młynarskiej rodziny żywiła szczególną niechęć — dlatego, że i ciotka Agnes znała się nieźle na chorobach i lekach. A że udzielała porad i pomocy jedynie za chrześcijańskie podziękowanie, stara nie bez słuszności uważała ją za groźną konkurentkę.

Może Dot zauważy go w gęstwinie i wypowie jakieś złe życzenie, które się sprawdzi?.. Minęła jednak obojętnie jego kryjówkę, dysząc ciężko pod swym brzemieniem i wspierając się na sękatym kiju. Chłopak odetchnął i pomyślał, że gdyby to nie była Dot — z pewnością wziąłby od niej płachtę i zaniósł gdzie trzeba. Widok jej sękacza przywiódł mu na pamięć ojca Austina. No tak, wychodziło na to, że oprócz wuja i ojca Austina boi się również Dot! Ale tego także nie trzeba było się wstydzić!

Dot zniknęła pośród pni i zieloności. Robin na wszelki wypadek splunął przez lewe ramię i ruszył dalej.

Gospoda „Pod Trzema Dzikami” znajdowała się na rozbiegu gościńca i dwóch prowadzących w puszcze traktów. Wybudowano ją na rozległym karczowisku i z daleka przypominała niewielki, zasobny folwarczek. Jeszcze pięć lat temu była własnością niejakiego Toma Owla. Po jego bezdzietnej śmierci objął ją w posiadanie Jeff Trójpalczy, daleki krewniak, przybyły wraz z córką z Londynu. I bynajmniej sobie nie krzywdował w tym leśnym odludziu.

Wchodzącego we wrota Robina znów ogarnęło zwątpienie, i to takie, że naprawdę gotów był zawrócić w miejscu i wziąć nogi za pas. Zatrzymał się, rozważając: iść dalej czy nie? Na szczęście rozsądek wziął górę nad zmieszaniem. Cóż u licha, przecież zamówili u niego te raki! Czego się wstydzić? Nie będzie uciekał, skoro szedł taki kawał drogi!

Dawniej zachodził zawsze od strony zabudowań kuchennych i teraz też z nawyku skierował się w tamtą stronę. I znowu się zatrzymał. Ponieważ wymuszona odwaga łatwo zmienia się w zuchwalstwo, przyszło mu do głowy, że przecież śmiało mógłby wejść od gospody! Przecież nie jest już dzieckiem!

Ale gdy z tą myślą uczynił parę kroków ku dębowym drzwiom — coś go cofnęło. Więc znów ruszył w stronę kuchni — i znowu się zatrzymał... I może by tak miotał się Bóg wie jak długo, nie wiedząc co począć, gdyby nagle zza węgła nie wynurzyła się... Maud we własnej osobie, w towarzystwie służebnej dziewczyny obarczonej dużym wiklinowym koszykiem.

— Robin!.. — zatrzymała się jak wryta i klasnęła w ręce. — „Knight“!..

Podbiegła tak szybko, że klucze u paska zabręczały jak na trwogę. A „Knight“ poczuł się w tej chwili zupełnie tak samo jak niedawno, kiedy próbując się z Arnie-Smykiem na pięści otrzymał wbrew wszelkim regułom mocny i niespodziewany cios poniżej dołka. Też się wszystko w nim skurczyło, też zabrakło tchu... Jak teraz!

Przez minione dni widywał bowiem w swych marzeniach taką Maud, jaką zapamiętał z podróży gościńcem! A w snach... nie, nie, lepiej nie wspominać! Teraz zaś miał przed sobą jakąś trzecią, zupełnie inną Maud! Nie królową Guinevere, nie kuszącą Godivę, tylko zwyczajną roześmianą dziewczynę w prostej samodziałowej sukience, w niezbyt czystej zapasce, bez srebrnej obrączki na włosach (zupełnie po prostaku

owiazanych chusteczką!), z ogromnym pękiem kluczy u paska i z rękawami zawiniętymi po łokcie...

Jego oszołomienie i niezbyt mądra mina musiały rozbawić niczego nie domyślającą się Maud, bo wybuchnęła głośnym śmiechem. Robin jednocześnie i zawstydział się, i poczuł coś na kształt ulgi — bo ten śmiech brzmiał tak samo dźwięcznie i perliście, jak na gościńcu! Może dzięki niemu zdołał dostrzec, że oczy Maud też pozostały takie same: ciemnoniebieskie i lśniące. I usta miała te same — drobne, delikatne, czerwone... Nie, chyba jednak była królową! Tylko że Merlin*⁴⁷ albo przewrotna Vivien*⁴⁸ zamienili ją na chwilę w zwyczajną córkę karczmarza! A może jednak Dot w lesie spostrzegła i rzuciła urok?

— Mówił ci Pete? Przyniosłeś? — pytała ze śmiechem zauroczona królowa Guinevere.

— Aha... Tutaj są... — wykrztusił sploniony Rubin, wyciągając ku niej worek z rakami.

— Zanieś do kuchni, Bess! — Maud niedbale cisnęła chrzęszczący tobolek do koszyka służebnej. — Do kosza przelóż i o mokrych liściach nie zapomnij!.. A ty chodź! — ujęła chłopca za ramię i pociągnęła w stronę gospody.

— Dokąd?.. — przelął się „Knight”.

— Jak to dokąd? Tato są w gospodzie, przecież muszą ci zapłacić! A ja... chcę cię ugościć! — roześmiała się Maud.

— Ugościć?.. — wykrztusił Robin, przerażony już nie na żarty.

⁴⁷ *Merlin — zły, przewrotny czarnoksiężnik z legend o Królu Arturze

⁴⁸ *Vivien — przewrotna czarodziejka, która zdołała pokonać swą mocą samego Merlina.

— A bo co? — zdziwiła się Maud. — Przecież jesteś moim kawalerem! Moim Majowym Rycerzem!

Chłopak aż się zachłysnął. Nie dosłyszał nutki żartobliwej przekory w skierowanych do niego tytułach, zabrzmiały tak obiecująco i mile! Przeszło to jego najśmielsze marzenia! I czy nie było dowodem, że królowa Guinevere (choć zaczarowana w karczmarzę!) widzi w nim dorosłego?

Ta myśl napełniała go niesłychaną odwagą i przywróciła pewność siebie — może nawet w nadmiarze. Z wysoko podniesioną głową podążył z Maud ku dębowym drzwiom.

O tej porze nie było wielu gości. Okoliczni bywalcy zajmowali się pewnie jeszcze przedświąteczną robotą, a do sobotniej „wigilii” w Holy Ghost, po oddzwonieniu której gospoda zazwyczaj się zaludniała, było daleko. W ciemnym wnętrzu — małe okienka dawały bowiem niewiele światła, a dębowe ściany tłumiły je dodatkowo — stoły czekały dopiero na amatorów sławnego Jeffowego piwa i tęższych londyńskich trunków. Na razie zasiadało przy nich tylko paru: jacyś trzej zagadani kmiecie, w „lepszej” części, w pobliżu okna, dwaj nadęci pacholki z Clarence Court, których Robin od razu rozpoznał po dworskim odzieniu, i drzemiący z twarzą ukrytą we wspartych o stół rękach mężczyzna, najwidoczniej podchmielony. Za szynkwasem, pod czujnym spojrzeniem Jeffa, zaspany i poziewający Pete przetaczał beczułki. Na widok wchodzącego do gospody kolegi wzdrygnął się ze zdumienia, ale nie przerwał roboty. Robinowi też nie przyszłoby na myśl witać go czy wdawać się z nim w pogawędkę. Praca była rzeczą świętą, nie istniały wówczas koleżeńskie uczucia. Jemu przybywający do młyna z obstalunkami chłopcy także nie przeszkadzali.

Robin obrzucił wszystkich znajdujących się w gospodzie prawdziwie profańskim spojrzeniem — i nagle aż przybladł ze złości. W najmroczniejszym kącie gospody dojrzał swym bystrym wzrokiem — Krzywego Matta i Bifa-Walijczyka!

Wstręt, jaki do nich czuł, był naturalnym wstrętem uczciwego łowcy i wyznawcy Haernonna do leśnych opryszków, mających się niegodnych sposobów. Wiedział też, że i Matt, i Bif nie cierpią go wzajemnie. Podobno to oni uczestowali piwem pattońskich chłopaków i podjudzili ich na Robina, bo sami nie chcieli kompromitować się do reszty, napadając na młodziutkiego zwycięzcę. No, kto kogo sprął, to sprął!.. Matt i Bif rzekomo do dziś się odgrazali, lecz „Knight” wcale się o to nie troszczył. A niech tam sobie szczekają, ile chcą...

Jednak ujrawszy ich teraz — przypomniał sobie dwudziestaka z Long Spring i porwały go taka złość i taki żal, że aż pięści zacisnął. Może te łajdaki już go ustrzeliły? Po takich wszystkiego się można spodziewać — nawet tego, że świętego czasu „majowej” ochrony nie uszanują!

— No chodźże, chodź!.. — przynaglała go Maud, mylnie biorąc jego gniewne osłupienie za chłopcę nieśmiałość. Pociągnęła go ku „lepszej” stronie, do długiego stołu, przy którym siedzieli dworscy z Clarence Court. Wcale im się to nie spodobało, bo nadęli się jeszcze bardziej i odsunęli jak najdalej od przybysza.

— Co to ma znaczyć, Maudie?.. — rozległ się gniewny głos Jeffa Trójpalciego, który, też najwidoczniej niezbyt zadowolony z takiego gościa, zmierzał właśnie od szynkwasu.

— A to, że płacie sześć pensów! — słodko zaszcebiotała Maud.

— Co ty pleciesz, dziewucho?.. — Jeff aż zatrzymał się ze zdumienia. — Zgłupiałas? Za co?

— Za raki, które Robin przyniósł. Płaćcie, tato, i to już!

— Akurat, już mi śpieszno. Fora stąd, smyku, przed kuchnią zaczekaj! — Jeff wcale nie żartobliwym gestem zamierzył się trzymanym w dłoni gałganem, którym przed chwilą wycierał szynkwasa.

Spłoszony „Knight” z pewnością zastosowałby się do tego szorstkiego rozkazu, popartego niedwuznacznym i bardzo kompromitującym ruchem, ale Maud energicznie osłoniła go sobą. Ze sposobu, w jaki to uczyniła, łatwo było odgadnąć, że wcale się ojca nie boi.

— Dajcie mu pokój, tato, to mój Majowy Rycerz! — oświadczyła przymilnym i zarazem stanowczym tonem.

— Rycerz?.. Ani chybi, ze szczętem zgłupiała!

— Przy „Maju” głupiec wolno, niby to nie wiecie? — Maud odebrała ojcu ścierekę i pieszczotliwym gestem pogładziła go po rękawie. — Niech chłopak coś przegryzie, przecież z daleka szedł! No, a teraz płąćcie te sześć pensów!

— Ależ... — zaprotestował zdumiony „Knight”, do którego dopiero teraz dotarła wysokość proponowanej przez Maud zapłaty. Dziewczyna jednak uszczypnęła go w ramię, nakazując milczenie, i ponagliła ojca jeszcze słodziej:

— Płąćcie, tato, w Holy Ghost dadzą wam za takie z parę szylingów! Nie zbiedniejemy!

Robin otworzył szeroko oczy. Cóż ta Maud wygaduje? Jego raki warte parę szylingów? I dla niego ma być całe pół? A Maud przecież nawet nie obejrzała przyniesionego towaru!

Jakoś niemile dziwiło go też, że Maud, choć niby przymilnie i słodko, ale jednak mówi do ojca zgoła bez szacunku i nawet... rozkazuje mu. Gdyby on się tak wobec wuja odważył...

Pod nagłym spojrzeniem córki Jeff z naburmuszoną miną rozwiązał mieszek i począł w nim grzebać. Gdy nareszcie znalazł i wydobył sześciopensową monetę, Maud z uroczym uśmiechem wyszarpnęła mu ją z palców.

— Jak dacie o tyle mniej na okup za króla Dicka, to może z jakie pół pacierza dłużej wypadnie na niego czekać! — stwierdziła głosem już całkiem miodowym.

Jeff warknął coś i podążył z powrotem za szynkwias. Robin spoglądał bezradnie na połyskującą srebrzyście półszylingówkę, którą Maud położyła przed nim na stole, i było mu bardzo nieprzyjemnie. Wcale się nie spodziewał tak wysokiej zapłaty i wcale go nie cieszyła. Bo wyglądało to tak, jakby Maud chciała go olśnić swą hojnością. A cóż to, żebrakiem jest czy co? A jeżeli... jeżeli to właśnie ma być... jej „majowy prezent”?

Na tę myśl tak się speszył i tak wyraźnie posmutniał, że Maud, dostrzegwszy to, nachyliła się do jego ucha z łobuzerskim mrugnięciem.

— Nie bądźże głupi, bierz! Słusznie ci się to należy! Myślisz, że nie wiem, ile ta to na twoich rybach zarabiali? — szepnęła konfidencjonalnie.

Kiedy wciąż nie potrafił się zdecydować, roześmiała się i sama wsunęła mu pieniądze do sakwy u paska.

— A teraz siadaj i zaczekaj! — rozkazała, przemocą sadowiąc go na ławie. Roześmiała się ponownie i odbiegła.

Zakłopotany Robin dopiero teraz odstawił pod ścianę „bonnie”, którą nie wiadomo po co wciąż ścisnął w rękę, i stosownie do polecenia — usiadł możliwie najswobodniej. Rozejrzał się, usiłując nie patrzeć w kąt zajmowany przez kłusowniczy duet, odpowiedział wzgardliwym spojrzeniem pachołkom z Clarence Court, którzy przyglądali mu się z wyniosłą niechęcią — po czym trochę z dumą, a trochę z lękiem zaczął się zastanawiać, co też powiedzieliby wuj Will, widząc go w takim miejscu. Może pod wpływem tej myśli odruchowo zawiercił się na ławie.

Maud wróciła prędko — i w towarzystwie Bobby'ego. Już wcale nie kulał i z dumą dźwigał niewielki dzbanek. Nie dochodząc do stołu, zatrzymał się i skłonił

śmiesznie — musiała go Maud wyuczyć tej sztuki. Rozbawiony „Knight” stłumił chichot i klepnął go w ramię.

— Dobrze ci tu, „Wrzosiak”?

— Dobrze! — potwierdził nowy nabytek Jeffa, odsuwając się z powagą. Widocznie chciał dać do zrozumienia, że odpowiedzialnego, zajętego służbą człowieka nie należy traktować poufale.

— Jeszcze nie święto, ale skosztujesz mojego majowego placka! — Maud zręcznie ustawiła na stole miskę z pieczenią, koszyk z chlebem i pachnące miodem ciasto. — „Ale” nie dostaniesz, to nie dla ciebie! — dorzuciła i mrugnęła porozumiewawczo. — Tu mam coś lepszego! Czujesz, jak pachnie?

Odebrała Bobby'emu dzbanek i podsunęła go „Knightowi” pod nos. Robin powąchał posłusznie, zarumienił się i spojrzał z lękiem na królową Guinevere.

— To małmazja! — wyjaśniła Maud. — I lekka, i słodka jak miód! Pyszna, sam zobaczysz...

— A czemuż to nie chcecie mu dać „ale”, Maud? — rozległ się zniecacka tuż przy nich głos Krzywego Matta, ochrypliwy i drwiący. — Dlatego, że on „Knight”?..

— Pytał was kto o co? — Maud obejrzała się gniewnie.

— A ja powiadam, że nie ma to jak wasze „ale” i wszyscy winni do niego od piełuch nawykać! — Matt, najwidoczniej już niezłe owym „ale” podochocony, podsunął się do stołu z dzbankiem i kubkiem. — Mości „Knight”, może byśmy wypili zdróweczko po starej znajomości? Masz!.. — chlusnął obficie piwa w kubek i podsunął Robinowi pod sam nos.

— Matt, kto was tutaj prosił? — ostro spytała Maud.

— Przecież wolno mi chyba poczęstować takiego chwata, co w całej parafii słynie! — Matt usiłował wcisnąć chłopcu kubek w garść. — Gardzisz? He?

— Nie gardzę, tylko piwa nie lubię i nigdy nie piję! — odparł chłodno „Knight”, odchylając z obrzydzeniem głowę, bo Matt ział mu kwaśnym odorem prosto w twarz.

— Nie pijesz, boś gówniarz! — sprostował szyderczo Matt. — Ale by się wujo uradowali, gdyby cię przy tym winku zobaczyli! I przy takiej usłudze, he, he...

— Odczepcie się ode mnie!

— Ale wprzód się napij, skoro proszę!

— Kto popija „ale”, ten ma pudło a nie cel!.. — odciął się znanym porzekadłem Robin, wciąż usiłując zachować spokój i obojętny ton. — Komu jak komu, ale wam przydałoby się o tym pamiętać, Matt!

Krzywemu drgnęła gęba, bo aluzja była aż nadto przejrzysta. Zaraz jednak odzyskał rezon i zarechotał wstrętne.

— Wiadomo, że od „ale” oko słabnie... i co innego też! — stwierdził. — Rzecz jednak w tym, że mnie już ani nie zaszkodzi, ani nie pomoże! Z tobą inna sprawa! Może i słusznie czynisz, że pić nie chcesz. Chciałoby się w cel trafić, co?

— Matt, wynoście się stąd! — wybuchnęła czerwona ze złości Maud.

Krzywy jakby nie dosłyszał.

— A w taki cel warto trafić, jak mi Bóg miły! — mlasnął obleśnie. — Robin! Gadają o tobie, że śpiewki lubisz. Prawda to?..

— Matt!... — Maud energicznie odepchnęła go od stołu. Zachwiał się na nogach, ale zaraz stanął prosto i podjął z uporem podpitego:

— Lubisz śpiewki, he?.. To poczekaj, wspomniałem sobie jedną, taką akurat dla ciebie! Posłuchaj!..

Łypnął złośliwym okiem na chłopca i na Maud, i wykrzywiwszy jeszcze bardziej krzywą z przyrodzenia, brodatą gębę, zabeczał:

*Jestem dzielny łucznik Snot*⁴⁹,*

Mam długą, ostry grot

Jak mi, Maudie, tarczy dasz —

Na dwie stopy wbiję aż!..

Pachołkowie z Clarence Court zagrzmieli śmiechem, zawtórowali im siedzący nieopodal trzej wieśniacy, ale najgłośniej brzmiał dolatujący z kąta gromki rechot Bifa-Walijczyka. Robin odwrócił zalaną krwawym rumieńcem twarz i z rozpaczą liczył w myślach do dziesięciu. Rozsądek mówił, że tę obrzydliwość należy puścić mimo uszu, bo ordynarny i w dodatku podpity obwieś nie może przecież obrazić. Ale skromność i wrodzona wrażliwość przechodziły istne katusze. W tak wstrętny sposób połączyć Maud i jego!.. I ją musiało to zabołec, bo aż przybladła i zamarła z rozchyłonymi ustami.

— Co, Robin, niezła śpiewka? — Matt trącił go w ramię.

— Ani mi się śni słuchać waszych świństw! — odwarknął przez zęby chłopak.

— Aleś od razu pojął, że to świństwo! — Krzywy zarechotał jeszcze obleśniej.

— Na płaszcz świętego Martina, teraz te chłopaki już w pieluchach do tego skore!..

Robin poderwał się z ławy, ale ubiegła go Maud, która zdążyła już oprzytomnieć.

— Precz stąd, hultaju! — wrzasnęła ostro.

— Zaraz, muszę dokończyć tej śpiewki!

Mam w tym grocie taką moc,—

Że na całą starczy noc!

⁴⁹ *Snot (ang.) — „smark”, tu w znaczeniu obelżywym.

Dawaj tarczę, a nie skap,

Będę strzelał wzdłuż i w głąb...

Znów rozległ się grzmot śmiechu. Maud ścisnęła Robina za ramię, zmuszając go do pozostania na miejscu, i purpurowa z wściekłości doskoczyła do Matta jak rysica.

— Bodaj cię pokreśliło, ty wstrętny knurze!.. — wybuchnęła, dławiąc się z oburzenia. — Wiesz, co czeka w piekle tych, którzy młodych gorszą?.. Twoim paskudnym ozorem diabli będą Lucyperowi ogon podcierali!

— A mnie się widzi, że tu ktoś inny myśli młodych gorszyć! — Matt obrzucił ją szyderczym spojrzeniem. — Żebyś ja ci nie rzekł, ślicznotko, co tam dla ciebie w piekle szykują...

— Starczy już tego, bydlaku!

Robin powiedział to zupełnie niegłośnie, ale takim tonem, że śmiech wywołany pogroźką Maud i repliką Matta natychmiast przycichł. Chłopiec wstał i przeskoczywszy ławę, stanął naprzeciw Krzywego. To, co w tej chwili czuł, nie było bynajmniej owym płomiennym i słusznym gniewem, z jakim niedawno osłaniał dziewczęta przed natręctwem normañskich panków. Było zwykłą, zimną wściekłością, pomieszaną ze wstrętem. Zdarzyło mu się kiedyś widzieć zupełnie sparszywiałego lisa — a Matt w tej chwili wydawał mu się obrzydliwie do niego podobny.

Gęba Krzywego, z której znikł szyderczy, obleśny uśmiech, na- biegł krwią.

— Coś ty rzekł, szczeniaku?!

— Jesteś bydlak i drań! Teraz dosłyszałeś, czy mam jeszcze raz powtórzyć?

Robin wciąż mówił wymuszenie spokojnym tonem, ale nozdrza mu trzepotały, chwytając szybko oddech, a pod przymrużonymi długimi rzęsami przelatywały wściekłe błyski. W izbie zrobiło się cicho jak w grobie. Jeff, biegnący od szynkwasy z za-

miarem zażegnania awantury, zatrzymał się w pół kroku. Wszyscy pojmowali, że taka wymiana zdań musi się skończyć tylko jednym — bijatyką.

I rzeczywiście! Matt odchylił się do tyłu i ogromną, owłosioną pięścią wymierzył potężny cios prosto w twarz „Knighta”. Widzowie aż się skurczyli, pewni że chłopak zwali się bez zmysłów na polepę. Robin jednak błyskawicznie zwinął się w pół i piorunowy kułak przemknął nad jego głową. Matt, porwany siłą własnego zamachu, potoczył się na stół. W tej samej sekundzie stopa „Knighta” zręcznie podcięła mu nogi i Krzywy runął gębą wprost w misę z tłustą pieczeńią. Przez moment tak trwał, aż nagle zaklął szpetnie i jak furia porwał się ku chłopcu, ale Robin stał już ze swoją „bonnie” w pozycji nie wróżącej nic dobrego.

— Teraz — wycedził zimno — liczę do trzech!.. Zabierajcie się stąd do diabła, i ty, i Bif! Raz...

Matt, przecierając rękawem upapraną twarz, nieprzytomnym z wściekłości wzrokiem łypał po zanoszących się ze śmiechu widzach.

— Wynocha!.. I żeby tu więcej noga żadnego z was nie powstała! — krzyknęła Maud, która zdążyła nie tylko ochłonąć z napięcia, ale i obrzucić swojego „Knighta” pełnym zachwytu spojrzeniem.

— Dwa... — liczył chłodno Robin, który wcale tego nie dostrzegł.

Krzywy Matt też oprzytomniał.

— Ty zasrańcze! — spojrzał nienawistnie na chłopca. — Jak cię kiedyś w lesie zdybię, wpakuję ci grot pod zebro. Pamiętaj!

— Jakbyś chciał naprawdę tak zrobić, to byś o tym głośno i przy ludziach nie gadał! — stwierdził obojętnie Robin. — Trzy! Jeszcze was tu widzę?.. — złowieszczym gestem podrzucił w dłoniach pałkę.

Krzywy i Walijczyk, sadząc przekleństwami, podążyli ku drzwiom. Gonił ich głośny śmiech obecnych w izbie mężczyzn, którzy jakoś dziwnie prędko zapomnieli, że wulgarna śpiewka i grube żarty Matta zdawały im się zabawne — oraz urąganie Maud. Dziewczyna szła za obwiesiami aż do drzwi i na koniec dopomogła im obydwom energicznym pchnięciem poprzez próg. Oczywiście wzbudziło to jeszcze większą wesołość obserwatorów.

— Całkiem strachu w sobie nie masz, smyku!.. — Jeff odetchnął głośno i z nadmiaru wrażenia otarł twarz tą samą ścierką, którą wcześniej zamierzał się posłużyć w innym celu. — Maudie!.. Trza nowe pieczyście dla niego przynieść, bo to na nic...

— Wiadomo, „Knight” z młyna!.. — pogadywali ze śmiechem goście, wracając do stołów. — Zuch chłopak!..

Maud powróciła od drzwi.

— Łobuzy!.. Wieprzaki! — rzekła wciąż jeszcze wzburzoną głosem, choć z widoczną na twarzy satysfakcją. — Z takimi szkoda nawet gadać, od razu trza walić w gębę! Zuch z ciebie, Robin! Mój „Knight”!..

Pogładziła go po ramieniu, zabrała miskę z niezdatną już do spożycia pieczęnią i oddaliła się wraz z Bobby'm. Musiała go jednak przedtem lekko szturchnąć i przywołać tym do przytomności, bo stał z rozdziawionymi ustami i oczami wlepionymi we wspaniałego imiennika. Wydawał mu się zupełnie podobny do świętego George'a, wymalowanego na jednej ze ścian kaplicy w Holy Ghost — tyle że zbroi na sobie nie miał. Podobnie przyglądał się koledze sterczący obok szynkwasu Śpioch, którego Jeff, wracając na swój karczmarzki posterunek, też obudził szturchańcem.

Robin usiadł na poprzednim miejscu. Wzburzenie mijało, na jego miejsce napływał do serca — po prostu jakiś niesmak. Podziw Maud, pochwała Jeffa, śmiech i aprobujące pogadywania gości jakoś wcale go tym razem nie cieszyły. Bo cóż to było za „zwycięstwo”: nad ordynarnym Mattem, który ledwie się na nogach trzymał i pew-

nie sam nawet nie wiedział, co wygaduje! Czy taki ktoś — to godny przeciwnik? I wróg też żaden! Po prostu — zwykły łajdak!.. O takiego nie warto sobie rąk paskudzić... i dobrze, że on, „Knight” nie spaskudził...

No i czy to nie wstyd — po raz pierwszy w życiu znaleźć się w gospodzie na prawach gościa, i to nawet honorowego gościa — i od razu stać się uczestnikiem awantury? Pewnie, nie chciał w nią się wdawać! Aż zbyt długo znosił cierpliwie zaczepki Krzywego! Każdy przyzna, że czegoś takiego to by w końcu i anioł nie wytrzymał! Ale jednak jakoś głupio...

I — trochę też strach! Niech się to rozniesie, niech wuj się dowiedzą, że Robin siedział sobie przy stole w gospodzie jak jaki pan, że Maud go ugaszczała i że się z Mattem potarł... Skórę wyłożą, jak amen w pacierzu...

Ktoś trącił go w łokieć. Spojrzał i ku swemu bezbrzeżnemu zdumieniu stwierdził, że pacholki z Clarence Court przysunęli się na ławie całkiem blisko.

— Chwackość się sprawił! — rzekł z wyraźnie nieszczerym podziwem bliższy z nich, rudy i tęgi. — Jak cię wołają?

Robin nie lubił nikogo ze służby w Clarence Court i do wszystkich zatrudnionych w „zamku” żywił prawdziwie sokmańską nieufność. Obrzucił więc obydwóch podejrzliwym spojrzeniem.

— Słyszeliście przecież! — odparł niechętnie.

— Aha, Robin!.. — przypomniał sobie drugi. — A skąd jesteś?

— Stamtąd! — chłopak zrobił nieokreślony ruch kciukiem poza siebie.

— I zawsze taki szybki?

Zamiast odpowiedzi Robin wzruszył ramionami.

— Trzeba było mu tą pałką kości porachować! — oświadczył tym samym nie-szczerze aprobującym tonem rudy. — Dopiero byłoby na co patrzeć! Pewnie dobrze to umiesz, co?..

Tym razem „Knight” nawet nie zadał sobie trudu wzruszenia ramionami. Zerknął tylko pogardliwie na grubasa i odwrócił głowę.

— Nowyś, to nie wiesz, że tu wszystkie wsiowe chłopaki obracają swoimi „bon-nies” jak szatany! — pouczająco stwierdził drugi.

— Powiadasz?

— A jakże! Taki ci potrafi zbrojnego z konia zwalić!

— Łżesz, to niemożliwe!

— Potrafią, żebym tak zdrów był!.. A ty, „Robin Stamtąd”, umiałbyś?..

Chłopiec znów obrzucił ich obu błyskawicznym spojrzeniem. Coś, niby chłodna zmiłka, prześlizgnęło się przez krtań i serce. I to coś szepnęło jednocześnie: uważaj!

— Umiałbyś? — nastawał rudy, przyglądając mu się uważnie.

— Nie wiem! — sucho rzekł Robin, już spokojny. — Macie tu konia?

— A bo co?

— Bo mógłbym spróbować, jeśli macie chęć...

— Co będziesz z jakimś głupim ćwokiem gadał, Wat! — oburzył się wyższy. — Chodźmy już, pora na nas, sir Shelton będą klęli!

Odsunęli kubki, wstali i oddalili się wyniośle. Robin pozostał przy stole z jakimś niejasnym uczuciem, że mimo tego wewnętrznego ostrzegawczego głosu — popełnił głupstwo. I to wielkie głupstwo! Przecież mógł sobie darować tę propozycję!

Nieoczekiwanie poczuł na barkach uścisk czyichś dłoni, tak gorących, że przez kaftan i koszulę czuł ich żar. Obejrzał się, zdumiony, i zobaczył nad sobą nieznajomą, bladą i zapadłą twarz, w której jak węgle płonęły oczy. To był ten mężczyzna, który jeszcze przed chwilą drzemał z rękami wspartymi o stół i ukrytą w nich twarzą. Podszedł tak cicho i niedosłyszalnie, że Robin nawet nie spostrzegł! Czy to możliwe?..

— Słusznie mówili, jesteś szybki, chłopcze! — powiedział nieznajomy bez uznania, po prostu tak, jakby stwierdzał oczywistą rzecz. Wcale nie wyglądał na podchmielonego, nawet nie czuło się w jego oddechu „ale” ani wina. — Ważniejsze jednak to, że umiesz trzymać gniew na wodzy. Zimna krew to cenny i rzadki dar. Pilnuj go.

Zanim zaskoczony Robin zdołał wykrztusić bodaj słowo w odpowiedzi, obcy puścił jego barki i skierował się ku drzwiom. Szedł rzeczywiście bezszelestnie, tylko jakoś dziwnie sztywno.

Maud nadbiegła z nowo nałożoną miską i to wyrwało „Knighta” z oszołomienia.

— No, teraz chyba będzie już można spokojnie pogwarzyć! — oświadczyła z zadowoleniem, siadając naprzeciw Robina. — Cóż to, jeszcze zły? Jeszcze cię nie odeszło?

— Maud, ja już sobie pójdę! — oświadczył chmurnie „Knight”.

— A to dlaczego? — przestraszyła się. — Niczego jeszcze nie spróbowałaś!

— Muszę już iść. Mam robotę w domu, a dziś przecież „Zielona Noc”...

— Nie pleć, do zachodu jeszcze daleko! — zachnęła się dziewczyna.

— Pójdę już, Maud!

— Poczekaaj, skosztujże przynajmniej tej małmazji!.. — Maud energicznie ujęła dzbanek za ucho. — Dziwny jesteś, Robin, wiesz? Jak kogoś rozumu nauczysz, to potem siedzisz jak mruk! Wtedy, na gościńcu, też...

Robin chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Drzwi rozwarły się z hukiem na obie strony i zakotłowało się w nich, zabrzączało, zazieleniło... Maud spojrzała, krzyknęła lekko i poderwała się z miejsca, załamując ręce.

— O Jezu!.. — jęknęła. — O słodka Panienko z Westminster, jeszcze tylko tych tu dzisiaj brakowało!..

Robin spojrzał też — i poczuł, że skóra na nim cierpnie. Rzeczywiście, stanowczo za dużo było tych gospodnich niespodzianek! Nowymi gośćmi byli — nie kto inny, tylko sam starszy woodguardów, imię Artur „Pilnuj-Lasu” we własnej zielonej postaci, a z nim czterech podkomendnych. Mimo że stanowili tak nieliczną grupkę, hałaśliwy śmiech i nosowe głosy wypełniły całą izbę. Pewnie dlatego, że wszyscy obecni na ich widok natychmiast przycichli.

Wprawdzie Robin, dzięki wujowym cięgom za szpicaka i złożonej przysiędze, od kilku miesięcy nie miał nic na sumieniu — ale lęk przed woodguardami tkwił w nim już po prostu instynktownie. Dlatego pierwszą myślą było: zmykać!.. Nawet poderwał się z ławy, ale już w następnej chwili oprzytomniał. Przecież nie znajduje się w puszczy, tylko w gospodzie! Cóż mu zrobią? I za co? Nie, właśnie zostanie — niech nie myślą, że się ich widoku wystraszył!

Artur już kroczył ku „lepszej” stronie, zacierając ręce i pogadując wesoło z kamratami. Jeff deptał mu po piętach z dzbanem, a Pete i Bobby z kubkami zamykali orszak.

— Witajcie, gospośiu! — Artur kiwnął głową Maud, która dygnęła, nie kryjąc wzgardliwego uśmiechu. — Pusto tu u was dzisiaj!

— Jutro święto, mości starszy, ludzie gardeł oszczędzają!

— Prawda, święto! — Artur siadł z rozmachem, cisnął na stół przeszkadzającą mu kuszę i kilkoma haustami wychylił okazały kubek wina, usłużnie podsunięty przez Jeffa. — Mówiłem sir Rolfowi, że dziś w ogóle szkoda drogi i fatygi! W lesie spokój, tylko szczeniaki pilnują tego swojego saskiego bałwana...

— No, no, mości starszy! — Maud zmarszczyła brwi. — Albo to tylko saskie chłopaki kłusują? A nuż kto inny wypatrzy, żeście ze służby zeszli!

Artur nie od razu odpowiedział, bo pochłaniał drugi kubek.

— Co powiadasz, turkaweczko?.. A świetne masz to wino, wychłodzone jak się patrzy! — mlasnął z aprobatą. — Skorzysta ktoś, mówisz? Diabli z nim! I tak człek niewiele wskóra, choćby żyły z siebie wypru! Zawsze mówię sir Rolfowi, że jest tylko jeden sposób!

— Jakież to, mości Artur?

— Jaki? A taki, żeby wszystkim draniom z Oxton, Patton, Mirfield i innych kłusowniczych wioch paluchy pourąbywać! — „Pilnuj- -Lasu” własnoręcznie napełnił sobie kubek po raz trzeci i zaśmiał się jak z najlepszego dowcipu, a czwórka woodguardów zawtórowała gromko. — Albo do lochu wpakować co do jednego, od dziadągów do niemowlaków! Inaczej się nigdy tego gałgaństwa nie upilnuje...

— A macie taki wielki ten loch, panie starszy? — odezwał się z głupkowskim zdumieniem Robin.

Artur „Pilnuj-Lasu” rzucił mu wściekle spojrzenie.

— Co, chciałbyś się przekonać, gówniarzu?.. O, patrzajcie tylko: Robin od Willa Rzetelnego! Czym tam ostatnio sir Sherwood obdarzył, hę?

— A widzieliście? — Robin naiwnie-bezczelnym ruchem uniósł głowę.

— No, no, tylko się nie stawiaj, smarku! Gęba jak u aniołka, a najgorszy gagatek w całym Shire! Myślisz, że nic o tobie nie wiadomo?

— Niby co takiego?

Robin wiedział, że igra z ogniem, ale wiedział też doskonale (podobnie jak wszyscy mieszkańcy „kłusowniczych wioch”), że prawo W osobie Artura może mu zagrażać jedynie wtedy, gdy złapią go na gorącym uczynku. Cóż mogli mu uczynić w tej chwili?

— Co wiadomo? Starczy, żebyś musiał długo leczyć swój saski tyłek! Nie szkoda ci go? Więc przymknij gębę, pókim dobry! — warknął Artur i znów sięgnął po dzban. Ale starczyło tylko na pół kubka, bo gardziele innych strażników też przecież nie próżnowały.

— Może poczęstujecie się moim, panie starszy?.. :— Robin z pośpiechem podsunął mu dzbanek z małmazją, której smaku do tej chwili nie poznał.

— Idź do diabła!

— Idę, panie starszy! — chłopak posłusznie poderwał się z ławy. — Macie świętą rację, szkoda mojego saskiego tyłka...

Artur drgnął i utkwiał w nim ostry wzrok, ale napotkał nim szczere, niewinne i potulne spojrzenie nieśmiałego wyrostka. Sapnął więc tylko i odwrócił się ze wzdrganiem i wstrętem. Wszyscy tu durnie, wiadomo!..

Maud odprowadziła „Knighta” do wyjścia i za progiem go zburczała.

— Czyś ty rozum stracił? Przecież każdy by odgadł, że z niego kpisz!

— Każdy oprócz Artura! — parsknął drwiąco Robin.

— Chcesz biedę na siebie ściągnąć? Słyszałeś, mówili że o tobie wiedzą...

— Akurat! Zawsze wszystkim tak gadają, bo myślą, że nam strachu przez to napędzą. A niedoczekanie!

— Robin... nie chodź już lepiej na łowy!

— To nie niewieścia rzecz, Maud! — oświadczył dumnie, starając się poprzeć słowa odpowiednim wyrazem twarzy. Nie przyszło mu to łatwo. Znów odżył w pamięci twardy głos wuja i własny zdławiony łzami głos, wypowiadający słowa największej, najstraszniejszej, niweczającej całą radość życia przysięgi. Jak trudno było w obliczu takiego wspomnienia czuć się dorosłym mężczyzną...

— Myślałam, że cię inaczej ugoszczę! — Maud westchnęła ze smutkiem. — Gdyby nie ten obrzydliwy Matt... Wspaniale się sprawiłeś, wiesz?

Jej błękitne oczy rozbłysły podziwem. Robinowi trochę ulżyło na sercu.

— I jeszcze Artura musiało złe przynieść! — podjęła gniewnie Maud. — Nawet małmazji nie spróbowałeś...

— Cóż to, miałem z woodguardami pić? — oburzył się chłopiec. — Innym razem spróbuję! No to... bywaj zdrowa, Maud!

— Bywaj zdrow, „Knight”! Do zobaczenia jutro w Oxton! A niech wasz „Jack” za mocno nie wali...

— Wy też za prędko nie uciekajcie!..

Przez chwilę spoglądali na siebie, zastanawiając się, co jeszcze rzec, ale żadne nie dodało nic więcej. Robin zdecydował się nagle, zakręcił na pięcie i ruszył w stronę wrót. Korciło go, żeby się obejrzeć, ale pohamował tę chęć.

On też się czuł zawiedziony, nie tylko dlatego, że nie skosztował wina ani przysmaków Maud. Wszystko wypadło zupełnie inaczej, niż oczekiwał. A czego oczekiwał? Eeee... W porównaniu z niedawnymi marzeniami i pragnieniami — jakże przykra i zawstydzająca była obecna pewność, że gospoda Jeffa to nie zamek Camelot⁵⁰, że nie przebywają w nim szlachetni rycerze i piękne, delikatne damy, tylko przesiadu-

⁵⁰ *Camelot — legendarna siedziba Króla Artura, zamek, w którym znajdowała się sala Okrągłego Stołu.

ją ordynarni Mattowie, wścibskie pacholki z Clarence Court — i woodguardy... Sama bohaterka marzeń też nie była już strojną królową Gunevere ani tajemniczą, słodko dręczącą Godivą — była zwyczajną sobie, krzepką i hożą dziewczyną, w dodatku — stanowczo zbyt mocną w buzi! Pewnie, musi taka być, chcąc mieć w gospodzie spokój i porządek, ale jednak to jakoś...

Krótko mówiąc — nie warto było wypraszać u ciotki czystej koszuli i świątecznego kaftana! Maud nawet nie zauważyła, że „Knight” na jej cześć ubrał się tak pięknie.

I nie warto było wysłuchiwać cierpkich uwag wuja. Chyba tylko połów raków w tym wszystkim się opłacił. Chociaż nie — z tymi sześcioma pensami też głupio wyszło! Po co szedł do tej gospody? A może Dot jednak zauważyła go w lesie i posłała mu jakieś złe życzenie? Wstrętna wiedźma...

— Robin!.. Hej, Robin!.. „Knight”, zaczekaj no!

Obejrzał się i przystanął. Od zajazdu gnał Pete, wymachując gwałtownie ręką.

— Co się stało? — zaniepokoił się „Knight”.

— Nic się nie stało, tylko... — Śpioch odsapnął ciężko po biegu. — Tylko... lepiej powiedz mi zawczasu, czy mogę o tym gadać, czy nie?

— O czym? — zdumiał się Robin.

— No, o tym, jak urządziłeś Krzywego! Bo jak się znowu wściekniesz...

— Wiesz, ty naprawdę masz... — Robin przyjrzał mu się z politowaniem i postukał się palcem w czoło. — Tu nie po kolei!

— Niech będzie, ale pozwalasz gadać?

— Skoro uważasz, że to warte gadania... — „Knight” wzruszył lekceważąco ramionami. — Albo lepiej nie, nic nie gadaj! — połapał się nagle. — Zaraz by się wuj

dowiedzieli i miałbym za swoje! I tak się dowiedzą, ale niech choć na „Maj” mam spokój...

— Aha, pewnie, że tak! — z najgłębszym zrozumieniem przyznał Pete. — Dobrze, pary z gęby nie puszcę!

— No, wracaj do roboty, bo i tobie Jeff na „Maj” wleją!

— Do zobaczenia na Polanie, „Knight”! Ale będzie dziś wesoło, mamy aż trzech!

Po tej wymianie zdań obaj Majowi Rycerze rozstali się, podążając na razie ku swoim zwyczajnym, powszednim obowiązkom. Słońce stało jeszcze o dobre osiem stóp nad zachodnią stroną puszczy, co znaczyło, że w zupełności wystarczy czasu i na drogę do domu, i na to, co tam było jeszcze do zrobienia — przed najmilszą, najweselejszą w roku „Zieloną Nocą”.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Spotkanie

Ostatnie przed świętami „Maja” zgromadzenie przy „Jacku” miało inny charakter niż sześć poprzednich, wypełnionych głównie pracą przy zielonej figurze, naradami dotyczącymi Pochodu i świątecznego widowiska — i raczej spokojnych i cichych. W „Zieloną Noc” bowiem, po wpleceniu ostatniej gałązki następował ceremoniał przyjmowania nowicjuszy w młodzieńcze grono. Połączony był z tak rozhukaną wesołością, z tyloma żartami i kawałami, że Rycerze wracali do domów pólżywi ze śmiechu i zmęczenia, nie dbając o to, że trzeba będzie zerwać się przed świtem i znów biec na Polanę, na obrządek „ścięcia Jacka”.

W tę jedną w roku noc — i Odin, i Haernonnos, i Friggia, i sam sir Sherwood musieli wybaczyć bieżaninę, buszowanie wśród drzew i krzaków, salwy śmiechu, wrzaski i piski. Takie bowiem było odwieczne prawo Zielonej Nocy!

Myśl o niej sprawiła, że Robin — nie lubiący przecież zbyt długo się trapić doznanymi przykrościami — odsunął od siebie niemiłe wspomnienie gospody. Zbiegając w dół parowu, na dnie którego bulgotał potok, przypomniał sobie ubiegłoroczną Zieloną Noc i swoje przeżycia. Uśmiechnął się dumnym uśmiechem doświadczonego wygi, który już to wszystko ma poza sobą. A nacierpiał się wtedy niezgorzej! Naj-

pierw zanurzony po szyję w „majowej kadzi”, czyli dużej, specjalnie przytoczonej w tym celu na Polanę beczce, w której od pierwszego wieczoru mokły dębowe, grabowe i brzozowe liście, i przytrzymywany przez kilka par wcale nie łaskawych koleżeńskich rąk — musiał wysłuchać długiej przemowy Billa Humpa, ówczesnego Wodza. Oczywiście nie była to mowa pochwalna, tylko pełna szczególnie jadowitych drwin i dokuczliwości. Potem zanurzono go siedem razy z głową w cuchnącej zbutwiałymi liśćmi wodzie — ma się rozumieć, również w sposób bynajmniej nie delikatny. A potem miała miejsce najbardziej przykra chwila. Trzeba było jak najszybciej włożyć przyodziewek — i to starannie, z zawiązaniem wszystkich sznurków, z zasznurowaniem pończoch, z nałożeniem onuc! — w biegu, zmykając przed Rycerzami, uzbrojonymi w dębowe gałązki. Stanowiło to symboliczne lanie za wszystkie wady i przewinienia dziecięcego wieku. Symboliczne!.. Mimo największego pośpiechu i wysilania całej zręczności, mimo najprzemysłniej szych uników — nim przyszło do ostatniego węzła, obrywało się tak, że skóra piekła jak oparzona. I dopiero wtedy następowało przeistoczenie z dziecka w młodzieńca. Wódz Majowego Oddziału uroczyście obcinał przemianowanemu włosy po męsku, równo z karkiem, potem wymawiając zaklęcie: „Przez Siedem Darów, siedem sił — byś po siedemkroć mężem był!” — przeplatał siedmiokrotnie siedem pasemek białej wełny i nakładał owo godło dorosłości i czci na czoło pełnoprawnego odtąd Rycerza i towarzysza, pouczając surowo:

— Dotąd cię strzeżono, teraz strzeż się sam!

Od tej chwili miało się prawo do noszenia i używania w każdej zaistniałej potrzebie „bonnie” — i do przytroczenia do paska męskiej skórzanej sakwy na wszystkie potrzebne drobiazgi, dotąd trzymane wyłącznie za pazuchą.

Już w nowym, młodzieńczym wcieleniu należało się wspiąć na sam wierzchołek najwyższego na Polanie grabu i zawiesić tam w ofierze wdzięczności i hołdu najcenniejsze ze zdobytych w chłopięcym wieku łowieckich trofeów, wraz obciętymi dopiero co włosami. Dar Robina dla Haernonna (nie licząc oczywiście włosów, choć chłop-

cy żartowali, że taką nieliczną sierścią „Knight” na pewno odkupił suknie wszystkich upolowanych sztuk!) był naprawdę wspaniałą. Puszysta, mieniąca się wszystkimi odcieniami brązu, ognia i pł- wości — skórka rosomaka! Nawet ci, którzy w swoim czasie zawieszali wieńce dziesiątaków, dzicze kły i rysie pazury, spoglądali z zazdrością. Bo naprawdę trzeba być nie byle jakim łowcą i strzelcem, żeby dostać rosomaka: najszybsze i najbardziej czujne zwierzę w puszczy...

Na zakończenie odbywała się uczta, wydawana przez nowo przyjętych dla całego Orszaku. Zgodnie ze zwyczajem składały się na nią pieczona jagnięcina, ser, podpłomyki i mleko. Tak ściśle przestrzegano świętego prawa przedmajowej ochrony, że nikt by nawet nie ośmielił się pomyśleć o dziczyźnie! Owszem, mogły być zajace — ale któż życzył sobie mieć „zającą duszę”? Zaś smaku piwa, w myśl znanego strzeleckiego ostrzeżenia: kto popija „ale”... itd. — młodzież Oxton nie znała... najczęściej do własnego wesela.

Te wszystkie miłe wspomnienia przywołały na wargi Robina melodię zawadiackiego młodzieńczego hymnu. Przeskakując z ręcznymi pniaki i wykroty, przedzierał się przez ponury parów i poświstywał cicho:

Oxton to królewska wieś,

Nonny-no! Nonny-no!

Nie chcą chłopcy kaszy jeść!—

Nonny-nonny-no...

—

Urwał w pół tonu, bo coś świsnęło, syknęło przelatując pośród źdźbeł wybujałej trawy i jagodzin — i zaledwie o kilka stóp od niego, na wysokości kolana, w pniu dębu utkwiała strzała.

Instynktownie smyrgnął za pień. Nawet nie miał czasu się przestraszyć. Dopiero gdy stwierdził, że drzewo na pewno go osłania — serce w nim załomotało. Nie tyle jednak z trwogi, ile z wściekłości i wstrętu. A więc Matt! Chce spełnić swą groźbę! Czy nie skończony łotr?..

— Czekaj, draniu!.. — syknął przez zaciśnięte zęby. — Zaraz wypatrzę, skąd bijesz!.. I niech cię wszyscy święci mają w opiece, ty plugawy hycłu!

Zdecydował się momentalnie. Znajdzie i zaskoczy Matta, a kiedy dopadnie — będzie bez miłosierdzia. Stłucze pałką do nieprzytomności! Za wszystko: za znieważanie sir Sherwood'a, za ordynarną śpiewkę, za zaczepki, za obelgi... i nade wszystko — za to, że jak zbój strzela z ukrycia do bezbronnego!

Nagle przebiegł go dreszcz. A jeśli Walińczyk zaszedł od tyłu i zaraz strzeli mu w plecy? Przecież tych opryszków jest dwóch!..

Obejrzał się szybko i przytulił do ziemi, aż dotknął czołem mchu u stóp pnia. Wtedy znów rozległ się syk i stuk. Czujne łowieckie i strzeleckie ucho chłopca odgadło natychmiast, że strzała znów utkwiała w pniu — i niewątpliwie tuż obok poprzedniej. Nad złością, strachem i napięciem wzięło nagle górę zdziwienie. Matt umyślnie celuje w pień czy pudłuje? Tak mu łapy i oko to piwsko popsulo?..

Ale już w następnej sekundzie poczuł w piersiach chłód emocji. Czy to aby na pewno Matt? Jeśli ten niewiadomy strzelec chce po prostu tylko zwrócić na siebie uwagę?.. Uwagę jego, Robina?

Ostrożnie wychylił głowę zza pnia i ukrył się znowu. Strzał nie nastąpił. „Knight” ponownie wysunął głowę, już nieco śmielej, i spojrzął na tkwiące w korze hartowane pręty. Sterczały rzeczywiście tuż obok siebie, ten bliższy drgał jeszcze ledwie dostrzegalnie.

Teraz Robin podniósł się na kolana i przyciśnięty do pnia, uważnie zbadał wzrokiem tor lotu strzał. Bez wątplenia posłane były z kępy olch, rosnących w odległości

może pięćdziesięciu kroków. Niezbyt daleko!.. Ale dlaczego ten ukryty łucznik bił tak nisko? Z przykłąku? Była to niełatwa sztuka. Jak dotąd, Robin tylko z najwyższym trudem bronił swego dobrego łuczniczego imienia przy strzelaniu z przykłąku i w przysiadzie. Nie miał przecież jeszcze wzrostu ani sił dorosłego mężczyzny, przy takim strzelaniu wyłączone były mięśnie nóg...

Umiejscowienie obydwu strzał wydawało się jednak zbyt niskie na strzelanie z przykłąku. Zdziwiony Robin wpatrzył się uważnie w gąszcz olch. I nagle... Tak, przysiągłby, że gałęzie poruszyły się lekko. Więc miał rację!

W następnym momencie wydało mu się, że wśród zielonej masy liści mignęła białą ludzka dłoń — i że ta dłoń wykonała błyskawiczny, niecierpliwy, przyzywający gest. Jeszcze nie dowierzał, ale po chwili już był pewien i z mocno bijącym sercem wychylił się prawie do połowy spoza pnia.

Dłoń, widoczna teraz doskonale wśród listowia, wezwała go po raz trzeci — już nagłąco, nawet jakby z rozpaczą. Robin w jednej sekundzie zrozumiał, że nie wolno mu dłużej się wahać. Ten ktoś na pewno nie chciał go zabić. Ten ktoś — bez wątplenia potrzebował pomocy! A prawa sir Sherwood'a, które szanowano tak samo jak

Świętą Ewangelię — nakazywały udzielenie pomocy każdemu, kto popadł w puszczy w nieszczęście lub kłopot. Każdemu, nawet godnemu pogardy „pętałowi” — o ile nie był wrogiem i nie żywił złych zamiarów. Zaś tajemniczy łucznik z pewnością takich nie żywił!

Widząc kolejne błagalne skinięcie, zdecydował się. Na wszelki jednak wypadek — klucząc i przypadając raz po raz do ziemi, pobiegł w kierunku olch. Ale o jakieś pięć kroków od nich zawahał się i zastygł, przyczajony wśród wysokiej trawy.

— Tss!.. Nie bój się, chodź!.. — wionął z gąszcza przenikliwy szept.

— Kto?.. — odszepnął pytająco Robin.

— Chodź!.. Prędzej!..

Zdeterminowany chłopak ścisnął w dłoniach „bonnie”, układając ją w pozycji zaczepno-obronnej, i jednym skokiem dopadł olch.

Pierwsze, co dojrzał w zielonym półmroku — to była para gorejących oczu. Po tych oczach wcześniej niż po bladej i ziemistej twarzy poznał nieznanego z gospody, który w tak spokojny sposób wyraził uznanie dla jego zręczności i opanowania. Teraz leżał na ziemi, wsparty na łokciu, i w milczeniu patrzył na osłupiałego Robina.

Ochłonawszy nieco z pierwszego zdumienia, chłopiec dojrzał u boku nieznanego łuk: najprawdziwszy rogowy łuk, nieosiągalne marzenie wszystkich młodocianych łowców z Oxton. I ten widok tak go zafascynował, że wlepiwszy oczy w niezwykle cudo, zapomniał o zdumieniu, o strachu i o całym świecie.

Nieznanomy pochwycił to zachwycone spojrzenie i przez jego bladą twarz przemknął ledwie dostrzegalny uśmiech. Akurat w tym momencie Robin przeniósł wzrok na niego i zarumienił się, jakby go przyłapano na czymś niewłaściwym.

— To ja! — powiedział spokojnie obcy. — Zbliź się, chłopcze. Widzisz, tak się składa, że potrzebuję twojej pomocy...

Te słowa wystarczyły. Robin przypadł do niego i przyklęknął obok. Nieznajomy wsparł się dłońmi o ziemię i uniósł do pozycji siedzącej. Widać było, że uczynił to z ogromnym trudem, a bladą twarz ściał wyraz bólu.

— Już byłem pewien, że zostanę tu na zawsze! — rzekł, oddychając ciężko. — Zaszylem się w krzaki, bo chciałem umrzeć jak zwierz pod opieką Haernonna... I nagle ujrzałem ciebie! Właśnie ciebie!.. Znak boży...

— Co wam jest, panie? — zapytał Robin, wystraszony i wyrazem jego twarzy, i urywanym, zdradzającym ból głosem.

Zamiast odpowiedzi nieznajomy szarpnął kaftan, pod którym nie miał koszuli, i chłopiec z przerażeniem ujrzał zrudziałe od krwi szmaty, spowijające pierś i barki mężczyzny. Ranny oderwał je jednym szarpnięciem od ciała... i Robin poczuł, jak zimno oblewa mu twarz, a do gardła podchodzi fala mdłości. Pod pachą obcego biegło sine, nabrzmiałe zgrubienie, kończące się u szczytu prawej łopatki ogromną, straszną opuchlizną.

— Odłamał się grot! — wyjaśnił lakonicznie nieznajomy. — Musisz mi pomóc. Postrzelili mnie dwa dni temu.

— Woodguardy?.. — wyszeptał przerażony „Knight”.

Ranny uśmiechnął się jakby z pobłażaniem.

— Nie tylko woodguardy strzelają do ludzi! — powiedział takim tonem, że Robinowi zrobiło się wstyd, jakby powiedział jakieś wielkie głupstwo.

— Musisz mi pomóc! — powtórzył mężczyzna. — Musisz wydobyć grot. Inaczej tu umrę z gorączki. Drugą dostałem w nogę, ale to głupstwo. Przeszła na wylot, wystarczyło odłamać i wyjąć. Z tym sobie sam nie poradzę...

Robin usiłował nie odwracać przejętych wstrętem oczu od strasznej rany. Na samą myśl, że miałby wydobywać grot z ciała człowieka, robiło mu się niedobrze. Nigdy jeszcze tego nie robił, choć ubiegłej jesieni był świadkiem, jak Jake przy pomocy ciotki Agnes wydobywali grot Dickowi Pszczelarzowi, postrzelonemu przez woodguardów niedaleko ich młyna. Nie miał na to najmniejszej ochoty, ale wuj widzieli w tym surową przestrożę dla lekkomyślnego łowcy. Trzymali mocno za kark i kazali się przyglądać, choć Robina mdliło i w końcu zwymiotował.

Nieznajomy dostrzegł wyraz jego twarzy i potrząsnął uspokajająco głową.

— Nie tkwi głęboko, łatwo go wydostaniesz. Zrobiłbym to dawno sam, gdybym potrafił osiągnąć. Dasz sobie radę! Przecież umiesz oprawiać zwierzynę?..

— Umiem... — wzdrygnął się „Knight”, przerażony jeszcze bardziej samym takim porównaniem. — Ale przecież to...

Przekonasz się, że to nie trudniejsze!

Robin z wysiłkiem przełknął wstrętną, gorzką ślinę.

— Posłuchajcie, panie... — pochylił się nad rannym. — Lepiej zaprowadzę was do nas!.. To niedaleko... Moi zrobią to jak należy... i opatrzymy was, i damy wam schronienie i opiekę, póki nie wydob- rzejecie...

— Nie. Jeśli pogoń znajdzie mnie u was, spalą wam chałupę.

— Ja mieszkam we młynie... — szepnął Robin i znów uprzytomnił sobie, że powiedział coś bardzo niemądrego. Zabrzmiało to bowiem tak, jakby młyny nie podlegały prawu ani karom. Obcy jednak nie zauważył czy może nie chciał zauważyć tej niedorzeczności. Uśmiechnął się lekko.

— Boisz się krwi, chłopcze?

— Nie!.. — zaprzeczył gwałtownie „Knight”, oblewając się rumieńcem.

— To nie żaden wstyd. Bodajbyś się bał przez całe życie, ale żadnemu z nas, Sasów, to nie pisane! — rzekł nieznajomy, nie wiedząc zapewne, że tymi słowami wziął w posiadanie duszę Robina. — Nie, nie pójdę do was! — podjął po chwili milczenia. — Nikt oprócz ciebie nie śmie o mnie wiedzieć. Gdybym cię wcześniej nie ujrzał, tam w gospodzie, i od ciebie nie żądałbym pomocy. Jesteś dzielny i zrobisz to. Na imię ci Robin, prawda?

— Tak, panie. Robin z Młyna...

— No to, Robin z Młyna, bierz się do roboty!

„Knight” znów przełknął mdlącą ślinę i z rozpaczą spojrział na rannego.

— Ale... potrzebna będzie woda! — szepnął, próbując odwlec bodaj jeszcze o moment okropną czynność. — Trzeba przemyć, i przedtem, i potem...

— Więc podejźmy do strumienia. Chodź!

Obcy zacisnął mocno zęby i spróbował się podnieść. Twarz pobladła mu jeszcze bardziej, prawie zsiniała, wystąpił na nią gęsty pot.

Nagle widać zasłabł, bo osunął się bezwładnie na ziemię, a głowa opadła mu w tył. Robin przypadł i ostrożnie otoczył go ramionami, starając się nie dotknąć zranionego strzałą miejsca. Owładnęło nim ogromne współczucie, które przyćmiło cały lęk i wstręt. Jak strasznie, jak niewypowiedzianie musiał cierpieć ten człowiek!

— Chleb... — wymruczał w tej chwili półprzytomnie ranny.

— Co mówicie, panie?

— Chleb. Pachniesz chlebem...

— Pachnę mąką. Ja jestem z młyna.

— Prawda, Robin z Młyna!.. — myśli nieznajomego odzyskały widocznie jasność. Znów uśmiechnął się suchymi, poczerniałymi wargami. — Kiepsko ze mną, Robin. Nie ujdę ani trzech kroków.

— Ale przecież... tam w gospodzie nikt by po was nie poznał, żeście ranni!.. — rzekł ze zdumieniem Robin.

— Widać było mi sądzone dojść tylko w to miejsce. Krótco po mnie zjawili się goście, co? — uśmiech nieznajomego uczynił się lekko drwiący.

— Aha, Artur z woodguardami! — przytaknął jeszcze bardziej zdziwiony „Knight”. — Wiedzieliście, że przyjdą?

— Nie wiedziałem. Po prostu normański cuch czuję na trzy mile! — odparł obojętnie ranny. — Poczekaj, może jednak dam radę pójść...

Znów spróbował się podnieść, ale Robin przytrzymał go lekko za zdrowe ramię.

— Poczekajcie, panie. Zdołacie objąć mnie za szyję, tak żeby się utrzymać?

Obcy pełnym powątpiewania wzrokiem obrzucił jego postać. Wydała mu się wprawdzie sprężysta i zręczna, ale chłopięco szczupła. Pokręcił głową.

— Nie dasz rady.

— Ja jestem z młyna! — powtórzył z naciskiem Robin, tak samo jak niedawno powiedział małemu Bobby'emu z Patton. — Zobaczycie, że dam!

Odwrócił się i przyklęknął. Jakież gorące ciało miał ten nieznajomy! Ostrożnie, żeby go nie urazić bodaj ruchem, „Knight” Podniósł się na nogi. Ciężar był znaczny, ale do strumienia powinno sił wystarczyć. Jeszcze w pochyleniu podjął z ziemi rogowy łuk i podał go rannemu.

— Trzymajcie się mocno, panie. Idziemy!

Zanim dotarli nad brzeg potoku, Robin zadyszał się potężnie. Bezwładne ciało rannego wydawało się cięższe nie tylko od Bobby'ego, ale i od dwunastaka, i od najcięższego worka — a zresztą tych najcięższych wuj nie pozwalali Robinowi dźwigać. Ostrożnie ułożył rannego na trawie i usiadł obok, wysapując zmęczenie.

— Utrudziłeś się, biedaku! — stwierdził obcy.

— Wcale nie.

— Ale jesteś silny, miałeś rację! Nie wierzyłem, że dasz radę.

„Knight” uśmiechnął się, zadowolony z pochwały, która znów zabrzmiała jak chłodne, rzeczowe stwierdzenie. Nie mógł się powstrzymać i delikatnie pogładził palcami rogowy obłak łuku, leżącego tuż obok.

— Strzelałeś już kiedyś z takiego? — zainteresował się obcy, dostrzegłszy ów gest.

— Nie! — zarumienił się chłopiec. — I chyba nigdy nie będę takiego miał, przecież one strasznie drogie... Ile daliście za ten, panie?

— On nie ma ceny. Kosztował życie i oddam go tylko z własnym życiem.

— Kosztował życie?.. — powtórzył z trwogą Robin.

— Tak, życie mojego najlepszego przyjaciela i wodza. To jest łuk sir Erica Fitz-Ooth'a. Słyszałeś o nim?

— Nie nigdy...

— Mogłeś nie słyszeć... Ile masz lat?

— Szesnaście, panie.

— A jego przed piętnastu laty skazali na wieczną utratę czci i zapomnienie rodowego miana. Więc mogłeś nie słyszeć o nim...

— Nie, nie słyszałem. A co on takiego uczynił? Zginął?

— Zginął! — głucho potwierdził ranny, jakby nie słysząc pierwszego pytania Robina. — Miał żonę i synka w kołysce, teraz pewnie byłby w twoich latach... I lady Joan Fitz-Ooth, i dziecko też zabili, kiedy równali z ziemią ich dwór i całe Locksley... — milczał chwilę. — To był najdzielniejszy, najbardziej szlachetny człowiek na Wyspie Nie wolno wymawiać jego miana, ale zapamiętaj je, chłopcze: sir Eric Fitz-Ooth z Locksley...

— Sir Eric Fitz-Ooth z Locksley... — powtórzył szeptem i całkiem mimo woli Robin, tak jak często powtarzał za Chrisem-Lutnis- tą słowa jego pieśni.

— Ujęli go... — obcy urwał, szczęki napięły mu się pod skórą zapadłych policzków. — Ujęli go przy mnie! — podjął z wysiłkiem. — Cisnął łuk do Trentu. Zdażyłem to zobaczyć. Szukałem później tak długo, aż znalazłem...

— A was, panie, nie ujęli? — z odcieniem nieufności zapytał Robin.

Obcy rzucił na niego bystre spojrzenie.

— Byłem ranny i ogłuszony, leżałem bez życia. Myśleli, że jestem trup! — wyjaśnił. Znów przez chwilę milczał. — A jego zamęczyli na śmierć. Pozwolił się podrzeć na strzępy, a słowa nie przemówił, nikogo nie wydał. Taki był nasz sir Fitz-Ooth...

Robina paliła ciekawość, co to była za sprawa, której ów nieznany sir Fitz-Ooth przewodził i za którą oddał w mękach życie, a także stracił rodzinę, nazwisko i cześć. Chciał właśnie zapytać, ale nieznajomy w tej samej chwili rzucił zupełnie już innym, szorstkim i nagłym tonem:

— Jak tam z tobą, odpocząłeś już? Bierz się do roboty!

— Tak, panie... — „Knight” znów mimo woli przełknął ślinę. Zmoczonym w potoku, zakrwawionym gałganem obmył okropne miejsce. Wszystko kurczyło się w nim z przerażenia na myśl, że za chwilę...

— Nie bój się, wytrzymam! — zapewnił ranny, jakby czytając w jego myślach.

Robin drżącą dłonią wy dobył swój wierny nóż, zacisnął z całej siły zęby i pochylił nad rannym. Zaszumiało mu w skroniach.

— Tnij! — przynaglił nieznajomy.

Chłopak zbliżył ostrze do opuchlizny... i natychmiast je cofnął. Dłoń trzęsła mu się jak w febrze.

— Tnij! Do kroćset diabłów! — wysyczał groźnie nieznajomy. — Ty tchórze, ty mały, zasmarkany saski tchórze...

„Knightowi” pociemniało w oczach. Od lat już nikt nie ośmielał się nazywać go tchórzem, zaś epitety „mały”, „zasmarkany” i nade wszystko — „saski” nadawały obeldze wagę tym cięższą. Pod wpływem potwornej obrazy napłynęła do serca wściekłość, a wraz z nią straceńcza odwaga, wykluczająca wszystkie inne uczucia...

Obcy naprawdę umiał cierpieć. Tylko raz z jego mocno przygryzionych warg wyrwało się przeciągłe syknięcie. A kiedy Robin pokazał mu nareszcie zakrwawiony grot z drzazgami drzewca — przez zalaną potem twarz przemknął cień uśmiechu.

— A widzisz... — wyszeptał ochryple.

— Mocno krwawicie, panie... — wykrztusił Robin, czując znów, jak usta wypełnia mu wstrętny, gorzki smak żółci. Chryste Panie! Żeby tylko wytrzymać, żeby nie zwymiotować tak jak wtedy, przy opatrywaniu Pszczelarza...

— To nic, krew musi spłynąć, oczyści ranę. Zbierała się już ropa, co?

— Aha!.. — przytaknął zduszonym głosem „Knight”... i nie wytrzymał.

Kiedy odzyskał jako tako poczucie rzeczywistości i trochę sił, poczuł że nieznamy mocno ściska jego ramię.

— Musimy to umieć, niestety! — powiedział szorstko. — Im prędzej nawykamy, tym lepiej dla nas!..

Robin opanował się jakoś.

— Na taką ranę potrzebny jest napar z krwawnika... a potem maść z bobrowego stroju! — rzekł najbardziej rzeczowym tonem, na jaki mógł się w tej chwili zdobyć. — Ciotka mają i umieją opatrywać!.. I gdybyście...

— Obejdziemy się bez naparu i bez maści! — przerwał sucho ranny. — Przemyj tylko i owiąż. Przepłucz te szmaty...

— Zrobimy inaczej, panie.

Robin bez namysłu zrzucił kaftan, ściągnął koszulę — czystą koszulę, z takim trudem wyblaganą! — i dopomagając sobie zębami, podarł ją na kilka części. Ranny przyglądał mu się przez chwilę dziwnym wzrokiem i nagle parsknął cichym śmiechem.

— Ach, ty, dzielny Sasie! Trudno rzec, co bielsze: koszula czy ty? Uspokójże się wreszcie, już po wszystkim!

Robin, wściekły na siebie, z nachmurzoną miną zanurzył gałgany w strumieniu. Opatrunek wypadł dość niezdarnie, a wypadłby z pewnością całkiem źle, gdyby nie krótkie, rzeczowe wskazówki rannego.

— Tego też się nauczysz! — stwierdził nieznajomy, poprawiając węzeł na piersi.

— Ale mówiliście, panie, że was ranili też w nogę! — przypomniał sobie Robin.
— Opatrzmy, zostało jeszcze trochę płótna!

— Ściągnij mi but! — polecił ranny.

Kiedy odsłonił ranę (rzeczywiście o wiele mniej straszną niż ta w ramieniu!) — „Knight” oprócz niej zobaczył coś jeszcze. Na obnażonej nodze, dokoła kostki ciemniał pas odgniecionego ciała, niby ślad po świeżym oparzeniu czy zdarciu. Tu i ówdzie widniały drobne, sączące się krwią i materią ranki.

Widząc przestraszony wzrok chłopca, obcy zaśmiał się krótkim, jakimś gniewnym śmiechem.

— Widzisz, tak? Do śmierci będę pamiętał tę sprawiedliwość króla Henryka, oby z piekła nie wyrżał! Patrz! — poderwał w górę rękaw kaftana i pokazał Robinowi taki sam ciemny ślad na przegubie.

— Byliście więźniem, panie? — wyszeptał przerażony „Knight”.

— Byłem. I według prawa jestem nim dotąd, bo nikt mnie dobrowolnie z lochu nie wypuszczał.

— To znaczy... że uciekliście?.. — Robin zachłysnął się z wrażenia i przesunął językiem po zaschniętych wargach.

— Musiałem. Na łaskę króla Dicka nie mogę liczyć, bo kto wie, czy i on takich klejnotów na sobie nie dźwiga! A księżę regent... — obcy wzruszył ramionami. — Musiałem uciec!

Robinowi przypomniało się, co mówiła do ojca Maud w gospodzie.

— Ale przecież... jest podatek na wykup króla! — rzekł niezbyt Pewnym tonem, mając niejasną świadomość, że nie jest to zbyt właściwa chwila na rozmowę o królu. — I wszyscy czekają aż wróci, i uczyni porządek na Wyspie...

— Porządek? — ranny uśmiechnął się pobłaźliwie. — Od kogo to usłyszałeś, chłopcze?

— Nie pamiętam... wszyscy tak mówią... — zmieszał się Robin.

— Widać nie wiedzą, co mówią. Nasz Dick-Tak-i-Nie może i ma lwie serce, ale przede wszystkim wiatr w głowie! — głos nieznajomego zabrzmiał bardzo szyderczo.

„Knight” prawie że przestraszył się tych słów. Tak mówić o królu, na którego czekano z utęsknieniem, za którego powrót modlono się tak żarliwie po każdej niedzielnej mszy w Holy Ghost? Król-krzyżowiec, król-bohater, nieszczęśliwy, zdrańczo uwieczony król — miałby mieć wiatr w głowie?..

— Tak, uciekłem z lochu! — podjął w tej chwili nieznajomy, dając do zrozumienia, że nie chce dłużej rozmawiać o królu. — Trzy dni temu. Pomogli mi przyjaciele, a czterech z nich przyplącało to życiem. Dlatego, jak widzisz, wędruję sam! Zastrzelili mi konia... Gdyby nie to, już dawno byłbym w bezpiecznym miejscu!

Zamilkł na chwilę i popadł w zadumę, a może po prostu zbierał siły po niezręcznym zabiegu Robina.

— Czterech zacnych druhów! — powtórzył po chwili. — Dochowali wierności... i poświęcili życie. Ale zapłacę za to! — rzekł twardo, już przecknięty. — Tak jak za

Fitz-Ootha, za którego zemstę do śmierci poprzysiągłem. I za swoją własną, hańbę, za hańbę wszystkich Thence'ów...

— Nazywacie się Thence, panie? — odważył się upewnić Robin.

— Kiedy mówiono o mnie: sir Theobald Thence! Thence z Lingville! — odparł były więzień. — Ale potem tu, w Sherwood, zwano mnie Twice The...

Powiedział to tak, jak mówił prawie wszystko dotąd: spokojnie i obojętnie. Ale „Knight” poczuł się tak, jakby wszystkie zwieszające się nad nim konary drzew runęły mu nagle na głowę! Otworzył usta, nabierając gwałtownie tchu, i pozostał z otwartymi — jakby był małym Bobby'm. Bezsilnie usiadł na własnych piętach i wpatrywał się w rannego szeroko otwartymi oczyma, które z brązowozłoty zrobiły się prawie czarne.

— Twice The!.. — wyszeptał, odzyskując głos. — Władca Sherwood!..

Więc to był naprawdę ten nieustraszony fugitive, zdradziecko ujęty przed laty? Twice The? Śpiewano o nim ballady, opowiadano o jego bohaterskich czynach... Każde dziecko w każdej puszczańskiej wsi znało to dźwięczne imię. Robin doskonale pamiętał grozę, rozpacz i bezsilną wściekłość, jakie panowały w całej okolicy po uwięzieniu sir Twice'a. Pamiętał, choć miał wówczas niespełna dziesięć lat... I pamiętał zawsze, do dzisiejszego dnia! Tyle razy wyobrażał sobie że jest z sir Twice'em, że broni go przed szeryfowską strażą... I modlił się o jego wolność pod tym leśnym krzyżem, który zresztą własnoręcznie parę razy zawieszał...

— Wiesz, że mnie tak zwali? — uśmiechnął się Twice The.

— Wszyscy wiedzą! Wy przecież jesteście... — chłopiec naprawdę nie miał pojęcia, w jakie słowa ująć uwielbienie i zachwyt, więc umilkł zmieszany.

— Jestem? — sir Twice zsunął brwi w grymasie niesłychanej goryczy. — Kiedyś... może! — ostrożnie naciągnął na owiniętą płótnem nogę sztywną od zaschłej krwi pończochę i niezdarnie, bo tylko zdrową ręką, począł ją sznurować. — Kiedyś

może byłem! — powtórzył. — Ale teraz... — z gorzkim uśmiechem pokiwał głową. — Kimże jestem? Nie mam siły nawet uciekać...

— Długo was więzili, sir Twice! — szepnął Robin.

— Sześć lat. Przez sześć lat obmyślali rodzaj śmierci dla mnie! — Twice The wciąż uśmiechał się z goryczą. — I wymyślili najcięższy: żebym skonał w lochu, z daleka od Sherwood. Ale wróciłem do niego! Sherwood, mój sir Sherwood!..

Wymawiał imię puszczy z niesłychaną miłością, z niezwykłą w jego opanowanym, chłodnym głosie słodyczą. I nagle wydał się „Knig-htowi” kimś bliskim i drogim, jakby znanym od kołyski, jakby tym, do którego miłość jest po prostu — obowiązkiem nakazanym od Boga! Nie potrafiłby wytłumaczyć, dlaczego zrodziło się w nim to przeświadczenie.

— Moi towarzysze zginęli! — podjął sir Twice. — Ci, do których muszę dojść, są daleko... Pewnie doczekałbym się tu śmierci. W lochu prosiłem Boga i Najświętszą Pannę tylko o jedno: żeby pozwolili mi umrzeć w Sherwood. Myślałem, że mnie wysłuchali, bo przecież doszedłem aż tu... Ale Ich łaska okazała się większa: zesłali mi dzielnego saskiego chłopca. Niech cię Bóg ma w opiece, Robin!

Chłopak milczał, zarumieniony i zmieszany. Pomyślał, że gdyby wiedział wcześniej, kim jest ranny — to z pewnością zachowałby się inaczej, nie jak „mały saski tchórz”...

— Przestraszyłem cię tymi strzałami? — zagadnął sir Twice.

Robin chciał zaprzeczyć, ale nie wiadomo dlaczego pohamował się.

— Trochę... — wyznał za to uczciwie, rumieniąc się jeszcze mocniej. — Myślałem, że to Krzywy Matt, bo przecież mi się odgrażał. Ale potem zobaczyłem, że w to samo miejsce i że tak nisko... A jak wy strzelaliście, sir Twice? — zadał zupełnie

dziecinne i niezbyt stosowne w tej chwili pytanie, które tkwiło w nim od samego początku całej tej historii. — Przecież nie mogliście podnieść się z ziemi...

— Nie wiem, czy teraz dam radę. Ale spróbuję!

Sir Twice The usiadł z wysiłkiem, ujął łuk, nałożył strzałę i trzymając obłąk poziomo, wymierzył w rosnące nie opodal drzewo. Szarpnął cięciwę. „Knight” zanie mówił, a w następnym momencie wargi same złożyły mu się do pełnego uwielbienia i zazdrosnego podziwu gwizdnięcia. To była niesłychana sztuka i świadectwo nadludzkiej wytrzymałości: strzelać tak celnie, będąc rannym i osłabionym, prawie leżąc, gdy użyteczne mogą być tylko ramiona i barki — a właściwie jedno ramię! Ale żeby to uczynić, trzeba było być sir Twice'em The!..

— Jak wspaniale! Nigdy tak nie zdołam! — szepnął z żalem.

— Nauczysz się! — rzekł sir Twice, jakby znów stwierdzał oczywistą rzecz. Podał chłopcu łuk. — Może spróbujesz? Stojąc, stojąc oczywiście! — dorzucił uspokajająco.

— Nigdy jeszcze nie strzelałem z rogowego...

— Więc masz okazję.—

Robin z niesłychanym szacunkiem, ale chyba z jeszcze większą trwogą wziął w dłoń łuk i sięgnął do kołczanu sir Twice'a. Pomyślał smutnie o swoim ukochanym ci-sowym, ukrywanym w dziupli. Musiał go chować, nie tylko dlatego, że bał się wuja... A wuj zapowiedzieli, że gdy jeszcze raz zobaczą go z łukiem w rękach, to nie tylko spuszczą mu zdrowe lanie — ale i łuk pójdzie w kawałki i do komina! Sporządzenie nowego nie byłoby żadną sztuką, gdyż w Oxtan każdy dzieciak umiał „prażyć łuk, żeby pieczeń wsuwać mógł” — lecz „Knight” kochał swój jak żywą, przywiązaną istotę. Gdyby miał ją teraz w dłoniach, zamiast tego rogowego cuda — wcale by się nie bał! Ani trochę!

Wydawało mu się, że od tej próby zależą nie tylko jego dobre imię i łucznicza sława, ale wręcz życie. Może zrezygnować, żeby uniknąć kompromitacji i hańby? A jeśli sir Twice znowu nazwie saskim tchórzem? Na myśl o tym zacisnął zęby i zdecydowanie nałożył strzałę. Przez chwilę wahał się w wyborze celu i wreszcie wybrał młody, wiotki jesion, rosnący o dobre dziesięć kroków dalej niż drzewo, w które strzelił sir Twice. Wskazał je towarzyszowi i stawiając wszystko na jedną kartę, wyciągnął przed siebie rękę z rogowym obłąkiem. Jeszcze mocniej zwarł zęby i najsilniej jak potrafił szarpnął cięciwę, która zdawała się mieć twardość i sztywność stali. Wysiłek aż zamrowił w ramieniu i plecach, chlusnął omdlałością do napiętych łydek — ale lotka już musnęła skroń i policzek, i strzała, syknąwszy znajome pożegnanie, pomknęła gdzie jej kazano.

— Zuch! — stwierdził spokojnie sir Twice, spoglądając na drgającą brzechwę.
— Mówisz, że nigdy z takiego nie strzelałeś?

— Nigdy, sir Twice! — zapewnił półprzytomny z emocji i szczęścia „Knight”.

— To znaczy, że urodziłeś się do niego. Musisz jak najprędzej postarać się o taki sam...

Zamiast odpowiedzi Robin westchnął tylko smutnie i położył z szacunkiem łuk przy boku sir Twice'a. Ranny fugitive znów zdawał się myśleć o czymś głęboko.

— Słuchaj, chłopcze! — ocknął się nagle. — Wprawdzie udało mi się zmylić pogoń, ale sądzę... — uśmiechnął się cierpko i potrząsnął głową. — Nie, pewien jestem, że depczą mi po piętach! A w takim stanie nie będę mógł iść zbyt prędko. Rozumiesz chyba sam, że nie powinieneś nikomu o naszym spotkaniu mówić...

— To przecież jasne, sir Twice! — oburzył się Robin.

— Nikomu! Ani rodzicom, ani rodzonemu bratu!

— Ja nie mam ani rodziców, ani rodzzonego brata. Chowają mnie wuj... — wyjaśnił Robin i znów się zarumienił, bo zabrzmiało to tak samo niemądrze jak stwierdzenie, że jest z młyna a nie z chałupy.

— Wszystko jedno, nikomu nie mów. Im mniej ludzi na razie Wle, że zbiegłem, tym lepiej dla wszystkich. Rozumiesz?

— Tak, sir Twice.

— I obiecujesz, że nikomu nie powiesz?

— Nie obiecuję. Przysięgam, sir Twice! Przysięgam... — Robin nabrał głęboko tchu. — Przysięgam na pamięć moich rodziców... i na pamięć waszego wodza, sir Erica Fitz-Ooth'a z Locksley...

Sir Twice The spojrzał na niego jakimś dziwnym wzrokiem. Chłopak zląkł się, że to, co wyrzekł, mogło zostać zrozumiane jako dziecinne chępczenie się dobrą pamięcią.

— ...i na Najświętszą Krew Zbawiciela!.. — dorzucił drżącym z przejęcia głosem, podnosząc w górę dłoń. Tych właśnie groźnych słów użył, mimo że zimno go przechodziło, ilekroć je wspomniał.

Sir Twice The znów spojrzał na niego i nagle odwrócił szybko wzrok.

— A jeśli będą mnie szukać po wsiach? — zapytał jakby z wysiłkiem. — Jeśli wpadną do was i będą pytać o mnie?

— Niczego nie usłyszą.

— Mogą ci grozić... Może nawet wypadnie ci cierpieć.

— I wtedy nie powiem.

— Nie znasz ich jeszcze. Nie wiesz, co potrafią czynić z ludźmi...

— Wiem — przez głowę Robina przeleciało wspomnienie Simona z Mirfield. — Ale nie powiem o was ani słowa. Przysiągłem.

Twice The ujrzał, że na twarzy chłopca pojawił się wyraz złowrogiej zawziętości, zupełnie nie pasujący do delikatnych rysów. Nozdrza zadrgały, a pomiędzy zmrużonymi rzęsami przeleciał ostry błysk. Wyglądał tak samo jak niedawno w gospodzie, kiedy zdecydował się położyć stanowczy kres wulgarnym zaczepkom krzywo-gębeo pijaka. I nagle... uciekinier uzmysłowił sobie, że z tym wyrazem twarzy Robin kogoś mu przypomina. Że jest podobny do kogoś dobrze mu znanego! Do kogóż jednak mógłby być podobny zwyczajny wiejski chłopak, młynarski wychowanek? Nic dziwnego, że myśl ta trwała w głowie sir Twice'a krótko jak mgnienie oka i została z niej przegnana jako niedorzeczność. Ale niezależnie od niej ranny fugitive uczuł niezbitą pewność, że na przysiedze tego młodziutkiego, ślicznego Sasa może polegać bez obawy, że w chwili każdej próby jego zawziętość i nienawiść okażą się silniejsze od trwogi i bólu.

— Jak wy będziecie uciekać, sir Twice? — Robin nachylił się nad nim ze współczuciem i lękiem. — Nie dacie przecież rady! Lepiej jednak zaniósę was do nas, do młyna... Ukryję tak, że żywa dusza się nie dowie...

— Nie. Przysiągłem sobie, że nikogo więcej na zgubę nie narażę. Zginęło czterech, to starczy! — sir Twice wyrzekł to szorstko, może kryjąc wzruszenie. — O ciebie też się boję. Byłem się dostał w pobliże Recluse Wood...

— Recluse Wood? — powtórzył Robin.

— Tak, muszę tam dojść. Tam już nie zginę.

— Ale to daleko, sir Twice!.. — szepnął z przerażeniem „Knight”.

Pomyślał, że on sam, nawet wytężając całą szybkość swoich nóg — musiałby iść do Reclus Wodd chyba jeszcze długo po zapadnięciu zmroku. A jak długo powlecze się tam sir Twice, ranny i osłabiony? Jak zdoła przebyć moczary, których wyminięcie

kosztowałyby go dodatkowo kilka opętanych mil? Jeśli spotka go drogą coś złego? Jeśli dostanie krwotoku z rany, padnie i zemrze?..

Spojrzał na niebo, widoczne pomiędzy koronami drzew. Do zachodu pozostawało jeszcze trochę czasu, ale przecież... Sercem targnął niewymowny, dziecinny żal. Zielona Noc! „Majowa kadź”!.. Wesołe chrupanie pieczonej jagnięciny, wśród żartów, śmiechu, śpiewu i dogadywań... I nagle to wszystko przyćmił gniew na samego siebie. Są przecież sprawy, z którymi nie może się równać najweselsza Zielona Noc! Cóż może być cenniejszego od ludzkiego życia? I to życia — sir Twice'a The, Władcy Sherwood?

— Pójdziemy, sir Twice! — zdecydowanie nachylił się nad rannym.

— Powiedziałem, że nie pójdę do młyna!

— Ale ja nie mówię o młynie, tylko o Reclus Wood. Pójdziemy tam obaj. Wspręcie się na mnie, pomogę wam.

— Oszalałeś, Robin!

— Pójdę z wami do Reclus Wodd! — powtórzył stanowczo „Knight”. — Nie zostawię was na pewną zgubę! A wreszcie... — urwał, zastanawiając się, jak wyrazić swe myśli, i dokończył z uniesieniem: — A wreszcie... powiedzieliście sami, sir Twice, że to Pan Bóg i Najświętsza Panna mnie wam zesłali! Więc chyba... gniewaliby się na mnie, gdybym wam do końca nie dopomógł! Wam, Władcy Sherwood...

Zawstydził się nagle tego dziecinnego wybuchu, tak nie licującego z puszczańską powagą, opanowaniem i rozsądkiem. Ogarnął go lęk, że sir Twice w odpowiedzi zaśmieje się — albo skwituje to po swojemu, jakimś suchym, lekceważącym słowem. Ale sir Twice nic nie powiedział, tylko znów odwrócił szybko głowę. Nim jednak ją odwrócił, Robinowi wydało się, że dojrzał w jego oczach coś, o co nigdy w życiu nie ośmieliłby się Władcy Sherwood posądzić.

TLR

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Straszna noc wuja Willa

Kiedy Robin do zachodu słońca nie zjawił się w domu, podejrzania Willa zmieniły się niemal w pewność, a niepokój — w gniew. Czyż nie można było sobie tego tłumaczyć tylko jednym: tym mianowicie, że chłopak dostał się we władzę „majowego uroku”? Czarów, których tak się dla niego lękał i przed którymi ostrzegał ojciec Austin?

Dawniej młynarz Will rzadko rozmyślał o prawdziwym pochodzeniu i szlacheckiej krwi swego przybranego syna. Kiedy czasem w bezsenne noce wraz ze strasznymi wspomnieniami zjawiała się i świadomość tego, kim Robin jest — Will odpędzał ją od siebie zawzięcie, rozpaczliwie. Bo i po cóż było myśleć o tym i dodatkowo się dręczyć? Przecież chłopak nigdy o niczym się nie dowie! Nie dowie się — bo musi żyć! A jedyny dla jego życia ratunek — to los, który mu przed piętnastu laty wybrał dzielny i mądry Swithin z Ashen Valley, dziś ojciec Austin z Holy Ghost. Nazwiska „Fitz-Ooth” i rodowej majętności nikt nigdy chłopcu nie przywróci. Oprócz ojca Austina i Willa żywa dusza nie wie, kim byli rodzice chłopca i co się z nimi stało. Wszyscy, także Agnes i sam Robin, wierzą święcie w to co im się rzekło: że krewniaczkę Willa poślubił wędrowny kotlarz, sokman jak i Will, i że oboje prawie równocześnie pomarli na zarazę, osierocając niespełna roczne niemowlę...

Takimi myślami pocieszał się Will, lecz mimo to w jego sercu nieustannie czaił się lęk. Wzrastał w miarę, jak chłopcu przybywało 'at i jak widać było coraz wyraźniej, że dumnej, szlacheckiej i zapalczywej krwi Fitz-Ooth'ów z Locksley nie da się przytłumić ani surowym chowaniem, ani prostymi obyczajami, ani ciężką pracą. Objawiała się nie tylko w zdumiewającej, zupełnie nie wieśniaczej urodzie Robina, nie tylko w jego postawie i w ruchach, ale — po prostu we wszystkim, co chłopak czynił, mówił, o czym marzył i w czym miał upodobanie!

Samego Willa — choć ukrywał to najstaranniej — ogarniał czasami mimowolny podziw. Czuł go, gdy Robin z zadziwiającą nieomylnością i całkowitą przy tym prostotą potrafił obrać najwłaściwszy sposób zachowania się w różnych sytuacjach, gdy dawał dowody tego jak wstrętne mu jest kłamstwo, tchórzostwo, okrucieństwo, wulgarność i w ogóle wszelka podłość...

Zadziwiła również jego duma, a właściwie — godność. Tak, był dumny, ale nie hardy! Will nie pamiętał, żeby przybrany syn kiedykolwiek odpowiedział mu zuchwale czy opryskliwie, żeby pozwolił sobie na tak częste przecież u niedorostków głupią czupurność lub przekorę.

Świętym wszakże nie był, boć żaden chłopak nie jest — i nieraz się zdarzyło, że przeskrobał. Dawniej, przed przysięgą, często i na długo zwabiał go szlak Haernonna — i wcale wtedy nie dbał o to, że Will od zmysłów odchodzi z trwogi. Albo, wypróbując swą odwagę i zręczność, porywał się na karkołomne, zagrażające zdrowiu i życiu wyczyny... Raz po raz też, ganiając z chłopakami, zapominał ze szczętem o nakazanej porze powrotu do domu. Gdy jednak coś takiego się zdarzyło — nie szukał obrony w kłamstwach, wykrętach i niemądrych tłumaczeniach, nie próbował umniejszać swoich win i nie wypraszał się od kar.

Will chował swoich chłopców prosto i twardo, lecz — jak słusznie zauważył ojciec Austin — nie przesadzał w surowości, czym różnił się od wielu oxtońskich ojców. W swoim uczciwym, kmiącym umyśle żywił bowiem przeświadczenie, że nie rosną do łatwego życia, że świat nie będzie dla nich łaskawy i że dość się w nim nacierpią. Dlatego do ich przewinień i psot odnosił się pobłaźliwie, najczęściej rozgrzeszając je krótkim, ostrym zburczeniem lub trzepnięciem po karku. Do ostatecznego środka uciekał się rzadko — i jedynie wówczas, gdy wina nie mieściła się już w granicach jego ojcowskiej wyrozumiałości. Ile go to jednak kosztowało, wiedział tylko on sam! go o ile Robin wzorem wszystkich oxtońskich chłopaków odnosił się jo wujowej ręki z trwożnym szacunkiem i uważał lanie za najsprawiedliwszą w świecie rzecz —

to Will czuł się w takich chwilach niemal jak oprawca, a potem długo nie mógł sobie wybaczyć, że tak bezwzględnie i tak boleśnie upokorzył tę młodziutką dumę... Fitz-Oothów!

Od wizyty ojca Austina nie opuszczało młynarza uczucie dręczącego niepokoju. Z nieznaną dotychczas siłą odżyły wszystkie okropne wspomnienia — i jak nigdy uciśkała duszę świadomość, kogo ma pod rodzicielską opieką. Co winien i Bogu, i pamięci — tych, którzy już u Niego, rodziców chłopca! Dawniej potrafił tę świadomość w sobie jakoś przytłumić, umiał odepchnąć złe myśli. Teraz za nic nie mógł, choć próbował.

Bo dawniej — czegoż to się bał? Czuł lęk, gdy widział, że zalety charakteru przybranego syna i jego śliczna twarz budzą zdziwienie ludzi. Bo jeśli to zdziwienie wywoła z kolei podejrzliwość? Niepokoiły go też — niezwykła zręczność i wynikające z niej sukcesy chłopaka, choć przecież jako ojciec powinien być z nich dumny... Nie potrafił, bał się, że i one zdradzą tajemnicę, że ludzie dopatrzą się w nich nie szczególnego daru niebios, lecz dziedzictwa...

Teraz jednak do tych znanych już obaw dołączyła się i nowa trwoga, obca dotąd i daleko gorsza. Było coś, co ojciec Austin uważał za najgroźniejsze! Gorąca krew Fitz-Oothów... i „czary Maja”!

Strach zrodził się w sercu Willa już w trakcie rozmowy z zakonikiem, a spotęgował się zaraz tej samej nocy, gdy młynarz przydybał chłopca takim rozdygotanym i podnieconym. Rósł z każdym dniem bardziej, bo przecież widać było niezbitcie, że Robina „coś naszło”. Will próbował stosować się do rad ojca Austina i leczyć to „coś” pracą, ustawicznym wysiłkiem. Wspierał go w tym i Jake, który — wiedziony pewnie przenikliwością kaleki — odgadł, co dzieje się z chłopakiem. Ale z tej pomocy Jake'a w ostatecznym rachunku mogło wyniknąć więcej szkody niż pożytku. Choćby i ów miecz... Will dosłownie zmartwiał ze zgrozy, ujrawszy Robina z mieczem w rękach i

z twarzą rozplamioną nie wysiłkiem, lecz nieopisanym szczęściem! Musiał natychmiast to przerwać, musiał zażegnać zły los...

Praca i trud? Niewiele to chyba pomagało! Chłopak niby robił, co mu kazano — lecz z wyraźną niechęcią, bez zwykłej swej zręczności, wesołości i werwy. I samo jego zachowanie było zupełnie inne niż dotąd. Bo dotąd rozkazy Willa i jego szorstkie napomnienia przyjmował potulnie i ze skrucą. Gdy czegoś zaniedbał lub wykonał coś źle — natychmiast starał się ze zdwojoną gorliwością naprawić uchybienie. A teraz?.. Wprawdzie milczał, lecz najwyraźniej się boczył! Zacinał usta, spoglądał chmurnie spode łba, nawet ośmielał się wzruszać ramionami! Po prostu — całym sobą dawał do zrozumienia, że dzieje mu się krzywda, że czuje urazę!

Will może straciłby w końcu cierpliwość i w wiadomy sposób zareagował na te nieznanne sobie dotychczas przejawy zuchwalstwa. Miał jednak w pamięci i inne napomnienia ojca Austina: że Robin to już nie dzieciak i że należy postępować z nim inaczej...

Łatwo zakonnikowi gadać: inaczej! To znaczy — jak? I jak zaradzić „czarom Maja”, które tak odmieniły miłego, posłusznego, łatwego do prowadzenia chłopca? Nigdy jeszcze Will nie czuł się tak bezradny. Nigdy nie myślał o rycerskiej krwi swego przybranego syna z równą trwogą i troską, a ojcowskie obowiązki — które przecież dobrowolnie i szczerym sercem na siebie przyjął — nie ciążyły mu tak jak teraz.

Wiedział, że należałoby z Robinem porozmawiać, przestrzec go, wyjaśnić wiele spraw. Ale czy potrafiłby — on, zwyczajny kmieć, prosty młynarz? Czy zdołałby sięgnąć swoją chłopską rozwagą do serca i natury młodego Fitz-Ooth'a? Ojciec Austin wspominał, że nieboszczyk sir Baldwin surowo strzegł swego jedynaka. Jak to czynił? Pewnie ustawicznie przypominał o rycerskiej czci, o szlachetności rodu, o tym, że nie dostąpi zaszczytu pasowania młodzieniec, któremu niegodne uczynki nie pozwolą przywdziać na tę uroczystą chwilę obrzędowej białej szaty... Tak, inaczej na cześć swą

zważa rycerz, inaczej prosty chłopak z młyna! Jakież tu można znaleźć przestrogi i nakazy, zdolne powstrzymać niespokojną, wzburzoną krew? Szlachetną krew?..

W zwyczajnych sprawach można postępować prosto i zwyczajnie — lecz gdy idzie o młodą duszę, owładniętą „majowym urokiem”-

Gdybyż to był rodzony syn! Will nie wątpił, że wtedy nie żywiłby żadnych skrupułów. Po prostu skrzyczałby ostro, wzbronił, zagroził — i na tym koniec. Lecz Robin nie był jego rodzonym synem! Nie wolno było postępować z nim szorstko i surowo, chłopak mógłby do reszty zbiesić się i zrazić. Chowany we młynie — ale jednak to rycerskie dziecko! I nie jego wina, że ma w sobie zapalną krew Fitz-Oothów!

Z drugiej wszakże strony Will rozumiał, iż nie może pozostać obojętnym na to, co się z chłopcem dzieje. Że nie wolno mu udawać, iż niczego nie dostrzega, liczyć na to że „czary” same jakoś miną ani zlekceważyć ich jako dziecinne głupstwo. Jednak był przecież dla Robina ojcem! A chłopak naprawdę się męczył. Któż, jak nie ojciec, miałby mu pomóc?

Zwłaszcza, że o nieszczęście naprawdę nie było trudno. Głupi i niedoświadczony smyk gotów zejść na manowce, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. A ojciec Austin gadał o potępieniu wiecznym, o ziemskich pokutach... o scarlet sign!.. Tak, księża z Holy Ghost surowo karali tego rodzaju grzechy, nie okazywali zrozumienia dla młodego wieku! Przeciwnie: im młodszy był winowajca, tym bezwzględniej go traktowano. I ojcom nie szczędzono słów potępienia ani publicznego wstydu. Chryste Jezu, doczekać takiej hańby...

Kiedy słońce skryło się już całkiem za zachodnim zrębem puszczy, zgryziony Will spróbował podzielić się swoim niepokojem z żoną. Ale trafił jeszcze gorzej niż za pierwszym razem, w południe. Agnes, zmęczona świąteczną krzątaniną, przygotowywaniem strawy na uroczyste dni, a w tej chwili zaprzątnięta pieczeniem chleba i „majowego placka” — odniosła się do obaw małżonka jeszcze opryskliwiej niż wówczas. Pewnie, Robin powinien był wrócić do domu przed udaniem się na „Zieloną

Noc", ale cóż wielkiego się stało, że nie wrócił? Dziura się w niebie uczyni czy co? Mało Will chłopakiem orał przez ten gorący przedświąteczny czas? Chyba słusznie mu się należy trochę wytchnienia i uciechy! Bez wątpienia do Oxton poleciał, pewnie mają tam z chłopakami jakieś swoje sekrety i sprawy przed niewinnym, nocnym młodzieńczym szaleństwem!

Wiadomo, jaka młodzież przed „Majem”, więc czegoż Will chce? Nie pamięta wół, jak cieleciem był!..

Will może by i pożałował, że w ogóle zaczynał tę rozmowę — gdyby nie to, że wywody żony wydały mu się raptem całkowicie słuszne! W trwodze, jaką czuł, każdy sensowny argument był pociechą. No pewnie, Robin mógł pobiec z karczmy do Oxton! Może umówił się z chłopakami, że razem na Polanę pójda? Ostatecznie to nic złego, choć winien był o tym powiedzieć, o zezwolenie poprosić! Już swoje posłysz, kiedy się w domu zjawi...

Agnes, widocznie odgadując myśli męża, dorzuciła z irytacją:

— A jak chłopak z Polany wróci, to żebyś na niego nie wrzeszczała, uciechy mu nie psu! Dużo to jej ma?... Przecież to młodych święto, radować się powinni!

Will machnął ręką i wyszedł na podwórko, gdzie udał, że bardzo go zajmuje robota Jake'a, czyniącego porządki i wysypującego placyk tatarakiem, pracowicie znoszonym przez Mucha znad Trentu. Miał to zrobić nieobecny Majowy Rycerz... Will znowu zamyślił się ponuro.

W pewnej chwili postanowił. Porozmawia z chłopcem, szczerze i poważnie, po ojcowsku i po męsku. Musi znaleźć w sobie dość rozumu i ostrożności. Oczywiście nie uczyni tego dziś, bo Robin na pewno wróci z Polany tak rozbawiony i wesoły, że szkoda nawet myśleć o jakiegokolwiek poważnej rozmowie... A potem będą święta, też nie czas na nią! Tym lepiej, można się do niej odpowiednio przysposobić!

W całej tej duchowej rozterce, w natłoku niemiłych podejrzeń i obaw, od czasu do czasu tłumionych jakąś spokojniejszą i rozsądniejszą myślą — Willowi ani przez chwilę nie powstało w głowie tylko jedno! To mianowicie, że Robin mógłby wcale nie uczestniczyć w wesołych obrządkach Zielonej Nocy! Był to bowiem obyczaj tak czczony i tak dla młodzieży święty, że nawet największe „czary Maja” były wobec niego niczym. Will, wierząc w jego moc, mógł żywić niczym nie zachwianą pewnością, że jego „Knight” wraz z całym Orszakem szaleje w tej chwili na Majowej Polanie!

Majowi Rycerze powracali z niej, kiedy biały nów „Whitsunday” lśnił już wysoko na niebie. Młynarz spojrzął na wspinający się ponad puszcę ułamek tarczy księżyca (zwanego w tym czasie również „sierpem Birgith”) — i przypomniał sobie ubiegłoroczną Zieloną Noc, kiedy wraz z Robinem przybyła cała czereda, bo chłopcom nie opłacało się powracać do wsi przed „ścięciem Jacka”. Jakież to był wesoły powrót z Polany! I z jaką dumą zaprezentował Robin przybranemu ojcu białą przewiązkę na świeżo obciętych, brązowo-rdzawych włosach! A potem wszyscy rozsiedli się na mostku i wciąż widać rozbawieni — gadali, śpiewali, wybuchali śmiechem, aż echo się niesło po rzece i sir Sherwood łaskawie i życzliwie wtórował tej młodej wesołości...

Dziś jednak „sierp Birgith” od dawna już srebrzył się wysoko na niebie, a mostek wciąż pozostawał milczący i cichy. Nawet z daleka nie było słychać żadnych głosów. Widać chłopaki tym razem zabawiają się dłużej...

Jake, ukończywszy wszystkie prace, pożegnał chlebowca kiwnięciem głowy i poszedł do młyna, gdyż tam sypiał. Agnes, zmęczona do cna, również udała się na spoczynek do małżeńskiej komory. Nie zapomniała jednak przedtem wydobyć ze skrzyni niedzielnego przyodziewku dla wszystkich — dla wszystkich prócz Robina... I dopiero teraz poczucie sprawiedliwości wzięło w niej górę nad macierzyńskim pobłażaniem, bo zauważyła gniewnie:

— Co też chłopakowi na rozum padło, żeby w kościelnym kaftanie na Zieloną Noc iść! Toć go wysmoli na nic, a i podrzec gotów! Po drzewach przecie łażą i ganiają jak pomyleńcy...

— A widzisz! — krótko i zgryźliwie skwitował Will.

Much miał szczerzy zamiar czekać na siódmy, ostatni i najciekawszy powrót brata-Rycerza, ale nie wytrzymał i dawno już chrapał pośród skór i słomy.

Will, wzięwszy w dłoń niewielki smolak, jak co wieczór poszedł osobiście zajrzeć przed spoczynkiem we wszystkie kąty obejścia. I to nakazywała mu wrodzona rzetelność. Nie czynił tego z obawy przed złodziejami, bo o takich od dawna w Oxton nie słyszano, ani też z lęku przed jakimś zaczajonym wrogiem, bo któżby nim był? Po prostu stanowiło to obowiązek, taki sam jak inne. Należało sprawdzić, czy owce dobrze zamknięte w obórce, czy stawidła należycie założone, czy ktoś gdzieś nie rzucił przez nieuwagę nie całkiem zgasłego drewienka...

Powiódł dokoła spojrzeniem. Ledwie widział w ciemności kontury młyna i nieruchome koło. Jakoś nigdy dotąd nie przyszło mu to do głowy — a teraz nagle pomyślał, że przez te piętnaście lat wszystko: i wybudowany niemal własnoręcznie młyn, i Oxton, i tutejsi ludzie stali się dla niego ogromnie bliscy i kochani. Obecne życie upływało chyba też milej niż tamto dawniejsze, choć ojcowski młyn, położony także nad Trentem — tyle, że o trzy mile od... Locksley! — był dziedzictwem i spędził w nim więcej niż połowę swego życia... Ale teraz odgradzała od niego przepaść krwawych wspomnień. Tu był tylko spokój i myśl o bezpiecznej przyszłości. Tak, ojciec Austin miał słuszość: nic tu nie grozi, Bóg strzeże i sprzyja, sir Eric i lady Joan u Jego tronu orędują... Nikt nie dojdzie prawdy o Robinie! Chłopak zmądrzeje i dorośnie, pójdzie w czeladniczą wędrowkę, a gdy wróci — przejmie młyn i będzie nim rządził może i lepiej niż ojciec! Will i Agnes doczekają przy nim sędziwych lat, radości z wnucząt... Czyż można pragnąć większego szczęścia? Byle tylko Pan Bóg nadal miał w opiece i w Swojej łaskawości błogosławił!..

„Człowiek myśli — Pan Bóg kreśli!..” — przeleciały mu nagle przez głowę słowa, które często powtarzał nieboszczyk ojciec. Wzdrygnął się mimo woli, przeżegnał i nieznacznie splunął przez lewe ramię.

Zamierzał właśnie wejść do chaty, gdy nagle posłyszał na mostku szmer cichych kroków. Odetchnął z ulgą. Wracają! Wracają z Zielonej Nocy!.. Ale nagle uświadomił sobie, że to jakiś dziwny powrót: nikt nie gadał, nikt się nie śmiał, nawet szeptu nie było słychać! Czyżby coś złego się przygodziło? Może chłopcy przebrali miarę w harcach i... Jezu, ręka czy noga złamana?

Niemal biegiem ruszył na spotkanie, unosząc w górę smolak. Zdumienie osadziło go w miejscu, bo w kręgu światła pojawili się przed nim — Dickon Strzała i Pete Śpioch z karczmy. Obaj cali wprawdzie i zdrowi, obaj w „sevenbolds” i liściastych pasach, ale... tylko we dwóch! Oprócz nich nie było żywego ducha. I dość było rzucić na nich okiem, by odgadnąć, że mocno zaniepokojeni.

— Gdzie Robin? — zapytał gorączkowo Dickon, nawet nie pozdrawiając Bożym imieniem zdziwionego i przestraszonego młynarza.

Will w pierwszej chwili nie pojął sensu pytania.

— A gdzież ma być? Nie wrócił dotąd! Cóż to, sam tym razem wracał? Pogubiliście się?

— Skądże miał wracać? Przecież go wcale na Polanie nie było! — wybuchnął zdenerwowany jeszcze bardziej Strzała. — Myśleliśmy, że się coś u was stało...

W Willa jakby piorun strzelił.

— Nie było go na Polanie?.. Robina?! Co ty gadasz, Dickon?

— Przecież słyszycie, wuju! Nie przyszedł, na samą Zieloną Noc!..

— Na świętą Trójkę z Holy Ghost!... — wykrztusił Will.

— Wuju, gdzież on jest? Coś się chyba stało, bo przecież...

— Na świętego Laurence'a z kratą!.. —jęknął znów Will, jakby w tej chwili był zdolny tylko do wzywania Boga i Jego świętych.

Nagle oprzytomniał.

— Widziałeś go dzisiaj w „Dzikach”? — zwrócił się ostro do Pete. — Szedł tam w południe z rakami! Był?!

— Był, a jakże! — potwierdził skwapliwie Śpioch.

Will odetchnął, ale tak, żeby chłopcy nie dosłyszeli.

— Długo tam siedział? — zadał następne surowe pytanie.

— Nie-e-e... — zająknął się wystraszony Pete. — To znaczy... nie tak bardzo długo! — uściślił odpowiedź. — Kiedy poszedł, do wigilii w Holy Ghost było jeszcze z różaniec albo i więcej...

— Do wigilii?.. I gadasz, gamoniu, że niedługo był?! Co tam robił?

Pete chrząknął, smarknął w garść i bezradnie zaszurał chodakami.

— Co tam robił, gadaj! — ponaglił go groźnie Will.

— Kiedy ja... ja mu przyobiecałem, że o tym nie będę gadał! — wypalił desperacko Śpioch, na wszelki wypadek cofając się w tył.

— Gadaj w tej chwili! — oblicze młynarza poczerwieniało z gniewu.

— Ale... ja mu przyobiecałem...

— Gadaj mi zaraz!

— Ale... jemu było strach, że jak wy o tym posłyszycie... —jąkał Pete. — Że jak posłyszycie, to... to...

— To co?! — zagrział Will.

— Że jak wy posłyszycie, to będziecie źli i na sam „Maj” od was dostanie! — zdecydował się z rozpaczą Śpioch, najwidoczniej nie biorąc pod uwagę faktu, że takim wyjaśnieniem pograży kolegę dokumentnie i bez ratunku.

— A pewnie, że dostanie! Ale przedtem ty!.. — wrzasnął młynarz i wetknąwszy łuczywo w dłoń Dickona, słuchającego ze zdumieniem tej interesującej wymiany zdań, wcale nie udawanym gestem sięgnął do kościanej kłamry. — W tej chwili mów, niedojdo, co Robin w „Dzikach” czynił, bo jak ci...

Śpioch przeraził się nie na żarty. Dość zbierał ciągów od Jeffa, a młynarska ręka i pas wuja Willa mogły budzić trwogę, skoro sam odważny „Knight” żywił dla nich ogromny respekt. Ale z mocnymi pięściami tegoż „Knighta” też należało się liczyć. Więc biedny Pete znów bezradnie zaszurał chodakami po piachu i tataraku podwórza, rzucając rozpaczliwe spojrzenia na Strzałę.

— Jak już tyle rzekłeś, to gadaj do końca! — warknął gniewnie Dickon. — Przecież wuj Will dla Robina jak rodzony ojciec i wszystko winni wiedzieć!

— No bo, widzicie... — zaczął dukać Śpioch. — Krzywy Matt Robina bardzo paskudnie zaczepiał... a Robin najpierw na to nie zważał, ale wreszcie nie strzymał i tak go zaprawił, że...

— Robin się z Mattem bił? — przerwał ze zdumieniem i trwogą Will.

— Nie żeby się bił, tylko go gębą do miski wrzucił! — wyjaśnił Pete.

— Jak to?..

— Ano tak! Matt chciał go zdzielić, a Robin prewentem^{*51} umknął i nogę mu podstawił, i tak go urządził, że Krzywy całą miskę pieczystego na własnej gębie wyniósł! — to Śpioch wygłosił zupełnie gładko, z dumą i zachwytem w głosie.

Will przez chwilę stał niemo, mrugając oczyma. Nagle odzyskał mowę.

— Pieczystego?.. — powtórzył, jakby z całej relacji dotarło do niego tylko to jedno słowo. — To gdzie ta bijatyka była?! — huknął, odzyskując również i przytomność umysłu.

— A gdzieżby? W gospodzie! — pośpieszył z odpowiedzią Śpioch.

— W gospodzie? Po cóż Robin do gospody laził? Tam Jeffowi raki dawał?

— On wcale sam do gospody nie wlaził! — Śpioch uznał widocznie, że powinien wziąć kolegę w obronę. — Panna Maud mu wejść kazała, to i wszedł...

— Panna Maud?..

— Panna Maud!

— A na cóż to był Robin pannie Maud potrzebny? — resztką zimnej krwi zapytał Will.

— No, chciała go świetalnie ugościć! Bo przecie Robin to ma być jej Majowy Rycerz...

— Rycerz?! Maud z Londynu?.. — ryknął Will.

— Sam słyszałem, jak panna Maud imci Jeffowi gadała... — wyjąkał Pete.

Do Willa chyba nawet nie dotarły te słowa. Niejasne podejrzenia, jakie snuł w południe, odżyły nagle i zmieniły się w pewność, oburzającą i złowrogą.

^{51*} Prewent (ang.) — unik w zapasach lub w walce na pięści.

— Na Rycerza go sobie wybrała?! Patrzajcie ją, Pannę Majową! Za mało jej londyńskich huncwotów było, tu między dziećmiakami myśli przygód szukać?!..

— Wuju, wuju!.. — mitygował zawstydzony Dickon. — Bójcie się Boga, cóż to wygadujecie?.. Jak możecie tak o zacnej dziewczynie...

— Taka ona tam zacna, jak...

— Dalibyście pokój, wuju! To przecież tylko zabawa! I młodszych z Orszaku dziewczęta sobie na Rycerzy wybierają, niby to nie wiecie? — tłumaczył ze zmieszaniem Strzał. — I cóż w tym złego, że Robin od Maud majowy prezent dostanie?..

— Dam ja mu majowy prezent! A jej Rycerza też dam!

— Ale panienska Maud pewnie się chciała tylko odwdzięczyć, bo przecież Robin tak jej wtedy dzielnie na gościńcu bronił!.. — wypalił żarliwie Pete i nagle w przerażeniu zakrył garścią usta.

— Peter!.. — zawołał oburzony Dickon.

Zabrzmiało to tak dziwnie, że rozzłoszczony nie na żarty Will obrzucił obydwóch czujnym, badawczym spojrzeniem.

— A przed kim to jej bronił? — zapytał, siląc się na spokojniejszy ton.

— Ee, nic takiego, wuju! Śpioch plecie, jak to on... — Dickon rzucił na Pete'a złe spojrzenie i z udanym lekceważeniem wzruszył ramionami.

Młynarz jednak nie dał się zwieść.

— Dickon, ty coś wiesz! Gadaj mi zaraz, co to było! Cóż to za jakaś odwdzięka?

— Ale naprawdę nie ma o czym gadać, wuju!

— Słuchaj no, młokosie! Jak zaraz prawdy nie usłyszę, to przestanę zważać na to, że z ambony zlatujesz! — Will groźnie postąpił krok ku niemu. — W ten moment chcę o wszystkim wiedzieć!

Dickon, tak żenująco zagrożony w swym majestacie Wodza Majowego Orszaku i w zrękwinoj powadze — aż się zachłysłnął na widok groźnej twarzy Willa. Obaj ze Śpiochem rzucili na siebie spojrzenia, tym razem jednakowo rozpacziwe, i nie widząc już wyjścia, przerywając sobie i uzupełniając się nawzajem — najogłędniej jak umieli i bardzo chaotycznie przedstawili zdarzenie na notting- hamskim gościńcu.

Will zachwiał się na nogach. Może byłby nawet upadł, gdyby Strzała mimo wszystko nie znalazł w sobie dość przytomności umysłu i puszczańskiej zręczności. Błyskawicznie wetknął z kolei smolak w dłoń rozdygotanego Śpiocha, przyskoczył, podtrzymał i usadowił troskliwie na znajdującym się szczęściem w pobliżu pniaku do rąbania drew.

Młynarz przez chwilę siedział jak odrętwiały. Nagle zdołał widocznie pozbierać myśli.

— Na Imię Zbawiciela!.. — jęknął. — Na Świętą Tróję z Holy Ghost, do cna chłystki rozum postradały! Cóżście uczynili?.. Przeciw komu?! Na Chrystusa Pana, Dickon!.. Toć gdyby ci się strzała wymknęła... albo tobie, Śpioch...

— To byłoby o dwóch normańskich łotrów mniej! — wypalił Dickon, który i tak był wściekły na Śpiocha i na siebie, a w tej chwili odżył mu w myślach obleśny gest, jakim sir de Courtenay sięgnął do warkocza Millie.

Rozwścieczony Will porwał się z pniaka.

— I o trzech saskich durniów!.. — ryknął, aż przerażony Pete schował się za Dickona, któremu, co tu ukrywać, też całkiem nie po męsku zmiękły w tej chwili kolana. — O tym nie myśleliście, że żywot wasz na włosku wisi?.. A nielekką mielibyście śmierć!.. Nielekką!.. Jezus, co z tego jeszcze będzie, bo będzie niechybnie...

— Nic nie będzie, bo przecie do dziś...

— Co do dziś? Roboty wam widać mało, więc się smarkaczom we łbach przewraca i rozboju zachciewa! — grzmiał Will. — Twice The wam się wspomniał, opętańce? Pod nosami wschodzi, a we łbach nie posiane!.. No, już ja się z tym pałkarzem chwackim porachuję, niech tylko do dom wróci! A Dickowi i Jeffowi też powiem, że by wam trochę rozumu tylną stroną nakładli...

— Ale Robin gadał... — zaczął wystraszony Pete. Widząc groźny i wymowny gest Willa, jeszcze mocniej wcisnął się za Strzałę i dokończył niemal z płaczem: — Robin gadał, że oni z tego żadnej sprawy nie uczynią, że im będzie wstyd!..

Speszony do cna Dickon z trudem panował nad sobą.

— Wuju Willu, naprawdę nie macie o co tak się trwożyć!.. Przecież to już było... zaraz... tak, w ten czwartek tydzień minął! No, widzicie, a dotąd nam nic! Myślę, że Robin słusznie gadał: wstyd było milordom przyznawać się przed swoimi, jaką od nas odprawę dostali!.. I... i chyba też nie byli stąd, pojechali w swoją drogę, tyle ich będziemy widzieli! Zobaczycie, nic z tego nie będzie! Dajcie Robinowi pokój, bo chwacko się spisał! I... i tacie też nic nie gadajcie, mało strapien mają?.. — umilkł, bardzo zawstydzony tym, że tyle nagadał, a jeszcze bardziej myślał, że wuj Will z pewnością odgadują przyczynę tej gadatliwości.

— Tak, dajcie Robinowi pokój! — poparł go Śpioch, dla odmiany gotowy narażać własną skórę, byle ocalić „Knighta”. — Dzielnie się z tym baronem sprawił, a dzisiaj z Mattem też!

— Właśnie, mnie bardziej tego strach! — podchwycił Dickon. — Skoro Robin Matta poturbował... a oni z Bifem już od tych zawodów na niego wściekli! Żeby mu tylko jakiej krzywdy nie wyrządzili...

— A już, Robin dałby sobie krzywdę zrobić! — zachnął się Pete.

— Cicho bądź, Śpioch! Wiadomo, że to łajdaki bez sumienia, no i przecież jest ich dwóch!

— Chryste!.. Jezu Chryste!.. — jęknął Will, który przez chwilę słuchał w milczeniu tej bezładnej gadaniny, a może wcale nie słuchał. W każdym razie nagle się ocknął. — Oszaleć przyjdzie z tego wszystkiego! O czym jeszcze usłyszę?.. Jakiś sir de Courtenay, i Matt... i panna Maud!.. — nieoczekiwanie wrócił do tego, co utkwilo w nim najmocniej. — Słuchaj no, Śpioch! A kiedy na Polanę szedłeś, to panna Maud była w gospodzie?

— Nie w gospodzie, jeno w kuchni! Gęsi z Bess piekła, na jutro, na odpust...

— A ty prosto z Polany tu przyszedłeś?

— Jakżeby inaczej? A czemu pytacie, wuju?

Will nic nie odrzekł, bo zrobiło mu się raptem duszno i gorzko. A jeszcze bardziej, gdy Strzała zagadnął niespokojnie:

— A Robin, kiedy wychodził, brał z sobą sevenbold i pas?

Te z pozoru niewinne słowa przyprawiły Willa o dreszcz zgrozy.

Czemu Strzała właśnie o to zapytał? Robin nie brał swego majowego oręża! Przecież miał wrócić z „Trzech Dzików” przed wyjściem na Zieloną Noc! Nie, nie brał majowej zbroi... za to szedł wystrojony jakby już na święto! Po co? „Między ludzi” — tak to tłumaczył, smarkacz! Teraz już wiadomo, o jakich „ludzi” szło!.. Panna Maud! Maud z Londynu!

— Jeśli ich nie zabrał, to może być i tak, że błędzi gdzieś teraz i do dom trafić nie może! — zawyrokował z niepokojem Dickon. — Przecież dzisiejsza noc najgorsza, złych duchów wszędzie pełno! Trzeba iść, poszukać go!..

Urwał nagle i twarz wykrzywiła mu się w mimowolnym wyrazie przerażenia i wstrętu. Will obejrzał się i zobaczył Jake'a, który nadszedł od młyna i przystanął za nim, słuchając, o czym mowa.

— Wuju, chłopaki czekają na nas przy Oaken Plaint! — oświadczył energicznie Dickon, ochłonawszy widać z niesamowitego wrażenia. — Pójdziemy go poszukać. Jeśli go tam jakie deirdrees wodzą, to znajdziemy, nie trapcie się!

Will chciał machnąć ręką, ale sił mu na to brakło. Jeśli Robina istotnie w tej chwili „coś wodzi”, ale nie deirdrees ani huldry, tylko... Boże litościwy, więc Swithin — ojciec Austin — nie próżno przestrzegał?..

— Idziemy, wuju! — oświadczył Dickon robiąc ruch, jakby już chciał biec. Ale w tym samym momencie Will, z trudem nakazawszy sobie jakie takie opanowanie, chwycił go za ramię.

— Dajcież pokój, chłopaku! — wyrzekł schrypniętym głosem. — myślicie nocą po puszczy łązić?

— Albo co? Pierwszozna dla nas? Mało to się przyjdzie nocą za owcami nalatać, gdy poginą?

— Albo jak Haernonnos przyzwie... — zaczął beztrósco Śpioch i umilkł, zdzielony pięścią Strzały pod żebro.

— Nie, nie ważcie się! — głos Willa ochryplł jeszcze bardziej. — Dzisiejsza noc zła, i was co urzeknie!

— Cóż nas urzeknie? Mamy nasze zbroje!

— Nie pójdziecie! — warknął Will. — Robin sam do dom trafi!..

Sam przed sobą nie chciał się przyznać, że mu tych proponowanych poszukiwań — po prostu strach! Ale nie dlatego, że chłopców mogłoby coś urzec. I nie dlatego, że

penetrowanie przez nich ciemnej puszczy mogłoby okazać się bezskuteczne. Dlatego, że jego rezultat mógłby się okazać — nie, lepiej nie myśleć o tym!..

— Idźcie do dom, przecież musicie przed świtem na Polanę wrócić! — rozkazał z wysiłkiem Will.

Było w jego głosie coś takiego, że chłopcy popatrzyli na niego z lękiem, potem spojrzeli znów na siebie, wreszcie bąknęli: — Z Bogiem!.. — i odwróciwszy się, ruszyli ku mostkowi. Will wsłuchiwał się przez chwilę w szelest ich kroków, lekkich leśnych kroków, póki nie ucichły na krańcu kładki. Ogarnęła go jakaś gniewna zawiść. Oni niebawem znajdą się w swych chatach! I cała Majowa Drużyna również! Nikt nie będzie się trapił, gdzie są! Natomiast on, Will...

Podążając na uginających się nogach ku domostwu, usiłował ułożyć sobie w głowie w jakiś sensowny kształt to wszystko, co Przyszło mu posłyszeć. Ale nie potrafił, bo to, co usłyszał, przerastało jego wyobraźnię i siły. Maud z gospody!.. Sir de Courtenay!.. I na dokładkę — Krzywy Matt z Walijszym!

Ach, gdybyż mógł w tej chwili mieć, jak dawniej, pewność, że Robin trwa gdzieś z łukiem na zasiadce! Zawsze gniewał się bardzo o te łowieckie wyprawy, lecz w tej chwili uważałby to za głupstwo, za prawdziwe głupstwo! Jednak to właśnie przypuszczenie nie mogło wchodzić w rachubę. Chłopak nie złamałby przysięgi — no i przecież trwała przedmajowa noc, święta noc Haernonna, którego prawa Robin szanował ponad wszystko w świecie. Za nic nie ruszyłby dziś na szlak, nawet gdyby go żadna przysięga nie wiązała...

Wszedł do chaty, drżącymi rękami zapalił nowe łuczywo i dolał wody do chrzącej ogień misy. Skrzypnęły drzwi. Obejrzał się w porywie radosnej nadziei, ale nie był to Robin, tylko Jake. Nie wiadomo dlaczego przyodziany w swą starą żołnierską opończę z resztkami czerwonego sukienego krzyża, z łukiem na ramieniu, ze swym pobłogosławionym przez papieża mieczem u pasa, w naciągniętym na głowę kapturze — blady i chmurny jak nieme widmo.

— A ty co? — wyszeptał Will. — Gdzie chcesz iść?

Kaleka wyciągnął dłoń ku ciemnej ścianie drzew za Trentem.

— Pójdiesz go szukać?..

Jake skinął twierdząco i stanowczo głową.

— Albo to wiesz, gdzie?.. — jęknął Will.

Niemowa już bez żadnego gestu odwrócił się i wsiąkł w ciemność za progiem. Willa na moment ogarnęło uczucie — jakby ulgi. Dobrze, niechaj szuka! Rozumieją się wzajem jak nikt na świecie. Może Jake zdoła chłopca uchronić od niebezpieczeństwa, gdyby jakieś groziło... A gdyby ujrzał coś, coś... to przecież... nikomu nie powie!..

Na tę myśl znów powróciły gniew i strach. Jak to zwykle bywa w chwilach, gdy wzburzenie i trwoga biorą górę nad rozważą — Will nie dbał o to, że jego podejrzenia mogą być całkiem bezpodstawne, że może nimi i Maud, i chłopca krzywdzić, a nawet ciężko obrażać. Ale właśnie to najmocniej uczepliło się myśli. Swithin ostrzegał!..

Dziedzictwo krwi Fitz-Oothów! Nie znalazła ta krew tamy ani ujścia, wzburzyła się, poniosła chłopaka! Ta krew, którą sir Eric przez pamięć o rycerskiej czci w sobie hamował! I ta krew, za której głosem poszła kiedyś lady Joan Huntingdon, wybierając miłość nad dostatki i wygody ojcowskiego zamku... Tylko że lady Joan nie oddała serca byle chłystkowi! Mogła wybierać wśród najmożniejszych panów, lordów, baronów — wybrała dzielnego młodego pana na Locksley, który za największe swe bogactwo miał prawość i dobroć. Upór i samowolę młodziutkiej lady można zatem uznawać za jej chwałę! Ale Robin? Cóż wie o świecie? Albo to potrafi pojąć, co miłość, a co głupie zauroczenie? Byle czym da się zwieść, puszczański dzikus! A Maud w Londynie na pewno niejednego nauczyć się zdążyła...

Na Majowego Rycerza go wybrała! Z wdzięczności! To na gościńcu miało miejsce przed dziewięciu dniami, w czwartek, jak mówił Dickon... No właśnie, przecież od tamtego czwartku łąził jak otumaniony i wszystko mu z rąk leciało!.. Od razu był taki, gdy z kuźni od Jima wrócił! To się musiało stać, gdy stamtąd wracał... Czemu, u licha, gościńcem szedł, nie jak zwykle — lasem? Mniejsza o to, przecież to nieważne już teraz! Z wdzięczności... Rycerz Majowy, co jeszcze mokro pod nosem ma! Też miała kogo sobie wybrać, londyńska przybłęda. Dickon powiada: zacna dziewczyna. Jaka tam zacna, zalotnica i tyle! Karczmarzski wycieruch, pusty łąb!

A szesnastoletniego smarkacza łątwa otumanić. Jeszcze będzie rad i dumny, że go dorosła pannica sobie upodobała. Ugaszczała go w gospodzie! I on na to przystał, zamiast odmówić albo podziękować, jak by przystojność nakazywała! Co po psie w kościele, co po gołowąsie w gospodzie? Może on już z tą chęcią tam szedł, skoro tak się wymuskał? Może już wcześniej się zmówili?

I co z tego „ugaszczania” w gospodzie wyszło? Bijatyka z Mattem! Dowiedzieli się ludzie, jak Will Rzetelny chłopaka chowa. Na awanturnika, na obwiesia na lepszego od Matta! Dotąd gadano, że Robin taki ułożony i skromny, że wszyscy chłopcy przykład mogą z niego brać, że nie darmo go „Knightem” przewano! Wiadomo teraz, jaka to układność! Jaki z niego knight!

Will gniewnie odtrącił stółek, który znalazł się na jego drodze, i nerwowym krokiem począł krążyć po izbie.

Przyszło mu do głowy, by obudzić Agnes, zwierzyć się ze swych udręk. Niechby nawet do zwady doszło — byle nie czuć się tak samotnym i bezradnym w tej samotności!.. Powstrzymał się jednak. Cóż tam niewiasta zrozumie? We wszystkim kieruje się tylko sercem, a gdy jeszcze to serce do cna miłością zaślepione... Agnes na Robina słowa rzec nie da, na wszystko wytłumaczenie znajdzie, wszystko wybaczy...

I w stosunku do żony Will nie był w tej chwili sprawiedliwy. Tak, Agnes obu chłopców kochała ogromnie. Dla Mucha bywała czulsza, jako dla młodszego i z racji

prostoduszności — potrzebującego tkliwej macierzyńskiej opieki. Natomiast Robin stanowił dla niej prawdziwą chlubę. Wprawdzie nigdy nie zdradzała się z tym przed nim, ale przed Willem — bardzo niechętnie dającym temu ucho — i przed każdym, kto tylko chciał słuchać, lubiła się rozwodzić nad pięknnością swego starszego, nad jego roztropnością i wszystkimi zaletami ciała i duszy. Ale przy tym wszystkim — w niektórych sytuacjach potrafiła panować nad ową bezgraniczną matczyną miłością. Gdy któremuś z synów zdarzyło się naprawdę zasłużyć na ojcowski gniew, Agnes nie wtrącała się, pozostawiając rzecz sumieniu i męskiej ręce małżonka. Choć później długo nie kryła rozżalenia...

Natomiast zawsze stawiała w ich obronie i orędowną zaciekle, gdy w jej przekonaniu działa im się krzywda. Will wspomniał teraz właśnie to i gniewnym wzrokiem rzucił na rogożę, osłaniającą ich małżeńską komorę. Tak, niech lepiej Agnes śpi! I oby się nie zbudziła, kiedy nocny włóczęga wróci!

Dlaczego wciąż go nie ma?.. Co teraz czyni? Gdzie jest? Jak z nim gadać, kiedy się wreszcie zjawi? A po cóż gadać — od razu rzemień odpasać! Już dawno w robocie nie był, dlatego smarkaczowi głupstwa we łbie!

W tym momencie Will przysiągł sobie solennie, że nie pożałuje ręki, kiedy Robin wróci. Nie weźmie się do roztrząsania włóczykijowi sumienia, o nic nie zapyta, nawet słowa jednego nie powie! Od razu za kark złapie, przez kolano przełoży, kaftan podwinie — i zerznie skórę tak, że smarkaczowi na wieki wieków odechce się łożenia po nocy! I rycerskich turniejów na gościńcu, i Majowych Panien, i biesiadowania w gospodzie, i awantur z Mattem. Wszystkiego mu się odechce!

Ale już w następnej chwili serce ścisnęła przeraźliwa trwoga. Tak ma być, gdy Robin wróci! Lecz jeśli... nie wróci? Boże miłosierny, on tu chłopcu lanie obiecuje, nie wiedząc, czy jeszcze żyw!

Na wyszce zaszeleściła słoma. Will podniósł głowę. Much, zwieszony prawie połową ciała z żerdeń, tarł pięściami zaspane oczy.

— Tato... Robina jeszcze nie ma?..

— Śpij! — warknął ostro młynarz.

— Ale długo się bawia! — Much westchnął zazdrośnie.

— Śpij, słyszałeś?

— Wiecie, tato, kiedy będzie moja Zielona Noc... — zaczął Much. __

— Śpij, bo jak cię tu ściągnę na dół, będziesz miał dopiero Zieloną Noc!

Much w popłochu odczołgał się między skóry.

Will podszedł do drzwi, otworzył je cicho i stanąwszy na progu, nadśluchiwał. Ale oprócz plusku Trentu i monotonnego, groźnego śpiewu puszczy nie słyszał nic. Znów trwoga ścisnęła serce jak katowskie obcęgi. Zamknął drzwi i powrócił do bezmyślnej wędrówki po izbie. A jeśli na próżno czeka? Jeżeli naprawdę stało się coś strasznego? Jeśli już nigdy nie ujrzy swego chłopca?

Will nie posiadał zbyt lotnej wyobraźni i zazwyczaj myślał przyziemnie i trzeźwo. Jednakże gdy szło o Robina — młynarska imaginacja nieraz przekraczała wszelkie granice. Dawniej, gdy chłopcu udawało się czmychnąć do Sherwood i przebywać tam przez czas dłuższy — ileż to razy Will oglądał go oczyma duszy leżącego na jakiejś odległej, nie do odnalezienia polanie, z woodguardowskim bełtem w plecach! Widział zaszklone śmiercią ciemne oczy i zakrzepłą na zsiniałych wargach krew... A kiedy indziej wyobraźnia podsuwała widok równie straszny: Robina idącego pośród strażniczych koni, ze związanymi w tył rękami, z narzędziem zbrodni — łukiem — zawieszonym na szyi... Z wyrazem bezradności i dziecinnej trwogi na twarzy... Zaś gdy zdarzyło się to najpotworniejsze, z Simonem z Mirfield... Przez długi czas dławiała serce nocna z mora, że to nie Puchacza, lecz jego „Knighta"! Ręka jego chłopca! Oczy! Brunatnozłote oczy lady JoanL Każda z tych wizji była tak koszmarna i tak przeraża-

jąco rzeczywista, że nieszczęsny młynarz drętwiał ze zgrozy i szeptał, jakby już się stało: „Nie upilnowałem, sir Eric, nie zdołałem...”

Z tym jednym był już spokój! Chłopak przysiągł — i choć niewątpliwie było mu ciężko, dotąd przysięgi święcie dotrzymywał. Aż tu nagle okazuje się, że są sprawy gorsze i groźniejsze, niż kłusowanie w Sherwood!

Jakiś sir de Courtenay! Robin — jak gadali chłopcy — mówił, że pysznym rycerzom wstyd będzie o tym gadać i pomsty szukać. A Dickon uważa, że za daleka ciągnęli i że nie ma ich już w tych stronach... Któż to wie? Bo to oxfordzki wilczkom wiadomo, do czego „oni” zdolni? Will wiedział — wiedział aż nazbyt dobrze! Normanńscy panowie nie zapominają zniewag, nie znają miłosierdzia ani pobłażania. Oni przecież wydali straszne prawo „toti pro unum”⁵² — prawo, na mocy którego za zniewagę jednego z nich, najeźdźców władających Wyspą, wolno karać śmiercią całą saską wieś, całą gminę! Wolno, jeśli nie znajdzie się sprawcy... A nawet gdy sprawca wiadomy, ich okrucieństwo nie zna granic! Jakież los spotkał ukochane Locksley? I nie tylko Locksley?..

Będą się wstydzili, a jużci! Przecież już tam, na gościńcu, chcieli... Boże miłosciwy, toć ten giermek mógł zatłuc chłopców na śmierć! I zrobiłby to niechybnie, gdyby nie ich odwaga i zręczność! Ale któż przyzna im rację? Sasi nie mają prawa się bronić! Ten sir de Courtenay z pewnością nie daruje. Może... może właśnie dziś ktoś Robina rozpoznał? Może go schwytano? Może właśnie teraz chłopak wije się z bólu i wzywa pomocy Boga i Willa, a tu nic pomóc nie można, choćby człowiek oszalał? Cóż warte jest życie biednego saksońskiego dzieciaka?..

A to wszystko — przez Maud z Londynu! Obrońca się znalazł! Rycerz, o Arturowych prawach jaśnie panów pouczający! I... jej Majowy Rycerz! Jeżeli... jeżeli Ro-

⁵² *Toto pro unum (łac.) — Wszyscy za jednego.

bin znajduje się w tej chwili nie w lochu (Chryste Panie!..) lecz gdzieś w lesie z Maud?.. Jeżeli za jej przyczyną zapomniał o chłopięcej uczciwości?..

Tu znów wyobraźnia zerwała wędzidło i podsunęła Willowi nowy wstrząsający obraz. Zobaczył Robin stojącego na kamiennym podwyższeniu dziedzińca w Holy Ghost, ze szkarłatnym znakiem na piersi, z pochyloną głową, z której na znak hańby ścięto do skóry piękne, bujne, brązowordzawe włosy — tak bowiem karano młode głowy za lekkomyślną i przedwczesną, nie uświęconą sakramentem utratę sevenbold. Tym — i publiczną chłostą... Syn bohaterskiego sir grica Fitz-Ootha — na takim miejscu, w takim pohańbieniu i wzgardzie! A co potem? Potem — tylko rzucić młyn i Oxton, i wynieść się gdzieś na koniec świata! Ludzie zadreczyliby ozorami na śmierć, j Robina, że zhańbił swą młodzieńczą cześć, i Willa, że nie upilnował! A Swithin... ojciec Austin... Boże, wprost myśleć strach!

A Krzywy Matt i Bif-Walijczyk? Jezu najśłodszy, jeszcze i oni! Może Strzała słusznie przewidywał? Może naprawdę zaczaili się gdzieś na chłopca? Niby Robin odważny, zręczny i szybki, łatwo sobie krzywdy zrobić nie da — ale tych zbójów jest przecież dwóch i znają różne sposoby! Mogli naskoczyć z nienacka, zdławić, ogłuszyć! Mogli ścięgnąć w rękach poprzecinać, zmiażdżyć palce!.. I co — cudu bożego teraz wyglądać? Po cóż się ten chłopak w zwadę z nimi wdawał!..

Drobne węgielki z wypalonego już do trzech czwartych łuczywa z sykiem spadały w wodę. Tylko ten nikły syk mącił głuchą, nocną ciszę. On — i oddech śpiącego na wyszce Mucha. Sam nie wiedząc, po co to robi, Will wyjął resztę smolaka z obręczy i zniżając go dla bezpieczeństwa, wspiał się ku wyszce.

Co rano tak się wspinał i co rano widział to samo. Dwie nagie chłopięce postacie, skulone lub rozciągnięte bezwładnie wśród zmierzwionej słomy i skopanych baranic. Przed zaśnięciem tarłosili się bowiem i kotłowali tak długo, aż jeden i drugi padł gdzie bądź i byle jak. Jedna buzia jeszcze dziecięca, pyzata, nawet we śnie nie bardzo roztropna, z roztrzepanymi wokół lnianymi kędziorkami — druga wyrzeźbiona już w

delikatne młodzieńcze rysy, z ciemnym meszkiem nad rozchyłonymi malinowymi wargami, z półkolami długich rzęs na smagłych policzkach, wśród gęstwiny rdzawo-brunatnych włosów rozrzuconych po owczym runie. Obie jednakowo zarumienione od mocnego snu, jaki daje tylko ciężka praca — i młodość...

Willa nigdy nie wzruszał ten widok. Był dla niego czymś powszednim, zwyczajnym. Często go nawet złościł, zwłaszcza gdy zdarzyło im się zaspać. Budził bez litości, burcząc, że słońce już nad puszcza na chłopca, a robota czeka!

Ale teraz na wyszce spał tylko Much, legowisko obok niego było przerażająco puste! Boże miłosierny, jakież Will czułby się szczęśliwy, widząc na nim w tej chwili i swego starszego! Choć nie rodzony, ale przecież — ukochany! Ręki na niego nie podniesie, jednego słowa złego nie powie — niech tylko wróci cały i zdrow!.. Robin, najmiłszy, najdzielniejszy, najlepszy chłopak na świecie! „Knight”, radość i duma ich obojga, Agnes i Willa!.. Jedynek sir Erica Fitz-Ootha... Oddany Willowi w ojcowską opiekę — a on, Will, nie potrafił go uchronić i ustrzec!

Zatrząśł się całym ciałem i zlął niezdarnie na dół. Znów podszedł do drzwi, otworzył je i stanął na progu. Powiew nocy targnął płomieniem łuczywa, w ciemność za progiem sypnęły się iskry. Jak z pochodni... w pogrzebowym orszaku... Albo z tych, palonych o zmroku nad mogiłami w All Saints *⁵³ Day, na znak więzi pomiędzy duszami zmarłych i żyjących...

— Sir Eric! — Will ze zduszonym, ochrypłym szlochem przypadł do ściany. — Lady Joan!.. Oredujcie u Boga, ratujcie! To przecież wasz jedyny, najmiłszy!.. I mój!.. Sir Eric!.. Lady Joan!..

Odpowiedział mu monotony, posępny śpiew puszczy.

⁵³* All Saints (ang.) — Wszystkich Świętych

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Uciekinierzy

— Migasz się!..—

Nagły, bliski, drwiący okrzyk wyrwał „Knighta” z odrętwienia. Podniósł głowę, z trudem rozchylił ciężkie jak z ołowiu powieki i rozejrzał się niespokojnie. Któż to krzyknął? Chyba nie sir Twice, bo siedział nieruchomo z głową zwieszoną na piersi, wsparty o pień, pod którym umieścił go Robin. Pewnie znów zapadł w gorączkową drzemkę. Więc jeśli nie on, to kto? A może jednak on? Znów majaczy...

„Szirrrrk..!” — powtórzył się w ciemności cichy okrzyk i coś miękkim, bezszelstnym lotem przemknęło tuż obok twarzy. Robin uśmiechnął się z pogardą dla własnej głupoty. Przecież to lelek, zwyczajny lelek! W gonitwie za nocnymi owadami wydał swe warczące hasło, które — zwłaszcza w półsennym otumanieniu — mogło zabrzmieć jak wyrzeczony w ludzkim języku, języku Wyspy drwiący wyrzut. A może istotnie nim jest? Może sir Sherwood chce w ten sposób przypomnieć, że jeśli się coś przyobiecało, wzięło na siebie powinność — to nie wolno „migać się”, tylko trzeba ją wypełnić do końca! Nie można zasypiać, trzeba zebrać siły i iść dalej!

Z trudem oderwał się od pnia, o który wspierał obolałe plecy i głowę, w której czuł nieznośny szum. Pień wydawał się miękniejszy od najmniejszego stogu siana. Gyby tak można było posiedzieć dłużej... albo po prostu rzucić się w trawę i spać, spać! Nie wolno jednak. Jeszcze kawał drogi przed nimi...

Wstał i na uginających się ze zmęczenia nogach ruszył do strumyka, który bulgotał nie opodal. Przez zamroczoną głowę przemknęła znowu myśl, która często się pojawiała w czasie tej wędrówki: jak dobrze, że sir Sherwood jest tak bogaty w wodę, w potoki, strumienie i źródelka! Sir Twice tak często chce pić... Chociaż z drugiej strony — mogłoby być tej wody mniej, bo właśnie dlatego pełno w puszczy bagien i moczarów, strasznych jak Shivery Marsh, które niedawno przebyli. I jeszcze straszniejszych!.. Dobrze, że choć to już za nimi...

Napił się wody ze stulonych dłoni, ochlapał twarz i głowę. Plecy bolały, jak stłuczone najsromotniej w walce na „bonnies”, kaftan był wilgotny od potu, a nogi aż do bioder oblepiała wstrętna, bagienna maź.

Zmoczył w strumyku płócienny gałgan i nabrał wody do zwiniętego z kory kubka. Przyklęknawszy przy rannym, którego twarz majaczyła w ciemności białą plamą, ostrożnie położył mokrą szmatkę na jego czole. Sir Twice niespokojnie poruszył głową.

— Deszcz... — wymamrotał bez sensu. Ale zaraz zapytał wyraźniej i przytomniej: — Robin?..

— Ja, sir Twice! — „Knight” uniósł lekko jego głowę i przysunął kubek do warg. Uciekinier wypił chciwie wodę i odetchnął głęboko.

— Chcecie jeszcze? — zapytał szeptem chłopiec.

— Nie, wystarczy. Gdzie jesteśmy?

— Minęliśmy to pogorzelisko z roztrzaskanym dębem. Niedługo dojdziemy do Plane's Glade...

— Po drodze do Plane's Glade nie ma żadnego pogorzeliska!

— Jest, sir Twice. Tylko wy go nie możecie znać, bo ta burza i pożar były chyba ze trzy lata temu! — wyjaśnił Robin.

Twice The z trudem odsunął się od pnia, podpierając rękami.

— Więc przeszliśmy już Shivery Marsh?.. — zapytał ze zdumieniem.

— Jak to, nie pamiętacie tego? — zdziwił się również „Knight” i prawie przestraszył. — Przecież wyciągnęliście mnie, kiedy wpadłem w błoto! Gdyby nie wy, byłbym się na pewno utopił... A potem już do końca moczarów szliście sami, wcale nie trzeba było was podierać...

— Naprawdę tak było?!

Gdyby nie szczere niedowierzanie z głósie sir Twice'a, Robin pomyślałby z pewnością, że jego towarzysz kpi — choć nie byłaby to kpina ani wesoła, ani stosowna w tej chwili. Widocznie jednak Twice The naprawdę niczego nie pamiętał z tej strasznej przeprawy. Dziwne — bo przecież sprawiał się podczas niej jak najzdrowszy, najprytniejszy człowiek, choć jeszcze krótko przedtem zwiślał bezwładnie na plecach „Knighta”, raz po raz rozplatały mu się w gorączkowej nieświadomości ręce i mrucał jakieś słowa bez sensu i związku. Nagle wymówił głośno, mocno i wyraźnie: „Prowadź, Eric!..”

Robin był tak przygnieciony jego ciężarem, tak zmęczony, tak napięty przy ostrożnym stawianiu stóp na uginającym się pod każdym stąpieniem, cmokającym groźnie i wstrętnie kozuchu rzęsy i liści, tak przerażony myślą, że lada chwila nad moczarami zapadnie całkowita ciemność, a oni nie zdążą ich przejść do końca — że nic go nie obchodziło i wcale nie słuchał bredzenia rannego. Ale te słowa dosłyszał przez własny zdyszany oddech. „Prowadź, Eric!..” Przez głowę przemknęła myśl: „Mówi do niego, do swojego wodza... do sir Erica Fitz-Ooth'a z Locksley...” I nieoczekiwanie dla samego siebie — wyszeptał sam: „Pomóżcie, sir Fitz-Ooth!..”

Wtedy stała się ta okropność! Gruby kozuch rdestnicy, splątanych konków olch i nawarstwionych przez lata zbutwiałych liści — pękł pod stopą, aż lepkie błoto trysnęło na twarz. Z ust wyrwał się krzyk przerażenia. Robin stracił równowagę i zapadł aż

po uda w grząską lepkość. W tym momencie sir Twice błyskawicznie zsunął się z jego pleców, gwałtownym szarpnięciem przewrócił się na wznak i natychmiast, ująwszy pod pachy, tak samo ostro pociągnął ku sobie, wyrывая z topieli.. Wziął chyba tę świadomość i siłę z jakichś Bogu tylko wiadomych zasobów, nie mieszczących się w ludzkich rachubach i pojęciach. A potem — stanął o własnej mocy, wyprostowany i czujny.

— Idź za mną! Dokładnie za mną, krok w krok! — rozkazał szorstko.

A na twardym już gruncie, po przejściu Shivery Marsh — zachwiał się nagle i upadł bez przytomności. Robin musiał wlec bezwładne ciało aż tu, poza pogorzelsko...

— Zmęczony jesteś? — zapytał w tej chwili sir Twice.

— Nie... — szepnął chłopak, ale uczciwość kazała mu dodać: — Nie tak bardzo...

— Teraz znów spróbuję iść sam! — w ciemności przyciszony głos Twice'a The brzmiał obco i głucho. — Nie martw się, najgorsze już za nami.

— Tak, sir Twice.

— Na Plane's Glade znowu odpoczniemy. A z tobą jak? Miałeś spokój, kiedy drzemałem? — w głosie sir Twice'a zadźwięczała nutka lekkiej kpiny. — Deirdrees i huldry nie zapraszały cię na przechadzkę?

Robinowi zrobiło się bardzo niemiło. Gdyby tych słów nie wyrzekł Władca Sherwood — uznałby je za obrazę puszczańskich bóstw, prawie za bluźnierstwo! Ale jeśli sir Twice'owi nie strach... Władcy wiele wolno, nawet nie bać się złych leśnych mocy! Dobrze, że jest przytomny. Chociaż z pewnością byłoby jeszcze lepiej — dla nich obu — gdyby tak nie żartował, będąc przytomnym!

— Miałem spokój! — odparł krótko i przypomniał sobie rozmowę, do której doszło podczas ich drugiego z kolei odpoczynku. Sir Twice'owi gorączka nie mąciła jeszcze wtedy tak bardzo myśli. Wypytywał o różne sprawy, o upodobania i umiejętności Robina — i to było bardzo przyjemne. Ale potem rozmowa zeszła na mniej miły temat.

Siedzieli blisko siebie, wsparci o pnie, tak jak teraz. Gałęzie drzew i krzaków znieruchomiały już, gotowe do zagarnięcia w siebie nocnej ciemności. Ptaki, które jeszcze szukały noclegu, porozumiewały się przyciszonymi, lęklivymi głosami.

— W domu będą się niepokoić o ciebie! — zauważył sir Twice.

— Pewnie będą! — potwierdził Robin, starając się mówić niedbale i bez troski.

— Nie boisz się? W twoim wieku trzeba na noc do domu wracać!

— Nieraz nie wracałem.

— Wtedy, gdy polowałeś?

— Aha!.. Czasami i tydzień wypadło za tropem iść...

— Rozumiem! — głos sir Twice'a zdradzał rozbawienie — No i co, uchodziło ci to na sucho?

— Nie zawsze! — wyznał niechętnie Robin. — Przeważnie wuj pasem mnie witali!

— A jeżeli i teraz tak cię przywitają?

— No to co? Wytrzymam. Nie pierwszy raz.

Sir Twice The spojrzał na niego spod oka i uśmiechnął się lekko.

— A ostatni raz był kiedy? — zagadnął, nie kryjąc już wesołości.

— Dawno, jeszcze zimą! — odparł trochę urażony Robin. — Zastrzeliłem wtedy szpicaka...

— Szpicaka?

— Ale nie myślcie sobie, sir Twice, że lepszych nie dostawałem! — „Knight” obraził się jeszcze bardziej. — Sir Sherwood zdarzył mi już osiem bardzo pięknych! A jesienią zeszłego roku dostałem dwunastaka! — wymówił to bardzo dumnie. — Tego szpicaka wcale nie liczę, bo to był w dodatku i myłek. Miałem pecha...

— Nie martw się, następny znów będzie piękny!

— Nie będzie następnego! — oświadczył chmurnie Robin, przejęty nagłym żalem.

— A dlaczegoż to? — zdziwił się sir Twice.

— Bo mi nie wolno. Przysiągłem wujowi na Najświętszą Krew Zbawiciela, że póki oni będą żyli, to ja już nie ustrzeżę niczego, co królewskim prawem zakazane! Bo takiemu jednemu z naszych stron woodguardy za rogacza... — Robin urwał i wzdrygnął się. — I wuj po tym szpicaku... — znowu urwał i dokończył prędko: — Więc przysiągłem, i teraz wuj już nie muszą się o mnie bać!

Chciał wyrzec to bardzo pewnie, lecz głos zadźwięczał mu takim żalem, że sir Twice znów przyjrzał mu się uważnie, ale już bez uśmiechu. Skinął głową i zapytał rzeczowo:

— No, to jak się w domu wytłumaczysz? Skoro przysiągłeś, nie możesz wujowi powiedzieć, że na łowach byłeś!

„Knight” mimo woli przełknął ślinę. Dotąd nie zastanawiał się bowiem, co powie po powrocie, jak wytłumaczy swoją nocną nieobecność. Kiedy stanie przed wujem, padną surowe pytania, na które nie będzie można odpowiedzieć... nie dlatego, że uzmysłowią własną głupotę, nieposłuszeństwo i lekkomyślność — jak dotąd bywało

— lecz dlatego, że nie wolno będzie odpowiedzieć! Nie wolno rzec słowa o sir Twisie, bo — też wiąże przysięga! A wuj po kilku pytaniach... nie, po co już teraz o tym myśleć!

— Obawiam się, że będzie z tobą kiepsko! — stwierdził sir Twice The.

— Nie, dlaczego? Coś tam wymyślę! — Robin wysilił się na niedbały ton. — A na łowy to bym i tak nie mógł pójść, nawet gdybym wujowi nie przysiągł. Przecież dziś Zielona Noc i Haernon- nos nie pozwala...

Twice The drgnął gwałtownie.

— Zielona Noc... — powtórzył dziwnym, nieswoim głosem.

— No tak, przecież jutro „Maj”! — zapewnił zdziwiony Robin.

— „Maj”... — powtórzył znowu sir Twice. — Sir Sherwood powitał mnie akurat w noc „Maja”!... Straciłem rachubę czasu... — nagle spojrzał na chłopca z jakimś ciepłym blaskiem w oczach. — Przecież ty jesteś „Rycerzem!” I nie poszedłeś na Zieloną Noc?..

— A cóż to znaczy? — „Knight” mężnie wzruszył ramionami.

— Doprawdy przykro mi, chłopcze. Chyba nie miała to być twoja pierwsza w życiu?

— Skądże znowu! — Robin zarumienił się z przykrości. Czyżby naprawdę wyglądał na smarkacza, mającego po raz pierwszy przeżywać „zielone” katusze? — Skończyłem szesnaście lat! Nie pamiętacie, żeście mnie już o to pytali?

— „Kto sześć ukończył po dziesięciu, niech da początek przedsięwzięciu!.. ” — wyrecytował sir Twice z uśmiechem, ale jednocześnie z takim wzruszeniem i jakby nawet smutkiem w głosie, że „Knight” zapomniał natychmiast o urazie. Jakby to prastare saskie zaklęcie zadzierzgnęło pomiędzy nim a towarzyszem jeszcze mocniejszą, serdeczniejszą więź. I nagle uprzytomnił sobie, że przecież... Do tej chwili wcale o

tym nie pamiętał! To zakłęcie mu przypomniało! Sięgnął ręką do czoła i z lekiem rzucił oczyma po mroczniejących zaroślach.

— Co się stało? — zaniepokoił się sir Twice.

— Jeszcze nic... ale może się stać! Ja nie mam mojej sevenbold i majowego pasa, a zaraz noc zapadnie! — szepnął zatrwożony „Knight”.

W błyszczących z gorączki oczach sir Twice'a zaigrało to samo ciepłe światło, co przed chwilą. Uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.

— Nie bój się „Rycerzu”. W Sherwood nie Old Nick, nie huldry i deirdrees są groźni, tylko ludzie, źli ludzie! — rzekł spokojnie. — I tylko ludzi trzeba się strzec!

— To duchów nie ma? — Robin spojrział na niego nieufnie i na wszelki wypadek niedostrzegalnie splunął przez lewe ramię.

— Pewnie są, ale ja nigdy żadnego nie widziałem i żaden nie wyrządził mi najmniejszej przykrości, choć spędziłem w Sherwood dziewięć lat, nim mnie schwytali... Całe dziewięć lat, od śmierci Fitz-Ootha!.. — zamyślił się na chwilę, ale zaraz podjął: — Wierz mi, Robin, nie ma potrzeby bać się leśnych mocy. A ty i przeciw duchom, i przeciw złym ludziom posiadasz o wiele mocniejszy oręż niż sevenbold i leafy-girdle!

— Jaki? — zdziwił się szczerze Robin.

— Odwagę, prawość, dobroć i niewinność! — odparł spokojnie sir Twice, znowu tak, jakby stwierdzał oczywistą rzecz. — Nosisz sevenbold, nawet gdy nie przewiążesz nią czoła! Pójdziemy już chyba, co? — wyciągnął zdrowe ramię ku chłopcu, żeby wesprzeć się na nim i wstać.

Robin rozważał te słowa, dopóki miał siły myśleć. Ale w miarę przebywanej drogi sił zaczynało brakować coraz bardziej, a chwilami zupełnie odmawiały posłuszeństwa. Najgorzej było wtedy, gdy sir Twice szeptał przez zaciśnięte zęby: — Tylko trochę... — i to znaczyło, że trzeba podstawić plecy, bo rannemu brakło mocy i nie da

radę suwać nogami. Oddech już po kilku krokach zaczynał rwać się i chrypieć z wysiłku, plecy i dół brzucha bolały okropnie. Robin marzył nieprzytomnie, żeby jakimś cudem zjawił się wuj Will i żeby rozkazał ostro, jak to miał w zwyczaju: — Połóż mi to zaraz, jeszcze ci czas takie dźwigać!..

Ale wuj się nie zjawiał, a trzeba było iść, żeby choć o szarówce Pokonać bagna Shovery Marsh...

Twice The najwidoczniej czuł się coraz gorzej. Oddychał coraz głośniejsze i cięższe, a ciało miało tak gorące, że wprost parzyło plecy Przez przeпоcony kaftan. Ale jeszcze był przytomny i nim weszli na bagna, nakazał odpoczynek.

— Możemy nie przejść za widna! — ostrzegł zaniepokojony Robin.

— Przejdziemy. A nawet jeśli noc nas zaskoczy... Jest taka śpiewka: „My z sherwoodzkiej dąbrowy widzimy nocą jak sowy!..” — roześmiał się sir Twice, choć łatwo było się domyślić, że ze wszystkich sił stara się przemóc gorączkę i słabość. — Znasz ją?

— Znam.

— To zaśpiewaj, jak tam dalej idzie!

— Po co? Znam ją na pewno! — burknął zmęczony Robin.

— Ale ja chcę wiedzieć, czy umiesz śpiewać.

— Sir Twice, myślę że teraz nie pora na śpiewanie...

— Na śpiewanie zawsze jest pora. A skoro ci każe, to musisz słuchać, jak wszyscy moi ludzie!

— Ja nie jestem waszym... — zaczął „Knight” tak zmęczony i zniecierpliwiony, że zabrzmiało to prawie bezczelnie.

— Jesteś! — przerwał surowo sir Twice. — Teraz jesteś taki sam fugitive jak ja! Gdyby nas ujęto, zginęlibyśmy razem albo razem poszli do lochu!

Robin oniemiał. Zapomniał o zmęczeniu. Dotąd ani przez moment nie powstała mu w głowie podobna myśl. A przecież było to zupełnie oczywiste! Z chwilą, gdy zdecydował się pomóc sir Twice'owi i podjął się tej strasznej z nim wędrówki — stał się fugitive'em, uciekinierem, banitą jak on! I rzeczywiście był teraz „jego człowiekiem"! Ta myśl, ta pewność ogarnęła serce dziwnym, złożonym uczuciem — i ogromnej dumy, i wielkiej radości, i łaskoczącego w dołku lęku...

— No, śpiewaj! — ponaglił szorstko sir Twice.

; Robin odkaszlnął i zanucił zgęstniałym ze zmęczenia głosem:

My z sherwoodzkiej dąbrowy,

Nonny-no! Nonny-no!

Widzim nocą jak sowy!

Nonny-nonny-no!

W pogotowiu trzymaj luk, trzymaj luk,

Gdy przestrzega sowy huk, .

—Nonny-nonny-no!..

— Nieźle śpiewasz! — stwierdził sir Twice.

— Tak sobie. Gdybym był mniej utrudzony...

— Śpiewać można i przy największym trudzie. To jest lekarstwo na każdą słabość, a nieraz i oręż w walce. Nieraz piosenka godzi mocniej niż grot, a to nasze saskie „nonny-no", to dla nich grot zatruty! Wiesz, że tak śpiewali ci, którzy się pod Ha-

stings w niewolę dostali? A gdy się Wilhelm w pustej katedrze koronował, to cały Londyn śpiewał: „Nonny-no!..” I do dziś się takiego śpiewania boją, oni, najeźdźcy!

— Boją się piosenek? — zdumiał się Robin.

— I jeszcze jak się boją! — zapewnił sir Twice.

— No, to dobrze, że tyle ich znam! — oświadczył „Knight”, który dotąd często się w głębi ducha wstydził, słysząc koleżeńskie podrzewania ze swych upodobań do śpiewek i ballad.

Sir Twice The przyjrzał mu się uważnie.

— Chcesz, to cię nauczę jeszcze jednej? — zapytał cicho.

— Ale... mrok już zapada! — Robin niespokojnie spojrzał w niebo.

— To jest bardzo krótkie. I nawet nie piosenka, te słowa się mówi. Posłuchaj!

Sir Twice zniżył głos jeszcze bardziej i wygłosił powoli i dobitnie:

Póki choć jeden szumi dąb,

Póki cal mierzy Trentu głąb,

Dopóki chociaż jeden z nas

Nakłada kaptur, idąc w las,

Dopóki strzały ma i luk —

Nie będzie Wyspą władał wróg!..

Robin przez chwilę siedział jak skamieniały. Każde z tych słów zdawało się trafić wprost do serca.

— Boże!.. — ocknął się nagle. — Jak to było?.. „Póki choć jeden szumi dąb...” Sir Twice!.. Powiedźcie to raz jeszcze!

Sir Twice The powtórzył, równie wolno i mocno jak przedtem. Robin poruszał wargami, powtarzając każde słowo i wbijając je sobie w ten sposób w pamięć. A kiedy Władca Sherwood skończył — chłopak powtórzył cały tekst, raz tylko się zająknąwszy.

— Będziesz pamiętał? — zapytał z powagą sir Twice.

— Nigdy nie zapomnę!

— Ale nie powtarzaj tego nikomu. To jest obietnica sir Fitz-Ooth'a, nasza obietnica! I na razie stanowi nasz największy sekret, który można powierzać tylko godnym i wybranym!

— To ja jestem... — zachłysnął się nieprzytomny ze szczęścia „Knight”.

— Musimy iść, bo istotnie się ściemnia! — stwierdził ze spokojem sir Twice.

Teraz jednak Robin nie miał możliwości roztrząsania słów obietnicy sir Fitz-Ooth'a ani zastanawiania się nad tym, co Twice The powiedział w formie komentarza do niej. Weszli bowiem na moczary i rozpoczęła się ta straszliwa, omal nie zakończona nieszczęściem przeprawa...

— Mógłbym dostać jeszcze wody, Robin? — głos rannego przerwał chłopcu myśli.

Kiedy powrócił z kubkiem, sir Twice poprawiał coś w ciemności przy swym opatrunku.

— Zsunął się trochę! — wyjaśnił. — Byłoby kiepsko, gdybym znowu zaczął krwawić.

— Starczy wam sił, sir Twice? — zapytał z niepokojem Robin. Na myśl, że może znów trzeba będzie dźwigać ciężkie, bezwładne ciało, ogarnął go lęk.

— Przypuszczam, że tak! — Twice The wypił wodę i oddał „Knightowi” kubek.
— Szkoda, że to nie wino, dodałoby sił nam obu. Nie starczyło mi czasu w tej gospodzie. Zresztą tam właśnie chciałem się zatrzymać, ale Tom Sowa już w grobie...

— Tak, teraz trzyma ją Jeff z Londynu! — potwierdził trochę zmieszany Robin.

— Nie znam go, nie chciałem, żeby mnie zapamiętał.

— To nie jest zły człowiek. A jego córka... — chłopiec urwał nagle.

— Ta śliczna Maud, co? Wygląda na dobrą dziewczynę! — Twice The spojrzał na niego. Chyba uśmiechał się w ciemności, a w głosie znów słychać było rozbawienie. — Wybrała cię na Majowego Rycerza? To nie byle co, wiesz!

Na Robina jakby kto chlusnął wrzątkiem. Uprzytomnił sobie, że przecież sir Twice był świadkiem „ugaszczenia go” przez Maud, zajścia z Mattem, że słyszał wszystko — i Bóg jeden wie, co sobie teraz myśli!

— Nie ma czego wieszować! — odburknął naprawdę zbyt gwałtownie i szorstko, niż by się godziło. Natychmiast jednak zląkł się, że obraził Władcę Sherwood, więc dorzucił siłąc się na obojętny ton: — Nic mi do niej, ani jej do mnie...

— Czyżby? — w głosie sir Twice'a zadrżał jeszcze wyraźniejszy śmiech. — Zdawało mi się tam, w gospodzie...

— Mnie się też zdawało! — przerwał Robin dziękując Bogu, że jest ciemno. Chyba był czerwony jak upiór. — Ale potem... potem pojąłem, że wcale nie...

To wyjaśnienie zbiło go z tropu do reszty, bo sam czuł, że plecie niedorzeczności. Ale dla sir Twice'a widać nie było ani spraw niedorzecznych, ani niezrozumiałych.

— W twoich latach to zupełnie zwyczajne! — rzekł już bez rozbawienia, jakimś łagodnym i równocześnie po męsku rzeczowym tonem. — Widzisz, w tych sprawach często bywa zupełnie tak samo, jak na łowach. Podszedłeś czternastaka, zdaje ci się,

że najpiękniejszy na świecie, wart wszystkiego... i nagle widzisz, że to szpicak i na dodatek myłek! I żal ci szlaku, żal ci strzały, żal ci radości... Prawda?

— Prawda! — potwierdził z westchnieniem „Knight”. Teraz rozumiał! Maud wydawała mu się królową Guinevere, lady Godivą, tamten króciutki pocałunek w lesie nieopisanym szczęściem i zaszczytem — i w ogóle ta cała rzecz jakąś czarodziejską baśnią. A wystarczyło, że Matt chlapnął na nią błotem wulgarnej śpiewki, że bohaterka marzeń objawiła się w swojej codziennej, prostej i krzykliwej postaci — i baśń rozwiała się jak poranna mgła nad Trentem, chociaż te mgły też są tęczowe i śliczne...

— Ale nie martw się! — powiedział jeszcze poważniej sir Twice. — Jeszcze nie-raz będziesz takie zauroczenia przechodził, dopóki nie oddasz serca jakiejś pięknej saskiej dziewczynie. Może ona jest jeszcze dzieckiem, ale gdzieś już rośnie dla ciebie. Będzie tak samo dzielna, prawa i dobra jak ty...

Znowu powiedział to tak, jakby stwierdzał oczywistą, przesądzoną rzecz. Robinowi ogromnie ulżyło na duszy. A jednocześnie uczył radość i dumę, że sir Twice mówi z nim jak z dorosłym o sprawach, o których nie ośmieliłby się nawet słówkiem wspomnieć przed wujem czy kimkolwiek z Oxton.

— No, idziemy! — powiedział sir Twice.

Powiedział „idziemy” — ale już po kilkunastu krokach stało się jasne, że jego chęci nie są w stanie przewyciężyć osłabienia, że jasność myśli (będąca i tak czymś zdumiewającym przy wysokiej zapewne gorączce!) — nie przyda sił udręczonemu ciału. Potykał się coraz częściej, potem zaczął osuwać się na kolana, z których dźwigał się z ogromnym trudem. Robin dopomagał mu, coraz bardziej przerażony, bo wi- dać było jasno, że sir Twice nie da rady iść.

W pewnej chwili znów upadł i długo nie mógł się podnieść.

— Sir Twice... — wyjąkał chłopak, potrząsając go za zdrowe ramię.

— Zaraz, zaraz... — wyszeptał chrapliwie ranny. Dźwignął głowę i głowa opadła mu bezwładnie.

— Sir Twice... Ja was poniosę! — zdecydował się z desperacją Robin.

— Nie, poczekaj... Ja zaraz...

— Poniosę was! — krzyknął wściekle „Knight”, nie troszcząc się już o to, że może obrazić Władcę Sherwood. — Przecież mnie wszystko jedno, czy wspieracie się na mnie, czy was niosę! Jak będę was tak dźwigał raz po raz, to w końcu też upadnę i już nie wstanę, rozumiecie?.. — z trudem opanował bezradny szloch. — I jak będziemy tak się wlec, to i za trzy noce do Reclus Wood nie dojdziemy!..

Twice The nic nie odrzekł. Chłopak jęknął, podsadzając się pod niego. Każdą kość czuł w ciele osobno — i każda wydawała się zgruchotana. Ugiął się pod ciężarem tak, że stopy sir Twice'a wlokły się po ziemi. Nie patrzył wcale, gdzie idzie, zdawszy się wyłącznie na kierunek — i chyba tylko łaska Haernonna oraz własny leśny instynkt chroniły go przed wpadaniem na pnie. Instynkt również kazał mu od czasu do czasu spoglądać w niebo, bo widoczny pomiędzy rozstępami konarów księżyc wskazywał drogę. Wąski, biały „sierp Birgith...” To z niego przed świtem w dzień „Maja” padała czarodziejska rosa, dająca zdrowie, siły i urodę — i Majowi Rycerze, biegnący po Jacka-inthe-Greena wznosili do niego twarze, aby obmyła je rosa Birgith. Jutro i on, Robin... a może już jest „jutro”? Nie da chyba rady uczynić już choćby jednego kroku!

Prowadź, Eric!” — powiedział na Shivery Marsh sir Twice The — i zmarły druh mu dopomógł. Może dopomógłby i teraz, jemu, Robinowi? Pomóżcie, sir Fitz-Ooth z Locksley, przecież chcę waszego przyjaciela uratować!.. Boże, Najświętsza Panno, zesłaliście mnie sir Twice'owi do pomocy!.. Dodajcie choć trochę sił...

Otworzyła się przed nim błękitnawa w poświęcie nowiu przestrzeń polany. Plane's Glade, upragniona Plane's Glade!.. Daleko mniej pieczołowicie niż podczas poprzed-

nich postojów zsunął rannego na ziemię. Cisnął obok niego łuk (swoją „bonnie” dawno już gdzieś rzucił po drodze i wcale o niej nie myślał!) — i sam runął bezwładnie na trawę. Oddychał głośno i świszcząc, pot ściekał strugami po twarzy, odzież przylepiła się do ciała a włosy były mokre, jakby zanurzył głowę w wodzie. Leżał bez ruchu, nie myśląc o niczym i niczego nie czując. Gdyby w tej chwili ziemia polany zapadła się pod nimi — niewiele by go to chyba obeszło.

— Pić!.. — postłyszał świszczący szept sir Twice'a.

Nie poruszył się.

— Pić... — powtórzył szeptem sir Twice.

„Knight” również szeptem — tyle że bezgłośnie — zaklął paskudnie, co nie zdarzało mu się nigdy. Zdecydowany był leżeć dalej i udawać, że niczego nie słyszy. Ale gdy sir Twice poprosił po raz trzeci — dźwignął się i po omacku, wyteżając słuch, poczłapał w stronę, z której dochodziło bulgotanie strumyka. Przyklękawszy na jego brzegu, napił się, potem ściągnął przepocony kaftan. Właściwie chciał się tylko ochłapać, tak jak czynił to do tej pory, ale zmęczenie i ból całego ciała sprawiły, że przestał dbać o „przedmajowe” psoty nixies i wili. Może zresztą już był „Maj”...

Wlaził do potoku i wyciągnął się w nim na chwilę. Najpierw z nieprzyjemnym dreszczem, potem z rozkoszą czuł na sobie łaskotanie chłodnego nurtu. Rzeczywiście przywróciło to trochę sprawności zeszywniałym z utrudzenia mięśniom, a jasności — myślom...

Powróciwszy do towarzysza, napił go i ostrożnie już ułożył wśród trawy. Sam usiadł obok i wpatrzył się w granatowy mrok polany, ledwie rozwidniony srebrzystym światłem „sierpa Birgith”. Chciał rozetrzeć kark i barki, ale zabolalo tak, że zrezygnował.

Stopy też bolały. „Knight” obmacał je ostrożnie i skrzywił się.

Chodaki, porozdzierane na korzeniach i karpinach," były po prostu strzępami, a przez dziury w onucach wystawały gołe palce. Poobijał je i pościerał nieźle, bo oprócz bólu czuł pod dłońmi lepłą wilgoć. Gdzież się podział jego zręczny, leśny chód? Najgorszy pętał nie urządziłby się w ten sposób.

— Jakby na domiar wszystkiego uprzytomnił sobie, że mdlące ssanie w dołku — to głód. Szarpiący, natarczywy, młody głód. Od południa nie miał nic w ustach, a ileż to w południe zjadł? Parę łyżek owsianki, bo zaraz Much wypaplał o tej kuniej skórcie i zaczęło się wujowe gderanie. A w gospodzie... Nie mógł powstrzymać westchnienia na myśl o poczęstunku, jakim zamierzała go podjąć Maud. Niczego nie tknął... Przeszkodziła awantura z Krzywym Mattem, a potem woodguardy. A była pieczeń i majowy placek Maud... Tak pachniał...

Znowu westchnął i przesunął się nieco, chcąc wesprzeć plecy o pień. Ręka natrafiła na porzucony wśród trawy łuk sir Twice'a The. Podniósł go bezmyślnie, obejrzał w księżycowym świetle i — nie mając żadnej nadziei na to, że zdoła przy takim zmęczeniu to zrobić — spróbował naciągnąć cięciwę. Poddała się bardzo opornie, ale poddała się. Robin poniechał próby, szkoda było sił. Jak powiedział sir Twice? „Urodziłeś się do niego... Musisz jak najprędzej postarać się o taki sam...”

Powieki ciążyły, a Robin wiedział, że nie wolno mu zasnąć. Sięgnął do kołczanu sir Twice'a, wyjął strzałę i przetarłszy oczy, zaczął szukać celu w niebieskawej przestrzeni, pokreślonej czarnymi, pionowymi pasami pni. Jednak spróbuje... Może uda się strzelić siedząc i trzymając obłąk poziomo, tak jak to potrafi sir Twice?.. Strzelić — i pocelować?

I w tej chwili... posłyszał lekki szelest. Spojrzał i zamarł. Nawykłe do ciemności oczy, wprawdzie nie „sowie”, ale bystre, puszczańskie oczy chłopca z Sherwood rozszerzyło zdumienie, a ciało, któremu momentalnie wróciła sprężystość i sprawność, przebiegł dreszcz emocji. Z krzaków wyskoczył jeleń, ogromny i wspaniały byk. Stał może o trzydzieści kroków od nich. Dlaczego nie czuł ludzi? Może ich nie zwie-

trzył? Może ścigał łanię i tylko to go obchodziło? Stał, odrzuciwszy na kark wieniec — potężny, rosochaty, doskonale widoczny w bladym świetle nowiu...

—Szesnastak!.. — zdołał policzyć Robin i zabrakło mu tchu.

Bezszelestnie poderwał się do przykłęku. Szybkim, zwinnym ruchem nałożył strzałę. Jeleń wciąż trwał w swej majestatycznej, nierozumnej pozie. Nie wiedział, że zguba jest tak blisko. Rozłożysta samcza „komora” zdawała się prowokować, przyzywać ku sobie grot! Teraz!.. Szarpnąć z całej siły, poczuć na skroni muśnięcie lotki, wypuścić ją z palców..!

Nie napięta nawet na dwie stopy, twarda cięciwa boleśnie trzępnęła o palce, strzała frunęła krótkim „pętackim” półkregiem i utkwiała w ziemi, jeleń długim skokiem umknął pomiędzy pnie, a „Knigh-towi” wszystko zawirowało w głowie.

Kiedy nareszcie odzyskał poczucie rzeczywistości — zrozumiał, że siedzi z głową przyciśniętą do piersi Twice'a The, a sir Twice obejmuje go mocno zdrowym ramieniem. Musiał nagle odzyskać siły... a jemu, Robinowi, ich brakło... Posłyszał czyjś rozpaczliwy, urywany szloch. Niemal w tym samym momencie poczuł na twarzy mokro i gorącość łez — i uprzytomnił sobie ze wstydem, że to on sam płacze, tak strasznie!.. Próbował opanować łkanie, ale nie potrafił. Sir Twice milczał. Mocniej przygarbił do piersi jego głowę i wolno gładził po włosach.

— Sir Twice... — wykrztusił przez łzy „Knight”.

— Cicho, cicho! — niezwykle łagodnym i miękkim, jakby nie swoim własnym głosem powiedział Władca Sherwood i przytulił go jeszcze mocniej. — Jesteś dzielny. Nie płacz, nie trzeba płakać. Po prostu zdawało ci się tylko. Rozumiesz?

— Nie, ja strzeliłbym! — Robin zaniósł się szlochem. — Ubiłbym go! I zhańbiłbym świętą noc „Maja”... i zламаłbym przysięgę...

— Nie. Łuku Fitz-Ootha nigdy dotąd nie splamił ani zdradziecki, ani niegodny strzał. Sir Eric nie pozwoliłby na to. Widzisz, uchronił cię przed nim! Nie płacz, Robin. Zapomnij o tym. Tego nie było, to się nie stało. Wszystko jest w porządku. Uspokój się już, synu!

Mięki, łagodny głos, dotyk dłoni na włosach, bijące tuż przy policzku serce sir Twice'a — wszystko to było takie kojące, przyjazne... i zupełnie dotąd chłopcu nie znane. A najdziwniej zabrzmiało słowo „synu”, wyrzeczone tonem zupełnie ojcowskim. „Knight” jednak nie znał tego tonu. Nikt nigdy do niego tak nie mówił ani nie zachowywał się w ten sposób. Chłopiec oprzytomniał nagle. Zrobiło mu się potwornie wstyd. I tego, że się popłakał — i bardziej jeszcze tego, że sir Twice pociesza go tak łagodnie i pieści. Zapominając o szacunku dla Władcy Sherwood, gniewnie i ostro uwolnił się z uścisku.

— Ja nigdy nie płaczę! — zapewnił szorstkim, choć trochę jeszcze zdławionym przez łzy głosem. — Nie wiem, dlaczego teraz...

— Jesteś śmiertelnie zmęczony, to wszystko. W takim stanie nawet najtwardszy, najdzielniejszy człowiek nie potrafi zapanować nad sobą. Nie masz się czego wstydzić. Można być zupełnie dorosłym, a jednak czasem płakać...

Sir Twice powiedział to tak, jakby dawał do zrozumienia, że i jemu zdarza się czasem płakać. Robin, który właśnie wycierał dokładnie twarz rękawem, spojrzał na niego w zaskoczeniu. Nie mógł jednak dojrzeć w ciemności jego twarzy. Nagle przypomniał sobie tę chwilę, kiedy zdecydował się pójść z Władcą Sherwood i powiedział mu o tym. Czyżby to, co wziął za przywidzenie — nie było przywidzeniem?..

— Spróbujemy iść? — zapytał cicho sir Twice The.

— Dobrze sir Twice...

„Knight” do końca życia nie potrafił sobie przypomnieć, w jaki sposób przebyli pozostałą drogę i czy było to równie męczące jak dotąd, czy nie. Widocznie znalazł

się w tym stanie, kiedy siły i wola dobiegły już ostatecznie kresu — i ciałem rządzi tylko nie znana ludzkim rachubom determinacja oraz rozpaczliwe przeświadczenie, że to musi się niedługo skończyć. Z sir Twice'em najwidoczniej działo się zupełnie to samo, bo włókł się dysząc ciężko — na własnych nogach, wsparty o ramię towarzysza — i nie padał. W pewnej chwili powiedział cicho:

— Tu staniemy.

Słowa dobiegły do chłopca jakby z jakiejś wielkiej odległości i przez mgłę. Rozejrzał się niezbyt przytomnie.

— Masz krzesiwo? — zapytał sir Twice.

— Pewnie że mam! — własny głos też wydawał się Robinowi daleki i stłumiony. — Ale może... może zamokło mi tam na Shivery Marsh...

Jednak i krzesiwo, i hubka okazały się suche. Mimo chaosu i nieznośnego szumu w głowie „Knight” pomyślał z dumą o swojej sakwie, którą sam sobie uszył z jeleniej skóry na ubiegłoroczną Zieloną Noc.

— Zabierz trochę suszu i rozpal ogień. Niewielki, taki, żeby ledwie płonął. Pośpiesz się.

Robin umiał wyszukiwać w ciemności chrust i suche gałęzie na ognisko, ale nigdy jeszcze nie czynił tego tak niezgrabnie i tak nieposłusznymi rękami. Jednak udało mu się dość szybko zgromadzić zapas, który sir Twice uznał za wystarczający. Krzesiwo też nie chciało być tak posłuszne jak zawsze drżącym ze zmęczenia dłoniom, lecz wreszcie sypnęło na hubkę iskrami, które pod ostrożnym tchnieniem warg skupiły się w niewielki płomynek. Maleńkie ognisko zatrzeszczało różnym, żywym głosem — i od razu uczyniło się jakoś swobodniej i lżej, nawet szum z głowy ustąpił. Tak, jakby ogień stanowił najpewniejsze i niezbite świadectwo, że wędrówka za nimi, że naprawdę doszło się do celu...

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Moc dziedzictwa

Sir Twice The dłonią zdrowej ręki, prawie nie patrząc i bardzo sprawnie wybierał ze zgromadzonego przez Robina stosu chrustu suche gałązki. Równie zręcznie łamał je na kawałki o niemal jednakowej długości.

— Wkładaj do ognia po trzy, o, w ten sposób! — pokazał chłopcu. — A gdy płomień przygaśnie, policz do tuzina i włóż następne trzy...

Obok uczucia ulgi w sercu „Knighta” zrodził się nagle niepokój i dziwne napięcie. To, co kazał czynić sir Twice, przypomniało jakieś czary... i może naprawdę było czarami?

Skrupulatnie wypełniał polecenie, a licząc — spoglądał na Władcę Sherwood, który siedział oparty o pień i rzucał dokoła oczyma, uważnie i czujnie. Robin nie miał pojęcia, co jego towarzysz chce wypatrzeć. Wokoło panowała głucha ciemność, a płonące gałązki rzucały bardzo niewiele światła.

Po siódmym czy ósmym wyszeptanym przez Robina „tuzinie” Twice The stulił nagle dłonie przy wargach i zachichotał zupełnie jak puszczyk. Robin aż wzdrygnął się z przerażenia, ale mimo to wychwycił swym czujnym słuchem, że ostatni ton był wyższy, bardziej przenikliwy i wibrujący niż w okrzyku prawdziwego nocnego ptaka.

Sir Twice nakazał mu gestem milczenie, odczekał chwilę i powtórzył ten sam, nie całkiem prawdziwy śmiech. Odczekał znów chwilę i znów się zaśmiał, a po upływie następnych paru chwil — jeszcze raz. Robin, siedzący na własnych piętach przy ognisku, przyglądał mu się z rozchylonymi ze zdumienia ustami.

Nagle z daleka odpowiedział stłumiony krzyk sowy-pójdźki. Jej głos wróżył nie-szczęście i „Knight” z pewnością znów by się przeląkł, gdyby nie miał tak napiętego słuchu i od razu nie pojął, że ten krzyk też brzmi trochę inaczej niż zew prawdziwej...

— Sir Twice?.. — szepnął pytająco i przysunął się bliżej do rannego.

Twice The znów położył palec na ustach i jeszcze raz powtórzył chichot puszczyka. Pójdźka odpowiedziała — jakby dużo bliżej. Po bladej, zapadłej i brudnej twarzy sir Twice'a przemknął lekki uśmiech. Zdrową dłonią ścisnął ramię chłopca.

— Tak! — powiedział spokojnie. — Nie przestrasz się teraz...

Ledwie domówił tych słów, leśny instynkt ostrzegł Robina, że nie są na polanie sami. Rzucił dokoła oczyma i struchlał. W mroku, poza kręgiem światła wyrastały trzy ciemne postacie. Widziane z dołu, wydawały się ogromne, a najstraszniejsze było to, że wyrosły w ciemności tak nagle i tak równocześnie. Każda z nich trzymała w dłoniach łuk z nałożoną strzałą.

— Wesoła Wyspa... — rzucił ku nim sir Twice.

— Zawsze wolna!.. — odparł w ciemności czyjś przyciszony głos i dodał: — Kto?..

— Ja, Geoffrey!.. — odpowiedział spokojnie sir Twice.

Najbliższa postać, uzbrojona w łuk, drgnęła i znieruchomiła jeszcze bardziej.

— Kto?.. — powtórzyła głośniejszym i niedowierzającym głosem.

— Ja, mój jerozolimski królu!*54... — odparł sir Twice The i w jego głosie zadźwięczała jakby nutka lekkiej kpiny.

Te słowa najwidoczniej wystarczyły ciemnej postaci. Spuściła strzałę z cienciwy, cisnęła łuk i jednym skokiem przypadła do nich.

— Twice!..

Przybysz zwany „jerozolimskim królem" prawie krzyknął to miano nie zważając na majestat sir Sherwood'a. Z otwartymi ramionami runął ku sir Twice'owi.

— Ostrożnie, jest ranny!.. — krzyknął rozpaczliwie Robin i osłonił sobą towarzysza.

Obcy obrzucił go przelotnym spojrzeniem, ale zaraz całkowicie pochłonęła jego uwagę osoba sir Twice'a — choć, na szczęście, okazywał to już powściągliwiej. I dwaj pozostali też przypadli. We trójkę stłoczyli się przy Władcy Sherwood. Robin musiał się odsunąć. Z boku patrzył, jak trzech fugitive'owie — bo chyba byli to oni?.. — witają swego ocalonego wodza. Ten pierwszy, Geoffrey, klęczał przy nim, ścisnął jego dłoń w obu swoich i powtarzał ze śmiechem, bardzo podobnym do łkania:

54 Mój jerozolimski królu — Twice The nazywał tak krewniaka ze względu na Jego imię. Geoffrey (Godfryd) de Bouillon był jednym z wodzów pierwszej wyprawy krzyżowej i faktycznym zdobywcą Jerozolimy w 1099 r. Po zwycięstwie został władcą utworzonego na ziemiach wydartych Saracenom Królestwa Jerozolimskiego.

— Twice!.. Na rany Zbawiciela! Jesteś!.. Jesteś!.. Twice!..

— Sir Twice! Jesteście z nami!.. Bóg pozwolił wam wrócić...

— Niechaj Mu będą dzięki, sir Twice!.. — tak samo urywanie, bezładnie i z takim samym śmiechem czy szlochaniem powtarzali obaj pozostali.

Robin, na którego żaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi, usunął się jeszcze dalej — bo coś mu w duszy mówiło, że nie powinien swoją obecnością zakłócać radosnego powitania „fugitive'ów”. Był przecież dla nich intruzem, obcym, przybyszem ze zwyczajnego świata zwyczajnych ludzi, od których „ich” odgradzało prawo — a raczej to, że „oni” sami to prawo odrzucili precz! Zmęczenie ciążyło chłopcu wzrok i myśli, ale przyglądał się jak zaczarowany postaciom, ledwie widocznym w słabym świetle ogniska. Pierwszy raz w życiu widział tych, o których śpiewano ballady i piosenki, opowiadano legendy i gadki. Widział ich na jawie, nie w marzeniach czy we śnie! Był tak blisko nich, był — pośród nich!.. Rzeczywiście wydawali się surowi, tajemniczy i groźni, może przez oręż, pobłyskujący raz po raz w świetle płomieni, a może tylko przez mrok i puszczańską ciszę? Ale cieszyli się z powrotu sir Twice'a zupełnie zwyczajnie: jak tkliwi, kochający przyjaciele...

„Knighta” ogarnęła nagle ogromna duma. Dotrzymał obietnicy! Nie zawiódł, doprowadził Władcę Sherwood gdzie należało — i oddał go towarzyszom, wśród których już na pewno będzie bezpieczny, odzyska zdrowie i siły...

Ale prawie natychmiast w miejsce dumy napłynął do serca żal. Uświadomił sobie, że tym samym skończyła się jego rola przewodnika i opiekuna, że przestał być sir Twice'owi potrzebny, że od tej chwili Władca Sherwood należy do nich — swoich fugitive'ów! I jemu, Robinowi, nie wolno już uważać się za fugitive'a. Będzie musiał wrócić do Oxton, do pracy we młynie, do zwyczajnego życia... Nawet nie patrzą na niego, bo pewnie tak właśnie uważają... i sir Twice też...

Lecz nad tym wszystkim — i dumą, i smutkiem — wzięło górę uczucie ogromnej ulgi. Ulgi wywołanej myślą, że potworna wędrówka przez puszcze naprawdę, naprawdę dobiegła kresu, że koniec ze straszliwym, nieludzkim wysiłkiem, bólem pleców, trwogą, zmęczeniem... I z tym uczuciem ulgi „Knight”, westchnąwszy głęboko, osunął się na trawę.

— Jesteś ranny, Twice? — pytał z niepokojem „jerozolimski król”. — Trzeba opatrzyć...

— Zostaw, Geoffrey, to już w gnieździe!

— Słusznie. Archie, Martin! Zróbcie nosze, prędko! — rozkazał Geoffrey, a gdy towarzysze bez słowa ruszyli wypełnić polecenie, pochylił się ku rannemu. — Jesteś sam? Gdzie Swanhold, gdzie Peter Lynx? Kiedy przybędą?

— Już nie przybędą! — krótko i sucho odparł sir Twice.

— A ojciec Guido i Mose?

— Tak samo...

Geoffrey milczał przez chwilę. Twarz mu drgała, może od blasku ogniska.

— Kiedy? — zapytał wreszcie bezdźwięcznym, ochrypłym szeptem.

— Opowiem w gnieździe. I o tym, jak mnie ranili, też. A doszedłem tutaj... — sir Twice urwał i rozejrzał się niespokojnie. — Robin! Robin, gdzie ty jesteś?..

Odpowiedziała cisza. Twice The z jeszcze większym niepokojem spojrział dokoła i spróbował się podnieść.

— Był ze mną taki chłopak! Nie widziałeś go?

— Widziałem, oczywiście! Nie wiem, gdzie zniknął...

— Przecież był jeszcze przed chwilą! Rozejrzyj się, nie mógł odejść daleko! Zmęczył się prawie na śmierć...

Geoffrey powstał z klęczek i zrobił kilka kroków w ciemność.

— Jest!.. — doleciał do sir Twice'a jego przyciszony głos, który zdawał się być rozbawiony i wzruszony jednocześnie. — Leży i śpi! Zbudzić go?

— Nie waż się! Przynieś go tutaj!

: Robin nie ocknął się, gdy Geoffrey podnosił go z ziemi.

— Już idziemy... — wymamrotał niewyraźnie.

— Idziemy, idziemy! — uspokoił go „jerozolimski król”, unosząc możliwie najostrożniej. Chłopak z całkowitym zaufaniem spoczął w mocnych ramionach fugitive'a, który bez najmniejszego wysiłku przydźwigał go do ogniska. W tej samej chwili nadeszli też dwaj pozostali — z noszami, sporządzonymi z gałęzi i opończy. I wszyscy „leśni”, którzy do tej pory widzieli tylko swego odzyskanego wodza, popatrzyli z nieopisanym współczuciem na uspięnego chłopca, którego Geoffrey wciąż trzymał na rękach.

Właściwie chłopak wyglądał śmiesznie i trochę niesamowicie — oblepiony błotem i przyłgniętymi do odzieży liśćmi i źdźbłami trawy, z pobladłą i zapadniętą ze zmęczenia twarzą, na której smugi potu, brudu, błota, łez i krwi z rany sir Twice'a The spletały się w istną runiczną opowieść o strasznej wędrówce. Włosy, wilgotne od potu i rozczochrane jak u upiora, potęgowały jeszcze ten obraz grozy. Ale nawet w owym pożałowania godnym stanie mógł zadziwiać delikatną urodą, a we śnie wydawał się bezbronny i chłopięco niewinny.

— To on pomógł ci przyjść? — zapytał ze zdumieniem Geoffrey. Taki smyk?..

— Ten smyk mnie tu przyniósł. Przez większą część drogi taszczył mnie na własnych plecach.

— Żartujesz, Twice!

— Nie żartuję. Samemu mi trudno uwierzyć. Nie dziw się więc, że tak wygląda i że jest doszczętnie wyzuty z sił... — sir Twice milczał przez chwilę i nagle, prostując się dorzucił z dziwnym uniesieniem: — Na cierniową koronę Chrystusa, powiadam ci, Geoffrey: nie zginie nasza Wyspa, dopóki rodzić się będą na niej tacy chłopcy!

— Co to za jeden? — cicho zapytał Geoffrey.

— Naprawdę trudno dać wiarę. Zwyczajny chłopak z Oxton, młynarczyk. Pomyśl, skoro wśród kmieci zdarzają się tacy... On jest wspaniały, przekonałem się sam! Umie walczyć na pięści i na „bon- nies”, strzela wprost znakomicie! Nie traci opanowania, kiedy niejeden starszy dawno dałby się ponieść gniewowi. A ma dopiero szesnaście lat... — sir Twice spojrział ze wzruszeniem na śpiącego Robina. I stracił Zieloną Noc, żeby mi dopomóc, i nie boi się tego, co go w domu spotka. A mam wrażenie, że ostro go chowają. Dzielny chłopak, prawdziwy rycerzyk...

Sir Twice wyrzekł to słowo z jakimś szczególnym akcentem. Choć posłyszał w gospodzie, jakim przydomkiem zwą „Knighta” — podczas wędrówki z Robinem ani razu nie użył tego przydomku, ani też nie zdradził się z tym, że go zna. Widocznie miał po temu jakieś swoje powody.

— Rycerzyk... — powtórzył za to teraz raz jeszcze i uśmiechnął się smutnie. — Do dziś mówiłem sobie, że nie żałuję, iż mój syn... — urwał na chwilę, po czym podjął zmienionym głosem: — Może spotkałby go ten sam los, co jedynaka Erica! Ale od dziś będę żałował, że nie mam syna. Chciałbym mieć takiego jak ten!

— Tak! — głos Geoffrey'a zdradzał głębokie wzruszenie. — Miałbyś dzielnego następcę, sir Sherwood godnego siebie księcia...

Na chwilę zaległo milczenie. Słyszać było tylko nikły trzask dogasającego ognia i równy, głęboki oddech śpiącego Robina. W potężnych ramionach „jerozolimskiego

króla" sprawiał wrażenie zmęczonego dziecka — i nikt by w nim nie odgadł tych wszystkich umiejętności, które wymieniał sir Twice.

— Ruszamy do gniazda! — polecił Twice The, przywracając towarzyszy do rzeczywistości i dając do zrozumienia, że mimo rany i wyczerpania obejmuje dawną godność wodza.

— A co z nim?

— Jego też uźmiemy. Musi odpocząć choć trochę.

Te głosy, szum drzew poruszanych powiewem przedświt, wreszcie krótka podróż na rękach sir Geoffrey'a — nic nie było w stanie obudzić „Knighta”. Obudziła go za to cisza, którą instynktownie wyczuł przez sen. Cisza, głośniejsza i bardziej przenikliwa niż śpiew lasu. Zanim otworzył oczy, wyczuł że leży na czymś miękkim, że dotyka dłońmi puszystego zwierzęcego futra. A gdy z trudem rozchylił ciężkie powieki, zobaczył nad sobą okopcone belki niskiego pułapu, na którym tańczył różowy odbłask ognia.

Zerwał się z przerażeniem, w jednej sekundzie przytomny.

— Sir Twice!.. — wykrzyknął bez tchu.

— Jestem tutaj! — usłyszał znajomy, spokojny głos. — Nie bój się, już wszystko za nami.

Robin poderwał się z posłania, choć zabolalo go całe ciało. Jednym rzutem oka ogarnął pomieszczenie, w którym się znajdował. Była to niewielka, belkowa izba z paleniskiem, od którego padał blask. Na środku stał stół otoczony ławami z darni i przy tym stole, na tych ławach siedzieli trzej fugitive'owie. A pod przeciwległą ścianą, na posłaniu z derek i skór — spoczywał sir Twice.

Chłopak bez tchu przypadł do niego.

— Gdzie my... A ja spałem?.. — rzucił zatrwożonym spojrzeniem po uśmiechniętych twarzach mężczyzn. — Skąd my tutaj?.. Przecież byliśmy w lesie...

— Już nie jesteśmy. Poznaj moich towarzyszy! — sir Twice podniósł się na posłaniu i z powagą wskazał mężczyzn zdrowym ramieniem. — To jest sir Geoffrey Thence, mój stryjeczny brat!... — Robin w świetle ognia zobaczył wyraźnie już „jerozolimskiego króla”, który wydał mu się zdumiewająco podobny do sir Twice'a, tylko nie miał tak bladej i ziemistej twarzy. — To jest sir Archie Shield, a to sir Martin Gamwell. A to — ogarnął z kolei ramieniem barki chłopca — ...to jest Robin z Młyna, najszlachetniejszy, najdzielniejszy i najlepszy chłopak na Wyspie!

Gos jego przy tych słowach wcale nie był chłodny ani obojętny — zabrzmiał najszerszym wzruszeniem, a nawet szacunkiem i podziwem! Robin zarumienił się po uszy ze szczęścia i zakłopotania, a czując gorąco na policzkach zawstydził się jeszcze bardziej. Nie wiedział, że na jego dokładnie zamorusanej twarzy trudno byłoby dojrzeć rumieniec. Zły na siebie, pomyślał z goryczą, że chyba do końca życia przyjdzie mu piec te przeklęte raki. Przynajmniej tu, przy fugitive'ach, mogłoby się bez nich obyć!

— Witaj, Robin, i niech cię Bóg błogosławi! — powiedział wzruszonym głosem sir Geoffrey, podchodząc do niego z wyciągniętą dłonią.

— Niech cię Bóg błogosławi, Robin!.. — dwaj pozostali uczynili to samo.

Mocne, męskie uściski dłoni rozpędziły i resztki senności, i pozwoliły ochłonać ze zmieszania. Ale znów uderzyło ono do twarzy falą krwi i ścisnęło w gardle, gdy sir Geoffrey z szacunkiem podjął ze stołu połyskujący srebrzyście róg i podał go Twice'owi The, który podniósł go zdrową ręką w górę w blasku ognia.

— Za opiekę Haernonna, który wiódł nas obu i szczęśliwie doprowadził! W twoje ręce, Robinie z Młyna! — zwrócił się uroczystym głosem do oniemiałego chłopca. — Niech cię Bóg błogosławi i szczęście przez całe twe życie, synu!

— Niechaj ci szczęści! — powtórzyli jednym głosem trzej fugitive'owie.

Robin nie miał pojęcia, co odpowiedzieć i czy w ogóle wolno mu cokolwiek mówić. Nie wiedział zupełnie, jak powinien się zachować. Powiódł więc tylko po otaczających go mężczyznach swoimi wielkimi, złotobrazowymi oczyma, pełnymi wzruszenia, zakłopotania i szczęścia. A potem — czy dlatego, że sir Twice spoczywał tak nisko, czy dlatego, że jakiś niewytłumaczalny wewnętrzny głos podszepnął mu, że tak właśnie trzeba — przyklęknął i przyjął w drżące dłonie róg. Gdy przybliżył go do ust, owionął go ten sam miły, słodki, korzenny zapach, jaki pamiętał z gospody... I raptem serce w nim zachłysnęło się z radosnej, dziecinnej dumy: więc było mu sądzone napić się wina, ale nie przy woodguardach! Tylko z kim! Tylko z kim!..

Nigdy jeszcze nie kosztował wina i zdumiała go niezwykła, cierpkawa słodycz, tak różna od słodczy leśnego miodu. Podobnie dziwne wydało mu się rozkoszne ciepło, które rozeszło się po całym zmęczonym ciele. Ale najdziwniejsze było to, że pierzchnęło nagle całe znużenie, że myśli uczyniły się zupełnie jasne, a serce ogarnęło uczucie lekkości i pewności siebie! Kiedy sir Twice szarpnął go lekko za kaftan, usiadł swobodnie na brzegu posłania, a Władca Sherwood znów otoczył jego barki zdrowym ramieniem. Ten uścisk krzepił tak samo jak wino. I jakoś wcale nie zawstydziała ta męska pieśczoć. Już bez cienia lęku czy zmieszania, z ciekawością i zachwytem Robin przyglądał się fugitive'om, poważnie przepijającym do siebie. Czy nie było to wspanialsze od najwspanialszej Zielonej Nocy? Czy jeszcze wczoraj ośmieliłby się marzyć, że zamiast wśród rozwrzeszczanej gromady Majowych Rycerzy — mógłby się znaleźć pośród legendarnych, groźnych ludzi puszczy, a sam Władca Sherwood będzie go obejmował ramieniem?..

„Gdy to chłopakom opowiem, nie uwierzą...” — pomyślał i w tej samej chwili uprzytomnił sobie, że ani chłopakom, ani nikomu nie śmie o tym opowiedzieć. Przysiągł sir Twice'owi, że nie powie ani słowa! A szkoda, bo jakże by wzrosła jego sława w Oxton! Nie mówiono by już teraz, że „Knight” tylko najcelniej strzela, tylko naj-

szybciej biega, tylko najzręczniejszy walczy (tak, w tej chwili było to już „tylko”...) — mówiono by, że uratował życie sir Twice'owi The!..

— Musisz się posilić, Robin! — Twice The pchnął go lekko w stronę stołu. — To także ci potrzebne. A ty, Geoffrey, podaj mi szkatułkę i nóż...

Podczas kiedy Robin pochłaniał ogromne kęsy pieczeni i podpłomyka, prawie ich nie gryząc — sir Twice wydobył z rogowej, okutej szkatułki srebrną szylingową monetę i nakazawszy skinieniem sir Geoffreyowi, żeby ją poręcznie przytrzymał na wieku, począł ryc czubkiem noża jakiś znak na jej okręgu. Robin rzucił kątem oka na to zajęcie i tak go zdziwiło, że zastygł z pełnymi ustami.

— Robin — odezwał się sir Twice — wasze Oxton należy do parafii Holy Ghost?

— Tak, sir Twice... — chłopak z trudem przełknął, co miał w ustach, i spojrzał jeszcze bardziej zdumiony.

— A ty chodzisz do spowiedzi świętej?

— Jakżeby inaszej, sir Twice?

— Wśród wielebnych ojców jest jeden... jałmużnik, pater Austin! Znasz go?..

Dobrze, że Robin nie wziął do ust następnego kęsa, bo z pewnością by się zadławił — może aż na śmierć. Ale za to spłonął rumieńcem aż po uszy.

— Znasz go? — powtórzył pytanie sir Twice.

— Znam... — wyjąkał Robin.

— Dawno byłeś u spowiedzi?

— Na Wielkanoc... — szepnął coraz bardziej zdumiony i zatrwożony Robin.

— Więc po świętach pójdiesz do opactwa i poprosisz o spowiedź właśnie u ojca Austina. Rozumiesz?

Chłopcu aż się w oczach ciemno zrobiło. Jezus Maria! Spowiedź u ojca Austina! Dotąd spowiednikiem oxfordzkiej młodzieży bywał pater Andreas, zawiadujący klasztorną zakrystią i wcale nie surowy. Ale ojciec Austin?! Czego ten sir Twice The żąda? Czyżby nie wiedział, że to najbardziej srogi i niewyrozumiały ze wszystkich zakonników? Ilekroć zagląda do młyna — piekłem straszy, pokutami, a wujowi każe nie szczędzić pasa! Jak tu do takiego do spowiedzi iść? Jeszcze gotów za pokutę włosienicę albo ciemnicę naznaczyć!..

Nie śmiał jednak oczywiście wyrzec głośno tego wszystkiego, więc tylko patrzył rozszerzonymi trwogą oczyma na sir Twice'a, który zupełnie się nie domyślał stanu jego duszy. Spokojnie podał chłopcu pieniądz.

— A jak cię już wypowiada, dasz mu to. Nie mów nic, tylko mu to daj. On już wszystko będzie wiedział. Pewnie potem zapyta cię o mnie i o naszą drogę, więc możesz mu powiedzieć. Ale tylko jemu, nikomu więcej!

Robin omal nie stracił równowagi i nie spadł z darniowej ławy. Zupełnie tego wszystkiego nie rozumiał. Więc ojciec Austin... ojciec Austin, przewiercający stalowymi oczyma na wskroś, przypominający szorstkim głosem o chrześcijańskich cnotach, o młodzieńczej skromności — więc ojciec Austin miałby być...

— Schowaj dobrze! — polecił sir Twice. — Chociaż nie, z sakwy mógłby ci wypaść. Inaczej zrobimy. Daj no twój pasek!

Chłopiec posłusznie rozpiął kościaną kłamrę i podał pasek sir Twice'owi, razem z sakwą i nożem. Sir Twice i Geoffrey obejrzelik dokładnie jego ubogie skarby i wreszcie „król jerozolimski” skinął głową. Nie wiadomo skąd w jego dłoniach znalazł się płat wyprawionej jeleniej skóry, z którego zręcznie wykroił niewielki kawałek. Potem wstał, sięgnął pod pułap i wydobył z za belki niewielką skrzynkę. Zdziwiony Robin

patrzył, jak zręcznie sir Thence przyszywa do jego paska od wewnętrznej strony ów kawałek skóry. Robił to chyba umiejętniej niż ciotka Agnes!

— No, gotowe! — sir Geoffrey sprawdził, czy pieniądz się nie wysunie, ale kieszonka była mocno przyszyta ze wszystkich stron. — Masz. Teraz pilnuj nie tylko tego szylinga, ale paska. Pamiętaj!

— A pamiętasz to, czego cię nauczyłem, zanim weszliśmy na Shivery Marsh? — rzucił nieoczekiwanie sir Twice.

Robin w popłochu usiłował sobie przypomnieć pierwsze słowa, ale nie potrafił. Zapomniał na śmierć! Z rozpaczą spojrzął na sir Twice'a.

— „Póki choć jeden szumi dąb...” — odpowiedział spokojnym głosem Władcy Sherwood.

— Aha, już wiem!..

„Póki choć jeden szumi dąb...”

— zaczął Robin i spłoszył się, bo przy tych słowach wszyscy, prócz leżącego na posłaniu sir Twice'a The, powstali z miejsc i unieśli w górę prawice. Nie wiedząc, czy powinien to zrobić i czy nie wywoła tym ich gniewu, chłopiec również zerwał się z ławy. I tak samo jak oni podniósł w górę rękę. Lekko schrypniętym z przejęcia głosem wymawiał powoli:

Póki choć jeden szumi dąb,

Póki cal mierzy Trentu głąb,

Dopóki chociaż jeden z nas

Nakłada kaptur, idąc w las,

Dopóki strzały ma i luk

Nie będzie Wyspą władał wróg!

— Amen! — rozległ się spokojny głos sir Twice'a.

— Amen! — powtórzyli jego towarzysze.

— Na chwilę zapadła uroczysta, przejmująca cisza. Wszyscy patrzyli na Robina, stojącego wciąż z uniesioną dłonią, z błyszczącymi oczyma i drgającymi ze wzruszenia nozdrzami, z pobladłą twarzą, której nawet brud i zmęczenie nie były w stanie odebrać urody ani przesłonić wyrazu nieopisanego uniesienia.

— Boże, zmiłuj się!.. — wyszeptał nagle zdławionym głosem sir Martin Gamwell i przeżegnał się szybko, jakby chciał odpędzić urok czy zwid.

Coś jakby rzeczywiście pierzchło. Sir Twice The poruszył się niespokojnie na swym legowisku.

— Robin — rzekł cicho. — Już niedaleko do świtu. Nie możesz tu dłużej zostać, w domu zamartwią się o ciebie. Masz dość sił, żeby iść?

— Tak, sir Twvice! — zapewnił chłopak, ściągnięty tymi słowami z wyżyn nabożnego wzruszenia na ziemię. Natychmiast też bardzo posmutniał.

— To dobrze. Geoffrey, daj mu jeszcze parę łyków wina... Tak, niedługo już świt! Będą ścinać Jacka...

— O Boże!.. A ja...

Nagle to jedno przesłoniło cały świat. „Ścięcie Jacka"! Stracił Zieloną Noc, choć przecież zyskał przez to tyle — ale nie uczestniczyć w najważniejszym obrzędzie „Maja"?! I to kto miałby nie uczestniczyć — on, jedyny w Orszaku, który „sześć ukończył po dziesięciu" i z tej racji mający ściąć pierwszy „Jackowy" dąbek? Nie darowano by mu nigdy, do końca życia zostałby „pętakiem"!

Przerażony tą myślą, skoczył ku drzwiom. Ale na szczęście opamiętał się i zawrócił. Znow powiódł zakłopotanymi oczyma po fugitive'ach, nie ukrywających rozbawienia — i utkwił je w towarzyszcu niedawnej okropnej wędrowni. Coś gwałtownie, boleśnie ścisnęło za gardło. Przypadł do posłania i tak samo jak w parowie wśród olch — osunął się przy rannym na kolana.

— Sir Twice!..

W błyszczących gorączką oczach naprawdę tym razem dojrzał to, co mogłoby się wydawać niegodne Władcy Sherwood... Poczł, że jego serce też zrywać się zaczyna — i z całych sił zacisnął zęby, żeby nie zaszlochać. Twice The przyciągnął jego głowę ku sobie i na chwilę przycisnął do piersi, tak jak tam, na Plane's Glade... tylko że teraz Robin nie miał ani siły, ani chęci się wyrywać. Gdyby mógł, tuliłby się do sir Twice'a jak najdłużej, nie dbając o spojrzenia fugitive'ów...

Sir Twice odsunął go lekko, spojrzał mu w oczy i mocno pocałował w czoło.

— Niech cię Bóg błogosławi, Robin! — powiedział zmienionym głosem.

— I wam niech błogosławi, sir Twice... — wykrztusił „Knight”, przygryzając z całych sił wargi.

— Uczynił to już zsyłając mi ciebie.

Twice The jeszcze przez chwilę spoglądał z bliska w twarz chłopca. Odgarnął mu z czoła zmierzwione, brązowordzawe kosmyki.

— Masz w sercu odwagę i prawość, a w oczach dobroć! — powiedział cicho, znow prawie tak samo jak wtedy, gdy szli przez puszcę. — Zachowaj je przez całe swe życie. Bądź zdrów i pamiętaj o mnie!

— Może Bóg da, że znow się spotkamy, sir Twice...

Ale Władca Sherwood potrząsnął przecząco głową, a po jego twarzy przemknął lekki, smutny uśmiech.

— Nie, Robin, spotkania z takimi jak ja nie należy pragnąć. Rzadko ono następuje przypadkiem, tak jak nasze dzisiaj. Zazwyczaj przez zły los... A ty powinienes być szczęśliwy. Bądź zdrow, synu! — jeszcze raz przycisnął głowę chłopca do piersi. — I pamiętaj, że masz we mnie przyjaciela, na którego zawsze możesz liczyć. No, teraz już idź. Z Bogiem, Robinie z Młyna!

Chłopiec długo miał w uszach te słowa, gdy szedł — samotnie już teraz — przez bledniejący mrok puszczy. I wciąż widział przed sobą białą twarz sir Twice'a, i jego oczy błyszczące w świetle ognia nie tylko gorączką...

Sam nie wiedział, które z ogarniających go uczuć jest najsilniejsze: wzruszenie, duma czy radość? Sir Twice The nazwał się jego przyjacielem! W wieku zaledwie szesnastu lat zdobyć takiego przyjaciela — czyż to nie chwalebne?

I chyba jeszcze nigdy dotąd puszcza nie wydawała się chłopcu równie droga i bliska, jak w tej chwili. Była mroczna i groźna, szedł przez miejsca, których nie znał — ale nic tu nie budziło lęku, a wszystko — miłość. W niej się wychował, znał ją i rozumiał jej mroczne sekrety — lecz dzisiejsza noc była jakby potwierdzeniem serdecznej z nią więzi, jakby złożył jej najświętsze, najuroczystsze śluby. Oddał sir Sherwod'owi jego Władcę! To dzięki niemu, Robinowi z Młyna, sir Twice powróci do zdrowia wśród wiernych towarzyszy, a potem wraz z nimi sięgnie po nową sławę! Znow będą krążyć o nim legendy i pieśni, znow normańscy panowie i woodguardy będą drzeć przed jego imieniem! Dopóki będą na świecie tacy jak on... tacy jak on...

„Póki choć jeden szumi dąb,

Póki cal mierzy Trentu głąb

Dopóki chociaż jeden z nas

Nakłada kaptur, idąc w las...”

Myśli przebił wysoki, poranny trzask ptaka. Odpowiedział mu drugi, tak samo dźwięczny i porannie czysty. Puszczą się budziła! Serce „Knighta” zadrżało lekko, bo znów poczuł się szesnastoletnim Rycerzem z Oxton, członkiem Majowego Orszaku. Przyspieszył kroku, prawie biegł.

— Nie zdążę na Polanę...

Wyśmieją go, okrzykną pęta, oskarżą o zepsucie całego obrzędu — i będą mieli rację! Dickon powie, że znów obraził bóstwa, nie pozwoli uczestniczyć w Pochodzie i ściągnie z bioder „leafy- -girdle”... Ach, prawda, nie ma jej przecież na sobie — została w domu, wraz z sevenbold! A żadne złe moce nie niepokoiły, nie dokuczały. Może dlatego, że sir Twice był z nim?.. A może dlatego... dlatego, że żadnych leśnych duchów... nie ma?..

To może i obrzędem „ścięcia Jacka” nie warto się przejmować tak bardzo? Może wcale nie warto biec na Polanę?

Starał się jednak biec, choć siły, na krótki czas przywrócone drzemką, działaniem szlachetnego trunku, podnieceniem i wzruszeniem — wyraźnie go opuszczały. Powrócił ból w ramionach i plecach, omdlałość mięśni. Nogi plątały się i uginały, poranione stopy z trudem sunęły po korzeniach i nierównościach, a oczy piekły jakby ktoś popiołem w nie sypnął. Zamiast zielonego stożka „Jacka” coraz natrętniej nasuwała się przed nie... wyszka, tak kusząco i miło wysłana słomą i owczymi skórąmi. Och, wdrapać się na nią jak najprędzej! Ale nim będzie mógł się wdrapać, to przecież wuj Will... Nie, teraz nie będzie o tym myślał!

— Usiądę na chwilę... — postanowił i skulił się pod najbliższym drzewem.

Zasnął, nie zdążywszy chyba nawet dobrze usiąść — snem tak od pierwszej chwili głębokim i twardym, tak pozbawionym wszelkich obrazów i majaków, że przypominało to raczej omdlenie. Długo nie mógł się wyrwać z otchłani tego ciężkiego snu, choć ktoś szarpał go za ramię coraz mocniej, coraz gwałtowniej...

Ocknął się wreszcie, otworzył oczy i krzyknął z trwogi. Ale w następnej sekundzie pojął, że nachylona nad nim twarz, choć istotnie przerażająca — jest przecież dobrze mu znana, bliska i przyjazna.

— Jake!.. — wykrztusił ze zdumieniem. — A ty skąd tu się wzięłeś?

Niemowa patrzył na niego oczyma pełnymi zgrozy.

— Co się stało? — zdziwił się jeszcze bardziej Robin, który przecież nie miał pojęcia o tym, jak wygląda. — Szukałeś mnie?.. A cóż to, czy sam bym do domu nie trafił? Wuj cię posłał?.. — przełknął nieznacznie ślinę. — Bardzo na mnie źli, co?

— Trudno, swoje tam oberwę! — Robin z udaną beztroską wzruszył ramionami. — Nie wiem, jak się to stało, ale wracałem z Polany i zbłądziłem jak pętał, wiesz

—!—

Jake wydał trwożny, gardłowy okrzyk i ostrzegawczo zamachał dłonią. „Knight” przez chwilę śledził ze zdumieniem jego niespokojne ruchy.

— Co? Mam nie gadać, że byłem na Polanie?.. — widząc potakujące skinienie głowy kaleki, przygryzł wargi i milczał przez moment. — Chodźmy, niech już będzie, co ma być! — rzekł wreszcie z determinacją i dźwignął się z ziemi.

Chciał ruszyć lekko i dziarsko jak zawsze — ale było to niemożliwe. Znów plecy zabolowały okropnie, znów zapiekły pokaleczone stopy. Stłumił jęk i oparł się o drzewo. Jake patrzył na niego przez chwilę, a potem ogarnął go ramionami i podniósł, mocno przytulając do siebie.

— Coś ty!.. Puszczaj, sam pójdę! — szarpnął się Robin.

Jake jednak ani myślał go puszczać, przeciwnie, jeszcze mocniej przycisnął do siebie. Ruszył szybkim krokiem, a „Knight” już po chwili zaprzestał daremnego szamotania się. Wiedział, że Niemowa niesie go bez trudu. I tak dobrze było wtulać się w jego silne ramiona, opierać zmęczoną głowę o mocną, szeroką pierś, ozdobioną po-

szarpanym sukiennym krzyżem... Nie nie bolało, nie czuło się zmęczenia... Był już bliski zapadnięcia na nowo w sen, gdy posłyszał bliskie pluskanie Trentu.

Przecknął się natychmiast. Sercem szarpnął strach. Zaraz stanie przed wujem, a wuj zapytają, gdzie był przez całą noc! I dlaczego zaniedbał obrzędy Polany, czego przecież żaden chłopak nie ośmieliłby się uczynić! Co powiedzieć?.. Kłamać nie potrafił, brzydził się tym. A jednak trzeba będzie... Nie, wcale nie trzeba! Zamiast kłamać — można przecież milczeć! Tak jak przy wyplataniu „Jacka”! Pewnie nie dla zabawy, lecz dla takich właśnie ważnych spraw „Jacka”! uczy milczenia!

Pod nogami Jake'a dudniły już deski mostku. Nagle zdecydowany, Robin energicznie wysunął się z ramion przyjaciela.

— Teraz już mnie zostaw, pójdę sam. I, Jake...

— ?—

— Nie wchodź za mną do domu. Idź do młyna albo zostań na dworze. Ja... ja muszę to jakoś sam...

— ?—

— Muszę sam, rozumiesz? — wybuchnął z rozpaczą chłopiec. — Nie chcę, żebyś był przy tym! Nie chcę, żebyś mnie bronił!... Wcale się nie boję, słyszysz?

Zostawił na mostku osłupiałego kalekę i tak prędko, jak tylko potrafił, podążył ku chacie. Już miał ująć zawór drzwi, gdy raptem opuściła go tak desperacko wzniecona odwaga. Cofnął się o kilka kroków. Właśnie w tej chwili drzwi się otwały ze skrzypem i na progu stanął wuj Will.

Obaj jednakowo skamienieli i wlepili w siebie wzrok.

— Chodź! — wymówił wreszcie ochryplym, wysiłonym głosem wuj.

Izba pełna była swędu i dymu z łuczywa. „Knight” zerknął na nie machinalnie i jakoś bez sensu pomyślał, że wygląda na zupełnie świeże, dopiero co założone. Po co, skoro już ranek i na dworze całkiem jasno? I czemu wyzior jeszcze zamknięty? Po świeżym powietrzu puszczy zaduch po prostu dławiał, Robin aż się nim zakrztusił. To przywróciło go do opamiętania. Nagle zrozumiał: wuj nie zmrużyli tej nocy oka, nie kładli się wcale, przez cały czas światło palili, czekali! Czekali na niego! Porażony ogromem swego przestępstwa, chłopiec zastygł przy drzwiach i utkwiał wylęknięte oczy w bladej twarzy przybranego ojca, w zjeżonym zaroście, w opuchniętych powiekach...

— Cóż tam sterczysz? Pójdź tu bliżej! — rozkazał tak samo ochryple i z wysiłkiem młynarz.

„Knight” podszedł i stanął w kręgu światła rzucanego przez smolak. Starał się nie opuszczać oczu, ujrzał więc, jak twarz wuja Willa zastyga w wyrazie nie ludzkiej trwogi. Przypomniawszy sobie, że taka sama zgroza widniała w oczach Jake'a, gdy ten nachylał się nad nim w lesie. I dopiero teraz pomyślał, że to chyba jego wygląd musi budzić lęk.

Will nie wierzył własnym oczom. Robin jeszcze nigdy nie powrócił z puszczy w tak okropnym stanie. Wyglądał zupełnie jak leśne straszdyło, i to takie z najgorszych i najzłośliwszych. Jakby umyślnie tarzał się w błocie, taplał w strumieniach, czochrał w kolczastych zaroślach, ogarnięty jakąś diabelską uciechą. Na twarzy nie było skrawka czystej skóry, w zmierzwioną jak wronie gniazdo grzywę wplątały się suche liście i źdźbła. Wyzierające spod pełnego dziur, świątecznego kaftana nagie ręce i pierś zdradzały brak koszuli, a nogi, widoczne przez poszarpane pończochy i opadające w strzępach onuce — były czarne jak matka ziemia, poobijane i zdrapane do krwi.

— Na Święte Imię Jezusa!.. — wychrypiął młynarz. — Gdzieś ty był?..

Chłopiec milczał.

— Boże, Stwórco w niebiesiach! Jak ty wyglądasz?! — Will chwycił go za ramiona. — Gdzieś był? Coś czynił? Gadaj w tej chwili!

Znów odpowiedziało milczenie. Will poczuł, że w miejsce trwogi zaczyna ogarniać go pasja.

— Gdzieś łąził przez całą noc? — ścisnął barki chłopca i potrząsnął nim mocno. — Nie było cię na Polanie, Strzała i ten... jak mu tam... Śpioch z gospody przychodzili pytać, co z tobą! Gdzieś był?

Matt i Walińczyk cię napadli po tej burdzie, w którąś się z nimi wdał?! Podobnyś do Belzebuba, wytarmoszonyś i utarzany w błocie! Mów mi zaraz, gdzie cię nosiło?!

Robin milczał uparcie, choć ilość wypowiedzianych przez wuja słów świadczyła o ogromnym gniewie, a ów gniew przeszywał serce chłopca trwogą — tak jak uścisk żelaznych garści przeszywał bólem i bez tego obolałe ramiona. Wzdrygnął się, gdy posłyszał imiona kolegów. Patrzajcie, jacy troskliwi! Pytać o niego przyszli! Prosił ich kto o to? I wygadali, że nie był na Polanie... aha, pewnie dlatego Jake ostrzegł!.. A Śpioch, gamoń, o bójce też wyśpiewał, choć przyrzekał...

Ale w następnej chwili przyszło mu posłyszeć coś o wiele gorszego!

— A możeś był z tą... — Will zmełł w zębach wyzwisko. — Z tą z Londynu, co cię na Rycerza wybrała? Za to, żeś jej przed jakimś sir de Courtenay'em na gościńcu bronił?..

Gdyby zamiast tych słów piorun nagle trzasnął w sam środek izby, „Knight" z pewnością mniej by się przeraził. Zabrakło mu tchu, w oczach pociemniało, krew gorącą falą uderzyła do twarzy. Jezus Maria!.. Więc Pete — i Dickon chyba też, skoro z nim był!..—wygadali się o wszystkim?..

Widoczna trwoga i gwałtowny rumieniec, którego nie była w stanie ukryć warstwa brudu, rozwścieczyły Willa do reszty.

— Na Świętą Trójcę, będziesz ty wreszcie gadał? — ryknął. — Więc z nią byłeś, tak? Zwabiła cię, panna majowa!.. Tak na cześć swą zważasz, ty bezwstydnego ladaco! Jeszcześ dobrze od ziemi nie odrósł, a już ci się bezceństw zachciało? Scarlet sign myślisz przywdziać, smarkaczu, siebie i nas wszystkich na hańbę wystawić!.. Na świętego Laurence'a, przecież ja ciebie... Coście czynili? Gadaj!..

Krew, która przed chwilą buchnęła chłopcu do twarzy, teraz równie gwałtownie spłynęła do serca i zakrzepła na lód. Pod Robinem ugięły się nogi. To było stokroć gorsze od najohydniejszych drwin Matta, od najbardziej plugawych klątw, jakie kiedykolwiek w życiu zdarzyło mu się posłyszeć. Łzy oburzenia, rozpaczy, wstydu i śmiertelnie zranionej dumy zadławiły w gardle. Sercem targnęła wściekłość — tym straszniejsza, że przecież musiała pozostać bezsilna. Wuj, ten dobry, mądry i troskliwy, choć surowy i szorstki wuj Will wydał się nagle chłopcu wstrętny, wrogi i nienawistny jak nikt na świecie. Jak mógł, jak śmiał posądzać go o tak okropne rzeczy i rzucać w twarz niegodziwe oskarżenia? Czym on, Robin, zasłużył sobie na to? Czym uwłoczył swojej czci albo czci Maud? Przecież to niemądre zauroczenie już pierzchło, pozostawiając tylko żal, wstyd i niesmak! Sir Twice The tak mądrze, z taką powagą i tak pięknie umieli to wytłumaczyć, a wuj... o scarlet sing gadają!.. O Boże! Tego nie można ścierpieć, to jest ponad miarę okrutne i wstrętne!

Nadludzkim wysiłkiem opanował zrywający się w gardle szloch rozpaczy i obrazy. Zacisnął pięści i podniósł głowę, wierząc, że wyraz jego twarzy zdradza tylko oburzenie i dumę. Postanowił natychmiast skończyć to bezlitosne i pozbawione sensu badanie. Prawdy przecież nie wyzna, a wuj gotowi go posądzić o jeszcze gorsze zbrodnie!

— Powiem wam tylko tyle: nie uczyniłem nic złego! — rzekł trochę wprawdzie zdławionym, ale opanowanym głosem. — A więcej nic już ode mnie nie usłyszycie!

— Co?.. — wychrypiał Will i zaniemówił. Jego dłonie, straciwszy widać nagle siłę i czucie, zsunęły się z ramion chłopca. Może dlatego Robin uczuł w sobie jakąś straceńczą odwagę.

— Nie pytajcie mnie o nic więcej, bo słowa nie powiem! — nigdy dotąd nie pozwolił sobie wobec przybranego ojca na tak twardy, wyniosły i zawzięty ton. — Nie jestem już dzieckiem, mogę mieć swoje własne sprawy!..

— Jak powiadasz? — wuj odzyskał głos. — Własne sprawy?..

Jego rozdygotane dłonie zupełnie inaczej niż zawsze schwytyły kościaną klamrę i przez długą chwilę daremnie usiłowały ją rozpiąć.

— Dam ja ci twoje własne sprawy, smarkaczu! Nie powiesz słowa?.. Zobaczmy, czy nie powiesz!..

Dusząc się z pasji, rzucił zwyczajny w takich chwilach rozkaz. Robin wykonał go i w milczeniu obserwował coraz gwałtowniejsze ruchy wujowych dłoni, które nareszcie zdołały osiągnąć zamierzony cel. Na chwilę strach przed bólem zmroził serce, przebiegł dreszczem po ciele — i nagle odżyły w pamięci słowa: „...Pozwolił się porzucić na strzepy, a słowa nie przemówił!..” Skoro sir Fitz-Ooth potrafił, to widać można znieść najstraszniejszy ból i milczeć. A zwyczajne lanie — to nie normańskie tortury! Mogą wuj pracować choćby i na śmierć!..

— Ostatni raz pytam: gdzieś był i coś czynił? Gadaj!

„Knight” zgodnie ze swą zapowiedzią nie wyrzekł ani słowa.

Zwarł tylko mocno zęby, wyprostował się, uniósł głowę tak wysoko jak było to możliwe i spojrzał przez zmrużone rzęsy tak wyzywająco i z tak niesłychaną pogardą, że Willa, mówiąc jego słowami, krew zalała do reszty. Chwytał chłopca za kark i energicznie przełożył przez oparte o ławę kolano. Robin nie stawiał oporu nawet drgnięciem jednego mięśnia. A potem też się nie poruszył i nie wydał z siebie głosu,

tylko wydobywający się przez zaciśnięte zęby oddech stawał się coraz gwałtowniejszy, aż wreszcie zaczął przypominać spazmatyczne zachłystywanie się.

Chyba jeszcze nigdy w życiu Will nie stracił panowania nad sobą do tego stopnia. Straszliwa noc, spędzona w trwodze i upiornych zwidach, przerażenie wywołane wyglądem chłopaka i wreszcie wściekłość, o jaką przyprawiło go nieznane mu dotąd zuchwalstwo Robina — wszystko to wybuchło w nim tak, jakby nagromadzona ponad miarę woda Trentu rozerwała upusty i runęła z hukiem, nie dbając o to, co zmiecie i zniszczy. Bił tęgo, w jakimś rozpaczliwym zapamiętaniu — i nie wiadomo, jak długo by to trwało, gdyby nagle z wyszki nie rozległ się przeraźliwy, pełen trwogi wrzask Mucha:

— Tato!!!

Niemal w tej samej chwili wpadł do izby Jake i przyskoczywszy, prawdziwie stalowym chwytem garści unieruchomił wzniesioną, karzącą rękę.

Robin wyprostował się. Ruchem głowy odrzucił opadłe na twarz włosy i utrzymał głowę w tym wyniosłym odchyleniu w tył. Spojrzał na wuja i na Jake'a ogromnymi, pociemniałymi z bólu oczyma, w których nie było śladu łez. Za to Much rozryczał się jak opętany.

Zdumiony i przestraszony Will aż cofnął się o krok. Po raz pierwszy widział coś podobnego. Wprawdzie nigdy się nie zdarzało, żeby Robin biorąc lanie płakał — zawsze jednak wydawał się taki nieszczęśliwy, zbolący i zawstydzony, że młynarz, choćby kara była jak najbardziej sprawiedliwa i słuszna, żałował swej surowości.

Ale w tej chwili twarz przybranego syna nie zdradzała nawet cienia wstydu. Wysooko uniesiona głowa, wyraz zawziętości i jakiejś niezwyklej godności w ściągniętych bólem rysach, płonące pod osłoną długich rzęs oczy, zaciśnięte we wzgardliwym grymasie wargi, drgające delikatne nozdrza — wszystko to było świadectwem nie upokorzenia, lecz ogromnej dumy. Jakby wzięte przed chwilą cięgi stanowiły nie karę, a za-

szczyt. Sponiewierany, umorusany, wytarmoszony, wychłostany Robin jak nigdy wyglądał na... knighta!

Nie wiadomo skąd zrodziła się w sercu Willa ta pewność, która przeszła je jak grot: tak musiał wyglądać przed piętnastu laty... ten, którego miana wymawiać nie wolno! Gwałtownie nabrał tchu, czując że jeszcze moment, a nie gniew, lecz rozpacz przyćmi mu rozsądek.

— Jazda do stawu! Wykap się, czupiradło, a porządnie! — huknął nieswoim głosem, drżącymi dłońmi zapinając pas. — A potem... mleka się napij i ruszaj spać! Tfu, obrzydliwość wprost patrzeć...

Wyszarpnął niepotrzebne już łuczywo z pierścienia, cisnął je w wodę i wyszedł z trzaskiem — sam nie wiedząc, dokąd i po co.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Mała lady

Dźwięk dzwonów, płynący ze wzgórza, na którym rozsiadły się wzniesione przed półtora wiekiem sumptem samego świętego króla Edwarda budowle i mury opactwa Holy Ghost, niegdyś siedziby benedyktynów, dziś domu pracowitych i pobożnych cystersów — niósł się echem po całej okolicy. Biegł po włościach sir Sherwooda, jakby zasłuchane weń dęby podawały go grabom, a jesiony olchom i kalinom. Tej niedzieli dzwony zdawały się bić uroczyściej, donioślej i bardziej nagłaco niż w inne pańskie dni. Nic dziwnego: niedziela Zesłania Ducha Świętego stanowiła przecież odpustową uroczystość świątyni!

Z Oxton i z Patton, z Morton's Eve i z Mirfield, z Dark Glade i z Marshville, z demesne sir Clarence'a, ze wszystkich należących do parafii zakątków rażno śpieszyły na to wezwanie gromady pobożnych chrześcijan, którzy dopiero co oderwali się od porannych harców i psot Pochodu Jacka-in-the-Greena, a o świcie w swoich wsiach przystrajali Majowe Drzewo w przeróżne wełniane, słomiane i wiklinowe cacka oraz zawieszali na nim dary dla leśnych bóstw. Teraz dziewczęta i dzieciaki niosły snopy zieleni i kwiatów, aby je poświęcono w kościele podczas nabożeństwa. Widok ten mógł w pełni potwierdzać słowa, wygłaszane w różnych okolicznościach przez surowego opata Egona. Brzmiały one: „Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek!”

Wiernym z parafii Holy Ghost stwierdzenie to nie spędzało snu z powiek. Nie widzieli niczego złego ani zdrożnego w prostodusznym łączeniu obrządków niewątpliwie pogańskich z chrześcijańskimi powinnościami. I bardzo sobie chwalili podwójne świętowanie tego dnia! Wesole ludowe zabawy napełniały serca uciechą, za to kościelne uroczystości stanowiły wzniosłe, nieopisane piękne przeżycie. Odpustowa solenna msza i nabożeństwo do Świętego Ducha, połączone z adoracją Najświętszego

Sakramentu i procesją, miały w sobie tyle dostojeństwa, przejmującego proste, wieśniacze, saskie dusze jakąś słodką, nabożną grozą! Opatowi Egonowi, przybranemu w ten dzień w złocistą infułę i kape, asystowało przy celebrze kilku tak samo wspaniale przyodzianych dostojników kościelnych, przybyłych na odpust. Na chórze i w przedniej części nawy cizbili się księża i diakoni. Zakonnicy śpiewali, aż sklepienie drżało, a choć nikt z parafian nie rozumiał słów tych pieśni — brzmiały one w czystym wielogłosie tak pięknie, że w ludziach, miłujących przecież śpiew, serca zamierały z radośnego zachwytu. Płonęły dziesiątki woskowych świec i oliwnych lampek, a ich złote płomyki odbijały się po tysiącokroć w kościelnych aparatach i wydobywały migotliwe, tęczowe błyski z klejnotów, ozdabiających szaty biskupów i świeckich znakomitych gości. Słodki dym kadzideł wprost oszałamiał. Było na co popatrzeć i czego posłuchać! Nie tylko pieśni, gdyż odpustowe kazania miały o wiele ciekawszą formę i treść niż zwyczajne, niedzielne...

Nic więc dziwnego, że parafianie podążali do Holy Ghost żwawo i radośnie, pozdrawiając się po drodze Bożym imieniem, albo też — jeśli ktoś jeszcze nie całkiem uświadomił sobie, dokąd idzie — życzeniami „wesołego Maja”.

Uśmiechnięte Majowe Panny w swych zielonych wiankach tuliły do piersi kwietne naręcza, misternie splecione równianki lub snopy pachnących ziół. I w swej dziewczęcej radości i wiosennej świeżości same były podobne do leśnych kwiatów.

W nakazanej obyczajnością oddali od dziewczęcych gromadek bielity się — jakby potwierdzając wyspiarską nazwę święta — „se- venbolds” na jasnych i ciemnych czuprynach. A te majowe ozdoby chłopców i dziewcząt też mogły przywozić na myśl gniewne słowa opata Egona. Bo wianki i przewiązki, jeszcze wczoraj chroniące przed czarami leśnych straszycieli — dziś z równie szczerą wiarą wyrażały... prośbę młodych, niewinnych serc o Siedem Darów Ducha Świętego! Taką bowiem rolę od dawna przypisali im wielebni

ojcowie...

Chłopcy, nie wyzbyci jeszcze „Jackowego” animuszu i wesołości, kroczyli zawiadaczają i dzieląc się świeżymi wrażeniami, wybuchali co chwila śmiechem. Niemal wszyscy zaś szli z rękami założonymi do tyłu, nie bardzo wiedząc, co z nimi począć: do kościoła nie wolno było chodzić z „bonnies”.

Gospodarze rozprawiali z powagą o sprzyjającej pogodzie, o nadchodzącym sianokosie i nieco odleglejszych żniwach, albo też z troską — o tym, że podatek na królewski okup znowu wzrósł, że dla sokmanów nałożono nowy, od posiadania drugiego wołu, że krążą słuchy, jakoby od jesieni miał obowiązywać podwójny — od posiadanego sprzężaju, że mieszkańcom demesne na okoliczność przyjazdu sir de Clarence'a wypadło złożyć zupełnie niespodziewane „obied- ne”... Ale nawet te troski widziały się jakieś możliwe do zniesienia w ten ciepły i zielony, słoneczny, majowy, odpustowy ranek!

Niewiasty ogarniały czujnymi spojrzeniami młodzież i w ogóle bliźnich, zaznaczając sobie w pamięci co ciekawsze spostrzeżenia lub doraźnie dzieląc się nimi z napotykanymi krewniaczkami, sąsiadkami i znajomymi. Dzieci smyrgały pomiędzy tłumem, gwizdząc jak opętane na zwiniętych liściach, zielonych łądogach zboża i świeżo ulinionych świstawkach. A ponad tym wszystkim brzmiała spiszowa, uroczysta, nagła muzyka dzwonów i też jakiś świąteczny, łagodny, przyjazny śpiew sir Sherwood'a w którym to śpiewie, jak w zakonnym chórze, szum drzew, szczebiot ptaków, i szmer strumieni łączyły się w czysty i doskonały wielogłos.

„Maj”!.. Whitsunday!... Uroczystość Zesłania Ducha Świętego!... Odpust w opactwie!..

Myliłby się wszakże ten, który sądziłby, że wszyscy wierni zamieszkujący tę okolicę jednakowo radośnie witają świąteczny dzień! Według parafialnych zapisów Holy Ghost liczba owych wiernych, łącznie z demesne, wynosiła około siedmiuset dusz. Jeśli nawet nie każda z tych dusz ogarnięta była tego ranka zbożną radością — to pięć z nich bez wątplenia przytłaczały smutek, rozgoryczenie i wzajemne, choć nie

wypowiadane głośno, pretensje. A wśród tych pięciu jedna była prawdziwie godna pożałowania. Chwilowo jednak nie miała tej świadomości ani świadomości niczego. Ciężkie nocne i późniejsze przeżycia tak bowiem znużyły jej posiadacza, że pogrążony był w głębokim śnie.

Odgłos dzwonów z opactwa zastał innych mieszkańców młyna — troje, bo Jake nie chodził do kościoła i nie było siły zdolnej go do tego zmusić! — zbierających się do wyjścia na mszę. Wszyscy troje byli jak najdalsi od świątecznego nastroju. Will ponury i gniewnie milczący, Agnes pełna rozżalenia i lęku, a Much wciąż jeszcze zabezpieczany. Humoru Jake'a nikt nie znał, gdyż Jake zaraz po porannej przeprawie zapodział się gdzieś i niesposób było ani go odszukać, ani się dowołać.

Od powrotu Robina i tego, co zaraz potem nastąpiło, małżonkowie zachowywali wobec siebie milczenie, porozumiewając się jedynie półsłówkami i gestami — i jedynie wówczas, kiedy było to naprawdę niezbędne. Oboje też, jakby się umówili, starali się omijać wzrokiem podstrysze, z którego dolatywał równy i głęboki, świadczący o mocy młodego snu oddech.

Kiedy jednak echo puszczy i fale rzeki przyniosły dźwięk dzwonów z opactwa, Will przemógł się jakoś i oświadczył sucho:

— Trza go obudzić. Niechaj się prędko odziewa i...

— A cóż ma odziać? — przerwała z gniewnym rozżaleniem Agnes. — Ten kościelny kaftan tylko na gnój cisnąć, a w codziennym nie uchodzi mu iść przy odpuszcie...

— Skoro kościelny zszargał, to pójdzie w codziennym i kwita!

— Nie, nie pójdzie! Ten codzienny i zniszczony, i krótki, ani mu do kolan nie sięga! Obraza boska by była i wstyd przed ludźmi...

— Jaki tam wstyd!

— I pewnie! Musiałby i twoje pończochy, i chodaki wdziąć, a za wielkie przecie na niego! Jakże będzie w tym wszystkim wyglądał? Na języki nas wezmą, powiedzą że w sam odpust chłopakowi byle jaki przydziejek do kościoła dajemy i nie stoimy o sierotę...

Will drgnął i skrzywił się przy tym słowie, jakby go coś zabolalo.

— To jak ma być? — zapytał jeszcze gniewniej, nie chcąc zdradzić swych prawdziwych uczuć. — W takie święto mszę opuści? Mało jeszcze nabroił, żeby trzecie Boże przykazanie łamać? A i nasz to będzie grzech, pamiętaj!

— Przecież księża uczą, że jak kto nieprzystojnie odziany do domu bożego przychodzi, to też grzeszy! — odpaliła rozgniewana. Agnes.

Prawdę mówiąc, chodziło jej głównie o to, aby Robin jak najdłużej spał i nalezyście skrzepił się tym snem. Powrotu nocnego włóczykija i tego, jak przywitał go Will, nie widziała: doiła wtedy owoce. Ale gdy weszła do izby zaraz po tym przywitaniu.... Do teraz ją serce bolało! Za taką winę należała się kara, lecz Will stanowczo zbyt mocno pofolgował ręce! Trza nie mieć serca ani sumienia, żeby tak chłopaka skatować! Niechże się teraz nieborak chociaż wyśpi, niech wypocznie — zwłaszcza, że Will, jak widać wciąż na niego gniewny...

Na argument żony młynarz nie potrafił już znaleźć odpowiedniej repliki. Mruknał tylko coś niezrozumiale i wspiął się ku wyszce. Miał zamiar obudzić winowajcę, zagrożonego nowym grzechem, i kazać mu natychmiast się zbierać do Holy Ghost. Wszystko jedno, w jakim przydziejku! Z tą myślą spojrział w kąt izby, gdzie na kołkach wisiała ich powszednia odzież. I nagle znów poczuł ukłucie w dołku: od barwionej dębina wełny synowskiego kaftana tak śnieżną bielą odbijało się zwisające pasmo sevenbold... Młodzieńczej przewiązki, której Robin nie wdział poprzedniego wieczoru...

Czym prędzej odwrócił od niej wzrok i spojrzał na legowisko. Uczyniło mu się na duszy jeszcze gorzej i wstrętniej. Głęboko uspiiony chłopiec leżał na wznak, rozrzucając bezwładnie smukłe ramiona, tak właśnie, jakby go trafiono strzałą w biegu. Twarz, otoczona chmurą brązowordzawych włosów, trochę jeszcze wilgotnych po kąpieli, nawet teraz, we śnie, miała ten sam wyraz zawziętej dumy.

O tej porze pod dachem było już gorąco, więc skopał z siebie skóry i spoczywał na słomie jak go Pan Bóg stworzył. Ta dumna mina, a jeszcze bardziej młoda nagość, która nagle wydała się Willowi równie zuchwała i wyzywająca — wzmogły tkwiące w duszy podejrzenie, a właściwie przekształciły je w bezlitosny osąd. Bo cóż można było pomyśleć o chłopaku, który przez całą noc gdzieś się szwenda, wraca wytarzany, wymęczony i podobny do diabła — i słowa nie chce rzec o tym, gdzie był i co czynił?..

Ponownie rzucił okiem na białą przewiązkę i ze świstem wciągnął powietrze przez zęby. Tak, słusznie Swithin ostrzegał: kogo ona około „Maja” pocznie w głowę uwierać, temu ją zły ściągnie! A on, Will, opędzał się od tych przestróg, zaślepieniec! I czego przyszło doczekać?... Dotąd nigdy o tym nie myślał, bo przecież Robin ledwie co z chłopięcych lat wyszedł i była to jeszcze odległa przyszłość — ale teraz nagle i ostro przeleciało młynarzowi przez głowę, że radość i duma z godnych, uroczystych zaślubin przybranego syna — nie pisane jemu, Willowi! Nie zdejmie kiedyś z rdzawych włosów, dziedzictwa po lady Joan, białego godła powściągliwości, aby oddać czystą i uczciwą młodość równie czystej i uczciwej, uświęconej sakramentem miłości małżeńskiej. Nie sądzone mu to, bo... nie ustrzegł!

Znów popatrzył na chłopca i ujrzał, że przez chmurną i zawziętą twarz przepływa we śnie błysk jakby radosnego wzruszenia i słodczy, a wargi rozchylają się w szczęśliwym uśmiechu. Trwało to zaledwie mgnienie oka, ale rozzłościło Willa tak, że omal nie splunął. Pełnym odrazy spojrzeniem przesunął po uspionej postaci. Dziwna rzecz: tak zwykle rozsądnemu, uczciwemu i wyrozumiałemu Willowi nie jego własne myśli

wydawały się w tej chwili brzydkie, nieobyczajne i niewłaściwe, tylko ten nikły błysk szczęścia we śnie i to śliczne, smukłe chłopięce ciało. W swym niewinnym obnażeniu wyglądało delikatnie i bezbronne, ale ogarnięty gniewem Will widział w nim coś wstrętnego, splugawionego. Z pasją, niemal brutalnie rzucił na nie leżącą najbliższą rękę owczą skórę i zlazł na dół.

— Może i słusznie gadasz! — rzekł ponuro do żony. — Niech lepiej zostanie...

— A pewnie! Gdzież to przy odpuście w takim odzieniu...

— Nie o odzienie idzie, tylko... — młynarz urwał, ale ciężar zanadto uciskał serce, więc podjął ochryple: — Wiesz, że dziś młodziaki w sevenbolds na mszę idą, aby o Siedem Darów prosić!... A jeśli on już... nie godzien swojej wdziac...

— Chryste Panie, Will!.. Opamiętaj się!

— Kiedy wczoraj gadałem, że pilnować go trza, to coś rzekła?! — gniew Willa, jak to zazwyczaj bywa, zwrócił się przeciwko żonie. — Że za mądry, by coś niepożyciwego uczynić! Naści teraz... mądrego!.. Tfu!..

— Will!..

— Doczekaliśmy się! Rada będziesz i dumna, kiedy nam tego twojego mądrego obsmyczą i w szkarłat przystroją!

— Will, na rany boskie!.. Przeżegnajże się, człeku!

— A co, inaczej ma być? Gdzie się przez całą noc włóczył, co czynił? Czemu się tak wyświechtął? Pacierze odmawiał, co? Szesnaście lat!.. Wczas się smarkaczowi zachciało!

— Nie mówże tak, bo nie wiesz! — jęknęła Agnes.

— Właśnie! Czemu nie wiem? Zawsze prawdę gadał, dlaczego teraz rzec nie chce? „Swoje własne sprawy ma”, bodajby go!.. Dam ja mu te „własne sprawy”!..

— Bój się Boga, Will! Toć stłukłeś go już tak, że chłopak ledwie żyw...

Will zacisnął zęby. Sam dobrze wiedział, że zanadto dał się ponieść złości, że stracił świadomość tego co czyni i że zbił Robina zbyt mocno, zbyt gwałtownie, zbyt boleśnie. Gdyby nie interwencja Jake'a, mogło się to jakimś nieszczęściem skończyć. Po prostu okrutnie obszedł się z chłopcem, którego kochał przecież bardzo i dotąd traktował na pewno z większą wyrozumiałością, niż wielu rodzonych ojców własne potomstwo. Ale czyż można się temu dziwić? Który rodzic ścierpiałby coś podobnego! I całonocną włóczęgę, i upiorny wygląd, i pogardliwe milczenie, i niesłychaną bezczelność? I... i co jeszcze?...

— Jeżeli mi nie wyzna, gdzie był i z kim, to nie tak oberwie!

I ręki, i pasa mi starczy! — warknął z pasją, zupełnie wbrew temu, co myślał i czuł. — Niech tylko ze mszy wróć! Święto czy nie, póty będę tłukł, póki prawdy z niego nie wytłukę!

— Will, ciebie zły opętał! Nic, tylko zły!

— O Stwórco w niebiesiech!.. Dopust na mnie zesłałeś, dopust prawdziwy, każąc mi go za swojego wziąć! — też zwykłą koleją rzeczy gniew Willa przeszedł nagle w żal, a w ochrypłym głosie zadrgało coś niebezpiecznie. — Jakże ja na tamtym świecie w oczy spojrzę...

Urwał, bo rozpacz i trwoga odebrały mu głos. Właśnie! Jak spojrzy w oczy lady Joan i sir Ericowi, jakież im zda rachunek

ojcowskiej opieki nad ich jedynakiem? A co rzeknie Swithin? Przeklnie chyba!

— Na świętego Alvina! Will, nie bardzo już wiedząc, co myśli i gada, trzasnął pięścią w słup podtrzymujący wyszkę. — Jeśli się to prawdą okaże, to... to nie spoczną, póki tej londyńskiej latawicy też nie postrzygą i precz nie przegnają! Wszystko uczynię, aby ją...

— Chryste miłosierny, Will! Przestańże już grzeszyć ozorem, człeku, bo ci go w kościele przy pacierzach do imentu odejmie! — wybuchnęła Agnes, a w jej głosie, dotąd tylko zboliałym i gniewnym, zadrżały nagle łyzy trwogi.

Will spojrział na nią, chciał jeszcze coś rzec, ale machnął ręką.

— Chodźmy już, bo mnie krew zaleje! — warknął i nie czekając na rodzinę, zamasyście podążył ku drzwiom.

Całą drogę nad Trentem przebyli w milczeniu, jeśli nie liczyć tego, że człapiący przodem z więzią tataraku, źdźbeł owsa i młodej dębiny Much wciąż pociągał nosem. Jednakże na gościńcu Will — z trudem, bo z trudem, ale jakoś zdołał włożyć na twarz pogodniejszą minę, a Agnes spojrzawszy na niego uczyniła to samo. Tylu ludzi podążyło ku świątyni, a wszyscy tacy majowi, odpustowi, radośni! Czyż godziło się nieść na widoku smutek i zgryzotę?

Do sąsiednich pogawędek, do wylewnych świątecznych powitań i życzeń młynarzowie nie czuli się jednak zdolni. Poprzestawali na krótkich chrześcijańskich pozdrowieniach, rzucanych ku mijanym znajomym — i na odpowiedziach na rzucane ku sobie.

Przez ciżbę pieszych raz po raz przepychały się zaprzęgi, od rycerskich karet po chłopskie wózki, i trzeba było śpiesznie uskakiwać na brzeg gościńca. Ponuro zamysłony Will czynił to zupełnie bezwiednie, i dlatego ogromnie go zaskoczył bliski turkot i prychanie konia, ściąganego lejcami tuż nad jego głową. Spojrział i dosłownie wrósł w gościniec, poznając gniadą kobyłę i wózek Jeffa Trójpalcego z „Trzech Dziaków”. A już całkiem mu sił zabrakło, gdy stwierdził, że za powożącym Śpiochem siedzi tylko sam Jeff. Maud nie było!..

— Witajcie przy święcie, Willu! — pozdrowił uprzejmie karczmarz, gdy Pete osadził całkiem kobyłę. — Bóg z wami, sąsiadko Agnes!

— Witajcie z Bogiem!.. — odwarknął Will, dziwiąc się, że Boże pozdrowienie przeszło mu przez usta.

— A Robin wrócił?.. Kiedy?.. — zagadnął z kozła Śpioch.

Will nie zdążył nic odrzec, bo Jeff zagrział:

— Pyta cię kto o co, gamoniu?! — po czym już spokojniej zwrócił się do zaciśniętego zębami młynarza: — Słyszałem, słyszałem, ponoć wczoraj wasz starszy drogi do dom zapomniał! Ale przecież wrócił, co?

— Wrócił!.. — burknął Will, zwierając zęby jeszcze mocniej.

— Tak to młodziaki przed „Majem” głupieją! — Stwierdził sentencjonalnie Jeff. — Ale miejcie wyrozumienie! Już tam po świętach tyłek pasem przekropcie, a dziś pokój dajcie...

Will nic już nie odrzekł, zgrzytnął tylko zębami i chciał ruszyć dalej, lecz w tej samej chwili Jeff dorzucił:

— A z moją Maud to dopiero prawdziwe nieszczęście!

— Co takiego?! — ryknął Will, nie zważając na to, że sunący gościńcem lub boży spogląda ku nim ze zdumieniem, zgorszeniem i ciekawością.

Jeff też spojrział zdumiony.

— Cóż to wam?.. Teraz już dziewczynie lepiej, dzięki Bogu, ale com wczoraj z nią strachu użył, tom użył. Nacierpiała się, biedula! Tak się z gęsiami śpieszyła, że cały garnczek wrzącego smalcu na nogę jej poszedł!..

— O Chryste miłosierny! — jęknęła z trwogą i współczuciem Agnes.

— A jeszcze ten ladaco na Polanie był! — Jeff wskazał Pete'a — Nie miałem kogo posłać po Dot-Zamawiaczkę, sam po nocy przez las biec musiałem! — uzałił się i nad sobą.

— A czemużecie po mnie nie przybiegli? — oburzyła się Agnes. — Przecie i ja jestem znająca, i bliżej wam byłoby!

— Z tego strachu do cna o was zapomniałem. No i widzicie, taki to dla dziewczyny „Maj” tego roku...

Will dopiero teraz uświadomił sobie, że stoi z otwartą gębą. Zamknął ją natychmiast. Dzień, który dotąd wydawał mu się ponury, szary i mroczny, nagle stał się takim, jakim był: słonecznym, zielonym i majowym. A jeszcze przed momentem budzący wstręt i nienawiść Jeff był najzacniejszym, najpocziwszym człowiekiem na świecie!

Dotarł do niego nagle cały sens słów karczmarza i pomyślał ze skrucą, że nie godzi się przecież czerpać radości z cudzej biedy i bólu! Więc westchnął w duchu ze szczerym współczuciem, że Maud — Majowej Pannie Maud! — na same święta przytrafiło się takie nieszczęście. Natomiast o uśpionej na wyszce nagiej chłopięcej postaci, w odmienionym kształcie rzeczy tak nagle wzruszająco bezbronnej i niewinnej, tak niesłusznie spotwarzonej, tak bardzo skrzywdzonej, biednej i ukochanej — nie miał po prostu ani siły, ani odwagi myśleć!

— Pójdźże do niej po mszy, Agnes! — zwrócił się schrypniętym ze wzruszenia głosem do żony. — Może bieduli lepiej dopomożesz niż stara Dot...

— A wiecie co? Jedźcież ze mną po mszy wszyscy do „Dzików”! — zaproponował ucieszony Jeff. — I tak tęgi dzban „ale” wam się ode mnie należy, Willu, a i niezgorszy łyk małmazji do tego...

— Niby za co? — Will udał zdumienie.

— Nie powiedział wam? Bał się pewnie, ale za to toście go pochwalić winni. Chwata macie, ot co! Ledwie to od ziemi odrosło, a odważne i zręczne, że niejeden starszy mógłby pozazdrościć!

— Cóż to gadacie?

— No, jakże! Przez tych dwóch hultajów, Matta i Walińczyka, to już mi zacni ludzie poczęli gospodę omijać, a on się z nimi w pół pacierza uwinął! Matt miał, czego chciał, bo przywodził chłopca do złości, aż słuchać było przykro. Zaś Robin nie pobił, tylko na pośmiewisko go wystawił, a to przecież większy wstyd. Zuch ten wasz „Knight”!

— No, we łbie jeszcze zielono, ale zręczny jest! — oględnie potwierdził Will, bojąc się, że inne słowa zbyt wyraźnie oddadzą stan jego ojcowskich uczuć w tej chwili.

— Ale nie stójmyż tu, ludziom drogi wzbraniamy! — opamiętał się Jeff. — Siadajcie, sąsiedzi, podwiozę!

— Bóg wam zapłać, zacny z was człek!

Much uszczęśliwiony, Agnes promieniejąca dumą, a Will z bardzo złożonymi uczuciami ulokowali się na karczmarzkim wózku.

Śpioch wywinął batem nad kobyłą i pojazd potoczył się wśród cizby ludzkiej, poprzedzany i najeżdżany przez inne wozy, kolaski i bryki — ku niedalekiemu już wzgórzu Holy Ghost.

* * *

W tym samym zaś czasie we młynie...

Kiedy stuk drzwi i chrzęst oddalających się kroków potwierdziły fakt, iż rodzina naprawdę udała się na mszę — Robin podniósł głowę znad posłania. Obudził się bowiem w chwili, kiedy wuj rzucił na niego przykrycie, i leżąc bez ruchu posłyszał wszystko, co zostało wyrzeczone. Nie zerwał się, nie krzyknął, nie rzucił, by całym sobą bronić własnej uczciwości, znowu tak strasznie znieważanej — tylko dlatego, że jakoś dziwnie osłabł. Jakby kości i mięśnie w nim stopniały, a serce przestało bić.

Przez moment myślał nawet, że pewnie umiera, i ucieszył się z tego. Ale niestety, nie umarł. Musiał wysłuchać do końca...

Kiedy pozostał sam, dalej leżał bez sił. I myślał, że na pewno ich już w sobie nie znajdzie, by bronić się tym, co miał na swą obronę: dumą, milczeniem, przekonaniem iż cierpi dla wielkiej i szlachetnej sprawy. Bo — ileż można znieść? Takie obrzydliwe, takie straszne posądzenie! Czym sobie na to zasłużył? Przecież tyle się nameczył, tylu wyrzutów sumienia i wstydu doświadczył, odpędzając od siebie złe i brzydkie myśli! Sam sobą gardził za sny i zwidy, podsuwane przez upartą wyobraźnię! Bo wiedział, że to grzech, że nie wolno... Mógł o Maud myśleć i śnić, ale nie odważyłby się... Boże, umarłby prędzej z zakłopotania i trwogi, niż ośmieliłby się dotknąć choć jej ręki! A wuj i o niej powiedzieli tak wstrętne... Gotowi jej jeszcze przed ludźmi nauragać, a ona pomyśli, że Robin z tej krótkiej, cudownej chwili w lesie zrobił jakąś grzeszną i paskudną sprawę, że wygadywał niestworzone rzeczy, że się może chwalił! Czy nie będzie miała prawa tak pomyśleć? I jakże będzie wyglądał w jej oczach? Nie tylko w jej — w oczach wszystkich! Taka hańba...

A to okropne lanie! Nieraz zdarzało mu się obrywać, ale zawsze było zupełnie inaczej. Wuj przystępowali do sprawy zupełnie spokojnie i pouczali o potrzebie posłuszeństwa i rozwagi też spokojnie, chłodno, po męsku. A gdy skończyli — zapominali prawie natychmiast i o gniewie, i o tym, co ów gniew spowodowało. Mijały i ból, i wstyd, w miejsce których pojawiało się błogie, beztroskie uczucie skwitowania, rozgrzeszenia i bezpieczeństwa. Świat wydawał się tak samo przyjazny i piękny jak dawniej. Nawet jeszcze piękniejszy — jak piękniejsze bywały słoneczne polany Sherwood, obmyte deszczem krótkiej i niegroźnej burzy...

A teraz Robin miał wrażenie, że przeszła nad nim nie zwykła lekka burza, lecz potworny huragan! Wcale nie czułby się pokrzywdzony, gdyby wuj przetrzepali skórę tak jak zawsze. Spędził przecież noc poza domem, a to ciężka wina, gdy ma się tylko

szesnaście lat! Ale wuj prali tak mocno, z taką złością, z nienawiścią prawie! To było całkiem do nich niepodobne i nawet — po prostu aż niegodne wuja Willa!

I złość wujowi wcale nie minęła. Zupełnie, jakby nad nieszczęsnym „Knightem” wciąż wisiała okropna, dławiąca czarność nawałnicy, skrywającej pioruny i gromy. Więc to odsądzenie od czci nie było jakąś chwilową myślą, wstrętą wprawdzie i oburzającą, ale zrodzoną właśnie tylko na moment, z trwogi i gniewu — i tym samym zasługującą na niepamięć! Nie, wuj dalej myślą o nim tak szkaradnie! Są pewni, że postąpił niegodziwie — i widzą go już w scarlet sign! Co za koszmar! I jak ich przekonać, że to przecież nieprawda?

Jak ich przekonać, skoro zapowiedzieli, że po powrocie ze mszy znowu będą tłuc, póki prawdy nie wy tłuką!.. A przecież prawdy powiedzieć nie wolno! I co? On, Robin, drugiego takiego lania na pewno już nie wytrzyma^ Nie ma w sobie hartu, woli i męstwa sir Fitz-Ootha... Doprawdy, lepiej byłoby już nie żyć!

Zaszeleściła słoma. Knight" podniósł znekąną głowę i ku swemu zdumieniu zobaczył pogromcę licznych pokoleń myszy i szczurów zamieszkujących młyn — ogromnego kocura Stilly'ego, który wskoczył na wyszkę. Robin z właściwą wyrostkom abominacją do tych czworonogów ledwie tolerował półdzikiego i samolubnego burasa, uważając go — nie bez podstaw — za krzywdziciela ptaków i małych wiewiórcząt. Stilly najwidoczniej odgadywał jego uczucia względem siebie, bo zazwyczaj omijał Robina z daleka. A zresztą w ogóle nie lubił nikogo oprócz Mucha i tylko jemu jednemu pozwalał się głaskać. Teraz jednak, o dziwo, podszedł ostrożnie do leżącego chłopca i ułożywszy się tuż obok jego głowy, zamruczał dobrotliwie i otarł wąsaty pyszczek o policzek „Knighta”.

Ten zupełnie nieoczekiwany przejaw współczucia ze strony tak zwykle wyniosłego i egoistycznego kociska — był ostatnią kroplą w kielichu goryczy. I do szczętu zniweczył puszczański hart.

Robin wstydził się leż nawet wtedy, gdy był sam. Dlatego, choć ogromnie się w tej chwili nad sobą litował — chyba jeszcze bardziej sobą gardził za słabość ducha. Ale mimo tej pogardy nie potrafił się opanować. Szlochał bezgłośnie, za to nad wyraz serdecznie, zaś owcza skóra, w którą wtulił twarz, była zupełnie mokra. Gdyby mógł wyznać prawdę, gdzie był tej nocy! I z kim był, i dlaczego powrócił w takim stanie! Wuj nie uważali by za łotra bez czci, lecz za bohatera... Ale wyznać prawdy nie wolno — przysiągł przecież. Och, sir Twice, zbyt wiele zażądaliście od swego przypadkowego fugitive'a! Właśnie... Gdyby on, Robin, naprawdę mógł się za kogoś takiego uważać — tym by się krzepił na duchu, z tego mógłby czerpać odwagę i siły! Ale nie jest przecież fugitive'em... Zostawił za sobą tę straszną, cudowną, jedyną w życiu noc i kryjówkę leśnych mścicieli. Musiał wrócić do domu — i kimże jest? Zwyczajnym Robinem z Młyna, smarkaczem z którym nikt się nie liczy i o którego nikt nie dba!.. Cóż teraz warte jego dzielność, poświęcenie i trud? Za to wszystko wuj po prostu sprął pasem — i to jak! I posądził i najgorsze...

Gdyby ktoś ujrzał teraz skuloną pośród skór i słomy, szlochającą gorzko i bezradnie szczupłą chłopięcą postać, całkowicie w tej chwili wyzbytą zwykłej „knightowskiej” werwy, wesołości i godności — pomyślałby niezawodnie, że młodość niesłusznie uważa się za czas szczęścia, pogody i beztroski. Młodość może bowiem nieść strapienia i udręki — gorsze nieraz od tych, które zsyła dojrzały wiek!

Uczucie bezsilnej rozpaczki przekształciło się raptem w równie bezsilny gniew. Dickon i Śpioch! To oni wszystkiemu winni!.. Przyobiecali milczenie, a mielią ozorami jak baby! O Śpiochu wiadomo, że głupi, ale Strzała? Niby poważny narzeczony, nosa drze, udaje że wszystkie rozumy zjadł — i pokazał, jaki to dorosły! Chociaż... nie, to chyba nie tylko ich wina! Wujowi Willowi nigdy by do głowy nie przyszło posądzać Robina o taką rzecz — gdyby ojciec Austin nie wygłosił wtedy tej dosadnej przestrogi o zbyt ciasnej sevenbold, którą zły może ściągnąć...

Ojciec Austin!.. Robin poderwał się nagle na posłaniu tak gwałtownie, że wystraszony i rozgniewany Stilly dał susa z wyszki na środek izby. O Boże, jakże mógł o tym zapomnieć? Nie jest fugitive'em, ale przecież — ich wysłannikiem! Gońcem sir Twice'a! Ma jego znak!.. I zamiast o tym pamiętać, beczy jak dzieciak. Wstyd!

Drżącymi z niepokoju i wzruszenia dłońmi odnalazł za wezłowiem pasek. Przez miękką jelenią skórę wyczuł okrągłość monety. Pokorciło go, żeby rozpruć zaszyte i spojrzeć na tajemniczy znak, ale gniewnie odpędził pokusę. Sir Twice tak kazali to schować — a więc jemu, „Knightowi”, nic do tego. Nie będzie ciekawy jak dziewczucha. On ma tylko oddać srebrnego szylinga z wrytym znakiem — ojcu Austinowi!

Budzący lęk zakonnik o przenikliwym wzroku, besztający surowo za popełnione i nie popełnione winy, nakazujący wujowi, by trzymali ostro i we wiadomy sposób uczyli posłuszeństwa oraz innych chrześcijańskich cnót — wydał się nagle przerażonemu, zrozpaczonemu chłopcu jedyną na świecie obroną i ucieczką. Tak, trzeba jak najprędzej do niego pójść! Teraz, w święta, nie można... Ale zaraz po „Whitsuntide”, w środę, Robin pobiegnie do opactwa i poprosi o spowiedź — u ojca Austina...

Mimo woli zadrzał. Dotąd nawet nie wyobrażał sobie ojca Austina w roli spowiednika. Jakże będzie wyglądała ta spowiedź? Co trzeba będzie wyznać? jZaraz... dziś nie był na mszy świętej! Przy odpuście! O Jezu, już to jedno wystarczy, żeby rozgrzeszenia nie dostać!.. A co jeszcze?.. Aha, słuchał paskudztw Matta! Ale czy to jego wina, czy chciał? I złością grzeszył, chociażby wtedy przy „Jacku”... To chyba wszystko?..

Nagle struchlał. Przecież musi też wyznać... Nie splamił sevenbold grzesznym uczynkiem, ale myślami — na pewno! Te pokusy, pragnienia, sny! Kiedy ojciec Austin o lady Godivie posłyszycy, to rany boskie!.. Może naprawdę włosiennicę i ciemnicę za pokutę naznaczy? Może post przez wiele dni? Może chłostę? Może nawet własnoręcznie skórę złoć? Czyni tak przecież...

A gdyby tak... jeszcze przedtem, przed spowiedzią — pokazać mu znak sir Twice'a? Może by wtedy łaskawiej penitenta potraktował?..

Wzdrygnął się z oburzenia. Nie, tak nie wolno! Nie godzi się! Sir Twice wyraźnie powiedzieli: potem! Widać ma to być świętą tajemnicą. I przecież ani ojcu Austinowi, ani jemu, Robinowi, nie wolno Pana Boga oszukiwać! Nawet gdyby szło o najważniejszy znak!

— Nie wolno! — powtórzył w myśli stanowczo, nawet nie podejrzewając, że w tym momencie tą właśnie myślą uczynił ostatni w życiu krok na niełatwej wprawdzie i pełnej przykrości, ale bezpiecznej przecież i strzeżonej ścieżce chłopiństwa. Że z tą myślą zdecydowanie wkroczył na twardą, mozolną, najeżoną zasadzkami, wypełnioną przepaściami drogę, którą przebywa się już całkiem samotnie: drogę męskiego wieku.

Nie wiedział o tym, lecz chyba podświadomie to czuł, bo nagle przestał drzeć skulony pomiędzy skórą, wyprostował się i dumnie rzucił głową.

Nie będzie się bał! Ani spowiedzi, ani ojca Austina! Nic nie może być gorsze od tego, co już musiał przecierpieć. Wszystko wyzna, niczego nie zatai! I jeżeli ojciec Austin orzeknie, że zasłużył na włosiennicę (swoją drogą, ciekawe, jak też się człęk w takim przyodziewku czuje?..) — to ją przywdzieje, trudno! I księżę ciągi też się znieśie, chociaż... brrr, dobrze, że nie dziś ma być ta spowiedź!

A poza tym... „Knight” odetchnął nagle, jakby mu ktoś zdjął z grzbietu stufuntowy worek. No właśnie! Przecież gdy wuj posłysz, że Robin z własnej chęci do spowiedzi idzie, i to do ojca Austina (sir Twice nie zakazali o tym mówić!) — to się od razu wstrętnych podejrzeń wyzbęda!..

Łzy już dawno obeschły, a w miejsce rozpaczy i bezradności wróciły do serca — radość, duma i świadomość własnej powagi, wzbogaconej o doniosły sekret. Robin zeskoczył z wyszki, wyprostował plecy i przeciągnął ramiona, w których wciąż czuł dokuczliwy ból. Mocno piekła i ta część ciała, którą powszechna opinia uważała za

stworzoną nie tylko do siedzenia i z którą ojcowska ręka wuja obeszła się tak Nielitościwie. Ale w tej chwili już niewiele to znaczyło!

Robin ubrał się szybko, a potem z pewnym trudem i nie bez bólu rozczesał gęste, splecione po kąpieli włosy. Uporawszy się z tym, bardzo dumnie i z majestatyczną miną — choć nie było nikogo, kto mógłby to widzieć — przewiązał czoło białą sevenbold.

„Nosisz sevenbold, nawet gdy nie przewiążesz nią czoła!..” zadźwięczały mu w myślach słowa sir Twice'a The. I odeгнаły resztki smutku i lęku. „Knight” nachylił się nad ceberkiem z wodą i spojrzał uważnie w jego głąb, tak jak to często ukradkiem robił od pewnego czasu. W obramowaniu dębowych klepek zobaczył młodą twarz, może trochę bledszą niż zwykle i z nieprzystojnie zaczerwienionymi oczami — ale wcale nie zatroskaną. I przewiązka na czole zdobiła ją tak pięknie! Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała uśmiechem. Szybko ochlapał się wodą, aby zmyć kompromitujące ślady.

Po tym wszystkim podszedł do komina, gdzie stał przeznaczony dla niego garneczek z mlekiem, nakryty sporym kawałkiem „majowego placka”. Po wszystkich przykrych przeżyciach, po kąpieli i śnie, po wybuchu rozpaczki i odzyskaniu rozsądku — „Knight” był głodny jak wilcze szczenię. Wydzieliwszy sporą porcję Stilly'emu, który mrużąc ocierał się o jego nogi — chciwie wypił mleko i z ustami pełnymi ciasta wyszedł z chaty.

Ujrzawszy siedzącego na mostku Jake'a, ruszył ku niemu. Gdy zobaczył, co Niemowa robi, zachłysnął się z radości.

— Dla mnie strugasz? — upewnił się.

Jake kiwnął twierdząco głową.

— Daj, sprawdzę wagę! — uszczęśliwiony chłopak złapał kij.

Wagi jednak nie warto było sprawdzać, bo na Jake'u polegało się bez zastrzeżeń. Nowa „bonnie” leżała w ręku wcale nie gorzej od dawnej. Robin westchnął na myśl o zgubionej wiernej towarzyszcze, która w ciągu roku wyświadczyła mu sporo przysług i dała jeszcze więcej powodów do dumy, ale zaraz uznał, że nie warto trapić się takim głupstwem. A Jake najpocziwszy na świecie! Nikt go o nic nie prosił, sam się domyślił, że Robin zgubił swoją „bonnie” — i od razu zasiadł do strugania nowej...

„Knight” otarł o kaftan poplamioną dębowym sokiem dłoń i z zachowaniem koniecznej w jego sytuacji ostrożności usiadł obok Jake'a, podobnie jak on zwieszając nogi nad wodą.

— Jake...

— ?... — Niemowa podniósł na niego pytający wzrok.

— Jake, ty przecież rozumiesz, że są takie sprawy, o których mówić nie można?.. — szepnął Robin i w tej samej chwili uświadomił sobie, że powiedział to bardzo niezręcznie, mimo woli sprawiając kalece ból. — O których... nie wolno mówić? — poprawił się zakłopotany.

Jake poważnie pokiwał głową.

— No więc mnie właśnie nie wolno! — oświadczył „Knight”. — Nie śmiem nikomu powiedzieć, gdzie w nocy byłem i co robiłem. Ale to nie było nic złego ani niegodnego, rozumiesz? Cieszę się, że to zrobiłem! I... i Zielonej Nocy wcale nie żałuję...

Jake zwrócił ku niemu okaleczoną twarz. Nie potrafił się uśmiechać, ale w jego niebieskich oczach można było dojrzeć w tej chwili dobry, przyjazny, pełen zrozumienia uśmiech. Robin zarumienił się lekko.

— I niepotrzebnie przyleciałeś mnie bronić. Mówiłem ci żebyś tego nie robił. Cóż wielkiego, że dostałem? Tego też mi nie żal!

Umilkł i przez chwilę obserwował umykające spod noża Jake'a wąskie strużynki kory. Wpadały do Trentu i porwane przez nurt, znikały pod mostkiem.

— Jake — odezwał się znów Robin — a ty w czasie krucjaty i potem w Palestynie często widziałeś króla? Jaki on jest?

— ?... — Jake drgnął i na moment zaprzestał strugania.

— Bo ja słyszałem, jak o nim ktoś powiedział, że on może i ma lwie serce, ale przede wszystkim wiatr w głowie! — wyjaśnił Robin. — Czy ty też tak uważasz? Powinieneś wiedzieć...

Uśmiechnięte oczy Jake'a pociemniały nagle i zrobiły się złe. Robin zrozumiał, że na taki temat lepiej z nieszczęśliwym weteranem nie rozmawiać. Prawdę mówiąc, zupełnie go nie interesowała ani krucjata, ani uwięziony gdzieś w jakiejś dalekiej, nieznannej krainie Wielkiej Ziemi król. Chciał w ten sposób — chociaż w taki — wspomnieć głośno sir Twice'a. Upewnić się tym wspomnieniem, że naprawdę był, że jest, że wraca do sił w swym sherwoodzkim „gnieździe”...

Spojrzał ze skruchą na Jake'a i zamilkł. Uniósł twarz ku niebu i kołysząc nogami nad wodą, śledził białe obłoczki mknące tak jak Trent — w stronę Zatoki. Słońce przyjemnie grzało zmęczone, obolałe plecy. Lekki, ciepły, majowy wiatr muskał twarz i przynosił na wargi delikatną, prawie nieuchwytną goryczkę dębowych liści. Robinowi wydało się nagle, że dotyka ustami krawędzi srebrzystego rogu, że czuje słodki, cierpkawy smak wina. Całkiem wyraźnie ujrzał przed sobą twarz sir Twice'a The i jego oczy, lśniące nie tylko blaskiem gorączki. Odżyły w pamięci słowa, wyrzeczone takim poważnym, wzruszonym głosem: „... Najlepszy, najdzielniejszy chłopak na Wyspie!..” I nagle wbrew wszystkim przeżytym dziś przykrościom „Knight” pomyślał, że świat — zwłaszcza w taki piękny, słoneczny i zielony dzień jak dziś — jest wart tego, żeby na nim żyć! I że to wspaniale mieć szesnaście lat!

— Hej, wy tam! — rozległ się za nimi czyjś szorstki, rozkazujący głos.

Obejrzeni się. Na skraju mostku stał jakiś wyniosły młodzian w odzieniu barwy — wprawdzie nie dworu sir de Clarence'a, lecz bez wątpienia jakiejś dworskiej barwy. I to, i gburowaty ton wystarczyły, by Robin poczuł do przybysza natychmiastową gwałtowną niechęć.

— Czego? — odwarknął zaczepnie. — A Boga pochwalić nie łaska?

Niespodziewany gość poszedł parę kroków bliżej, pełnym odrazy spojrzeniem obrzucił Jake'a i przeniósł wzrok na chłopca.

— Użyczcie no na chwilę narzędzi! — rozkazał sucho. Cierpka uwaga Robina widać wcale do niego nie dotarła.

— Jakich narzędzi?

— Potrzebny topór, młot, ośnik i pokrętło! — wyliczył rozkazująco młodzian. — Oś nam pękła, nie możemy dalej jechać!

— Jak kto taki mądry, że się w drogę bez narzędzi wybiera... — zaczął złośliwie Robin, ale Jake ścisnął go wymownie za ramię, wstał i ruszył ku szopie.

— Ciekawość, co byście uczynili, gdyby naszego młyna tu nie było! — zauważył Robin, spoglądając drwiąco na wspartego o mostek w pozie malowniczej i niedbałej młodzieńca. — Piech ty by podyrdać wypadło, co?

— Wraż nos w sos, smarku! — odparował wyniośle młodzian i odwrócił się, dając do zrozumienia iż nie zamierza wieść konwersacji. Robin pokazał język jego plecom i znów, kołysząc nogami, zapatrzył się w Trent.

Wrócił Jake, niosąc żądane narzędzia i z własnej już dobroci serca — część złamanego ongiś trzpienia, mogącą może od biedy zastąpić złamaną oś. Pytając pokazał ją gościowi, który łaskawie pokiwał głową. Robin chciał powiedzieć przyjacielowi, żeby to wszystko po prostu dał nadętemu słudze i na tym koniec, lecz kaleka, widząc przynaglający gest przybysza, ruszył za nim. „Knight” po chwili namysłu również

wstał i podążył ich śladem. Zawsze to coś ciekawszego niż bezczynne gapienie się w wodę!

Na poboczu gościńca ujrzeli przechylony w tył pojazd, który Robin natychmiast określił jako zgoła nie nadzwyczajny, lecz „taki sobie”. Wyprężono już z niego konie, szczypiące teraz trawę pośród przydrożnych drzew. Pokrzepiały się tak również i wierzchowe, przytrzymywane pieczołowicie przez pacholków.

Na widok nadchodzących przez okienny otwór kolaski wyłoniła się tłusta twarz jakiejś jejmości, okolona śnieżnobiałym czepcem imponujących rozmiarów. Robin zdziwił się niemądrze, dlaczego baba nie wysiadła — przecież jej niewygodnie w tak krzywo stojącym pojeździe!

— No i co tam, mości Stephen? — przemówiła piskliwie i gniewnie niewiasta. — Macie te narzędzia?

— Oczywiście, jejmość pani Adelo! — ton młodzieńca zdradzał teraz najwyższe uszanowanie. — Zaraz będą naprawiać!

— A mówiłam waszmości, żeby jechać ostrożnie!

— To ten gościniec do niczego. Trudno, stało się...

— Trudno! Trudno! — złościła się jejmość Adela. — Teraz na gaszenie świec zajedziemy albo już zgoła do bram zamkniętych!

— A bo to wam był mus na ten odpust jechać? — Stephen wzruszył nieznacznie ramionami. — Przecież sir Denis gadali, że Holy Ghost za daleko...

— Milcz waść! — fuknęła jejmość. — Bierzcie się do roboty!

— Ale teraz to już musicie wysiąść, nie da rady inaczej!

Jeden z pachołków podbiegł i odsunął deskę zamykającą pojazd a Stephen uroczyście dopomógł wysiąść jejmości, która — podobnie jak „lady” Margaret Shelton — okazała się być niemal równie wysoka, co szeroka w sobie. Upał widać srodze jej dokuczał, bo dyszała i trzymaną w dłoni chustką raz po raz ocierała pulchne oblicze.

— Ależ gorąc! — poskarżyła się, wyjaśniając tym tajemnicę swego przebywania w kolasce. — Wymość mi miejsce tam w cieniu! — rozkazała pachołkowi i sapnęła. Prędko naprawicie?

— Jak tylko zdołamy, pani Adelo! — zapewnił Stephen.

Pozostali pachołcy usiłowali unieść pudło kolaski, ale nie dawali mu rady. Jake ruszył na pomoc i zaraz się powiodło. Robin spojrział z wyrzutem na przyjaciela, tak gorliwie pchającego się do usług, o które nikt go nie prosił i których przecież wcale nie musiał temu jaśnie państwu wyświadczać. Pomoc bliźniemu — owszem, ale czy należy z tym przesadzać? Wystarczy, że narzędzia dostali, sami mogą się potrudzić! Dość ich przecież do roboty jest! Orzekłszy to w myślach, chłopak ostentacyjnie założył ręce, cofnął się o kilka kroków i oparł o pień drzewa — tak samo niedbale, jak wcześniej Stephen o poręcz mostku. Niech kto spróbuje i jego, Robina wezwać do pomocy! A zresztą jest święta niedziela!

Stephen istotnie spojrział w jego stronę raz i drugi, ale do pomocy nie wzywał. Może nie miał odwagi.

— Gdzież ta dziewczyna? — zaniepokoiła się piskliwym głosem pani Adela, która zdążyła już rozsiaść się wygodnie w cieniu przydrożnego dębu, na troskliwie podeślany przez pachołka kilimku. — Marian!.. Lady Marian, proszę wracać do mnie! Natychmiast!..

Wołanie, któremu zawtórowało śpiące pośród pni echo, pozostało bez odpowiedzi. Na tłustej twarzy pani Adeli odmalował się przestach. Jejmość z głośnym stękanem popróbowwała unieść się z miejsca.

— Lady Marian, proszę wracać! Marian, gdzie jesteś? — zawołała jeszcze głośniej i przenikliwiej.

Robin zdążył już dojść do wniosku, że naprawa byle jakiej kolaski — to nic interesującego, i zamierzał powrócić do młyna. Powstrzymała go jednak ciekawość, kogoż to tak głośno i z takim strachem nawołuje tłusta jejmość.

— Święta Dziewico! Zabłądziła pewnie!.. — jęczała pękata osoba, czyniąc daremne wysiłki, by wstać. — Marian! Lady Marian! proszę wracać!.. Gdzie jesteś?!..

— Tutaj! — odpowiedziało tym razem nie echo, lecz dźwięczny głosik, i coś zabłękitniało wśród pni.

Na drogę wybiegła dziewczyna, a właściwie dziewczynka, bo chyba nie mogła być starsza od Bobby'ego z Patton. Rzuciła okiem na zajętych pracą pacholków i Jake'a, po czym w podskokach ruszyła ku pani Adeli.

— Znalazłam strumień, aha! — oznajmiła z przechwałką w głosie. — I już się napiłam! Jak jejmość chcecie, to was też zaprowadzę i też się napijecie! To niedaleko i wcale żab w nim nie ma, nie będziecie się brzydzili...

— Boże święty! Jak ty wyglądasz, Marian! — krzyknęła ze zgrozą pani Adela.

Rzeczywiście wygląd „lady” imieniem Marian nie zasługiwał w tej chwili na miano wytwornego. Cały przód błękitnej sukienki ciemniał dużą, moką plamą, a na wysokości kolan czerniały dwa błotniste placki — pewnie musiała uklęknąć nad brzegiem strumienia. Jasne, spadające na plecy włosy, w domu pewnie starannie utrefione, teraz były w nieładzie, jakby Marian przedzierała się przez krzaki i zarośla, nie dbając o drogę. Zielony wianuszek zawadiacko zsunął się na jedno ucho.

I właśnie ten wianek jakoś mile zdziwił „Knighta”. Bo choć był mniejszy i nie tak okazały jak wianki Majowych Panien z Oxton — przecież mógł być tylko majowym, saskim wiankiem! Z pewnością nie włożyłaby takiego na głowę żadna normańska dziewczyna! Zaskoczony Robin przyjrzał się dziewczynce. Z tą umajoną główką i w wybrudzonej sukience wydała mu się nagle taka jakaś sympatyczna i taka Przy tym zabawna, że z trudem powstrzymał się od śmiechu.

— Jak ci nie wstyd, lady Marian! — wołała tymczasem oburzona jejmość Adela. — Jakże się teraz w kościele pokażesz!

— Do kościoła i tak już nie zdążymy. Nie macie o co na mnie krzyżeć.

— Boże, nowa suknia! Takiego leśnego błota żadnym sposobem się nie odczyści! Kiedy ty wreszcie zaczniesz szaty szanować, lady Marian? Wszystko zaraz albo podrzesz, albo wybrudzisz na nic! A dwanaście lat niebawem skończysz! Taka duża dziewczyna! Wstyd!

— O, aleście się zapocili! — zauważyła Marian. — Nie krzyczcie tak, bo wam od tego jeszcze goręcej!

Nie wiadomo, jak wyglądałaby dalsza rozmowa, gdyby w tej chwili od strony Holy Ghost nie nadleciała chmara wron, widocznie spłoszonych dźwiękiem procesyjnych dzwonów. Z ogłuszającym krakaniem zapadły w koronę jesionu, właśnie tego, pod którym stał w niedbalej pozie „Knight”. Nie przerywały swej wrzaskliwej narady, zagłuszając nawet odgłosy roboty przy kolasce.

Na twarzy lady Marian odmalował się wyraz zawziętej złości. Pędem ruszyła ku drzewu, odpinając po drodze jedwabną torebkę u paska. Nim dobiegła, wyszarpnęła coś z niej i Robin w prawdziwym osłupieniu ujrzał w jej dłoni — procę!

To już było zupełnie niewiarygodne. Wprawdzie młoda męska społeczność Oxton pogardzała procami — choć oczywiście należało umieć i z tego strzelać — ale jak świat światem nikt nie widział takiego oręża w dłoniach dziewcząt!

Marian stanęła nieopodal drzewa, wyjęła z torebki kamyk, wprawnie nałożyła go na łatkę struny i uniósłszy w górę jasną główkę — wymierzyła i strzeliła!

Strzał nie wyrzucił wronom żadnej krzywdy i chyba go nawet nie zauważyły, bo dalej wiodły swą chrapliwą kłótnię. Marian, ignorując piskliwe nawoływania opiekunki, posłała w koronę jesionu drugi kamyk i zaraz po nim trzeci. Jednakże przy czwartym strzale musiała widać szarpnąć zbyt mocno i zbyt gwałtownie, bo struna pękła z lekkim trzaskiem.

— O, do licha!.. — zawołała mała lady.

Z gniewem obracała w rękach bezużyteczną procę. Potem popróbowwała związać zerwaną strunę, co oczywiście nie dałoby żadnego skutku.

Robin jakoś całkiem mimo woli podszedł do dziewczynki.

— Może ja coś poradzę? — wyciągnął dłoń po procę.

— Naprawisz mi ją? — ucieszyła się Marian.

— A cóż to wielkiego? — „Knight” pobłażliwie wzruszył ramionami.

Wydobył z sakwy zwitek strun, których noszenie przy sobie młodzież Oxton uważała za obowiązek, odciął potrzebny kawałek i przyklękawszy pod drzewem, wprawnie zamotał końce na rowkach drewnianych widełek. Lady Marian, pochylona nad nim, z entuzjazmem śledziła ruchy jego rąk.

— Robisz to lepiej niż sir Arnold! — stwierdziła pełnym zachwyty głosem.

Robin nie wiedział, co to za sir Arnold, i wcale nie był tego ciekaw. Dociągnął zębami supły, odciął zwisające końce struny i oddał procę uradowanej właścicielce.

— Nie wolno tak mocno naciągać! — pouczył ją. — Trzeba z czuciem, tak żeby tu nie mrowiło! — dotknął barku. — A w ogóle po co strzelać do wron?

— Nie cierpię wron! — oburzyła się Marian.

— I co z tego? Można nie cierpieć, ale czemu zaraz z procy strzelać? Też zdobyć, wrona!

— Kiedy to wrony są wszystkiemu winne! — na buzi małej lady znów odmalowała się złość.

— Czemu są winne? — zdumiał się Robin.

— No, temu, że ojczulek nie wrócił z Palestyny! — wybuchnęła Marian, a w jej głosie oprócz gniewu zadrgał żal. — Kiedy się ze mną żegnał, to akurat wrony zaczęły nad nami krakać! I jejmość Adela powiedzieli potem, że to był zły znak!... I prawdę mówili, bo ojczulek nie wrócił...

— To nie tylko wrony temu winne, Saraceni też! — zauważył Robin.

— Ale gdyby wrony nie krakały, to by Saraceni nic ojczulkowi nie zrobili! I wróciłby do mnie! — zareplikowała z oburzeniem, żalem i istic dziewczęcą logiką mała lady.

— Lady Marian!.. Marian! — zawołała jejmość Adela.

— Zaraz! — dziewczynka niecierpliwie machnęła w jej stronę ręką. Obejrzała dokładnie procę, sumiennie zbadała całość i sprężystość struny, a potem zaciekawionym wzrokiem obrzuciła chłopca. — A ty umiesz strzelać z procy? — zapytała już bez gniewu. — Na pewno umiesz, bo skoro potrafisz naprawić... — odpowiedziała sobie sama. — To masz, spróbuj ty trafić do którejś!

— A po co? — „Knight” wzruszył ramionami. — Cóż mi po wronie? Nie trza zabijać bez potrzeby!

— Skąd wiesz, że zabiłbyś? — zachnęła się Marian. — Patrzcie go, jaki pewny!

Robin spojrział na nią z odrobiną politowania, wziął z jej ręki procę i nałożył kamyk, śpiesznie podany przez małą lady.

— Tam jest dziupla. Widać ją, prawda? — wskazał w górę. Najstaranniej unikał zwracania się do swej rozmówczynie w jakiegokolwiek osobowej formie. Na „wy” wydawała mu się stanowczo zbyt smarkata, tytuł „lady” po prostu go bawił, a mówić „ty” do szlachetnie urodzonej panny — jemu, sokmanowi, i to zaledwie szesnastoletniemu, za nic nie uchodziło.

— Widać, i co? — Marian zadarła w górę płową główkę.

— I to!

„Knight” odstąpił na stosowną odległość, wycelował i strzelił. Kamień zatoczył w powietrzu łuk i znikł w ciemnym otworze dziupli. Marian stała przez chwilę w niemym zdumieniu, nagle roześmiała się, podskoczyła i klasnęła w ręce.

— Udało ci się! Spróbuj jeszcze raz! — podała mu kamyk.

Chłopak, trochę dotknięty tym „udało ci się”, powtórzył sztukę.

Śmiech Marian wyrażał nieklamany zachwyt.

— Sir Arnold na pewno tak nie potrafi!..

— Cóż to wielkiego: strzelać z procy! — Robin wyniośle wzruszył ramionami.

— Ja wiem, że to nic wielkiego! Ale sir Arnold uczy mnie strzelać i z łuku, i z kuszy! — odparła urażona mała lady. — I mówi, że jestem zręczna! A ty strzelasz z łuku?

„Knight” nie raczył odpowiedzieć. O tego rodzaju umiejętnościach nie mówiło się w Oxton z obcymi, nawet gdyby to były zręczne do łuku saskie szlachcianeczki. Znów chciał wzruszyć ramionami, pohamował się jednak i tylko spojrział w bok.

— Kto ty jesteś? — zagadnęła nieoczekiwanie lady. — Bo ja jestem Marian... lady Marian Ferrers, córka sir Ryszarda z Pledget Court! — poprawiła się, wymawiając

tytuł szybko i bardzo po dziecinnemu. — A nazywają mnie „lady Boldie”, bo tak mi mówił ojczulek... — westchnęła cichutko. — Więc jak się nazywasz?

— Robin z Młyna! — odparł i sam nie wiedząc dlaczego, bo przecież nie lubił (zwłaszcza w pełnej formie!) swego przydomku, dorzucił zupełnie jak ona: — A nazywają mnie „Knight”...

— Knight Robin z Młyna!.. — Marian obrzuciła go znowu spojrzeniem i znowu się zaśmiała, ale nie był to wcale śmiech złośliwy czy kpiący, lecz przyjazny, pełen życzliwej aprobaty. — Knight Robin!... Ładnie cię nazywają, wiesz?

Robin spojrział na nią w zaskoczeniu i dopiero teraz zobaczył, jak miłe były rysy tej drobnej, jasnej buzi i jak bardzo szafirowe oczy. Nawet kilka maleńkich piegów u nasady prostego noska wyglądało przemiło. A przekrzywiony majowy wianuszek i proca w ręku zdawały się potwierdzać żartobliwe miano, nadane przez zaginionego ojczulka. „Lady Boldie”... „lady Chwat”! Chciał jej powiedzieć, że też ją ładnie nazywają, ale zawstydził się nagle i nie powiedział.

— Lady Marian!.. Lady Marian! — zabrzmiał znów spod dębu przenikliwy wrzask jejmość Adeli. — Jak ci nie wstyd! Czy mam tam przyjść po ciebie?

— Może lepiej wrócić do niej? — poradził Robin, zaniepokojony o los małej lady.

— Nie bój się, ona się sama z ziemi nie podniesie, a pomoc nie ma kto! Wszyscy przecież kolaskę naprawiają! — Marian machnęła z lekceważeniem ręką. — Opowiedz mi lepiej, jaki mieliście tu u was rano Majowy Pochód?

— Pochód jak Pochód! — odparł wymijająco „Knight”, bo przecież nie mógłby udzielić obszerniejszych informacji.

— A ty byłeś Rycerzem „Jacka”, prawda? — Marian wskazała paluszką jego sevenbold. — I co dostałeś w prezencie?

Robin odpowiedział tym razem milczeniem. Zdziwiona Marian przesunęła szafirowymi oczami po jego postaci.

— Jak to, przecież byłeś Rycerzem! I żadna Panna nic ci nie dała?.. Chyba jesteś już dość duży, żeby dostać majowy prezent!

Wbrew najszczerzym swych chęciom Robin spłonął rumieńcem. Co miał jej powiedzieć? Że w majowym prezencie dostał pasem od wuja? Żal, o którym zdążył już zapomnieć, odżył w jego sercu na nowo.

— A mnie jejmość pani Adela nie puścili do wsi na Pochód! — wyznała z westchnieniem Marian, zupełnie jakby chciała podzielić jego smutek. — Powiedzieli, że jestem jeszcze za mała na Majową Pannę i na dawanie prezentów...

— Lady Marian! — wrzasnęła znowu pani Adela. — Dostyc już tego! Nie przy-
stoją ci pogwarki z jakimś obdartusem! Chodź tu zaraz!

— Już idę!.. — odkrzyknęła z gniewem mała lady. — Poczekaj... to już było zwrócone przyjaźnie do „Knighta”. Marian śpiesznie rzuciła oczyma po sobie, zajrzała do jedwabnej torebki, dotknęła paska ze srebrnych płytek — i stwierdziwszy widać, że nic stosownego nie posiada, zasepiła się. Nagle, rozjaśniona, podała chłopcu procę. — Masz, weź sobie! — powiedziała serdecznie. — Sama ją wystrugałam, a Majowy Prezent trzeba przecież zrobić samej! I to weź! — wyjęła z torebki garść kamyków. — Też sama zbierałam!..

— Marian! — zagrzmiała groźnie jejmość Adela, której jednak udało się dźwignąć z ziemi rozłożyste kształty. Może z nadmiaru świętego oburzenia. — Skaranie boskie z tą dziewczyną!..

— Ojej, teraz już muszę iść! — Marian spłoszyła się trochę. Wcisnęła w dłonie zaskoczonego Robina „prezent” i niespodziewanie, ujmując koniuszkami palców za-
błoconą sukienkę, wykonała przed nim dziecinnie zabawny, ale jednocześnie prze-
słiczny, dworski, najpoważniejszy w świecie dyg. — Bądź zdrow, knight Robin!

Ta urocza elegancja w połączeniu z zamorusaną szatką, figlarnym wyrazem buzi i ofiarowaną w majowym prezencie procą — były czymś tak niesłychanie zabawnym, że „Knight” nie byłby sobą, gdyby nie odpowiedział na to w podobny sposób. Z trudem powstrzymując śmiech, zapamiętanym z ballad i opowieści gestem sir Lancelota czy Tristana położył dłoń na sercu i skłoniwszy się głęboko, odrzekł z wzajemną dwornością:

— Bądźcie zdrowa, lady Boldie!..

Marian roześmiała się i w podskokach pobiegła na spotkanie opiekunki, która nadciągała z wyrazem furii na twarzy i sapiąc jak miech kowalski.

— Wstyd!.. — posłyszał „Knight” jej zachłystujący się irytacją jazgot. — Wstyd szlachetnej panie z jakimś nędznym kmiotkiem rozmawiać!

— To nie jest żaden nędzny kmiotek! — zadźwiewał w odpowiedzi oburzony głosik Marian. — To jest knight Robin z Młyna!..

Pani Adela wepchnęła podopieczną do naprawionej już kolaski, do której właśnie wprzęgano konie, i dalszej wymiany zdań Robin nie był już w stanie dosłyszeć. Dopiero teraz parsknął głośnym śmiechem. Jake, który właśnie przechodził obok z narzędziami, spojrzał — i jego niebieskie oczy rozjaśnił też uśmiech.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Smutna wyspa — ciemny Maj"

Wujostwo i Much wrócili z kościoła znacznie później, niż by tego wymagały nawet najdłuższe odpustowe uroczystości. Robin, niosący właśnie naręcz wierzby dla owiec, których obyczaj nie dozwalał wypędzać w tym dniu na zielone — w pierwszej chwili bardzo się ucieszył widząc wkraczającą na mostek rodzinę. Był okropnie głodny, a przygotowanej na dni „Maja” świątecznej jagnięcej pieczeni nie śmiałby tknąć bez pozwolenia.

Radość jednak zaraz pierzchła, gdy przypomniał sobie, w jakim to nastroju i z jakimi słowami wuj Will wychodzili na mszę. Gniewnie cisnął paszę do grodzi, poprawił na czole sevenbold i podniósłszy wysoko głowę, ruszył na spotkanie domowników. Jeżeli wuj powiedzą jeszcze bodaj słowo...

Ale zanim zdążył do nich dojść — całym pędem przypadł doń Much i skoczył mu na szyję.

— Patrz, patrz, co ja mam! — radośnie podsunął pod nos „Knighta” błyszczący półpensowy krążek. — Wuj Jeff mi dali, wiesz?.. To na „May-Tree”, żeby mi grzanek z orzechami kupić! Wuj Jeff powiedzieli, że to za ryby, ale, te, które złowimy, wiesz?..

— Co ty pleciesz? Jaki wuj Jeff?.. — osłupiał Robin.

— No, wuj Jeff z „Dzików”!.. Bo myśmy tam z nim po mszy pojechali, i wszyscy mówili, jak Matta i Walińczyka wczoraj przepędziłeś, i wszyscy tacie gadali żeś zuch, a wuj Jeff powiedzieli, że jak całkiem urośniesz, to byś mu się w gospodzie zdał, a panna Maud też się śmiała, i ta noga już ją tak bardzo nie boli...

Robin nie był w tym momencie pewien własnego chrzestnego imienia. Do cna się chyba dzieciakowi w łepetynie pokręciło. Nigdy nie mówił zbyt mądrze, ale żeby aż tak...

— Tata powiedzieli, że pójdziemy do Oxton, ty i ja!... Pójdziemy? Pójdziemy?..
— Much szarpał go za rękaw.

— Poczekaj, ja nic z tego nie pojmuję...

Dość niepewnie ruszył za wujostwem, którzy zdążyli już wejść do chaty. Ale gdy też wszedł — przestał już pojmować cokolwiek. Ciotka przy stole rozwijała właśnie ze śnieżnobiałej płóciennej chustki pięknie upieczoną gęś, a widząc wchodzącego chłopca — uśmiechnęła się do niego serdecznie i radośnie. Wuj, przyglądający się zonie z rzadkim u niego wyrazem żartobliwego zadowolenia na twarzy, też spojrzął na Robina, ale nie uśmiechnął się. Chrząknął tylko jakoś dziwnie i jakoś niespokojnie rzucił oczyma po izbie.

„Knight” chciał zapytać, gdzie tak długo byli i co znaczy ta gęś, ale nie zdążył.

— Idź no, przynieś świeżej wody! — rozkazał wuj, wskazując ruchem głowy dębową stągiewkę. — Ta w cebrzyku już nagrzana, pić nie można..

Robin bez słowa wykonał polecenie. Mimo woli głowił się nad bajdurzeniem Mucha. Jak to, w „Dzikach” byli? Po co? Może stamtąd ta gęś? I niby dlaczego Maud miałaby boleć noga?.. A czemu wuj tacy zadowoleni? Że Jeff go chwalił? I dał Muchowi pół pensa na zadatek za złowione w przyszłości ryby?.. Niesłychane!

Przyklęknął nad brzegiem i zanurzył stągiewkę w wodzie. Znów widział swoje odbicie, zmarszczone przez nurt. Ale mimo to biała przewiązka była dobrze widoczna. Wuj chyba też od razu ją dostrzegł.. Niech wiedzą, że Robin może nosić sevenbold bez namniejszego lęku, z godnością i dumą!

— Robin — posłyszał za sobą właśnie głos wuja.

Omali nie upuścił stągiewki w głąb Trentu. Szybko postawił ją na brzegu i wyprostował się. Chciał patrzeć na wuja Willa twardo i dumnie, jak ktoś, kogo ciężko i niesłusznie obrażono — i kto ma prawo chociażby wyrazem twarzy żądać sprawiedliwości. Ale gdy zobaczył wyraz twarzy wuja — coś nagle szarpnęło mu się w sercu. Przybrany ojciec nigdy dotąd nie wyglądał na tak znękanego i zmieszanego jakby... I nigdy nie patrzył takim miękkim wzrokiem, z takim... chyba poczuciem winy?

— Robin — powiedział półgłosem — naprawdę nie możesz mi rzec, gdzieś tej nocy był?..

— Nie mogę, wuju! — „Knight” przełknął ślinę, bo i głos wuja wydał mu się zupełnie inny, bezradny i proszący. Wbrew temu, co czuł, podniósł głowę wyżej. — Nie wolno mi o tym gadać!

Will drgnął i przez chwilę patrzył na niego spod zsuniętych brwi.

— Ale ty... nie uczyniłeś nic niepocziwego, prawda? — zapytał cicho, przystępując jeszcze o krok.

— Na własną cześć przysięgam! — równie cicho, ale dobitnie wymówił „Knight”, mając na uwadze, że jest to rękojmia podwójna i że tak wuj powinien to zrozumieć.

Wuj Will stał już tuż przed nim. Jego wzrok wyrażał chyba jeszcze większe zniechęcenie, a nawet jakby przestraszenie. Chłopiec spuścił oczy.

— Ja... ja po świętach pójdę do spowiedzi, do Holy Ghost, żebyście całkiem spokojni być mogli! — chciał wyrzec to też spokojnie i twardo, ale głos nieoczekiwanie wymknął się spod panowania i zadrżał. Nie uchodziło przecież tak mówić do wzruszonego i niewątpliwie dającego wiarę jego słowom wuja. — Pójdę... choćby i do ojca Austina...

Wzdrygnął się, bo wuj podniósł nagle dłonie i przesunął palcami po jego sevenbold. Zaskoczony Robin już chciał coś rzec, ale w tej samej chwili wuj ujął go za skronie i mocno przycisnął jego głowę do piersi. I zaraz potem pocałował w czoło. Po raz pierwszy w życiu. Zupełnie tak samo, jak sir Twice The w chwili pożegnania...

Było to tak nieoczekiwane i tak niezwykle, że „Knight” dopiero po chwili się opamiętał.

— Co wy, wuju?.. — wykrztusił. Odskoczył i doprawdy tylko jakimś cudem zatrzymał się na krawędzi brzegu. Jeszcze ze dwa cale, a plusnąłby do Trentu.

— Nie pamiętaj mi tego, synku, zem cię tak... — ochrypły głos wuja załamał się na moment. — Bałem się o ciebie, nich mi Bóg odpuści...

Robin patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma. Słowa, które padły — a zwłaszcza jedno, też po raz pierwszy w życiu usłyszane! — przejęły serce słodyczą i jakąś nieznaną dotąd zupełnie tkliwością. Ale zaraz zawstydził się tego. Zrozumiał! Trzeba natychmiast położyć kres niemęskiemu wzruszeniu, do którego obaj nie nawykli i które im obydwom ciążyło.

— Cóż wy mówicie, wuju!.. — roześmiał się, próbując włożyć w ów śmiech ton beztroski i niefrasobliwości. — Niby co takiego się stało? Nie pierwszozna dla mnie i pewnie nieraz jeszcze wypadnie wam pasa odpiąć! Chodźmy już, głodny jestem jak ryś o zachodzie!..

Dźwignął stągiew i podążył ku chacie. Will, krocząc wolno za nim i spoglądając na przegiętą pod ciężarem, a jednak tak lekką i nawet w tej postawie wdzięczną młodą postać, wspomniał to wszystko, co mówiono dziś o Robinie w „Dzikach”... i to, co tyle razy słyszał z różnych ust o swoim „Knighcie” — i przydał do tego scenę sprzed chwili. Tak, słusznie ludzie mówią, że winien być ze swego przybranego syna dumny! I nie tylko dlatego, że odważny i zręczny. Przede wszystkim — dobry! A to, jak się przed chwilą zachował... Nie dobroć to już, lecz wielkoduszność. Magnanimitas, jak powiadają ojcowie w Holy Ghost, twierdząc iż to najtrudniejsza i największa z człowieczych cnót. Mało który człek rycerskiej krwi znajduje ją w sobie, gdy trzeba. Rycerska krew... Właśnie! A on lękał się tego dziedzictwa, upatrując w nim jedynie niebezpieczeństwa i trosk dla siebie! Zgrzeszył ciężko, twierdząc iż obowiązek wychowywania Fitz-Oth'a to dopust boży! Nie żaden dopust, lecz łaska! Najprawdziwsza łaska...

Po spożytym w prawdziwie rodzinnym i świątecznym nastroju południowym posiłku — Robin i półzywy z niecierpliwości Much pomaszerowali do Oxton na „May-Tree”. Tylko we dwóch, gdyż ciotka obiecała zajrzeć dziś raz jeszcze do chorej Maud. Jeff miał przysłać po nią i po wuja swój wózek, a wrócić zamierzali piechotą, bo odwieczny zapowiadał się piękny jak cały ów dzień. Jake zaś nigdy na żadne zabawy nie chodził.

Wobec tego wszystkiego, co przeżył i co w sobie skrywał — sprawa Polany i Majowego Pochodu wydawała się teraz Robinowi naprawdę głupstwem. A jednak czuł niemiły ucisk w sercu, gdy myślał o spotkaniu z chłopakami. Oni przecież nic nie wiedzą, dla nich liczy się tylko to, że naruszył święty, odwieczny obrzęd, od którego zwolnić może tylko nagła i ciężka choroba albo jakieś równie nagłe nieszczęście. Nieobecność na Zielonej Nocy i przy „ścięciu Jacka”, spowodowana tylko własnym nie-dbalstwem czy lenistwem — uchodziła za wielkie przestępstwo, za uwłoczenie prawom puszczy. Mogła wywołać gniew bóstw i ściągnąć straszną karę, nie tylko na winowajcę, lecz na wszystkich Rycerzy i na całą wieś. Tak właśnie koledzy osądzą czyn „Knights”... A on — jakże im się wytłumaczy?...

„May-Tree” świętowano w Oxton na przyległej do prawego brzegu wsi obszernej polanie. Tak jak Jack-in-the-Green był sprawą chłopaków, jak zielone i kwietne girlandy oraz majowe wianki sprawą dziewcząt — tak Majowe Drzewo stanowiło już troskę osób znaczących: starszego gminy i w ogóle poważnych członków wiejskiej społeczności. Pod ich rozkazami i kierunkiem dziś o świcie zaprzęgiem dwóch par wołów, przybranych w zieleń i kwiaty, przyciągnięto z lasu owego „Maja” — w tym roku smukły jesion ociosany z gałęzi, z rozwichrzoną czupryną bladozielonego listowia u wierzchołka. Uroczyście wkopano go w ziemię na honorowym miejscu i przystrojono w różne ozdoby i dary. „May-Tree” królowało teraz pomiędzy wzniesionymi tu i tam liściastymi szalaszami, w których można było dostać piwa, doskonalej na ugaszenie pragnienia serwatki, mleka albo wody z miodem. Można było też kupić coś do przegryzienia: wędzoną baraninę, ser, podpłomyki, ulubione przez dzieciaki grzanki z

miodem i orzechami... Jednakże mieszkańcy Oxton, skrupulatnie przestrzegający obyczaju, niechętnie sięgali po kupne przysmaki. Woleli poprzestawać na własnym, przygotowanym w domu prowiancie, który spożywano przy rozstawionych pod dębami stołach i ławach, albo siedząc na murawie polany — i którym po sąsiedzku i po chrześcijańsku dzielono się pomiędzy sobą.

Przy „Maju” widniał starannie ułożony stos chrustu i polan, który miał zapłonąć, gdy tylko zacznie zapadać zmrok. W stosownej od niego odległości zielenił się stożek „Jacka”, oczywiście już znowu pustego i bez życia. Robin zerknął w jego stronę i mimo woli jednak westchnął ze smutkiem. Ten moment nieuwagi z jego strony wystarczył.

— O, patrzajcie!... Jest! — wrzasnął w pobliżu ktoś i rozległo się krótkie świshnięcie na palcach. Zatupotały chodaki i nim obaj chłopcy z młyna zdążyli się spostrzec — osaczył ich krąg Majowych Rycerzy. Właściwie już nie Rycerzy, gdy dumne Majowe Miano przestawało obowiązywać w chwili zakończenia ostatniego „Jackowego” obrządku.

— Deirdrees cię po nocy wodziły? — zapytał urągliwie Johnny-Środkowy.

— Do wilczego dołu wpadł i wyleźć nie umiał!..

— Nie, on się przed Mattem i Walijczykiem krył! Przez całą noc!..

— Nocny „Knight”!..*⁵⁵ — wrzasnął Martin Ucho, a ów niemądry słowny dowcip wywołał istną burzę szyderczego śmiechu.

— Jaki tam „Knight”! Pęta! — cisnął pogardliwie Arnie-Smyk.

⁵⁵ * Martin powiedział „Knight by night”, co ze względu na identyczną wymowę obu słów zabrzmiało śmiesznie.

Much przygarnął się do boku brata i niecierpliwie spoglądał to na jego twarz, to na nową, świeżo wystruganą przez Jake'a „bonnie”. I aż budzię rozdziawił ze zdumienia, widząc że Robin spokojnie krzyżuje ramiona na opartym poziomo o pierś kiju — która to pozycja oznaczała, że właściciel „bonnie” nie przyjmuje wyzwania, nie ma zamiaru walczyć i nie będzie.

Pierwszy zaintonował Arnie i cała czereda ryknęła:

A kto nie czci Haernna praw — .a

Ninny-no! Ninny-no!

Temu tęgie lanie spraw!

Ninny-ninny-no!..—,—, .

Temu uwiąż myika róg, myłka róg!

Od pętaków strzeż nas Bóg!

Ninny-ninny-no!..

Jeszcze nie kończąc piosenki, młodzieńczy tłumek wybuchnął ogłuszającą kocią muzyką, a wszystkie „bonnies” w jednej sekundzie ułożyły się w groźną pozycję zaczepno-obronną.

Chłopcy istotnie zdecydowani byli dać Robinowi solidne wciery. Nie tylko za to, że naruszył najważniejsze obrzędy Polany i „Jacka”, ale właśnie za to, że uczynił to on, nie kto inny. Dumny, niezwyciężony „Knight”, którego często w różnych i zazwyczaj niezbyt dla nich miłych sytuacjach stawiano im za wzór! Niezależnie jednak od tego — Robin był na ogół bardzo lubiany, szanowano jego zręczność, liczone się z jego rozsądkiem i poczuciem, sprawiedliwością. Teraz jednak ciążył na nim zarzut „uwłoczenia prawom puszczy”, a dla sherwoodzkiej młodzieży nie było cięższej winy. Przystawały wtedy istnieć i sympatia, i podziw, i wszelkie koleżeńskie względy i zasady. W takich sytuacjach niechęć bardzo łatwo przekształca się w zwyczajne mło-

dzieńcze okrucieństwo. Tak właśnie było z oxtoskimi chłopcami! Czekali teraz, aby „pęta” ich zaatakował, broniąc swej — nie istniejącej w ich pojęciu — godności. Wtedy bez żadnych skupułów można będzie odebrać mu „bonnie” i sprać na kwaśne jabłko!

Robin stał spokojnie, choć przy pierwszych słowach piosenki twarz spłonęła mu krwawym rumieńcem wstydu. Tę pełną wzdryki zwrotkę młodzieńczego hymnu Oxton śpiewano niezmiernie rzadko — wtedy, gdy ktoś podczas łowów splamił się brakiem wytrwałości, kompromitującą pomyłką w szlakowaniu, ośmieszającTM strzelca pudłem, kiksem czy fuksem, tchórzostwem. Gdy komuś udowodniono niegodziwy sposób łowienia zwierzyny we wnyki czy sidła. Gdy ktoś łamał przyjęte zasady walki, nie dotrzymywał słowa, w jakikolwiek sposób zawiódł zaufanie towarzyszy. Krótko mówiąc — gdy ten ktoś okazywał się właśnie „winnym”, pętakiem! A dla pęta nie było ani szacunku, ani litości. I to właśnie jemu, Robinowi z Młyna, zaśpiewano haniebną pieśń!

Ale już w moment później przestał ją słyszeć. Stał z założonymi na piersiach ramionami, spod których bezużytecznie i bezbronne wystawały końce kija, i wcale nie liczył do dziesięciu. Miał przed oczyma — mroczną, rozświetloną blaskiem ognia siedzibę sir Twice’a The, srebrny róg ze słodkim winem, fugitive’ów z podniesionymi w górę dłońmi. Słyszał wymawiane własnym głosem słowa uroczystej, świętej obietnicy. „Póki choć jeden szumi dąb, póki cal mierzy Trentu głąb...” Sir Twice powiedział, że słowa te można powierzyć tylko wybranym i godnym! Sir Twice nazwał go wobec towarzyszy — najdzielniejszym chłopakiem na Wyspie i najbardziej prawym!.. Nawet gdyby uznać jego słowa za nazbyt łaskawe — to przecież wynika z nich, że Robin z Młyna nie jest pętakiem. Mogą sobie gadać tak o nim i śpiewać... Któremu z nich przyszło przeżyć i usłyszeć coś równie cudownego? Nie, nie jest pętakiem! Nie będzie walczył, bo wcale nie musi ich o tym przekonywać, wystarczy że sam wie. Jeśli chcą mu wlać, to niech rzucą się na niego, nie będzie się bronił. Ale wtedy to oni okażą się pętakami!

— Robin!., No, Robin!.. — Much szarpał go za kaftan.

Chłopak wciąż stał nieruchomo, a na jego twarzy widniał wyraz tak wyniosłej dumy i takiej pewności siebie, że w końcu musiało to przywieść napastników do opamiętania. Pierwszy mały Johny Kitten mruknął: — Eee, co tam!.. — odwrócił się na pięcie i wycofał z kręgu osaczających, potem uczynił to jego przyjaciel Billy „Od Tine'a", potem Johny Środkowy, potem z bardzo głupią miną Arnie-Smyk, a potem już ucichli i rozpierzchli się wszyscy. Zrobili to w samą porę, bo przechodzący akurat nieopodal w towarzystwie kumów sam Dick Tine, starszy gminy i ojciec Dickona Strzały, już kierował ku nim gniewne kroki, żeby odpowiednio zareagować na tak nieobyczajny harmider.

— Robin!.. Czemuś ty tak? Czemuś pozwolił? Robin!.. — prawie płakał Much.

— Nie rozumiesz tego! — odparł łagodnie „Knight", mimo iż z oczywistych przyczyn zwykle unikał takich stwierdzeń w stosunku do młodszego braciszka.

— Jak to nie rozumiem? Czemuś ich nie sprął? Teraz będziesz „Knight-pętał"...

— Gdybym się w bójkę wdał, to bym dopiero nim był!

— Jak to?!

— No idź, idź, kup sobie tych grzanek!.. — Robin ze śmiechem popchnął go ku zielonym szalacom. — A potem trzymaj się blisko „May-Tree", żebyś mógł cię odnaleźć!

Ze wsparcią o ramię „bonnie" sam ruszył w obchód „majowej" polany. Z jednej strony odczuwał zadowolenie, że nie dał się sprowokować, że nie pozwolił zrobić z siebie pośmiewiska i utyłanej, potarmoszonej ofiary oraz że chłopcy też dowiedli swej leśnej prawości, nie rzucając się na odmawiającego walki. Z drugiej jednak — było mu trochę smutno, bo zrozumiał, że po tym zajściu żaden z kolegów nie będzie sobie życzył jego towarzystwa. I to nie tylko dziś i tutaj, przy „May-Tree", ale przez

wiele następnych dni! „Knight Robin-pętał"! To jeszcze gorsze niż „herbu śrucina"...
A niech tam! Kiedyś im się przecież sprzykrzy...

Ucieszył się, zobaczywszy przy jednym ze stołów Chrisa-Lutnistę, siedzącego w otoczeniu Dicka Tine'a i kilku poważnych gospodarzy. Spory tłumek otaczał to miejsce, czekając najwidoczniej na śpiew od dawna znanego w tej okolicy i bardzo lubianego minstrela. Chris też musiał lubić Oxton i jego mieszkańców, bo często się zjawiał na większe święta, choć przecież w miastach czy na rycerskich dworach mógł zyskać o wiele więcej za swe piękne pieśni i cudowny głos. Na razie jednak nie śpiewał, bo popijał ze starszyzną piwo. Nabijana srebrnymi ćwiekami lutnia leżała bezczynnie na stole pośród dzbanów.

Robin podszedł i stanął pośród gromady, postanawiając też czekać. Prędzej czy później Chris zaśpiewa. Może jakąś nową, nieznaną pieśń? Chociaż tych znanych też zawsze słuchało się z przyjemnością. Chris nie miał w swym zasobie brzydkich śpiewek.

Właśnie w tej chwili minstrel odstawił kubek na stół i objął wyczekującą gromadę żartobliwym spojrzeniem.

— No, zacni willani i sokmani chrześcijańskiej gminy Oxton! Kto do mieszka sięgnie na początek? Za pierwszą biore z góry, następne mogą być na kredyt...

Tłumek zakołysał się ze śmiechu, ale do mieszka jakoś nikt się nie kwapił. Robin wiedział, dlaczego. Ta powściągliwość wynikała nie ze skąpstwa, lecz z uczucia skrępowania. Twardzi, surowi mieszkańcy Oxton lubili piosenki Chrisa, nie chcieli jednak zbyt szybko z tym zdradzać i z nadmiernym pośpiechem płacić za spodziewaną przyjemność.

— Nuże!.. — ponaglił ze śmiechem Chris. — Nie będę z was skóry ściągał, musicie przecież Johnny'emu Półgłówkowi pomóc brata z niewoli wykupić!..

— Bóg z wami, Chris! — przeraził się Dick Tine. — Tak nie godzi się kpić!

— Jużci, dalibyście pokój! — przytaknęli zgorszeni kumowie.

— To i śpiewakom mam dać pokój! — roześmiał się znowu Chris.

— Skądże znowu!.. O to idzie, żebyście i waszym śpiewaniem, i gadaniem w dostojność praw i w cześć królewską nie godzili! — wyjaśnił z obawą starszy gminy.

— A jakież to mamy dostojne prawa? Gdzie ta królewska cześć, w austriackim lochu?.. — minstrel przyjrzał się spod oka swym amfitrionom. — Coś strachliwi się zrobiliście, ojczy Tine!

— Poniechajcie takich żartów, Chris! Po co samemu nieszczęście na siebie ścigać?

— Małoż to ich na nas spada, bez naszej woli i chęci? — dorzucił z goryczą kum Dicka, Jack Wether.

— I dlatego kpin wam strach? Źle z narodem, kiedy się już własnych żartów i śpiewek bać zaczyna. To nie my winniśmy się ich bać!

To Chris wyrzekł już bez śmiechu w głosie. Robin drgnął przeszyty nagłym wspomnieniem. Odżyły mu w pamięci słowa sir Twice[^], wyrzeczone przed wejściem na moczary. Tuż przedtem, nim nauczył go tej groźnej, cudownej obietnicy sir Fitz-Ootha... To znaczy, że Chris... myśli i uważa tak samo jak Twice The?..

Niemal równocześnie przypomniał sobie sześć pensów, otrzymanych wczoraj od Jeffa — a właściwie od Maud — za raki. Nie przeznaczał ich, jak dotąd, na nic i zresztą trochę się tego, niezbyt przecież chwalebne, zysku wstydził. Chyba wypada dać takie pieniądze Chrisowi za piosenkę?.. A jeśli je zgubił podczas wędrówki z sir Twice'em? Gorączkowo sięgnął dłonią do sakwy i poszukał. Były! Zacisnąwszy monetę w garści, przepchnął się pomiędzy ludźmi, stanął tuż przy stole i podał ją Lutniście. Minstrel podniósł na niego oczy, szare jak stal i zazwyczaj chłodne jak stal, roz-

błyskujące ogniem tylko podczas śpiewu. Ale i w tej chwili błysnęły ciepło, gdy poznał chłopca.

— O Robin z Młyna! Witaj, „Knight”!.. Mój najwierniejszy słuchacz! Ależ wyrosłeś od tego swojego zwycięstwa w Patton, już mężczyzna z ciebie...

— Zaśpiewacie, Chris? — Robin, zarumieniony z radości wywołanej tyloma komplementami naraz, stał z półszylingówką na wyciągniętej, otwartej dłoni.

Minstrel rzucił oczyma na pieniądz i uśmiechnął się.

— Chcesz płacić jak prawdziwy knight?

— To moje własne... — szepnął zmieszany Robin, rumieniąc się jeszcze bardziej.

— A któż w to wątpi? — Chris spojrział na niego z żartobliwym, przyjaznym wyrzutem. Przechylił się przez stół i klepnął Robina w policzek. — Jakiej chcesz? Za tyle winienem zaśpiewać coś osobliwego, a sam przecież już dużo znasz...

— Zaśpiewajcie taką... taką, której by się bali! — wypalił „Knight”.

— Żeby się bali? Kto? — z twarzy Chrisa znikł uśmiech. Jego oczy zrobiły się znów stalowe, chłodne i czujne.

— Oni!.. — odrzekł cicho Robin, przełykając nieznacznie ślinę.

— Co za „oni”? — Lutnista też ściszył głos.

— Wrogowie!

— Jacy wrogowie? — minstrel patrzył mu w twarz mocno i badawczo.

Robin zaczerpnął głęboko tchu. Czuł drżenie swych nozdrzy.

— Normany! — wymówił twardo, zawzięcie i przez zęby.

Drgnął zaskoczony, bo minstrel zamiast wziąć monetę — objął palcami dłoń i zacisnął mu pieniądz w garści. „Knight” zrozumiał ów gest jako tchórzliwą odmowę

śpiewu i jego złotobrazowe oczy pociemniały z zawodu i żalu. W tej samej chwili Chris podjął ze stołu lutnię i wstał. Ludzie przysunęli się bliżej. Minstrel oparł nogę o brzeg dębowej ławy i wspierając lutnię o kolano, popróbowwał kilku tonów.

Nagle struny pod jego palcami rozdzwoniły się tak gwałtowną, tak przejmującą i tak niewypowiedzianą piękną melodią, że Robina dreszcz przeszedł. Minstrel odrzucił głowę w tył i zaśpiewał mocnym, dźwięcznym głosem:

Nad wesołą Wyspą gniew,

Na majowych kwiatach krew!

Gdy nad Hastings zgasło słońce,

W lud wstąpiły dusze drżące,

Wolnych Sasów zamilkł śpiew!

Nonny-no! Nonny-no!

Snem niewoli Sasi śpią!..

Ludzie skamienieli. Nikt się nie spodziewał takiej pieśni. Chris rzucił po osłupiałych słuchaczach wyzywającym spojrzeniem i podjął- jeszcze dźwięczniej:

Więc pobudkę, lutnio, graj,

Zniewolony przebudź kraj!

Ani Wyspa to wesoła,

Ni moje kwitną ziola!

Smutna Wyspa — ciemny maj!

Nonny-no! Nonny-no!

Kwiaty maja kwitną krwią!..—

Ludzie opamiętali się, przez gromadę przeleciał szmer i dreszcz, a potem zaczęto pojedynczo i po kilkoro odsuwać się od stołu i uchodzić. Chris spojrzał pogardliwie i przez jego szczupłą, o ostrych i szlachetnych rysach twarz przeleciał jakby płomień. Spizowym już głosem nie śpiewał, lecz wykrzykiwał namiętą prośbę czy rozkaz:

Wstań, Haraldzie, zwołaj nas!

Ogłoś świętych wici czas!

Na królewskie twe wezwanie

Gniew się zbudzi, duch powstanie

I znów wolnym będzie Sas!

Nonny-no! Nonny-no!

Odbierzemy wolność swą!..

W miarę jak śpiewał, ludzie odsuwali się i odchodzili od stołu coraz śpieszniej i w końcu obok zamarłego w zasłuchaniu „Knighta” zostało tylko parę osób, chyba za- nadto sparaliżowanych zdumieniem i przestraczem, by ruszyć się z miejsca. Pozostali też przy stole zamienieni w istne siedzące słupy soli Dick Tine i starszyzna.

Pierwszy ocknął się starszy gminy.

— Na świętego Cedryka, Chris!.. — wykrztusił, daremnie usiłując podnieść się z miejsca. — Głowę na karku uprzykrzyło się wam nosić czy co?..

— Czy to ma znaczyć, że zacni Sasi z Oxton o Lutniście do shire'u doniosą? — Chris przyjrzał mu się drwiąco.

— Strzeż nas Bóg, skąd znowu!.. Ale...

— Ale co?.. — minstrel tym samym szyderczym wzrokiem powiódł po nielicz- nych pozostałych słuchaczach i nagle wyraz szyderstwa pierzchł. Ujrzał wlepione w

siebie ogromne złotobrunatne oczy, rozjaśnione niezwykłym blaskiem, chmurę splątanych znów włosów pod białą sevenbold, pobladłą twarz i trochę jeszcze dziecinne, malinowe usta, poruszające się bezgłośnym szeptem — jakby powtarzały słowa usłyszonej przed chwilą pieśni.

— Robin!.. — zdumiony, a nierównie bardziej wzruszony Chris pochylił się ku niemu przez stół. — Co z tobą? Obudźże się! „Knight“!..

Robin nie byłby w stanie wytłumaczyć, jak się to stało. Widząc tuż przy swojej twarzy i stalowe oczy Chrisa, zupełnie bezwiednie wyszeptał:

— Wesoła Wyspa... zawsze wolna...

Minstrel drgnął lekko. Twarz jakby mu na chwilę zmartwiała. Opanował się jednak błyskawicznie. Położył dłoń na ramieniu Robina i ścisnął je mocno.

— Dobrze, dobrze, spotkamy się za chwilę przy parowie, tym na Clarence Court! Tam ci te słowa powtórzę, skoro tak chcesz! Zaczekaj tam na mnie!.. — rzekł na pozór żartobliwym głosem, w którym zdumiony i wytracony z równowagi chłopiec dostrzegał jednak ton bezwzględnej rozkazu. Już bez tego tonu w głosie Chris zwrócił się ze śmiechem do starszyny: — Ten wasz „Knight“ z młyna wiecznie ten sam!

— Dalibyście pokój, po cóż młodziaków takich śpiewek uczyć! — z gniewem rzekł Dick Tine. — Głupie to przecie, zaśpiewa gdzie nie trza i nieszczęście na siebie ściągnie! I po cóż mu to? Minstrelem jak wy nie będzie!

— Jak mu wypadnie przez siedem rzek i siedem młynów wędrować, to może i za minstrela w czas drogi obstoi, czysty zysk dla niego! — roześmiał się Chris. — Któż to wreszcie wie, kim będzie, ojczy Tine...

Uderzył znów w struny. Ale jakoś długo nie mógł wydobyć z nich stosownego dźwięku, jakby mu palce nagle zeszytniały albo zaczęły drżeć...

Robin szedł przez świąteczną polanę jak we śnie. Nie widział ludzi i z godną zaiste „pętaka” niezręcznością wciąż na kogoś wpadał lub kogoś potraçał. Cudowne i straszne słowa pieśni Chrisa, obietnica sir Fitz-Ooth'a, głos Twice'a The wypowiadający hasło, odzew z puszczańskiego mroku i wreszcie skrzepła na dźwięk tego hasła i odzewu twarz Lutnisty — wszystko to wytworzyło w głowie chłopca tak tajemniczą i złowrogą płataninę, że zupełnie stracił poczucie rzeczywistości.

Ocknął się, bo z oddalenia posłyszał głos Chrisa — już nie spiżowy i groźny, lecz jego zwykły, dźwięczny, piękny, radosny. I piosenka była dobrze znana, właśnie ta promienna zielona, majowa — najodpowiedniejsza na to święto:

*Szedł chłopak ze swą ukochaną
Przez łąkę, kwiatami usianą!—'
W zielony szli gaj, a wkoło był maj,
I nucił im ptak, a wiatr szeptał tak...*

Słowa i melodia natychmiast przywróciły Robina do stanu świadomości. W jednej chwili przestał czuć się fugitive'em, wtajemniczonym, mścicielem Wyspy. Znow był tym, kim był: szesnastoletnim Robinem z Młyna, wujowym terminatorem, któremu przez minione dziesięć dni wypadło przeżyć tyle dziwnych i niezwykłych rzeczy. Ale wszystko inne nagle przesłoniła — właśnie ta piosenka! Dźwięczała jak przekorne i bolesne szyderstwo. Przecież od niej wszystko się zaczęło! Zaśpiewał ją sobie z radości, po tym, jak Maud... Wbił sobie coś do głowy — i sypnęły się zmartwienia! Brak chęci i sił do roboty, niespokojne i męczące sny, brzydkie myśli, wybryk przy „Jacku”, zawstydzająca awantura z Mattem... i aż do dzisiejszego poranka, bo przecież wuj sprawili lanie nie tylko za noc spędzoną poza domem, za zniszczony przydziełek, za milczenie i bezczelność, ale chyba przede wszystkim za to, że... posadzili!..

Zupełnie, jakby ta piosenka była zaczarowanym „złym kołem”, w które jak się wstąpi, to końca nie ma kłopotom! Musiał ją Chris teraz zaśpiewać i wszystko przypomnieć?

Zupełnie jakby na przekór tym rozżalonym i pełnym poczucia krzywdy myślom piosenka dźwięczała w pachnącym, przejrzystym powietrzu majowego przedwieczera radośnie i beztrzesko. Słowa mimo oddalenia słyhać było wyraźnie.

Niech pieśń się unosi nad światem,

Bo życie jest wiosną i kwiatem!

Więc serce mi daj, bo nastał znów maj, ;

Bo radość w nas trwa, bo ciebie mam ja,

Bo wzajem — mnie ty, bo kwietne to dni!

Rzuć każdą myśl złą — o-no-nonny-no!..

Wszak słodka to pora miłości...

Radosne, majowe zachęty do miłowania i szczęścia wydały się nagle Robinowi tak bezsensowne i tak — wręcz kłamliwe wobec słów pieśni, którą Chris śpiewał przedtem, że na chwilę zrobiło mu się po prostu straszno i pożałował, że nie utrzymał języka na wodzy, że wyrwał się wobec Lutnisty z tym hasłem Twice'a The. Nie pojmował, jak można po takiej strasznej, buntowniczej pobudce, po przejmującej skardze na hańbę i niewolę Wyspy, po rozpaczliwym wezwaniu do poległego króla — śpiewać sobie jakby nigdy nic, że „życie jest wiosną i kwiatem”, zapewniać, że „radość w nas trwa”... I to zawzięte, uświęcone wspomnieniem Hastings przeczenie „nonny- no” — wkładać do głupiej miłosnej piosenki! Do ich oxtońskiego, łowieckiego hymnu jeszcze to przystoi, ale do takiej bzdury?.. Wyglądało to tak, jakby Chris drwił. Albo przedtem śpiewał nieszczerze, albo teraz! Z tak przewrotnym minstrelem może lepiej wcale się na osobności nie spotykać? Ale słowa hasła zostały wyrzeczone, cofnąć ich

niesposób. Chris na pewno chce mu rzec coś ważnego, przecież aż mu się twarz zmieniła!..

Wyminął prawie całkiem opustoszałe Oxton, w którym zaledwie nad dwiema czy trzema strzechami unosił się dym, i skręcił nad parów będący jednocześnie leśnym duktem, wiodącym na skróty ku Clarence Court. Tu już nie było słychać śpiewania. Rozejrzał się. Doszedł do wniosku, że lepiej nie nawijać się nikomu przed oczy. Nikogo wprawdzie nie było w pobliżu, ale przecież ludzie w miarę potęgującej się wesołości i działania piwa zwykli łązić dokoła polany i jeszcze dalej! W krzakach nie chciał się chować, bo mógłby nie spostrzec nadchodzącego Chrisa, zaś sam Chris nie widząc go mógłby pomyśleć, że Robin nie dosłyszał lub nie usłuchał polecenia. Najlepszy wydał mu się niezawodny sposób; widzieć wszystko, nie będąc widzianym. Po błyskawicznym zbadaniu wzrokiem miejsca schował „bonnie” za pniem niezbyt grubego dębu i po tym pniu sam śmignął w górę. Usiadł na konarze, zwieszającym się o jakieś cztery jardey nad brzegiem parowu. Łatwo będzie można zeskoczyć, a Oxton widziało się jak na dłoni. Zupełnie dobre miejsce!

Usiłował przypomnieć sobie słowa pieśni Chrisa, ale utkwiała mu w głowie tylko pojedynczymi zwrotami i rozkazami, tak krótkimi i mocnymi, jakby każde z nich stanowiło też jakieś... hasło. „Nonny- no! Nonny-no! Odbierzemy wolność swą!..” Ale kiedy i jak?.. A wcześniej: „Nad wesołą Wyspą gniew...” Pewnie, miał się z czego zrodzić!.. „Smutna Wyspa — ciemny maj...” Dlaczego maj miałby być „ciemny”?.. „Wstań, Haraldzie, zwołaj nas...” Jakież cud mógłby to sprawić?..

Usłyszał przyciszone głosy i śmiech, spojrzął w dół — i święte uniesienie znów pierzchło przed gorzką rzeczywistością. Ścieżką biegnącą nad brzegiem parowu szli sobie... Dickon Strzała ze swoją Millie, a wyglądali tak, jakby wyszli wprost z tej radosnej, majowej śpiewki Chrisa. Oboje uśmiechali się do siebie, trzymali się za ręce, Millie miała na głowie zielony wianek, a Dickon, licho wie po co, owinał sobie szyję

kilkoma pędami bluszczu. Może jeszcze czuł się „Jackiem”, a może po prostu chciał przez to wyglądać bardziej majowo!

Na ich widok Robina znów ogarnęło rozgoryczenie. Pomyślał z żalem, że głupio jest ten świat urządony. Jednym niczego nie wolno, nawet marzyć, bo ludzie zaraz Bóg wie co myślą, wydrwiw-ają i obrażają najcięższymi posądzeniami, nawet do pasa się biorą — a innym wolno wszystko! Na przykład Dickonowi i Millie! Mogą sobie spacerować tak sami, z daleka od ludzkich oczu, nie obawiając się niczego. Bo na zapowiedzi dali! Bo są dorośli, choć Millie przecież wcale tak dużo od niego, Robina, nie starsza! Nikt ich nie zwymyśla, nie zaśpiewa paskudnej śpiewki, piekłem ani scarlet sign nie postraszy... i Dickon też od ojca za to nie oberwie! Łażą sobie tak... a czy to nie głupie: pozwolić, żeby dziewczyna w głowie zawróciła? Czy to warto? Słusznie sir Twice The powiedzieli: niby podwabiło się czternastaka, a potem wypada pojąć, że to szpicak- myłek! Kto wie, czy i Dickonowi ta geś Millie też się w końcu czymś takim nie wyda. Nie, o żadnej dziewczynie myśleć nie warto ani gadać z nią nie warto...

Coś przez moment przemknęło błękitem przez myśli chłopca — oczy czy zabłocona sukienka — ale zaraz pierzchno na widok tego, co zobaczył. A to, co ujrzał, świadczyło niezbitcie, że dla Dickona Millie — przynajmniej na razie — wcale nie jest szpicakiem-myłkiem. Przystanęli oboje akurat u stóp dębu, na którym siedział „Knight”, objęli się i...

Rozgoryczenie Robina przeszło najpierw w zawstydzenie, a następnie — w złość. Choć zwykle starał się unikać niewybrednych kawałów oraz wyrządzenia dokuczliwości, w tej chwili poczuł nieprzepartą chęć, żeby w taki właśnie sposób przeszkodzić w tym, co czynili. Zwłaszcza że Dickon zasłużył sobie na to dodatkowo, bo gdyby wczoraj do wuja ze Śpiochem nie przylazł i gęby nie rozpuścił... Co im zrobić? Zrzucić Dickonowi na nos kawał kory? Spojrzy w górę i od razu zobaczy, czyja to sprawka! Zaśmiać się jak puszczyk, żeby wzięli to za niedobrą wróżbę? O tej porze dnia puszczyki jeszcze milczą, więc też pomysł niedobry. Ale właściwie dlaczego

kryć się przed nimi? Najlepiej będzie... Tak, zeskoczyć tuż przy nich! I wystraszą się, i od razu pojmą, że wszystko widział, więc będzie im wstyd! Na pewno zaraz się wyniosą — i to też będzie dobrze, bo jemu przy rozmowie z Chrisem świadków nie trzeba!

Przeskoczył na niższą gałąź, zawisł na chwilę na rękach i hycnął lekko na ścieżkę tuż obok młodej pary.

Millie pisnęła, wyrwała się z objęć narzeczonego i umknęła w krzaki porastające zbocze parowu. Dickon po chwilowym osłupieniu odzyskał rezon, ale widać było, że kipi ze złości.

— Patrzajcie tylko! — rzekł z szyderyczym zdumieniem, wyraźnie nadrabiając miną. — „Knight” we własnej osobie, najbardziej wścibski wiewiór w Sherwood!

— Wścibski? — oburzył się Robin. — Cóż to, podglądałem was? Akurat by mi się chciało!

— To po coś na to drzewo wlaź?

— Wlaźłem, bo wlaźłem. Skąd mogłem wiedzieć, że właśnie tu zachce się wam cało...

— Ładną mamy pogodę na „Maj”, prawda? — przerwał obojętnie Dickon, podnosząc głowę ku niebu. — Ale patrz, chmury do morza ciągną, za jakieś trzy dni powinien być deszcz! No, to dobrze, trawa podrośnie przed sianokosem!

— No, to dobrze, wody w Trencie też przybędzie! — potwierdził Robin, drwiąco przedrzeźniając jego przesadnie opanowany, rozważny, gospodarski ton.

Dickon rzucił na niego złe spojrzenie.

— A gdzieś ty się wczoraj włóczył? — zapytał już innym, zwyczajnym swoim wzgardliwie-pobłażliwym tonem, jakim dorośli kawalerowie przemawiają do niedorostków. — I czemuś na Pochodzie nie był? Zachciało ci się pętakiem zostać?

— To nie twoja rzecz! — wyniośle odparł „Knight”.

— Pewnie ci wuj zdrowo skórę złoili, co?

— To też nie twoja sprawa. Za to od dziś wiem, że i ty, i Śpioch macie ozory na półtrzecia jarda! — odgryzł się rozgniewany Robin.

Dickonowi najwyraźniej zrobiło się głupio.

— O co ci idzie? — zapytał z udanym zdziwieniem.

— Dobrze wiesz! — odparł „Knight” marszcząc brwi. — Umawialiśmy się, że o tym de Courtenayu nikt nie będzie wiedział! Wychodzi na to, że dziewczyny sekretu dochowały, a wy musieliście wyśpiewać...

— Tylko dlatego, że się tobie łązić gdzieś po nocy zachciało i wuj Will martwili się o ciebie! To twoja wina, więc czego chcesz? — Dickona musiały zirytować i wyrzuty młodszego kolegi, i to, że się przed nim tłumaczy, bo dokończył jadowicie: — Chyba zresztą sam wiesz najlepiej, że wuj Will potrafią wszystko z człeka wycisnąć!

„A właśnie że nie!..” — pomyślał nie bez dumy Robin, wspomniawszy dzisiejsze poranne wypadki we młynie. Spojrzał z pogardą na Dickona i doszedł do wniosku, że można widać być dorosłym, a przy tym pętakiem, że Boże nie daj. Ale nie wyraził tej opinii, tylko wyskandował dobitnie i szyderczo:

— *„I cierp, i milcz jak głaz, nie człek...”*

— Wiesz „Knight” — głos Dickona zabrzmiał jeszcze zjadliwiej — tyś się w ostatnim czasie zrobił coś za bardzo mądry! Uważaj, bo tacy mogą już więksi nie urosnąć!

— Wiesz, Strzała — odwzajemnił się bez namysłu Robin — tu nie Polana i w ogóle już koniec z Orszakim, więc nie muszę zważać na to, co gadasz!

Wygłosivszy to, zabrał zza pnia „bonnie” i chciał się oddalić z odpowiednio majestatycznym wyrazem twarzy, ale właśnie w tym momencie przypadła do nich Millie. Jednym długim skokiem, jak wypłoszona z zarośli sarenka.

Millie ze zrozumiałych względów nie była tak obeznana z puszczą jak oni, ale była przecież dziewczyną z puszczańskiej wsi. I tak jak oni instynktownie wiedziała, jak należy się zachować w chwili niebezpieczeństwa. Zaś niebezpieczeństwo obaj chłopcy odgadli, ledwie rzuciwszy okiem na jej twarz — zanim zdążyła ją ukryć na piersi Dickona.

— Co?.. — zapytał szeptem Strzała.

Zamiast odpowiedzi Millie wskazała ręką na parów. Dickon i Robin rzucili się ku jego zboczu, bezszelestnie rozgarniając dłońmi gałęzie. Spojrzeli i zmartwieli. Od strony Clarence Court posuwał się w kierunku Oxton długi wąż konnych postaci. Przesączone przez liście, słoneczne światło połyskiwało na hełmach nienawistnego, stożkowatego kształtu. Lśniło na szczytach kopii, zniżonych przez wzgląd na konary. I choć też nisko niesiona z tego samego powodu — jakoś złowrogo i bezlitośnie jaśniała w majowym słońcu jadowicie niebieska chorągiew na czele.

— Psiakrew!.. — syknął ledwie dosłyszalnie Dickon. — Goście na „Maj”! — i tym samym cichym szeptem zwrócił się gniewnie do Robina: — Po coś tego de Courtenay'a wspomniał? W złą chwilę rzekłeś!..

Ale zaraz się opamiętał i mocno ścisnął ramię młodszego kolegi.

— Pędź na polanę, „Knight”, najszybciej jak potrafisz! Uprzedź ojca, ale tylko jego, rozumiesz? — wyszeptał już spokojnie i rzeczowo.

Robin kiwnął głową, wyskoczył z zarośli, złapał ciśniętą na ziemię „bonnie” i pognął tak, że aż mu w uszach zaświszczało, a pnie i krzaki po obu jego stronach zwały się w zielono-brunatną ścianę. Nie czuł strachu. Właściwie o niczym nie myślał, tylko

o tym, żeby jak najprędzej dopaść świątecznej polany, odnaleźć na niej Dicka Tine'a i powiadomić go o tym, co czeka Oxton.

— Robin!.. — usłyszał czyjś zaniepokojony okrzyk i jakaś postać wyrosła niespodziewanie na drodze tuż przed nim, jakby chcąc zatrzymać go w biegu. W pierwszej sekundzie chciał ją wyminąć, w następnej — poznał i przyhamował tak gwałtownie, że aż zarył chodakami w mech i trawę, a sam omal nie bęcnął z całej siły na tę część ciała, którą i bez tego wciąż dobrze czuł.

— Co się stało? — zapytał z trwogą Chris.

Robin wyciągnął rękę w stronę parowu.

— Normany... — wyszeptał, tak jak już raz szepnął to dziś w twarz Lutnisty.

Nie to jedno się powtórzyło, bo twarz Chrisa też znowu skamieniała na sekundę — tak jak wtedy, gdy usłyszał hasło. I równie szybko odzyskała normalny wyraz. Opanowanym, chłodnym głosem minstrel rzucił krótko:

— Spokojnie! Skąd?

— Z Clarence Court... — wykrztusił Robin, który dopiero teraz, ujrzawszy zmartwiałą twarz Chrisa i posłyszawszy słowo „spokojnie” — poczuł w dołku skurcz przerażenia.

— Spokojnie! — powtórzył Lutnista. — Biegiem!..

Sam rzucił się pędem ku wsi. Robin gnał u jego boku, dziwiąc się nedorzecznie, że nogi Chrisa, starsze o dobrych kilkanaście lat i zmęczone wędrówkami po miastach i wsiach, jarmarkach i odpustach — wcale nie ustępują chyżością jego szesnastoletnim, sławnym nogom. W pewnej chwili pomyślał już całkiem głupio, że nieźle byłoby stanąć z Chrisem do zawodów — kto by też zwyciężył? Ale zanim spostrzegł bezsensowność tej myśli i odegnał ją od siebie, przy wtórce pobrzękującej w takt ich biegu lutni, zawieszanej na plecach minstrela, dopadli oxtońskiej polany.

— Stój!.. — Chris szarpnął chłopca za kaftan i zatrzymał. I po raz trzeci powtórzył stanowczo i rozkazująco: — Spokojnie!

Robin sam wiedział, że trzeba tę wieść przekazać Tine'owi spokojnie. Pojął to już w chwili, gdy usłyszał polecenie Dickona. Nie można dopuścić do tego, by wybuchło przerażenie i zgiełk, żeby ludzie potracili głowy. Nie wiadomo, czy ciągnący od Clarence Court zbrojny oddział żywi wobec Oxton jakieś wrogie zamiary. Może to tylko — jak wyraził się Strzała — „goście na Maj”? Może chcą po prostu przyjrzeć się ich saskiemu świętu? Ale po co mieli by to robić?..

Chris już dojrzał w pobliżu „May-Tree” starszego gminy i ruszył w jego stronę szybkim, ale spokojnym i opanowanym krokiem. Robin mimo woli dostosował się do jego kroku. Przez jakiś dziwny szum w uszach usłyszał wyrzeczone przez Chrisa półgłosem straszne słowo — i jak przez mgłę zobaczył że twarz Tine'a na mgnienie oka też skrzepła.

— Ilu ich? — posłyszał zwrócone do siebie krótkie, szorstkie pytanie.

— Nie liczyłem, nie wiem!.. — odparł z taką rozpaczą, jakby dopuścił się najcięższego przewinienia. — Dużo, cały orszak! — dorzucił desperacko.

Tine skinął tylko głową, odwrócił się i zmieszał ze świątecznym tłumem. Chris też weń wsiąkł. Robin nie wiedział, co ma teraz robić. Wypełnił rozkaz Strzały — choć właściwie zrobił to za niego Chris — a teraz?.. Żeby ktoś dał mu znów jakiś rozkaz, jakiś chociaż znak!

Ale zaraz zorientował się, że na polanie uczyniło się zupełnie inaczej. Niby wciąż trwał nad nią świąteczny zgiełk, głosy i śmiechy — a jednak... Wieść rozchodziła się błyskawicznie, i tak cicho, jakby przekazywali ją sobie nie ludzie lecz mrówki z puszczańskiego kopca. I przekazywali ją wyłącznie mężczyźni. Dotknięcie mrówczych czółek zastępowało właśnie to nienawistne, krótkie słowo. Dobrze, że było tak krótkie. Można je było wyrzec, uchylając zaledwie kąt ust. I to wymawiane brzegiem warg

słowo „Normany...” — brzmiało w męskich ściszonych półgłosach jak groźne powar-kiwanie wilków.

Bo Oxton było „królewską”, puszczańską wsią, wsią pod władztwem sir Sherwood'a — i jak każda taka wieś, nawykła do nagłych i niespodziewanych wizyt gości, których nikt nie zapraszał ani nikt sobie nie życzył. Mogli to być woodguardowie zamierzający rewidować chaty w poszukiwaniu łuków, skór i dziczyzny. Mogli to być poborcy ze shire'u, przybywający w eskorcie równie groźnych jak woodguardowie „rangersów” — po to, by ponaglić zwlekających z podatkami lub po prostu ściągnąć je siłą. Nieraz przelatywali przez wieś pacholki i drużynnicy „sir” Sheltona, tropiący zbiegłych z demense niewolnych chłopów — i bynajmniej nie zważający na fakt iż, Oxton nie podlega jurysdykcji bailiffa, tylko królewskiej, czyli szeryfowskiej. Zdarzało się nawet czasem, że jakiś utrudzony wędrówką przez puszcę rycerski orszak zbaczał z gościńca do wsi i w sposób bynajmniej nie przyjazny domagano się godziwego miej'sca do popasu, jadła, obroku dla koni... Przed tym królewska władza również nie chroniła. Z tych wszystkich doświadczeń Oxton wyniosło bezsprzecznie jeden wielki pożytek: mieszkańcy, zajęci codziennymi sprawami, wciąż trwali w gotowości — a w groźnej sytuacji potrafili błyskawicznie przybrać właściwą postawę.

Właściwą — to znaczy taką, jaką mieli możliwość przybrać. Prawa puszczy, czczona jak świętość, obcowanie od chwili narodzin z majestatem sir Sherwood'a, orientowanie się na wylot w obyczajach jego naturalnych poddanych, zwierząt — sprawiło, że ludzie posiadali leśną i zwierzęcą czujność i ostrożność, leśną odwagę i godność. Robin wiedział, że w niebezpiecznym momencie wszyscy osobnicy płci męskiej — mężczyźni i młodzieńcy — momentalnie dobiorą się odpowiednimi grupami i ustawią, tak, by osłonić sobą kobiety i dzieci, a w ostateczności — walczyć. Przede wszystkim o ich życie, dopiero potem o własne. Tak zachowuje się stado, gdy je osaczy obława. W ten sposób jelenie i rogacze, bezradne przeciw strzałom i grotom — jak wieśniacy przeciw prawu i przemocy — do końca próbują osłaniać pięknymi, wyniosłymi, płowymi komorami drzące sarny, łanie, jagnięta i siutki. W ten sposób, gdy

nie ma już ratunku, pochylają uwiecznione ciężkimi rosochami łby i ruszają do darem-
nego, śmiertelnego ataku...

— Robin!.. — posłyszał tuż obok siebie głosik Mucha.

To wyrwało go z osłupienia. I natychmiast pomyślał, że musi uchronić braciszka od nieszczęścia, które mogło zagrażać. Jemu, „Knightowi”, nie wolno uciekać, on jest mężczyzną, choć jeszcze nie całkiem dorosłym. Ale to dziecko trzeba stąd przepędzić. Natychmiast!

— Much — nachylił się nad małym. — Musisz wracać do młyna. Szybko i sam, rozumiesz?

— A dlaczego? — Much rozdziawił usta ze zdumienia. — Ja wcale nie chcę iść, tu jest ładnie! I jeszcze ognia nie zapalili, a tato powiedzieli...

— Trudno, tak się składa, że już musisz iść. Szybko i sam! Dasz sobie przecież radę sam? Jesteś dzielny, potrafisz sam wrócić?

— Nie chcę! — chlipnął Much. I dodał z gniewem: — A czego sam? Dlaczego ty zostajesz, a ja mam wracać?

— Mówiłem ci, że tak się składa. No, leć! A gdybyś... — Robin zaciął się na chwilę. — Gdyby ktoś za tobą biegł albo jechał na koniu, to zaraz chowaj się w krzaki! Tak, żeby cię nie zobaczył! Umiesz to przecież, prawda?.. Biegnij!

— Ja nie chcę stąd iść!.. — rozbeczał się Much, który z całej tej przemowy zrozumiał zapewne ostatnie słowo.

Robin ze świstem wciągnął powietrze w nos. O Jezu, czemuż ten dzieciak nie ma więcej rozumu! Można z nim będzie gadać tak Bóg wie jak długo... Nagle błysnęła mu zbawcza myśl. Przypomniał sobie, że dawniej, przed złożeniem wujowi przysięgi, kiedy wracał z łowów i bał się pierwszego wujowego gniewu — wypatrywał Mucha, przywołał go do siebie i kazał mu uprzedzić o swym powrocie Jake'a. Dzięki temu

mógł liczyć na mniej gwałtowne powitanie, bo Jake umiał w niewytłumaczalny sposób łagodzić złość chlebowodawcy.

— Much — przykucnął przy braciszku, — Chciałbyś, żebym dostał dziś od taty drugie lanie? I to jeszcze gorsze niż rano?

— Nie!.. — Much uspokoił się natychmiast i spojrzał na niego ze zgrozą.

— No więc musisz mi pomóc, lecieć do młyna i powiedzieć Jake'owi, że ja się boję wracać. Biegnij! Szybko!

Much już był gotów zastosować się do polecenia, ale nagle zastanowił się i zatrzymał. Nie był zanadto rozgarniętym dzieckiem, zrozumiał jednak, że w rozkazie starszego brata coś się nie trzyma kupy.

— Ale... przecież ty nic nie upolowałeś! Czego się boisz, Robin?

— Leć już, Much! — ponaglił go z rozpaczą chłopak.

— Ale czego ty się boisz? Co mam powiedzieć Jake'owi?

— Powiedz mu... — „Knight” znów zaciął się na moment. — Powiedz, że na „May-Tree” przyjechali goście! I że Jake ma pilnować młyna i ciebie! Powiesz mu tak?

— Powiem! — Mucha musiał przestraszyć wyraz jego twarzy i ton, bo widać było, że czuje się obowiązany do tajemnicy i przejęty powierzoną mu misją.

— No to leć! — Robin pchnął go ku porośniętym kalinami wzgórkom, wśród których wiodła ścieżka nad Trent.

Much pobiegł co sił w nogach. Robin podniósł się i patrzył za nim przez chwilę. Boże, daj, żeby dzieciak dobiegł szczęśliwie i bezpiecznie do młyna...

— Robin! — ktoś ujął go za ramię.

Był to Arnold Wild, Arnold Żbik, ojciec Arniego-Smyka. A stosunki Robina z Arniem, jak widać to już było w rozmaitych sytuacjach, układały się — można rzec — poprawnie. To znaczy, Arnie nie darzył Robina nadmierną sympatią. Nie była to otwarta nieprzyjaźń, bo tego nie wolno było sobie okazywać, lecz wyraźna niechęć. Brała się stąd, że Arnie zazdrościł Robinowi jego zręczności i w ogóle wszystkiego, co cechowało „Knighta” — i ku swej wielkiej rozpaczycy nie potrafił tej zazdrości w godny, puszczański sposób ukryć. Zaś całkiem przestał darzyć przybranego syna Willa jakimkolwiek cieplejszym uczuciem przed dwoma czy trzema laty, kiedy po którejś szczególnie dotkliwej przegranej nazwał Robina publicznie „znajd-kiem”. Kosztowało go to nie tylko solenne cięgi od ojca, ale i dobre imię, bo koledzy przez długi czas uważali go za pętaka. W tej sytuacji o sympatii względem Robina nie mogło być mowy, czym zresztą „Knight” wcale się nie martwił.

— Robin! — powiedział w tej chwili Arnold. — Nie płacz się po polanie, idź do chłopaków. Trzeba, żebyście byli teraz razem, rozumiesz?

— Ale... — zająknął się „Knight”.

Żbik od razu domyślił się, o co chodzi. Potrząsnął głową.

— Nikt tu teraz nie „pętak”! A zresztą pójdę z tobą! — powiedział sucho, lecz mimo to życzliwie.

Niedawny „Majowy Orszak” trzymał się razem na skraju polany, niedaleko „May-Tree.” I brakowało w nim, prócz Robina, chyba tylko Śpiocha, który z racji święta nie mógł pewnie się wyrwać spod Jeffowej ręki. Nawet Dickon zdążył już dobiec, oddawszy zapewne po drodze Millie pod opiekę matki i sióstr.

Arnold popchnął Robina ku gromadzie.

— No, młodziaki, pałki pod tyłki i zajmijcie się tam czymś! — rzekł spokojnie i szorstko. — A jak który sam z siebie ku nim bez potrzeby wyskoczy, to na świętego

Willibrorda!.. — zawiesił wymownie głos. — Własnymi rękami ze skóry obłupię, choćby po to, żeby im tej roboty zaoszczędzić!

Odwrócił się i odszedł. Robin nie był w stanie obliczyć, ile czasu minęło od chwili, kiedy ujrzeni z Dickonem w głębi parowu... Ale musiało go minąć bardzo niewiele, na polanie „May-Tree” wciąż widać było tylko odświętny tłum, niby spokojny, a przecież...

— Zagramy w „lynx-eye”⁵⁶ chłopaki! — zaproponował zupełnie naturalnym, prawie wesołym głosem Dickon Strzała. I wszyscy co do jednego pojęli, że to nie propozycja, lecz rozkaz, którego nie wolno nie posłuchać — tak jak na Polanie Jacka.

Natychmiast rozsunęli się tworząc większy krąg, i stosownie do rozkazu Arnolda przysiedli na złożonych na murawie „bonnies”. W jednej chwili ktoś ułożył pośrodku koła owo „rysie oko” z kamyków.

— Zaczynaj, Robin! — wezwał rażno Dickon.

„Knight”, wydobywając nóż, poczuł że dygoce mu ręka. Zacisnął zęby, żeby się opanować. Już nie dlatego, że tam, gdzieś blisko... — lecz po to, by móc brać udział w ich chłopięcej grze. Żeby trafić przepisowe pięć razy w „lynx-eye”. Kiedy to było, gdy naprawdę trafił strzałą w oko rysia, a raczej rysicy, która — zraniona — zaatakowała Jake'a i omal... Wszystko jedno, kiedy! Trafić! Trafić! Jak strzałą, jak grotem! Zatruty grot... Kto tak powiedział i o czym?

Ku swemu zdumieniu posłyszał własny głos, intonujący piosenkę, którą podchwycili natychmiast wszyscy. Niezbyt głośno, lecz jak zawsze dziarsko.

Oxton to królewska wieś

Nonny-no! Nonny-no!

⁵⁶ *Lynx-eye (ang.) — „Rysie oko”. Gra wyrabiająca zręczność w rzucaniu nożem do celu.

Nie chcą chłopcy kaszy jeść!

Nonny-nonny-no!...

Po to każdy praży łuk, praży łuk,

—Żeby pieczeń wsuwać mógł...

Ostrze noża utkwilo wśród kamyków, w samym środku „rysiego oka”. Śpiewali jeszcze raźniej, jakby na znak aprobaty dla celnego rzutu.

My z sherwoodzkiej dąbrowy,

Nonny-no! Nonny-no!—

Widzim nocą jak sowy...

— Pudło! — stwierdził ze śmiechem Dickon — Pilnuj się, „Knight”, co z tobą? Masz jeszcze tylko trzy punkty!

Robin przymrużył oko, celując najdokładniej, jak tylko mógł i potrafił. Dokoła niego rozbrzmiewały słowa cichsze niż zazwyczaj, ale jak zawsze czupurne i zawa-
diackie słowa piosenki-hymnu. Ich młodzieńczego hymnu. Czy mu się zdawało, czy inny był w tej chwili sens tych słów?

Nas chowała gęstwina,

Nonny-no! Nonny-no!

Żaden karku nie zgina!

Nonny-nonny-no!

Po to pałkę masz i łuk, giętki łuk,

Żeby wiał przed tobą wróg!

Nonny-nonny-no!..

— Brawo, „Knight"! — zawołał z zachwytem Martin Ucho.

— Jeszcze jeden rzut! — spokojnie rzekł Dickon.

Nad polaną rozlały się dźwięki lutni, którym zawtórował spokojny, dźwięczny, niewypowiedzianie piękny głos Chrisa:

Wam, zacne damy i rycerze,

Zaspiewać chcę o bohaterze!

Walijska ziemia go wydała,

Za co jej wieczna będzie chwala!

Szukając Graala świat przemierzył,

A w to, co słyszał, święcie wierzył,

Bo twarde są walijskie łby

I ćwiekiem każda wieść w nich tkwi...

„To o Percevalu!" — uświadomił sobie Robin, nie słysząc głosów pochwały i aprobaty po swym ostatnim rzucie w „lynx-eye". Jakoś zupełnie bezsensownie przypomniał mu się Bif-Walijczyk i krzywa, brodata gęba jego kompana. I w tej chwili ujrzał odbłask słońca na stożkowatych hełmach i błękitnej chorągwi, i pojął, że to, na co w pozornym spokoju i beztrójce czekali — już nastąpiło.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kaptur i luk

Z jeźdźców, sunących tuż pod błękitną chorągwią, Robin poznał tylko „Szatana” Leofrica Sheltona oraz — z pewnym trudem — barona sir de Clarence'a. Z trudem, ponieważ właściciel demesne od ostatniego pobytu na Wyspie, kiedy chłopiec widywał go w Holy Ghost na mszy, mocno się zmienił, postarzał i przytył. Kim natomiast byli dwaj młodzi, strojni panicze — można się było domyślić tylko dzięki właśnie chorągwi, niebieskiej chorągwi z gryfem przytrzymującym w szponach czerwono-złotą szachownicę. Nie był jednak w stanie zgadnąć, który z nich jest sir Gilbertem de Courtenay-em, a który Etienne'em. Z tej prostej przyczyny, że na nottinghamskim gościńcu obaj młodzi rycerze mieli na sobie pełne zbroje: srebrzyste kolczugi pod barwnymi oponczami i stożkowate hełmy osłaniające całą głowę i niemal całą twarz. Spod hełmów spływały bowiem kolcze siatki, chroniące szyję i kark, a naczółek i stalowa płytką stanowiąca zabezpieczenie nosa pozwalały widzieć tylko dół oblicza, część policzków i oczy.

Dziesięć dni temu sir Gilbert i jego giermek przyodziali się tak zbrojnie i wsporniale, by z odpowiednią pompą i majestatem zajeżdżać w krewniacze włości. Dziś widocznie nie było to potrzebne, bo ubrani byli bogato i wykwintnie, ale w jedwab i aksamit, nie w stal. Mieli tylko krótkie miecze.

Strwożone, lecz mimo to czujne oczy „Knighta” przenosiły się z jednej konnej postaci na drugą. Nie sądził, że mogą być tak młodzi. Zresztą mógł to ocenić tylko po ich twarzach, bo siedząc na rosnących wierzchowcach i dodatkowo — na wysokich normañskich siodłach wydawali się ogromni i rośli. Ale twarze mieli młode, niemal chłopięce, takie jak twarz Robina, jak każdego z Majowych Rycerzy. I to budziło największe zdziwienie, graniczące z przerażeniem. Dotychczas bowiem „Knight” widywał „ich” z bliska jako zupełnie dorosłych, o brodatych i wąsatych, dumnych i wyniosłych twarzach. Taki był „sir” Shelton (choć on właściwie nie był Normanem, lecz Sasem, który wyrzekł się swej dumy i miana — co dla Robina święcie wierzącego słowom „...miej w opiece, Boże, nas, gdy się Normanem stanie Sas!” — stanowiło nację nierównie podlejszą od normańskiej!), takim był baron sir de Clarence, Artur „Pilnuj-lasu” i jego strażnicy, takie też były wszystkie osobistości ze shire’u, jakie chłopiec miał możliwość kiedykolwiek ujrzeć. Owszem, te osobistości miały wokół siebie służbę, wśród której bywali ludzie młodzi, bardzo młodzi, w wieku Robina i nawet młodsi — różni paziowie i pacholki — ale na nich nie zwracało się po prostu uwagi. Świta była czymś jednolitym, bez twarzy i szczegółów. Stanowiła oprawę, jak barwne materie czapraków i kotar, osłaniających kolasy i poczesne miejsca, zwieszających się z okien podczas uroczystości, zgromadzeń, sprawowanych „w imieniu króla” sądów czy egzekucji na nottinghamskim rynku...

A teraz widział tych niemal chłopców, prawie swoich rówieśników, jako „ich” — w całym dostojęństwie, w całym złowrogim majestacie. Nie spodziewał się tego i pewnie z tej przyczyny, choć dotąd nie myślał o lęku — nagle go poczuł. Okropny, mdlący, zasychający w gardle, łomoczący w kolanach...

Wydawali mu się bardzo piękni i bardzo do siebie podobni, choć nie byli jednako odziani. Jeden miał na sobie szafirową opończę z matowego jedwabiu, haftowaną na piersiach złotem w jakiś wymyślny ornament. Ornament ów mienił się dodatkowo iskrami klejnotów. Tak samo mieniła się i lśniła szafirowa wstążka, okalająca — podobnie jak ich sevenbolds — czoło i ciemne, kunsztownie utrefione włosy, spływające na ramiona. Drugi, o włosach nieco jaśniejszych i krótszych, odziany był w opończę z malinowego jedwabistego aksamitu, a zamiast haftu połyskiwał na jego piersi złoty łańcuch, też zdobiony drogimi kamieniami. A na włosach nosił złotą obręcz.

Gdyby to była inna chwila i gdyby nie trzepotała nad nimi ta chorągiew — biedny młodzieńcy „Knight” z młyna pomyślałby z pewnością, że tak właśnie jak oni wyglądał młody Tristan, ruszający z rozkazu wuja po Złotowłosą Izoldę, albo może bohaterki Geoffrey w chwili uroczystego wyjazdu do zdobytej Jerozolimy... albo sir Perceval, o którym też przed chwilą śpiewał Chris...

— O licha! Ależ lalczki!.. — posłyszał obok siebie szept Martina Ucho i stłumione garścią, nerwowe parsknięcie.

— Masz jeszcze jeden rzut! — surowo rzekł Dickon.

Dzięki tym słowom Robin jakoś się opamiętał. Cóż u licha! Czego się tak wystraszył i zagapił jak dzieciak? Przyjechali? No, to przyjechali! Może naprawdę tylko popatrzeć na „May-Tree! Dobrze, że nikt na nich nie zwraca uwagi, nie wita! Czy ich tu kto prosił?

— Czyń swoje! — jeszcze chłodniej i spokojniej powiedział Dickon.

Było to skierowane do Johnny'ego Kociaka, najmłodszego z Rycerzy, na którego teraz wypadła kolej w „lynx-eye”. Ale Robin zrozumiał te słowa jako zwrócone do siebie, do wszystkich, potwierdzające to, co myślał. „Czyń swoje...” To nie są zwyczajne słowa. One są hasłem! Tak, hasłem! Póki nie musisz walczyć, bronić się —

czyni swoje! I niech cię obchodzi tylko to, co czynisz! Czyż nie widział tego wokół siebie? Czy sam tak nie postępował przez szesnaście lat swego życia? Przecież zawsze byli...

Poprawił się na murawie, chcąc usiąść jeszcze swobodniej. Stłumił syknięcie, bo „bonnie” dotkliwie uraziła obolały tyłek. Zapiekło, jakby kto żywy ogień przyłożył. Ale ten ból nieoczekiwanie dodał chłopcu jeszcze więcej odwagi. Czegóż się dotąd bał? Najbardziej — wujowego pasa! A tak jak dziś, nie dostał jeszcze nigdy w życiu. O Jezusie, aż się w oczach ćmiło! A przecież wytrzymał, nawet nie pisnął. Każdy ból można znieść, więc czego się bać?

Uspokojony niemal zupełnie tym przeświadczeniem otoczył ramionami kolana i obserwował z pobłażliwym uśmiechem, jak męczy się Kitten. Celował, spoglądając srogo w „rysie oko” spod nałożonej wczoraj po raz pierwszy w życiu sevenbold...

Chris-Lutnista też widać kierował się zasadą „czyni swoje”, bo choć zaprzestał śpiewu, wciąż grał. Do Robina dotarła nagle ta melodia, którą w chwili pierwszego przerażenia i napięcia przestał słyszeć — i lęk pierzchnął całkiem!

Jeźdźcy, którzy na chwilę zatrzymali się na skraju polany, teraz ruszyli stępą wprost ku „May-Tree”. Ruszyli nie wszyscy, bo tylko baron de Clarence, „sir” Shelton, dwaj strojni panicze, jakiś podeszły już w latach wielmoża w pąsowym aksamitnym płaszczu i kolczudze, ale bez hełmu — i kilku odzianych w dworską barwę pacholek. Robinowi wydało się, że rozpoznaje wśród nich tłustego rudzielca, który zagadywał do niego w „Trzech Dzikach”. Nie miał jednak całkowitej co do tego pewności, bo pacholek jechał z głową zwróconą w drugą stronę.

Reszta orszaku — przyodziani w kolczugi i hełmy, wyposażeni w pełny oręż drużynnicy — szybko i sprawnie poczęła rozstawiać się po obrzeżach polany. Majowi Rycerze rzucili na siebie szybkie, czujne spojrzenia. Johny zamarł z uniesionym do góry nożem.

— Wal, Kociak! — zachęcił go niedbale Dickon, choć sam również tak popatrzył.

W miarę, jak sir de Clarence ze świtą podążał przez polanę, zacichał na niej gwar, a ludzie unosili się z miejsc i stawali nieruchomo, w milczeniu. I tak, jak nakażywało prawo puszczy — kobiety z dziećmi na rękach i u spódnic, dziewczęta, malcy i zupełnie starzy ludzie postępowali do przodu, a mężczyźni, cofając się w tył, okrążali nieznacznie tę niezdolną do walki i obrony gromadę, i osłaniali ją sobą. Sir de Clarence był już blisko, Majowa Drużyna podniosła się z trawy. Robin, wstając z ziemi, odruchowo chciał podnieść „bonnie”, ale Dickon błyskawicznie nastąpił na nią chodakiem.

— Który tu starszy? — zapytał sir de Clarence, zatrzymując się niedaleko ich gromady, obok „May-Tree”. Jego nosowy głos wśród ciszy, jaka zaległa już całkiem, zabrzmiał bardzo doniośle.

— Ja, wasza dostojność! — Dick Tine wysunął się z tłumu i stanął na wprost jeźdźca. Głowę miał wysoko uniesioną, szpakowate włosy powiewały na lekkim przedwieczornym wietrze, a głos wcale nie był cichszy od głosu barona. Robinowi wydało się, że to jakiś inny Dick Tine, nie ten, który przestrzegał Chrisa. — Z Bogiem gości witamy...

— Z którym bogiem? Tym? — zimno i wzgardliwie zapytał pan na Clarence Court, wskazując „May-Tree”. — A może tym? dłoń w białej łosiowej rękawicy wskazała z kolei zielony stożek „Jacka”.

Dwaj młodzieńcy i „sir” Shelton wybuchnęli szyderczym śmiechem. Zawtórowali im pachółkowie. Nie śmiał się tylko wielmoża w paśowym płaszczu. Obrzucił rozbawionych towarzyszy jakimś posepnym spojrzeniem i zacisnął usta.

— Kitten!.. — syknął ledwie dosłyszalnie Dickon i położył dłoń na ramieniu Johnny'ego, który nie zdążył jeszcze schować noża i w tej chwili zrobił ruch, jakby

chciał się zamachnąć. Niedawny Wódz Orszaku, patrząc w przestrzeń, wyskandował szeptem:

— *I cierp, i milcz jak głaz, nie człek...*"

„Aha, teraz o tym pamiętasz!” — pomyślał złośliwie Robin i nagle zawstydził się tej myśli i tej złośliwości. Bo czyż mogła być właściwsza chwila — żeby o tym pamiętać?

— Z Bogiem Ojcem, Jego Synem i Duchem, którego uroczyste Zesłanie dziś w chrześcijańskiej radości świętujemy! — odparł spokojnym, mocnym głosem Dick Tine, kiedy śmiech „gości” nieco przycichł.

— W chrześcijańskiej radości!.. — powtórzył zjadliwie i drwiąco ciemnowłosy młodzieniec w błękitnej opończy.

Pan w pąsowym płaszczu pochylił się ku niemu i szepnął coś, co zostało przyjęte wzgardliwym prychnięciem.

— Tak, w chrześcijańskiej radości! — potwierdził spokojnie Chris, stojący tuż przy May-Tree z nogą wspartą niedbale o jeden z dębowych palików podtrzymujących słup i z lutnią na kolanie. — Przyjechaliście poweselić się z nami szlachetni milordowie?..

Ton jego był niby uniżony, ale przy tym zdradzał bezceremonialność i tę uroczą, zniewalającą arogancję, z jaką minstrele mieli prawo zwracać się do najznakomitszych nawet osobistości — i którą minstrelom należało zawsze wybaczać.

Nie czekając na odpowiedź, uderzył w struny, które rozdzwoniły się perlistą, rozlewną melodią.

— Na razie daj pokój, grajku! — sir de Clarence podniósł rozkazująco dłoń. — Być może, że się z wami poweselimy, jeśli znajdziemy tu przyczynę radości. A i to bardzo być może, że ją znajdziemy.

— Czego raczycie żądać, wasza dostojność? — spokojnie zapytał Tine.

Zamiast odpowiedzi baron skinął na „sir” Sheltona, który również wysunął się z koniem do przodu.

— Sprawa jest krótka! — jego głos, pozbawiony normańskiej nosowości, brzmiał — o dziwo — jeszcze bardziej złowrogo niż głos sir de Clarence'a. — Przed dziesięciu dniami jacyś trzej chłopcy z tych okolic obrazili na gościńcu szlachetnego siostrzeńca jego dostojności, jego wielmożność barona sir Gilberta de Courtenay oraz szlachetnego pana Etienne'a de Monteyeux! — okrągłym gestem wskazał dwóch młodych rycerzy. — Ciężko obrazili! Szukamy ich. Jak dotąd, w żadnej z okolicznych wsi nie natrafiliśmy na tych zuchwalców. Może tu są?

Robin już przy słowach „...przed dziesięciu dniami jacyś trzej chłopcy...” poczuł jakby uderzenie pięścią w dołek — jak wtedy, gdy Arnie zdzielił go nieprawidłowym „knockiem” i jak wówczas, gdy ujrzał Maud w jej powszedniej postaci. Ale teraz było to o wiele gorsze uczucie: nie tylko zabrakło tchu, nie tylko świat pociemniał, lecz w dodatku coś rozpełzło się po całym ciele lepko i obrzydliwie. Przemknął mu przez myśl Śpioch, bezpieczny w „Trzech Dzikach” — jeszcze bezpieczny! — sercem targnęła jakaś rozpaczliwa zazdrość... i natychmiast sobą za tę zazdrość wzgardził.

Ciszę polany rozdarł czyjś głos, jakby zduszony krzyk czy szloch. Dziewczęcy szloch. Umilkł natychmiast, ale Robin poznał, do kogo należy, i drgnął gwałtownie. Millie!.. Tak wielki był jej przestach, że zapomniała o puszczańskiej ostrożności!..

Poczuł, że ktoś ściska jego łokieć. Spojrzał w bok i zobaczył tuż przy swojej twarzy twarz Dickona. Niedawny „Jack-in-the-Green” był blady, oczy z niebieskich uczyniły się prawie granatowe, płowa grzywka zjeżyła się śmiesznie nad sevenbold. Ale mimo to wydawał się spokojny, zupełnie spokojny. Robin zrozumiał, że za wszelką cenę musi przybrać taki sam wyraz twarzy.

— Bóg z wami, wasza dostojność! — w spokojnym głosie Tine'a słychać było teraz odcień trwogi. — Mówicie, że przed dziesięciu dniami się to zdarzyło? I dopiero dziś raczycie szukać winnych? W tak święty i uroczysty dzień?

— Tak, właśnie w ten dzień! — przemówił po raz pierwszy młodzieniec w malinowej opończy i złotym łańcuchu, a Robin natychmiast poznał go po głosie i po wymawianych z trudem, kaleczonych angielskich słowach sir de Courtenay'a. — Ja wiem, że wy, Sasi, dajecie sobie w ten dzień jakieś majowe prezenty! Przysięgłem sobie, że dacie dzisiaj taki prezent... mnie!

Głos jego był taki sam jak na gościńcu: wyniosły, wzgardliwy, pełen nienawiści. Ale nie ten głos sprawił, że serce Robina zamarło z przerażenia, wściekłości i przerażającej wszystko — odrazy. Była tak silna, że zapomniał o sobie, o Dickonie, o groźącym straszliwym niebezpieczeństwie. Tak niegodny, nierycerski, tak po prostu — szatański wydał mu się pomysł sir Gilberta i jego złożona sobie „przysięga”.

— Wasza dostojność! — widać było już wyraźnie, że Dick Tine siłą narzuca sobie spokój. — Jeśli tak się stało, jak powiadacie, to bardzo źle się stało. Ale my naszą młodzież tak chowamy, że żaden z nich nie ośmieliłby się zaczepić szlachetnie urodzonych rycerzy, a cóż dopiero obrażać, zwłaszcza ciężko! Ręczę, że w naszym Oxton na pewno ich nie znajdziecie...

— Przekonamy się! — przerwał sucho sir de Courtenay.

— Upewniam waszą dostojność, milordzie, że żaden z naszych chłopców...

Ale sir de Courtenay wznosił dłoń ostrym, nakazującym milczenie gestem. Dick Tine urwał wpół zdania.

— Powiedziałem: przekonamy się! — rzekł młodzieniec jeszcze zimniejszym tonem. Odwrócił głowę ku panu de Clarence. — Czy zezwalacie, dostojny wuju?

— Tak, sir Gilbercie, czyń co zamierzyłeś! — baron skinął przyzwalająco głową.

— Etienne... — sir de Courtenay skinął z kolei na towarzysza.

Giermek — ten w szafirowej opończy — zeskoczył z głośnym brzękiem miecza z wyżyn normańskiego siodła. Osłupiały Robin ocknął się na ów dźwięk i pomyślał, że wtedy, gdy Etienne zwał się z konia ściągnięty jego „bonnie”, zabrzmiało to o wiele głośniej. Dłoń Dickona wciąż ścisnęła jego łokieć. Mocno, do bólu.

Pachołkowie też zeskoczyli z koni. „Knight” był już pewien, że jeden z nich — to rudzielec z karczmy. Jak go nazwał ten drugi? Zdaje się, Wat... Czy to Norman, czy też Sas, jak „sir” Shelton? Robinowi zaszumiało nagle w uszach. Przełknął ślinę i poczuł, że gardło ma zupełnie suche i ściśnięte.

— Przyzwijcie tu waszych młodzieńców. Wszystkich! — rozkazał sir de Clarence.

— Tu stoją, wasza dostojność! — Dick Tine wskazał „Majowy Orszak”, stojący istotnie bardzo blisko. Robin ujrzał, że ręka starszego gminy wyraźnie drży. Poczul jakiś niewytłumaczalny wstyd — czy za Dicka, czy za swój własny lęk? Bo lęk właśnie powrócił, ten sam, a może jeszcze bardziej ohydny i mdlący niż w chwili, gdy ujrzał „ich” wjeżdżających na polanę.

Nieoczekiwanie pod palcami stojącego wciąż w tej samej niedbalej pozie Chrisa rozśpiewała się lutnia. Było to tak nagłe, że wszyscy, łącznie z krocącym już ku Orszakowi Etienne'am i pachołkami, zwrócili głowę w stronę Lutnisty. Chris nie śpiewał, ale w tej dzikiej, szarpającej serce melodii Robin usłyszał nagle wyraźnie — namiętne, rozpaczliwe słowa:

Wstań, Haraldzie, zwołaj nas!

Ogłoś świętych wici czas!

Na królewskie twe wezwanie

Gniew się zbudzi, duch powstanie,

I znów wolnym będzie Sas!

Nonny-no! Nonny-no!

Odbierzemy wolność swą!..

Dlaczego Chris zagrał tę właśnie melodię? Czyżby się domyślał, że chodzi o nich, chłopców z Oxton? Czy tylko przypadkiem? Co może jeszcze wiedzieć Chris?.. Zna hasło sir Twice'a The!.. Twice The... „Póki choć jeden szumi dąb...” Obietnica sir Fitz Ooth'a!.. Sir Eric! Ratujcie, sir Eric, jak na bagnach Shivery Marsh, jak przed niegodnym strzałem w Noc Haernonna!..

Etienne już był na wprost nich, spoglądając bystro w ich twarze. „Knightowi” zupełnie bezwiednie przemknęło przez mózg, że oczy giermka są zupełnie podobne do oczu rysia — jasnozielone w żółte cętki. Oko rysia... tak, jeszcze przed chwilą na pozór spokojnie grali w „lynx-eye”...

— To ten!.. — posłyszał nosowy i jednocześnie ostry głos, i zaraz po nim taki sam śmiech. — Mamy naszego Rycerza Okrągłego Stołu, panie!..

— Robin Stamtąd!.. — zawtórował usłużnie rudy Wat.

Świat pociemniał w oczach chłopca. Ciało znów ogarnęła ta sama omdlałość, ten sam bezwład co wówczas, gdy leżąc na wyszce posłyszał okropne, krzywdzące słowa wuja. I tak samo nie potrafił nawet drgnąć. Ujrzał wyciągające się w jego stronę ramię Etienne'a... i nagle pomiędzy giermkiem śmignęła czyjaś „bonnie”, jednym błyskawicznym ruchem podjęta z ziemi, i rozległ się dziki, przeszywający krzyk:

— Zostaw go, draniu!..

Robin domyślił się raczej głosu Arniego-Smyka, niż go poznał. Strach pierzchnął przed zdumieniem. Arnio?.. Ten zawsze tak niechętnie do niego usposobiony Arnio — broni go, nie pamiętając o surowym zakazie rodzzonego ojca?..

Czyn Arniego i jego rozpaczliwy okrzyk wyrwały Rycerzy ze stanu skamieniałej trwogi. W jednej sekundzie wszystkie „bonnies” znalazły się w rękach.

— Robin!.. Uciekaj!.. — ostro krzyknął Dickon i sam pod osłoną kijów rzucił się w tył, w zielony gąszcz obrastający polanę.

„Knight” z miejsca porwał się do szalonego biegu. Znow, jak wtedy, gdy biegł znad parowu z poleceniem Strzały — nie myślał niczym i niczego nie czuł. Nawet strachu. Widział, że musi po prostu pędzić, biec, uciekać!..

Wiatr świszczwał w uszach i poprzez ten świst słyszał za sobą jakieś coraz dalsze odgłosy, trzaski czy brzęki. Wydawały je „bonnies” czy miecze? Jakież w tej chwili był sens to odgadywać? By myśleć o tym, co dzieje się teraz na świątecznej polanie?.. Uciekać! Prędszej! Ratować życie!

Nie był zdolny do obmyślenia jakiegokolwiek drogi ucieczki, więc chyba tylko podświadomie i z nawyku pędził tą najlepiej sobie znaną, wiodącą wśród porośniętych kalinami wzgórków — do Tren- tu i do młyna. Nie miał pojęcia, w jaki sposób przemknął się przez kordon jeźdźców z drużyny sir de Clarence'a. Ale przemknął się przecież biegiem drogą wśród kalin! Posłyszał głośny stuk, jakieś dudnienie, i zdumiało go, że serce tak łomocze, choć przecież niedługo biegł i wcale jeszcze nie czuł się zmęczony. Ale w sekundzie pojął. To nie serce, to dudniły za nim końskie kopyta.

Wyteżył wszystkie siły. Biec, biec!.. Jeżeli go schwytają, koniec z nim! Co z nim uczynią?.. Arnold mówił, że obłupią ze skóry... i kiedyś Dickon tak samo... A sir Twice The mówił o sir Fitz- Oothcie, że podarli go na strzepy!.. Uciekać! Uciekać! Ujść ich okrutnym rękami!

Tuż nad głową zachrapał koń, przez pot zalewający oczy ujrzał kopyta zrównane w pędzie z własnymi chodakami. Czyjaś dłoń złapała z całej siły za kaptur na plecach, skręciła, ścisnęła, zdusiła i uniosła w górę...

— Sir Fitz-Ooth!.. — wykrzyknął zduszonym, śmiertelnie przerażonym głosem nazwisko, które właśnie przemknęło przez oszalałą z trwogi pamięć.

Trzasnęła rozdarta materia, ściśnięte gardło wypełniło się oddechem, a on sam — wolny — potoczył się kilka kroków i upadł. W przeblysku świadomości zrozumiał, że pod ściśnięciem mocnej garści Etienne'a pękł znoszony samodział i kaptur pozostał w dłoni giermka...

Etienne ze wstrętem cisnął na ziemię strzęp owczej wełny i ściągając cugle, wolno ruszył ku leżącemu chłopcu. Uśmiechał się szyderczo i okrutnie, spod migotliwej przepaski patrzyły pełne nienawiści oczy. Rysie oczy!.. Robin sam nie wiedział, kiedy i jakim sposobem wyrwał nóż, kiedy wycelował, zamachnął się i cisnął!..

Wrzask okropnego bólu poderwał go na nogi. Przez mgłę, która przesłoniła mu wzrok, dojrzał między przyciśniętymi do twarzy dłońmi giermka kościany trzonek — trzonek swego noża, wygranego w Patton — i jak przez mgłę dosłyszał swój własny dziki krzyk:

— Za Haralda!..

Spłoszony koń zarżał i stanął dęba, gdy Etienne bezwładnie zwałił się z niego. Jak dziesięć dni temu, na gościńcu... Dalsi jeźdźcy byli już blisko. I znów nie wiedząc, jakim cudem — Robin znalazł się na grzbiecie konia, na wysokim, rycerskim, normańskim siodle. Jak wskoczył? Nigdy dotąd nie jeździł konno, choć czasem ku irytacji wuja Willa dosiadali wraz z Muchem zaprzężonych do wózków przybyłych z ziarnem czy po mąkę, mizernych chłopskich chabet... Skąd znał tę sztukę? Skąd wiedział, jak chwycić cugle, jak ścisnąć kolanami boki rasowego wierzchowca, jak rzucić go w szalony cwał? Dlaczego nie spadał, dlaczego nie czuł bólu, choć od dzisiejszego ranka siadał tylko z trudem i bardzo ostrożnie?

A jednak nie spadał, pędził drogą ku młynowi! Znów słyszał — już nie przez stuk serca, lecz przez tętent konia — odgłosy ścigającej go pogoni. Nie oglądał się,

słuchem wyczuł, że to nie pachołkowie. Dudnieniu kopyt wtórował głośny szczęk i chrzęst. Zbrojni sir de Clarence'a!.. Chryste, dopędzą zaraz, zaraz poczuje w plecach ostrza kopii, które tak lśniły tam, na dnie parowu...

Poczuł gwałtowne szarpnięcie, posłyszał znów krótkie rżenie konia i nim zdołał zrozumieć, co się stało, znalazł się na ziemi. Mimo że był nieprzytomny z przerażenia — poznał Jake'a! Jake'a w poszarpanej opończy z resztkami czerwonego sukienego krzyża, z mieczem w dłoni! Niemowa z gardłowym dźwiękiem wskazał mu młyn i jednym skokiem znalazł się w siodle.

Wciąż nie pojmując, co za tajemna siła kieruje jego postępowaniem — Robin pognął ku młynowi. Much!.. Ratować Mucha, bo został sam, a wujostwo nie wrócili pewnie jeszcze z gospody... A Jake? Obejrzał się i zobaczył, że Niemowa, ustawivszy konia w poprzek drogi, zastąpił ją pościgowi i wznosi do góry oburącz swój jerozolimski miecz... Chłopak rzucił się do dalszej ucieczki. Słyszał za sobą brzęk, wściekle uderzenia stali o stał. Nie oglądał się już, wiedział, że Jake uniesiony w strzemionach rąbie zażarcie od prawej i od lewej, tak jak to czynił przed kilku laty z daleka od Wy-spy, gdy pod jaskrawym wschodnim niebem osaczały go oddziały Saladyna...

Dopadł mostku. Much biegł mu naprzeciw, zanosząc się od płaczu.

— Powiedziałem Jake'owi... a on zaraz porwał miecz i poleciał!.. Dokąd?.. Co się stało?.. Robin!..

— Chodź, chodź, prędko!.. — chłopiec bez tchu chwycił go za rękę i pociągnął za sobą. Wpadli w zieloną gęstwinę dębowego młodnika po drugiej stronie nadrzecznej ścieżki. Biegając pomiędzy pniami, Robin wspomniął niedorzecznie (tyle już niedorzeczności przelatywało mu przez głowę w tych strasznych chwilach!) opowieść wuja Willa sprzed lat. Podobno, gdy wuj wzięli go za swego jako niespełna roczne niemowlę — rozchorował się wkrótce potem okropnie i wszyscy myśleli, że umrze. Nie pomagały leki ani zioła ciotki Agnes (wtedy jeszcze nie była ciotką, tylko sąsiadką wuja, wdową której dzieci pomarły na dławicę — wuj dopiero potem z nią się oze-

nili!), ani zamawianie. I na koniec spróbowano ostatniego już sposobu: wyszukano mocny i zdrowy młody dąbek, wykopano pod jego korzeniami jamę na wylot i przez tę jamę przeciągnięto nieprzytomne dziecko, którym był on, Robin. Pomogło, bo zaraz zaczął wracać do zdrowia. A dąbek podobno usechł. Wziął w siebie jego chorobę i pewnie wszystkie inne też, bo Robin potem nie chorował już nigdy, aż do dzisiejszego dnia. A dziś? Czy dębowe zamawianie ocala tylko od śmierci z choroby? Czy uchroni przed mieczami i kopiami?

— Dokąd mnie ciagniesz?.. Czemu tak szarpiesz? — płakał zadyszany Much. — Puść mnie, ja nie umiem lecieć tak prędko jak ty!.. Puść mnie, Robin!

Chłopiec nie słuchał. Mocno ściskając rękę brata i ciągnąc go tak, że dzieciak niemal fruwał w powietrzu — mknął ku obrośniętemu leszczyną i tarniną, na pół uschłemu dębowi, któremu wiele lat temu piorun rozdarł i spalił część korony i w którym tuż nad korzeniami ziała obszerna dziupla, niemal pieczara. To była kryjówka i zarazem łowiecki magazyn „Knighta”. Tu — przed przysięgą oczywiście — oprawiał ustrzeloną zwierzynę, tu wędził i solił mięso, tu przechowywał skóry i trofea...

— Włóż, Much! — wepchnął do jamy przerażonego, zapłakanego, zasmarkanego i zupełnie już nieprzytomnego malca. — Siedź tu i nie wychodź. Nie waż się nawet nosa wysunąć, rozumiesz?!

Wyrzekł to tak ostrym i dzikim głosem, że Much, który dotąd znał brata przemawiającego tylko żartobliwie, wesoło i łagodnie — nie ośmielił się już pisać słowa i wtulił się w śmiertelnej trwodze w kącie pieczary. Mimo ściśniętego trwogą gardła Robin odetchnął. Może mały ujdzie tu złego losu, może ocaleje... Natomiast on, „Knight”...

Znów porwał się do biegu. Ale nagle coś go wstrzymało, obejrzał się na kryjówkę i nakreślił w powietrzu znak krzyża.

Teraz na polanę! Na „swoją” polanę, gdzie ukrywał łuk, gdzie odbywał swoje ćwiczenia!

W tej chwili w nozdrza uderzył swąd dymu. Jak oszalały skoczył ku obrzeżu młodnika, rozsunał kłujące zarośla maliniaka i znów głupio pomyślał, że mnogość zielonych związków wróży obfite letnie lasowanie...

— O Chryste!.. — wydarł mu się z ust zduszony krzyk.

Strzecha mieszkalnego domostwa buchała już dymem. Kilku jeźdźców, z żagwiami w rękach, podjeżdżało do młyna. Ich młyna! Wujowego królestwa, jego, „Knightowego” dziedzictwa! Zatoczył się, przyciskając dłonie do ust, żeby nie krzyknąć dziko i przeraźliwie. Więc Jake nie zdołał... Więc to znaczy, że oni Jake'a... O Chryste!..

Odruchem rozpaczony już tylko, nie odwagi czy rozsądku, narzucił sobie opanowanie i popędził na wiadomą polanę. Gdy tam, dobiegł, znów zdumiał go bezsensownie zielony półmrok. Dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że swe treningi odbywał w pełnym słońcu, a teraz słońce zachodzi lub już nawet zaszło! Ale czy warto było o tym myśleć? Sięgnął w szczelinę, wydobył łuk, nałożył wyszukaną w nawoskowanej szmatce cięciwę — i zupełnie bezwiednie, z nawyku począł ćwiczyć palce według poleceń Phineasa Kuny... Pojął nagle, co robi, i na sekundę zamarł. Nie czekały go zawody, szlachetna gra!.. Ale musi przecież to zrobić. Ma broń! Ma czym pomścić! Odpłaci im za spalony młyn, za swe utracone księstwo!..

Wyszarpnął z dziupli kołczan i po omacku, końcami palców przeliczył strzały. Serce w nim zastygło. Sześć?.. Tylko sześć?! Prawda, po świętach chciał odnowić u Dickona zapas! A Dickon odmawiał... i teraz już nowych nie robi, bo przecież... Czy udało mu się uciec, czy ocalał? Chyba już nie ożeni się z Millie... A tacy byli szczęśliwi!

Oprzytomniał, przerzucił przez ramię parciany pasek kołczana i łukiem w rękę popędził w stronę, skąd dolatywał już głośny, straszny trzask ognia i powiew gorąca. W biegu nałożył strzałę. Ale gdy zarośla rozrzedziły się i ujrzał przed sobą most i płonące za Trentem zabudowania młyna — zatrzymał się tak gwałtownie, że zarył chodakami w ziemię. Jak wtedy, gdy biegł znad parowu i drogą złapał go Chris...

Ciotka Agnes biegła przez mostek pierwsza, z rozpostartymi szeroko ramionami. Trzask ognia wszystko zagłuszał, lecz Robin był pewien, że ciotka w tej chwili rozpaczliwie krzyczy. Krzyczy imiona ich, swoich chłopców, bo myśli że są tam, w płonącym młynie! Mieli przecież wrócić o zachodzie!.. A wuj Will stał jak skamieniały na środku mostku, z głową wzniesioną ku szalejącemu pożarowi...

Chłopiec chciał rzucić się ku nim, lecz właśnie w tym momencie ciotka potknęła się, rozłożyła ramiona jeszcze szerzej — i ciężko upadła na deski mostu, nie zdążywszy dobiec do jego krańca. A natychmiast, natychmiast po niej zwałił się na mostek wuj, przyciskając dłonie do piersi.

Oszalałe z przerażenia i bólu oczy Robina przeniosły się z obojga powalonych postaci poza Trent. Ujrzał biegające na tle ognistej ściany młyna, spieszone już postaci w kolczugach i stożkowatych hełmach, w których krwawo odbijał się blask płomieni. Niektóre z nich odejmowały właśnie od twarzy wzniesione do strzału kusze...

— O Chryste!.. — wykrztusił przez szczękające zęby Robin. — O Chryste!.. — powtórzył jeszcze raz, choć nawet nie wiedział, że wymawia to Najświętsze Imię. Z niczego nie zdawał sobie sprawy.

I niczego nie czuł, prócz jakiejś okropnej, rozsadzającej głowę pustki.

Bezwiednie zacisnął pięści i pojął, że trzyma w ręku łuk, że między palcami prawej dłoni tkwi brzechwa strzały. To przywróciło mu przytomność. Ma czym pomścić! Potrafi! Już nie za młyn zapłaci — lecz za śmierć swoich ukochanych!..

Jednym długim skokiem wypadł z zarośli, przesadził ścieżkę i jeszcze nie dotykając stopami ziemi naciągnął cięciwę. Mostek miał w długości niespełna czterdzieści jardów, mierzyli go kiedyś wraz z Jake'em. Doniesie!.. Wiatr ucichł przed wieczorem, nic nie przeszkodzi strzale! A trafić musi, bo ma tylko sześć! Szarpnął, rozwarł palce, wypuścił...

— Za wuja!.. — krzyknął ochryple i nienawistnie, widząc jak postać w krwawo połyskującej, stalowej kolczudze przechyliła się w tył i zwała ciężko, chwyciwszy za piersi. Tak samo, jak przed chwilą wuj Will.

W biegu nakładając drugą strzałę, Robin przemknął kilka susów i zatrzymał się po drugiej stronie wejścia na most. Tu znów wyprężył się, naciągając cięciwę.

— Za ciotkę!.. — krzyknął tak samo schrypniętym i mściwym głosem na widok padającej drugiej zbrojnej postaci.

Błyskawicznie wybrał miejsce do trzeciego strzału: porosły mchem kamień o jakieś pięć kroków dalej. Wiedział, instynktownie wiedział, że musi być wciąż w ruchu, strzelać wciąż z innego miejsca. Nie może dopuścić, by z toru strzał odgadli, gdzie jest! Spozrzedli się już, podnosili do czoła kusze...

— Za Jake'a!..

Trzecia sylwetka w kolczudze osunęła się na ziemię, wypuszczając z rąk śmiercionośny obłak. Robin, dławiąc się własnym oddechem, zeskoczył z kamienia w wodę Trentu i stojąc w niej po kolana, naciągnął cięciwę po raz czwarty.

— Za sir Erica Fitz-Ootha!..

Kto podszeptał mu, że i za tego nieznanego bohatera winien się zemścić? Chyba tylko wdzięczność, o której wprawdzie nie myślał, ale która musiała podświadomie w nim tkwić... Koło ucha świsnął grot, drugi z pluskiem wpadł w wodę Trentu. Robin wyskoczył na brzeg, przebiegł pod palami mostku, cofnął się i przyczaił za bliższym z

nich. Wymacał w kołczanie dwie strzały. Już tylko dwie... Zapłacił za mękę i śmierć sir Fitz-Ootha, bo przecież i po czwartej strzale, posłanej jego dłońmi, zwała się postać w stożkowatym hełmie. Zapłacił, tak jak potrafił i mógł!.. Ale przecież oni — wrogowie, najeźdźcy, Normany! zabili nie tylko sir Fitz-Ootha!

— Za lady Fitz-Ooth!.. — wyrzucił przez zaciśnięte zęby, wypuszczając z palców lotkę przedostatniej strzały.

Groty świstały już naokoło niego, ze stukiem wbijały się w pnie drzew, wpadały z pluskiem w ciemną wodę Trentu. Robin wiedział, że biją w niego tylko na wyczucie, że w wieczornym mroku nie są w stanie wypatrzeć go po drugiej stronie rzeki i wziąć na cel. Za to on widział ich dobrze, widział na tle ognia. Wpadli już w panikę, miotali się wściekle i szyli raz po raz, chcąc uśmiercić tak pewnego strzelca i zażegnać niebezpieczeństwo. Nie wiedzieli, że łucznik ma już tylko jedną strzałę. Jedną, ostatnią...

Wbiegł na krawędź mostku i przyciągnął do skroni cięciwę. Uczynił to wściekłym, desperackim szarpnięciem, zapominając o konieczności „czucia” — właśnie dlatego, że była to już strzała ostatnia.

— Za małą dziewczynkę, której nie oszczędziliście!..

Usłyszał suchy trzask, napięta cięciwa z całej mocy uderzyła o dłoń i okręciła się wokół niej, zadając silny ból. Oprzytomniał, pojął co się stało. Łuk jego ukochany łuk, sporządzony własnoręcznie, starannie wyprażony w kuźni wuja Jima z Morton's Eve — pękł mu w rękach!.. Przerażony, osłupiałym wzrokiem wpatrywał się w dwa kawałki bezużytecznego drewna.

— O Chryste!.. — wykrztusił jeszcze raz.

Przez chwilę stał jak zmartwiały, nie zważając na groty. Dopiero gdy jeden musnął mu ze świstem skroń i włosy, odzyskał świadomość. Much!.. Jeszcze on mu został, on jeden! I musi go ratować! Zanim złapią, zanim obłupią ze skóry czy rozerwą na strzępy — będzie bronił tego dziecka choćby zębami i pazurami! Tak, już chyba

tylko tym, bo innej broni nie ma. Nożem cisnął w Etienne'a... a cierp, łotrze, jak cierpiał król Harald przed śmiercią!.. „Bonnie” została na polanie w Oxton... Co stało się z Oxton, z chłopakami, ze wszystkimi? Łuk pękł... i strzał zabrakło...

Cisnął na ziemię swój bezużyteczny skarb, skoczył w gęstwiny młodnika. Gałęzie uderzały w twarz, szarpały za kaftan. Mrok był już prawie zupełny, tylko od tyłu, przez liście przeświecał krwawy blask. To płonął młyn, jego dom w którym przeżył piętnaście szczęśliwych lat swego życia. Nie było już młyna. Nie było chaty. Nie żyli przybrani rodzice. Nie śmiał wierzyć, że Oxton jeszcze istnieje. Tak, jakby przez ten jeden wieczór — wieczór „Maja” — skończył się dla niego, Robina, cały świat...

Dusząc w sobie rozpaczliwy szloch, dopadł dębowej jamy. Przystanął na chwilę, łapiąc z trudem oddech w ściśnięte gardło. Nie wolno mu płakać, bo przerazi Mucha. Much nigdy jeszcze nie widział go płaczącym. Jeśli zobaczy — mimo że głupiutki, pojmie zaraz że coś okropnego się stało. Niech jeszcze nie wie... niech jeszcze nie wie... na razie...

— Much! — zawołał cichym, zdławionym głosem, nie chcąc przestraszyć braciszka nagłym wtargnięciem do jamy.

— Co?... — odpowiedział w jej głębi senny głosik i Robin pojął, że wyczerpany strachem i płaczem malec po prostu musiał się zdrzemnąć. Ostrożnie wsunął się do cuchnącej zbutwiałymi skórami i próchnem czeluści. Coś chlipnęło i drobna postać przygarnęła się w mroku do niego.

— Cicho, cicho... — szepnął chłopak, przytulając dziecko do siebie. Nie robił tego nigdy, ale robiła to ciotka Agnes. Sądził, że powinien uczynić w tej chwili to co ona. Biedny Much, nie zazna już nigdy matczynych pieścizot. Nie wie o tym jeszcze. Nie wie że jest sierotą, tak samo jak Robin... Ale przecież on, Robin, nigdy sierotą się nie czuł! Miał wuję i ciotkę, troskliwych jak rodzice. Że nie pieścili? A któż tak czynił? Mężczyźni nie przystoją czułości, nie powinien ich pragnąć ani odczuwać ich braku. Ciotka pieściła Mucha właśnie dlatego, że był niezbyt rozgarniętym głupta-

skiem. I chyba też dlatego, że Pan Bóg dał go jej i wujowi, gdy oboje byli już w latach, gdy długo chowali przygarnięte krewniacze dziecko... Ale kochali jednakowo ich obu, i przybranego, i rodzzonego syna. Jednakowo dbali o przyodziewek dla nich, o to, by nie byli głodni, by czcili Pana Boga, Jego Matkę i świętych. Wuj kazali Robinowi pracować we młynie i w obejściu, ale kazali też pracować Muchowi — stosownie do sił i lat obydwóch. I karali też sprawiedliwie. Robinowi zdarzało się brać pasem za łowy, za zbyt długie ganiecie z chłopakami, ze szkodą dla roboty, za niebezpieczne skoki z młyńskiego koła (wciąż go to korciło...) — obrywał i Much za złość i upór, jakie często okazywał, za pozostawianie samopas owiec, za kąpiel bez niczyjego dozoru w młynówce...

Ale wuj nie tylko karali i burczeli. Chwalili, choć po swojemu krótko i szorstko, za wysiłek, za dobrze wykonaną pracę. Zdarzało się często, że obejmowali za ramiona i przygarniali do siebie — na moment, ale jak to cieszyło! A dzisiaj... przytulili i pocałowali w czoło, przeprasząc! Nie wiedzieli obaj — ani wuj, ani Robin — że to ich ziemskie pożegnanie...

Chłopak zacisnął zęby i powieki, powstrzymując łzy. Nie udało mu się powstrzymać urwanego westchnienia. Much oderwał głowę od jego piersi.

— Robin... czemu my nie idziemy do domu?

— Zostaniemy tu jeszcze chwilę. Siedź spokojnie, Much! Zimno ci?..

— Nie... ale chce mi się jeść! — poskarżył się mały.

— Przecież jadłeś w Oxtton grzanki?

— Ale to było tak dawno... Chodźmy już, Robin!

— Musisz poczekać! — powiedział łagodnie „Knight”. Nie miał pojęcia, czym nakarmi braciszka. Wszystko przecież spłonęło, w puszczy nic jeszcze nie dojrzewa, a zapolować — nie ma czym... A jednak będzie musiał coś zdobyć. Na potrzask jak

Matt?.. Wszystko jedno! Temu, kto strzelał do ludzi, już gniew Haernonna nie straszny! A Much musi jeść. Sam nie czuł głodu i był przekonany, że już nigdy w życiu nie weźmie niczego do ust.

— Ojej, Robin! — obejmujący go Much wyczuł coś w tej chwili i z przerażeniem obmacał jego boki. — A gdzie masz nóż?

— Nóż?.. — zająknął się „Knight”. — Nie mam go?

— Nie...

— Widocznie zgubiłem.

— Zgubiłeś nóż? Ten, który wygrałeś w Patton? — głos Mucha drżał zgrozą.

— Cóż, trudno!

— Ale... ty mi go miałeś dać we wtorek!.. — Much chlipnął, co znaczyło, że zaraz rozbeczy się na cały głos.

— Och, Much!.. — Robin z całej siły zwarł zęby, bo i jego szloch ścisnął za gardło. Ale w tym momencie uwagę malca przykuło coś innego.

— Robin... czemu tu tak czuć dymem?

— Nie wiem. Pewnie gdzieś w lesie się pali.

— W lesie? Ale przecież nie było burzy... i tego, no...

— Nie wiem! — powtórzył „Knight”, jeszcze mocniej zaciskając zęby. Przytulił do piersi jasną główkę braciszka, starając się zasłonić mu uszy. Niech nie słyszy... Bo sam słyszał dobrze — trzask płomienia i okropny, śmiertelny bek owiec. O Boże, czemuż obyczaj zabraniał wypuszczania ich na łąkę w pierwszy dzień „Maja”!..

Znów mimowolnie i bezsensownie przypomniał sobie historię z Muffem. Zdarzyło się to rok temu czy więcej? Muff — był to ogromny tryk walijskiej rasy, przemysł-

ny i złośliwy. We młynie wszyscy się go bali, oprócz ciotki Agnes. Ona jedna potrafiła go poskramiać. Gdy ujęła Muffa za ucho, pozwalał się prowadzić tak potulnie, jakby był jeszcze jagnięciem. Nikt inny nie ośmielał się tego robić. A ta przygoda... Robin wstydził się jej do dziś i wuj Will chyba też. Było to tak: ciotkę rozboleły kości i z trudem się ruszała. Czasem miewała takie bóle. Muff wyrwał się z grodzi i uciekł do lasu. No i... Robin słyszał kiedyś, jak ciotka zanosząc się ze śmiechu opowiadała o tym matce Abigail, żonie Dicka Tine'a:

— Najpierw poszedł szukać Robin i przepadł! Długo go nie było, więc Will posłał Jake'a! A gdy i Niemowa nie wracał, poszedł sam... Ja czekam, moiściewy, a tu ani barana, ani moich chłopów. Chryste Jezu, myślę sobie, ani chybi coś się stało! Zwlokłam się więc i sama poszłam. Zachodzę na polankę, całkiem niedaleko, i co widzę? Chłopak na jednym drzewie, Will na drugim, a Niemowa na trzecim! A Muff nożyskami grzebie i czeka, który pierwszy zejdzie...

Tak było. Siedzieli na tych drzewach, wstydząc się bodaj słowem do siebie odezwać, a Muff spoglądał ku nim z iście walijską nienawiścią. A kiedy ciotka podeszła i chwyciła go za ucho, poszedł pokornie u jej boku ku domowi. Wuj, Jake i Robin wlekli się z tyłu...Był to smętny powrót. W domu wuj pomstowali i wygrażali, że trzeba zarznąć to złośliwe bydłę, a Robin z zapalem przytakiwał. Skończyło się jednak na pogrózkach...

A dzisiaj Muff i całe stado... Jak musiały cierpieć! Nie, nie będzie o tym myślał! Nie będzie!

— Chodźmy już, Robin! — ponaglił go płaczkliwie Much.

— Poczekaj jeszcze chwilę...

Robin urwał. Ujrzał poprzez gałęzie czerwony blask płomieni, całkiem niedaleki. Przeraził się. Czyżby ogień dotarł aż tu? Jakim cudem — poprzez Trent? I w tym momencie zrozumiał, że to nie pożar, lecz pochodnie. O, tam druga... i trzecia... Szu-

kają go! Musieli znaleźć na ścieżce pęknięty łuk i bezużyteczną strzałę, domyślili się, że umknął w gąszcz, są pewni, że nie uciekł daleko. Dołożą wszelkich starań, żeby go znaleźć — przecież muszą ukarać za to, co zrobił z Etienne'em! Jeżeli tu dojdą, to znajdą! Mucha pewnie zabiją od razu, a jego...

— Robin, co to?.. — szepnął przerażony Much.

— Nie wiem! — odszepnął ochryple „Knight”. Ogarnęła go obezwładniająca rozpacz. Zbierając resztki odwagi i woli, mocno przycisnął do siebie braciszka. — Much!.. — szepnął już ledwie dosłyszalnie. — Siedź teraz cichutko, nie odzywaj się ani słówkiem...

— Czemu? — zapytał półgłosem Much i Robin aż się wzdrygnął, tak głośne wydało mu się to pytanie.

Tsss!.. — syknął tylko i przygarnął dziecko tak silnie, jakby chciał ukryć je w sobie. Much przez chwilę trwał bez ruchu, widać zdziwiony, i nagle otoczył go równie mocno chudymi ramionkami. Często próbował garnąć się w ten sposób do brata, ale „Knight” z męskim hartem opędał się od czułości. Pewnie dzieciak był szczęśliwy, że starszy, wspaniały brat tuli go tak serdecznie. Niechże będzie choć tak szczęśliwy... i choć jeszcze przez chwilę, ostatnią zapewne chwilę swego krótkiego życia! Nie oszczędzą go, nie będą zważać na to, że mały i głupiutki. „Oni” nie znają litości, zabili przecież synka sir Fitz-Ootha, dziecięcę w kołysce. I dla Mucha będą bez miłosierdzia. Zabiją dziecko, a jego, Robina... Zaczerpnął głęboko tchu. Gardło ścisnęło się boleśnie, w piersiach poczuł lodowate zimno. To nic! Zachowa się tak samo dzielnie jak sir Fitz-Ooth! Nie jest rycerzem, jest zwykłym chłopakiem z młyna, ale przezwano go „Knightem” — a taki przydomek coś znaczy! Tak, pokaże im, jak umie cierpieć i umierać saski KNIGHT!

Krwawy blask żagwi nie przeświecał już przez gałęzie i liście, widać było wyraźnie płomienie i objętą ich blaskiem postać w lśniącej kolczudze i strasznym, stożkowatym hełmie. A więc doszli tu, są blisko! Zaraz dojrzą i strzaskany dąb, i jamę, i

ukrytych w niej — ich obu! A on — może tylko czekać na śmierć Mucha i własną w męczarniach, bo nie ma czym się bronić! Nie ma... Bezwiednym, rozpaczliwym ruchem sięgnął do sakwy, choć wiedział, że nic tam nie znajdzie. Palce natrafiły na drewno, na jakiś obcy kształt...

Proca! Lady Marian! Maleńka „lady Boldie” w zabłoconej sukience, w zielonym wianuszku! Jej majowy prezent!..

Wiedział, że to śmieszna i żałosna broń, ale nie miał przecież innej. W miejsce trwogi napłynęła do serca nienawiść i zimna, mordercza zawziętość. Tak, tym będzie się bronił, póki zdoła! Pan Bóg wspomóż, jak wspomógł Dawida!.. Drogo odda życie Mucha i swoje własne! Niech go zastrzelą, niech zakłują mieczem — nie pozwoli się wziąć żywym!

Rękami, którym wściekłość przywróciła spokój i zwykłą sprawność, przygotował procę do strzału. Przez rozszalałą z trwogi i nienawiści wyborażnię przemknęła do-rzeczna myśl: jeśli raz strzeli, to koniec z nimi — nic tym nie wskóra, a zdradzi kry-jówkę!.. — lecz myśl zgasła natychmiast pod nową falą zawziętości.

Zbrojny uczynił kilka kroków, wzniósł w górę żagiew. Musiał widzieć i dąb, i jamę... Czy ich też już dojrzał? Chłopiec naciągnął strunę, celując pod lśniący hełm. Zapomniał o Muchu, który widocznie pojął nagle niebezpieczeństwo, bo wtulił buzię w kaftan brata i dygotał cały. Żołnierz uczynił jeszcze jeden krok, Robin naciągnął mocniej... i nagle zobaczył, że postać wroga sztywnieje, jakby w odruchu straszliwego przerażenia! Norman cofnął się, ręka z pochodnią i drugą, wolną ręką uczynił rozpacz-liwy ruch, jakby się osłaniając... i znikł chłopcu z oczu. Po prostu coś stało pomię-dzy napastnikiem a jamą w której byli ukryci.

Robin spojrział — i zobaczył, że przed pieczarą, zwrócona do nich tyłem, stoi ja-kaś postać. Smukła, wyniosła postać młodej niewiasty w powłóczystej sukni, z rozpo-startymi ramionami, osłaniająca sobą i gestem tych ramion ich kryjówkę. Nie wie-

dział, kto to taki, bo widział tylko strzelistą sylwetkę i falę rozpuszczonych włosów na plecach kobiety. Włosy te lśniły brunatno i rdzawo w świetle normańskiej pochodni.

Usłyszał chrapliwy zdławiony ryk śmiertelnej trwogi, żagiew zatoczyła półokrąg w powietrzu i upadła tuż obok ich jamy. A potem rozległ się chrzęst kolczugi i oreża, i tupot kroków, oddalających się w panicznej ucieczce.

— Robin — dobiegł do skamieniałego chłopca słodki głos.

Nieznajoma niewiasta odwróciła się i w świetle rzuconej na ziemię pochodni zobaczył jej twarz. Wydała mu się znajoma, choć naprawdę nie wiedział, gdzie mógł ją widzieć. Za to ona chyba znała go dobrze, bo nie tylko nazwała go po imieniu: nikt dotąd nie patrzył na niego z taką miłością, jaka widniała w jej dużych, brunatnozłoty oczach. Nigdy u nikogo nie widział tak czułego, tak serdecznego i pięknego uśmiechu jak ten, który rozchyłał delikatne, malinowe wargi nieznanej pani.

— Robin! — powtórzyła tym samym słodkim głosem, jakim nikt jeszcze nigdy nie wymówił jego imienia. — Nie bój się! Oni was nie znajdą!

Oniemiały chłopiec nie potrafił oderwać od niej wzroku. I nagle zobaczył, że jest ranna: po białej skroni spływała smuga purpurowej krwi. Czy ranili ją mieczem, czy grotem? Nie cierpiała chyba jednak i pewnie nawet tego nie czuła, bo uśmiechała się wciąż tak samo: słodkim, dobrym, pełnym miłości uśmiechem.

— Robin! — powtórzyła po raz trzeci jego imię. — Nie bój się. Wyjdź, podnieś pochodnię. Oni was nie znajdą, oni już tu nie wrócą. Jesteście bezpieczni!

Chłopak jak pod działaniem czaru odsunął skamieniałego ze zgrozy Mucha, dźwignął się na kolana, a potem wysunął z jamy. Sztywną z lęku dłonią podjął z ziemi żagiew i podniósł ją w górę.

Brunatnozłote oczy nieznajomej zaślniły w tym blasku jeszcze ciepłej, malinowe wargi rozchylił najmilszy ze wszystkich uśmiechów. Światło ognia odbiło się w roz-

puszczonych ciemnordzawych splotach. I w tej chwili Robin uprzytomnił sobie, skąd zna tę twarz! To była... jego własna twarz — taka, jaką widywał w tafli stawu, w ceberku z wodą. Znał ją przecież dobrze, bo ostatnio tak często przyglądał się sobie po kryjomu., bo zdawało mu się, że kocha Maud, bo pragnął się jej podobać...

Nieludzkie przerażenie ścisnęło serce Robina. Kto przybrał jego rysy? Leśna huldra czy deirdree, czy nixie z głębin Tren tu?.. Rozdygotaną dłonią uczynił na czole, piersi i ramionach znak krzyża, ale zjawisko nie znikło. Nieznajoma pani wyciągnęła do niego obie ręce i powiedziała głosem najśłodszym chyba na świecie:

— Robin. Synku!...

Lęk pierzchnął z serca natychmiast, zamiast niego wypełniły je nieznana dotąd miłość, radość i bezgraniczna ufność. Chłopiec wypuścił żagiew, podobnie jak ona wyciągnął ręce, postąpił krok w jej stronę i wyszeptał słowo, którego nie wymówił nigdy, przez całe szesnaście lat swego życia:

— Mamo...

I wypowiedziawszy je, osunął się bez przytomności na ziemię.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Oddane hasło

Drugie już kury przygotowywały się do piana, gdy na dziedzińcu opactwa Holy Ghost, u dębowej furtki w masywnych wrotach stanęły dwie milczące postacie przyodziane w cysterskie habity. Wyższa z nich przytulała coś troskliwie do piersi pod fałdami szkaplerza, a w drugiej ręce dzierżyła pielgrzymi kij. Niższa zaś — niosła oliwną lampkę, osłoniętą od wiatru kapturkiem z pęcherzy. Był to nieomylny znak, że któryś z wielebnych ojców śpieszy nocą do chorego z ostatnim Chrystusowym wspomoczeniem.

Brat furtian od razu to zrozumiał, bo wyszedł ze swej celki pokornie schylony i nim otworzył furtkę — przykleknął. Oliwna lampka rzucała nikłe światło, ale i w tym słabym blasku załśniła złościście bursa, kiedy ojciec Austin odchylił brzeg płaszcza.

— *Ad aegeri cum Deo!**⁵⁷ — rzekł przyciszonym głosem, mimo iż wyjaśnienia nie były przecież potrzebne.

— *Laus Tibi, Domine!**⁵⁸ — odszepnął braciszek i przeżegnał się.

Dwie postacie przemknęły przez otwartą furtkę i wśród szumiących posepnie i groźnie, po nocnemu, drzew które obrastały trakt ruszyły w dół gościńca. Wyższa, czyli ojciec Austin, zapomniawszy widać całkiem o dostojeństwie swej misji — podążyła od razu tak szparkim krokiem, że odsadziła się od towarzysza o dobre kilkanaście kroków.

⁵⁷ **Ad aegeri cum Deo* (łac.) — Do chorego z Bogiem

⁵⁸ **Laus Tibi, Domine* (łac.) — Chwała Tobie, Panie!

Ojciec Austin rzeczywiście niemal biegł, jakby jego ponad pięćdziesięcioletnim nogom ktoś ujął tych lat ze trzy dziesiątki. Zaś pielgrzymi kostur, w którym się widać nawet w takich okolicznościach nie rozstawał, naprawdę tkwił w tej chwili w jego dłoni niczym „bonnie” w ręku najgorszego zawałidrogi z Dark Glade, wsi słynącej szeroko z niepoczciwości obyczajów.

Niższa, zdążająca z tyłu postać, która zdążyła już ukryć oliwną lampkę pod fałdami szkaplerza, potknęła się raz i drugi i zachwiała lekko.

— Swithin!.. — zawołała przyciszonym głosem Chrisa-Lutnisty.

Zakonnik nie dosłyszał.

— Hej, ojcie Austinie! — zawołał nieco głośniejszym głosem Chris. — Zwolnijcież nieco!

— Daruj, Chris!.. — jałmużnik przystanął i zaczekał, a gdy przyodziały w mnisi habit minstrel zrównał się z nim, dodał zmieszany: — Toć winienem zważyć na to, że cię te zbóje raniły! Dobrześ opatrzony? Nie krwawisz?

— To głupstwo, ledwie mnie końcem kopii dziabnął. Ale biec nie mogę, boli.

— Bodajby ich... — ojciec Austin urwał. — Światło skryłeś? Dobrze, lepiej by nas nie widziano. Myślę, iż Pan Bóg w Swym miłosierdziu wybaczy mi ową oszukańczą grę...

— A mogliście uczynić inaczej?

Przez chwilę szli w milczeniu, już nie tak gwałtownym krokiem jak przed chwilą, choć śpiesznym. Po jakimś czasie Chris przemówił znowu.

— I tak byście w Oxton nie mieli kogo na śmierć zaopatrywać... — jego dźwięczny głos brzmiał w tej chwili ochryple i głucho.

— Wieś cała z dymem poszła? — zakonnik też mówił zmienionym głosem.

— Przecież dobrze wiecie, co normańska złość znaczy. Może ci, którym się w puszcze umknąć udało, wrócą kiedyś i odbudują..

Ojciec Austin westchnął chrapliwie.

— Co z ludźmi czynili?

— Co wam będę gadał. Znacie ich tak dobrze jak i ja, umiecie takie rzeczy sami sobie przedstawić.

— Zabrali kogo?

— Starego Tine'a, Jacka Wethera i Arnolda Żbika. Kogo więcej, nie wiem. Kiedy poczęli podpalać, skoczyłem w gąszcz. Wtedy mnie jeden kopią dźgnął i ruszyli za mną... Musiałem, Swithin! — Chris wyrzekł to z rozpaczą i wstydem. — Cóż mogłem uczynić? Czym walczyć? Lutnią? To nie na taką chwilę oręż...

— Wiem, żeś musiał, potrzebny jesteś! — przerwał szorstko zakonnik. — Wzięli Tine'a mówisz?..

— Tak. Jego chłopaka znalazłem, gdym po lesie w ucieczce kluczył. Ledwie go powstrzymał, bo gotów był z powrotem do Oxton biec, na śmierć pewną. Powiedziałem mu, żeby się ku Reclus Wood przedzierał. Może ujdzie swego losu...

Chris urwał i zwarł zęby, aż zgrzytnęły.

— Chłopak mało co był przytomny, ale opowiedział mi, jak z tym Courtenay'em było... — zwięźle przedstawił ojcu Austinowi wydarzenie na gościńcu i zakończył rwącym się głosem: — Z zaczepki głupiego młokosa taka straszna rzeź!..

— Wielu legło? — przerwał ojciec Austin.

— Albo to miałem czas i siły, żeby liczyć? Najbardziej mi Arnie- go i innych chłopaków żal! — Lutnista westchnął ochryple w ciemności. — Żebyście widzieli, jak się bronili...

Urwał znów, a po chwili dorzucił z nieopisaną goryczą!

— Szczerze widać o dar męstwa prosili, bo już tego im Duch Święty nie poskąpił...

— Nie grzesz, Chris! — szorstko upomniał go zakonnik.

— Ale ten de Courtenay!.. — głos minstrela, choć przyciszony, brzmiał zawziętą nienawiścią. — Przecież on winien, on był sprawcą! Dziewczeta wespół z tym giermkim napastowali, więc jakże chłopcy mieli ich nie bronić? A potem już własnego życia bronili! I obrazili tym jego dostojność, a za obrazę musi być pomsta...

— Żeby się jeno i na dziewczynach nie mścili! — rzucił z trwogą ojciec Austin.

— Co z Dickonową Millie, nie wiem! Ale biegnąc tu, o karczmę Jeffa zawadziłem i ostrzegłem. Trójpalcy zaraz począł się do drogi zbierać, mówił że Maud z Petem i tym malcem, którego dziewczyna przygarneła, do Londynu powiezie. Tam bezpieczni będą!

— Chwała Bogu. Ale innych tylu?.. Bezprawie i zbrodnia o pomstę do nieba wołają! — rzekł ojciec Austin jeszcze bardziej szorstko niż przed chwilą. Widać chciał tą szorstkością ukryć ból.

— Bezprawie? Zbrodnia?.. — Chris odetchnął świszcząco. — Właśnie że w majestacie prawa! Znacie je dobrze: toti pro unum...

— Ale jakież ma prawo de Clarence czy tam jego siostrzan do Oxton? Nie jego to wieś, nie jego poddani! Jak śmiał wedle własnego rozumienia i woli pomsty szukać i karę wymierzać?

— Skarżyć się na niego będziecie? Komu? Pójdziecie do szeryfa czy do regenta? — w głosie Chrisa słychać było bolesną ironię,

— A choćby i do regenta! Wieś królewska, jego poddani! A Robin przecie sokman!.. — coś dziwnego dźwięknęło w tym słowie, wyrzeczonym przez ojca Austina.

Zakonnik odkaszlnął i podjął: — Opata uproszę, by się o krzywdę parafian swych upomniał...

— Dużo wskóracie! Wieś królewska, ale poddani Sasy, czyż nie? Nikt tego za krzywdę ani bezprawie nie weźmie, toti pro unum! — Chris mówił z trudem, zacinając się z rozpacz. — De Clarence i jego krewniak jeszcze przychylności regenta zyskają, bo bunt potłu- mili! Takich poddanych Głupi Johnny łatwo odżałuje! Bliższa przecie ciału koszula niżli kaftan... Boże miłosierny, ileż to jeszcze tej przemocy i naszych nieszczęść?

Ojciec Austin nic nie odrzekł. Chris dorzucił z buntem:

— I czemu Bóg na to cierpliwie patrzy?

— Cierpliwy On, ale sprawiedliwy! — surowo rzekł jałmużnik. — Tę zbrodnię też w sprawiedliwości Swej ukarze!

— Ale kiedy?..

— Nie grzesz, Chris! — powtórzył ojciec Austin swe słowa sprzed chwili. — Wyrzekanie ci nie przystoi i nie czas na to. Wiesz tak samo dobrze jak i ja, że Sędzia Najwyższy różnymi sposobami władny jest zemstę zesłać. Ludzi do niej naznacza i my tutaj, na Wyspie, raz po raz takich mścicieli bożych dostajemy...

— Ech, tam! — Chris, widocznie z nadmiaru rozpacz, bezsilnego gniewu, a może i dolegającego mu bólu, nie dawał się przekonać. Szedł za własnymi myślami. — Ufał biskup Tomasz, święty męczennik, w pomoc Bożą... i na co mu przyszło? A cóż zyskali sir Fitz- -Ooth i jego druhowie?

— Chris! — ostro upomniał go jałmużnik.

— A co? Czy nieprawdę mówię?

— Biskup Becket w poczet świętych pańskich został policzony, a jego morderca, król Henryk, nędzną i cuchnącą śmiercią pomarł! Czy to nie widomy znak kary bożej? Co zaś do sir Fitz-Ootha... — zakonnik urwał raptownie.

Szli milcząc wśród ciemności i ponuro szumiących drzew — i pewnie obaj myśleli o tym samym. O straszliwych dniach sprzed lat przeszło piętnastu, kiedy to po odrażającym morderstwie, popełnionym z rozkazu króla na osobie arcybiskupa Becketa, po papieskiej klątwie powstał przeciwko monarsze normańscy baronowie. Chcieli rzymski interdykt na własną korzyść, na przywileje i nadania obrócić, wymówili wyklętemu Henrykowi posłuszeństwo. I wtedy sir Eric Fitz-Ooth zdecydował, że normański antykrólewski mął na Wyspie — to jedyna i najlepsza sposobność do wzniecenia buntu całej saskiej ludności! Stanać do walki, zniszczyć od jednego uderzenia i wyklętego Plantageneta, i wrogich mu wielmożów!.. I co z tego wynikło? W obliczu wspólnego niebezpieczeństwa dogadał się wyklęty król z tymi niby wrogami! Wiadomo — bliższa ciału koszula... W straszliwy sposób uśmierzone próbe saskiego powstania. Palono wsie, równano z ziemią majątki i dwory. A przywódców — tracono wraz z rodzinami i potomstwem... do trzeciego pokolenia... do trzeciego pokolenia...

— Skąd się ci mściciele wezmą? — głos Lutnisty zdławiony był przez rozpacz. — Gdzie ludzi rycerskiego ducha znajdziecie? Gdybyż to chociaż sir Eric dziedzica po sobie zostawił, żeby, gdy dorośnie, ojca pomścił i jego ślub przejął! Ale i dziecina w mogiłce, i nasze Locksley dawno puszcza zarosło...

— Skąd wiesz? Byłeś tam? — przerwał szorstko ojciec Austin.

— Bywałem tam nieraz. Dzika puszcza! Jedyny ślad... to chyba ta zatoczka nad Trentem, nad którą się wykusz komnaty zwieszał... — cicho rzekł minstrel.

— Wykusz komnaty lady Joan Fitz-Ooth... — równie cicho i jakby z odcieniem czulej kpiny podchwycił zakonnik. — Ten, pod którym Christopher z Oaken Yalley ballady śpiewał...

Lutnista roześmiał się smutnie.

— Nie kpij, Swithin, i świętą pamięć naszej lady zostaw w spokoju. Przecież ledwie mi wtedy siedemnasty rok szedł, paziem jej byłem... W tych latach łatwo chłopaka piękna twarz urzeknie, a ona... — urwał na chwilę. — Ona bardzo piękna była! Lubiała moje śpiewanie...

— Wiem.

— I sama te ballady i śpiewki synkowi maleńkiemu nad kołyską nuciła, i dziecina się śmiała słuchając. A potem ich oboje... — Chris znowu urwał, zmagając się z rozpaczą. — Jezu, jakże Ty mogłeś dopuścić!..

Głos mu się załamał. Ojciec Austin kaszlnął sucho, co w ciemności i ciszy zabrzmiało jak odgłos dalekiego grzmotu.

— Gdybym wtedy był w Locksley, z nią bym zginął! Do ostatniej kropli krwi broniłbym i jej, i dziecka! — wybuchnął Chris, choć dotąd rozmawiali półgłosem. — Ale mnie właśnie wtedy z listem do matki, do lady Huntingdon wysłała...

— I dzięki temu żyjesz! — stwierdził chłodno ojciec Austin.

— Żyję! tak, żyję! Po to, by pamiętać... i cierpieć...

— Nieprawda! Po to żyjesz, by pieśniami ducha w ludziach krzepić!

— I ty przecież żyjesz! — Lutnista, jakby nie słysząc tego zapewnienia, gwałtownie zwrócił się ku zakonnikowi. — Byłeś tam przecież! I nie walczyłeś do końca, nie zginąłeś, zanim ją i dziecko... — nagle urwał, jakby się pomiarkowawszy, i dodał ciszej, ze skruchą: — Daruj mi, Swithin, nic byś przecież nie wskórał! Ty, zwykły łowczy...

— Ten zwykły łowczy uczynił, co w jego mocy było! — też może zbyt gwałtownie przerwał ojciec Austin.

Musiało być w jego głosie coś niezwykłego, bo Chris zatrzymał się w pół kroku.

— Co ty mówisz, Swithin?.. — zapytał przenikliwym szeptem.

— Uczyniłem, com mógł! — „Swithin” także ściszył głos do szeptu. — Wspomniałeś o tym wykuszu nad Trentem...

— Bo co?..

— Bo kiedy już do komnaty się wdarli, kiedy sir Swanhold legł, kiedy sir Laurence'a powalili, kiedy pojąłem, że sir Guido z pachółkami nie sprostają na pewno, kiedy mnie samego w pierś cięli... — ojciec Austin mówił coraz szybciej, coraz bardziej świszczącym szeptem — ...skoczyłem z tego wykusza! Skoczyłem do Trentu!

— Swithin! — ze zgrozą, oburzeniem i wzdrgnięciem zawołał Chris.

— Skoczyłem nie sam! — to zakonnik wyrzekł spokojnie i mocno. — Biegając ku oknu, porwałem z kołyski...

— Swithin!.. — Lutniście zabrakło tchu.

— Tak właśnie było.

— I gdzież teraz ono? Gdzie syn sir Fitz-Ootha i lady Joan?! — Chris szarpał go za habit. Gdzie on jest? Żyje?!

Ojciec Austin drgnął, jakby przywrócony tym pytaniem do rzeczywistości.

— Czy żyje? — powtórzył. I nagle krzyknął z rozpaczą: — Prędzej, Chris!..

Zapominając o zakonnej regule i obyczajności, zapominając o złocistej bursie — podgiął habit wyżej niż by się godziło i ruszył niemal pędem. Chris widział przed sobą jego potężną postać, już majaczącą w szarówce przedświt, i też biegł, choć bolało go zranione ramię. Zdawało mu się, że ogarnął go jakiś straszny majak, upiorny sen. Co rzekł przed chwilą Swithin — ojciec Austin? Czy rzeczywiście coś mówił? Może zdawało się tylko, że padły jakieś słowa o lady Joan, o uratowaniu jej dziecka?.. Za-

lśniły nagle w pamięci Chrisa wielkie, brunatnozłote oczy, które miłował nieśmiało, boleśnie i beznadziejnie swym szesnastoletnim sercem. Ujrzał je znów, rozbłyskujące ogniem lub zachodzące mgłą wzruszenia, gdy słuchała jego śpiewu, już wtedy ponoć pięknego. I wtem... przypomniał sobie, że przecież zupełnie niedawno widział podobne oczy! Te same oczy, rozpalone takim samym uniesieniem! O Chryste miłosierny — dziś to było!.. I słowa, słowa które później padły!.. Czy znak boży, czy cud?!

Gwałtownym skokiem, nie dbając o ból, minstrel przypadł do zakonnika i z całej siły chwycił go za ramię.

— Swithin!.. To dziecko... to Robin z Młyna! Tak?!

— Tak! — krótko i gwałtownie odparł ojciec Austin.

Chris chciał wypytywać dalej, ale nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Tysiąc myśli naraz zakłębiło mu się w głowie. O Jezu Najśłodszy! Znał przecież tego chłopca od lat! Dziwiło go, wzruszało i nawet bawiło jego upodobanie do śpiewek i ballad, których nigdy nie miał dość, których tak szybko i łatwo się uczył. Zdumiewała jego delikatna, słodka uroda, tak niezwykła, że aż wprost niewłaściwa u chłopaka z młyna, puszczańskiego chłopaka! Tyle razy spoglądał w wielkie, złotobrunatne oczy! I nie domyślił się, nie odgadł nic, serce mu nie podpowiedziało! Syn lady Fitz-OothL Syn sir Erica!..

Nagła myśl rozdarła kłębowisko innych niczym ostry grot. Hasło, ich hasło! Hasło wolnej Wyspy! Skąd Robin je znał?!

Ale dłużej się nad tym zastanawiać nie mógł, bo wyminęli zakole Trentu i ujrzeni przed sobą dymiące, lśniące różowawo w porannym brzasku zgliszcząca młyna. Swąd dolatywał z daleka.

— O Chryste miłosierny!.. — wykrztusił ojciec Austin i pod kasa- wszy habit jeszcze wyżej, sadził iście jelenimi susami.

Zatrzymali się obaj nad zwłokami Jake'a. Spojrzeli na siebie. Nie byli w stanie wyrzec ani słowa. Tylko ojciec Austin wolno nakreślił nad poległym krzyż, jakby powtarzając sukienny znak naszyty na starej żołnierskiej opończy. Ten znak, który Jake od samego papieża przyjął. Ten, z którym wyruszył pod wodzą króla Ryszarda do dalekiej, nieznannej Świętej Ziemi, by walczyć o Boży Grób i przynieść sławę swej Wyspie. Z tym znakiem legł, broniąc drogiego sobie skrawka owej Wyspy przed tymi, którzy nią nieprawnie władali. I ojciec Austin pomyślał nagle, że choć Jake'owi nie było sądzone zdobyć Chrystusowego miasta — to przecież zginął broniąc samego Chrystusa. Broniąc Go w tych, których pokochał, którym dał swą miłość samotnego kaleki. Miał piękną, rycerską śmierć — Jake Niemowa, krzyżowy weteran niewiadomego rodu i miejsca...

Pobiegli dalej. Świt coraz bardziej rozjaśniał niebo. Ujrzeli z daleka to właśnie, czego tak potwornie się bali, o czym idąc tu — nie chcieli mówić ani nawet myśleć. Już nie pędzili, zabrakło im sił. Wolnym krokiem, powłócząc nogami, weszli na mostek. Ojciec Austin przykleknął nad Willem i zacisnąwszy z całej siły zęby, by nie szlochać lub nie zlorzeczyć, przesunął dłonią po twarzy zabitego druha. Zamknął szkliste, zastygłe w śmiertelnej grozie oczy. Splótł sztywne dłonie na piersi, z której sterczał normański bełt. Chciał go wyszarpnąć, lecz na razie się wstrzymał. Bełt tkwił między splecionymi, spracowanymi, martwymi dłońmi młynarza jak stalowy krzyż — lub znak pomsty.

Chris ostrożnie uniósł ciało Agnes i ułożył je obok ciała małżonka. I też splótł jej dłonie. Miała oczy zamknięte, zaciśnięte widać w śmiertelnej męce, ale usta rozchyłone — pewnie od krzyku, od rozpaczliwego krzyku...

Opamiętali się dopiero po długiej chwili, a raczej opamiętał się Chris.

— A chłopcy?! — krzyknął z nieludzką trwogą w głosie, podrywając się z kłęczek i przerywając ojcu Austinowi łacińską modlitwę. — Gdzie Robin? Gdzie Much?.. Na święte rany Jezusa!..

Skoczył w stronę młyna, ale zatrzymał się w pędzie. Jeśli nawet ktoś tam był w chwili napadu — nie było teraz po co biec, wszystko do przyciesi spalone! Przeraziła, mdląca trwoga przeszła serce Chrisa. Jeśli rzeczywiście... Nie, nie mogło się tak stać! Bóg nie dopuściłby przecież! I Robin, dzielny chłopak, puszczański chłopak, nie oddałby łatwo życia Mucha ani swego życia! Na pewno umknęli, ukryli się gdzieś...

Raz jeszcze spojrzął na dogasający młyn. Dowodów dzielności Robina zobaczyć nie mógł, bo napastnicy zabrali ciała swych poległych.

— Robin!.. — Lutnista odzykał głos. Krzyknął całą mocą płuc, aż echo poszło po falach Trentu i dobiło się od leśnych pni. — Much!..

— Robin!.. — jeszcze bardziej donośnym głosem zawtórował ojciec Austin. — Robin!.. Much!.. Robin!..

Echo powtarzało imiona chłopców, jakby przedrzeźniając szyderczo to wołanie. Spojrzeli na siebie z rozpaczą. Czy naprawdę stało się to — już ostatecznie najstraszniejsze?..

Nagle z gęstwiny maliniaka obrastającego nadrzeczną ścieżkę dobiegł ich głośny, zachłystujący się płacz. Obaj na łeb, na szyję runęli w stronę, od której dolatywał. Chris ogarnął ramionami drobną, skuloną, mokrą od rosy, sztywną z zimna i przerażenia figurkę. Osłonił sobą, by dzieciak nie spojrzął w stronę mostu, bo i tak widział się zupełnie nieprzytomny. W wybałuszonych oczkach nie było ludzkiego wyrazu, zęby dzwoniły jak w febrze. W pierwszym momencie chciał się wyrwać z ramion Lutnisty, lecz zabrakło mu sił.

— Much! — minstrel potrząsnął nim lekko. — Much, to ja, Chris! Nie bójże się, znasz mnie przecież...

Znał jednak małego i wiedział, że w ogóle trudno z nim się dogadać — cóż dopiero w tej chwili śmiertelnego przerażenia! Więc tylko jeszcze raz nim potrząsnął i zapytał zduszonym przez łzy głosem:

— Gdzie Robin, Much?..

— Tam!.. — mały machnął ręką w tył, w stronę dębowego młodnika.

Nie pytali o nic więcej. Skoczyli na oślep: Chris z dzieckiem na rękach i przytrzymujący bursę ojciec Austin. Obaj równocześnie dopadli szczupłej chłopięcej postaci rozciągniętej wśród trawy, twarzą w dół, z rozrzuconymi bezwładnie rękami. Obydwom zaparło oddech z przerażenia, gdy nachylali się nad nią.

— Robin... — ojciec Austin uniósł go ostrożnie i odetchnął pojąwszy, że chłopak żyje. Ale wyglądał strasznie. Wśród rozrzuconych brązowordzawych włosów skurczona twarz wydawała się blada, aż niebieskawa, wargi straciły swą malinową świeżość i wykrzywione w grymasie straszliwej nienawiści odsłaniały zęby, zwarte i lśniące jak u młodego wilka. Pod na wpół przymkniętymi powiekami, pod długimi rzęsami szkliscie połyskiwały oczy.

— Robin!.. — ojciec Austin podparł ramieniem jego plecy i lekko uderzył w jeden i drugi policzek. — Robin!.. — powtórzył bez tchu.

Głowa chłopca bezsilnie opadła w tył.

— Robin! — zakonnik klepnął go ponownie, trochę mocniej, i w porywie rozpaczy potrząsnął nim gwałtownie. — Co ci jest?! Na imię boskie!..

Przez skurczoną twarz przebiegło nerwowe drżenie, powieki rozchyliły się lekko, ale usta wykrzywiła jeszcze straszniejsza nienawiść i zęby zgrzytnęły, aż ojciec Austin, wspomniawszy ewangeliczną czeluść wiecznego potępienia, wzdrygnął się ze zgrozy.

Chris jednak lepiej wiedział, co należy zrobić. Posadził pod drzewem nieco już przytomniejszego, bo nie tak rozdygotanego Mucha, przyskoczył i wydobywszy spod

habitu cynową „wagansowską”*⁵⁹ flaszkę, wyrwał szpunt i przyłożył brzeg naczynia do ust „Knighta”.

Robin zachłysnął się, parsknął, ale przełknął dwa czy trzy łyki. Zmartwiała twarz ożywiła się nieco i spomiędzy warg dobiegło leciutkie westchnienie. Otworzył oczy i popatrzył najpierw całkiem błędnie, potem już przytomniej.

— Ojciec Austin?.. — zapytał bezdźwięcznie, widząc nachyloną nad sobą twarz zakonnika.

— Ja! Na Chrystusa Zbawcę, co się tu działo, chłopcze?..

— Much!.. — krzyknął zamiast odpowiedzi Robin, dziko i przeraźliwie. Podparł się rękami i usiadł, rzucając dokoła oczyma przerażonego puszcząńskiego zwierzęcia.

Ale Much już nadbiegał, rozkładając w pędzie szeroko ręce. Zarzucił je na szyję brata i wtulił buzię w jego poszarpany kaftan. „Knight”, szlochając sucho, przycisnął go do siebie, jakby chciał schować dziecko w swej szczupłej postaci, której każdy miesiąc dygotał.

Był to widok tak przerażający i bolesny, że i ojciec Austin, i Chris odwrócili oczy. Może nie mogli patrzeć, a może wstydzili się własnych łez, które zupełnie bez ich wiedzy i woli, zupełnie nie po męsku popłynęły im obydwom po twarzach.

Bliskość braciszka i świadomość, że żyje, przywiodły widocznie Robina do opamiętania, bo nagle przestał łkać i drżeć. Podniósł głowę. W szklistych do tej pory i bezmyślnych oczach zamigotał zły płomień.

— Ojczy Austinie... — spomiędzy wykrzywionych nienawistnym grymasem warg słowa te wyrwały się naprawdę jak wilcze warknięcie. — Ja... ja komuś obiecałem, że pójdę do was do świętej spowiedzi!.. Ale ja...

59 Yagans (łac.) — wędrowny, podróżny, tu: podróżna flaszką.

Urwał, jakby się zaciął. Nagle zaczerpnął głęboko tchu i krzyknął dzikim, ochrypłym, zupełnie nie chłopięcym głosem:

— Ale ja... nie pójdę!.. Nie mogę! Zabiłem... zabiłem ich pięciu! Nie, szczęściu, bo tego Etienne'a chyba też!... Jak oni króla Haralda! Zabiłem!.. Zabiłem!.. I wcale tego nie żałuję! I nigdy nie będę żałował! Ich trzeba zabijać! I ja będę zabijał! Całe życie będę ich zabijał!..

Urywany, chrapliwy, już nie tylko nie chłopięcy, ale zgoła nie człowieczy krzyk niósł się po młodniku i dalej, w głębinę puszczy. Sam sir Sherwood musiał się go przerazić, bo nie odpowiadał jak zwykle. Ojciec Austin i Lutnista poczuli się tak okropnie, jakby obaj stanęli na krawędzi piekielnej czeluści.

Chris opamiętał się jakoś i znów przyskoczył z flaszką. I znów musiało to podziałać jak zbawienny lek, bo chłopiec po kilku łykach wina nie tylko przestał wykrzykiwać te straszliwe słowa, ale skurczone rysy rozprężyły się, a pociemniałe z nienawiści oczy rozblęły światłem — jakby jakiegoś drogiego wspomnienia.

Odsunął lekko Mucha, którego przygarnął do siebie Chris, i powstał z ziemi. Ojciec Austin również się podniósł. Wyprostowany, z uniesioną głową — choć uniósł ją również przez wzgląd na wzrost zakonnika — Robin wymówił spokojnie, zdecydowanie i twardo:

— Ojcze Austinie, ja miałem do was do spowiedzi iść, żeby wam potem coś powiedzieć. Ale po tym, co uczyniłem, pewnie rozgrzeszenia nie dostanę. Więc sami widzicie, że spowiedzi odbyć nie mogę! To coś jednak muszę wam powiedzieć. Zaraz. Dobrze, że tu jesteście...

Urwał, spojrzał na Chrisa i rzekł jeszcze bardziej twardo:

— Ale powiem tylko wam! Wam jednemu, nikomu więcej!

Ojciec Austin w oszołomieniu spojrział na Lutnistę, który skinął tylko głową i z Muchem w ramionach oddalił się w zielony gąszcz.

Kiedy w nim zniknął, „Knight” gwałtownie zerwał z siebie pasek i spróbował rozpruć naszytą pod nim kieszonkę z jeleniej skóry. Drżące palce okazały się bezradne, więc dopomógł sobie zębami. Coś nareszcie trzasnęło, pieniądź błysnął srebrzyście w świetle wschodzącego słońca, którego ukośne promienie jak złote strzały przesyływały gąszcz młodego listowia — i z cichym brzękiem upadł w trawę. Robin schylił się, podniósł i podał zakonnikowi szylinga na otwartej dłoni — takim samym gestem, jakim wczoraj przy „May-Tree” podawał monetę Lutniście.

Ojcu Austinowi wystarczył jeden rzut oka. Tchu mu zabrakło. Gwałtownie chwycił pieniądź w palce.

— Robin!.. Na mękę Jezusa! Kto ci to dał?!

— Sir Twice The! — spokojnie odparł chłopiec.

— Sir Twi... Chris!!! — ryknął ojciec Austin tak gromko, że tym razem sir Sherwood, zdumiony widząc tym grzmiącym basem, oddał odpowiedź kilkakrotnie.

— Ale ja miałem tylko wam jednemu... — zaczął ze wzburzeniem Robin, widząc nadbiegającego minstrela.

Chrisowi też wystarczyło tylko krótkie spojrzenie. Przeniósł je na chłopca i musiał odgadnąć jego myśli, bo rzucił szybko i twardo:

— Robin! Wesoła Wyspa...

— Zawsze wolna! — odpowiedział bez wahania „Knight”, odetchnął głęboko, a jego oczy, rozświetlone jeszcze bardziej z szacunkiem, przyjaźnią i ufnością przesunęły się po postaci Lutnisty.

— Robin! — ojciec Austin chwycił go za ramię. — Mówże zaraz! Kiedy go od niego dostałeś!

— Wczoraj w nocy... nie, w Zieloną Noc! — poprawił się chłopak.

— Więc sir Twice na wolności?

— Tak.—

— A gdzie jest teraz?..

— W Sherwood, za Reclus Wood!

Ojciec Austin i Chris odetchnęli jednakowo głęboko.

— A jakimże sposobem się spotkaliście? — ojciec Austin ścisnął mocno ramię „Knighta”, ściskając palcami drugiej ręki równie mocno — srebrnego szylinga.

— Najpierw w karczmie u Jeffa, a potem zatrzymał mnie w lesie. Był ranny. Wyjąłem mu grot... — Robin skrzywił się, jakby to wspomnienie było dla niego czymś gorszym od późniejszych przeżyć. Zaraz się jednak opanował i dalej objaśniał z godnością i spokojem, do których we własnym przeświadczeniu miał całkowite prawo: — A potem pomogłem mu dojść do Reclus Wood. Tam czekali na niego towarzysze, sir Thence i sir Gamwell, i sir Shield. To wszystko.

— I od nich znasz nasze hasło wolnej Wyspy? — spytał minstrel.

— Tak, Chris.

Robin z większą jeszcze ufnością spojrzął na Lutnistę. Teraz już pojmował, że Chris niejedno wie. I rozumiał jego wczorajszy przestrah, ten z polany w Oxton. Oxton... straszliwa rzeczywistość poraziła go na moment. Z całej siły zacisnął zęby i pięści, by się opanować, zachować męski spokój i hart.

— Sir Twice The wolny!.. Sir Theobald wolny!.. — powtarzał tymczasem ojciec Austin. Podniósł wysoko monetę ku wschodzącemu słońcu, a „Knight” pomyślał nagle niezbyt mądrze, że gdyby ujął ją również palcami drugiej dłoni — wyglądałoby to

tak, jakby trzymał świętą hostię. Zląkł się tej myśli, jako niechybnie bluźnier-
czej, i czym prędzej odegnał ją od siebie.

— I ty mu dopomogłeś? — zakonnik zwrócił na niego twarz, wcale nie surową i
groźną, lecz dobrą, szczęśliwą, opłyniętą radosnym uśmiechem. — Robin!.. Niech cię
Bóg błogosławi! Niech cię Bóg błogosławi! Ty dzielne, ty prawe, ty najlepsze na
świecie dziecko!

— Niech cię Bóg błogosławi! — powtórzył zdławionym głosem Chris.

„Knight” przypomniał sobie nagle surową, półmroczną siedzibę sir Twice'a i
fugitive'ów — niby groźnych, a tak przyjaznych, i ich słowa... dokładnie takie same!
Wspomnienie przyćmiło na chwilę wszystko inne. Tylko jakoś niemile zabrzmiało
ostatnie słowo, wyrzeczone przez ojca Austina. Dziecko?.. Zaraz jednak uprzytomnił
sobie, że osoby duchowne mają zwyczaj zwracać się w ten sposób do wszystkich —
młodych i dorosłych, nawet zupełnie leciwych ludzi! Uspokojony, podniósł głowę —
nie zwykłym swoim, dumnym ruchem, lecz jak ktoś, kto zna już swoją wartość i po-
trafi to w odpowiednio godny, a zarazem przystojny i obyczajny, nie obrażający niko-
go sposób okazać.

— A o czym rozmawialiście? — pytał gorączkowo ojciec Austin.

— O różnych sprawach. Dużo ze mną mówił.

— A co ci rzekł ważnego?

— Wszystko było ważne.

— Ale takie najważniejsze!.. Coś zapamiętał najlepiej? — naglił ksiądz.

— Najlepiej?.. — chłopiec zamyślił się na chwilę. — Najlepiej... chyba to, czego
mnie drogą nauczył...

— Czego?! — jednym głosem i jednakowo bez tchu spytali zakonnik i Chris.

Robin podniósł głowę ku zielonym, splątanim koronom dębów i utkwiwszy swe wielkie, złotobrunatne, szeroko podwiedzione sinymi cieniami oczy w masie zielonego listowia przeszywanego słonecznymi grotami — zaczął wymawiać z powagą, dobitnie i wolno:

Póki choć jeden szumi dąb,

Nakłada kaptur, idąc w las,

Póki cal mierzy Trentu głąb,

Dopóki strzały ma i luk...

Dopóki chociaż jeden z nas

Niespodziewanie urwał, zachłysnął się, a delikatne rysy ściał wyraz nieludzkiej rozpaczki, przerażenia i bezradności. Łzy sypnęły mu się z oczu jak grad. Kiedy ojciec Austin, wyrwany tym widokiem z osłupienia, przypadł do niego — rozszlochany chłopak wtulił się w cysterski szkaplerz jak dziecko, przed mianem którego zaledwie moment wcześniej bronił się w myślach.

— Robin!.. Co tobie, chłopcze? — zakonnik ogarnął go ramionami.

Dławiąc się i zachłystując łkaniem, „Knight” wyrzucał z siebie rozpaczliwe słowa, widać wywołane świadomością wszystkich potwornych przeżyć i nieszczęść, które nagle w pełni musiał sobie uzmysłwić.

— On mnie tego nauczył... ale ja nie mam!.. Niczego już nie mam! Łuk mi pękł i strzał zabrakło!.. I nawet... nawet kaptura już nie mam, bo urwał mi go... ten Etienne!.. Ja nic nie mam! Ja nie mogę obiecywać, że będę za wolną Wyspę walczył, bo nic nie mam!..

Ojciec Austin mocno przycisnął jego twarz do piersi jakby chciał choć w ten sposób uciszyć szalony, bezradny płacz. Rysy miał skrzeple, jak wykute z kamienia. Chris stał obok z twarzą także poszarzałą jak popiół, z zaciśniętymi ustami, gładząc

bezwiednie płową główkę Mucha, który widząc co dzieje się z bratem — sam zamierzał uderzyć w dziki ryk.

Nagle zakonnik wznosił dłoń i Chris pomyślał, że dawny „Swithin” chce Robina po kapłańsku pobłogosławić. Ale ojciec Austin dźwignął ku zielonym dębom prawicę — zdecydowanym, mocnym, groźnym gestem. Gestem obietnicy sir Fitz-Ootha. I minstrel bez chwili wahania uczynił to samo.



Balladowy epilog

(śpiewany przez Chrisa przy lutni)

Rzecz dośpiewać dajcie mi!

Nonny-nonny-no!

Miał następcę sir Twice The!

„Knight" nie zaraz nim się stał, chociaż chciał,

Chociaż się do zemsty rwał!

Nonny-nonny-no!

Lecz sir Twice, rozumny człek,

Nonny-no! Nonny-no! Tak synowi druha rzekł:

„Szkoda twych młdzieńczych lat, pięknych lat,

Byś w bezprawia wchodził świat!

Nonny-nonny-no!

Włożyć kaptur, ruszyć w las,

Nonny-no! Nonny-no!

Na to zawsze będzie czas!

Nim się mścić dozwoli Bóg, Sędzia Bóg,

Poznaj dobrze, kto to wróg!

Nonny-nonny-no!—'

Las cię chował, wieś i młyn,

Nonny-no! Nonny-no!

A tyś wszak rycerski syn!

Z woli niebios świat cię zwie, żywot zwie,

Do któregoś zrodził się!

Nonny-nonny-no!

Masz rodzinę w świecie tym,

Nonny-no! Nonny-no!

A choć zda ci się on złym,

Dość prawości w sercu masz, krzywdy znasz,

By zeń czystą unieść twarz!"

Nonny-nonny-no!

Trudno chłopcu wziąć za grzech,

Nonny-no! Nonny-no!

Że wypłakał gorycz w mech!

Ale był to przecież chwyt, z puszczy chwyt,

Więc posłuchał mądrych rad!

Nonny-nonny-no!

I przyjęli go w swój dom

Nonny-no! Nonny-no!

Lord i lady Huntingdon!

Dostał się czci młodej wzór, leśny wzór.

Z młyna — na rycerski dwór!

Nonny-nonny-no!

Rolf Huntingdon, matki brat,

Nonny-no! Nonny-no!

Miał siostrzeńca nawet rad,

Lecz — lojalnym panem był, lordem był,

Tron Plantagenetów czcił!

Nonny-nonny-no!

Więc zuchowi przez lat sześć

Nonny-no! Nonny-no!

Dość goryczy przyszło znieść,

Choć krzepiła go myśl ta, pewność ta:

„Wrogów poznać z bliska trza!”

Nonny-nonny-no!

Cierpiał, jak go uczył „Jack”

Nonny-no! Nonny-no!

Aż w stosowny wkroczył wiek,

By wziąć po turnieju raz, oprócz łask,

Z Jana rąk rycerski pas!

Nonny-nonny-no!

Gdy uderzał w ramię miecz,

Nonny-no! Nonny-no!

KNIGHT we wzgardzie miał tę rzecz,

Bo nie Fitz-Ooth kląkł przed tron, króla tron,

Lecz — sir Robert Huntingdon!

Nonny-nonny-no!

Na pociechę powiem wam,

Nonny-no! Nonny-no!

Że w tych troskach nie był sam!

Dworski go połączył świat, wrogi świat,

Z śliczną Marian — „lady Chwat”!

Nonny-nonny-no!

Aż się w końcu stało coś,

Nonny-no! Nonny-no!

Że miał tego świata dość!

Umknął z Marian od praw złych, ludzi złych,

A „sir Sherwood” przyjął ich!—;

Nonny-nonny-no!

Sir Twice The im ojcem był,

Nonny-no! Nonny-no!

Lecz niewiele miał już sił...

Gdy złożono WŁADCĘ w grób, w lewy grób

KSIĄŻĘ przejął ojców ślub!

Nonny-nonny-no!

I jak prawy szlachcic — Sas,

Nonny-no! Nonny-no!

Za swą twierdzę obrał las!

Wkrótce każdy Norman-wróg, Wyspy wróg,

Drżał, wspomniawszy jego łuk!

Nonny-nonny-no!

Mógłbym znany podjąć styl:

Nonny-no! Nonny-no!

Little John i Scarlet Will,

Much i Allan, i Brat Tuck, śmieszny Tuck

Lecz mi na to sił już brak!

Nonny-nonny-no!

Że przez KAPTUR uszedł żyw —

Nonny-no! Nonny-no!

Stąd wziął miano fugitive!

Do dziś czci go Anglii lud, Anglii lud! (i nie tylko...)

A zwano go... no?... Jak?... Właśnie!..

Nonny-nonny-no!

Pozdrawiam was, śliczne damy i szlachetni milordzi!

CHRIS-LUTNISTA

TLR

Od redakcji

Pewne pojęcia, które rozumiemy poprzez wyznawane przez nas wartości i systemy norm, jak np. sprawiedliwość, miłość czy wolność — wydają się wobec wieloznaczności, różnorodności, obfitości świata ludzkich realiów — bezradnie ogólnikowe i nieprecyzyjne. Od wieków usiłujemy przezwyciężyć tę kłopotliwą sytuację, sprowadzić takie pojęcia do poziomu konkretności. To nasze usiłowanie realizuje się między innymi za pomocą niektórych mitów.

Opowieść mityczna może informować ludzi o dwóch kardynalnych niewiadomych.

Po pierwsze wyjaśnia sens, przyczyny i cel uniwersum oraz człowieka. Po drugie (co z pierwszym ściśle związane) tłumaczy, jak ów człowiek ma w świecie istnieć. Innymi słowy, mit jest wizerunkiem ludzkich wyobrażeń o naturze wszystkiego i zarazem potocznie nie docenioną etyczną konstytucją kultury.

Jeżeli przyjrzymy się normatywnej stronie przesłania mitycznego dostrzeżemy, że są mity wprowadzające klarowną segregację między światłem dobra i mrokiem zła, dowodzące oczywistej słuszności moralnych wyborów ich bohaterów czyli wypełniające przytaczane wyżej ogólne pojęcia prostą i jednoznaczną treścią.

Legenda o Robin Hoodzie widziana z takiej perspektywy w zasadzie staje się mitem, jednym z głównych we współczesnej kulturze popularnej Zachodu. Robin w Kapturze to autentyczna postać, bohater saskiego ludu Anglii XII w., zbój — rycerz, genialny łucznik, szlachetny, przebiegły, bezczelny, wrażliwy, nieugięty, w balladach i przypowieściach — wróg uzbrojonych po zęby tyranów, małoszkliwych urzędników, królewskich tępych wykonawców drakońskiego prawa, samolubnych opatów, zachłannych poborców podatkowych; szydlerczy, inteligentny wojownik prześmiewca, a zarazem symbol etnicznej tożsamości Sasów. Robin Hood mityczny, dla zwykłych ludzi spersonifikowana tęsknota za utraconym na początku czasów rajem sprawiedliwości i spokoju, prostym i zrozumiałym dla wszystkich.

Cywilizacja techniczna usiłująca początkowo demitologizować kulturę sprawiła tyle, że mit szlachetnego banity zaadaptowały media masowe, głównie: film, literatura i komiks. Wielokrotnie zapraszano Robin Hooda do powieści. Doskonały był tu dziewiętnastowieczny pisarz angielski, klasyk powieści dla młodzieży Howard Pyle, autor barwnych „Wesołych przygód Robin Hooda”.

Bohater odniósł też sukces kinowy. Od swych przedwojennych wcieleń ekranowych (w kreacjach bożyszczy Hollywoodu Douglasa Fairbanka i Errola Flynna) do całkiem współczesnych w wykonaniu Michaela Preada i Jasona Conery w popularnym serialu angielskiej telewizji, Robin wędruje gwiazdorskim szlakiem kultury masowej. Niebawem być może znowu obejrzymy go kreowanego przez słynnego Kevina Costnera w super produkcji amerykańskiej.

Przed mitem poddanym literackiej interpretacji pojawia się zagrożenie kiczem. Bohater mityczny idealizowany bez umiaru, uwikłany w schematyczne poczynania, traktowany jak pozbawiona psychologii figura lub instrument popędzający akcję nie różni się niczym od nudnego banału. Robin Hood jako postać często użytkowana przez literaturę jest bardzo narażona na zabiegi podobnego typu. Piszę o tym specjalnie, bowiem powieść, którą trzymacie Państwo w ręku traktuje mit innowacyjnie w ramach konwencji i stylu książki dla młodzieży, chroni głównego protagonistę przed stereotypem. U autorki Zielonego mają Robina Theo Tailor-Grandson — to nie Robin w Kapturze i jego banda są aktorami, ale Robin-nastolatek, prostolinijny, szczery, adoptowany syn młynarza, instynktownie wręcz szlachetny saski chłopak, który na skutek tragicznych, opisanych w powieści wypadków stanie się sławnym banitą kiedy indziej. Bohater za skromny na efektywność czy ekscentryczność, ale (co jest dużym sukcesem pisarki) naturalny i wiarygodny dla czytelnika.

Podobnie rzecz się ma z opisywaną tu rzeczywistością. Przedstawiona scenografia może nie fascynuje, ale poznawczo jest atrakcyjna; zachowuje historyczne realia,

pozwala na wgląd w pogański świat starogermańskich bogów, duchów, rytuałów i świąt z wygodnej perspektywy obserwatora wymarłej tradycji.

Theo Tailor-Grandson nie pozwoliła swojemu Robinowi wpaść w komercyjny szablon; nie jest to ani swawolny poszukiwacz awantur, baśniowy beztroski, ironiczny marzyciel, ani zaciekły wojownik magicznego świata czarownic, rezydentów Lucyfera i posepnego pojedynku sił światła i ciemności. Słowem, zagrożenia kiczowatością omijają nastoletniego Robina z Młyna.

Portret mityczny postaci został przez autorkę poszerzony o pomijany lub wyciszony dotąd wątek patriotyczny. Bohater to obrońca narodu i kultury Sasów przed imperialną i despotyczną polityką normańskich najeźdźców. Wzbogaca to niewątpliwie symbolikę mitycznego łuczника, przedstawiając go w nieco odmienionym świetle.

Wszystkie te nowości nie naruszają jednak struktury mitu o Robin Hoodzie, symbole dalej stoją na straży jego podstawowego przesłania, próbują uchronić inne symbole-pojęcia sprawiedliwości, wolności, solidarności przed relatywistycznym zagmatwaniem współczesnym.

Znany francuski filozof Paul Ricoeur uważa, że człowiek dzisiejszy poznając, interpretując i zawierając mitom uzyskuje szansę lepszego poznania siebie. Nie wiem w tej chwili jak blisko prawdy jest w tym swoim twierdzeniu. Wiem natomiast, że *Zielony maj Robina* warto polecić nie tylko czytelniczce młodzieży, ale wszystkim. Podobno mit daje dużo do myślenia!